

MILION SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

# ZAKLINACZ

**DONATO CARRISI**



**DONATO CARRISI**

**ZAKLINACZ**

Z włoskiego przełożył  
JAN JACKOWICZ



Wydanie elektroniczne

**W tej grze karty już dawno zostały rozdane...**

**CZY ISTNIEJE CHOĆ CIEŃ SZANSY, ŻE SZÓSTA ZAGINIONA DZIEWCZYŃKA JESZCZE ŻYJE?**

W parku znaleziono odcięte dłonie sześciu dziewczynek. Ustalono tożsamości tylko pięciu z nich. Na czele zespołu dochodzeniowego, do którego należy młoda policjantka Mila Vasquez, stoi profiler, doktor Goran Gavila, ekspert w odnajdywaniu zaginionych dzieci. Oboje zdają sobie sprawę, że przyjdzie im się zmierzyć z sadystycznym mordercą, który podsuwa tropy prowadzące do sprawców kolejnych zbrodni – tak zwanych porządnych obywateli. Mila i Goran nie mają jednak pojęcia, jak perfidna jest gra, którą prowadzi. I nie wiedzą, że w tej grze również im została przypisana określona rola.

## DONATO CARRISI

Włoski pisarz, scenarzysta i dramaturg. Absolwent prawa specjalizujący się w kryminologii. Od 1991 r. współpracuje z telewizją RAI. Jest autorem scenariuszy do kilku bardzo popularnych we Włoszech seriali.

Powieść **Zaklinacz** (2009), debiut literacki Carrisiego, przyniosła mu niesamowity sukces: tłumaczenia na 20 języków, milion sprzedanych egzemplarzy, nagrodę Bancarella, nominację do prestiżowej francuskiej Prix des Lecteurs.

Kolejne powieści – **Trybunał dusz** i **Hipoteza zła** – ugruntowały wysoką pozycję pisarza wśród autorów thrillerów na całym świecie.

Carrisi zekranizował trzy swoje powieści; napisał scenariusze i był reżyserem. Za film **Dziewczyna we mgle**, w którym wystąpili Toni Servillo i Jean Reno, otrzymał w 2018 r. nagrodę Włoskiej Akademii Filmowej – odpowiednik amerykańskiego Oscara – za debiut reżyserski. Toni Servillo zagrał również, razem z Dustinem Hoffmanem, w drugiej produkcji Carrisiego, **W labiryncie**. Najnowszy film, **Jestem otchłanią**, będzie miał polską premierę w 2023 r.

[donatocarrisi.it](http://donatocarrisi.it)

***Tego autora***

**Mila Vasquez**

ZAKLINACZ

HIPOTEZA ZŁA

W LABIRYNCIE

GRA ZAKLINACZA

**Paenitentiaria Apostolica**

TRYBUNAŁ DUSZ

ŁOWCA CIENI

WŁADCA CIEMNOŚCI

**Pietro Gerber**

DOM GŁOSÓW

DOM BEZ WSPOMNIEŃ

DZIEWCZYNA WE MGLE

JESTEM OTCHŁANIĄ

Tytuł oryginału:

IL SUGGERITORE

Copyright © Donato Carrisi 2009

All rights reserved

Published by arrangement with Luigi Bernabo Associates S.R.L.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2011

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: Jakub Krechowicz/Shutterstock

ISBN 978-83-6742-698-5



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

**woblink**

[woblink.com](https://woblink.com)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

*Dla Antonia i Vittoria,  
moich synów, moich najpiękniejszych historii*



*Czemuż miałbym się litować nad człowiekiem bardziej?!*

*Frankenstein*

Mary Shelley, 1818

przeł. Paweł Łopatka

*Jest w domu!*

Film *Frankenstein*, 1931 – reżyseria James Whale

Zakład karny w [REDACTED]  
Okręg penitencjarny nr 45

Raport Naczelnika Więzienia  
dr. Alphonse'a Bérengera  
z dnia 23 listopada br.

Do rozpatrzenia przez  
Biuro Prokuratora Generalnego  
J.B. Marina

Przedmiot: POUFNE

Szanowny Panie Prokuratorze,

Pozwalam sobie napisać do Pana, by  
zasygnalizować dziwne zachowanie jednego z  
osadzonych.

Osadzony, o którym mowa, zarejestrowany jest pod numerem RK-357/9. Określamy go już wyłącznie w ten sposób z uwagi na to, że aż do tej chwili odmawia podania swoich danych personalnych. Został zatrzymany przez policję 22 października. Kręcił się nocą, samotnie i bez ubrania, na jednej z wiejskich dróg w regionie [REDACTED]. Porównanie odcisków jego palców z liniami papilarnymi z policyjnych baz danych wykluczyło jego udział we wcześniejszych niewyjaśnionych przestępstwach. Mimo to za uporczywe uchylanie się od podania personaliów, również przed obliczem sędziego, został skazany na karę czterech miesięcy i osiemnastu dni pozbawienia wolności.

Od chwili umieszczenia w zakładzie karnym osadzony RK-357/9 nie okazał nigdy niezdyscyplinowania i przez cały czas przestrzegał regulaminu więziennego. Ponadto osobnik ten jest samotnikiem i nie przejawia skłonności do nawiązywania kontaktów z innymi osobami.

Być może także z tego powodu nikt nie zwrócił uwagi na jego wyjątkowe zachowanie, dostrzeżone dopiero ostatnio przez jednego z naszych strażników. Więzień RK-357/9 czyści i przeciera kawałkiem filcu wszystkie przedmioty, których dotyka, zbiera wszystkie włosy, które codziennie traci, czyści do połysku naczynia, sztucce i - WC po każdym użyciu.

Mamy więc do czynienia z maniakiem na punkcie czystości lub, co jest dużo bardziej prawdopodobne, z osobnikiem, który za wszelką cenę stara się uniknąć pozostawienia swojego „materiału organicznego”.

W związku z tym mamy poważne podejrzenie, iż więzień RK-357/9 popełnił szczególnie ciężkie przestępstwo i chce uniemożliwić nam poznanie jego tożsamości na podstawie DNA.

Do dnia dzisiejszego wyżej wymieniony dzielił celę z innym więźniem, co z pewnością pomagało mu usuwać własne ślady biologiczne. Informuję Pana jednak, że uniemożliwiliśmy mu przebywanie z innymi osobami, umieszczając go w odosobnieniu.

O powyższym powiadamiam Pana Biuro, by wszczęto odpowiednie dochodzenie, a jeśli to konieczne, zwrócono się do Sądu o wydanie w trybie pilnym postanowienia, które zmusi osadzonego RK-357/9 do poddania się badaniu DNA.

W związku z zasygnalizowaną kwestią należy też wziąć pod uwagę fakt, iż osobnik ten zakończy odsiadki kary dokładnie za 109 dni (12 marca).

Z poważaniem,

naczelnik dr Alphonse Bérenger

# 1.

## Miejsce w pobliżu W.

### 5 lutego

Unosiła go wielka ćma poruszająca się swobodnie w ciemnościach nocy. Jej rozsiewające kurz skrzydła wibrowały, omijając zasadzki górskich szczytów, nieruchomych niczym olbrzymy śpiące ramię przy ramieniu.

W górze aksamitne niebo. Niżej las. Bardzo gęsty.

Pilot odwrócił się do pasażera i wskazał widniejącą przed nimi rozległą białą plamę, podobną świetlistej gardzieli wulkanu.

Helikopter skręcił w jej kierunku.

Siedem minut później wylądowali na poboczu drogi publicznej.

Była zamknięta, a w okolicy ustawiono policyjne blokady. Mężczyzna w granatowym garniturze, z trudem przytrzymując powiewający krawat, podszedł aż pod łopaty wirnika, żeby przywitać pasażera.

– Witam, doktorze, czekaliśmy na pana! – odezwał się, przekrzykując ryk maszyny.

Goran Gavila nie odpowiedział.

Agent do zadań specjalnych Stern dodał:

– Proszę tędy, wyjaśnię panu wszystko po drodze.

Ruszyli krętą ścieżką, zostawiając za sobą huczący śmigłowiec, który wzbijał się w górę, by po chwili rozpląnąć się na atramentowym niebie.

Mgła osiadała niczym całun, odsłaniając zarysy wzgórz. Wszędzie unosił się zapach lasu, złagodzony przez nocną wilgoć, która pełzła po ubraniach, muskając chłodnym dotykiem skórę.

– Sprawa nie była prosta, zapewniam pana. Musi pan to zobaczyć na własne oczy.

Funkcjonariusz policji Stern wyprzedzał Gorana o kilka kroków, rozgarniając krzaki, i mówił, nie patrząc na niego:

– Zaczęło się dziś rano koło jedenastej. Dwaj chłopcy z psem idą ścieżką. Wchodzą do lasu, wspinają się na wzgórze i docierają na polanę. Pies to nowofundlandczyk, wie pan, z tych, co lubią grzebać w ziemi... Zwierzę zaczyna szaleć, bo coś wywęszyło. Wygrzebuje dołek. I pokazuje się pierwsza.

Goran starał się dotrzymać mu kroku, gdy zagłębiali się w coraz gęstsze zarośla porastające zbocze, z każdym ich krokiem bardziej strome. Zauważył, że spodnie Sterna mają nieduże rozdarcie na wysokości kolan, znak, że tej nocy przebył ten szlak kilka razy.

– Oczywiście chłopcy natychmiast uciekają i zawiadamiają miejscową policję – ciągnie agent. – Ci zjawiają się, badają teren, wszystkie nierówności, szukają śladów. Potem któremuś przychodzi na myśl pokopać jeszcze, żeby sprawdzić, czy jest coś więcej... i

pojawia się druga! W tym momencie wzywają nas. Jesteśmy tu już od piętnastej.

Nie wiemy dotąd, ile jeszcze tego jest pod ziemią. O, to tutaj...

Przed nimi otworzyła się mała polana oświetlona reflektorami – świetlisty wylot wulkanu. Zapachy lasu nagle znikły i obu uderzył zapach nie do pomylenia z żadnym innym. Goran uniósł głowę, żeby lepiej go poczuć.

– Kwas fenolowy – mruknął do siebie.

I zobaczył.

Krąg małych dołków. I ze trzydziestu ludzi w białych kombinezonach kopiących w nieziemskim świetle halogenów, zaopatrzonych w małe łopatki i pędzle do usuwania ziemi. Kilku przesiewało trawę, inni fotografowali i starannie katalogowali wszystkie znaleziska. Ich ruchy były precyzyjne, odmierzone, hipnotyczne, otoczone sakralną ciszą, którą od czasu do czasu przerywał tylko cichy trzask fleszów.

Goran dostrzegł agentów specjalnych Sarah Rosę i Klausa Borisa.

Był też inspektor Roche, szef zespołu śledczego, który go zauważył i od razu ruszył wielkimi krokami w jego stronę. Zanim zdążył otworzyć usta, doktor uprzedził go pytaniem:

– Ile?

– Pięć. Wszystkie o długości pięćdziesięciu centymetrów, szerokości dwudziestu i głębokości także pięćdziesięciu... Co twoim zdaniem można zakopać w takich dołkach?

We wszystkich to samo. Taki sam obiekt. Kryminolog patrzył na niego wyczekująco.

– Lewą rękę – odpowiedział Roche.

Goran spojrział na ludzi w białych kombinezonach, którzy pracowali na tym absurdalnym cmentarzu. Ziemia oddawała jedynie szczątki w stanie rozkładu, ale źródło tego zła należało umiejscowić wcześniej, przed tą pełną niepewności, nierealną chwilą.

– To one? – zapytał Goran, ale tym razem znał odpowiedź.

– Z badania białka C-reaktywnego wynika, że należą do osób płci żeńskiej, rasy białej, w wieku od dziewięciu do trzynastu lat...

Dziewczynki.

Roche wypowiedział te słowa bezbarwnym tonem. Wyrzucił je niczym ślinę, która po zbyt długim trzymaniu w ustach robi się gorzka.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Zacząło się dwadzieścia pięć dni temu, od wzmianki w prowincjonalnej gazecie o zniknięciu młodej uczennicy college'u dla dzieci z zamożnych rodzin. Wszyscy przypuszczali, że to ucieczka. Dwunastoletnia bohaterka miała na imię Debby. Jej koleżanki zapamiętały, że widziały ją, jak wychodziła po zakończeniu lekcji. W żeńskim internacie zauważono jej nieobecność dopiero podczas wieczornego apelu.

Sprawa pod każdym względem przypominała jedno z tych wydarzeń, które kwitowane są krótkim artykułikiem na trzeciej



stronie, po czym zainteresowanie słabnie w oczekiwaniu na przewidywane szczęśliwe zakończenie.

Ale potem znikła Anneke.

Doszło do tego w małej osadzie, składającej się z drewnianych domków i białego kościoła. Anneke miała dziesięć lat. Z początku myślano, że może zabłądziła w lesie, po którym często jeździła na rowerze górskim. W poszukiwaniach uczestniczyli wszyscy mieszkańcy. Bez skutku.

Zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje, wydarzyło się to znowu.

Trzecia dziewczynka miała na imię Sabine i była najmłodsza ze wszystkich. Siedem lat. Stało się to w mieście, w sobotni wieczór.

Rodzice zabrali ją do wesołego miasteczka, jak wiele innych rodzin mających dzieci. Tam wsiadła na konika karuzeli, która była wypełniona dziećmi. Jej matka patrzyła, jak mija ją po raz pierwszy, i pomachała jej. Potem pokazała się po raz drugi i matka pomachała jej znowu. Gdy konik wrócił po raz trzeci, Sabine nie było.

Dopiero wtedy ktoś pomyślał, że zniknięcie trzech dziewczynek w ciągu zaledwie trzech dni jest dziwne.

Podjęto poszukiwania na szeroką skalę. Ukazały się apele w telewizji. Od razu zaczęto mówić o jednym lub kilku maniakach, może nawet o bandzie. W rzeczywistości brakowało elementów, które pozwoliłyby sformułować dokładniejszą hipotezę śledczą. Policja udostępniła linię telefoniczną przeznaczoną do zbierania informacji, także od anonimowych informatorów. Były setki sygnałów, na sprawdzenie wszystkich potrzeba byłoby miesięcy. Ale żadnego śladu

dziewczynek. Co więcej, ponieważ zaginęły w różnych miejscach, lokalne posterunki policji nie mogły się porozumieć co do jurysdykcji.

Dopiero wtedy działania podjęła jednostka śledcza badająca poważne zbrodnie, którą kierował inspektor Roche. Przypadki zaginięć nie wchodziły w zakres jej kompetencji, ale narastająca psychoza sprawiła, że zrobiono wyjątek.

Roche i jego ludzie zajmowali się już sprawą, gdy zniknęła dziewczynka numer cztery.

Melissa była najstarsza, miała trzynaście lat. Jak w przypadku wszystkich dziewczynek w jej wieku także jej rodzice zakazali wychodzenia wieczorem, obawiając się, że mogłaby paść ofiarą maniaka, który terroryzuje kraj. Zakaz ten zbiegł się jednak z dniem jej urodzin, a Melissa miała na ten wieczór inne plany. Wraz z koleżankami zaplanowała wymknięcie się z domu, żeby świętować urodziny w kręgielni. Zjawiły się tam wszystkie. Nie pokazała się tylko Melissa.

Rozpoczęło się polowanie na potwora, często chaotyczne i improwizowane. Do działania ruszyli sąsiedzi, gotowi także dokonać samosądu. Policja ustawiła blokady na drogach. Zaczęto przeprowadzać dokładniejsze kontrole osobników skazanych w przeszłości albo podejrzanych o przestępstwa przeciwko nieletnim. Rodzice nie mieli odwagi pozwalać dzieciom na wyjście z domu nawet do szkoły. Wiele szkół zamknięto z powodu małej frekwencji. Ludzie opuszczali domy tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. W pewnych godzinach małe i duże miasta pustoszały.

Przez kilka dni nie było doniesień o nowych zniknięciach. Wielu zaczęło myśleć, że podjęte środki i zabezpieczenia odniosły skutek, pozbawiając maniaka odwagi. Mylili się.

Porwanie piątej dziewczynki było najbardziej sensacyjne.

Miała na imię Caroline i jedenaście lat. Została porwana z własnego łóżka, gdy spała w pokoju sąsiadującym z sypialnią rodziców, którzy niczego nie zauważyli.

Pięć dziewczynek uprowadzonych w ciągu tygodnia. A potem siedemnaście dni spokoju.

Aż do tej chwili.

Aż do tych pięciu rąk zakopanych w ziemi.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Goran przeniósł wzrok na krąg małych dołków. Makabryczne kółko pięciu rąk. Wydawało się, że słyszeć dziecięcą wyliczankę recytowaną przez ich właścicielki.

– Od tej chwili jest jasne, że nie chodzi o zwykłe zaginięcia – mówił Roche, ruchem ręki przywołując do siebie wszystkich na krótką odprawę.

Był to stały zwyczaj. Rosa, Boris i Stern podeszli i stanęli, ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami założonymi z tyłu.

– Myślę o osobniku, który ściągnął nas dzisiejszej nocy w to miejsce – zaczął Roche. – Który przewidział, że to wszystko się wydarzy. Jesteśmy tu, ponieważ on tego chciał, ponieważ on tak to sobie wyobraził. I zorganizował to wszystko dla nas. Bo to widowisko jest dla nas, moi państwo. Tylko dla nas. Przygotował je starannie,

zawczasu wyczuwając smak tej chwili, naszą reakcję. Żeby nas zadziwić. Żeby nam zakomunikować, że jest wielki i potężny.

Słuchający go pokiwali głowami.

Kimkolwiek jest sprawca, działa bez przeszkód.

Roche, który już dość dawno temu włączył do zespołu Gaviłę jako pełnoprawnego członka, zauważył, że kryminolog jest roztargniony, wpatruje się w coś, jakby próbował sformułować jakąś myśl.

– A co ty o tym myślisz, doktorze?

Goran przerwał milczenie, wypowiadając tylko jedno słowo:

– Ptaki.

W pierwszej chwili wydawało się, że nikt nie wie, o co mu chodzi.

– Nie zwróciłem na nie uwagi po przyjeździe i zrobiłem to dopiero teraz. To dziwne. Posłuchajcie...

Z ciemnego lasu dobiegały głosy tysięcy ptaków.

– Śpiewają – zdumiała się Rosa.

Goran odwrócił się do niej i pokiwał głową.

– To reflektory... Wzięły te światła za początek świtu. I śpiewają – stwierdził Boris.

– Wydaje wam się, że jest w tym jakiś sens? – podjął Goran, tym razem patrząc na nich. – A jednak jest... Pięć rąk zakopanych w ziemi.

Członki. Bez ciał. Można by pomyśleć, że brak w tym wszystkim prawdziwego okrucieństwa. Bez ciał nie ma twarzy. Bez twarzy nie ma konkretnych jednostek, nie ma osób. Musimy zadać sobie tylko

pytanie: „Gdzie są te dziewczynki?”. Bo tu ich nie ma. Nie możemy spojrzeć im w oczy. Nie możemy stwierdzić, że są takie jak my. Ponieważ w istocie nie ma w tym niczego ludzkiego. Są tylko członki...

Żadnego współczucia. On nam na nie nie pozwolił. Pozostawił nam tylko strach. Nie można poczuć litości dla tych małych ofiar. Chce nam tylko dać do zrozumienia, że nie żyją... Widzicie w tym jakiś sens? Tysiące ptaków w ciemnościach, zmuszonych do krzyku wokół światła, które nie miało prawa się pojawić. My ich nie widzimy, ale one nas obserwują – tysiące ptaków. Czym one są? Zwyczajnym zjawiskiem. Ale także ofiarami iluzji. A trzeba uważnie przyglądać się iluzjonistom: czasami zło nas okłamuje, przybierając kształt najprostszych rzeczy.

Milczenie. Po raz kolejny kryminolog uchwycił drobne, ale doniosłe znaczenie symboliczne. To, czego inni często nie potrafili dostrzec albo – jak w tym przypadku – usłyszeć. Szczegółów, zarysów, odcieni. Delikatnej otoczki rzeczy, mrocznej aury, w której kryje się zło.

Każdy morderca ma „plan”, precyzyjny szablon, który dostarcza mu satysfakcji, napawa dumą. Najtrudniejszym zadaniem jest zrozumieć tę jego wizję. Właśnie dlatego znalazł się tu Goran. Dlatego został wezwany. Aby odkrył to niewytłumaczalne zło, wykorzystując swoją wiedzę.

W tym momencie zbliżył się do nich jeden z pracowników technicznych w białym kombinezonie i z zakłopotaną miną zwrócił się do inspektora:

– Panie Roche, mamy pewien kłopot... tych rąk jest sześć.



## 2.

Nauczyciel muzyki przemówił.

Ale nie to ją uderzyło. I to nie po raz pierwszy. Wielu osobników mieszkających samotnie wypowiada na głos swoje myśli, gdy przebywają w czterech ścianach własnego mieszkania. Zdarzało się, że także Mila mówiła do siebie, gdy była w domu.

Nie. Nowość polegała na czym innym. Wynagradzała cały tydzień skrytego wyczekiwania spędzony w zimnym aucie, które zaparkowała naprzeciwko brązowego domu, aby śledzić przez małą lornetkę jego wnętrze, to, jak przemieszcza się ten człowiek około czterdziestki, otyły i o bladej cerze, który chodził spokojnie po swoim małym uporządkowanym świecie, powtarzając ciągle te same ruchy, jakby stanowiły pajęczą sieć znaną tylko jemu.

Nauczyciel muzyki przemówił. Ale nowością było to, że tym razem wypowiedział imię.

Mila patrzyła, jak na jego wargach pojawia się ono litera po literze.

„Pablo”. To potwierdzenie, klucz umożliwiający wejście do tego tajemnego świata. Teraz już wie.

Nauczyciel muzyki ma gościa.

Jeszcze zaledwie dziesięć dni temu Pablo był tylko ośmioletnim dzieckiem o kasztanowych włosach i żywych oczach, które uwielbiało

kręcić się po dzielnicy na deskorolce. Pewne było jedno: jeśli Pablo szedł do sklepu na polecenie matki albo babci, brał deskorolkę. Spędzał całe godziny, jeżdżąc tam i z powrotem po ulicy. Dla sąsiadów, którzy patrzyli, jak przejeżdża pod ich oknami, mały Pablito – jak go wszyscy nazywali – stanowił część krajobrazu.

Być może także dlatego nikt niczego nie zauważył w tamten lutowy ranek w niewielkiej dzielnicy willowej, gdzie wszyscy znali się z imienia, a domy i żywoty mieszkańców były do siebie podobne. Na pustej ulicy pojawiło się zielone volvo combi – nauczyciel muzyki wybrał je zapewne dlatego, że było podobne do wielu innych rodzinnych aut zaparkowanych w wąskich alejkach. Spokój najwykleszego sobotniego poranka zakłócił tylko szum sunących powoli po asfalcie kół i jednostajne terkotanie deskorolki, która stopniowo zwiększała szybkość... Trzeba było sześciu długich godzin, aby ktokolwiek zorientował się, że wśród odgłosów tej soboty czegoś brakuje. Terkotania. I że w chłodzie poranka małego Pabla wchłonął skradający się cień, który nie chciał go zwrócić, pozbawiając ulubionej deski.

Deska z czterema kółkami leżała obok uwijających się policjantów, którzy wzięli dzielnicę w posiadanie.

Działo się to zaledwie dziesięć dni temu.

Dla Pabla może być już za późno. Za późno dla jego kruchej dziecięcej psychiki. Za późno, aby z tego złego snu obudził się bez urazów.

Teraz deskorolka znajdowała się w bagażniku auta policjantki razem z innymi przedmiotami, zabawkami, ubraniami. Mila natrafiła na nie w poszukiwaniu drogi, którą należało obrać, a one



doprowadziły ją do tej brązowej kryjówki. Do nauczyciela muzyki uczącego w szkole średniej, a w niedzielne poranki grywającego w kościele na organach.

Był wiceprezesem towarzystwa muzycznego, które co roku organizowało mały festiwal muzyki Mozarta. Anonimowym i nieśmiałym samotnikiem w okularach, zaczynającym łysieć, o spoconych i miękkich dłoniach.

Mila dobrze mu się przyjrzała. Ponieważ na tym polegał jej talent.

Wstąpiła do policji, mając precyzyjnie określony cel, i po ukończeniu akademii policyjnej poświęciła mu się bez reszty. Nie interesowali jej przestępcy, a tym bardziej prawo. Nic z tego powodu przeczesywała wszelkie zakątki, w których gnieździ się mrok, gdzie bez przeszkód gnije ludzka egzystencja.

Gdy odczytała imię Pabla na ustach człowieka, który go więził, poczuła ukłucie w lewej nodze. Być może spędziła zbyt wiele godzin w samochodzie, czekając na ten znak. A może także z powodu rany na udzie, którą zszyła w paru miejscach.

Opatrzę ją potem, przyrzekła sobie. Potem. Bo formułując tę myśl, Mila postanowiła wejść natychmiast do domu, żeby przełamać urok i położyć kres koszmarowi.

– Funkcjonariusz Mila Vasquez do centrali: zidentyfikowany podejrzany o porwanie małego Pabla Ramosa. Mieszka w brązowym domu pod numerem dwadzieścia siedem przy alei Alberas. Możliwe zagrożenie.

– Przyjąłem. Wysyłamy kilka patroli, zajmie to co najmniej trzydzieści minut.

Za dużo.

Mila nie ma aż tyle czasu. Nie ma go Pablo.

Strach, że będzie musiała rozliczyć się ze słów: „Okazało się, że jest za późno”, skłonił ją do ruszenia w kierunku domu.

Głos w radiu był już dalekim echem, gdy z pistoletem w ręku, wycelowanym tak, jakby zamierzała strzelić w sam środek ciała przestępcy, rozglądając się czujnie, krótkimi i szybkimi krokami dotarła błyskawicznie do kremowego płotu, który okalał tylko tylną stronę małego domku z ogrodem.

Nad domem górował ogromny biały platan. Jego liście zmieniały kolor w zależności od powiewów wiatru, pokazując chwilami swoją srebrzystą stronę. Mila podeszła do drewnianej furtki na tyłach. Przywarła do ogrodzenia i zaczęła nasłuchiwać. Od czasu do czasu dochodziły do jej uszu urywki rockowej piosenki, niesione przez wiatr gdzieś z sąsiedztwa. Wyjrzała znad furtki i zobaczyła dobrze utrzymany ogródek z szopą na narzędzia i czerwonym gumowym węzem wijącym się w trawie aż do spryskiwacza. Plastikowe meble i gazowy grill. Spokój. Drzwi z matową szybą w kolorze różowofioletowym.

Mila wyciągnęła rękę nad furtką i delikatnie uniosła obrotową dźwigienkę. Zawiasy skrzypiały, więc uchyliła furtkę tylko na tyle, by wystarczało, żeby wejść do ogródka.

Zamknęła ją za sobą, żeby nikt, wyglądając przez okno, nie zauważył zmiany. Wszystko powinno pozostać tak jak było. Potem ruszyła krokiem, jakiego uczono jej w akademii, uważnie stawiając stopy na trawie – tylko palce, żeby nie zostawić śladów – gotowa

skoczyć, gdyby okazało się to konieczne. Po krótkiej chwili dotarła do kuchennych drzwi po stronie, z której nie mógł paść na nie jej cień, w razie gdyby się wychyliła, żeby zajrzeć do wnętrza domu. I tak właśnie zrobiła. Matowe szyby nie pozwalały rozróżnić niczego w środku, ale z kształtu mebli wywnioskowała, że musi to być mała jadalnia. Przesunęła rękę w kierunku klamki, która znajdowała się po przeciwnej stronie drzwi. Chwyciła ją i nacisnęła. Zatrząsk odskoczył.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Nauczyciel muzyki musi czuć się pewnie w kryjówce, którą przygotował dla siebie i swego więźnia. Niebawem Mila miała również odkryć dlaczego.

Przy każdym kroku pokryta linoleum podłoga trzeszczała pod jej gumowymi podeszwami. Mila starała się stąpać ostrożnie, potem jednak zsunęła tenisówki i zostawiła je koło jakiegoś mebla. Dotarła bosą na korytarz i usłyszała jego głos...

– Potrzebowałbym też jednego opakowania serwetek. I tego środka do mycia naczyń... Tak, właśnie tego... Poza tym proszę mi też przywieźć sześć puszek zupy z kurczaka, cukier, program telewizyjny i kilka paczek papierosów light, tej samej marki co zawsze...

Głos dochodził z saloniku. Nauczyciel muzyki robi zakupy przez telefon. Zbyt zajęty, żeby wyjść z domu? Czy też nie chce się oddalać, woli zostać, żeby móc kontrolować każdy ruch swojego więźnia?

– Tak, aleja Alberas numer dwadzieścia siedem, dziękuję. Proszę zabrać resztę z pięćdziesięciu, ponieważ mam w domu tylko takie banknoty.

Mila ruszyła w kierunku, z którego dochodził głos. Gdy mijiała lustro, zobaczyła swoje zniekształcone odbicie. Takie, jakie spotyka się w wesołym miasteczku. Dotarłszy do drzwi pokoju, wyprostowała ręce, w których trzymała pistolet, nabrała powietrza i przekroczyła próg. Spodziewała się, że go zaskoczy, może nawet odwróconego plecami, jeszcze ze słuchawką w ręku i obok okna. Stanowiłby doskonały cel.

Zawiodła się jednak.

Salonik był pusty, a słuchawka leżała na widelkach.

Zrozumiała, że nikt z tego pokoju nie telefonował, gdy poczuła chłodną lufę pistoletu, która niczym pocałunek dotknęła jej karku.

Stał tuż za nią.

Zwymyślała się w duchu od idiotek. Nauczyciel muzyki dobrze urządził swoją norę. Skrzypienie furtki do ogrodu i trzeszczenie podłogi pokrytej linoleum to były sygnały informujące o wtargnięciu nieproszonych gości. Potem udawana rozmowa telefoniczna jako przynęta zwabiająca ofiarę. Deformujące lustro, żeby stanąć niezauważenie za jej plecami. Wszystko to składało się na pułapkę.

Poczuła tylko, że wyciąga rękę, by odebrać jej pistolet. Pozwoliła się rozbroić.

– Możesz mnie zastrzelić, ale nie masz już wyjścia. Niedługo będą tu moi koledzy. Nie wygrzebiesz się z tego, pozostaje ci tylko się poddać.

Mężczyzna nie odpowiedział. Miała wrażenie, że widzi go kątem oka. Czy to możliwe, żeby na jego twarzy pojawił się uśmiech?

Cofnął się. Lufa pistoletu oderwała się od Mili, ale ona czuła jeszcze magnetyczne przyciąganie między jej głową i pociskiem w lufie z tłumikiem. Mężczyzna obszedł ją i znalazł się wreszcie w polu jej widzenia. Na dłuższą chwilę zatopił w niej wzrok, ale tak, jakby na nią nie patrzył. W głębi jego oczu było coś, co wydało się Mili przedSIONKIEM mrocznej otchłani.

Bez najmniejszej obawy odwrócił się do niej plecami. Mila patrzyła, jak pewnym krokiem idzie do stojącego przy ścianie fortepianu.

Doszedłszy do instrumentu, usiadł na stołku i zaczął przyglądać się klawiaturze. Oba pistolety położył po lewej stronie.

Uniósł ręce, po czym opuścił je na klawisze.

W pokoju zabrzmiał nokturn Chopina. Mila odetchnęła głęboko kilka razy, czując, jak napięcie rozchodzi się po ścięgnach i mięśniach jej szyi. Palce nauczyciela muzyki z wdziękiem i lekkością ślizgały się po klawiaturze. Łagodność dźwięków sprawiła, że Mila słuchała jak zahipnotyzowana.

Zmusiła się, by odzyskać jasność myśli, i zaczęła się cofać, ślizgając się na bosych piętach, aż znowu znalazła się w korytarzu. Zaczerpnęła powietrza, próbując zwolnić uderzenia serca. A potem zaczęła prędko przeszukiwać pomieszczenia, ścigana melodią nokturnu: gabinet, łazienka, spiżarnia...

Aż do zamkniętych drzwi.

Naparła na nie ramieniem. Rana na udzie bolała, więc użyła tylko rąk. Drewniane drzwi ustąpiły.

Słabe światło korytarza wdarło się do pokoju, którego okna wyglądały na zamurowane. Mila śledziła w mroku świetlną smugę, aż napotkała załzawione oczy, które wpatrywały się w nią jak skamieniałe.

Pablito był tu, siedział na łóżku, przyciskając kolana do chudej klatki piersiowej. Miał na sobie tylko slipki i podkoszulek. Próbował zrozumieć, czy powinien się bać i czy Mila nie jest dalszym ciągiem jego złego snu. A ona powiedziała tylko to, co mówiła zawsze, gdy odnajdowała dziecko:

– Musimy stąd wyjść.

Chłopiec kiwnął głową, wyciągnął ręce i przywarł do niej. Mila słuchała muzyki, która wciąż płynęła i ją ponaglała. Obawiała się, że utwór nie będzie trwał wystarczająco długo i że nie zdąży opuścić domu. Znowu ogarnął ją niepokój. Zaryzykowała swoje życie i życie małego więźnia. I teraz się bała. Że znowu popełni błąd. Że wpadnie przy ostatnim kroku, który pozwoliłby jej wydostać się z tej przeklętej nory. Lub odkryje, że z tego domu nie da się wyjść, że zamknie się nad nią jak błotna skorupa, więżąc na zawsze.

A jednak drzwi się otworzyły i znaleźli się na dworze, w bladym, ale uspokajającym świetle dnia.

Gdy jej serce zaczęło bić wolniej, gdy mogła już zapomnieć o pistolecie, który zostawiła w środku, i przytulić Pabla, uwalniając go od wszelkiego strachu, dziecko nachyliło się do jej ucha i zapytało szeptem:

– A ona nie pójdzie z nami?

Mila zatrzymała się, jakby nagle poczuła na barkach większy ciężar. Zachwiała się, ale nie straciła równowagi.

– Gdzie ona jest? – zapytała, nie wiedząc dlaczego, jedynie pod naciskiem przerażającej świadomości.

Chłopiec wskazał palcem pierwsze piętro. Dom spoglądał na nich oknami i śmiał się drwiąco tymi samymi otwartymi drzwiami, które dopiero co pozwoliły im wyjść na dwór.

W tym momencie strach zupełnie ją opuścił. Mila pokonała ostatnie metry, jakie dzieliły ją od auta. Posadziła małego Pabla na tylnym siedzeniu i przyrzekła mu uroczyście:

– Zaraz wracam.

A potem zawróciła, aby zniknąć we wnętrzu domu.

\* \* \*

Stanąła u stóp schodów. Popatrzyła do góry, nie wiedząc, co tam znajdzie. Zaczęła wchodzić, trzymając się poręczy. Także tej wyprawie towarzyszyły dźwięki muzyki Chopina. Stopy stawały na stopniach, dłonie przylepiały się do poręczy, która przy każdym kroku Mili sprawiała wrażenie, jakby chciała ją powstrzymać.

Nagle muzyka się urwała.

Mila przystanąła, nasłuchując. Rozległ się wystrzał, a potem głuchy odgłos upadku i chaotyczne dźwięki fortepianu, bo nauczyciel muzyki osunął się na klawiaturę. Mila wbiegła na piętro. Nie mogła mieć pewności, że nie chodzi o nowy podstęp. Schody zakręcały, a

podest wychodził na wąski korytarz pokryty grubą wykładziną. W głębi widać było okno, a przed nim ludzką sylwetkę; krucha i szczupła odcinała się pod światło: stopy wspierały się na stołku, a szyja i ręce wyciągały w kierunku sznurka zwisającego z sufitu. Mila dojrzała ją w chwili, gdy próbowała włożyć głowę w pętlę, i krzyknęła. Dziewczynka także ją zobaczyła i próbowała działać szybciej. Ponieważ on tak jej powiedział i tego ją nauczył.

„Jeżeli oni przyjdą, musisz odebrać sobie życie”.

„Oni” to byli inni ludzie, zewnętrzny świat, ci, którzy niczego nie rozumieją i nigdy nie wybaczą.

Mila rzuciła się rozpaczliwie w stronę dziewczynki, aby ją powstrzymać. Im bliżej była, tym bardziej wydawało jej się, że się spóźnia.

Wiele lat temu, prowadząc inne życie, ta dziewczynka była dzieckiem.

Mila doskonale pamiętała jej fotografię. Przystudiowała ją dokładnie rys po rysie, analizując w myśli każde załamanie, każdą zmarszczkę na jej twarzy, katalogując i notując każdy znak szczególny, nawet najmniejszą plamkę na skórze.

I oczy. W żywym niebieskim kolorze. Zdolne do przechowania nienaruszonego błysku flesza. Oczy dziesięcioletniej dziewczynki, Elizy Gomes. Zdjęcie zrobił jej ojciec. Uchwycił ją w święta, gdy zamierzała otworzyć prezent i się tego nie spodziewała. Mila wyobraziła sobie tę scenę: ojca, który zawołał, żeby się odwróciła, i niespodziewanie pstryknął jej zdjęcie. I Elizę. Odwróciła się do niego i nie zdążyła okazać zaskoczenia. W wyrazie jej twarzy została



unieśmiertelniona chwila, coś, czego nie można dostrzec gołym okiem. Cudowne narodziny uśmiechu, nim zagości na ustach albo rozjaśni spojrzenie niczym rodząca się gwiazda.

Dlatego policjantka nie zdziwiła się, gdy rodzice Elizy Gomes dali jej właśnie tę fotografię. Nie było to z pewnością najlepsze zdjęcie, ponieważ Eliza miała na nim nienaturalną minę i z tego powodu byłoby prawie bezużyteczne, gdyby chciało się wydedukować z niego zmiany, jakie mogły pojawić się na jej twarzy z biegiem czasu. Inni koledzy prowadzący śledztwo skarżyli się na to, ale dla Mili nie miało to znaczenia, ponieważ w tym zdjęciu dostrzegła coś, jakąś energię. I była to twarz, której mieli szukać. Nie jedna z wielu twarzy, jedna z wielu dziewczynek, ale właśnie ta dziewczynka, z tym światłem w oczach. Oczywiście, jeśli ktoś nie zdołał go zgasić...

Mila złapała ją w ostatniej chwili, obejmując jej nogi, zanim zdążyła zawisnąć całym ciężarem na sznurze. Dziewczynka kopnęła, zaczęła się miotać, próbowała krzyczeć. Do chwili, gdy Mila zwróciła się do niej po imieniu.

– Elizo – powiedziała łagodnie.

I ona przypomniała sobie, kim jest.

Zupełnie o tym zapomniała. Pozbawiły ją tej świadomości lata uwięzienia, ujmując po kawałku każdego dnia. Aż w końcu doszła do przekonania, że ten człowiek jest jej rodziną, a reszta świata o niej zapomniała. I reszta świata nie zrobi nic, żeby ją uratować.

Zdumiona Eliza spojrzała Mili w oczy. Uspokoili się i pozwoliła się uratować.

### 3.

Sześć rąk. Pięć imion.

Z tą zagadką ekipa opuściła polanę pośrodku lasu i przeniosła się do campera zaparkowanego przy drodze. Wydawało się, że świeża kawa i kanapki nie pasują do sytuacji, a służą jedynie zachowaniu pozorów jej kontrolowania. W każdym razie nikt w ten chłodny lutowy poranek nie myślał o jedzeniu.

Stern wyjął z kieszeni pudełko miętówek, potrząsnął nim i wysypał kilka na dłoń, po czym wrzucił je do ust. Twierdził, że pomagają mu myśleć.

– Jak to możliwe? – zapytał, kierując te słowa bardziej do siebie niż do innych.

– Kurwa... – wyrwało się Borisowi, ale tak cicho, że nikt tego nie usłyszał.

Rosa szukała w camperze miejsca, w którym mogłaby pozbierać myśli. Goran to zauważył. Rozumiał ją, ma przecież córkę w wieku tamtych dziewczynek. To pierwsza rzecz, o której człowiek myśli, gdy staje w obliczu zbrodni przeciwko nieletnim. Własne dzieci. Zadaje sobie pytanie, co by się stało, gdyby... Ale nie może dokończyć zdania, bo już sama myśl o tym jest bolesna.

– Kaze nam odnajdywać je po kawałku – stwierdził inspektor Roche.

– Więc takie mamy zadanie? Zbierać zwłoki? – zapytał zirytowany Boris. On, człowiek czynu, buntował się przeciwko roli grabarza, jaką mu wyznaczono. Domagał się wykrycia winnego. A także inni, którzy niezwłocznie go poparli.

Roche ich uspokoił.

– Głównym celem wciąż pozostaje jego zatrzymanie – przypomniał. – Ale nie możemy uchylać się od szukania szczątków.

– To było zaplanowane.

Wszyscy wlepili oczy w Gorana, niepewni, co sądzić o jego słowach.

– Ten nowofundlandczyk, który wywęszył rękę i wygrzebał dołek, to była część jego planu. Ten człowiek przywazał dwóch chłopców z psem. Wiedział, że chodzą z nim do lasu. Dlatego tam właśnie urządził swój mały cmentarzyk. Prosty pomysł. Dokończył „dzieła” i pokazał nam rezultat. To wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że go nie dopadniemy? – zapytał z niedowierzaniem Boris, którego myśl o tym doprowadzała do szału.

– Wiecie lepiej ode mnie, jak się prowadzi tego rodzaju sprawy...

– Ale on to zrobi, prawda? Znowu zabije... – Tym razem to Rosa nie chciała się pogodzić z takim stanem rzeczy. – Udało mu się, więc spróbuje po raz kolejny.

Chciała, żeby zaprzeczono, ale Goran nie wiedział, co odpowiedzieć. A gdyby nawet miał na ten temat zdanie, nie umiałby wyrazić okrucieństwa polegającego na tym, że trzeba oddzielić jakoś myśl o tych strasznych zabójstwach od cynicznego pragnienia, żeby

morderca uderzył znowu. Ponieważ – i wszyscy mieli tego świadomość – złapią go tylko, jeśli się nie zatrzyma.

– Jeśli znajdziemy ciała dziewczynek – podjął inspektor Roche – będziemy przynajmniej mogli dać rodzinom możliwość pogrzebania tych dzieci, grób, na którym będą mogły się wypłakać.

Jak zwykle Roche odwrócił istotę problemu, prezentując go w sposób bardziej właściwy z politycznego punktu widzenia. Była to próba generalna tego, co ma powiedzieć prasie, aby złagodzić sprawę i poprawić swój wizerunek. Przede wszystkim żałoba, ból, żeby zyskać na czasie. A potem śledztwo i winni.

Goran wiedział jednak, że ten wybieg mu się nie uda, a dziennikarze będą się rzucali na każdy kęs, połykając żarłocznie całą historię i doprawiając ją najbardziej drastycznymi szczegółami. A przede wszystkim od tej chwili nic nie zostanie im wybaczone. Każdy ich ruch, każde słowo będzie miało wagę obietnicy, uroczystego zobowiązania. Roche był przekonany, że zdoła utrzymać dziennikarzy na dystans, za każdym razem rzucając im coś, co chcieliby usłyszeć. I Goran pozostawił szefowi złudzenie, że nad wszystkim panuje.

– Wydaje mi się, że będziemy musieli nadać temu typowi jakieś imię... Zanim zrobi to prasa – powiedział Roche.

Goran zgadzał się z tym, ale nie z tego samego powodu co inspektor. Jak wszyscy kryminolodzy, którzy pracowali dla policji, doktor Gavila miał własne sposoby. Po pierwsze, należy przypisać zbrodniarzowi jakieś cechy, aby nadać jego rozwodnionej i nieokreślonej sylwetce ludzki rys. Albowiem w obliczu tak okrutnego i bezinteresownego zła zawsze ma się skłonność do zapominania, że jego sprawca, podobnie jak ofiara, jest osobą, która często prowadzi

normalny żywot, ma pracę, a może nawet rodzinę. Na poparcie tej tezy doktor Gavila przypominał swoim studentom, że prawie za każdym razem, gdy aresztuje się seryjnego mordercę, jego sąsiedzi, domownicy i członkowie rodziny twardo lądują na ziemi.

„Określamy ich mianem potworów, ponieważ oceniamy ich jako ludzi nam dalekich, chcemy, żeby byli »inni«,” mówił na seminariach. „Tymczasem oni przypominają nas we wszystkim i pod każdym względem. Wolimy jednak wykluczyć myśl, że ktoś podobny do nas jest zdolny do takich rzeczy. Służy to po części rozgrzeszeniu naszej natury. Antropolodzy nazywają to odpersonalizowaniem przestępcy i często jest to główna przeszkoda na drodze do identyfikacji seryjnego mordercy. Ponieważ człowiek ma słabe punkty i może zostać schwytany. A potwór nie”.

Z tego powodu Goran zawsze wieszał na ścianie sali wykładowej czarno-białe zdjęcie dziecka, pucołowatego bobasa, bezbronne ludzkie małe. Jego studenci widywali je codziennie i w końcu przywiązywali się do tego obrazka. Gdy – mniej więcej w połowie semestru – ktoś zbierał się na odwagę, żeby zapytać, co to za dziecko, Goran rzucał im wyzwanie, żeby zgadli. Odpowiedzi były najróżniejsze i najbardziej fantastyczne. A jego bawiły ich miny, gdy wyjawiał im, że ten dzieciak to Adolf Hitler.

W okresie powojennym nazistowski przywódca stał się w zbiorowej wyobraźni potworem i przez całe lata narody, które wyszły z wojny jako zwycięzcy, sprzeciwiały się przedstawianiu innego jego obrazu. Dlatego nikt nie znał zdjęć Führera z okresu dzieciństwa. Potwór nie mógł być kiedyś dzieckiem, nie mógł żywić uczuć innych

niż nienawiść ani prowadzić życia podobnego do egzystencji swoich rówieśników, którzy później mieli stać się jego ofiarami.

„Wiele osób rozumie »humanizowanie« Hitlera jako »usprawiedliwianie« go”, wyjaśniał wówczas Goran. „Tymczasem społeczeństwo pragnie, aby skrajne zło nie znalazło wytłumaczenia ani zrozumienia. A tego rodzaju próba oznacza poszukiwanie jakiegoś usprawiedliwienia również dla niego”.

W camperze Boris zaproponował dla autora komentarza ręką imię Albert, na pamiątkę jednego z dawnych śledstw. Wszyscy z uśmiechem przyjęli jego pomysł. Podjęto decyzję.

Od tej chwili członkowie ekipy używali tego imienia i z każdym dniem Albert zyskiwał coraz wyraźniejszą fizjonomię. Nos, oczy, twarz, własne życie. Każde z nich widziało go po swojemu i już nikt nie traktował go jako umykającego cienia.

– A więc Albert? – pod koniec zebrania Roche jeszcze raz zastanowił się nad medialną wartością tego imienia. Obracał je na języku, jakby próbował ocenić jego smak. Może się nada.

Było jednak coś innego, co dręczyło inspektora. Zwrócił się do Gorana:

– Jeśli chcesz znać prawdę, to zgadzam się z Borisem. Chryste Panie! Nie mogę zmuszać moich ludzi do odgrzebywania trupów, podczas gdy ten psychopatyczny szaleniec robi z nas idiotów!

Goran wiedział, że gdy Roche mówi o „swoich” ludziach, w istocie ma na myśli siebie. To on boi się, że nie będzie mógł się pochwalić żadnym sukcesem. I to on obawia się, że ktoś mógłby wytknąć policji nieskuteczność, gdyby nie udało się zatrzymać winnego.

Poza tym jest jeszcze sprawa szóstej ręki.

– Pomyślałem, żeby nie podawać na razie informacji o istnieniu szóstej ofiary.

Goran był skonsternowany.

– W takim razie jak mamy się dowiedzieć, kto to jest?

– Nie przejmuj się, pomyślałem o wszystkim...

\* \* \*

Mila Vasquez rozwiązała w swojej karierze osiemdziesiąt dziewięć przypadków zaginięć. Dostała trzy medale i szereg pochwał. Była uznawana za specjalistkę w tej dziedzinie i często wzywano ją jako konsultantkę, także za granicę.

Operacja, podczas której uwolniła jednocześnie Pabla i Elizę, została uznana za ogromny sukces. Mila tego nie skomentowała, lecz dręczył ją niepokój. Chciałaby przyznać się do wszystkich swoich błędów: że weszła do brązowego domku, nie czekając na posiłki, że nie doceniła warunków i pułapek, że narażała siebie i dwoje uwięzionych, dopuszczając, by podejrzany ją rozbroił i przyłożył jej do karku lufę pistoletu. Aż wreszcie, że nie zapobiegła samobójstwu nauczyciela muzyki.

Ale tego wszystkiego zwierzchnicy nie zauważyli. Położyli nacisk na jej zasługi, a zarazem unieśmiertelnili się na rytualnych zdjęciach dla prasy.

Mila nigdy nie brała udziału w tych efektownych konferencjach prasowych. Oficjalnym powodem było to, że wolała zachować anonimowość ze względu na przyszłe śledztwa. Ale tak naprawdę nienawidziła pozowania do zdjęć. Nie znosiła nawet własnego odbicia w lustrze. Nie dlatego, że nie była ładna, wręcz przeciwnie. Miała trzydzieści dwa lata, ale długie godziny w sali gimnastycznej pozbawiły ją wszelkich śladów kobiecości. Wszystkich tych miękkich krzywizn i zaokrągleń. Jakby jej płeć była czymś, co należy przezwyciężyć. Ale choć często wkładała męskie ubrania, nie nabrała męskich cech. Po prostu nie było w niej nic, co kazałoby myśleć o jej przynależności płciowej. I tak właśnie chciała wyglądać. Jej stroje były bezpłciowe: niezbyt obcisłe dzinsy, zdarte tenisówki, skórzana kurtka. To tylko ubrania, i koniec. Miały ją okryć i osłonić przed zimnem. Nie traciła czasu na ich dobieranie, po prostu je kupowała. Nawet po kilka jednakowych sztuk. To było dla niej bez znaczenia. Chciała wyglądać właśnie tak.

Niewidoczna wśród niewidocznych ludzi.

Być może także dlatego z powodzeniem dzieliła wydziałową przebieralnię z policjantami płci męskiej.

Od dziesięciu minut wpatrywała się w swoją otwartą szafkę, przebiegając w myślach wszystkie wydarzenia tego dnia. Jest coś, co powinna była zrobić, ale w tej chwili błędziła myślami gdzie indziej. A potem przeszywające ukłucie w udzie przywróciło ją do rzeczywistości. Rana się otworzyła, a ona bezskutecznie próbowała zatamować krew podpaską i plastrem. Skóra wokół rozcięcia była zbyt napięta i nie zdołała zszyć rany igłą i nitką. Być może tym razem



powinna poradzić się lekarza, ale nie miała ochoty iść do szpitala. Za dużo pytań.

Postanowiła założyć ciaśniejszy bandaż, mając nadzieję, że krwotok ustanie, a potem jeszcze raz spróbować zszyć ranę. W każdym razie powinna wziąć antybiotyk, żeby uniknąć zakażenia. Załatwi sobie fałszywą receptę od pewnego typka, który od czasu do czasu informuje ją o nowo przybyłych bezdomnych na dworcu kolejowym...

Dworce.

To dziwne, pomyślała. Podczas gdy dla całej reszty świata są tylko miejscem, przez które się przechodzi, dla niektórych stanowią koniec drogi. Zatrzymują się tam i już nigdy nie odchodzą. Dworce są czymś w rodzaju przedpiekla, gdzie gromadzą się zagubione dusze w oczekiwaniu, że ktoś przyjdzie, żeby je stamtąd zabrać.

Każdego dnia znika średnio od dwudziestu do dwudziestu pięciu osób. Mila dobrze znała statystyki. Nagle te osoby przestają dawać znaki życia. Znikają bez uprzedzenia, bez bagażu. Jakby rozplynęły się w nicości.

Mila wiedziała, że w większej części są to ludzie wykolejeni, żyjący z narkotyków, doraźnych prac, gotowi splamić się jakimś przestępstwem, osobnicy, którzy bezustannie trafiają za kratki i wychodzą na wolność. Ale są też tacy – choć stanowią dziwną mniejszość – którzy w pewnym momencie życia postanowili zniknąć na zawsze. Na przykład matka, która poszła do supermarketu po zakupy i nie wróciła do domu, albo syn czy brat, którzy wsiedli do pociągu, aby nigdy nie dotrzeć do celu.

Mila uważała, że każdy podąża jakąś drogą. Jakąś drogą, która prowadzi do domu, do najbliższych osób, do tego, do czego jesteśmy najbardziej przywiązani. Zazwyczaj nią chadzamy, uczymy się jej od dziecka i każdy trzyma się jej przez całe życie. Ale zdarza się, że ta droga znika. Czasami zaczyna się od nowa w innym miejscu. Albo, po zatoczeniu koła, wraca do miejsca, w którym się skończyła. Lub też pozostaje jakby w zawieszeniu.

Jednak czasami ginie w mroku.

Mila wiedziała, że więcej niż połowa zaginionych wraca i opowiada jakąś historyjkę. Inni nie mają nic do opowiedzenia i podejmują tę samą egzystencję co przedtem. Jeszcze innym nie dopisuje szczęście, zostaje po nich tylko nieme ciało. Są i tacy, o których nigdy nie będzie żadnych wiadomości.

Wśród nich zawsze pojawia się jakieś dziecko.

Są rodzice, którzy oddaliby życie za wyjaśnienie, jak to się stało.

Gdzie popełnili błąd. Jakie roztargnienie dało początek tej tragedii rozgrywającej się w ciszy. Co się stało z ich pociechą. Kto ją zabrał i dlaczego. Są tacy, którzy pytają Boga, za jaki grzech zostali ukarani. I zadręczają się przez resztę swoich dni, szukając odpowiedzi, albo umierają, próbując odpowiedzieć na pytania. „Powiedzcie mi przynajmniej, czy umarło”, proszą. Niektórzy nawet sobie tego życzą, ponieważ chcą tylko płakać. Jedyńm ich pragnieniem nie jest znalezienie pocieszenia, ale utrata nadziei. Ponieważ nadzieja zabija wolniej.

Mila nie wierzyła jednak w teorię „wyzwalającej prawdy”. Doświadczyła tego na własnej skórze za pierwszym razem, gdy

odnalazła zaginionego. Powtórzyło się to w tamto popołudnie, gdy odprowadziła do domu Pabla i Elizę.

Powrót chłopca wywołał wesołe okrzyki w dzielnicy, radosne trąbienie i korowody aut.

W przypadku Elizy tego nie było, minęło za dużo czasu.

Po jej uratowaniu Mila zaprowadziła ją do specjalnego ośrodka, gdzie zajęli się nią ludzie z opieki społecznej. Nakarmili i dali czyste ubranie. Ciekawe, dlaczego zawsze się okazuje, że te ubrania są o jeden albo dwa rozmiary za duże, zastanawiała się Mila. Być może dlatego, że osoby, dla których są przeznaczone, zmarniały w ciągu tych lat zapomnienia i odnajdywano je na krótko przed całkowitym zaniknięciem.

Przez cały ten czas Eliza milczała. Pozwoliła zająć się sobą, godząc się na wszystko, co z nią robiono. Potem Mila powiedziała jej, że odwiezie ją do domu. Także wtedy nie powiedziała ani słowa.

Wpatrując się w swoją szafkę, młoda policjantka nie mogła nie przypomnieć sobie twarzy rodziców Elizy Gomes, gdy stanęła z nią w drzwiach ich mieszkania. Byli na to nieprzygotowani i nawet trochę zakłopotani. Być może myśleli, że ktoś przyprowadzi im dziesięcioletnią dziewczynkę, a nie tę wyrosniętą pannę, z którą nic ich już nie łączy.

Eliza była inteligentnym i bardzo wczesnie rozwiniętym dzieckiem. Szybko nauczyła się mówić. Pierwszym słowem, jakie wypowiedziała, było „May”, imię jej pluszowego misia. Jej matka zapamiętała jednak także jej ostatnie słowo: „jutro”, kończące zdanie: „Zobaczymy się jutro”, które wypowiedziała na progu domu, zanim

poszła spać do przyjaciółki. Ale ten dzień nigdy nie nadszedł. „Jutro” Elizy Gomes jeszcze nie nadeszło. Za to jej „wczoraj” było bardzo długim dniem, który nie chciał się skończyć.

Podczas tego przedłużonego dnia w oczach rodziców Eliza kontynuowała żywot dziesięcioletniego dziecka, z pokoikiem pełnym lalek i prezentów gwiazdkowych, które gromadziły się koło kominka. Pozostała taka, jaką ją zapamiętano. Uwieczniona na urojonej „fotografii”, jaką zachowali w pamięci, niczym mieszkanka krainy czarów.

I chociaż Mila ją odnalazła, oni nadal czekali na dziecko, które utracili. Nie odzyskali spokoju.

Po uścisku przyprawionym łzami i przesadnym wzruszeniu pani Gomes zaprosiła je do domu i zaproponowała herbatę i biszkopty.

Zachowywała się wobec córki tak, jak gospodyni zachowuje się wobec gościa. Być może z ukrytą nadzieją, że sobie pójdzie, zostawiając ją i jej męża z wygodnym poczuciem poniesionej straty.

Mila zawsze porównywała tego rodzaju smutek do starych szaf, których chciałoby się pozbyć, ale które koniec końców pozostają na swoim miejscu i po jakimś czasie zaczynają wydzielać typowy zapach, którym nasycy się cały pokój. Z czasem przyzwyczajamy się do niego i w końcu sami stajemy się częścią tego zapachu.

Eliza wróciła i jej rodzice powinni byli porzucić żalobę i odwdzięczyć się za całe to współczucie, jakie okazywano im w minionych latach. Nie powinni już mieć powodu, żeby odczuwać smutek. Skąd mają wziąć odwagę, by opowiadać reszcie świata o

nowym nieszczęściu biorącym się stąd, że po ich mieszkaniu kręci się obca osoba?

Po godzinie wymiany grzeczności Mila zaczęła się zęgnąć i wydało jej się, że dostrzega w spojrzeniu matki Elizy wołanie o pomoc. „I co ja teraz zrobię?”, pytała milcząco ta kobieta, przerażona, że musi uporać się z nową rzeczywistością.

Także Mila musiała uporać się z pewną prawdą: że Eliza Gomes została odnaleziona przez czysty przypadek. Gdyby jej porywacz po upływie tych lat nie poczuł potrzeby poszerzenia „rodziny”, biorąc także Pablita, nikt nigdy nie dowiedziałby się, jak potoczyły się sprawy. A Eliza pozostałaby zamknięta w świecie stworzonym tylko dla niej i dla zaspokojenia obsesji jej strażnika. Najpierw jako córka, potem jako wierna żona.

Mila zamknęła szafkę.

Zapomnij, zapomnij – powiedziała sobie w duchu. – To jedyne lekarstwo.

Wydział pustoszał i chciała wrócić do domu. Zamierzała wziąć prysznic, otworzyć butelkę porto i przypiec na gazie kasztany. A potem usiąść i długo przyglądać się drzewu przez okno saloniku. A może, przy odrobinie szczęścia, prędko zaśnie na kanapie?

Gdy jednak była już gotowa, żeby nagrodzić się samotnym wieczorem, w drzwiach szatni stanął jeden z kolegów.

Sierżant Morexu chce się z nią widzieć.

\* \* \*

W ten lutowy wieczór ulice pokrywała błyszcząca warstwa wilgoci. Goran wysiadł z taksówki. Nie miał samochodu, nie miał prawa jazdy, niech inni wożą go tam, dokąd chce pojechać. Nie chodzi o to, że nie próbował prowadzić samochodu, nawet nieźle mu szło. Jednak ktoś, kto ma zanurzać się w głębinach własnych myśli, nie powinien siadać za kierownicą. No i Goran z tego zrezygnował.

Zapłacił kierowcy i gdy tylko postawił na chodniku stopy w butach numer czterdzieści cztery, wyjął z kieszeni marynarki trzeciego papierosa tego dnia. Zapalił go, zaciągnął się dwa razy, i wyrzucił. Był to jego stały zwyczaj, odkąd postanowił rzucić palenie. Rodzaj kompromisu z samym sobą, aby oszukać głód nikotyny.

Stojąc nieruchomo, zobaczył swoje odbicie w szybie wystawowej.

Przyglądał się sobie przez chwilę. Zaniedbana broda okalająca jego coraz bardziej zmęczoną twarz. Okulary i potargane włosy. Miał świadomość, że nie dba o siebie. Ale osoba, która zwykle się nim zajmowała, jakiś czas temu zrezygnowała z tej roli.

Charakterystyczną cechą Gorana, jak mówili wszyscy, było to, że popadał w długie i tajemnicze zamyślenia.

I oczy, bardzo duże i uważne.

Była prawie pora kolacji. Zaczął powoli wchodzić po schodach.

Wszedł do mieszkania i zaczął nasłuchiwać. Po kilku sekundach, gdy przyzwyczał się do tej nowej ciszy, rozpoznał znajomy, miły głos Tommy'ego, który bawił się w swoim pokoju. Poszedł tam, ale zatrzymał się przy drzwiach, żeby na niego popatrzeć, nie mając odwagi mu przerywać.

Dziewięcioletni Tommy był beztroskim chłopcem. Miał kasztanowe włosy i lubił czerwony kolor, koszykówkę i lody, także zimą. Jego serdecznym przyjacielem był Bastian, z którym urządzał fantastyczne „safari” w szkolnym ogrodzie. Obaj byli skautami i tego lata mieli razem pojechać na obóz. Ostatnio nie rozmawiali o niczym innym.

Tommy był bardzo podobny do matki, ale od ojca przejął jedno: bardzo duże i uważne oczy.

Gdy uświadomił sobie obecność Gorana, odwrócił się i uśmiechnął.

- Już późno – powiedział z przyganą.
- Wiem. Przepraszam. Pani Runa dawno poszła?
- Przyszła zabrać syna pół godziny temu.

Goran się zdenerwował: Pani Runa już od kilku lat jest opiekunką Tommy’ego i dlatego powinna wiedzieć, że Goran bardzo nie lubi, gdy Tommy zostaje bez opieki. Była to jedna z tych drobnych niedogodności, które czasami prawie uniemożliwiały dalsze życie. Goran nie był w stanie rozwiązywać wszystkich problemów samotnie. Zupełnie jakby jedyna osoba, która miała tę tajemniczą władzę, zapomniała przed odejściem zostawić mu podręcznik z magicznymi formułkami.

Powinien wyjaśnić te sprawy z panią Runą i okazać jej nawet trochę więcej stanowczości. Powie, żeby zawsze zostawała wieczorem aż do jego powrotu. Tommy jakby wyczuł, o czym ojciec myśli i spochmurniał. Dlatego Goran spróbował natychmiast zająć go czymś innym:

- Jesteś głodny? – zapytał.
  - Zjadłem jabłko, trochę krakersów i wypilem szklanę wody.
- Goran pokręcił z rozbawieniem głową.
- Niewiele, jak na kolację.
  - To był mój podwieczorek. Ale teraz chciałbym coś innego...
  - Spaghetti?

Tommy przyjął tę propozycję z radością. Goran pogłaskał go po głowie.

Razem ugotowali makaron i nakryli do stołu, niczym małżeństwo, w którym oboje małżonkowie mają swoje zadania i wykonują je na czas, nie pytając o nic partnera. Tommy szybko się uczył i Goran był z niego dumny.

Ostatnie miesiące nie były dla nich łatwe.

Ich życie o mało się nie rozpadło. A on starał się utrzymać istniejący stan rzeczy i wszystko cierpliwie posklejać. Troską o porządek wynagradzał godziny swojej nieobecności. Regularne posiłki, precyzyjny rozkład dnia, stałe przyzwyczajenia. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Wszystko biegło ustalonym trybem i zaspokajało potrzeby Tommy'ego.

W końcu nauczyli się razem, jeden od drugiego, funkcjonować w tej pustce, nie odwracając się od rzeczywistości. Przeciwnie, gdy któryś z nich miał ochotę o niej mówić, mówił.

Nigdy jednak nie nazywali tej pustki po imieniu. Ponieważ to imię znikło z ich słownika. Używali innych sposobów, innych określeń. To było dziwne. Człowiek troszczący się o nadanie imienia każdemu



seryjnemu mordercy, z którym ma do czynienia, nie wiedział, jak nazwać kobietę, kiedyś żonę, i pozwolił synowi „odpersonalizować” matkę. Prawie tak, jakby była bohaterką bajek, które czytywał mu co wieczór.

Tommy był jedynym, co wiązało go ze światem. Gdyby nie on, w jednej chwili ześliznąłby się w otchłań, którą badał codziennie poza domem.

Po kolacji Goran zaszył się w gabinecie. Tommy poszedł za nim.

Robili tak każdego wieczoru. On siadał na starym skrzypiącym fotelu, a jego syn kładł się na brzuchu na dywanie, i rozmawiali.

Goran przyjrzał się swojej bibliotece. Książki z dziedziny kryminologii, antropologii kryminalnej i medycyny sądowej ładnie wyglądały na regałach. Niektóre miały ozdobne okładki i tłoczone złocenia.

Inne były bardziej zwyczajne, oprawione byle jak. W nich kryły się odpowiedzi. Ale trudność – jak mówił zawsze swoim studentom – polega na formułowaniu pytań. Te książki pełne są przerażających zdjęć. Poranionych ciał, okaleczonych, skatowanych, zwęglonych, porąbanych na kawałki. Wszystko skrupulatnie wtopione w stronicie opatrzone precyzyjnymi objaśnieniami. Ludzkie życie sprowadzone do chłodnego przedmiotu badań.

Z tego powodu do niedawna Goran nie pozwalał Tommy’emu wchodzić do tego pokoju, który był czymś w rodzaju sanktuarium. Bał się, że chłopiec będzie chciał zaspokoić ciekawość i, otworzywszy którąś z książek, odkryje, jak okrutne może być życie. Jednak pewnego razu Tommy naruszył zakaz. Goran znalazł go

rozciągniętego na podłodze, tak jak teraz, gdy zabierał się do przejrzenia jednego z tych tomów. Goran pamiętał, że zatrzymał się na zdjęciu młodej kobiety wyłowionej zimą z rzeki. Była naga, sina i miała nieruchome oczy.

Jednak Tommy nie wydawał się zbytnio tym zaniepokojony i zamiast go skrzyknąć, Goran usiadł po turecku obok niego.

– Wiesz, co to jest?

Tommy obojętnie odczekał dłuższą chwilę, a potem odpowiedział, opisując dokładnie to, co zobaczył: szczupłe ręce, włosy, w których zebrała się piana, zagubione spojrzenie. Wreszcie zaczął fantazjować o tym, co ta kobieta robiła, żeby zarobić na życie, o jej kolegach i miejscu zamieszkania. Goran zorientował się wtedy, że Tommy dostrzega na tym zdjęciu wszystko oprócz jednego: śmierci.

Dzieci nie dostrzegają śmierci, ponieważ ich życie trwa jeden dzień, od chwili przebudzenia się do pójścia spać.

Goran zrozumiał, że choćby nie wiadomo jak się wysiłał, nigdy nie zdoła uchronić swego syna przed złem świata. Tak jak po latach nie mógł obronić go przed tym, co zrobiła mu matka.

\* \* \*

Sierżant Morexu nie był podobny do innych zwierzchników Mili.

W ogóle nie zależało mu na sławie ani na zdjęciach w gazetach. Policjantka spodziewała się więc reprimendy za sposób przeprowadzenia operacji w domu nauczyciela muzyki.

Morexu szybko zmieniał nastrój. Nie umiał powstrzymać emocji dłużej niż kilka sekund. W jednej chwili był poirytowany i kłótlivy, a zaraz potem uśmiechnięty i niewiarygodnie uprzejmy. Poza tym, aby nie tracić czasu, wykonywał dwa gesty naraz. Na przykład, jeśli chciał kogoś pocieszyć, trzymał jedną rękę na jego ramieniu, a jednocześnie odprowadzał go do drzwi. Albo telefonował i drapał się słuchawką po skroni.

Ale tym razem mu się nie spieszyło.

Nie poprosił Mili, żeby usiadła. Wpatrywał się w nią, wyciągnąwszy nogi pod stołem i założywszy ręce za głowę.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się dziś wydarzyło...

– Wiem, popełniłam błąd – odparła Milla, uprzedzając jego słowa.

– Ale za to uratowałaś troje. Te słowa ją sparaliżowały.

– Troje?

Morexu podciągnął się na fotelu i spojrzał na kartkę, którą miał przed sobą.

– W domu nauczyciela muzyki znaleziono notatkę. Zdaje się, że zamierzał porwać jeszcze jedną...

Podsunał Mili kserokopię stron kalendarza. Pod datą widniało imię.

– Priscilla?

– Priscilla – powtórzył Morexu.

– Ale kto to jest?

– Dziewczynka, która miała szczęście.

Nie dodał ani słowa więcej. Ponieważ niczego poza tym nie wiedział. Nie było nazwiska, adresu, zdjęcia. Nic. Tylko imię. Priscilla.

– Dlatego przestań się zamartwiać – podjął Morexu i zanim Mila zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Widziałem cię dziś na konferencji prasowej, wyglądało na to, że masz wszystko w nosie.

– Bo tak jest.

– Do diabła, Vasquez! Zdajesz sobie sprawę, jak wdzięczne powinny ci być osoby, które uratowałaś? Że nie wspomnę o ich rodzinach!

„Ale pan nie widział miny matki Elizy Gomes”, chciała odpowiedzieć Mila, ale ograniczyła się do przytaknięcia. Morexu patrzył na nią, kręcąc głową.

– Odkąd tu jesteś, nie słyszałem żadnej skargi na ciebie.

– To dobrze czy źle?

– Jeżeli tego nie rozumiesz, to masz problem, dziewczyno... Dlatego pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jeśli popracujesz trochę w zespole.

Ale Mila była innego zdania.

– Dlaczego? Wykonuję mój zawód, i tylko to mnie interesuje. Jestem przyzwyczajona do dawania sobie rady, pracując w ten sposób.

Musiałabym dostosować moje metody do metod kogoś innego. Jak mam wyjaśnić, że...

- Idź spakować walizki – przerwał jej Morexu.
  - Dlaczego taki pośpiech?
  - Wyjeżdżasz dziś wieczorem.
  - Czy ma to być rodzaj kary?
  - To nie jest kara ani nawet urlop. Potrzebna jest konsultacja specjalistki. A ty jesteś bardzo znana.
  - O co chodzi? – zapytała policjantka z poważną miną.
  - O historię z pięcioma uprowadzonymi dziewczynkami.
- Mila słyszała o tej sprawie w dzienniku telewizyjnym.
- Dlaczego ja?
  - Ponieważ jest chyba szósta, ale nie wiedzą jeszcze, kto to może być...

Mila chętnie poznałaby więcej szczegółów, ale Morexu najwyraźniej postanowił zakończyć rozmowę. Znów zaczęło mu się spieszyć, ograniczył się więc do wręczenia jej kartonowej teczki, którą jednocześnie wskazywał drzwi.

- W środku jest też bilet na pociąg.

Mila wzięła teczkę i skierowała się do drzwi. Ale przed opuszczeniem pokoju odwróciła się w progu.

- Priscilla, tak? – spytała.
- Może...

## 4.

*The Piper at the Gates of Dawn* z roku 1967. *A Saucerful of Secrets* z 1968. Płyta *Ummagumma* była z 1969, jak i ścieżka dźwiękowa do filmu *More*. W 1971 ukazała się *Meddle*. Ale wcześniej była jeszcze jedna... Był pewny, że w 1970. Nie mógł sobie przypomnieć tytułu. Pamiętał za to okładkę. Tę z krową. Cholera, jak to się nazywało?

Muszę wziąć benzynę, pomyślał.

Wskazówka była już na samym dole, a kontrolka przestała migać i zaczęła palić się stałym czerwonym światłem.

Ale on nie chciał się zatrzymywać.

Prowadził już od dobrych pięciu godzin i przejechał prawie sześćset kilometrów. Choć oddalił się na tak dużą odległość od tego, co wydarzyło się tej nocy, nie czuł się lepiej. Trzymał sztywne ręce na kierownicy, bolały go napięte mięśnie szyi.

Obejrzał się.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym...

Zajmował umysł, wydobywając z zakamarków pamięci znane, podnoszące na duchu sprawy. W ciągu ostatnich dziesięciu minut skupił się na całej dyskografii zespołu Pink Floyd, ale podczas ostatnich czterech godzin były to tytuły jego ulubionych filmów, hokeiści drużyny, której kibicował w ostatnich trzech sezonach,

imiona starych kumpli ze szkoły, a także nauczycieli. Przypomniawszy sobie nawet panią Berger. Ciekawe, co teraz robi? Z przyjemnością by ją zobaczył.

Wszystko, byle tylko oddalić tę myśl. A teraz jego uwaga skupiła się na tym pieprzonym albumie z krową na okładce!

I myśl wróciła.

Musi ją odpędzić. Posłać z powrotem do zakątka w głowie, w którym udało mu się ją umieścić już kilka razy tej nocy. Bo inaczej zaczynał się pocić i co jakiś czas wybuchał płaczem, rozpaczając nad swoim położeniem, choć nie na długo. Strach wracał i ścisnął mu żołądek. Ale on zmuszał się, żeby zachować jasny umysł.

*Atom Heart Mother!*

Taki jest tytuł tej płyty. Przez chwilę poczuł się szczęśliwy. Ale było to uczucie przelotne. W położeniu, w jakim się znalazł, miał bardzo niewiele powodów do szczęścia.

Odwrócił się jeszcze raz, żeby spojrzeć za siebie.

Muszę wziąć benzynę – pomyślał znowu.

Co jakiś czas z dywanika pod siedzeniem dochodził kwaśny zapach amoniaku, który przypominał mu, że zlał się pod siebie, nie przerywając jazdy. Zaczynały go boleć mięśnie nóg i zdrewniała mu jedna łydka.

Burza, która szalała nad autostradą prawie przez całą noc, oddalała się na drugą stronę gór. Widział nad horyzontem zielonkawe błyskawice, podczas gdy spiker w radiu odczytywał po raz nie wiadomo który prognozę pogody. Niedługo powinien nadejść

świt. Godzinę temu zjechał z autostrady przez jedną z bramek i teraz podążał drogą publiczną. Nie zatrzymał się, żeby zapłacić za przejazd. W tej chwili myślał tylko o tym, żeby przeć do przodu, coraz dalej.

Trzymając się instrukcji, jakie otrzymał.

Przez kilka minut pozwolił umysłowi błądzić swobodnie, ale on nieuchronnie wracał do przeżyć tej nocy.

Dzień wcześniej, około jedenastej, dojechał samochodem do hotelu Modigliani. Przez całe popołudnie kręcił się po mieście jako przedstawiciel handlowy, a wieczorem, zgodnie z planem, zjadł kolację z kilkoma klientami w hotelowym bistro. Po dwudziestej drugiej wrócił do pokoju.

Zamknął drzwi i zaczął od poluzowania krawata przed lustrem. W tym momencie w swoim odbiciu, a także w spoconej twarzy i nabiegłych krwią oczach ujrzał prawdziwe oblicze obsesji. Tak wygląda, gdy bierze w nim górę pożądanie.

Przyglądając się sobie, zastanawiał się zdumiony, w jaki sposób przez cały wieczór zdołał tak dobrze ukryć przed współbiesiadnikami naturę swoich myśli. Gawędził z nimi, przysłuchiwał się banalnym rozmowom o golfie i zbyt wymagających żonach, śmiał się z nudnych pikantnych dowcipów. Ale myślami był gdzie indziej. Przeżywał przedsmak chwili, kiedy to wróciwszy do hotelowego pokoju i poluzowawszy krawat, uwolni tę cierpką pigułkę, która blokuje mu gardło, aby wydostała się i wybuchła na twarzy pod postacią potu, przyspieszonego oddechu i podstępnego spojrzenia.

Prawdziwa twarz uwolniona spod maski.



W pokoju mógł wreszcie dać ujście pragnieniu, które gniotło go w piersi i w spodniach, napełniając strachem, że wybuchnie. Ale tak się nie stało. Udało mu się nad sobą zapanować.

Ponieważ niebawem miał wyjść.

Jak zawsze przyrzekł sobie, że to będzie ostatni raz. Jak zawsze przyrzeczenie miało zostać powtórzone przed i po. I jak zawsze zostałyby złamane i wypowiedziane następnym razem.

Wyszedł z hotelu około północy, bardzo podniecony. Zaczął się kręcić bez celu, bo przyjechał za wcześnie. Tego popołudnia, między dwoma sprawami do załatwienia, przeprowadził inspekcję miejsca, żeby się upewnić, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i nie napotka przeszkód. Przygotowywał się do tego od dwóch miesięcy, starannie zabiegał o względy swojego „motylka”. Oczekiwanie było sprawiedliwą zaliczką na poczet przyszłych rozkoszy. Delektował się nimi.

Zadbał o szczegóły, ponieważ to one zawsze zdradzały innych. Jemu nie może się to przydarzyć. Nigdy mu się nie zdarzyło. Chociaż teraz, po odnalezieniu zakopanych rąk, powinien zadbać o dodatkowe zabezpieczenia. Kręci się mnóstwo policjantów i wszyscy są czujni.

Ale on jest wystarczająco sprytny, aby ukryć się przed ich wzrokiem.

Nie ma się czego obawiać. Musi się tylko odprężyć. Niedługo powinien zobaczyć „motylka” w alei, w miejscu uzgodnionym wczoraj.

Zawsze bał się, że one mogą zmienić zamiary. Że zinterpretują coś nie tak, jak powinny. A wtedy jemu pozostanie smutek, ten dręczący smutek, na którego odegnanie potrzeba wielu dni. A co najgorsze, nie można go ukryć. Ale powtarzał sobie ciągle, że i tym razem wszystko pójdzie dobrze.

Motylek się zjawi.

Każe jej szybko wsiadać, zasypując zwykłymi komplementami.

Takimi, które nie tylko sprawiają przyjemność, ale usuwają wątpliwości wywołane strachem. Zawiezie ją w miejsce wybrane tego popołudnia, na pustą uliczkę, z której widać jezioro.

„Motylki” zawsze mają bardzo przenikliwy zapach: gumy do żucia, tenisówek... I potu. To mu się podobało. Ten zapach na dobre zadomowił się w jego aucie.

Czuł go także teraz, zmieszany z zapachem uryny. Znowu się rozpląkał. Ile rzeczy wydarzyło się od tamtej chwili. Przykry był ten przeskok od podniecenia i przyjemności do tego, co stało się potem.

Obejrzał się za siebie.

Muszę kupić benzynę.

Ale potem zapomniał o pustym baku i znowu zagłębił się we wspomnianiu tego, co się wydarzyło...

Siedział nieruchomo w aucie, czekając na „motylka”. Co jakiś czas między chmurami pokazywał się zamglony księżyc. Aby oszukać niepokój, powtarzał w myślach plan. Na początku będą rozmawiali.

On będzie jednak przede wszystkim słuchał. Wie, że „motylki” zawsze odczuwają potrzebę tego, czego nie znajdują gdzie indziej –

zainteresowania. Jest dobry w tej roli. W cierpliwym słuchaniu zwierzeń małej zdobyczy, która, otwierając przed nim serce, sama się osłabia.

Traci czujność i pozwala mu bez przeszkód brnąć dalej.

W pobliże zakątka kryjącego duszę.

Mówi im zawsze coś bardzo stosownego. Za każdym razem.

Przyjmuje rolę ich mistrza. Przyjemnie uświadomić tej czy innej, jakie są jej pragnienia. Wyjaśnić, czego naprawdę chce, pokazać, jak może to urzeczywistnić. To ważne. Stać się dla nich szkołą, terenem doświadczeń. Opowiedzieć o tym, co przyjemne.

Ale właśnie w chwili, gdy planował tę magiczną lekcję, która miała uchylić wszystkie furtki intymności, rzucił okiem we wsteczne lusterko.

I coś zobaczył.

Coś mniej cielesnego niż cień. Coś, czego się nie dostrzega, bo jest wytworem wyobraźni. I natychmiast pomyślał, że to miraż, złudzenie.

Aż do rąbnięcia pięścią w boczną szybę.

Usłyszał suchy trzask otwierających się drzwi. W szczelinę wsunęła się ręka i ścisnęła go za gardło. Żadnej możliwości zareagowania.

Do auta wdarł się strumień zimnego powietrza, a on zapamiętał tylko, że pomyślał: Zapomniałem wcisnąć blokadę drzwi. No tak, ale to z pewnością by nie wystarczyło, żeby zatrzymać napastnika.

Mężczyzna miał godną podziwu siłę i udało mu się wyciągnąć go z samochodu, chwytając tylko jedną ręką. Jego twarz zakrywała

kominiarka. Gdy go tak trzymał, on pomyślał o „motylku”: cenna zdobycz, którą zwabił z takim wysiłkiem, jest stracona.

A w tamtym momencie ofiarą był bez wątpienia on sam.

Napastnik rozluźnił chwyt na jego szyi i cisnął go na ziemię, po czym przestał się nim interesować i zawrócił do auta. No tak, poszedł po broń, żeby mnie wykończyć! I kierowany rozpaczliwym instynktem przetrwania zaczął się czołgać po mokrej i chłodnej ziemi, chociaż facetowi w kominiarce wystarczyłoby kilka kroków, żeby go dopaść i dokończyć to, co rozpoczął.

Ile głupich rzeczy robią ludzie, kiedy próbują uciec przed śmiercią, rozmyślał teraz, jadąc autem. Niektórzy na widok lufy pistoletu wyciągają rękę, czego jedynym rezultatem jest dziura w dłoni. Są też tacy, którzy uciekają przed pożarem, rzucając się z okien wysokich budynków... Wszyscy chcą uniknąć tego, co nieuniknione, i tylko się ośmieszają.

Nie uważał, że należy do tego rodzaju osób. Zawsze był pewny, że potrafi godnie stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. Przynajmniej do tej nocy, kiedy zaczął pełznąć jak robak, naiwnie błagając o ratunek. Z trudem pokonał zaledwie kilka metrów.

A potem stracił przytomność.

Świadomość przywróciły mu dwa uderzenia w twarz. Facet w kominiarce wrócił. Stał nad nim i wpatrywał się w niego zgasłymi, przyćmionymi oczami. Nie miał broni. Ruchem głowy wskazał auto i powiedział tylko: „Jedź, Alexandre, i nie zatrzymuj się”.

Mężczyzna w kominiarce znał jego imię.

Z początku wydało mu się to oczywiste. Potem, gdy się nad tym zastanowił, to właśnie przeraziło go najbardziej.

Odjechać. W tamtym momencie nie wierzył własnym uszom. Podniósł się z ziemi, chwiejnym krokiem dotarł do samochodu, starając się zrobić to jak najszybciej z obawy, że tamten może zmienić zamiar.

Natychmiast usiadł za kierownicą, wciąż mając zamglony wzrok.

Ręce trzęsły mu się tak, że z trudem uruchomił silnik. Gdy wreszcie to zrobił, zaczęła się długa noc na drodze. Znaleźć się jak najdalej od tamtego miejsca, możliwie jak najdalej...

Benzyna, pomyślał, próbując wrócić do rzeczywistości.

Bak jest prawie pusty. Zaczął się rozglądać za tablicami zapowiadającymi stację benzynową, zadając sobie pytanie, czy to także stanowi część zadania, jakie wyznaczono mu tej nocy.

Nie zatrzymywać się.

Do pierwszej w nocy jego myśli wypełniały dwa pytania. Dlaczego facet w kominiarce pozwolił mu odjechać? Co się wydarzyło, gdy leżał nieprzytomny?

Otrzymał odpowiedź, gdy mógł już względnie jasno myśleć, a do jego uszu zaczął dochodzić ten odgłos.

Odgłos ocierania się czegoś o karoserię, któremu towarzyszyły rytmiczne, metaliczne uderzenia, posępne i bezustanne tum, tum, tum.

Tak, zrobił coś przy samochodzie. Prędzej czy później któreś koło odpadnie od półoski, stracę panowanie nad kierownicą i rozbiję się!

Ale nic takiego nie nastąpiło. Bo nie był to hałas mechaniczny. Ale to zrozumiał później... Choć nie mógł pogodzić się z tą myślą.

W tym momencie ukazała się tablica: najbliższa stacja benzynowa znajduje się w odległości niecałych ośmiu kilometrów. Powinien do niej dojechać, ale będzie musiał się pospieszyć z tankowaniem.

Na tę myśl po raz kolejny obejrzał się za siebie.

Ale nie kierował uwagi na drogę, którą zostawiał za plecami, ani na samochody jadące za nim.

Nie, jego wzrok zatrzymywał się bliżej, dużo bliżej.

To, co go ściga, nie znajduje się tam, na drodze. Jest dużo bliżej. I jest źródłem tego hałasu. To coś, przed czym nie może uciec.

Ponieważ to coś znajduje się w bagażniku.

To na ten bagaż ciągle spoglądał, choć starał się nie myśleć, co może zawierać. Gdy jednak Alexander Bermann znowu spojrzął przed siebie, było już za późno. Stojący na poboczu policjant dawał mu znak, żeby się zatrzymał.

## 5.

Mila wysiadła z pociągu. Miała błyszczącą, nieumytą twarz i oczy opuchnięte po nieprzespanej nocy. Ruszyła krytym peronem. Kompleks dworcowy składał się ze wspaniałego budynku głównego, zbudowanego w XIX wieku, i z olbrzymiego centrum handlowego.

Wszędzie było czysto i panował porządek, mimo to po kilku minutach Mila знаła już wszystkie mroczne zakątki. Miejsca, do których by się udała, szukając zaginionych dzieci. Gdzie życie można kupić i sprzedać, uwić sobie gniazdo albo się ukryć.

Ale nie po to tu przyjechała.

Niebawem ktoś zabierze ją z tego miejsca. W kolejowym komisariacie policji czekało na nią dwóch kolegów. Przysadzista kobieta w wieku około czterdziestu lat o oliwkowej cerze, krótkich włosach i szerokich biodrach, zbyt obfitych jak na dzinsy, które miała na sobie.

Mężczyzna mógł mieć około trzydziestu ośmiu lat, był bardzo wysoki i potężnie zbudowany. Przypominał jej wiejskich dryblasów z okolic, w których się wychowała. W szkole chodziła z kilkoma z nich. Pamiętała ich niezdarne zaloty.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej, natomiast jego koleżanka ograniczyła się do uniesienia brwi i obrzucenia jej uważnym spojrzeniem.

Mila podeszła, żeby się przywitać. Sarah Rosa przedstawiła się tylko, wymieniając nazwisko i stopień, natomiast mężczyzna wyciągnął do niej rękę, mówiąc wyraźnie:

– Klaus Boris, agent specjalny. – Po czym zaproponował, że poniesie jej płócienną torbę.

– Dziękuję, nie trzeba, dam sobie radę – odparła Mila.

– Żaden kłopot – nalegał.

Ton głosu i uśmiech nieschodzący z jego twarzy powiedziały jej, że agent Boris jest kimś w rodzaju donżuana, przekonanego, że potrafi zauroczyć każdą kobietę, którą spotka. Mila była pewna, że już w chwili, gdy ją zobaczył, postanowił spróbować także z nią.

Boris zaproponował, żeby przed wyruszeniem napili się kawy, ale Sarah Rosa rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– Co jest? Co takiego powiedziałem? – próbował się bronić.

– Nie mamy czasu, zapomniałeś? – odparła zdecydowanie.

– Nasza koleżanka ma za sobą długą podróż, więc pomyślałem, że...

– Nie ma potrzeby – wtrąciła się Mila. – Dziękuję, nie jestem zmęczona.

Nie zamierzała przeciwstawić się Sarah, która mimo to chyba nie doceniła tej propozycji przymierza.

Podeszli do samochodu czekającego na parkingu. Boris usiadł za kierownicą, a Rosa obok niego. Mila usadowiła się z tyłu, obok swojej płóciennej torby. Włączyli się do ruchu, jadąc ulicą biegnącą wzdłuż rzeki.



Sarah Rosa wydawała się nieco znudzona tym, że musi eskortować nową koleżankę. Za to Borisowi nie sprawiało to przykrości.

– Dokąd jedziemy? – spytała nieśmiało Mila.

Boris rzucił jej spojrzenie we wstecznym lusterku.

– Do komendy. Szef wydziału, inspektor Roche, chce z tobą porozmawiać.

– Nigdy nie miałam do czynienia z seryjnym mordercą – uznała za stosowne powiedzieć Mila.

– Nie będziesz musiała nikogo ścigać – odparła kwaśno Rosa. – Tym zajmujemy się my. Twoim zadaniem jest ustalenie nazwiska szóstej dziewczynki. Mam nadzieję, że zdążyłaś zapoznać się z aktami...

Mila nie zwróciła uwagi na zarozumiały ton głosu koleżanki, ponieważ te słowa przypomniały jej noc, którą spędziła nad tą teczką.

Zdjęcia zakopanych rąk. Zwięzłe dane medyczno–prawne dotyczące wieku ofiar i kolejności, w jakiej umarły.

– Co się stało w tamtym lesie? – zapytała.

– To największe śledztwo ostatnich czasów! – wykrzyknął Boris, podniecony jak młody chłopak. – Nigdy nie widziano czegoś takiego.

Moim zdaniem kupa waźniaków będzie musiała się tłumaczyć. Dlatego Roche stara się trzymać karty przy orderach.

Prostacki żargon Borisa irytował Sarah, a prawdę mówiąc, także i Milę. Nie знаła jeszcze szefa, ale wiedziała już, że jego ludzie nie darzą go szacunkiem. Z pewnością Boris jest bardziej bezpośredni,

ale jeśli pozwala sobie na taką swobodę w obecności Rosy, świadczy to o tym, że ona się z nim zgadza, choć nie daje tego po sobie poznać.

Niedobrze, pomyślała Mila. Postanowiła, że niezależnie od uwag, jakie usłyszy, sama oceni Roche'a i jego metody śledcze.

Rosa powtórzyła pytanie i dopiero teraz Mila zorientowała się, że jest skierowane do niej.

– To twoja krew?

Sarah Rosa odwróciła się i wskazywała coś na podłodze. Mila spojrzała na swoje udo. Spodnie były poplamione krwią, rana musiała znowu się otworzyć. Przykryła ją dłonią i poczuła potrzebę usprawiedliwienia się:

– Upadłam podczas joggingu.

– No to zadbaj, żeby się zabił. Lepiej, żeby twoja krew nie zmieszała się z jakąś próbką dowodową.

Mila poczuła zakłopotanie, słysząc tę uwagę, także dlatego, że Boris wciąż przyglądał jej się we wstecznym lusterku. Miała nadzieję, że sprawa na tym się zakończy, ale Rosa postanowiła kontynuować swoją małą lekcję:

– Pewnego razu nowicjusz, który miał pilnować miejsca zbrodni na tle seksualnym, poszedł się odlać do łazienki ofiary. Przez sześć miesięcy ścigaliśmy ducha, uważając, że morderca zapomniał może spuścić wodę.

Boris roześmiał się na to wspomnienie, natomiast Mila próbowała zmienić temat:

– Dlaczego wezwaliście właśnie mnie? Nie wystarczyło rzucić okiem na zawiadomienia o zaginięciach z ostatniego miesiąca, żeby dotrzeć do tej dziewczynki?

– Nas o to nie pytaj... – odparła Rosa kłótliwie.

Brzydka sprawa, pomyślała Mila. To aż nazbyt oczywiste, że wezwano ją właśnie dlatego. Roche chce powierzyć poszukiwanie komuś spoza zespołu, kto nie jest zbyt z nim związany, żeby obarczyć go potem odpowiedzialnością, w razie gdyby szóste zwłoki pozostały bezimienne.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

– A rodziny tych pięciu? – chciała wiedzieć.

– Przychodzą na komendę, na badanie DNA.

Mila pomyślała o nieszczęsnych rodzicach, zmuszonych poddawać się badaniom, żeby mieć pewność, że ich pociechy zostały barbarzyńsko zamordowane i pokrojone na kawałki. Ich życie ma się szybko zmienić, i to na zawsze.

– A co wiadomo o tym potworze? – zapytała, starając się odpędzić te myśli.

– My nie nazywamy go potworem – zwrócił jej uwagę Boris. – W ten sposób odbiera mu się osobowość. – Mówiąc to, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Rosą. – Doktor Gavila tego nie lubi.

– Doktor Gavila?

– Poznasz go.

Mila poczuła się jeszcze bardziej skrępowana. To jasne, że jej niewielka wiedza o śledztwie stawia ją w niekorzystnym położeniu

względem kolegów, którzy z tego powodu mogą obrać ją sobie za przedmiot żartów. Ale i tym razem nie powiedziała nic na swoją obronę.

Natomiast Rosa nie miała zamiaru zostawić jej w spokoju i odezwała się pobłażliwym tonem:

– Widzisz, kochana, nie dziw się, że nie możesz pojąć, o co chodzi. Z pewnością dobrze wykonujesz swoją pracę, ale tu sprawy wyglądają inaczej, ponieważ seryjne zbrodnie rządzą się innymi prawami. I to odnosi się również do ofiar. Nie zrobiły nic, żeby nimi zostać.

Przeważnie ich jedyną winą było to, że znalazły się w nieodpowiedniej chwili w nieodpowiednim miejscu. Albo że włożyły coś w takim, a nie innym kolorze, wychodząc z domu. Lub też, jak w naszym przypadku, winne są tego, że są rasy białej i liczą od dziewięciu do trzynastu lat... Nie gniewaj się, ale nie możesz wiedzieć tych rzeczy. Nie bierz tego do siebie.

Jakby to była prawda, pomyślała Mila. Od pierwszej chwili Rosa robi z każdego tematu problem osobisty.

– Należę do ludzi, którzy szybko się uczą – odcięła się.

Rosa odwróciła się i obrzuciła ją surowym spojrzeniem.

– Masz dzieci?

Przez chwilę Mila była zdezorientowana.

– Nie. Dlaczego pytasz? Co to ma do rzeczy?

– Bo gdy odnajdziesz rodziców szóstej dziewczynki, będziesz musiała im wyjaśnić, dlaczego ich prześliczna córka została potraktowana w taki sposób. Ale nie będziesz nic o nich wiedziała, o

tym, jak się poświęcali, żeby mogła rosnąć i się uczyć, o nieprzespanych nocach, kiedy leżała w gorączce, o odkładaniu pieniędzy, żeby umożliwić jej studia i zapewnić przyszłość, o godzinach spędzonych z nią na zabawie albo odrabianiu lekcji. – W głosie Rosy słychać było coraz większą irytację. – Nie będziesz nawet wiedziała, dlaczego trzy z tych dziewczynek miały polakierowane paznokcie, skąd jedna z nich miała bliznę na kolanie, bo mając pięć lat, być może spadła z roweru, ani tego, że wszystkie były małe i śliczne i miały sny i marzenia tego niewinnego wieku, który został im na zawsze odebrany! Nie wiesz tych rzeczy, ponieważ nigdy nie byłaś matką.

– Hollie – rzuciła sucho Mila.

– Słucham? – Sarah Rosa popatrzyła na nią ostro, nie rozumiejąc.

– Lakier marki Hollie. Taki błyszczący, z proszku koralowego.

Ten gadżet rozprowadzano miesiąc temu razem z czasopismem dla nastolatków. Dlatego miały go aż trzy, bo cieszył się dużym powodzeniem... Poza tym jedna z ofiar nosiła bransoletkę szczęścia.

– Nie znaleźliśmy żadnej bransoletki – powiedział Boris, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

Mila wyjęła z teczki fotografię.

– Ta z numerem dwa, Anneke. Jej skóra w pobliżu nadgarstka jest jaśniejsza. Znak, że coś nosiła. Być może zabrał jej to morderca, może zgubiła po porwaniu albo podczas jakiejś szamotaniny. Wszystkie były praworęczne oprócz jednej, tej numer trzy: miała plamy z atramentu na palcu wskazującym, była mańkutom.

Boris był oczarowany, Rosa osłupiała. Mila przypominała wezbraną rzekę.

– Ostatnia sprawa: ta z numerem szóstym, której imię pozostaje nieznane, знаła tę, która zginęła jako pierwsza, czyli Debby.

– O kurwa, jak do tego doszłaś? – warknęła Rosa.

Mila wyjęła z teczki zdjęcia rąk numer jeden i sześć.

– U obu na opuszkach palców wskazujących znajduje się czerwona kropka... Są siostrami krwi.

\* \* \*

Wydział policji federalnej zajmujący się badaniem zachowań prowadził przede wszystkim śledztwa w sprawie bestialskich zbrodni. Od ośmiu lat na jego czele stał Roche, któremu udało się zrewolucjonizować styl i metody pracy. W istocie to on otworzył drzwi dla takich cywilów jak doktor Gavila, który z uwagi na swoje publikacje i badania został jednogłośnie uznany za najbardziej twórczego wśród aktywnych zawodowo kryminologów.

W zespole śledczym gromadzeniem informacji zajmował się agent Stern. Był najstarszy i miał najwyższy stopień. Jego zadaniem było zbieranie informacji, które później mogły zostać wykorzystane do tworzenia sylwetek i szukania analogii z innymi śledztwami. To on był „pamięcią” całej grupy.

Do zadań Sarah Rosy należały logistyka i ekspertyzy informatyczne. Większość czasu poświęcała na poznawanie nowych

technologii, przeszła też specjalne przeszkolenie w zakresie planowania operacji policyjnych.

Wreszcie Boris, specjalista od przesłuchań. Jego domeną było przesłuchiwanie osób zamieszanych w sprawę, a także sprawienie, by ewentualny winny się przyznał. Znał różne techniki pozwalające osiągnąć cel. I zazwyczaj do tego doprowadzał.

Roche rozdzielał zadania, ale nie kierował bezpośrednio zespołem – o sposobie prowadzenia śledztwa decydowały przecucia Gavili.

Inspektor i szef był przede wszystkim politykiem i często dokonywał wyborów w zależności od tego, jaki miały wpływ na jego karierę.

Lubił występować publicznie i przypisywać sobie zasługi w śledztwach, które szły dobrze. Natomiast w przypadku tych, które nie dawały wyniku, obarczał odpowiedzialnością całą grupę lub, jak lubił ją określać, „drużynę Roche’a”. Z tego powodu podwładni czuli do niego niechęć, a często nawet pogardę.

W sali posiedzeń na piątym piętrze budynku stojącego w centrum miasta, który był siedzibą wydziału, zebrali się wszyscy.

Mila zajęła miejsce w ostatnim rzędzie. W łazience założyła na ranę nowy opatrunek, mocując go dwiema warstwami przylepca, po czym włożyła czyste dżinsy.

Postawiła torbę na podłodze i usiadła. W bardzo szczupłym mężczyźnie natychmiast rozpoznała szefa, inspektora Roche’a. Prowadził ożywioną rozmowę z jakimś skromnym mężczyzną, który roztaczał dziwną aurę, jakby szare światło. Mila była pewna, że poza tym pomieszczeniem, w rzeczywistym świecie, człowiek ten stałby się

niewidoczny jak duch. Tu jednak jego obecność była uzasadniona. To z pewnością doktor Gavila, o którym mówili jej w samochodzie Boris i Rosa.

Ten człowiek miał w sobie coś, co kazało natychmiast zapomnieć o jego wygniecionym ubraniu i potarganych włosach.

Były to jego oczy, ogromne i uważne.

Rozmawiając z Roche'em, nagle przeniósł spojrzenie na nią. Mila poczuła skrępowanie i odwróciła wzrok, a on po chwili zrobił to samo, po czym usiadł niedaleko niej. Od tego momentu w ogóle nie zwracał na nią uwagi, a po kilku minutach rozpoczęło się zebranie.

Roche wszedł na podwyższenie i zabrał głos, wykonując przy tym uroczysty ruch ręką, jakby przemawiał do wielkiego audytorium, a nie do pięciu osób.

– Właśnie otrzymałem informacje z laboratorium – nasz Albert nie zostawił żadnych śladów. Okazał się naprawdę sprytny. Żadnego śladu, żadnego odcisku na tym małym cmentarzu rąk. Zostawił nam tylko sześć dziewczynek do odnalezienia. Sześć ciał... I jedno imię.

Następnie inspektor oddał głos Goranowi, który jednak nie stanął obok niego na podwyższeniu. Został na swoim miejscu, ze skrzyżowanymi rękami i nogami wyciągniętymi pod rzędem stojących przed nim krzeseł.

– Nasz Albert od początku dobrze wiedział, jak to się odbędzie.

Przewidział wszystko w najdrobniejszych szczegółach. To on kręci tą karuzelą. Poza tym szóstka to okrągła liczba w matactwach seryjnego mordercy.



– Sześćset sześćdziesiąt sześć, liczba diabelska – wtrąciła Mila.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę, rzucając upominające spojrzenia.

– Nie sięgamy po tego rodzaju banalne skojarzenia – powiedział Goran i Mila poczuła, że zapada się pod ziemię. – Kiedy mówimy o okrągłej liczbie, odwołujemy się do faktu, że osobnik zakończył już jedną lub kilka serii.

Mila przymknęła oczy i Goran wyczuł, że nie zrozumiała, co miał na myśli, więc wytłumaczył rzecz dokładniej:

– Seryjnym mordercą nazywamy takiego, który zabił co najmniej trzy razy w podobny sposób.

– Dwa trupy oznaczają tylko mordercę wielokrotnego – dodał Boris.

– Dlatego sześć ofiar to dwie serie.

– Czy to coś w rodzaju umownej reguły? – zapytała Mila.

– Nie. Oznacza to tylko, że jeśli się zabije po raz trzeci, to potem nie można przestać – wyjaśniła Rosa, zamykając dyskusję.

– Hamulce powstrzymujące mordercę są zwolnione, poczucie winy uśpione, a on zabija w sposób mechaniczny – zakończył Goran i znowu zwrócił się do wszystkich: – Ale dlaczego nie wiemy niczego o zwłokach numer sześć?

– Teraz wiemy jedno – odezwał się Roche. – Nasza nowa koleżanka dostarczyła nam wskazówkę, którą uważam za ważną. Połączyła ofiarę bez imienia z Debby Gordon, ofiarą numer jeden. – Roche powiedział to takim tonem, jakby pomysł Mili był tak

naprawdę jego zasługą. – Proszę nam powiedzieć, na czym polega to śledcze przeczucie – dodał, zwracając się bezpośrednio do niej.

Mila znowu znalazła się w centrum uwagi. Pochyliła się nad notatkami, próbując uporządkować myśli. Tymczasem Roche dał jej znak, żeby wstała.

Mila podniosła się.

– Debby Gordon oraz dziewczynka numer sześć się znały. Oczywiście to na razie tylko przypuszczenie, ale wyjaśniałoby ono fakt, że obie mają identyczny znak na palcach wskazujących.

– O co dokładnie chodzi? – zapytał zaciekawiony Goran.

– A więc... chodzi o rytuał polegający na nakłuciu czubka palca i zmieszaniu krwi po złączeniu ze sobą opuszek obu palców. To taka młodzieżowa wersja paktu przypieczętowanego krwią. Zazwyczaj służy potwierdzeniu przyjaźni.

Także Mila zawarła taki pakt ze swoją przyjaciółką Gracielą. Użyły do tego celu zardzewiałego gwoźdźca, ponieważ spinka wydawała im się przedmiotem zbyt babskim. Nagle wróciło wspomnienie tamtego wydarzenia. Graciela była koleżanką, z którą się bawiła. Znały swoje sekrety, a raz miały nawet wspólnego chłopaka, który zresztą o niczym nie wiedział. Wmówiły mu, że jest spryciarzem, bo udaje mu się spotykać z obiema przyjaciółkami, które nie orientują się, co się dzieje. Ciekawe, co się stało z Gracielą? Od lat nie miała od niej wiadomości. Za szybko straciły się z oczu i potem już się nie odnalazły.

A przecież obiecały sobie przyjaźń na wieki. Dlaczego tak szybko o niej zapomniała?

– Jeśli sprawy tak się przedstawiają, dziewczynka numer sześć musiała być w tym samym wieku co Debby.

– Analiza zwapnienia kości dokonana na szóstej kończynie potwierdza tę tezę: ofiara miała dwanaście lat – odezwał się Boris, któremu bardzo zależało na zdobyciu punktów w oczach Mili.

– Debby Gordon była uczennicą ekskluzywnego college’u. Nie można przyjąć, że jej serdeczna przyjaciółka mogła być koleżanką ze szkoły, ponieważ wśród uczennic żadnej nie brakuje.

– Musiała więc poznać ją poza szkołą – stwierdził Boris.

Mila skinęła głową.

– Debby przebywała w college’u od ośmiu miesięcy. Musiała czuć się bardzo osamotniona, znalazłszy się tak daleko od domu.

Przysięgłabym, że miała trudności z nawiązaniem kontaktu z koleżankami. Przypuszczam więc, że poznała swoją siostrę krwi gdzie indziej.

– Chciałbym, żeby udała się pani do college’u i rzuciła okiem na pokój tej dziewczynki – powiedział Roche. – Kto wie, może coś tam wyskoczy.

– Jeśli to możliwe, chciałabym też porozmawiać z rodzicami Debby.

– Jasne, proszę zrobić, co uważa pani za stosowne.

Zanim inspektor zdążył dodać coś jeszcze, rozległo się pukanie do drzwi. Trzy szybkie uderzenia. Zaraz potem, nie czekając na zaproszenie, do sali wszedł niski mężczyzna w białym fartuchu. Miał nastroszone włosy i bardzo dziwne skośne oczy.

– A, Chang – przywitał go Roche.

Był to lekarz sądowy. Mila od razu się zorientowała, że wcale nie ma wschodniego pochodzenia. Za sprawą jakichś tajemniczych genetycznych powiązań miał tylko wschodnie rysy. Nazywał się Leonard Vross, ale wszyscy mówili na niego Chang.

Staął obok Roche'a. Miał ze sobą skoroszyt, który natychmiast otworzył, choć nie musiał czytać tego, co było tam napisane, bo znał to na pamięć. Trzymanie tych kartek przed oczami dodawało mu prawdopodobnie pewności siebie.

– Chciałbym, żebyście uważnie wysłuchali, co odkrył doktor Chang – powiedział inspektor. – Chociaż wiem, że niektórym z was może być trudno zrozumieć pewne szczegóły.

Mila była pewna, że ta uwaga odnosi się do niej. Chang założył okulary, które nosił w kieszonce fartucha, i zaczął wysokim głosem:

– Mimo przebywania w ziemi szczątki zachowały się w doskonałym stanie.

Potwierdzało to tezę, zgodnie z którą od powstania cmentarzyka do jego odkrycia nie upłynęło wiele czasu. Następnie patolog skupił się na kilku szczegółach. Gdy jednak doszedł wreszcie do okoliczności śmierci sześciu dziewczynek, rąbnął prosto z mostu:

– Zabił je, ucinając im ramię.

Rany mają swój własny język. Mila dobrze o tym wiedziała. Gdy lekarz sądowy uniósł skoroszyt otwarty na powiększonym zdjęciu jednej z rąk, natychmiast zauważyła czerwonawą obwódkę wokół przecięcia i na samej kości. Infiltracja krwi do tkanek jest pierwszą oznaką, jakiej się szuka, by ustalić, czy rana była, czy też nie była

śmiertelna. Jeśli została zadana martwemu ciału, serce nie pompuje krwi i wycieka ona pasywnie z uszkodzonych naczyń, nie przylepiając się do okolicznych tkanek. Jeśli natomiast cios zostaje zadany, gdy ofiara żyje, ciśnienie krwi w tętnicach i w naczyniach włoskowatych nadal się utrzymuje, ponieważ serce wciąż pompuje krew do uszkodzonych tkanek. U dziewczynek ten ratujący życie mechanizm przestał działać dopiero po odcięciu rąk.

– Przecięć dokonano w połowie mięśnia dwugłowego ramienia.

Kości nie są uszkodzone, a cięcia precyzyjne. Musiał użyć ostrej piły, bo na krawędzi rany nie znaleźliśmy żelaznych opiłków. Precyzyjne przecięcie naczyń krwionośnych i ścięgien mówi, że amputacja została przeprowadzona z fachowością, którą określiłbym jako chirurgiczną.

Zgon nastąpił wskutek wykrwawienia. – Po chwili dodał: – Była to śmierć straszliwa.

Słyszając to, Mila instynktownie spuściła oczy na znak szacunku, jednak prędko się zorientowała, że zrobiła to tylko ona.

– Powiedziałbym, że zamordował je od razu – ciągnął Chang. – Nie miał żadnego interesu, żeby utrzymywać je przy życiu dłużej, niż to potrzebne, toteż zrobił to bez wahania. Okoliczności śmierci są identyczne w przypadku wszystkich ofiar. Z wyjątkiem jednej...

– Jak to rozumieć? – zapytał Goran.

Chang popchnął palcem okulary, które zjechały mu na czubek nosa, po czym wbił spojrzenie w kryminologa.

Słowa zawisły na moment w powietrzu, aby po chwili spaść na zebranych niczym lodowaty prysznic:

– Ponieważ jedna z nich cierpiała dłużej.

W sali zapadła cisza.

– Badania toksykologiczne wykazały ślady mieszanki leków w jej krwi i tkankach. Były to: środek przeciwko arytmii serca, taki jak dizopiramid, inhibitory ACE, oraz atenolol, który działa jako betabloker...

– Obniżył jej tętno, redukując zarazem ciśnienie – stwierdził Goran Gavila, który zrozumiał już wszystko.

– Dlaczego to zrobił? – zastanawiał się Stern, któremu nic nie wydawało się jasne.

Na ustach Changa pojawił się grymas podobny do gorzkiego uśmiechu.

– Spowolnił wykrwawianie się, żeby umierała wolniej... Chciał się cieszyć tym widokiem.

– O którą dziewczynkę chodzi? – zapytał Roche, chociaż wszyscy znali już odpowiedź.

– O tę numer sześć.

Tym razem Mila nie musiała być specjalistką od seryjnych zbrodni, żeby zrozumieć, co się stało. Praktycznie biorąc, lekarz sądowy stwierdził tylko, że morderca zmienił *modus operandi*. A to oznacza, że nabrał pewności w tym, co robi. Eksperymentuje z nową zabawą, która mu się podoba.

– Zmienił sposób, ponieważ był zadowolony z wyników. Szło mu coraz lepiej – podsumował Goran. – Wygląda na to, że się w tym rozsmakował.

Mila doznała nagle dziwnego wrażenia. Był to dreszcz u nasady czaszki, który mówił jej zawsze, że zbliża się do rozwiązania kolejnego przypadku zaginięcia. Rzecz dziwna, trudna do wyjaśnienia. Potem jej umysł otwierał się, ujawniając nieoczekiwaną prawdę. Zazwyczaj to wrażenie trwało dłużej, tym razem jednak znikło, zanim zdążyła je uchwycić. Rozwiał się za sprawą słów Changa.

– Jeszcze jedno... – Lekarz sądowy zwrócił się wprost do Mili, mimo iż jej nie znał. Była w tej sali jedyną obcą twarzą, a jego najwidoczniej poinformowano już o powodach jej obecności. – Są tam już rodzice zaginionych dziewczynek.

\* \* \*

Z okna zagubionej wśród gór komendy policji drogowej Alexander Bermann miał doskonały widok na parking. Jego auto stało w głębi, w piątym rzędzie. Gdy patrzył z tego miejsca, wydawało mu się bardzo oddalone.

Karoserie połyskiwały w promieniach stojącego wysoko słońca.

Trudno było wyobrazić sobie, że po nocnej burzy wstanie tak piękny dzień. Miał wrażenie, że to środek wiosny, było też dość ciepło. Przez otwarte okno wpadał słaby wietrzyk, który niósł poczucie spokoju.

Bermann odczuwał dziwne zadowolenie.

Gdy zatrzymano go o świcie na drodze, nie był zakłopotany ani nie wpadł w panikę. Siedział w aucie, czując niemiłą wilgoć między nogami.

Doskonale widział policjantów stojących obok radiowozu. Jeden z nich trzymał w ręku jego dokumenty i sprawdzał je, dyktując drugiemu dane, które tamten przekazywał przez radio.

Niedługo przyjdą tu i każą mi otworzyć bagażnik, pomyślał.

Policjant, który go zatrzymał, był bardzo uprzejmy. Zapytał o burzę i okazał współczucie, mówiąc, że nie zazdrości mu jazdy w taką pogodę.

– Pan nie jest z tych stron – orzekł, rzuciwszy okiem na tablicę rejestracyjną.

– Rzeczywiście, nie – odparł Bermann. – Jadę z daleka.

Na tym rozmowa się zakończyła. Przez chwilę Bermann zamierzał nawet wszystko mu opowiedzieć, ale zmienił zamiar. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment. Potem policjant poszedł do swojego kolegi. Alexander Bermann nie wiedział, co go czeka, ale po raz pierwszy puścił kierownicę. Dzięki temu krew zaczęła znowu krążyć w jego dłoniach, które odzyskały normalną barwę.

Przyłapał się na tym, że myśli o swoich „motylkach”.

Takie kruche, tak nieświadome swojego uroku. A on wstrzymywał upływający czas, umożliwiając im uświadomienie sobie sekretów ich czaru. Inni ograniczali się do okradania ich z urody, a on się o nie troszczył. W gruncie rzeczy o co mogą go oskarżyć?

Kiedy zobaczył, że policjant wraca, te myśli się ulotniły i powróciło napięcie. Pomyślał, że zajęło im to za dużo czasu. Zbliżając się, policjant trzymał rękę przy biodrze, na wysokości pasa. Bermann wiedział, co oznacza ten gest: że jest gotów wyciągnąć pistolet. Gdy



wreszcie podszedł, wygłosił zdanie, którego Bermann się nie spodziewał.

– Panie Bermann, musi pan pojechać z nami na komendę. W dokumentach brakuje dowodu rejestracyjnego.

To dziwne, pomyślał. Jestem pewny, że go tam włożyłem. Ale potem zrozumiał: zabrał go człowiek w kominiarce, gdy Alexander leżał nieprzytomny... I teraz siedzi tu, w małej poczekalni, ciesząc się niezasłużonym ciepłem wietrzyku. Umieścili go tu po nałożeniu sekwestru na samochód, nie wiedząc, że zagrożenie sankcją administracyjną jest ostatnim z jego zmartwień. Nieświadomie niczego poznikali w swoich pokojach, żeby decydować o rzeczach, które dla niego nie miały już znaczenia. Zamyślił się nad swoim dziwnym położeniem i nad tym, jak zmienia się hierarchia spraw w oczach człowieka, który nie ma nic do stracenia. W tym momencie najbardziej zależało mu na tym, żeby nie ustała pieśczość wietrzyku.

Tymczasem coraz kierował spojrzenie na parking i kręcących się po nim policjantów. Jego auto nadal tam stało, na oczach wszystkich.

Z tajemnicą zamkniętą w bagażniku. I nikt nie zauważał niczego niepokojącego.

Gdy tak rozmyślał o osobliwości sytuacji, dostrzegł małą grupkę policjantów wracających z baru, w którym spędzili przerwę na drugie śniadanie. Trzech mężczyzn i dwie kobiety w mundurach. Jeden z nich prawdopodobnie opowiadał jakiś dowcip i żywo gestykulował.

Gdy skończył, pozostali wybuchnęli śmiechem. Bermann nie usłyszał ani słowa, ale ich śmiech był zaraźliwy i on też się uśmiechnął. Trwało to krótko. Grupka mijala jego auto. Jeden z nich,

najbardziej rosły, zatrzymał się nagle, porzucając towarzystwo innych, którzy poszli dalej bez niego. Coś zwróciło jego uwagę.

Alexander Bermann natychmiast zauważył minę policjanta.

Zapach, pomyślał. Musiał poczuć zapach.

Nic nie mówiąc kolegom, policjant zaczął się rozglądać. Wciągał powietrze, jakby szukał słabego śladu, który na moment zaalarmował jego zmysły. Odnalazłszy go, odwrócił się w stronę auta, zrobił kilka kroków w jego kierunku, po czym znieruchomiał przed zamkniętym bagażnikiem.

Widząc to, Alexander Bermann odetchnął z ulgą. Poczuł wdzięczność. Wdzięczność za zbieg okoliczności, który sprowadził go tutaj, za wietrzyk, który otrzymał w darze, i za to, że nie on będzie musiał otworzyć ten przeklęty bagażnik.

Pieszczota wietrzyku ustała. Alexander Bermann podniósł się z krzesła stojącego koło okna i wyjął z kieszeni komórkę.

Nadszedł czas na wybranie pewnego numeru.

## 6.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Mila powtarzała w myślach te imiona, przyglądając się zza szyby rodzinom pięciu zidentyfikowanych ofiar, które spotkały się w prosektorium Instytutu Medycyny Sądowej. Znajdowało się ono w neogotyckim budynku z wielkimi oknami, otoczonym ogołoconym z liści parkiem.

Brakuje jeszcze dwojga, prześladowała Milę uporczywa myśl. Jednego ojca i jednej matki, których jeszcze nie odnaleźliśmy.

Musiała nadać imię ofierze, do której należała szósta lewa ręka.

Nad tą dziewczynką Albert szczególnie się pastwił, aplikując jej mieszankę leków przedłużających cierpienie.

Chciał się cieszyć tym widokiem.

Przypomniał jej się ostatni rozwiązany przez nią przypadek, nauczyciela muzyki, kiedy to uwolniła Pabla i Elizę. „Ale za to uratowałaś troje”, powiedział sierżant Morexu, mając na myśli notatkę znalezioną w kalendarzyku faceta. To imię... Priscilla.

Szef się nie mylił: dziewczynka miała szczęście. Mila zauważyła okrutny związek między nią i sześcioma ofiarami.

Priscilla została wybrana przez swego kata. Tylko za sprawą przypadku nie stała się jego zdobyczą. Gdzie jest teraz? Jakie prowadzi życie? Kto wie, może w jakimś głębokim i tajemnym

zakątku jej jestestwa kryje się świadomość, że uniknęła straszliwego losu.

Mila uratowała ją z chwilą, gdy postawiła nogę w domu nauczyciela muzyki. A ona nigdy się o tym nie dowie. Nigdy nie doceni tego, że dostała drugie życie.

Priscilla, jak Debby, Anneke, Sabine, Melissa, Caroline. Dziewczynka, która została wybrana, ale której nie spotkał los pozostałych.

Priscilla jako numer szósty. Ofiara bez twarzy. Ale przynajmniej ma już imię.

Chang utrzymywał, że to tylko kwestia czasu, że prędzej czy później wyjdzie na jaw tożsamość szóstej dziewczynki. Ale Mila nie miała na to nadziei, a myśl, że być może dziewczynka znikła na zawsze, utrudniała jej rozważenie innych opcji.

Teraz jednak musi myśleć jasno. Kolej na mnie. Patrzyła przez szybę na rodziców dziewczynek, które mają już imię. Obserwowała ten rodzaj ludzkiego akwarium, scenę zaludnioną przygnębionymi, milczącymi istotami. Niebawem będzie musiała tam wejść, żeby porozmawiać z matką i ojcem Debby Gordon. I przypieczętuje przeżywany przez nich ból.

Korytarz prosektorium był długi i mroczny. Znajdowało się w suterenie budynku. Docierało się tam schodami albo niewygodną windą, która zazwyczaj nie działała. Po bokach znajdowały się wąskie okna, przez które wpadało niewiele światła. Pokryte białą emalią płytki na ścianach nie były w stanie go odbić, jak prawdopodobnie chciał ten, kto je tu umieścił. Skutek był taki, że w pomieszczeniach

było ciemno także w dzień, a pod sufitem paliły się bezustannie jarzeniówki, zakłócając ciągłym brzęczeniem upiorną ciszę tego miejsca.

Co za obrzydliwa sceneria na przyjęcie wiadomości o utracie dziecka, rozmyślała Mila, przyglądając się cierpiącym rodzicom. Mogli znaleźć pociechę tylko w kilku zwyczajnych plastikowych krzesłach i leżących na stole starych czasopismach z wesołymi ilustracjami.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

– Przyjrzyj się im – powiedział Goran Gavila, stojący za jej plecami. – Co widzisz?

Upokorzył ją w obecności innych, a teraz zwraca się do niej „ty”?

Przez dłuższą chwilę Mila przypatrywała się ludziom za szybą.

– Widzę ich cierpienie.

– Przypatrz się lepiej. Jest nie tylko ono.

– Widzę te martwe dziewczynki, chociaż ich tam nie ma. Ich twarze są sumą twarzy rodziców. Dlatego mogę zobaczyć ofiary.

– Natomiast ja widzę pięć różnych rodzin. O różnej pozycji społecznej, o zróżnicowanych dochodach i poziomie życia. Widzę małżonków, którzy z wielu powodów mają tylko jedno dziecko. Widzę kobiety grubo po czterdziestce, biologicznie pozbawione nadziei na nową ciążę... To widzę. – Goran odwrócił się w jej stronę. – To oni są jego prawdziwymi ofiarami. Przyglądał im się, ich wybrał. Tylko jedna córka. Chciał odebrać im wszelką nadzieję na przezwycięzenie żałoby, na próbę zapomnienia o stracie. Będą

musieli pamiętać o tym, co im zrobił, do końca swoich dni. Powiększył ich ból, zabierając przyszłość. Pozbawił ich możliwości przeniesienia pamięci o sobie na przyszłe lata, przeżycia własnej śmierci... I cieszył się tym. To nagroda za jego sadyzm, źródło jego rozkoszy.

Mila odwróciła wzrok. Kryminolog ma rację: istnieje pewna symetria w złu, które zostało wyrządzone tym osobom.

– Realizował jakiś plan – dodał Goran, wprowadzając poprawkę do jej rozważań.

Mila znowu pomyślała o dziewczynce numer sześć. Ona nie ma nikogo, kto by po niej zapłakał. Należą jej się te łzy, jak wszystkim pozostałym. Cierpienie spełnia pewne zadanie: służy odbudowaniu związków między sprawami ludzi żywych i ludzi umarłych. Jest językiem, który zastępuje słowa. Który zmienia rozumienie tego problemu. To właśnie robią rodzice po drugiej stronie szyby. Poprzez cierpienie odbudowują odrobinę egzystencji, której już nie ma. Splatając ze sobą kruche wspomnienia, wiążąc jasne nici tego, co było, z teraźniejszością.

Mila zmusiła się i przekroczyła próg. Spojrzenia rodziców natychmiast skierowały się na nią i zapadła cisza.

Podeszła do matki Debby Gordon, siedzącej obok męża, który trzymał rękę na jej ramieniu. Jej kroki dudniły złowrogo, gdy przechodziła przed innymi.

– Państwo Gordon, chciałabym chwilę z państwem porozmawiać...

Mila wskazała im drogę, a potem odsunęła się, żeby mogli pójść przed nią do drugiej małej sali, gdzie stały automaty z kawą i kanapkami, wytarta sofa pod ścianą, stół z niebieskimi plastikowymi krzesłami i kosz na śmieci pełen plastikowych butelek.

Mila wskazała państwu Gordon miejsca na kanapie, a sama usiadła na krześle. Założyła nogę na nogę, czując lekkie ukłucie bólu w zranionym udzie. Nie jest już tak silny, rana się goi.

Zebrała całą odwagę i zaczęła od przedstawienia się. Poświęciła kilka słów śledztwu, nie dodając żadnych szczegółów do tego, co oni już wiedzieli. Chciała, żeby poczuli się swobodnie, zanim zada właściwe pytania.

Państwo Gordon ani na chwilę nie oderwali od niej wzroku, jakby to ona mogła w jakiś sposób uwolnić ich od tego koszmaru. Mąż i żona byli przystojni, mieli wyrafinowane maniery. Oboje adwokaci. Z tych, którym płaci się za godzinę. Mila wyobrażała ich sobie w pięknie urządzonej domu, w otoczeniu starannie dobranych przyjaciół, wiodących przyjemne życie. Mogli pozwolić sobie na umieszczenie jedynej córki w prestiżowej prywatnej szkole. Mila nie miała wątpliwości, że są rekinami w swoim zawodzie. Ludźmi, którzy wiedzą, jak postępować w najbardziej krytycznych sytuacjach, przyzwyczajonymi do zagłębiania zębów w przeciwniku i nigdy niezniechęcającymi się przeciwnościami. Ale teraz oboje wyglądają na nieprzygotowanych do stawienia czoła takiej tragedii.

Zakończywszy omawianie śledztwa, przeszła do istoty sprawy:

– Państwo Gordon, czy wiecie może państwo, że Debby nawiązała bliską przyjaźń z rówieśnicą spoza college’u?

Małżonkowie spojrzeli po sobie, jakby przed udzieleniem odpowiedzi starali się dociec, dlaczego to pytanie zostało zadane.

– Nic nam o tym nie wiadomo – odparł ojciec Debby.

Mila nie mogła jednak zadowolić się tą zwięzłą odpowiedzią.

– Czy jesteście pewni, że Debby nigdy nie wspominała przez telefon o dziewczynce, która nie była jej koleżanką ze szkoły?

Podczas gdy pani Gordon próbowała to sobie przypomnieć, uwagę Mili przyciągnęła jej sylwetka: płaski brzuch, rozwinięte mięśnie nóg.

Natychmiast zrozumiała, że decyzja o posiadaniu tylko jednego dziecka została dobrze przemyślana. Ta kobieta nie chciała pogorszyć swojego wyglądu kolejną ciążą. A teraz już na to za późno, bo jej wiek, prawie pięćdziesiątka, nie pozwoliłby na urodzenie dziecka.

Goran miał rację: Albert wybrał ich nieprzypadkowo...

– Nie... Ale ostatnio, gdy rozmawiałam z nią przez telefon, wydawała się bardziej pogodna – powiedziała kobieta.

– Domyślam się, że prosiła was, żebyście pozwolili jej wrócić do domu...

Dotknęła bolesnego miejsca, ale nie mogła tego uniknąć, jeśli chciała dotrzeć do prawdy. Ojciec Debby przyznał tonem, w którym pobrzmiwało poczucie winy:

– To prawda, czuła się tam obco, mówiła, że tęskni za nami i brakuje jej Stinga... – Mila spojrzała na niego zdziwiona, więc wyjaśnił:



– To jej pies... Debby chciała wrócić do domu, do swojej dawnej szkoły. Ale, prawdę mówiąc, nigdy nie powiedziała tego wprost. Być może bała się, że sprawi nam zawód, jednak... To było słyszeć w jej głosie.

Mila wiedziała, jak potoczą się sprawy: ci rodzice już zawsze będą sobie wyrzucali, że nie wsłuchali się w głos serca córki, która błagała, żeby pozwolili jej wrócić. Ale Gordonowie postawili na pierwszym planie ambicję, tak jakby można ją było przekazywać genetycznie.

Gdyby dobrze się przyjrzeć, w ich zachowaniu nie było żadnego błędu. Chcieli jak najlepiej dla swojej jedynej córki. W gruncie rzeczy zachowali się po prostu jak rodzice. I gdyby sprawy potoczyły się inaczej, być może pewnego dnia Debby byłaby im nawet za to wdzięczna. Ale na nieszczęście dla nich ten dzień nie miał nigdy nadejść.

– Przykro mi, że nalegam, wyobrażam sobie, jakie to bolesne, ale muszę poprosić państwa o przypomnienie sobie rozmów z Debby. Jej wymykanie się poza college może okazać się bardzo ważne dla śledztwa. Przemyślcie to państwo, proszę, i gdyby coś przyszło wam do głowy...

Oboje obiecali, że postarają się to zrobić. W tym momencie Mila zauważyła jakąś postać, która zarysowała się w szybie drzwi. Była to Sarah Rosa starająca się przyciągnąć jej uwagę. Mila przeprosiła Gordonów i wyszła. Gdy stanęły twarzą w twarz na korytarzu, Sarah powiedziała:

– Szykuj się, musimy jechać. Znalezione ciało którejś z dziewczynek.

\* \* \*

Agent specjalny Stern zawsze nosił marynarkę i krawat. Lubił garnitury brązowe, beżowe lub granatowe oraz koszule w cienkie prążki.

Mila domyślała się, że jego żonie musi bardzo zależeć na tym, żeby pokazywał się w starannie wyprasowanych ubraniach. Włosy zaczesywał do tyłu, używając odrobiny brylantyny. Golił się co rano, miał delikatną i gładką cerę, pachniał dobrymi perfumami. Był człowiekiem z zasadami, jednym z tych, którzy nigdy nie zmieniają przyzwyczajzeń i dla których schludny wygląd jest znacznie ważniejszy niż ubieranie się pod dyktando mody.

Poza tym musiał być bardzo sprawny w zbieraniu informacji.

Podczas jazdy samochodem na miejsce odnalezienia ciała Stern wsunął do ust miętowy cukierek, a potem przedstawił zwięzłe fakty:

– Zatrzymany nazywa się Alexander Bermann. Ma czterdzieści lat i jest agentem handlowym, urzędnikiem dla przemysłu tekstylnego, doskonałym pracownikiem. Żonaty, zawsze prowadził spokojne życie. Jest bardzo szanowany i znany w swoim mieście.

Jego działalność przynosi spory dochód; nie jest bogaty, ale żyje dostatnio.

– W sumie czysty jak łąka – dodała Rosa. – Nie wzbudza żadnych podejrzeń.

Gdy dotarli do komisariatu policji drogowej, policjant, który znalazł ciało, siedział na starej kanapie w jednym z pokoiów. Był w szoku.

Miejscowe władze oddały sprawy w ręce zespołu zajmującego się ciężkimi zbrodniami. Jego członkowie zabrali się do pracy z pomocą Gorana i na oczach Mili, której rola polegała po prostu na stwierdzeniu obecności lub braku elementów mogących pomóc jej w jak najlepszym wykonaniu zadania, jakie jej przydzielono, ale bez możliwości aktywnego udziału. Roche został w biurze, licząc na to, że jego ludzie opowiedzą mu, co się wydarzyło.

Mila zauważyła, że Sarah Rosa trzyma się z dala od niej. Konstatacja ta sprawiła jej przyjemność, chociaż była pewna, że policjantka nie spuszcza z niej oka, gotowa przyłapać ją na jakimś potknięciu.

Młody porucznik zaproponował, że zaprowadzi ich na miejsce.

Starając się okazać pewność siebie, wyjaśnił, że niczego stamtąd nie zabrano, ale wszyscy członkowie zespołu dobrze wiedzieli, że prawdopodobnie po raz pierwszy ma do czynienia z tego rodzaju zdarzeniem. Prowincjonalny policjant nieczęsto styka się z tak okrutną zbrodnią.

Po drodze porucznik przedstawił wyczerpująco fakty. Być może już wcześniej wypróbował to przemówienie, żeby czegoś nie przekręcić, bo mówił tak, jakby odczytywał protokół.

– Stwierdziliśmy, że podejrzany Alexander Bermann dotarł wczoraj rano do hotelu w mieście położonym bardzo daleko stąd.

– W odległości sześciuset kilometrów – uściślił Stern.

– Jak się wydaje, jechał przez całą noc. Bak samochodu był prawie pusty – dodał porucznik.

– Czy spotkał się z kimś w hotelu? – spytał Boris.

– Zjadł kolację z klientami, potem poszedł do swojego pokoju...

Tak twierdzą ci, którzy z nim byli. Ale weryfikujemy jeszcze ich zeznania.

Rosa zapisała to w notatniku i umieściła obok uwagę, którą Mila dojrzała, spoglądając ponad jej ramieniem: „Zebrać zeznania gości hotelowych dotyczące godzin”.

Do rozmowy włączył się Goran:

– Przypuszczam, że Bermann nic jeszcze nie powiedział.

– Podejrzany Alexander Bermann odmawia zeznawania bez adwokata.

Dotarli na parking. Goran zauważył, że wokół auta Bermanna rozstawiono białe parawany, żeby zasłonić wstrząsający widok. Ale było to tylko kolejne z iluzorycznych zabezpieczeń. Wzburzenie w obliczu niektórych okrutnych zbrodni jest maską. Goran prędko to rozszyfrował. Śmierć, szczególnie okrutna, rzuca na żywych dziwny urok. Widząc trupa, wszyscy robimy się ciekawi. Śmierć to bardzo uwodzicielska pani.

Przed podejściem do auta Bermanna wszyscy założyli plastikowe ochraniacze na buty oraz czepki przytrzymujące włosy, a także nieodłączne lateksowe rękawiczki. Potem puścili w obieg mały słoiczek z pastą kamforową. Każdy wziął trochę na palec, żeby

posmarować skórę pod nosem i zneutralizować w ten sposób wszelkie inne zapachy.

Był to przećwiczony rytuał, podczas którego słowa nie były potrzebne. Ale także sposób na skoncentrowanie się. Wziąwszy słoiczek z rąk Borisa, Mila poczuła, że jest uczestniczką tej szczególnej komunii.

Porucznik drogówki, poproszony o zaprowadzenie ich na miejsce, stracił nagle całą pewność siebie i wahał się przez dłuższą chwilę. Ale potem ruszył przodem.

Przed przekroczeniem granicy wyznaczonej przez parawany Goran spojrzał na Milę, która kiwnęła głową. To go uspokoiło.

Pierwszy krok zawsze jest najtrudniejszy. Mila była pewna, że niełatwo przyjdzie jej zapomnieć to pierwsze wrażenie.

To było jak wkroczenie w inny wymiar. Na kilku metrach kwadratowych, gdzie także promienie słoneczne zostały stłumione przez sztuczne i zimne światło lamp halogenowych, znajdował się świat, w którym panowały zupełnie odmienne reguły i prawa fizyczne niż w świecie nam znanym. Do trzech wymiarów, wysokości, szerokości i głębokości, dochodził czwarty – próżnia. Każdy kryminolog wie, że odpowiedzi znajdują się właśnie w takich „próżniach” miejsca zbrodni. Wypełniając te puste przestrzenie obecnością ofiary i jej kata, odtwarza się zbrodnicze działania, nadaje sens przemocy, poznaje nieznanne. Poszerza się czas, starając się spojrzeć w przeszłość, w napięciu, które zawsze trwa za krótko i nigdy się nie powtarza. Dlatego pierwsze wrażenie na miejscu zbrodni jest najważniejsze.

Milę uderzył przede wszystkim zapach.

Pomimo kamfory był przenikliwy. Zapach śmierci jest zarazem mdły i słodki. Bezsensowny. Najpierw uderza niczym pięść w brzuch, a potem odkrywa się, że w głębinach tego zapachu kryje się coś, co nie może nie wydać się przyjemne.

W jednej chwili członkowie zespołu ustawili się wokół auta Bermanna. Wyglądało to tak, jakby z ich oczu wychodziły współrzędne siatki, która pokrywała każdy centymetr kwadratowy, niczego nie pomijając.

Mila przeszła za Goranem na tył samochodu.

Bagażnik był otwarty, tak jak zostawił go policjant, który znalazł ciało. Goran pochylił się nad jego wnętrzem, Mila zrobiła to samo.

Nie zobaczyła zwłok, ponieważ widać było tylko duży, czarny, plastikowy worek, w którym, jak można się było domyślić z jego zarysów, znajdowało się ciało.

Zwłoki którejś z dziewczynek?

Worek dokładnie oblepiał ciało, oddając rysy twarzy i jej kształt.

Usta były otwarte w niemym krzyku, jakby coś wyszło z tej mrocznej jamy całe powietrze.

Wyglądał jak bluźnierczy całun.

Anneke, Debby, Sabine, Melissa, Caroline... Czy może ta szósta?

Można było odróżnić oczodoły i głowę wykręconą do tyłu. Ciało nie zostało porzucone, gdy jego tkanki były jeszcze miękkie. Przeciwnie, członki sterczały sztywno, jakby zostało porażone w

nagłym zrywie. W tym cielesnym posągu czegoś brakowało. Ręki. Lewej.

– Dobrze, zaczynamy badanie – powiedział Goran.

Praca kryminologa polega na stawianiu pytań. Nawet najprostszych i pozornie bez znaczenia. Pytań, na które wszyscy razem powinni starać się znaleźć odpowiedzi. Także w tym przypadku mile widziana była każda opinia.

– Przede wszystkim zorientowanie ogólne – zaczął. – A więc powiedzcie mi: dlaczego tu jesteśmy?

– Może ja zacznę – zaoferował się Boris, który stał po stronie kierownicy. – Jesteśmy tu z powodu brakującego dowodu rejestracyjnego.

– Co o tym myślicie? Czy waszym zdaniem to wystarczające wyjaśnienie? – spytał Goran, patrząc na obecnych.

– Blokada drogowa – powiedziała Sarah Rosa. – Od czasu zaginięcia dziewczynek wszędzie są ich dziesiątki. To mogło się zdarzyć, no i się zdarzyło... Poszło całkiem dobrze.

Goran pokręcił głową. Nie wierzył w szczęśliwe przypadki.

– Dlaczego miałby ryzykować jazdę z tak kompromitującym ładunkiem?

– Może chciał się go tylko pozbyć? – podsunął Stern. – A może bał się, że siądziemy mu na karku, i próbował odsunąć ślady jak najdalej od siebie.

– Ja też myślę, że mogło chodzić o próbę zmylenia tropów – zawtórował mu Boris. – Ale mu się nie udało.

Mila domyślała się, że oni już zdecydowali: Alexander Bermann to Albert. Tylko Goran nie wyglądał na przekonanego.

– Musimy jeszcze zrozumieć, jakie były jego plany. Na razie mamy trupa w bagażniku. Ale początkowe pytanie brzmiało inaczej i nie mamy jeszcze odpowiedzi: dlaczego tu jesteśmy? Co sprawiło, że stoimy wokół tego samochodu, przed tym ciałem? Od samego początku przyjęliśmy za pewnik, że mamy do czynienia z człowiekiem przebiegłym. Może nawet bardziej niż my. W gruncie rzeczy już kilka razy się z nami bawił, bo zdołał porwać dziewczynki przy stanie wzmożonej czujności... Czy zatem jest do pomyślenia, że zdradził go brak głupiego dowodu rejestracyjnego?

Wszyscy zamyślili się nad tym spostrzeżeniem.

Kryminolog odwrócił się do porucznika drogówki, który przez cały czas stał z boku, milczący i blady jak koszula, którą miał pod mundurem.

– Poruczniku, powiedział nam pan, że Bermann prosił o adwokata, tak?

– Dokładnie tak.

– Być może wystarczyłby adwokat z urzędu, bo po zakończeniu tych oględzin będziemy chcieli porozmawiać chwilę z podejrzanym, żeby dać mu okazję do odparcia naszych zarzutów.

– Życzy pan sobie, żebym wydał dyspozycje?

Mężczyzna miał nadzieję, że Gavila go odeśle. I Goran zamierzał to zrobić.



– Prawdopodobnie Bermann zdążył już przygotować własną wersję wypadków. Lepiej wziąć go z zaskoczenia, zanim nauczy się jej na pamięć, i starać się wykazać sprzeczności – dodał Boris.

– Mam nadzieję, że siedząc w zamknięciu, miał też dość czasu na przeprowadzenie porządnego rachunku sumienia.

Usłyszawszy słowa porucznika, członkowie zespołu popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

– Czy to oznacza, że zostawiliście go samego? – zapytał Goran.

Porucznik miał zakłopotaną minę.

– Zgodnie z praktyką zamknęliśmy go w celi. Czy to...

Nie zdążył dokończyć zdania. Boris ruszył pierwszy, jednym susem znalazł się poza barierą, mając tuż za plecami Sterna i Sarah Rosę. Popędzili, zrzucając ochraniacze na buty, żeby się nie pośliznąć.

Mila, a także młody porucznik drogówki nie pojmowali, co się dzieje. Goran ruszył za tamtymi, rzuciwszy tylko:

– To ryzykowne, tego więźnia nie powinno się spuszczać z oka!

Dopiero teraz zarówno Mila, jak i porucznik zrozumieli, na czym polega ryzyko, o którym mówił kryminolog.

Niebawem cała grupa znalazła się przed drzwiami celi, w której zamknięto podejrzanego. Stojący na straży policjant pospiesznie uchylił osłonę judasza, gdy Boris pokazał mu swoją legitymację. Jednak Alexandra Bermanna nie było widać.

Wybrał „martwy” kąt celi, pomyślał Goran.

Podczas gdy strażnik otwierał potężny zamek, porucznik próbował wszystkich uspokoić, a przede wszystkim samego siebie, zapewniając, że zastosowano odpowiednie procedury. Bermannowi odebrano zegarek, pasek od spodni, krawat, a nawet sznurowadła. Nie miał nic, czym mógłby zrobić sobie krzywdę.

Gdy jednak stalowe drzwi otworzyły się na oścież, okazało się, że policjant był w błędzie.

Więzień leżał w jednym z kątów celi. W tym „martwym”.

Zwrócony był plecami do ściany, ręce miał opuszczone na uda, nogi rozłożone. Jego usta były we krwi. Wokół ciała zebrała się ciemna kałuża.

Sięgnął po najrzadziej używany sposób, aby odebrać sobie życie.

Alexander Bermann rozszarpał zębami mięśnie na przegubach, aby umrzeć z upływu krwi.

## 7.

Mieli odwieźć ją do domu.

Z tą niewyrażoną głośno obietnicą zabrali ciało dziewczynki do kostnicy.

Przyrzekli sobie, że pomszczą jej śmierć.

Po samobójstwie Bermanna trudno było tej obietnicy dotrzymać, ale mimo to zamierzali próbować.

Dlatego jej ciało znajdowało się tu, w Instytucie Medycyny Sądowej.

Doktor Chang poprawił przymocowany do sufitu wysięgnik mikrofonu tak, że zawisł pionowo nad stalowym stołem sekcyjnym. Następnie włączył magnetofon.

Sięgnął najpierw po skalpel i szybkim ruchem przeciągnął po przyklepionym do ciała worku, kreśląc bardzo precyzyjną prostą linię. Odłożył narzędzie i delikatnie chwycił palcami krawędzie po obu jej stronach.

Sala oświetlona była tylko oślepiającym światłem lampy wiszącej nad stołem. Naokoło rozciągała się otchłań mroku. Na skraju tej otchłani stali Goran i Mila. Pozostali członkowie zespołu uznali, że nie muszą brać udziału w tej ceremonii.

Lekarz sądowy i jego goście mieli na sobie fartuchy, rękawiczki i maseczki zapobiegające zanieczyszczeniu próbek dowodowych.

Pomagając sobie roztworem soli, Chang zaczął rozciągać powoli krawędzie worka, oddzielając plastik od znajdującego się pod nim ciała, do którego dokładnie przywarł. Robił to powoli i cierpliwie.

Stopniowo zaczęły się ukazywać szczegóły... Mila ujrzała zieloną sztruksową spódniczkę, białą bluzkę i wełniany sweterek.

Chang odkrywał stopniowo kolejne fragmenty. Dotarł do tej strony klatki piersiowej, z której brakowało ręki. Tu sweter nie był poplamiony krwią. Rękaw został po prostu odcięty na wysokości lewego ramienia i wystawał z niego kikut ręki.

– Nie zabił jej w ubraniu, które ma na sobie. Dopiero potem ubrał zwłoki – stwierdził patolog.

Ostatnie słowo rozplynęło się, gubiąc w mrocznej przepaści, która ich otaczała, niczym kamień odbijający się od ścian bezdennej studni.

Chang odsłonił prawą rękę dziewczynki. Na przegubie widać było bransoletkę z wisiorkiem w kształcie kluczyka.

Dotarłszy na wysokość szyi, zatrzymał się na chwilę, żeby przetrzeć sobie czoło małym ręcznikiem. Dopiero teraz Mila zauważyła, że patolog się poci. Dotarł do najbardziej delikatnego punktu. Istniała obawa, że przy zdejmowaniu plastiku z twarzy może się oddzielić naskórek.

Mila asystowała już przy autopsjach. Zazwyczaj lekarze sądowi nie obchodzili się zbyt delikatnie ze zwłokami, które badali. Rozcinali je i zaszywali, nie troszcząc się o ich wygląd. Mila domyśliła się, że Chang chce, aby rodzice ujrzeli po raz ostatni swoją córkę w jak najlepszym stanie. Dlatego jest taki ostrożny. Okazuje tej ludzkiej istocie szacunek.

Po kilku niekończących się minutach lekarz zdołał wreszcie usunąć czarny worek z twarzy dziewczynki. Mila spojrzała na nią. I natychmiast ją rozpoznała.

Debby Gordon. Dwanaście lat. Pierwsza z zaginionych.

Miała wytrzeszczone oczy, otwarte usta, tak jakby rozpaczliwie starała się coś powiedzieć.

We włosach miała spinkę z białą lilią. On ją uczesał. Co za absurd, pomyślała. Łatwiej mu przyszło okazać współczucie zwłokom niż żywej dziewczynce! Potem doszła jednak do wniosku, że powód jego troskliwości był inny.

Upiękaczył ją dla nas, uznała.

To przeczucie ją rozwścieczyło. Ale zrozumiała też, że w tej chwili nie ma prawa do takich emocji. Należały do kogoś innego. I niedługo będzie musiała tam pojechać, pokonać głęboki mrok i powiedzieć zdruzgotanym rodzicom, że ich życie naprawdę się skończyło.

Doktor Chang wymienił spojrzenie z Goranem. Przyszedł czas na ustalenie, z jakiego rodzaju mordercą mają do czynienia. Czy jego zainteresowanie tą dziewczynką było nieokreślone, czy też miało straszliwie ukierunkowany charakter. Innymi słowy, czy dziewczynka padła ofiarą gwałtu, czy nie.

Wszyscy obecni w sali toczyli wewnętrzną walkę między pragnieniem, żeby została jej oszczędzona ta kolejna tortura, i nadzieją, że może jednak ją przeszła, gdyż w tym drugim przypadku byłyby większe szanse na to, że morderca pozostawił organiczne ślady, które umożliwiłyby jego identyfikację.

W przypadku gwałtu stosowano określoną procedurę. Nie mając powodów, żeby z niej zrezygnować, Chang zaczął od próby odtworzenia okoliczności i sposobów agresji. Ale w tym przypadku, także wobec niemożności otrzymania informacji od ofiary, nie było sposobu, żeby poznać fakty.

Następną fazę stanowiło badanie i sporządzenie dokumentacji fotograficznej – od opisu ogólnego wyglądu do ustalenia zewnętrznych uszkodzeń, które mogły wskazać, czy ofiara opierała się i walczyła.

Rozpocząło się to zwykle od opisanego ubrania ofiary, traktowanego jako dowód. Następnie przechodziło się do szukania podejrzanych plam na ubraniu, włókien, włosów, liści. Dopiero wtedy pobierano spod paznokci ofiary, za pomocą narzędzia przypominającego wykałaczkę, próbki w postaci ewentualnych fragmentów skóry zabójcy – gdyby się broniła – albo ziemi czy różnych włókien umożliwiających ustalenie miejsca zabójstwa.

Także tym razem stan zwłok – oprócz amputacji kończyny – był dobry, a ubrania dziewczynki czyste.

Jakby morderca pomyślał o umyciu jej przed włożeniem do worka.

Trzeci etap, badanie ginekologiczne, miał bardziej inwazyjny charakter.

Chang uzbroił się w kolposkop i zaczął badać najpierw wewnętrzne powierzchnie ud w nadziei, że odkryje na nich plamy krwi, pozostałości spermy i innych wydzielin gwałciciela. Potem sięgnął do metalowego pojemnika po narzędzia do badania pochwy.

Pobrane substancje umieścił na szkiełkach mikroskopowych, zabezpieczając powierzchnię pierwszego cytofixem, a drugie pozostawił do wyschnięcia na powietrzu.

Mila wiedziała, że posłużą one do określenia kodu genetycznego mordercy.

Ostatnia faza była najbardziej nieprzyjemna. Doktor Chang odchylił tylną część stalowego stołu, opierając nogi dziewczynki na dwóch podpórkach. Potem usiadł na stołku, wziął szkło powiększające ze specjalną lampką ultrafioletową, i przeszedł do sprawdzenia, czy są urazy wewnętrzne.

Po kilku minutach spojrział na Gorana i Milę i oznajmił obojętnie:

– Nie dotknął jej.

Mila kiwnęła głową i przed wyjściem z sali pochyliła się nad zwłokami Debby, żeby zdjąć z jej nadgarstka bransoletkę z wiszącym przy niej kluczykiem. Przedmiot ten, wraz z informacją, że dziewczynka nie została zgwałcona, był jedyną rzeczą, którą mogła zawieźć państwu Gordon.

Gdy tylko pożegnała się z Changiem i Goranem, Mila poczuła potrzebę zdjęcia fartucha. Czowała się brudna. Przechodząc przez szatnię, zatrzymała się przed wielką umywalką. Odkręciła gorącą wodę i włożyła pod nią dłonie, mocno je trąc.

Myjąc się, spojrziała w lustro. Wyobraziła sobie, że widzi w nim małą Debby, jak wchodzi do szatni w zielonej spódnicy, niebieskim sweterku i ze spinką we włosach. I pomagając sobie pozostała jej ręką, siada na ławce pod ścianą i zaczyna na nią patrzeć, machając nogami. Otwiera i zamyka usta, jakby chciała nawiązać rozmowę, ale

nie wydaje żadnego dźwięku. A Mila bardzo by chciała zapytać ją o jej siostrę krwi. Tę, którą wszyscy określali już jako dziewczynkę numer sześć.

Po chwili halucynacja znikła.

Z kranu tryskał strumień wody, unosiły się kłęby pary, która prawie całkowicie pokryła powierzchnię lustra.

Dopiero wtedy Mila poczuła ból.

Spuściła wzrok i instynktownie cofnęła ręce spod strumienia parzącej wody. Skóra na grzbietach dłoni była zaczerwieniona, a na palcach widać już było bąble. Owinęła je prędko ręcznikiem, a potem skierowała się do apteczki w poszukiwaniu bandażu.

Nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć, co jej się przydarzyło.

\* \* \*

Gdy otworzyła oczy, poczuła najpierw pieczenie dłoni. Usiadła, wracając gwałtownie do rzeczywistości sypialni. Przed sobą miała szafę z porysowanym lustrem, po lewej stronie komodę i okno z opuszczoną roletą, która przepuszczała jednak kilka smużek niebieskawego światła. Mila zasnęła w ubraniu, ponieważ pościel w tym nędznym motelowym pokoju była poplamiona.

Dlaczego się obudziła? Być może ktoś pukał do drzwi. A może jej się to tylko przyśniło?

Pukanie rozległo się znowu. Wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je tylko na parę centymetrów.



– Kto tam? – spytała bez sensu, mając przed sobą uśmiechniętą twarz Borisa.

– Przyjechałem po ciebie. Za godzinę zaczyna się przeszukanie domu Bermanna. Wszyscy już tam są... Poza tym przyszło mi do głowy, żeby przywieźć ci coś na śniadanie.

Pomachał jej przed nosem papierową torebką, która prawdopodobnie zawierała rogalika i kawę.

Mila spojrzała szybko na siebie. Z pewnością nie prezentuje się dobrze, ale tak jest lepiej, bo może to uspokoi hormony kolegi. Zaprosiła go do środka.

Boris zrobił parę kroków i rozejrzał się po pokoju z zakłopotaną miną, a Mila podeszła do umywalki w rogu, żeby opłukać twarz, ale przede wszystkim, żeby ukryć obandażowane dłonie.

– Ten motel jest gorszy, niż go zapamiętałem. – Wciągnął powietrze. – I ciągle czuć ten sam zapach.

– Zdaje mi się, że to jakiś środek owadobójczy.

– Kiedy przyjęli mnie do zespołu, spędziłem tu prawie miesiąc, zanim znalazłem sobie mieszkanie... Wiesz, że tutaj jednym kluczem można otworzyć wszystkie pokoje? Klienci mają zwyczaj wyjeżdżać bez uiszczenia rachunku i właściciel zmęczył się ustawicznym wymianianiem zamków. Dobrze byś zrobiła, gdybyś na noc zastawiła drzwi komodą.

Mila spojrzała na jego odbicie w lustrze nad umywalką.

– Dzięki za dobrą radę.

– Mówię poważnie. Gdybyś potrzebowała lepszego lokum, mogę ci pomóc.

Mila posłała mu pytające spojrzenie.

– Czy przypadkiem nie zapraszasz mnie do siebie?

Zakłopotany Boris pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nie, nie to miałem na myśli. Mógłbym tylko popytać znajomych, czy jakaś koleżanka zechciałaby dzielić z tobą mieszkanie, to wszystko.

– Mam nadzieję, że nie zatrzymam się tu aż tak długo, żeby tego potrzebować – powiedziała, wzruszając ramionami. Wytarłszy twarz, wskazała torebkę, którą przyniósł. Prawie wyrwała mu ją z rąk i usiadła po turecku na łóżku, żeby sprawdzić zawartość.

Rogaliki i kawa, jak przypuszczała.

Boris poczuł się zdezorientowany tak gwałtownym gestem, a jeszcze bardziej widokiem bandaży na jej dłoniach. Ale nic nie powiedział.

– Głodna? – zapytał, trochę onieśmielony.

– Od dwóch dni prawie nic nie jadłam. Gdybyś się nie zjawił, wątpię, czy znalazłabym siły, żeby wyjść – odpowiedziała z pełnymi ustami.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna mówić takich rzeczy, to oświadczenie było wyraźną zachętą. Ale nie znalazła innego sposobu, żeby mu podziękować, a poza tym naprawdę była głodna. Boris posłał jej triumfujący uśmiech.

– A więc jak się czujesz?

– Łatwo się przystosowuję, więc w sumie dobrze – odparła, a potem dodała w myśli: Jeśli nie liczyć twojej przyjaciółki Sarah Rosy, która mnie nie cierpi.

– Podobało mi się twoje odkrycie z tymi siostrami krwi...

– Szczęśliwy traf. Wystarczyło, że przypomniałam sobie pewne doświadczenia z mojego dzieciństwa. Ty też pewnie robiłeś głupstwa, mając dwanaście lat. Może nie?

Uśmiechnęła się, widząc zakłopotanie kolegi, który na próżno szukał odpowiedzi.

– Żartowałam...

– Och, jasne – mruknął, czerwieniąc się.

Mila przełknęła ostatni kęs, oblizała palce i rzuciła się na drugiego rogalika z torebki, ten Borisa, który w obliczu tak wielkiego apetytu nie miał odwagi zaprotestować.

– Boris, powiedz mi jedną rzecz... Dlaczego nazwaliście go Albert?

– To bardzo ciekawa historia... – Boris śmiało usiadł koło niej na łóżku i zaczął opowiadać: – Pięć lat temu prowadziliśmy bardzo dziwne śledztwo. Seryjny morderca porywał kobiety, gwałcił, zabijał je, dusząc. Znajdowaliśmy ich zwłoki bez prawej stopy.

– Bez prawej stopy?

– Dokładnie. Nikt niczego nie rozumiał, ponieważ ten typ działał bardzo precyzyjnie i nie zostawiał śladów. Nic oprócz amputacji. I na nieszczęście uderzał dość przypadkowo. W sumie doszliśmy już do piątego trupa i nie potrafiliśmy drania złapać. Doktor Gavila wpadł na pewien pomysł...

Mila skończyła drugiego rogalika i zaczęła popijać kawę.

– Jaki?

– Poprosił nas, żebyśmy przejrzyli akta wszystkich śledztw, w których pojawiają się stopy. Nawet tych najbardziej banalnych.

Mila miała zakłopotaną minę.

Wsypała trzy torebki cukru do plastikowego kubka. Boris zauważył to i skrzywił się z niesmakiem. Już chciał jej coś powiedzieć na ten temat, ale wolał ciągnąć opowieść:

– Na początku mi też wydało się to trochę bez sensu. No, ale zaczęliśmy szukać i okazało się, że jakiś czas temu pojawił się złodziej, który chodzi po okolicy i kradnie damskie buty z wystaw przed sklepami obuwniczymi. Wystawia się tam tylko jeden but każdego rozmiaru i modelu, wiesz, żeby nie ukradli, zwykle prawy, by ułatwić klientom przymierzanie.

Mila znieruchomiała z kubkiem kawy w drodze do ust, zachwycona oryginalnością tego śledczego przeczucia.

– Zaczęliście obserwować sklepy z obuwem i złapaliście złodzieja...

– Nazywał się Albert Finley. Trzydziestoośmioletni inżynier, żonaty, dwoje małych dzieci. Domek z ogródkiem na wsi i camper na wakacje.

– Normalny facet.

– W garażu jego domu znaleźliśmy zamrażarkę, a w środku, starannie zawinięte w celofan, pięć prawych kobiecych stóp. Ten

typiek zabawiał się, wkładając na nie ukradzione buty. Cierpiał na coś w rodzaju fetyszystycznej manii.

– Prawa stopa, lewa ręka. Dlatego Albert!

– Dokładnie tak! – potwierdził Boris, kładąc jej rękę na ramieniu.

Mila zrobiła ostry unik, podnosząc się nagle z łóżka. Młody policjant się zawstydział.

– Przepraszam – mruknęła Mila.

– Nie ma problemu.

Nie była to prawda i Mila mu nie uwierzyła. Postanowiła jednak udawać, że przyjmuje jego wyjaśnienie. Podeszła do umywalki.

– Za minutę będę gotowa i pojedziemy.

Boris wstał i ruszył do drzwi.

– Nie musisz się spieszyć. Zaczekam na ciebie na dworze.

Wyszedł z pokoju, a Mila spojrzała w lustro.

– O Boże, kiedy to się skończy? – westchnęła. – Kiedy znowu będę mogła znieść czyjś dotyk?

\* \* \*

Przez całą drogę do domu Bermanna nie zamienili ani słowa.

Wsiadając do auta, Mila stwierdziła, że Boris włączył radio i natychmiast domyśliła się, że chce w ten sposób dać jej do

zrozumienia, jak ma przebiegać podróż. Obrzył się i być może ona ma teraz w zespole nowego wroga.

Jazda zajęła im niecałe półtorej godziny. Bermann mieszkał w domu zatopionym w zieleni, w spokojnej dzielnicy willowej.

Ulica przed wejściem została odgrodzona taśmami. Po drugiej stronie gromadzili się ciekawscy, sąsiedzi i dziennikarze. Patrząc na nich, Mila pomyślała, że się zaczęło. Dojeżdżając na miejsce, wysłuchali wiadomości w radiu. Podano, że znaleziono zwłoki małej Debby i ujawniono nawet personalia Bermanna.

Powód tak wielkiego poruszenia w mediach był prosty: cmentarz rąk to cios dla opinii publicznej, ale teraz wreszcie pojawiło się imię, którym można było nazwać ten koszmar.

Mila spotkała się już z czymś takim przy innych okazjach. Teraz prasa uczepli się pewnie tej sprawy i szybko rozprawi się z wszelkimi aspektami życia Bermanna, nie czyniąc żadnych rozróżnień. Jego samobójstwo było równoznaczne z przyznaniem się do winy. Media będą więc upierać się przy własnej wersji. Przypiszą mu rolę potwora bez skrupułów, odwołując się tylko do własnej jednomyślności.

Zmiażdżą go z całym okrucieństwem, tak samo, jak zgodnie z przypuszczeniami, on postępował ze swoimi małymi ofiarami, nie dostrzegając ironicznego aspektu takiego zestawienia. Będą wypompowywać litrami krew z całej historii, aby zwiększyć atrakcyjność pierwszych stron gazet. Bez szacunku, nieobiektywnie. A kiedy ktoś pozwoli sobie zwrócić im na to uwagę, schowają się za wygodnym i zawsze aktualnym „prawem do relacjonowania”, aby ukryć swoją chorobliwą skłonność do ohydy.

Wysiadłszy z auta, Mila zaczęła się przeciskać przez mały tłumek reporterów i gapiów, weszła na odgradzony teren. Szybkim krokiem ruszyła ścieżką do drzwi domu, nie mogąc uniknąć parokrotnego oślepienia błyskami fleszów. Po drodze podchwyciła spojrzenie Gorana stojącego w oknie. Poczuli się absurdalnie winni, że przyjechała z Borisem, a on to zauważył. A potem zrobiło jej się głupio, że pomyślała o czymś takim.

Goran przeniósł uwagę na wnętrze domu. Zaraz potem Mila przekroczyła próg.

Stern i Sarah Rosa, wspomagani przez innych detektywów, pracowali już od dłuższego czasu i kręcili się jak pracowite owady.

Wszystko było wywrócone do góry nogami. Agenci badali meble, ściany i miejsca, w których mogły kryć się ślady umożliwiające wyjaśnienie sprawy.

Także tym razem Mila nie mogła wziąć udziału w przeszukaniu.

Sarah Rosa warknęła do niej, że może się tylko przypatrywać. Zaczęła się więc rozglądać, trzymając ręce w kieszeniach, żeby nie tłumaczyć się z bandaży na dłoniach.

Jej uwagę przyciągnęły zdjęcia.

Były ich dziesiątki, ustawione na meblach, w eleganckich ramach z drewna lub srebra. Ukazywały Bermanna i jego żonę w szczęśliwych chwilach ich życia, które teraz wydawało się dalekie, prawie nierealne. Stwierdziła, że dużo podróżowali. Na zdjęciach były widoki ze wszystkich stron świata. Jednak w miarę przechodzenia do nowszych fotografii, ukazujących starsze twarze, prezentowane na nich miny stawały się coraz bardziej nieokreślone. Mila była pewna,

że te zdjęcia coś w sobie kryją, ale nie potrafiła powiedzieć co. Wchodząc do tego domu, dziwnie się czuła. Teraz wydawało jej się, że wie dlaczego.

Czyjaś obecność.

Tej krzątaniu agentów przyglądała się też inna obserwatorka. Mila rozpoznała w niej kobietę ze zdjęć. Była to Weronika Bermann, żona domniemanego mordercy. Natychmiast wyczuła, że to osoba wyniosła. Zachowywała pełen godności dystans wobec nieznanym ludzi, którzy dotykali jej rzeczy, nie pytając o pozwolenie, gwałcąc intymność tych przedmiotów, pamiątek, nachalną obecnością. Nie wydawała się jednak zrezygnowana, ale przeciwnie, ustepliwa. Zaoferowała współpracę inspektorowi Roche'owi, zapewniając stanowczo, że jej mąż nie ma nic wspólnego z tymi strasliwymi oskarżeniami.

Mila przyglądała się jej jeszcze, gdy, spojrzawszy za siebie, zobaczyła coś, co ją zaskoczyło: ścianę, którą w całości pokrywały zabalsamowane motyle w ramach za szkłem.

Były wśród nich okazy dziwne i bardzo piękne. Niektóre miały egzotyczne nazwy, umieszczone razem z miejscem pochodzenia na mosiężnej tabliczce. Te najbardziej urokliwe pochodziły z Afryki i z Japonii.

– Są piękne, ponieważ są martwe.

To zdanie wygłosił Goran. Miał na sobie czarny pulower i spodnie z wielbłądziej wełny. Spod swetra wystawał kołnierzyk koszuli. Stał obok niej, żeby przyrzeć się ścianie z motylami.



– Patrząc na to, zapominamy o rzeczy najważniejszej i najbardziej oczywistej... Te motyle już nigdy nie polecą.

– Wyglądają nienaturalnie – zgodziła się Mila. – Mimo to mają też wiele uroku...

– Tak śmierć działa na niektóre osoby. Dlatego istnieją seryjni mordercy.

Goran wykonał nieznaczny ruch ręką. To wystarczyło, by wszyscy członkowie zespołu natychmiast zgromadzili się wokół niego. Znak, że chociaż wydawało się, że wszyscy są pochłonięci swoimi zadaniami, w rzeczywistości nadal obserwowali go w oczekiwaniu, że coś powie albo zrobi.

Mila znalazła w tym potwierdzenie, jak wielkie zaufanie pokładają w jego intuicji. To Goran nimi kieruje. Było to bardzo dziwne, ponieważ nie był „gliną”, a policjanci, przynajmniej ci, których znała, zawsze byli przeciwni poddawaniu się władzy cywila. Byłoby bardziej sprawiedliwie, gdyby grupa nazywała się „drużyną Gavili”, a nie „drużyną Roche’a”, który jak zwykle był nieobecny. Pokazałby się tylko wtedy, gdyby pojawił klasyczny, miazdzący dowód, który ostatecznie przygwoździłby Bermanna.

Stern, Boris i Rosa stanęli wokół doktora, jak zwykle każdy miał swoje miejsce. Mila pozostała nieco z tyłu. Obawiając się, że poczuje się wykluczona, wykluczyła się sama.

Goran zaczął mówić cichym głosem, narzucając ton, w jakim zamierzał przeprowadzić tę rozmowę. Prawdopodobnie nie chciał niepokoić Weroniki Bermann.

– A więc, co już mamy?

Pierwszy odpowiedział Stern, kręcąc głową:

– W domu nie ma niczego znaczącego, co mogłoby połączyć Bermanna z sześcioma dziewczynkami.

– Jego żona chyba o niczym nie wie. Zadałem jej kilka pytań i nie odniosłem wrażenia, żeby kłamała – dodał Boris.

– Nasi ludzie przeszukują ogród z psami wyczuwającymi zwłoki – powiedziała Rosa. – Ale jak dotąd nic.

– Będziemy musieli ustalić, dokąd Bermann udawał się podczas ostatnich sześciu tygodni – rzekł Goran, a wszyscy pokiwali głowami, chociaż wiedzieli, że to prawie niewykonalne.

– Stern, jest coś jeszcze?

– Żadnych dziwnych ruchów pieniędzy w banku. Największy wydatek Bermanna w ostatnim roku wiązał się z leczeniem niepłodności żony, co sporo go kosztowało.

Słuchając wyjaśnień Sterna, Mila zdała sobie sprawę, co wywołało wrażenie, jakie odniosła, gdy wchodziła do domu i oglądała zdjęcia.

Nie była to czyjaś obecność, jak pomyślała w pierwszej chwili.

Pomyliła się.

Była to raczej nieobecność.

W tym domu pełnym drogich i bezosobowych mebli, urządzonym dla dwóch osób, które czuły, że są skazane na życie w samotności, wyczuwało się nieobecność dziecka. Dlatego leczenie bezpłodności, o którym wspomniał Stern, wydawało się bezsensowne wobec faktu, że w tym wnętrzu nie wyczuwało się nawet niecierpliwości kogoś, kto oczekuje daru w postaci dziecka.

Stern zakończył swoje wystąpienie pobieżnym przedstawieniem prywatnego życia Bermanna:

– Nie sięgał po narkotyki, nie pił i nie palił. Miał kartę wstępu do sali gimnastycznej i do wideoteki, ale wypożyczał tylko filmy dokumentalne o owadach. Chodził do kościoła luterańskiego w dzielnicy i dwa razy w miesiącu pracował jako wolontariusz w domu starców.

– Chodzący święty – zauważył ironicznie Boris.

Goran odwrócił się do Weroniki Bermann, żeby się upewnić, że nie usłyszała ostatniej uwagi. Potem spojrział na Rosę.

– Coś jeszcze?

– Przeprowadziłam skanowanie twardego dysku w komputerach, które są w domu i w biurze. Uruchomiłam też procedurę odzyskiwania wszystkich skasowanych plików. Ale nie było niczego ciekawego.

Tylko praca, praca, praca. Ten gość miał hopla na punkcie pracy.

Mila zauważyła, że Goran nagle stał się roztargniony. Trwało to jednak krótko i znów skupił się na rozmowie.

– Czego dowiedzieliśmy się z Internetu?

– Zwróciłam się do spółki, która jest właścicielem serwera, i przesłali mi listę stron, odwiedzanych w ostatnich sześciu miesiącach.

Tam też nic... Wydaje się, że interesowały go szczególnie blogi poświęcone przyrodzie, podróżom i zwierzętom. Poza tym kupował

przez Internet przedmioty antykwaryczne, oraz na eBayu, przede wszystkim kolekcjonerskie okazy motyli.

Rosa skończyła mówić, a Goran skrzyżował ręce na piersi i patrzył na swoich współpracowników. Także na Milę, która poczuła się wreszcie członkiem zespołu.

– I co o tym myślicie? – zapytał.

– Czuję się jakby oślepiony – odparł Boris i poparł swoje słowa wymownym gestem, zakrywając jedną ręką oczy. – Wszystko jest zbyt czyste. – Pozostali pokiwali głowami.

Mila nie wiedziała, co miał na myśli, ale nie chciała go o to pytać.

Goran przeciągnął dłonią po czole i potarł zmęczone oczy. Na jego twarzy znowu pojawiło się roztargnienie... Jakby była jakaś myśl, która na sekundę lub dwie przenosi go gdzie indziej, a którą z jakiegoś powodu odsuwa.

– Jak brzmi pierwsza zasada śledztwa przeciwko podejrzanemu?

– Wszyscy mamy jakieś tajemnice – odparł szybko czujny Boris.

– Właśnie – zawtórował mu Goran. – Wszyscy okazaliśmy słabość przynajmniej raz w życiu. Każdy z nas ma mały lub duży sekret... Ale rozejrzyjcie się: ten człowiek jest wzorem dobrego męża, dobrego chrześcijanina, dobrego pracownika – powiedział, odliczając każdy punkt na palcach. – Jest filantropem, człowiekiem dbającym o zdrowie, wypożycza tylko filmy dokumentalne, nie ma wad, kolekcjonuje motyle... Czy taki człowiek jest wiarygodny?

Tym razem odpowiedź była do przewidzenia. A jednak nie.

– W takim razie, skąd wziął się trup dziewczynki w jego bagażniku?

– Trochę się oczyścił... – odezwał się Stern.

Goran zgadzał się z nim.

– Czaruje nas całą tą perfekcją, żeby odwieść nas od zajrzenia gdzie indziej... A gdzie nie patrzymy w tym momencie?

– Więc co mamy robić? – zapytała Rosa.

– Zaczynicie od początku. Odpowiedź jest tam, w rzeczach, które już zbadaliście. Przejrzyjcie je jeszcze raz. Będziecie musieli usunąć tę błyszczącą skorupę, która je okrywa. Nie dajcie się zwieść blaskiem przykładowego życia. Ten połysk służy tylko odwróceniu naszej uwagi i pogrążeniu nas w zamęcie. Poza tym musicie...

Goran znowu stracił wątek. Kierował uwagę gdzie indziej. Tym razem zauważyli to wszyscy. Było coś, co przyjmowało realny kształt w jego głowie.

Mila postanowiła śledzić spojrzenie kryminologa, które błędziło po pomieszczeniu. Nie było zagubione w pustce. Zorientowała się, że Goran na coś patrzy...

Dostrzegła małą czerwoną diodę, która migotała we własnym rytmie, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę.

– Czy ktoś odsłuchiwał wiadomości z automatycznej sekretarki? – zapytał Gavila.

Wszyscy wbili wzrok w aparat. Poczuli się winni, przyłapani na tym gorszącym przeoczeniu. Ale Goran nie zrobił z tego sprawy, tylko

podszedł, żeby nacisnąć guzik uruchamiający mały cyfrowy magnetofon.

Wkrótce mrok wypluł słowa martwego człowieka.

I Alexander Bermann po raz ostatni zagościł w swoim domu.

„Hmm... To ja... Hmm... Nie mam dużo czasu... Mimo to chciałem ci powiedzieć, że mi przykro... Przykro mi z powodu wszystkiego... Powinienem zrobić to wcześniej, ale nie zrobiłem... Spróbuj mi przebaczyć. Wszystko to była moja wina...”.

Połączenie zostało przerwane i w pokoju zapadła kamienna cisza.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na Weronice Bermann, która stała nieruchomo jak posąg.

Goran Gavila był jedynym, który się poruszył. Podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu, po czym poprosił policjantkę, żeby zaprowadziła ją do innego pokoju.

W imieniu wszystkich odezwał się Stern:

– No cóż, moi państwo, wydaje się, że mamy wyznanie winy.

## 8.

Postanowiła nazywać ją Priscilla.

Zdecydowała też, że zastosuje metodę Gorana, który poszukiwanych morderców obdarzał ludzkimi cechami, żeby byli bardziej prawdziwi w jego oczach i przestali być tylko umykającymi cieniami. Mila postanowiła więc nadać ofierze numer sześć imię dziewczynki, która miała więcej szczęścia, a teraz żyje nie wiadomo gdzie jak wiele innych dziewczynek, nieświadoma tego, przed czym się uchroniła.

Mila podjęła tę decyzję w drodze powrotnej do motelu. Do odwiezienia jej wyznaczono policjanta. Tym razem Boris się nie zgłosił, ale Mila nie miała do niego pretensji po tym, jak szorstko potraktowała go tego ranka.

Powodem nadania szóstej dziewczynce imienia Priscilla była nie tylko potrzeba obdarzenia jej ludzkimi cechami. Była też inna przyczyna: Mila nie potrafiła odnosić się do niej jak do kolejnego numeru.

Wyczuwała, że jest ostatnią osobą w zespole, której zależy na ustaleniu jej tożsamości, ponieważ po wysłuchaniu wiadomości zostawionej przez Bermanna nie stawiano już tej sprawy na pierwszym miejscu.

Grupa śledcza miała zwłoki w samochodzie i nagrane na taśmę automatycznej sekretarki słowa, które pod każdym względem

brzmiały jak przyznanie się do winy. Nie było potrzeby zajmowania się czymś więcej. Chodziło już tylko o połączenie agenta handlowego z innymi ofiarami. A potem o poznanie motywu. Ale ten być może jest już znany...

To nie dziewczynki są ofiarami, ale ich rodziny.

Te słowa wygłosił Goran, kiedy przyglądali się rodzicom dziewczynek przez szybę prosektorium. Rodzicom, którzy z różnych powodów mieli tylko jedno dziecko. Matka, grubo po czterdziestce, z powodów biologicznych nie mogła spodziewać się zajścia w ciążę... „To oni są jego prawdziwymi ofiarami. Przyglądał im się, wybrał ich”. I potem: „Tylko jedna córka. Chciał odebrać im wszelką nadzieję na przezwycięzenie żałoby, na próbę zapomnienia o stracie. Będą musieli pamiętać o tym, co im zrobił, do końca swoich dni. Powiększył ich ból, zabierając im przyszłość. Pozbawił ich możliwości przeniesienia pamięci o sobie na przyszłe lata, przeżycia własnej śmierci... I cieszył się tym. To nagroda za jego sadyzm, źródło jego rozkoszy”.

Alexander Bermann nie miał dzieci. Chciał je mieć. Jego żona poddała się sztucznej zapłodnieniu. Nie udało się. Być może z tego powodu chciał wyładować swoją wściekłość na tych biednych rodzinach. Może mścił się za to, że los skazał go na bezdzietność.

Nie, to nie jest zemsta, rozmyślała Mila. W tym jest coś innego...

Nie zgadzała się z tą koncepcją, ale nie wiedziała, skąd to przeczucie.

Samochód podjechał w pobliże motelu, Mila wysiadła i pożegnała się z policjantem, który ją odwiózł. Odpowiedział jej skinieniem



głowy i zawrócił, żeby odjechać, zostawiwszy ją samą na środku szerokiego, wysypanego żwirem placu graniczącego z zalesionym pasem, wzdłuż którego stało kilka bungalowów. Było zimno, a jedyne źródło światła stanowiła neonowa reklama informująca o wolnych pokojach i płatnych kanałach TV. Mila ruszyła do swojego domku. Okna wszystkich pozostałych były ciemne.

Była jedynym gościem motelu.

Minęła biuro dozorca skąpane w błękitnawym blasku telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Gospodarza nie było. Może poszedł do toalety, pomyślała Mila, idąc dalej. Na szczęście miała przy sobie klucz, bo inaczej musiałaby czekać na powrót dozorca.

Niosła papierową torbę, w której był napój gazowany i dwa tosty z serem – jej kolacja – oraz słoik z maścią, którą zamierzała wetrzeć w oparzenia na dłoniach. Jej oddech zamieniał się w obłoczek w lodowatym powietrzu. Mila przyspieszyła, czując przejmujące zimno. Jej kroki na żwirze były jedynym odgłosem, jaki rozlegał się wśród nocy.

Bungalow, do którego zmierzała, stał ostatni w rzędzie.

Rozmyślała o Priscilli. Przypomniały jej się słowa lekarza sądowego, Changa: „Powiedziałbym, że zamordował je od razu, nie miał żadnego interesu, żeby utrzymywać je przy życiu dłużej niż to konieczne, toteż zabił bez wahania. Okoliczności śmierci są identyczne w przypadku wszystkich ofiar. Z wyjątkiem jednej...”. Doktor Gavila zapytał wtedy: „Jak to rozumieć?”. A Chang odpowiedział, wpatrując się w niego, że ta szósta cierpiała najdłużej...

Milę prześladowało to właśnie zdanie.

Ale nie tylko z powodu przypuszczenia, że szósta dziewczynka musiała zapłacić wyższą cenę niż inne. „Spowolnił wykrwawianie się, żeby umierała wolniej... Chciał się cieszyć tym widokiem...”. Nie, to coś innego. Dlaczego morderca zmienił *modus operandi*? Jak podczas spotkania z Changiem, Mila znowu poczuła łaskotanie u podstawy czaszki.

Do domku było już tylko kilka metrów, a ona koncentrowała się na tym przeczuciu, tym razem przekonana, że zdoła uchwycić, w czym rzecz. Z powodu małego zagłębienia w ziemi o mało się nie potknęła.

I wtedy to usłyszała.

Cichy odgłos za jej plecami zmiótł w jednej chwili wszystkie myśli. Stąpanie po żwirze. Ktoś „kopiował” jej kroki. Skoordynował swój chód z jej chodem, starając się podejść do niej tak, żeby tego nie spostrzegła. Kiedy się potknęła, jej prześladowca zgubił rytm, ujawniając w ten sposób swoją obecność.

Mila nie straciła panowania nad sobą, nie zwolniła. Kroki prześladowcy znowu nałożyły się na jej kroki. Oceniała, że jest około dziesięciu metrów za nią. Zaczęła rozważać możliwe reakcje. Sięganie po pistolet, który trzymała za paskiem z tyłu, nie miało sensu, bo jeśli śledzący jest uzbrojony, będzie miał dość czasu, żeby strzelić pierwszy. Dozorca, pomyślała. Włączony telewizor w pustym biurze. Jego już się pozbył. Teraz kolej na mnie. Do progu bungalowu było już bardzo blisko. Musiała się na coś zdecydować. I zrobiła to. Nie miała wyboru.

Włożyła rękę do kieszeni w poszukiwaniu klucza i błyskawicznie pokonała trzy schodki prowadzące na ganek. Obróciła klucz w

zamku, otworzyła drzwi i z szybko bijącym sercem wsunęła się do środka.

Wyciągnęła pistolet, a drugą ręką sięgnęła do kontaktu. Zapaliła się lampa koło łóżka. Mila przywarła plecami do drzwi i nastawiła uszu.

Nie zaatakował mnie – pomyślała. Wydało jej się, że słyszy kroki na ganku.

Boris powiedział jej, że jednym motelowym kluczem można otworzyć wszystkie drzwi, bo właściciel zmęczył się wymianianiem zamków z powodu klientów, którzy wyjeżdżali, nie płacąc rachunku i zabierając ze sobą klucze. Czy ten, kto mnie śledzi, o tym wie? Prawdopodobnie ma taki sam klucz jak ja. Jeśli spróbuje wejść do środka, mogę zaskoczyć go od tyłu.

Uklękła i po zaplamionym dywanie podpełzła do okna po drugiej stronie. Przywarła do ściany i uniosła rękę, żeby je otworzyć. Zawiasy chodziły ciężko. Z trudem zdołała uchylić jedno skrzydło. Wstała, skoczyła i znalazła się na dworze, znowu w ciemnościach.

Przed sobą miała las. Wiatr kołysał czubkami drzew. Na tyłach motelu biegł cementowy chodnik, który łączył wszystkie bungalowy.

Mila pochyliła się i ruszyła po nim, starając się wychwycić każdy ruch, każdy szmer. Szybko minęła sąsiedni bungalow, a potem jeszcze jeden. Wreszcie zatrzymała się i weszła w wąskie przejście między nimi.

Teraz musiała się wychylić, żeby mieć widok na ganek swojego bungalowu. To jednak ryzykowne. Ścisnęła kolbę pistoletu obiema rękami, zapominając o bolących oparzeniach. Szybko policzyła do

trzech, odetchnęła głęboko trzy razy, i wyskoczyła zza rogu z wycelowaną bronią. Nikogo. Ale te szmery nie mogły być wytworem jej wyobraźni. Była pewna, że ktoś za nią szedł. Ktoś, kto potrafił poruszać się za czyimiś plecami, maskując odgłosy własnych kroków.

Jak drapieżnik.

Rozejrzała się, szukając śladów czyjejś obecności na placu. Wydawało się, że uleciały z wiatrem przy wtórze jednostajnego szumu drzew otaczających motel.

– Przepraszam panią...

Mila odskoczyła do tyłu, nie podnosząc pistoletu, sparaliżowana tymi dwoma zwykłymi słowami. Dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że ma przed sobą dozorcę, który widząc, że ją przestraszył, odezwał się znowu, tym razem tonem usprawiedliwienia:

– Przepraszam.

– O co chodzi? – zapytała. Nie mogła uspokoić szalejącego serca.

– Proszę panią do telefonu...

Mężczyzna wskazał biuro i Mila ruszyła w tamtym kierunku, nie czekając, aż dozorca pójdzie przodem.

– Mila Vasquez – rzuciła do słuchawki.

– Witam, mówi Stern... Doktor Gavila chce panią widzieć.

– Mnie? – Była zaskoczona, choć poczuła też dumę.

– Tak. Zadzwoniliśmy do policjanta, który panią odwoził, wraca, żeby panią zabrać.

– Dobrze. – Mila była zakłopotana. Stern nie powiedział nic więcej, więc zaryzykowała pytanie: – Jakież nowe fakty?

– Alexander Bermann coś przed nami ukrył.

\* \* \*

Boris próbował ustawić GPS, nie odrywając wzroku od drogi. Mila wpatrywała się przed siebie, nic nie mówiąc. Gavila zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Otulił się wygniecionym płaszczem i zamknął oczy.

Jechali do domu siostry Weroniki Bermann, u której znalazła ona schronienie przed dziennikarzami.

Goran był przekonany, że Bermann starał się coś ukryć. Wywnioskował to z treści telefonu zarejestrowanego przez sekretarkę: „Hmm... To ja... Hmm... Nie mam dużo czasu... Mimo to chciałem ci powiedzieć, że jest mi przykro... Przykro mi z powodu wszystkiego... Powinienem zrobić to wcześniej, ale nie zrobiłem... Spróbuj mi przebaczyć. Wszystko to była moja wina...”.

Na podstawie wykazów połączeń ustalili, że Bermann wykonał ten telefon, gdy znajdował się w komisariacie policji drogowej, mniej więcej w chwili, gdy odkryto zwłoki małej Debby Gordon.

Goran natychmiast zadał sobie pytanie, dlaczego człowiek w sytuacji Alexandra Bermanna – z trupem w bagażniku i z zamiarem odebrania sobie życia, gdy tylko będzie to możliwe – miałby odczuwać potrzebę zadzwonienia do żony.

Seryjni mordercy nie tłumaczą się ze swoich czynów. Jeśli to robią, to dlatego, że chcą stworzyć inny obraz samych siebie, ponieważ leży to w ich oszukańczej naturze. Ich celem jest wypaczenie prawdy, zagęszczenie zasłony dymnej, którą się otaczają. Ale wydawało się, że w przypadku Bermanna wygląda to inaczej. W jego głosie była niecierpliwość, jakby chciał doprowadzić coś do końca, zanim będzie za późno.

O wybaczenie czego prosił Alexander Bermann?

Goran był pewny, że miało to coś wspólnego z jego żoną i ich stosunkami.

– Panie doktorze, proszę to powtórzyć...

Goran otworzył oczy i zobaczył Milę, która odwróciła się na siedzeniu i wpatrywała w niego, czekając na odpowiedź.

– Być może Weronika Bermann coś odkryła. Prawdopodobnie był to powód kłótni między nią i mężem. Moim zdaniem on chciał ją prosić o wybaczenie właśnie tego.

– A dlaczego ta informacja miałaby być dla nas taka ważna?

– Nie wiem, czy jest ważna... Ale człowiek w jego sytuacji nie traci czasu na załagodzenie zwykłej małżeńskiej sprzeczki, jeśli nie ma w tym jakiegoś celu.

– A jaki to mógłby być cel?

– Może jego żona nie jest do końca świadoma, co wie.

– A on tym telefonem chciał powstrzymać jej domysły, żeby uniemożliwić dotarcie do sedna. Albo zdradzenie nam jakiegoś szczegółu...

– Tak, o tym właśnie myślę... Aż do tej chwili Weronika Bermann chętnie z nami współpracowała, nie miałyby żadnego interesu w ukrywaniu czegoś, gdyby nie myślała, że ta informacja nie ma nic wspólnego z oskarżeniami wobec jej męża, ale odnosi się tylko do nich dwojga.

W oczach Mili wszystko rysowało się teraz dużo wyraźniej. To przecucie kryminologa nie oznacza jednak przełomu w śledztwie.

Trzeba je najpierw zweryfikować. Dlatego Goran na razie nie rozmawiał o tym z Roche'em.

Mieli nadzieję, że spotkanie z Weroniką Bermann podsunie im jakieś znaczące sugestie. Tego rodzaju nieformalną pogawędkę powinien przeprowadzić Boris, jako ekspert od przesłuchań, jednak Goran zdecydował, że z żoną Bermanna zobaczy się tylko on i Mila. Boris przyjął to tak, jakby chodziło o polecenie wydane przez zwierzchnika, a nie przez cywilnego konsultanta, ale jego niechęć do Mili wzrosła.

Nie pojmował, dlaczego to ona ma wziąć udział w tej rozmowie.

Mila wyczuwała napięcie i tak naprawdę nawet ona nie do końca rozumiała powody, które skłoniły Gorana do wybrania jej, a nie Borisa. Borisowi pozostał tylko obowiązek poinstruowania, jak prowadzić rozmowę. I to właśnie robił do chwili, gdy zgubił się przy manipulowaniu GPS-em, starając się znaleźć cel podróży.

Mila zastanawiała się nad uwagą Borisa, gdy Stern i Rosa szkicowali portret Alexandra Bermanna: „Czuję się jakby oślepiony. Wszystko jest zbyt czyste”.

Ta doskonałość była mało wiarygodna. Wydawało się, jakby przygotowano ją na użytek kogoś innego.

Wszyscy mamy jakąś tajemnicę, powtórzyła w myślach Mila. Ja też.

Zawsze jest coś do ukrycia. Gdy była mała, ojciec mawiał: „Wszyscy dłubiemy palcem w nosie, i choć staramy się to robić, gdy nikt nas nie widzi, jednak to robimy”.

Co więc ukrywał Alexander Bermann?

Co wie jego żona?

Jak ma na imię dziewczynka numer sześć?

Dotarli na miejsce prawie o świcie. Nad miasteczkiem górował mały kościółek wciśnięty w zakręt grobli, a domy stały nad rzeką.

Siostra Weroniki Bermann zajmowała mieszkanie nad piwiarnią.

Sarah Rosa uprzedziła ją telefonicznie o ich wizycie. Jak było do przewidzenia, nie oponowała. Telefon miał uspokoić jej ewentualne obawy, że będzie przesłuchiwana. Jednak Weronika Bermann nie potrzebowała zapewnień policjantki, prawdopodobnie zgodziłaby się na najbardziej surowe przesłuchanie.

Przyjęła Milę i Gorana w rannych pantoflach i szlafroku – była dopiero siódma rano. Zaprosiła ich do saloniku, z belkami pod sufitem i rzeźbionymi meblami, i zaproponowała świeżo zaparzoną kawę. Mila i Goran zajęli miejsca na kanapie, a Weronika Bermann przycupnęła na brzegu fotela. Patrzyła zgaszonymi oczami kobiety, która nie może ani spać, ani płakać. Położyła ręce na kolanach i Goran wyczuł, że jest spięta.



Pokój oświetlony był ciepłym żółtym światłem lampy przykrytej starą chustą, a zapach ozdobnych roślin stojących na parapecie okna stwarzał miły, przytulny nastrój.

Siostra Weroniki Bermann naląła kawę i zabrała pusty dzbanek.

Gdy zostali sami, Goran pozwolił Mili nawiązać rozmowę. Zadawanie pytań, z którymi tu przyjechali, wymagało taktu. Milla odczekała dłuższą chwilę, pijąc kawę. Nie spieszyło jej się, chciała zacząć dopiero wtedy, gdy kobieta zrezygnuje z postawy obronnej. Boris uprzedził ją, że w pewnych przypadkach wystarczy jedno niewłaściwe zdanie, żeby rozmówca zamknął się w sobie i odmówił współpracy.

– Pani Bermann, to wszystko musi być dla pani bardzo męczące.

Przykro nam, że zjawiamy się o takiej porze.

– Proszę się nie przejmować, jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania.

– Chcemy lepiej poznać pani męża, także dlatego, że tylko wtedy będziemy mogli ustalić, w jakim stopniu był w to zamieszany. A proszę mi wierzyć, w całej tej sprawie jest wiele niewyjaśnionych kwestii. Niech pani nam o nim opowie...

Wyraz twarzy Weroniki pozostał niezmienny, ale jej spojrzenie stało się bardziej intensywne.

– Alexander i ja znaleźliśmy się jeszcze z liceum – zaczęła. – Był starszy ode mnie o dwa lata i grał w drużynie hokejowej. Nie był wybitnym sportowcem, ale wszyscy go lubili. Jedną z moich koleżanek się z nim spotykała i dzięki temu go poznałam. Zaczęliśmy wychodzić razem, ale całą grupą, jako przyjaciele. Niczego między

nami nie było i nawet nie myśleliśmy, że mogłoby nas połączyć uczucie. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby patrzył na mnie wtedy w ten sposób... To znaczy, jak na przyszłą narzeczoną. Ani ja na niego.

– Stało się to później...

– Tak. Czy to nie dziwne? Po liceum straciłam go z oczu i przez wiele lat się nie widzieliśmy. Od wspólnych przyjaciół wiedziałam, że studiował na uniwersytecie. Pewnego dnia znowu pojawił się w moim życiu. Zadzwoił do mnie, mówiąc, że przypadkiem znalazł mój numer w książce telefonicznej. Później dowiedziałam się od tych samych przyjaciół, że było inaczej, bo kiedy wrócił po egzaminach dyplomowych, pytał, co się ze mną dzieje...

Słuchając jej, Goran miał wrażenie, że nie poddaje się nostalgii, a jej opowieść ma określony cel. Jakby świadomie prowadziła ich do jakiegoś odległego w czasie miejsca, gdzie mogliby znaleźć to, czego szukają.

– Od tamtej chwili zaczęliście się spotykać... – podsunęła Mila.

Goran zauważył z zadowoleniem, że idąc za wskazówkami Borisa, postanowiła nie zadawać pytań Weronice Bermann, ale podsuwać jej zdania, które wymagają uzupełnienia, tak, aby spotkanie wyglądało bardziej na rozmowę niż na przesłuchanie.

– Od tamtej chwili zaczęliśmy się spotykać – powtórzyła pani Bermann. – Alexander bardzo energicznie się do mnie zalecał, chciał, żebym za niego wyszła. I w końcu się zgodziłam.

Goran zamyślił się nad tym ostatnim zdaniem. Wydawało mu się fałszywe, niczym przechwałka włączona pośpiesznie do rozmowy w nadziei, że przejdzie niezauważona. Przypomniał też sobie, co

pomyślał, widząc tę kobietę po raz pierwszy: Weronika nie była piękna, prawdopodobnie nigdy nie wyróżniała się urodą. Przeciętą kobiecość pozbawiona szlachetności. Natomiast Alexander Bermann był przystojnym mężczyzną. Jasnoniebieskie oczy, pewny siebie uśmiech człowieka, który wie, że roztacza urok. Kryminologowi trudno było uwierzyć, że musiał długo nalegać, by Weronika zgodziła się zostać jego żoną.

W tym momencie Mila postanowiła nadać rozmowie określony kierunek.

– Jednak ostatnio wam się nie układało...

Weronika milczała. Zbyt długo, zdaniem Gorana, który odniósł wrażenie, że Mila za prędko rzuciła haczyk.

– Mieliliśmy problemy – przyznała w końcu Weronika Bermann.

– W przeszłości staraliście się o dzieci...

– Przez pewien czas poddawałam się kuracji hormonalnej. Potem próbowaliśmy sztucznego zapłodnienia.

– Wyobrażam sobie, że bardzo chcieliście mieć dziecko...

– Nalegał na to głównie Alexander.

Powiedziała to tonem usprawiedliwienia, co mogło oznaczać, że był to powód tarć między małżonkami.

Zaczynali zbliżać się do celu. Goran był zadowolony. Chciał, żeby to Mila rozmawiała z panią Bermann, ponieważ był przekonany, że jako kobiecie łatwiej przyjdzie jej nawiązać z nią kontakt i dzięki temu pokonać ewentualny opór. Mógł wybrać Sarah Rosę i być może

nie uraziłby Borisa, ale wydawało mu się, że Mila lepiej sobie z tym poradzi, i nie pomylił się.

Policjantka pochyliła się nad stolikiem, który stał między kanapą i fotelem Weroniki Bermann, żeby odstawić filiżankę. Chciała w ten sposób podchwycić spojrzenie Gorana, tak żeby rozmówczyni tego nie zauważyła. On skinął lekko głową: był to sygnał, że nadszedł moment na przypuszczenie decydującego ataku.

– Pani Bermann, dlaczego w wiadomości nagranej na automatyczną sekretarkę pani mąż prosił panią o wybaczenie?

Weronika odwróciła głowę, starając się ukryć łzę spływającą po policzku.

– Pani Bermann, proszę się nie obawiać, żaden policjant ani prokurator czy sędzia nie może zmusić pani do udzielenia odpowiedzi na to pytanie, ponieważ ten fakt nie ma żadnego znaczenia dla śledztwa.

Ale dla nas jest to ważne, ponieważ może się okazać, że pani mąż jest niewinny...

Usłyszawszy to ostatnie słowo, Weronika Bermann odwróciła się do Mili.

– Niewinny? Alexander nikogo nie zabił... Ale to nie znaczy, że miał czyste sumienie!

Wypowiedziała to z ponurą wściekłością, która pojawiła się bez uprzedzenia i sprawiła, że zmienił jej się głos. Goran usłyszał potwierdzenie, na które czekał. Mila także zrozumiała: Weronika Bermann na nich czekała. Spodziewała się ich wizyty, pytań ukrytych między niewinnymi zwrotami rzucanymi mimochodem. Sądziła, że

panują nad przebiegiem rozmowy, ale okazało się, że ta kobieta przygotowała swoją opowieść, aby doprowadzić ich do tego miejsca. Musiała to komuś powiedzieć.

– Podejrzewałam, że Alexander ma kochankę. Żona zawsze bierze pod uwagę taką możliwość, próbuje też ustalić, czy będzie mogła mu wybaczyć. Ale prędzej czy później chce wiedzieć. Tak więc pewnego dnia zaczęłam szperać w jego ubraniach. Nie miałam pojęcia, czego szukać, i nie wiedziałam, jak zareaguję, gdy znajdę dowód.

– Co pani znalazła?

– Potwierdzenie. Alexander ukrywał elektroniczny notatnik, taki sam jak te, których zwykle używał w pracy. Po co mu były potrzebne dwa jednakowe, jeśli nie po to, by posługiwać się jednym w celu ukrycia drugiego? W ten sposób poznałam imię jego kochanki. Notował wszystkie ich spotkania! Powiedziałam mu o tym, ale zaprzeczył i natychmiast ukrył notatnik. Nie darowałam mu jednak, śledziłam go aż do domu tej kobiety w obskurnej dzielnicy. Jednak nie miałam odwagi tam wejść. Zatrzymałam się przed drzwiami. W gruncie rzeczy nie chciałam stanąć z nią twarzą w twarz.

Więc na tym polegała cała tajemnica Alexandra Bermanna? – zastanawiał się Goran. Kochanka? Męczyli się pół nocy dla takiej błahostki?

Na szczęście nie poinformował o swojej inicjatywie Roche'a, bo w przeciwnym razie musiałby znieść kpiny szefa, który uważał śledztwo za zamknięte. Tymczasem Weronika Bermann przypominała wezbraną rzekę i nie zamierzała się z nimi pożegnać, zanim nie da ujścia swoim żalom do męża. Żarliwa obrona małżonka po odkryciu trupa w bagażniku jego auta była tylko sposobem na uniknięcie

ciężaru oskarżenia, na pozbycie się bryzgów błota. Teraz, gdy znalazła w sobie siły, aby uwolnić się od obowiązku małżeńskiej solidarności, zaczęła nie mniej energicznie niż inni kopać pod nim dół, z którego Alexander nie zdołałby się już wydostać.

Goran spojrział Mili w oczy, aby zachęcić ją do jak najszybszego zakończenia rozmowy, ale w tym samym momencie dostrzegł nagłą zmianę na jej twarzy. Teraz malowało się na niej zdumienie i niepewność.

Podczas długich lat pracy Goran nauczył się rozpoznawać, kiedy ludzie się boją. Zrozumiał, że coś głęboko poruszyło Milę.

Chodziło o imię.

Usłyszał, jak Mila pyta Weronikę Bermann:

- Mogłaby pani powtórzyć imię kochanki pani męża?
- Powiedziałam już pani: ta zdzira miała na imię Priscilla.

## 9.

To nie może być zbieg okoliczności.

Mila przypomniała wszystkim najbardziej znaczące aspekty ostatniego śledztwa, które prowadziła, dotyczącego nauczyciela muzyki.

Ale gdy zacytowała słowa sierżanta Morexu, odnoszące się do natrafienia na imię Priscilla w notatniku „potwora”, Sarah Rosa wzniosła oczy do nieba, a Stern pokręcił głową.

Nie wierzyli jej. Ale to zrozumiało. Mila nie poddawała się jednak przekonaniu, że nie ma tu żadnego związku. Nie oponował tylko Goran. Kto wie, co miał nadzieję w ten sposób osiągnąć. Mila za wszelką cenę chciała zgłębić ten żart losu, ale jej rozmowa z Weroniką Bermann przyniosła tylko jeden rezultat: kobieta powiedziała, że śledziła męża aż do domu jego kochanki, do którego właśnie jechali. Możliwe, że w budynku tym kryją się jeszcze inne koszmary. Może nawet ciała dziewczynek.

Oraz coś, co pomoże odnaleźć tę szóstą.

Mila chętnie powiedziałaaby kolegom: „Nazwałam ją Priscilla...”.

Ale nie zrobiła tego. Teraz wydawało jej się to prawie bluźnierstwem.

Zupełnie jakby imię wybrał dla niej Bermann, jej kat.

Domek był typowy dla peryferyjnego przedmieścia, stał w dzielnicy zbudowanej w latach sześćdziesiątych jako naturalne uzupełnienie nowo powstałego obszaru przemysłowego. Składały się na nią szare budynki, które z czasem pokryły się czerwonym kurzem z pobliskiej stalowni. Nieruchomości o niskiej wartości handlowej, pilnie potrzebujące napraw. Mieszkańcami byli przede wszystkim imigranci, bezrobotni i rodziny, które korzystały ze wsparcia pomocy społecznej.

Goran zauważył, że nikt nie śmie spojrzeć na Milę. Wszyscy trzymają się z dala od niej, ponieważ wyglądało na to, że podsunąwszy nieoczekiwanie nowy wątek, przekroczyła pewną granicę.

– Jak można mieszkać w takim miejscu? – prychnął Boris, rozglądając się z niesmakiem.

Numer, którego szukali, znajdował się na samym końcu rzędu domków. Odpowiadał budynkowi z suteroną, do której prowadziły zewnętrzne schody. Drzwi były obite blachą. Trzy okna znajdowały się na poziomie ulicy, opatrzone były kratami i zabite od środka deskami.

Stern próbował zajrzeć do środka, osłaniając dłońmi oczy i pochylając się w śmiesznej pozie, wypięty, żeby nie pobrudzić sobie spodni.

– Nic nie widać.

Boris, Stern i Rosa kiwnęli do siebie głowami i zajęli pozycje po obu stronach wejścia. Stern dał znak Goranowi i Mili, żeby zostali z tyłu.



Do drzwi podeszedł Boris. Nie było dzwonka, więc zastukał. Zrobił to energicznie, całą dłonią. Hałas miał przestraszyć lokatorkę, ale Boris celowo przemówił spokojnie:

– Proszę pani, policja. Niech pani otworzy...

Był to jeden ze sposobów wywierania psychologicznej presji, mający na celu zdezorientowanie rozmówcy udawaną cierpliwością, a zarazem skłonienie go do pośpiechu. Ale tym razem nie zadziałał, ponieważ wydawało się, że w domu nikogo nie ma.

– Dobra, wchodzimy – rzuciła Rosa, najbardziej niecierpliwa ze wszystkich.

– Musimy poczekać, aż zadzwoni Roche z informacją, że dostał nakaz – przypomniał Boris i spojrział na zegarek. – Nie powinno mu to zająć dużo czasu...

– Do diabła z Roche'em i jego nakazem! – wykrzyknęła Rosa. – Tam w środku może być nie wiadomo co!

– Ona ma rację – poparł ją Goran. – Wchodzimy.

W sposobie, w jaki wszyscy przyjęli jego decyzję, Mila znalazła potwierdzenie, że w oczach tego małego grona Goran liczy się bardziej niż Roche.

Ustawili się przed drzwiami. Boris wyjął futerał z narzędziami i zabrał się do otwierania zamka. Po kilku chwilach zasuwa odskoczyła.

Trzymając pistolet, drugą ręką popchnął żelazne drzwi.

Wyglądało na to, że w domu nikt nie mieszka.

Korytarz, wąski i pusty. Światło dzienne nie wystarczało, żeby go oświetlić. Rosa sięgnęła po latarkę i w jej świetle ukazało się troje drzwi. Pierwszych dwoje po lewej, trzecie w głębi – zamknięte.

Zaczęli sprawdzać pomieszczenia. Boris szedł pierwszy, za nim Rosa, z tyłu Stern i Goran. Mila na końcu. Wszyscy oprócz kryminologa mieli w rękach pistolety. Mila była tylko „przydzielona” do zespołu, toteż nie mogła wyjąć broni, ale wsunęła ją za pasek dżinsów, obejmując palcami kolbę, w pełnej gotowości. Dlatego weszła ostatnia.

Boris nacisnął włącznik na jednej ze ścian.

– Nie ma prądu.

Uniósł latarkę, żeby zajrzeć do pierwszego z trzech pomieszczeń.

Było puste. Na ścianie widniała plama wilgoci, która od fundamentów zżerała jak rak cały tynk. Rury centralnego ogrzewania i kanalizacji krzyżowały się pod sufitem. Na podłodze utworzyła się kałuża ścieków.

– Ale tu śmierdzi! – mruknął Stern.

Nikt nie mógłby mieszkać w takich warunkach.

– Nie ulega wątpliwości, że nie ma tu żadnej kochanki – odezwała się Rosa.

– Więc co to za miejsce? – zastanawiał się Boris.

Dotarli do drugiego pomieszczenia. Drzwi uchylały się ciężko na zardzewiałych zawiasach. Takie miejsce mogło być dobrą kryjówką dla ewentualnego napastnika. Boris kopniakiem otworzył szerzej drzwi, ale za nimi też nikt nie stał. Pomieszczenie było tak samo

zaniedbane jak poprzednie. Z posadzki poodklejały się płytki, odsłaniając betonową wylewkę. Nie było mebli, tylko żelazny szkielet kanapy. Ruszyli dalej.

Pozostał ostatni pokój. Ten w głębi korytarza, którego drzwi były zamknięte.

Boris uniósł do oczu dwa palce lewej dłoni, znak uzgodniony ze Sternem i Rosą. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Młody policjant cofnął się o krok i wymierzył kopniaka w miejsce, w którym znajdowała się klamka. Drzwi otworzyły się na oścież i trójka agentów ustawiła się w gotowości do strzału, oświetlając jednocześnie latarkami wszystkie kąty. W pokoju nie było nikogo.

Goran szedł tuż za nimi, przesuając po ścianie rękę w lateksowej rękawiczce. Znalazł włącznik. Po dwóch krótkich błyskach zapaliła się jarzeniówka pod sufitem, zalewając wszystko matowym światłem.

Pokój wyglądał zupełnie inaczej niż pozostałe. Przede wszystkim było w nim czysto. Na ścianach nie było zacieków, ponieważ pokryte były wodoodporną tapetą. Posadzka miała komplet płytek. Brakowało okien, ale po kilku sekundach włączył się klimatyzator. Instalacja elektryczna biegła po powierzchni ścian, co oznaczało, że została założona później. Przewody w plastikowych rurkach prowadziły do wyłącznika, który umożliwił Goranowi zapalenie światła, a także do gniazdka po prawej stronie pokoju, gdzie stał przysunięty do ściany stolik z biurowym krzesłem. Na stoliku zobaczyli wyłączony komputer.

Były to jedyne meble, jeśli nie liczyć starego skórzanego fotela przy przeciwnej ścianie, po lewej stronie.

– Wydaje się, że Alexandra Bermanna interesował tylko ten pokój  
– powiedział Stern, zwracając się do Gorana.

Rosa ruszyła w głąb pokoju, do komputera.

– Jestem pewna, że tu znajdują się odpowiedzi, których szukamy.

Goran przytrzymał ją za ramię.

– Nie, lepiej zachować określony porządek. Teraz wyjdziemy stąd wszyscy, żeby nie zmieniać wilgotności pomieszczenia. – Odwrócił się do Sterna: – Zadzwoń do Kreppa, żeby przyjechał ze swoją ekipą zebrać odciski palców. Ja zawiadomię Roche'a.

Mila uważnie obserwowała błysk w oczach kryminologa. Dostrzegła w nich pewność, że znalazł się bardzo blisko czegoś ważnego.

\* \* \*

Przesunął palcami po głowie, jakby przyczesywał włosy, których nie miał. Został mu tylko długi pasek na karku, związany gumką, opadający na plecy. Na jego prawym przedramieniu widać było czerwono-zielonego węża, którego paszcza otwierała się na dłoni. Podobne tatuaże pokrywały drugie ramię, a także kawałek piersi widoczny pod fartuchem. Całości dopełniały liczne kolczyki na twarzy.

Mila była urzeczona wyglądem Kreppa, szefa techników kryminalistycznych, tak różnym od wyglądu przeciętnego sześćdziesięciolatka. Przyszło jej do głowy, że tak mogą prezentować

się podstarzałe punki. Ale jeszcze kilka lat temu Krepp był najzwyczajnym mężczyzną w średnim wieku, dość surowym i raczej bezbarwnym. Zmiana nastąpiła z dnia na dzień. Gdy jednak wszyscy przekonali się, że wcale nie stracił rozumu, nikt nie powiedział słowa na temat jego nowego wyglądu, ponieważ Krepp był najlepszy w swojej dziedzinie.

Podziękowawszy Goranowi za zachowanie wilgotności pomieszczenia, Krepp zabrał się do pracy. Spędził w pokoju godzinę ze swoim zespołem, którego wszyscy członkowie mieli na sobie fartuchy i maski chroniące przed substancjami, jakich używali do znajdowania odcisków palców. Potem opuścił suterенę i podszedł do Gorana i Roche'a, który niedawno przyjechał.

– No i jak idzie, Krepp? – zapytał Roche.

– Ta sprawa cementarza rąk przyprawia mnie o zawrót głowy – westchnął ekspert. – Kiedy nas wezwaliście, wciąż jeszcze badaliśmy te kończyny, szukając jakiegoś śladu, odcisku palca.

Goran wiedział, że znalezienie odcisku palca na ludzkiej skórze jest jedną z najtrudniejszych rzeczy, z powodu różnych zanieczyszczeń, na przykład potu, albo, w przypadku tkanek pobranych ze zwłok, z powodu procesów gnilnych.

– Próbowałem zastosować pary jodu, metodę Krome–Kote, a nawet elektronografię.

– Na czym to polega? – zainteresował się kryminolog.

– To najnowocześniejszy sposób pobierania odcisków palców pozostawionych na skórze; radiografia oparta na emisji elektronów...

Ten przeklęty Albert jest tak zręczny, że nie zostawia żadnych odcisków – odparł Krepp. Mila zauważyła, że tylko on nazywa mordercę tym imieniem, ponieważ wszyscy inni zidentyfikowali go jako Alexandra Bermanna.

– A więc co tu mamy? – spytał Roche, znudzony słuchaniem o sprawach, których znajomość nie była mu do niczego potrzebna.

Ekspert ściągnął rękawiczki i wbił wzrok w podłogę, po czym zaczął opisywać, co zrobił:

– Zastosowaliśmy ninidrinę, ale obraz w laserowym świetle nie był wyraźny, więc pomogłem sobie chlorkiem cynku. Otrzymaliśmy kilka serii odcisków na tapecie obok wyłącznika światła i na porowatej powierzchni stołu. Najtrudniej było z komputerem: odciski nakładały się na siebie, trzeba będzie użyć cyjanoakrylanu, ale będziemy musieli umieścić klawiaturę w komorze ciśnieniowej...

– Później. Nie mamy czasu na szukanie zastępczej klawiatury, a musimy zbadać komputer teraz – przerwał mu Roche, który chciał wiedzieć wszystko jak najprędzej. – Reasumując, odciski należą do jednej osoby...

– Tak, zostawił je Alexander Bermann.

Te słowa uderzyły wszystkich z wyjątkiem jednej osoby, która знаła odpowiedź. I to od chwili, w której weszli do sutereny.

– Ta Priscilla chyba nigdy nie istniała – stwierdził Gavila.

Nie patrzył na Milę, która dotkliwie odczuła brak jego dodającego otuchy spojrzenia.

– Jest coś jeszcze – podjął po chwili Krepp. – Skórzany fotel.

– Co takiego? – spytała Mila, przerywając milczenie.

Krepp spojrział na nią tak, jakby dostrzegł ją dopiero w tej chwili.

Opuścił wzrok na jej obandażowane dłonie i zrobił dziwną minę. Mili przemknęło przez głowę, że to absurdalne, iż akurat Krepp, z jego dziwnym wyglądem, patrzy na nią w taki sposób. Ale nie była zmieszana.

– Na fotelu nie ma odcisków.

– Czy to coś niezwykłego? – spytała Mila.

– Nie potrafię powiedzieć. Mówię tylko, że są wszędzie, ale na nim ich nie ma.

– Mamy jednak odciski Bermanna w innych miejscach, więc czy to takie ważne? – wtrącił się Roche. – Jeśli chcecie wiedzieć, mnie ten gość coraz mniej się podoba.

Mila pomyślała, że powinien mu się bardzo podobać, bo przynosi rozwiązanie wszystkich zagadek.

– Co mam robić z tym fotelem, nadal go badać?

– Daj spokój temu przekłętemu fotelowi i pozwól, żeby moi ludzie rzucili okiem na komputer.

Słyszając to wezwanie do działania, członkowie ekipy starali się unikać spoglądania na siebie, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Czasami ton żelaznego kaprała używany przez Roche'a był bardziej paradoksalny niż wygląd Kreppa.

Inspektor ruszył do auta, które czekało na skraju osiedla, nie zapomniawszy przed odejściem pogonić swoich ludzi słowami:

– Do roboty, dzieci, liczę na was.

Gdy był już daleko, Goran zwrócił się do wszystkich:

– Dobrze, zobaczmy, co się kryje w tym komputerze.

\* \* \*

Ekipa wróciła do pokoju, żeby znowu wziąć go we władanie. Ściany pokryte błyszczącą tapetą sprawiały, że przypominał wielką macicę. Kryjówka Alexandra Bermanna miała tylko im odkryć swe sekrety. A przynajmniej taką mieli nadzieję. Wciągnęli lateksowe rękawiczki, a Sarah Rosa usiadła przed klawiaturą.

Przed uruchomieniem komputera do portu USB podłączyła mały przedmiot. Stern włączył magnetofon i postawił go obok klawiatury.

Rosa opisała przeprowadzoną czynność:

– Połączyłam komputer Bermanna z pamięcią zewnętrzną. Gdyby komputer się zawiesił, urządzenie błyskawicznie przejmie całą zawartość pamięci.

Pozostali stali za jej plecami, pogrążeni w milczeniu.

Włączyła komputer.

Po wstępnym sygnale elektrycznym dał się słyszeć typowy odgłos napędów, które zaczęły się uruchamiać. Wszystko wyglądało normalnie. Z pewnym ociąganiem komputer zaczął budzić się z letargu. Był to stary model, już nieprodukowany. Na ekranie pojawiały się kolejno dane systemu operacyjnego, które zaraz potem



ustąpiły miejsca obrazowi pulpitu. Nic specjalnego, tylko niebieski ekran z ikonami popularnych programów.

– Wygląda jak mój domowy komputer – stwierdził Boris, ale nikt nie roześmiał się z jego żartu.

– Dobrze... Zobaczmy teraz, co się mieści w folderze „Dokumenty” Alexandra Bermanna...

Kliknęła nazwę folderu. Pusty. Podobnie jak „Obrazy” i „Nowości”.

– Nie ma plików tekstowych... To bardzo dziwne... – mruknął Goran.

– Może kasował wszystko po każdym posiedzeniu? – zasugerował Stern.

– Jeśli tak było, mogę spróbować to odzyskać – oświadczyła pewnym siebie tonem Rosa. Włożyła płytę CD do czytnika i błyskawicznie wgrała do komputera program umożliwiający odtworzenie każdego skasowanego pliku.

Pamięć komputerów nigdy nie opróżnia się do końca i jest rzeczą niemal niemożliwą skasowanie pewnych danych, które zostają zapisane w sposób nieusuwalny. Mila przypomniała sobie zasłyszaną gdzieś informację, że ta krzemowa struktura działa podobnie jak ludzki mózg. Nawet gdy wydaje nam się, że o czymś zapomnieliśmy, w rzeczywistości w jakiejś części naszej głowy znajduje się grupa komórek, które przechowują tę informację i w razie potrzeby mogą ją nam podsunąć w postaci jeśli nie obrazowej, to instynktownej. Nie liczy się to, że nie pamiętamy, że po raz pierwszy oparzyliśmy się ogniem, gdy byliśmy dziećmi, ważne jest natomiast, że to

doświadczenie, oczyszczone ze wszystkich życiowych okoliczności, pozostaje zarejestrowane w umyśle, żeby dać o sobie znać za każdym razem, gdy zbliżamy się do czegoś gorącego. Miła snuła te rozważania, spoglądając na swoje obandażowane dłonie... Mogło się wydawać, że w jakiejś części jej mózgu przechowała się błędna informacja.

– Tu nic nie ma.

Smętna konstatacja Rosy przywróciła Miłę do rzeczywistości. Jednak Goran nie był tego taki pewny.

– Jest tu wyszukiwarka sieciowa.

– Ale komputer nie jest podłączony do Internetu – zauważył Boris.

Natomiast Sarah Rosa zorientowała się, do czego zmierza kryminolog. Wzięła komórkę i sprawdziła znaki na ekranie.

– Jest pole... Może mieć połączenie z telefonem komórkowym.

Natychmiast otworzyła okno z wyszukiwarką internetową i sprawdziła listę adresów. Był tylko jeden.

– Oto, co robił Bermann w tym pokoju!

Był to ciąg cyfr. Zakodowany adres:  
*<http://V/45892.78497.894.74525.com>*.

– Prawdopodobnie to adres zastrzeżonego serwera – stwierdziła Rosa.

– Jak to rozumieć? – zapytał Boris.

– Że nie możesz do niego dotrzeć za pomocą wyszukiwarki i musisz mieć klucz, żeby nawiązać kontakt. Możliwe, że jest zapisany bezpośrednio w komputerze. Ale jeśli nie, to możemy się narazić na stałą odmowę dostępu.

– Musimy więc zachować ostrożność i robić dokładnie to, co robił Bermann... – stwierdził Goran, po czym zwrócił się do Sterna:

– Mamy jego telefon komórkowy?

– Mam go w samochodzie, razem z jego domowym komputerem.

– W takim razie idź po niego.

Gdy Stern wrócił, nikt się nie odezwał. Czekali na niego z widoczną niecierpliwością. Agent podał komórkę Bermanna Rosie, a ona podłączyła ją do komputera. Zaraz potem uruchomiła połączenie.

Rozpoznanie rozmówcy zajęło serwerowi trochę czasu. Analizował dane, a potem zaczął je szybko wgrywać.

– Zdaje się, że wejdziemy bez kłopotów...

Wpatrzeni w monitor czekali na pojawienie się obrazu. Może to być cokolwiek, pomyślała Mila. Członków zespołu jednoczyło teraz napięcie, niczym prąd płynący od jednego ciała do drugiego. Można je było wyczuć w powietrzu.

Na ekranie zaczęły się pojawiać punkciki, rozkładając się równomiernie na jego powierzchni niczym fragmenty układanki. Ale ukazało się nie to, na co czekali. Napięcie, które jeszcze niedawno wypełniało pokój, opadło, entuzjazm znikł.

Ekran był czarny.

– Musi chodzić o jakiś system zabezpieczający – mruknęła Rosa – który zinterpretował naszą próbę jako włamanie.

– Ukryłaś sygnał? – zapytał zaniepokojony Boris.

– Pewnie, że ukryłam! – prychnęła. – Masz mnie za idiotkę?

Prawdopodobnie był jakiś kod lub coś...

– Coś takiego jak login albo hasło? – zapytał Goran, który chciał zrozumieć, o co chodzi.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziała z roztargnieniem Rosa. Po chwili dodała jednak: – To, co mieliśmy, to był adres służący do bezpośredniego połączenia. Login i hasło to przestarzałe mechanizmy zabezpieczające: zostawiają ślady i mogą zawsze doprowadzić do tego, kto się nimi posługuje. A ten, kto wchodzi tutaj, chce pozostać anonimowy.

Mila nie odezwała się jeszcze słowem i denerwowały ją te dyskusje. Oddychała głęboko i zaciskała pięści, aż trzaskały kostki palców.

Jest coś, co nie pasuje, ale nie potrafiła stwierdzić, co to takiego. Goran odwrócił się do niej na chwilę i wpatrywał się w nią uporczywie.

Mila udała, że tego nie widzi.

Tymczasem atmosfera w pokoju robiła się coraz bardziej napięta.

Boris postanowił wyładować rozczarowanie niepowodzeniem na Sarah Rosie.

– Jeżeli podejrzewałaś, że może być blokada na wejściu, to dlaczego nie spróbowałaś połączenia równoległego?

– A dlaczego mi tego nie podpowiedziałeś?

– Zaraz, zaraz, a co się dzieje w takich przypadkach? – zapytał Goran.

– Jeśli taki system jak ten jest zabezpieczony, to nie ma już sposobu, żeby do niego wejść! – denerwował się Boris.

– Spróbujemy utworzyć nowy kod i podejmiemy jeszcze jedną próbę – zaproponowała Sarah Rosa.

– Naprawdę? To są miliony kombinacji! – zadrwił Boris.

– Odpieprz się! Chcesz mi na siłę przypisać całą winę?

Mila przysłuchiwała się w milczeniu tym dziwnym porachunkom.

– Jeżeli ktoś miał jakiś pomysł czy radę, mógł o tym powiedzieć!

– Przecież skaczesz nam do gardła za każdym razem, gdy otwieramy usta!

– Słuchaj, Boris, zostaw mnie w spokoju! Mogłabym zwrócić ci uwagę na to, że...

– Co to jest?

Pytanie Gorana spadło na kłójących się jak miecz. Nie zadał go podnieconym ani niecierpliwym tonem, jak oczekiwała Mila, ale i tak wszyscy zamilkli.

Kryminolog wskazywał coś przed sobą. Podążając wzrokiem za jego wyciągniętą ręką, skupili się znowu na ekranie komputera.

Już nie był czarny.

W górnej części, na lewym marginesie, pojawił się napis:

*to ty? dozmujesz mi towarzystwa?*

O, kurwa! – sapnął Boris.

– Co to jest? Ktoś z was potrafi mi to wyjaśnić? – spytał Goran.

Rosa znowu usiadła przed monitorem i położyła ręce na klawiaturze.

– Weszliśmy – oznajmiła.

Wszyscy skupili się wokół niej, żeby lepiej widzieć. Czerwona dioda pod zdaniem migiała jakby w oczekiwaniu na odpowiedź. Która na razie nie nadeszła.

*to ty?*

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co się dzieje? – Goran zaczął tracić cierpliwość.

Rosa prędko opracowała odpowiedź.

– To jest furтка dostępu. Wydaje się, że jesteśmy w środku skomplikowanego systemu. A to okienko do rozmowy, coś w rodzaju czaru... Po drugiej stronie ktoś jest, doktorze...

– I chce z nami rozmawiać... – dodał Boris.

– Lub raczej z Alexandrem Bermannem – poprawiła go Mila.

– Więc na co czekamy? Odpowiedzmy! – rzucił ponaglająco Stern.

Gavila spojrział na Borisa: to on jest specjalistą od komunikowania się. Młody agent kiwnął głową i stanął za plecami Sarah Rosy, żeby podpowiadać jej, co ma napisać.

– Zakomunikuj, że tu jesteś.

Rosa napisała:

*Tak, to ja.*

Odczekali kilka chwil, a potem na monitorze pojawiło się nowe zdanie:

*już myślałem że nie żyjesz i się martwiłem*

– W porządku, jest „myślałem”, więc to osoba rodzaju męskiego – powiedział zadowolony Boris. A potem podyktował Sarah Rosie następną odpowiedź, ale poprosił o używanie tylko małych liter, tak jak rozmówca, a potem wyjaśnił, że niektóre osoby czują się onieśmiałe widokiem dużych. A oni chcieli, żeby ten ktoś po drugiej stronie czuł się swobodnie.

*byłem bardzo zajęty, a ty co porabiasz?*

*zadali mi mnustwo pytań ale ja niczego nie powiedziałem*

Ktoś zadawał pytania? Czego dotyczyły? Wszyscy, a szczególnie Goran, odnieśli wrażenie, że ich rozmówca jest zamieszany w coś podejrzanego.

– Może przesłuchiwała go policja, ale nie uznali za konieczne aresztowania go? – zasugerowała Rosa.

– A może nie mieli dostatecznych dowodów? – poparł ją Stern.

W ich umysłach zaczynała nabierać kształtu postać wspólnika Bermanna. Mila przypomniła sobie o swojej przygodzie w motelu, kiedy wydawało jej się, że ktoś ją śledzi. Nikomu o tym nie wspomniła z obawy, że mogło to być przywidzenie.

Boris postanowił zadać tajemniczemu rozmówcy pytanie:

*kto zadawał ci pytania?*

Przerwa.

*oni*

*jacy oni?*

Brak odpowiedzi. Boris postanowił zignorować to milczenie i spróbował ominąć przeszkodę, zadając inne pytanie:

*co im powiedziałaś?*



*pszetstawiłem im chistorię co mi opowiedziałeś ty i wystarczyło*

Bardziej niż niejasność tych słów zaniepokoiły Gorana błędy ortograficzne i gramatyczne.

– Może to rodzaj kodu rozpoznawczego – wyjaśnił. – Pewnie oczekuje, że i my popełnimy jakieś błędy. A jeśli nie, zakończy połączenie.

– Racja. A więc skopiuj jego język i zrób takie same błędy – zasugerował Rosie Boris.

Tymczasem na ekranie pojawiło się:

*pszygotowałem wszystko jak chciałeś nie mogę się doczekać  
powiesz mi kiedy?*

Rozmowa prowadziła donikąd. Boris poprosił więc Sarah Rose, żeby odpowiedziała, iż prędko dowie się „kiedy”, ale na razie lepiej omówić cały plan jeszcze raz, żeby się upewnić, że zadziała.

Pomysł wydał się Mili doskonały, bo dzięki temu będą mieli pewną przewagę nad rozmówcą. Wkrótce on odpowiedział:

*plan jest taki: wyjść w nocy bo wtedy nikt mnie nie zobaczy, jak  
będzie druga iść w głomb drogi, ukryć się w kszakach. czekać,  
światła samohodu zapalą się 3 razy, wtedy będę się mógł pokazać*

Nikt nie miał pojęcia, o co chodzi. Boris rozejrzał się w poszukiwaniu podpowiedzi. Podchwycił spojrzenie Gavili.

– A pan co o tym myśli, doktorze?

– Nie wiem... Jest coś, czego nie łapię. Nie mogę dojść, co to takiego...

– Ja też odnoszę takie samo wrażenie – powiedział Boris. – Wydaje się, że ten gość... jest upośledzony umysłowo albo cierpi na silny niedorozwój psychiczny.

Gavila podszedł do Borisa.

– Musisz go zmusić, żeby się odkrył.

– Ale jak?

– Nie wiem... Powiedz mu, że nie jesteś już go pewny i że zastanawiasz się, czy wszystko odwołać. Powiedz mu, że „oni” siedzą na karku także tobie, a potem zażądaj, żeby dał ci jakiś dowód... Właśnie: poproś, żeby zadzwonił do ciebie na konkretny numer!

Rosa zaczęła szybko pisać pytanie, ale w rubryce „odpowiedź” przez długi czas widać było tylko migającą diodę. Wreszcie na ekranie coś się pojawiało:

*nie mogę rozmawiać przez telefon, oni mnie słyszą*

Sprawa była oczywista: albo jest bardzo sprytny, albo rzeczywiście boi się, że jest śledzony.

– Nalegaj. Krąż wokół tematu. Chcę wiedzieć, kim są ci „oni” – naciskał Goran. – Zapytaj go, gdzie oni są w tej chwili...

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast:

*są blisko mnie*

– Zapytaj go, jak blisko.

*są tu obok mnie*

– Jak to rozumieć, do kurwy nędzy?! – wybuchnął Boris, splatając ręce na karku.

Rosa opadła na oparcie krzesła i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jeśli ci „oni” są tak blisko niego i mają go na oku, dlaczego nie mogą zobaczyć tego, co pisze?

– Bo on ma przed sobą inny obraz niż my.

To ostatnie zdanie wygłosiła Mila. I zauważyła z zadowoleniem, że nie odwrócili się, żeby na nią spojrzeć tak, jakby właśnie usłyszeli ducha. Jej spostrzeżenie wzbudziło zainteresowanie całej grupy.

– Co masz na myśli? – zapytał Gavila.

– Przyjeliśmy, że podobnie jak my, i on ma przed sobą czarny ekran. Ale moim zdaniem jego okno dialogowe jest wbudowane w stronę sieci, na której są inne elementy: być może animacje graficzne,

napisy albo jakieś obrazki... Dlatego „oni”, chociaż są blisko, nie uświadamiają sobie, że on z nami rozmawia.

– Ona ma rację! – wykrzyknął Stern.

W pokoju znowu zapanowała dziwna euforia. Goran zwrócił się do Sarah Rosy:

– Możemy zobaczyć to, co on ogląda?

– Jasne. Poślę mu sygnał rozpoznania i kiedy jego komputer mi go odeśle, będziemy mieli adres internetowy, do którego jest podłączony. – Wyjaśniając to, policjantka otwierała jednocześnie swojego notebooka, żeby stworzyć nowe połączenie z siecią.

Wkrótce na ekranie pojawiło się pytanie:

*3masz się tam jeszcze?*

Boris spojrzał na Gorana.

– Co odpowiemy?

– Postaraj się zyskać trochę czasu. Ale tak, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń.

Boris napisał, żeby chwilę zaczekał, ponieważ ktoś zapukał do drzwi i musi iść otworzyć.

W tym czasie Sarah Rosie udało się zarejestrować w notebooku adres internetowy, z którego łączył się ich rozmówca.

– Mam już ten adres... – zakomunikowała.

Wpisała dane do rubryki i kliknęła, żeby uruchomić połączenie. Po kilku sekundach pojawiła się strona.

Nikt nie umiałby powiedzieć, czy to zdumienie, czy może strach odjęły wszystkim mowę.

Na ekranie niedźwiadki tańczyły z żyrafami, hipopotamy wybijały rytm na bongosach, a szympanś grał na ukulele. Pokój wypełniła muzyka. A na tle pulsującego życia lasu witał ich na ekranie wielobarwny motyl.

Miał na imię Priscilla.

Wszyscy znieruchomieli w osłupieniu i niedowierzaniu. Potem Boris spojrział znowu na ekran monitora, gdzie nadal widać było pytanie:

*3masz się tam jeszcze?*

Dopiero wtedy policjant zdołał z trudem wykrztusić cztery słowa:

– Kurwa mać... to dziecko.

## 10.

Najczęściej wpisywanym do wyszukiwarek słowem jest „seks”.

Drugim „Bóg”. I za każdym razem, kiedy Goran o tym rozmyślał, zadawał sobie pytanie, dlaczego ktoś miałby szukać Boga właśnie w Internecie? Na trzecim miejscu znajdują się dwa hasła: „Britney Spears” oraz cieszące się taką samą popularnością słowo „śmierć”.

Seks, Bóg, Śmierć i Britney Spears.

Natomiast Goran zaledwie przed trzema miesiącami wpisał po raz pierwszy do wyszukiwarki imię swojej żony. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. To było instynktowne. Nie spodziewał się, że ją znajdzie. I nie znalazł. Formalnie rzecz biorąc, było to ostatnie miejsce, w jakim mógł na nią natrafić, a jednak pomyślał, żeby szukać właśnie tam. Czy to możliwe, że wie o niej tak mało? W tamtej chwili coś w nim pękło.

Zrozumiał, dlaczego próbuje ją odnaleźć.

Tak naprawdę nie chciał się dowiedzieć, gdzie ona jest. W ogóle mu na tym nie zależało. Chciał tylko wiedzieć, czy jest szczęśliwa.

Ponieważ to właśnie wywołało jego wściekłość: że uwolniła się od niego i od Tommy’ego, żeby być szczęśliwą gdzie indziej. Czy można zranić kogoś tak głęboko w pogoni za egoistycznym pragnieniem szczęścia? Najwyraźniej tak. Ona to zrobiła i, co gorsza, nie wróciła, żeby im to wynagrodzić, żeby dostarczyć lekarstwo na ranę, na to

rozdarcie na ciele człowieka, z którym zdecydowała się dzielić życie, i na ciele jej dziecka, części jej samej. Przecież można i należy wracać.

Zawsze nadchodzi chwila, w której słyszy się wołanie i spogląda się za siebie, żeby zobaczyć, czy coś się zmieniło u tych, których zostawiliśmy, i w nas samych. Ten moment zawsze nadchodzi. Dlaczego nie nadszedł w jej przypadku? Dlaczego nawet nie spróbowała? Żadnego głuchego telefonu w środku nocy. Żadnej pocztówki. Ile razy Goran wystawał przed szkołą Tommy'ego, mając nadzieję, że zaskoczy ją na śledzeniu syna z ukrycia. Ale nic. Ona nie przyszła nawet po to, żeby się upewnić, że nic mu się nie stało. I wtedy Goran zaczął zadawać sobie pytanie: cóż to za osoba, którą uznał za godną tego, aby spędzić z nią życie?

Czy więc różni się od Weroniki Bermann?

Ta kobieta też została oszukana. Jej mąż posłużył się nią, żeby stworzyć sobie szacowną fasadę. To ona miała zadbać o jego stan posiadania – nazwisko, dom, majątek, wszystko. Przedmiot jego pragnień znajdował się gdzie indziej. Ale w odróżnieniu od Gorana ta kobieta wyczuła przepaść, jaka otwierała się pod jego wzorowym życiem, poczuła zapach zgnilizny. I milczała. Pozwoliła się oszukiwać, zachowując bierność. Stała się jego milczącą współniczką, współautorką tego teatru pozorów, żoną na dobre i na złe.

Natomiast Goran nigdy nawet nie podejrzewał, że żona go porzuci.

Nie dostrzegł żadnego sygnału, żadnego znaku, złowróżbnego pęknięcia, do którego mógłby wrócić pamięcią i powiedzieć: „Tak! To było takie oczywiste, a ja, głupi, tego nie zauważyłem”. Wolałby odkryć, że był bardzo złym mężem, żeby obarczyć winą siebie, swoje

zaniedbania i brak opiekuńczości. Wolałby znaleźć powody w sobie samym. Dzięki temu przynajmniej by je znał. Ale zostało mu tylko milczenie. I wątpliwości. Przedstawił światu najbardziej brutalną wersję tego, co się wydarzyło: odeszła, i kropka. Albowiem Goran wiedział, że i tak każdy zobaczy to, co zechce zobaczyć. Niektórzy biednego męża. Inni człowieka, który siłą rzeczy musiał zrobić coś, co skłoniło ją do ucieczki. I natychmiast wszedł w obie te role, przechodząc bezwolnie od jednej do drugiej. Za każdym cierpieniem stoi jakiś dramat, który powinien być uszanowany.

A ona? Jak długo udawała? Kto wie, od jak dawna dojrzywał w niej ten pomysł. Kto wie, ile czasu trzeba było, żeby zrodziły się w niej marzenia, o których nie mogła opowiadać, myśli ukrywane co wieczór pod poduszką, gdy układała się obok niego do snu. Skrywała to pragnienie pod codziennymi zajęciami matki i żony. Aż w końcu te fantazje zmieniły się w projekt, w zamysł. W plan. Kto wie, kiedy nabrała przekonania lub pewności, że to, co sobie wyobrażała, można urzeczywistnić. Niczym poczwarka motyla kryła w sobie sekret tej metamorfozy, żyjąc obok nich, obok niego i Tommy'ego. I przygotowywała się w milczeniu do zmiany.

Gdzie jest teraz? Bo przecież istnieje, ale gdzie indziej, w jakimś równoległym świecie, składającym się z takich samych kobiet i mężczyzn jak ci, których Goran codziennie spotyka, z domów, które trzeba prowadzić, z małżonków, których trzeba znosić, z dzieci, którymi trzeba się opiekować. W świecie identycznym i banalnym, ale dalekim od niego i od Tommy'ego, pełnym nowych barw, nowych przyjaciół, nowych twarzy, nowych imion. Czego szuka w tym świecie?



Czym było to, czego potrzebowała tak bardzo, a czego tu nie mogła znaleźć? W gruncie rzeczy wszyscy poszukujemy odpowiedzi w tym innym świecie, rozmyślał Goran. Jak ci, którzy w sieci szukają seksu, Boga, śmierci i Britney Spears.

Natomiast Alexander Bermann polował w Internecie na dzieci.

Wszystko stało się jasne. I zaczęło nabierać realnych kształtów, od utworzenia strony „Motylek Priscilla” w komputerze Bermanna do ustalenia międzynarodowego serwera, który zarządzał tym systemem.

Była to siatka pedofilów mająca odgałęzienia w różnych krajach.

Mila miała rację: był tam też „jej” nauczyciel muzyki.

Jednostka specjalna do spraw przestępstw internetowych zidentyfikowała prawie setkę abonentów. Zaczęły się pierwsze aresztowania, inne miały nastąpić w najbliższych godzinach. Członkowie nieliczni, ale dobrze dobrani. Ludzie poza wszelkimi podejrzeniami, pracujący, zamożni i dlatego gotowi wydawać duże kwoty, byle tylko zachować anonimowość.

A wśród nich Alexander Bermann.

Wracając do domu tego wieczoru, Goran zastanawiał się nad obrazem człowieka, zawsze uśmiechniętego, o nieposzlakowanej opinii, jaki rysował się na podstawie opisów przyjaciół i znajomych. Doskonała maska. Kto wie, dlaczego, rozmyślając o Bermannie, wrócił myślami do swojej żony. Być może to wiedział, ale nie chciał się do tego przyznać. W każdym razie zaraz po powrocie odłoży na bok te rozważania i poświęci czas Tommy’emu, jak mu to obiecał przez telefon, zapewniając, że wróci trochę wcześniej. Syn przyjął to z

radością i zapytał, czy mogą zamówić pizzę. Goran zgodził się, wiedząc, że takie małe ustępstwo wystarczy, aby sprawić chłopcu radość. Dzieci potrafią wycisnąć szczęście ze wszystkiego, co im się przytrafia.

Tak więc Goran zamówił pizzę z papryką dla siebie i z podwójną mozzarella dla Tommy'ego. Razem złożyli zamówienie przez telefon, ponieważ zamawianie pizzy było rytuałem, który zawsze odprawiali razem. Tommy wybrał numer, a Goran zamówił. Potem nakryli do stołu, stawiając na nim duże talerze kupione specjalnie do pizzy.

Tommy miał do picia sok owocowy, a Goran pozwolił sobie na piwo.

Przed postawieniem szklanek na stole włożyli je do zamrażalnika, żeby pokryły się matowym szronem i zrobiły wystarczająco chłodne, zanim wypełnią się napojami.

Ale Goran wcale nie był pogodny. Jego umysł zajmowała ta doskonale zamaskowana organizacja. Agenci jednostki specjalnej do spraw przestępstw internetowych odkryli bazę danych z ponad trzema tysiącami dzieci, wraz z ich adresami i zdjęciami. Aby wciągnąć ofiary w pułapkę, siatka posługiwała się fałszywymi blogami poświęconymi dzieciom. „Motylek Priscilla”. Zwierzęta, kolorowe gry wideo, niewinne melodyjki dokonywały reszty... Były bardzo podobne do filmów rysunkowych, które Goran i Tommy obejrzeli razem po kolacji na jednym z kanałów satelitarnych. Niebieska tygrysica i biały lew.

Gdy syn skulił się, skoncentrowany na przygodach dwojga leśnych przyjaciół, Goran go obserwował.

Muszę go chronić, powiedział sobie w duchu.

Czuł dziwny, mroczny i natrętny lęk, który ścisnął mu gardło. Lęk, że nie robi tego, co należy, że spędza z synem zbyt mało czasu. Jeden rodzic nie wystarcza. Choć przecież on i Tommy dają sobie radę. Ale co by było, gdyby za czarnym ekranem komputera Bermanna zamiast nieznanego dziecka znalazł się jego Tommy? Czy byłby w stanie zorientować się, że ktoś próbuje wdrzeć się do umysłu i życia syna?

Tommy kończył odrabiać lekcje, a Goran zamknął się w gabinecie.

Nie było jeszcze dziewiętnastej, więc zabrał się do przeglądania dokumentacji Bermanna, znajdując w niej różne wymagające zastanowienia punkty, które mogłyby być użyteczne w śledztwie.

Przede wszystkim ten skórzany fotel w suterenie, na którym Krepp nie znalazł żadnych odcisków palców.

Na wszystkim innym tak, a na fotelu nie... Dlaczego?

Był pewny, że jest jakiś powód. Mimo to za każdym razem, gdy wydawało mu się, że na coś wpadł, jego myśli wędrowały gdzie indziej. Ku zagrożeniom wiszącym nad życiem jego synka.

Goran, jako kryminolog, wiedział, z jakiej materii zbudowane jest zło. Ale przyglądał mu się zawsze z dystansu, jak naukowiec. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to samo zło mogłoby w jakiś sposób wyciągnąć swoją kościstą rękę i dotknąć także jego. Za to teraz myślał tylko o tym.

Kiedy człowiek zamienia się w potwora?

Chciał wiedzieć, jak to się odbywa. Kiedy człowiek łapie się na tym, że przekroczył granicę?

Bermann był członkiem organizacji, która miała hierarchię i statuty. Ten przedstawiciel handlowy wszedł do niej podczas studiów. W czasach, gdy Internet nie był jeszcze terenem polowań i trzeba było pozostawać w cieniu, żeby nie budzić podejrzeń. Dlatego członkom doradzano stworzenie przykładowego i stabilnego życia, aby ukryli za nim swoją prawdziwą naturę i popędy. Zamaskowanie się, wtopienie w otoczenie i zniknięcie: to były kluczowe hasła tej strategii.

Gdy Bermann skończył studia, miał już w głowie bardzo jasny obraz tego, co zamierza zrobić. Po pierwsze, odnalazł dawną przyjaciółkę, której nie widział od lat. Weronika nigdy nie była wystarczająco piękna, aby chłopcy – łącznie z nim – się nią zainteresowali. Wmówił jej, że od dawna ją kocha, lecz to ukrywał. A ona, jak było do przewidzenia, od razu zgodziła się za niego wyjść. Pierwsze lata małżeństwa minęły jak u wszystkich par – były wzloty i upadki. Często wyjeżdżał służbowo. Wykorzystywał te podróże na spotkania z podobnymi sobie albo na łowienie małych ofiar.

Wraz z pojawieniem się Internetu wszystko stało się łatwiejsze.

Pedofile natychmiast opanowali to niewiarygodne narzędzie, które nie tylko pozwalało działać pod osłoną anonimowości, ale także manipulować ofiarami za pomocą pomysłowych pułapek.

Ale Alexander Bermann nie mógł jeszcze zrealizować swego planu doskonałego zamaskowania się, ponieważ Weronika nie dawała mu potomka. To był brakujący element, szczególnie, dzięki któremu stałby się osobą poza wszelkimi podejrzewaniem: przecież ojciec rodziny nie interesuje się dziećmi innych ludzi.

Goran stłumił gniew, który ścisnął go za gardło, i zamknął akta.

Nie chciał już ich czytać. Chciał iść do łóżka i zapaść w sen.

Kto jest Albertem, jeśli nie Bermann? Mimo iż trzeba było jeszcze połączyć go z cmentarzem rąk i ze zniknięciem sześciu dziewczynek, a także odnaleźć brakujące zwłoki, nikt bardziej od niego nie zasługiwał na przypisanie mu roli kata.

Ale im więcej o tym myślał, tym mniej był o tym przekonany.

O dwudziestej Roche ma oficjalnie ogłosić na konferencji prasowej, że złapano winnego. Goran uświadomił sobie, że myśl, która go prześladowa, w rzeczywistości zaczęła chodzić mu po głowie natychmiast po odkryciu tajemnicy Bermanna. Ociągająca się, niejasna jak mgła, zaszyła się na całe popołudnie w zakątku jego umysłu. Ale choć ukryta, pulsowała bezustannie, przypominając mu, że tam jest i żyje.

Dopiero teraz, w wieczornej ciszy mieszkania, Goran postanowił nadać jej kształt przemyślanej koncepcji.

Jest coś, co nie pasuje w tej historii... Myślisz, że Bermann nie jest winny? Och, oczywiście, że tak myślę. Ten człowiek był pedofilem, ale to nie on zabił sześć dziewczynek. On nie ma z tym nic wspólnego... Ale skąd masz tę pewność?

Ponieważ gdyby Alexander Bermann był naszym Albertem, znaleźlibyśmy w jego bagażniku ostatnią dziewczynkę – tę numer sześć – a nie Debby, pierwszą. Już dawno zdążyłby się jej pozbyć...

I właśnie w chwili, gdy Goran doszedł do tego wniosku, spojrzął na zegarek: do konferencji prasowej brakowało kilku minut.

Musi powstrzymać Roche'a.

\* \* \*

Gdy tylko zaczęły się rozchodzić informacje o przełomie w śledztwie w związku z pojawieniem się Bermanna, inspektor Roche zaprosił dziennikarzy z głównych gazet. Oficjalnym pretekstem było to, że nie chciał, aby do reporterów trafiły wiadomości z drugiej ręki lub zniekształcone przecieki. W rzeczywistości niepokoiło go to, że sprawa mogłaby wyjść na jaw innymi kanałami, wyłączając go z obiegu.

Roche znał się na organizowaniu takich wydarzeń, umiał dozować napięcie i znajdował pewną przyjemność w wodzeniu prasy za nos.

Dlatego rozpoczynał takie spotkania z parominutowym opóźnieniem, dając do zrozumienia, że jako szefowi zespołu zależy mu na informowaniu o wydarzeniach z ostatniej chwili.

Inspektor z przyjemnością wsłuchiwał się w szum dochodzący z sali konferencyjnej sąsiadującej z jego biurem. Był to strumień energii zasilającej jego egocentryzm. Siedział spokojnie, z nogami na biurku odziedziczonym po poprzedniku, którego zastępcą był przez długi czas – jego zdaniem zbyt długo – i którego bez skrępowań wysadził z siodła osiem lat temu.

Kontrolki telefonu migły nieustannie. Nie podnosił jednak słuchawki – chciał, żeby napięcie wzrosło jeszcze bardziej.

Rozległo się pukanie.

– Proszę! – rzucił Roche.

Gdy tylko Mila przekroczyła próg gabinetu, zauważyła na twarzy szefa uśmiezek zadowolenia. Zadała sobie pytanie, po cholere ją wezwał.

– Agentko Vasquez, chciałbym podziękować pani osobiście za pani cenny wkład w śledztwo.

Mila zaczerwieniłaby się, ale w tej samej chwili zrozumiała, że to tylko wstęp do pozbycia się jej.

– Nie wydaje mi się, panie inspektorze, żebym dużo zrobiła.

Roche sięgnął po nóż do papieru i zaczął czyścić sobie paznokcie jego czubkiem.

– Ależ była pani bardzo użyteczna – zapewnił z roztargnieniem.

– Nie znamy jeszcze personaliów szóstej dziewczynki.

– Wyjdą na jaw jak cała reszta.

– Proszę o zgodę na pozostanie jeszcze przynajmniej przez parę dni, żebym mogła dokończyć moją pracę. Jestem pewna, że mogę osiągnąć jakiś wynik...

Roche odłożył nożyk, zdjął nogi z biurka i podszedł do Mili. Posłał jej najbardziej promienny ze swych uśmiechów, ujął jej obandażowaną prawą dłoń i ścisnął ją, nie zdając sobie sprawy, że sprawia jej ból.

– Rozmawiałem z pani zwierzchnikiem. Sierżant Morexu zapewnił mnie, że dostanie pani pochwałę za to śledztwo.

Po czym odprowadził ją do drzwi.

– Życzę pani miłej podróży. Proszę o nas nie zapominać.

Mila kiwnęła głową, nie mając nic więcej do powiedzenia. Chwilę potem była już za progiem, wpatrzona w zamykające się drzwi.

Chętnie omówiłaby całą sprawę z Goranem Gavila, gdyż była pewna, że nie wie o jej niespodziewanym odesłaniu. Ale on pojechał już do domu. Kilka godzin temu słyszała, jak uzgadniał przez telefon menu kolacji. Sądząc po tonie jego głosu, osoba po drugiej stronie linii mogła mieć nie więcej niż osiem, dziewięć lat. Mieli zamówić pizzę.

Mila domyśliła się, że Goran ma syna. Kto wie, czy w jego życiu jest kobieta i czy także ona spędzi przyjemny wieczór przygotowywany przez ojca i syna. Poczowała, że jest o nią zazdrosna, choć nie wiedziała dlaczego.

Gdy oddawała przy wejściu odznakę, wręczono jej kopertę z biletem na pociąg. Tym razem nie zamierzano odwieźć jej na dworzec.

Będzie musiała wziąć taksówkę, mając nadzieję, że dostanie w swojej komendzie zwrot kosztów, i wstąpić do motelu po rzeczy.

Znalazszy się na ulicy, Mila stwierdziła, że wcale jej się nie spieszy. Rozejrzała się i odetchnęła powietrzem, które naraz zrobiło się przejrzyste i spokojne. Wydawało się, że miasto otoczone jest nienaturalnym zimnym kokonem, czekając na nadchodzącą zmianę pogody.

Jeden stopień więcej czy mniej, i wszystko zacznie wyglądać zupełnie inaczej. To rozrzedzone powietrze kryło przedwczesną zapowiedź śnieżycy. Ale wszystko mogło też pozostać tak jak teraz, w całkowitym bezruchu.



Wyjęła z koperty bilet: pociąg odchodzi dopiero za trzy godziny.

Ale ona myślała o czymś innym. Kto wie, może zdąży w tym czasie zrobić to, co leży jej na sercu? Nie ma sposobu, żeby się o tym dowiedzieć, można tylko spróbować. Koniec końców, jeśli nic z tego nie wyjdzie, nikt się o tym nie dowie. A ona nie może wyjechać dręczona wątpliwościami.

Trzy godziny może wystarczą.

\* \* \*

Wynajęła samochód i od około godziny była w drodze. Szczyty gór odcinały się na tle nieba. Mijała drewniane domy o spadzistych dachach. Z kominów unosił się szary dym pachnący żywicą. Na podwórkach widać było drwa ułożone w stosy. Z okien padało przyćmione, pokrzepiające światło.

Pokonawszy pewien odcinek drogi publicznej sto piętnaście, Mila opuściła ją zjazdem numer dwadzieścia pięć. Jechała do college'u, w którym uczyła się Debby Gordon. Chciała obejrzeć jej pokój. Była przekonana, że znajdzie tam coś, co doprowadzi ją do dziewczynki numer sześć, do jej imienia. Mimo iż dla inspektora Roche'a nie miało to już żadnego znaczenia, Mila nie mogła zostawić sprawy nieustalonej tożsamości dziewczynki. Był to z jej strony odruch litości. Nie podano jeszcze wiadomości, że zaginionych dziewczynek było więcej niż pięć, więc nikt nie miał dotąd okazji opłakać szóstej ofiary. Mila wiedziała, że władze nie zrobiłyby tego, nie znając jej imienia. Stałaby się białą plamą na płycie nagrobkowej, milczącą

pustką na końcu krótkiego wykazu imion, kolejnym numerem, który należy doliczyć do obiektywnego rachunku śmierci. A ona nie może do tego dopuścić.

Tak naprawdę prześladowała ją inna myśl, z której powodu jechała tyle kilometrów. To łaskotanie u nasady czaszki...

Dotarła na miejsce parę minut po dwudziestej pierwszej. College położony był na ładnym przedmieściu na wysokości tysiąca dwustu metrów nad poziomem morza. O tej godzinie ulice były puste. Budynek szkoły stał tuż za miasteczkiem, na wzgórzu otoczonym pięknym parkiem, w którym był maneż, korty tenisowe i boisko do koszykówki. Aby tam dojechać, trzeba było przebyć długą aleję, na której widać było spóźnionych uczniów wracających z zajęć sportowych. W nocnej ciszy rozlegał się krystaliczny śmiech młodych ludzi.

Mila minęła ich i zaparkowała na placu. Niedługo potem przedstawiła się w sekretariacie i poprosiła o pozwolenie na wejście do pokoju Debby, mając nadzieję, że nikt nie będzie robił problemów. Po konsultacji ze zwierzchnikiem urzędniczka wróciła i powiedziała, że może tam zajrzeć. Na szczęście matka Debby po rozmowie z Milą zadzwoniła do szkoły, żeby uprzedzić o jej wizycie. Urzędniczka wręczyła jej identyfikator, na którym widniał napis *GOŚĆ*, i wskazała jej drogę.

Mila zagłębiła się w korytarze prowadzące do skrzydła, gdzie znajdowały się pokoje dziewcząt. Bez trudu znalazła pokój Debby. Jej koleżanki obwiesiły drzwi wstążkami i kolorowymi karteczkami. Pisały na nich, że będą bardzo za nią tęskniły, że nigdy o niej nie

zapomną. Nie zabrakło też karteczki ze słowami: „Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach”.

Znowu zaczęła myśleć o Debby, o jej telefonach do rodziców, żeby zabrali ją do domu, o samotności, jaką dziewczynka w jej wieku, nieśmiała i zalekciona, mogła odczuwać za sprawą koleżanek w takim miejscu jak to. I dlatego uznała te karteczki za niesmaczną i nieszczerą manifestację spóźnionych uczuć. Mogłyście wczuć się w jej położenie, gdy jeszcze tu była, myślała z goryczą. Lub wtedy, gdy ktoś uprowadzał ją na waszych oczach.

Z głębi korytarza dochodziły krzyki i wesołe nawoływania. Przeszedłszy nad ogarkami świec, które ktoś ustawił wzdłuż progu na znak pamięci, Mila weszła do schronienia Debby.

Zamknęła za sobą drzwi i natychmiast zrobiło się cicho. Zapaliła lampę. Pokój był mały. Okno wychodziło na park. Nad stojącym przy ścianie biurkiem, na którym panował idealny porządek, wisały półki pełne książek. Debby lubiła czytać. Na prawo znajdowały się zamknięte drzwi do łazienki. Mila postanowiła zajrzeć do niej na końcu. Na łóżku leżało kilka pluszowych zabawek, które wpatrywały się w policjantkę zimnymi szklanymi oczami, dając jej do zrozumienia, że jest intruzem.

Ściany oklejone były plakatami i zdjęciami, które ukazywały Debby w domu, z koleżankami z dawnej szkoły, z przyjaciółkami i z jej psem Stingiem. Z tym wszystkim, co było jej miłe i od czego została oderwana, aby uczyć się w tym ekskluzywnym college’u.

Mila stwierdziła, że Debby była dziewczynką mającą cechy zapowiadające piękną kobietę. Jej rówieśnicy dostrzegliby to za późno i zapewne wyrzucaliby sobie, że nie odkryli wcześniej łabędzia

ukrytego w tym zagubionym kaczątku. Ale ona by ich mądrze zignorowała.

Mila przypominała sobie autopsję, której była świadkiem, kiedy Chang odsunął plastik i we włosach Debby błysnęła spinka z białą lilią. Morderca uczesał ją i Mila przypominała sobie myśl, która ją wtedy nawiedziła: upiękaczył ją dla nas.

A jednak nie, upiękaczył ją dla Alexandra Bermanna...

Jej wzrok przyciągnęła część ściany, która była dziwnie pusta. Podeszła bliżej i odkryła w różnych miejscach zadrapania tynku, jakby wcześniej coś tu wisiało, ale zostało zdjęte. Zdjęcia? Mila odniosła wrażenie, że to miejsce zostało naruszone. Jakieś inne ręce, inne oczy musnęły świat Debby, jej rzeczy, jej pamiątki. Być może zdjęcia zabrała matka. Trzeba to sprawdzić.

Zastanawiała się jeszcze nad tym, gdy usłyszała jakiś odgłos. Dochodził nie z korytarza, lecz zza drzwi łazienki.

Instynktownie sięgnęła ręką do pasa, żeby wyciągnąć pistolet. Złapawszy go mocno, stanęła przed drzwiami łazienki, celując przed siebie. Znowu hałas. Tym razem głośniejszy. Ktoś jest w środku.

Ktoś, kto nie zauważył jej obecności. Ktoś, kto jak ona pomyślał, że to najlepsza pora, aby wejść bez przeszkód do pokoju Debby i coś z niego zabrać. Dowody? Serce biło jej jak szalone. Postanowiła nie wchodzić, tylko czekać.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Mila przeniosła palec z bezpiecznika na spust, ale na szczęście go nie nacisnęła. Stojąca przed nią dziewczynka opuściła ze strachu ręce i to, co w nich miała, wysypało się na podłogę.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała Mila.

– Jestem przyjaciółką Debby – wybąkała dziewczynka.

Kłamała. Mila była tego pewna. Wsunęła pistolet do kabury i spojrzała na rozrzucone na podłodze przedmioty: buteleczka perfum, kilka flakoników szamponu i czerwony kapelusz z szerokim rondem.

– Przyszłam zabrać rzeczy, które jej pożyczyłam – powiedziała dziewczynka tonem usprawiedliwienia. – Przede mną były tu już inne...

Mila rozpoznała czerwony kapelusz z jednego ze zdjęć na ścianie.

Miała go na głowie Debby. Pojęła, że jest świadkiem plądrowania, które prawdopodobnie trwa już od kilku dni. Nie zdziwiłaby się, gdyby któraś z dziewcząt zabrała zdjęcia ze ściany.

– Dobrze – powiedziała sucho. – A teraz zmykaj.

Dziewczynka wahała się przez chwilę, po czym zebrała rzeczy z podłogi i wyszła z pokoju. Mila pozwoliła jej na to. Debby by się to spodobało. Te rzeczy nie przydałyby się jej matce, która będzie się pewnie obwiniała przez resztę życia, że ją tu wysłała. Mila uważała zresztą, że pani Gordon w pewien sposób „dopisało szczęście” – jeśli w takich przypadkach można mówić o szczęściu – bo ma przynajmniej ciało córki i może płakać na jej grobie.

Zabrała się do przeglądania zeszytów i książek. Chciała znaleźć imię i przewidywała, że je znajdzie. Poszłoby jej łatwiej, gdyby natrafiła na pamiętnik Debby. Była pewna, że dziewczynka go prowadziła i opisywała swoje smutki. I jak wszystkie dwunastolatki przechowywała go w jakimś sekretnym miejscu. Jednak niezbyt daleko od serca.

Tak, aby mogła natychmiast po niego sięgnąć, gdyby tylko poczuła taką potrzebę. A kiedy najmocniej odczuwamy potrzebę sięgania po rzeczy, które są nam najdroższe? – zadała sobie pytanie. W nocy, brzmiała odpowiedź. Pochyliła się nad łóżkiem, wsunęła rękę pod materac i na coś natrafiła.

Była to blaszana szkatułka z posrebrzanymi królikami, zamknięta na małą kłódkę.

Położyła ją na łóżku i rozejrzała się za miejscem, w którym mógł zostać ukryty klucz. Nagle przypomniała sobie, że go widziała – podczas sekcji zwłok Debby. Wisiał przy bransoletce, którą dziewczynka miała na prawym nadgarstku.

Oddała ją jej matce i teraz nie było czasu na odzyskanie kluczyka.

Postanowiła wyłamać zamek. Końcem długopisu podważyła kółka, przez które przechodziła kłódka. Uniosła wieczko. W środku znajdowały się różne drobiazgi, zasuszone kwiaty i kadzidelka. A także poplamiona czymś czerwonym spinka, którą Debby musiała się posłużyć przy dopełnianiu rytuału sióstr krwi. Haftowana jedwabna chusteczka.

Gumowy niedźwiadek z nadgryzionymi uszami. Świecek z urodzinowego tortu. Skarby nastolatki.

Ani śladu pamiętnika.

Dziwne, pomyślała Mila. Rozmiary szkatułki i jej skromna zawartość pozwalały przypuszczać, że było w niej coś jeszcze. A także i to, że Debby uznała za konieczne zamknąć ją na kłódkę. A może nigdy nie prowadziła pamiętnika?

Zawiedziona niepowodzeniem Mila spojrzała na zegarek: nie zdąży na pociąg. Tym bardziej warto tu zostać i poszukać czegoś, co mogłoby doprowadzić ją do tajemniczej przyjaciółki Debby. Już wcześniej, gdy oglądała należące do dziewczynki przedmioty, znowu odniosła to wrażenie, które nawiedzało ją już kilka razy, choć nie zdołała uchwycić jego istoty.

Łaskotanie u podstawy czaszki.

Nie może stąd wyjść, nie dowiedziawszy się, co to może być. Ale potrzebowała kogoś lub czegoś, co wskazałoby jej kierunek. Pomimo późnej godziny Mila podjęła trudną, ale konieczną decyzję.

Wybrała numer telefonu Gorana.

\* \* \*

– Doktorze, mówi Mila...

Kryminolog zaniemówił na kilka sekund.

– Czym mogę ci pomóc, Milu?

Czyżby był zdenerwowany? Nie, wydawało jej się. Na początek wyjaśniła, że o tej godzinie powinna siedzieć w pociągu, a tymczasem znajduje się w pokoju Debby Gordon w college'u. Wołała powiedzieć mu całą prawdę i Goran cierpliwie jej wysłuchał. Kiedy skończyła, po drugiej stronie linii zapadło długie milczenie.

Mila nie mogła tego wiedzieć, ale Goran stał w kuchni i trzymał w ręku filiżankę gorącej kawy. Nie położył się spać, ponieważ

kilkakrotnie próbował skontaktować się z Roche'em, żeby zapobiec jego medialnemu samobójstwu. Bez skutku.

– Może pospieszyliśmy się trochę z tym Alexandrem Bermannem.

Mila zauważyła, że Goran mówi bardzo cicho, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

– Ja też tak myślę. A jak pan do tego doszedł?

– Ponieważ miał w bagażniku Debby Gordon. Dlaczego ją, a nie ostatnią dziewczynkę?

Mila przytoczyła komentarz Sterna dotyczący tej szczególnej okoliczności: „Być może Bermann popełnił jakieś błędy przy ukrywaniu zwłok, zrobił jakiś fałszywy krok, który mógł narazić go na odkrycie, więc przewoził ją w inne miejsce, żeby lepiej ukryć”.

Goran milczał zakłopotany. W słuchawce słychać było jego oddech.

– Co się stało, czy powiedziałam coś niestosownego?

– Nie, ale wydało mi się, że mówiłaś to bez przekonania.

– To prawda – potwierdziła po krótkim zastanowieniu.

– Czegoś tu brakuje. Inaczej: coś nie harmonizuje z resztą.

Mila wiedziała, że dobry policjant żyje przeczuciami. W oficjalnych raportach nie ma o nich ani słowa, w nich liczy się tylko bilans faktów. Ponieważ jednak to Goran poruszył ten temat, Mila postanowiła zaryzykować i powiedzieć mu o swoich przeczuciach.

– Po raz pierwszy poczułam to podczas sprawozdania lekarza sądowego. Było to coś przypominającego fałszywą nutę. Ale nie udało



mi się utrzymać tego wrażenia i prawie natychmiast mi uciekło.

Łaskotanie u podstawy czaszki.

Usłyszała, że Goran przesuwa krzesło, i ona także usiadła.

– Spróbujmy hipotetycznie wyłączyć Bermanna... – usłyszała jego głos.

– Zgoda.

– Wyobraźmy sobie, że sprawcą jest ktoś inny. Powiedzmy, że ten gość wyskoczył nie wiadomo skąd i umieścił dziewczynkę z obciętą ręką w bagażniku Bermanna...

– Bermann powiedziałby o tym, żeby oddalić od siebie podejrzenia – zauważyła Mila.

– Nie sądzę. Bermann był pedofilem i w żaden sposób by się z tego nie wykręcił. Dobrze wiedział, że jest skończony. Zabił się, bo nie miał innego wyjścia, a także po to, żeby ochronić organizację, do której należał.

Mila przypomniała, że samobójstwo popełnił także nauczyciel muzyki.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Wrócić do Alberta, do jego obiektywnego i bezosobowego portretu, jaki opracowaliśmy na początku.

Po raz pierwszy Mila poczuła, że naprawdę bierze udział w tym śledztwie. Praca w zespole była dla niej nowym doświadczeniem. I nie czuła się źle, współdziałając z doktorem Gavila. Znała go od niedawna, ale już nauczyła się mu ufać.

– Porwania dziewczynek dokonano z konkretnego powodu. Być może absurdalnego, ale istniejącego. A do wyjaśnienia, czym kierował się przestępca, potrzebna jest nam wiedza o nim. Im lepiej go poznamy, tym lepiej będziemy go rozumieli. A im lepiej go zrozumiemy, tym bardziej się do niego przybliżymy. Czy to jasne?

– Tak... Ale na czym dokładnie ma polegać moja rola? – zapytała.

Goran zniżył głos:

– To drapieżnik, prawda? Więc powiedz mi, jak on poluje...

Mila otworzyła notes. Goran usłyszał po drugiej stronie linii szelest odwracanych kartek. Zaczęła odczytywać swoje notatki o ofiarach:

– Debby, dwanaście lat. Zaginęła w szkole. Jej koledzy pamiętają, że widzieli, jak wychodziła po lekcjach. W college’u zauważono jej nieobecność dopiero podczas wieczornego apelu.

Goran upił łyk kawy i poprosił:

– Teraz powiedz mi o tej drugiej...

– Anneke, dziesięć lat. Z początku wszyscy myśleli, że zabłądziła w lesie... Dziewczynka numer trzy miała na imię Sabine i była najmłodsza, siedem lat. Stało się to w sobotni wieczór, gdy była z rodzicami w wesołym miasteczku.

– To ta, którą porwał z karuzeli, na oczach rodziców. Wtedy ogłoszono alarm w całym kraju. Do śledztwa włączył się nasz zespół i wkrótce zaginęła czwarta dziewczynka.

– Melissa. Najstarsza, miała trzynaście lat. Jej rodzice zakazali jej wychodzenia wieczorem, ale w dniu swoich urodzin złamała zakaz i

poszła z przyjaciółkami zagrać w kręgle.

– Zjawiły się wszystkie oprócz Melissy – dodał kryminolog.

– Caroline porwał, gdy leżała w łóżku, wszedł do jej domu... No i jest jeszcze szósta.

– Tę omówimy później. Pozostańmy na razie przy tamtych pięciu.

Goran czuł, że myśli tak samo jak Mila. Było to coś, czego od dawna nie doświadczył.

– Teraz chciałbym, Milu, żebyś zastanowiła się razem ze mną.

Powiedz mi, jak zachowuje się nasz Albert?

– Najpierw porywa dziewczynkę, która jest daleko od domu i nie ma koleżanek. Dzięki temu nikt niczego nie zauważy, a on będzie miał czas...

– Czas na co?

– To test: chce się upewnić, że to, co robi, udaje się. A mając wystarczająco dużo czasu, może pozbyć się ofiary i zniknąć.

– Przy Anneke jest już bardziej swobodny, ale także postanawia porwać ją w lesie, z dala od świadków... A jak się zachowuje, porywając Sabine?

– Uprawdza ją na oczach wszystkich, w wesołym miasteczku.

– Dlaczego? – drążył Goran.

– Z tego samego powodu, dla którego porywa Melisę, gdy wszyscy są już zaalarmowani, albo Caroline z jej domu.

– Co to za powód?

– Czuje się silny, nabrał pewności siebie.

– Dobrze – pochwalił Goran. – Idź dalej... Opowiedz mi od początku tę historię o siostrach krwi...

– Robią to młode dziewczęta. Nakłuwają sobie palec wskazujący, a potem łączą palce czubkami, recytując formułkę.

– Które to są, te dwie dziewczynki?

– Debby i dziewczynka numer sześć.

– Dlaczego Albert wybrał właśnie ją? – zastanawiał się Goran. – To absurdalne. Władze są zaalarmowane, wszyscy szukają Debby, a on wraca, żeby uprowadzić jej najlepszą przyjaciółkę! Dlaczego miałby narażać się na takie ryzyko? Dlaczego?

Mila wiedziała, dokąd kryminolog chce dotrzeć, ale jeśli nawet to ona miała powiedzieć to głośno, wiedziała, że ten wniosek podsunął on.

– Myślę, że on rzuca w ten sposób wyzwanie...

To ostatnie słowo wypowiedziane przez Milę podziało tak, jakby w głowie kryminologa otworzyły się zamknięte drzwi. Gavila wstał z krzesła i zaczął chodzić po kuchni.

– Mów dalej...

– Chciał coś zademonstrować. Na przykład, że jest sprytniejszy.

– I najlepszy ze wszystkich. To oczywiste, że to egocentryk, człowiek o narcystycznie wypaczonej osobowości... Ale teraz powiedz mi coś o dziewczynce numer sześć.

– Nic o niej nie wiemy – odrzekła zdezorientowana Mila.

– Mimo to mów mi o niej. Wykorzystaj to, co mamy...

Musiała improwizować.

– Dobrze, zobaczymy... Jest prawdopodobnie w wieku Debby, ponieważ się przyjaźniły. A więc ma około dwunastu lat. Potwierdza to także badanie zwapnienia kości.

– Dobrze. Co dalej?

– Według orzeczenia lekarza sądowego umarła w inny sposób.

– To znaczy? Przypomnij mi to...

Zaczęła szukać odpowiedzi w notatniku.

– Tak jak innym odciął jej rękę. Tylko że w jej krwi i w tkankach były ślady mieszanki leków.

Goran kazał sobie przypomnieć nazwy leków wymienione przez Changa. Leki antyarytmiczne, takie jak dizopiramid, inhibitory ACE i atenolol, który działa jako betabloker...

To właśnie go nie przekonywało.

– To jest coś, co mnie nie przekonuje – powiedziała Mila.

Goran Gavila przez chwilę podejrzewał, że potrafi czytać w jego myślach.

– W czasie narady powiedział pan, że w ten sposób Albert osłabił jej tętno, obniżając ciśnienie krwi – przypomniała Mila. – A doktor Chang dodał, że chciał spowolnić wykrwawianie się, żeby wolniej umierała.

Spowolnić wykrwawianie się. Sprawić, żeby umierała wolniej.

– Dobrze, słusznie, ale teraz powiedz mi coś o jej rodzicach...

– O jakich rodzicach? – zdziwiła się Mila.

– Nic mnie nie obchodzi, że nie masz tego w twoim głupim notesie! Chcę twoich myśli, do diabła!

Skąd on wie, że mam przed sobą notes, zadała sobie pytanie Mila, poruszona jego reakcją. Ale potem zaczęła zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Rodzice szóstej dziewczynki nie przyszli, jak inni, na badanie DNA. Nie wiemy, kim są, ponieważ nie zgłosili jej zaginięcia.

– Dlaczego tego nie zrobili? Może jeszcze o tym nie wiedzą?

– To nieprawdopodobne.

Spowolnić wykrwawianie się...

– Może nie miała rodziców! Może była sama na świecie! Może nikogo nie obchodzi jej los! – Goran był coraz bardziej rozdrażniony.

– Nie, ona ma rodzinę. Jest taka jak wszystkie inne, nie pamięta pan? Jedyna córka, matka po czterdziestce, małżeństwo, które postanowiło mieć tylko jedno dziecko. On nie zmienia reguł gry, bo przecież to oni są jego prawdziwymi ofiarami. Prawdopodobnie nie będą już mieli dzieci. On wybrał rodziny, a nie dziewczynki.

– Słusznie – powiedział tonem pochwały Goran. – I co teraz?

Mila zamyśliła się na chwilę.

– Uwielbia rzucać nam wyzwania. Chce tego wyzwania. Jak z tymi dziewczynkami, które są siostrami krwi. To zagadkowa sprawa...

Wystawia nas na próbę.

Sprawić, żeby umierała wolniej...

– Jeśli jej rodzice istnieją i wiedzą o jej zaginięciu, to dlaczego nie złożyli zawiadomienia? – drążył Goran, błędząc wzrokiem po podłodze kuchni. Miał wrażenie, że są blisko czegoś. Może nawet odpowiedzi.

– Ponieważ się boją.

Słowa Mili rozjaśniły wszystkie ciemne kąty pomieszczenia. I wywołały u niego łaskotanie u podstawy czaszki, coś w rodzaju swędzenia.

– Czego się boją?

Odpowiedź była bezpośrednim wynikiem tego, co Mila powiedziała niedawno. I choć w istocie nie było takiej potrzeby, oboje chcieli, żeby ta myśl została ubrana w słowa, żeby ją uchwycić i nie pozwolić, by się rozmyła.

– Jej rodzice boją się, że Albert może im zrobić coś złego...

– Ale jak może to zrobić, skoro ona już nie żyje?

Spowolnić wykrwawianie się. Sprawić, żeby umierała wolniej.

Goran znieruchomiał, uginając kolana. Za to Mila zerwała się na równe nogi.

– On nie spowolnił wykrwawiania... On je zatrzymał. Doszli do tego razem.

– O Boże... – jęknęła Mila.

– Tak... ona żyje.

## 11.

*Dziewczynka otwiera oczy.*

*Oddycha głęboko, jakby wynurzyła się z wodnej otchłani, podczas gdy mnóstwo drobnych, niewidocznych rąk ciągnie ją jeszcze w dół.*

*Ale ona wysila się, żeby pozostać w tym spokojnym stanie czuwania.*

*Nagły, ostry ból w lewym ramieniu sprawia, że przytomnieje.*

*Ból jest przejmujący, ale rozjaśnia nieco jej myśli. Stara się przypomnieć sobie, gdzie jest. Straciła orientację. Wie, że leży na wznak.*

*Kręci jej się w głowie i otoczona jest mroczną zasłoną. Na pewno ma gorączkę i nie może się poruszyć, czuje się jakby czymś przygnieciona.*

*Przez mgłę tego półsnu przenikają tylko dwa wrażenia: zapach wilgoci i zgnilizny, podobny do zapachu jaskini, i powtarzający się, denerwujący odgłos spadającej kropli.*

*Co się stało?*

*Wokół niej pojawiają się pojedyncze wspomnienia. A wtedy zbiera jej się na płacz. Po policzkach zaczynają spływać gorące łzy, zwilżając wyschnięte wargi. W ten sposób odkrywa, że chce jej się pić.*



*Pod koniec tygodnia mieli iść nad jezioro. Tata, mama i ona. Od wielu dni nie myślała o niczym innym tylko o tej wycieczce, podczas której tata miał ją nauczyć wędkowania. Zbierała w ogrodzie dżdżownice i wkładała je do słoika. Ruszały się, były żywe, ale ona się tym nie przejmowała. Lub raczej uznała ten szczegół za nieistotny, ponieważ przyjęła za pewnik, że dżdżownice niczego nie czują. Dlatego nie zadawała sobie pytań, co mogły odczuwać, siedząc tam w środku. Za to teraz te pytania wracają. Ponieważ sama tak się właśnie czuje.*

*Odczuwa litość dla nich i dla siebie. I wstydzi się, że była zła. Jej serce przepelnia nadzieja, że ten, kto ją uprowadził, wydzierając ją z jej życia, jest lepszy od niej.*

*Niewiele pamięta z tego, co się wydarzyło.*

*Wstała wcześnie, żeby iść do szkoły, nawet wcześniej niż zwykle, ponieważ był czwartek i jak w każdy czwartek ojciec nie mógł jej odprowadzić, ponieważ robił obchód swoich klientów. Sprzedawał produkty fryzjerskie i w przewidywaniu zwiększenia liczby klientów pod koniec tygodnia dostarczał zakładom lakier do włosów i szampon, a także inne kosmetyki. Dlatego musiała iść do szkoły sama. Robiła to już od dziewiątego roku życia. Pamiętała jeszcze pierwszy raz, gdy ojciec odprowadził ją tylko do pobliskiego przystanku autobusowego.*

*Trzymała go za rękę, słuchając uważnie jego upomnień: na przykład, żeby spojrzała w obie strony przed przejściem na drugą stronę ulicy, żeby się nie spóźniła, bo kierowca z pewnością na nią nie zaczeka, oraz żeby nie zatrzymywała się, by porozmawiać z nieznajomymi, ponieważ to może być niebezpieczne. Z czasem jego*

*rady tak bardzo weszły jej w krew, że nie słyszała ich już w myślach, wypowiedzianych głosem ojca. Miała doświadczenie.*

*W tamten czwartek obudziła się z radością w sercu. Oprócz wycieczki nad jezioro był też inny powód do szczęścia. Plaster, który miała na palcu. Oderwała go z jednej strony pod gorącą wodą w łazience i popatrzyła na koniuszek palca z dumą połączoną z bólem.*

*Miała siostrę krwi.*

*Nie mogła się doczekać, kiedy ją zobaczy. Ale nie było to możliwe aż do wieczora, ponieważ chodziły do różnych szkół. Spotkają się w zwykłym miejscu i przekazują sobie ostatnie wieści, bo nie widziały się już od kilku dni. Potem pobawią się i będą snuły różne plany, a przed pożegnaniem odnowią uroczyste przyrzeczenie, że na zawsze pozostaną przyjaciółkami.*

*Tak, to miał być wspaniały dzień.*

*Wsunęła do plecaka książkę do algebry, jej ulubionego przedmiotu.*

*Świadczyły o tym stopnie. O jedenastej miało być wychowanie fizyczne, więc wyjęła z jednej z szuflad szafy strój gimnastyczny i włożyła do kartonowej torby tenisówki i skarpetki frotte. Kiedy słała łóżko, mama zawołała ją na śniadanie. Przy stole wszyscy zawsze się spieszyli. Ten ranek nie był inny. Ojciec, który zwykle wypijał tylko kawę, stał koło stołu i czytał gazetę. Trzymał ją przed oczami jedną ręką, podczas gdy drugą podnosił filiżankę do ust i upijał małe łyki. Matka rozmawiała przez telefon z kolegą i podała jej talerz z jajecznicą, nie tracąc ani jednego słowa swego rozmówcy. Houdini zwinął się w kłębek w swoim koszyku, a ona od*

zejścia na dół nie rzuciła mu ani jednego spojrzenia. Jej dziadek mawiał, że ten kot, podobnie jak on, ma niskie ciśnienie i dlatego rano musi pospać trochę dłużej. Już od jakiegoś czasu przestała cierpieć z powodu obojętności Houdiniego, a zresztą istniał między nimi cichy pakt, że nie będą wchodzili sobie w drogę, i to wystarczało.

Po śniadaniu włożyła brudny talerz do zlewu i obesła kuchnię, nadstawiając rodzicom czoło do pocałunku. Wyszła z domu.

Wiał wiatr, czuła jeszcze na policzku wilgotny ślad kawy, jaki pozostawiły usta ojca. Dzień był jasny. Nieliczne chmury rozsiane po niebie nie niosły żadnego zagrożenia. Prognozy zapowiadały, że ładna pogoda utrzyma się przez cały weekend. „Doskonałe warunki do wędkowania”, powiedział ojciec. Z sercem przepelnionym nadzieją ruszyła chodnikiem w kierunku przystanku autobusowego. Trzysta dwadzieścia dziewięć kroków. Policzyła je. Z biegiem lat liczba ta stopniowo malała. Znak, że rosła. Co jakiś czas liczyła je na nowo. Również tego ranka. Gdy robiła krok trzysta jedenasty, ktoś ją zawołał.

Ta liczba na zawsze miała pozostać w jej pamięci, jako dokładnie ten punkt, w którym jej życie się rozsypało.

Odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętego nieznanego mężczyznę, który szedł w jej stronę. Usłyszała, że wołają po imieniu, i natychmiast pomyślała: „Jeśli on mnie zna, nie może być zagrożenia”. W miarę jak podchodził bliżej, starała się lepiej mu przyjrzeć, żeby zobaczyć, kto to jest. Wydłużył krok, a ona na niego zaczęła.

*Miał takie dziwne włosy. Jak lalka, którą się bawiła, gdy była małym dzieckiem. Chyba sztuczne. Kiedy domyśliła się, że mężczyzna ma na głowie perukę, było już za późno. Nie zauważyła zaparkowanej obok białej furgonetki. Złapał ją, otwierając jednocześnie drzwi, wepchnął do środka i wszedł za nią. Próbowwała krzyknąć, ale on przycisnął jej rękę do ust. Peruka zsunęła mu się z głowy, a on długo trzymał przy jej ustach mokrą chustkę. Potem nagle z jej oczu popłynęły strumienie łez, a przed oczami zatańczyły czarne kropki i czerwone plamy, pozbawiając świat kolorów. W końcu wszystko utonęło w mroku.*

*Co to za człowiek? Czego od niej chce? Dlaczego ją tu przywiózł?*

*Gdzie jest teraz?*

*Pytania nadbiegają jedno po drugim i znikają bez odpowiedzi.*

*Rozpływają się obrazy ostatniego ranka, który przeżyła jako dziewczynka, a ona odnajduje się w tej jaskini – wilgotnym brzuchu potwora, który ją połknął. Zamiast nich wraca pokrzepiające poczucie odrętwienia. Wszystko jedno co, byle tylko nie zastanawiać się już nad tym wszystkim, myśli. Zamyka oczy, znowu pogrążając się w mrocznych cieniach, które ją otaczają.*

*Nie spostrzega się nawet, że jeden z tych cieni ją obserwuje.*

## 12.

Przez całą noc padał gęsty śnieg, otulając świat ciszą.

Temperatura wzrosła i ulice pokryły się wodnistą breją. Podczas gdy tak oczekiwana zmiana pogody zwalniała bieg wszystkiego, w ekipie śledczej zapanowało podniecenie.

Nareszcie pojawił się cel. Sposób na przynajmniej częściowe zaradzenie całemu złu. Odnalezienie szóstej dziewczynki, uratowanie jej.

A więc uratowanie samych siebie.

– Jeśli jeszcze żyje – powtarzał Goran, tłumiąc entuzjazm pozostałych.

Po dokonaniu tego odkrycia Roche zdręczał Changa, że nie doszedł wcześniej do takiego wniosku. Prasa nie została jeszcze poinformowana o porwaniu szóstej dziewczynki, ale przewidując taką konieczność, szef zespołu przygotowywał sobie medialne alibi i potrzebował kogoś, kto nadawałby się na kozła ofiarnego.

Tymczasem Roche powołał zespół lekarzy o różnych specjalnościach i oczekiwał od nich odpowiedzi na jedno pytanie: „Jak długo może przeżyć dziewczynka w takim stanie?”

Odpowiedź nie była jednoznaczna. Najwięksi optymiści utrzymywali, że przy właściwym leczeniu i jeśli nie wda się zakażenie, może wytrzymać od dziesięciu do dwudziestu dni. Pesymiści

twierdzili, że pomimo młodego wieku szanse na przeżycie po tego rodzaju amputacji maleją z upływem godzin, a nawet jest bardzo prawdopodobne, że mała nie żyje.

Roche nie był zadowolony i na wszelki wypadek postanowił podtrzymywać publicznie, że głównym podejrzanym pozostaje Alexander Bermann. Pomimo przekonania, że agent handlowy nie ma nic wspólnego z uprowadzeniem dziewczynek, Goran postanowił nie dementować oficjalnej wersji szefa. Nie była to kwestia prawdy. Zdawał sobie sprawę, że Roche nie może stracić twarzy, odwołując wcześniejsze stwierdzenia o winie Bermanna. Zaszкодziłby samemu sobie, ale także podważyłby wiarygodność metod śledczych zespołu.

Kryminolog był przekonany, że Bermann został umyślnie „wybrany” przez prawdziwego sprawcę.

Nagle Albert znów znalazł się w centrum ich zainteresowania.

– Wiedział, że Bermann jest pedofilem – stwierdził Goran, kiedy w sali zebrał się cały zespół. – Przez chwilę go nie docenialiśmy.

Portret Alberta wzbogacił się o nowy element. Wyczuli to po raz pierwszy, gdy Chang opisywał urazy na odnalezionych rękach, mówiąc o „chirurgicznej” precyzji, z jaką morderca zadawał śmiertelny cios. Użycie leków w celu obniżenia ciśnienia krwi u szóstej dziewczynki świadczyło o lekarskich umiejętnościach tego człowieka.

Wreszcie fakt, że prawdopodobnie utrzymuje ją jeszcze przy życiu, pozwala przypuszczać, że zna techniki reanimacyjne i zasady intensywnej terapii.

– Może to lekarz lub był nim w przeszłości – zastanawiał się Goran.

– Przejrzę rejestry lekarzy, mógł zostać z nich wykreślony – zaproponował natychmiast Stern.

To dobry początek.

– Ale jak zdobywa leki?

– Dobre pytanie, Boris. Sprawdzimy w aptekach prywatnych i szpitalnych, kto je zamawiał.

– Mógł zaopatrzyć się w nie wiele miesięcy temu – zauważyła Rosa.

– Przede wszystkim antybiotyki: potrzebuje ich, żeby zapobiec infekcji... Co jeszcze?

Najwyraźniej nie było nic więcej. Teraz należy tylko odkryć, gdzie znajduje się dziewczynka, żywa albo martwa.

Wszyscy spojrzeli na Milę. Ona jest ekspertem, osobą mogącą doradzić, jak osiągnąć cel, który nada sens ich pracy.

– Musimy znaleźć sposób na skomunikowanie się z jej rodziną.

Zaczęli wymieniać między sobą spojrzenia, wreszcie Stern zapytał:

– Dlaczego? Mamy teraz przewagę nad Albertem: on jeszcze nie wie, że my wiemy.

– Naprawdę wierzycie, że ktoś o umyśle zdolnym wymyślić to wszystko nie przewidział z dużym wyprzedzeniem naszych ruchów?

– Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, utrzymuje ją przy życiu dla nas.

Głos zabrał Gavila, żeby wesprzeć Milę, jej przypisując tę nową teorię.

– On prowadzi grę, w której nagrodą jest ta dziewczynka. To są zawody, kto sprytniejszy.

– Więc jej nie zabije? – zapytał Boris.

– Nie zabije jej osobiście. Zostawi to nam.

Ta ostatnia konstatacja była trudna do przyjęcia, ale stanowiła esencję rzuconego wyzwania.

– Jeśli będziemy jej szukali zbyt długo, dziewczynka umrze. Jeśli go w jakiś sposób zirytujemy, dziewczynka umrze. Jeśli nie będziemy przestrzegali reguł, dziewczynka umrze.

– Reguły? Jakie znowu reguły? – Rosa była wyraźnie zaniepokojona.

– Reguły, które ustanowił on, a których my niestety nie znamy.

Nie wiemy, jakimi ścieżkami biegną jego myśli. W tym świetle każda nasza akcja może być odczytana jako pogwałcenie reguł gry.

Stern pokiwał w zamyśleniu głową.

– A więc zwracanie się bezpośrednio do rodziny szóstej dziewczynki jest po trosze podjęciem jego gry?

– Tak – potwierdziła Mila. – Tego właśnie Albert oczekuje od nas w tej chwili. Wziął to pod uwagę. Ale jest też przekonany, że nam się nie uda, ponieważ rodzice dziewczynki za bardzo się boją ujawnienia,



bo w przeciwnym razie już by to zrobili. Chce nam pokazać, że jego siła przekonywania jest potężniejsza od wszelkich naszych usiłowań.

Paradoksalnie, próbuje uchodzić w ich oczach za bohatera tej historii.

To tak, jakby im mówił: „Tylko ja mogę uratować waszą córkę, tylko mnie możecie ufać”. Zdajecie sobie sprawę, jak silna jest psychiczna presja, jaką na nich wywiera? Ale gdybyśmy zdołali przekonać rodziców, żeby się z nami skontaktowali, zdobylibyśmy punkt.

– Istnieje jednak groźba, że go urazimy – zaprotestowała Sarah Rosa.

– To ryzyko, które musimy podjąć. Nie sędzę jednak, aby z tego powodu zrobił dziewczynce krzywdę. Ukarze nas, być może zabierając nam czas. Nie zabije jej teraz: najpierw musi pokazać nam swoje dzieło w całości.

Goranowi przemknęło przez głowę, że Mila zdumiewająco szybko włączyła się do śledztwa. Potrafiła precyzyjnie nakreślić plan działania. Mimo wszystko, jeśli nawet inni zaczęli wreszcie słuchać tego, co mówi, niełatwo będzie jej uzyskać pełną akceptację kolegów. Zakwalifikowali ją jako kogoś obcego, kogo nie potrzebują. I z pewnością nieprędko zmienią zdanie.

W tym momencie Roche doszedł do wniosku, że ma już dość słuchania innych i postanowił zabrać głos:

– Zrobimy tak, jak sugeruje agentka Vasquez: podamy wiadomość o szóstej porwanej dziewczynie, a jednocześnie zaapelujemy publicznie do jej rodziny. Chryste! Pokażemy, że mamy

jaja! Zmęczyło mnie czekanie na kolejne wydarzenia, jakby to ten zbrodniarz miał o wszystkim decydować!

Niektórych zdumiała postawa inspektora. Ale nie Gorana. Nie zdając sobie z tego sprawy, Roche posługiwał się techniką ich seryjnego mordercy polegającą na odwracaniu ról, a w rezultacie odpowiedzialności – jeśli nie odnajdą dziewczynki, stanie się tak tylko dlatego, że jej rodzice nie zaufali śledczym i pozostali w cieniu.

W każdym razie w jego słowach kryło się trochę prawdy: nadszedł moment, by spróbować uprzedzić wypadki.

– Nie słyszeliście, co mówili ci szarlatani? Szóstej dziewczynce pozostało najwyżej dziesięć dni! – Roche popatrzył po kolei na wszystkich członków zespołu i oświadczył z poważną miną: – Podjąłem decyzję: przenosimy się do Studia.

\* \* \*

W porze kolacji, w wieczornym dzienniku telewizyjnym na ekranach pojawiła się twarz popularnego aktora. Wybrano go, aby wygłosił apel do rodziców szóstej dziewczynki. Była to znana osoba, która powinna przedstawić sprawę z należytą dozą emocji. To oczywiście był pomysł Roche'a. Mila uznała go za dobry – powinien zniechęcić wielu mitomanów i ludzi o złych intencjach do wybrania numeru podanego w dole ekranu.

Mniej więcej wtedy, gdy telewidzowie dowiedzieli się z przerażeniem połączonym z nadzieją o istnieniu szóstej, wciąż jeszcze żyjącej dziewczynki, członkowie zespołu urządzali się w Studiu.

Był to apartament na czwartym piętrze szarego budynku stojącego w centrum. Znajdowały się w nim drugorzędne biura policji federalnej, głównie administracji i rachunkowości, a także archiwa akt, które nie zostały jeszcze przeniesione do elektronicznych baz danych.

Apartament zaliczano dawniej do miejsc zapewniających bezpieczeństwo świadkom i umieszczano w nim osoby potrzebujące policyjnej ochrony. Studio było wciśnięte między dwa inne takie same apartamenty, dlatego nie było w nim okien. Przez cały czas działała klimatyzacja, a jedynym wejściem były główne drzwi.

Goran zabiegał o przeniesienie się tutaj już od czasów powołania jednostki śledczej badającej najpoważniejsze zbrodnie. Spełnienie jego prośby nie kosztowało Roche'a zbyt dużo wysiłku – wystarczyło po prostu, że przypomniał sobie o tym bezpiecznym pomieszczeniu, z którego od lat nikt nie korzystał. Kryminolog podkreślał potrzebę bycia w bezpośrednim kontakcie podczas prowadzenia śledztwa. Ułatwiało to wymianę pomysłów, generowało zgodne współdziałanie, a ono z kolei dostarczało impulsów temu „jednemu mózgowi”. Doktor Gavila przejął z teorii *new economy* metody kształtowania środowiska pracy, w którym istniały wspólne przestrzenie, a funkcje rozdzielano horyzontalnie, a więc odwrotnie do obowiązujących zwykle w policji struktur wertykalnych, związanych z podziałem na stopnie i często wywołujących konflikty i niezdrowe współzawodnictwo. Wszelkie różnice hierarchiczne zostały w Studiu zlikwidowane, problemy rozwiązywano stopniowo, oczekując osobistego wkładu wszystkich członków zespołu, których opinia była wysłuchiwana i brana pod uwagę.

Na czele szedł Stern, niosąc brązową torbę ze sztucznej skóry, którą przygotowała mu żona. Boris miał na ramieniu plecak. Za nim weszła Rosa, a na końcu Mila.

Gdy tylko przekroczyła próg Studia, pomyślała, że to tu łapie się seryjnych morderców. Nie w rzeczywistym świecie, ale w tych czterech ścianach.

Działania nie koncentrowały się na zwykłym polowaniu na sprawcę, ale na zrozumieniu planu kryjącego się za pozornie niepojętą sekwencją straszliwych zbrodni. Na stworzeniu przybliżonego obrazu chorego umysłu.

W tej samej chwili Mila uświadomiła sobie, że ten jej krok jest wstępem do nowej fazy śledztwa.

Za pancernymi drzwiami znajdowała się nieduża klatka z kuloodpornymi szybami, która służyła dawniej funkcjonariuszom ochrony budynku. Wewnątrz widać było wyłączone monitory, kilka obrotowych krzeseł i pusty stojak na broń. Przedpokój oddzielono od pozostałej części apartamentu drugą barierą w postaci furtki, którą kiedyś otwierali zdalnie strażnicy, ale teraz nie była zamknięta.

Mila zauważyła, że unosi się tu zapach niewietrzonego pomieszczenia, wilgoci i stęchlizny oraz słyszeć szum klimatyzacji. Przyszło jej do głowy, że niełatwo tu będzie zasnąć i musi się zaopatrzyć w zatyczki do uszu.

Przez środek apartamentu biegł długi korytarz. Na ścianach wisiały notatki i zdjęcia z poprzedniego śledztwa.

A wśród nich fotografia dziewczyny, młodej i pięknej.

Ze spojrzeń, jakie rzucali sobie inni, Mila wywnioskowała, że śledztwo nie zakończyło się pełnym sukcesem, a oni prawdopodobnie dawno tu nie byli.

Nikt nic nie mówił, nikt niczego jej nie wytłumaczył. Tylko Boris bąknął:

– Do diabła, mogliby przynajmniej zdjąć ze ściany tę jej buzię!

Pokoje były zastawione starymi meblami biurowymi, z których z wielką fantazją wyczarowano szafy i kredensy. W kuchni biurko udawało stół, lodówka była jeszcze na freon wywołujący dziurę ozonową.

Ktoś zatroszczył się, żeby usunąć z niej szron i zostawić ją otwartą, ale nie zabrał przy okazji resztek jakiegoś chińskiego dania. Była też wspólna sala z dwoma kanapami, telewizorem i stanowiskiem do podłączenia notebooków i urządzeń peryferyjnych. W kącie stał duży ekspres do kawy. Tu i tam widać było brudne popielniczki i wszelkiego rodzaju śmiecie, głównie kartonowe kubki z popularnego fast foodu. Łazienka była wspólna, mała i brzydko pachnąca. Obok prysznicza ustawiono stary segregator, na którym stały opróżnione do połowy butelki z mydłem w płynie i szamponem oraz leżało opakowanie z pięcioma rolkami papieru toaletowego. Dwa zamknięte pokoje przeznaczone były do przesłuchań.

W głębi apartamentu znajdowała się sypialnia. Stały tam dwa polowe i trzy piętrowe łóżka, a przy każdym łóżku krzesło na walizkę albo przedmioty osobiste. Sypialnia była koedukacyjna. Mila zaczekała, aż inni zajmą łóżka, domyślając się, że każdy z nich od dawna ma swoje. Ona, jako ostatni nabytek zespołu, postanowiła

zając jedno z wolnych. W końcu zdecydowała się na polowe łóżko stojące najdalej od łóżka Rosy.

Boris jako jedyny rozłożył się na górnym łóżku. – Stern chrapie – ostrzegł ją półgłosem, gdy przechodziła obok. Z rozbawionego tonu i uśmiechu Mila domyśliła się, że być może nie jest już na nią zły. To dobrze, bo dzięki temu łatwiej zniesie życie w gromadzie. Wprawdzie w przeszłości dzieliła już pomieszczenia z kolegami, ale trudno jej było się z nimi zżyć. Nawet z kobietami. Podczas gdy inni szybko nawiązywali koleżeńskie stosunki, ona pozostawała z boku i nie potrafiła zmniejszyć dystansu. Na początku źle to znosiła. Potem nauczyła się tworzyć własną „niszę”, przestrzeń, do której przenikało tylko to, co chciała, wliczając w to dźwięki, a także komentarze tych, którzy trzymali się od niej z daleka.

Na drugim polowym łóżku leżały już rzeczy Gorana. On sam czekał na nich w głównej sali. Tej, której Boris nadał nazwę „Myślarnia”.

\* \* \*

Weszli w milczeniu i zobaczyli, że stoi plecami do nich i pisze na tablicy zdanie:

*Zna techniki reanimacyjne i metody intensywnej terapii – prawdopodobnie lekarz.*

Do ścian przypięte były zdjęcia pięciu dziewczynek, fotografie cmentarza rąk oraz samochodu Bermanna, a także kopie wszystkich raportów ze śledztwa. W stojącym w rogu pudle leżały zdjęcia i Mila rozpoznała twarz młodej i pięknej dziewczyny. Doktor pozdejmował ze ściany stare fotografie, żeby zastąpić je nowymi.

Pośrodku stało w kręgu pięć krzeseł.

„Myślarnia”. Świątynia Myśli.

Goran zauważył spojrzenie, jakim Mila obrzuciła skromne wyposażenie, i wyjaśnił:

– To służy skupieniu. Musimy skoncentrować się na tym, co już mamy. Urządziłem wszystko według własnego uznania, ale jak zawsze mówię, jeśli coś wam się nie podoba, możecie to zmienić, przestawić. W tej sali możemy robić wszystko, co nam przyjdzie do głowy. Krzesła stanowią małe ustępstwo, ale kawa i toaleta będą traktowane jako nagroda, więc musimy sobie na nią zasłużyć.

– Wygląda nieźle – pochwaliła Mila. – Co mamy robić?

Goran klasnął i wskazał tablicę, na której zaczął już zapisywać cechy seryjnego mordercy.

– Musimy zrozumieć osobowość Alberta. W miarę odkrywania kolejnych szczegółów będziemy je tu zapisywali... Pamiętasz pewnie o metodzie polegającej na tym, żeby wniknąć do głowy seryjnego mordercy i starać się myśleć jak on?

– Tak, oczywiście.

– No cóż, zapomnij o tym, to idiotyzm. Nie wolno tego robić.

Nasz Albert usprawiedliwia to, co robi, to jest wbudowane w jego psychikę. Tworzył to usprawiedliwienie przez lata doświadczeń, urazów albo rojeń. Dlatego nie powinniśmy starać się wyobrazić sobie, co on zrobi, ale zmusić się do zrozumienia, jak to się stało, że zrobił to, co zrobił. Z nadzieją, że w ten sposób do niego dotrzemy.

Mili przemknęło przez głowę, że mimo wszystko po Bermannie ścieżka poszlak wytyczona przez zabójcę uległa przerwaniu.

– Umożliwi nam teraz znalezienie następnych zwłok – odezwał się Boris.

– Ja też tak myślę, ale nie wydaje ci się, że w tej chwili czegoś brakuje?

– Czego? – Boris podobnie jak inni wciąż nie rozumiał, do czego kryminolog zmierza. Goran Gavila nie był jednak zwolennikiem prostych odpowiedzi. Wolał doprowadzić wspólną analizę do pewnego punktu i pozwolić, żeby resztę dopowiedzieli sobie sami.

– Seryjny morderca porusza się w świecie symboli. Idzie ezoterycznym szlakiem, który zainicjował wiele lat temu w swoim sercu, a teraz kroczy nim w świecie rzeczywistym. Uprowadzone dziewczęta są tylko środkiem do osiągnięcia jakiegoś celu.

– To poszukiwanie szczęścia – wtrąciła Milla. Goran spojrzał na nią.

– Dokładnie tak. Albert szuka pewnej formy zaspokojenia, zapłaty nie tylko za to, co robi, ale przede wszystkim za to, kim jest. Jego natura daje mu pewne impulsy, a on tylko za nimi idzie. A zarazem poprzez swoje uczynki próbuje coś nam przekazać...



Oto, czego brakuje. Brakuje znaku, czegoś, co poprowadzi ich dalej, w głąb świata Alberta.

Głos zabrała Sarah Rosa:

– Na zwłokach pierwszej dziewczynki nie było żadnych śladów.

– To prawda – przyznał Goran. – Z literatury na temat seryjnych morderców, łącznie z filmowym opracowaniem ich sylwetek, wiadomo, że seryjny morderca zawsze stara się znaczyć swoją drogę, pozostawiając śledczym kilka ścieżek, którymi mogą pójść... Albert tego nie zrobił.

– Lub może zrobił, ale nam to umknęło.

– Być może dlatego, że nie potrafimy odczytać tego znaku – odparł Goran. – Prawdopodobnie jeszcze go dobrze nie znamy, dlatego nadszedł moment, by odtworzyć kolejne stadia...

Było ich pięć. Każde z nich określało pewien *modus operandi*. W podręcznikach kryminologii służyły podkreśleniu pewnych działań seryjnych morderców, dzięki podzieleniu ich na konkretne momenty, które później mogły być analizowane oddzielnie.

Wychodzi się od założenia, że seryjny morderca nie rodzi się taki, ale biernie kumuluje doświadczenia i bodźce składające się na coś w rodzaju inkubacji osobowości mordercy, która później znajduje ujście w zbrodni.

Pierwszym stadium tego procesu jest „fantazjowanie”.

– Zanim morderca zacznie szukać przedmiotu swego pożądania w realnym świecie, przez długi czas tylko go sobie wyobraża – mówił Goran. – Wiemy, że wewnętrzny świat seryjnego zabójcy jest

kłębowiskiem bodźców i napięć, ale kiedy jego wnętrze nie może już go pomieścić, nieuchronnie następuje przejście do działania. Życie wewnętrzne, jego urojenia biorą w końcu górę nad życiem realnym. To wtedy seryjny morderca zaczyna modelować rzeczywistość, która go otacza, według swoich wyobrażeń.

– Co cechuje wyobraźnię Alberta? – zapytał Stern, wsuwając do ust nie wiadomo którą miętówkę. – Co go fascynuje?

– Fascynuje go rzucanie wyzwania – odpowiedziała Mila.

– Być może przez długi czas był albo czuł się niedoceniony. Teraz chce nam pokazać, że jest lepszy od innych... i lepszy od nas.

– Ale akurat tego tak sobie po prostu nie „wyobraził”, prawda? – spytał Goran, nie po to, by otrzymać potwierdzenie, ale dlatego, że uważał już tę fazę za nieaktualną. – Albert posunął się dalej: zaplanował każdy swój ruch, przewidując naszą reakcję. To on kontroluje bieg wydarzeń. To właśnie nam mówi: zna dobrze nie tylko siebie, ale i nas.

Drugie stadium polega na „organizowaniu” albo „planowaniu”.

Następuje wtedy, gdy fantazja dojrzeje, przechodząc do fazy realizacji, co nieuchronnie rozpoczyna się wyborem ofiary.

– Wiemy już, że wybiera nie dziewczynki, ale rodziny. Jego prawdziwym celem są rodzice, którzy postanowili mieć tylko jedno dziecko. Chce ich ukarać za ich egoizm... Nie wydaje się, aby przypisywał ofiarom znaczenie symboliczne. Dziewczynki różnią się między sobą, są też zróżnicowane pod względem wieku, choć nieznacznie.

Nie mają jakiejś wspólnej cechy fizycznej, na przykład takiej, jak jasne włosy albo piegi.

– Dlatego ich nie wykorzystuje – stwierdził Boris. – Nie interesują go pod tym względem.

– Więc dlaczego dziewczynki, a żadnego chłopca? – spytała Mila.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Goran pokiwał głową, zastanawiając się na tym szczegółem.

– Ja też o tym myślałem. Ale problemem jest to, że nie wiemy, skąd biorą się jego fantazje. Często wyjaśnienie jest bardziej banalne, niż można przypuszczać. Może został upokorzony w szkole przez jakąś koleżankę, kto to wie... Byłoby interesujące poznać odpowiedź.

Ale nie mamy żadnych danych, dlatego będziemy musieli pozostać przy tym, co wiemy.

Ton, jakim Goran odpowiedział na jej pytanie, zirytował Milę, która była przekonana, że kryminolog nic do niej nie ma. Wyglądało to tak, jakby był zawiedziony, że Mila nie zna wszystkich odpowiedzi.

Trzecia faza polega na „wciąganiu w pułapkę”.

– W jaki sposób zostały złowione ofiary? Po jaką sztuczkę Albert musiał sięgnąć, żeby je uprowadzić?

– Debby poza szkołą. Anneke w lesie, do którego pojechała na rowerze górskim.

– Sabine porwał z karuzeli, na oczach wszystkich – dodał Stern.

– Bo każdy z obecnych patrzył tylko na swoje dziecko – mruknęła Rosa z goryczą. – Ludzie mają wszystko w nosie, taka jest prawda.

– W każdym razie zrobił to w obecności mnóstwa osób. Ten sukinsyn jest bardzo sprytny! – wykrzyknął Boris.

Goran dał mu znak, żeby zachował spokój. Nie chciał, by górę wzięła złość, że zostali okpieni w tak prymitywny sposób.

– Dwie pierwsze porwał w odosobnionych miejscach. Było to coś w rodzaju próby generalnej. Kiedy nabrał pewności siebie, uprowadził Sabine – przypomniał.

– I podniósł sobie poprzeczkę – dodał Boris.

– Nie zapominajmy, że wtedy nikt go nie szukał. Dopiero po uprowadzeniu Sabine skojarzono zaginięcia i wybuchła panika...

– Tak, ale nie zapominajmy, że Albertowi udało się ją porwać w obecności rodziców. Zrobił to tak, że zniknęła jakby za sprawą magicznej sztuczki. Nie jestem też przekonany, że, jak twierdzi Rosa, nie obeszło to tych, którzy tam byli... Nie, on oszukał także tych ludzi.

– Brawo, Stern, właśnie nad tym musimy popracować – powiedział Goran. – Jak Albert to zrobił?

– To jasne: jest niewidzialny.

Słowa Borisa wywołały przelotne uśmiechy, ale Gavila widział w nich ziarno prawdy.

– To nam mówi, że wygląda jak zwykły człowiek i potrafi się doskonale maskować. Porywając Sabine z karuzeli, zdołał zrobić to tak, że wzięto go za ojca któregoś z dzieci. A miał na to wszystko ile... cztery sekundy?

– Natychmiast uciekł, wmieszawszy się w tłum.

– A dziecko nie płakało? Nie protestowało? – dopytywał się z niedowierzaniem Boris.

– Znasz dużo siedmioletnich dzieci, które kapryszą na karuzeli? – zwróciła mu uwagę Mila.

– Nawet jeśli płakała, w oczach obecnych było to coś normalnego – powiedział Goran, podejmując dyskurs. – Potem przyszła kolej na Melisę...

– Wszyscy byli już zaalarmowani. Rodzice zakazali jej wychodzenia wieczorem, ale mimo to zdołała się wymknąć, żeby spotkać się z przyjaciółkami.

Stern wstał i podszedł do zdjęcia na ścianie, na którym widać było uśmiechniętą Melisę. Zrobiono je podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego. Choć była najstarsza, jej niedojrzałe jeszcze ciało zachowało dziecinne cechy, a do tego nie była zbyt wyrosnięta. Niebawem przekroczyłaby próg pokwitania, na jej ciele pojawiłyby się krągłości i chłopcy zaczęliby ją wreszcie zauważać. Na razie napis pod zdjęciem podkreślał tylko jej zasługi w sporcie i to, że była redaktorką szkolnej gazetki. Marzyła o tym, żeby zostać dziennikarką, ale to nie było jej pisane.

– Na jej drodze stanął Albert. Ten sukinsyn...

Mila spojrzała na Sterna, był wzburzony.

– Natomiast Caroline została uprowadzona z własnego łóżka, z domu.

– Zaplanował każdy krok...

Goran podszedł do tablicy, sięgnął po pisak i zaczął prędko notować wnioski punkt po punkcie.

– Pierwsze dwie po prostu znikają. Na jego korzyść działa fakt, że każdego dnia dziesiątki dzieci uciekają z domu, bo dostały złą ocenę albo pokłóciły się z rodzicami. Dlatego nikt tych dwóch zaginięć nie łączy... Zniknięcie trzeciej musi wyglądać na porwanie, żeby wszczęto alarm. W przypadku czwartej wiedział wcześniej, że Melissa nie oprze się pokusie wyjścia z przyjaciółkami. Wreszcie przy piątej od jakiegoś czasu poznawał rozkład domu i przyzwyczajenia rodziny, żeby móc wśliznąć się bez przeszkód do środka. Jakie wyciągniemy wnioski?

– Że zastawia wyrafinowane pułapki. Bardziej niż ofiary interesują go ich opiekunowie, rodzice albo służby porządkowe – powiedziała Mila. – Nie potrzebuje specjalnych inscenizacyjnych sztuczek, żeby zaskarbić sobie zaufanie dziewczynek: uprowadza je siłą, to wszystko.

Mila przypomniała sobie, że Ted Bundy nakładał sobie sztuczny gips, żeby wzbudzić ufność studentek, gdy na nie polował. W ich oczach uchodził za bezbronny. Prosił o pomoc w przeniesieniu czegoś ciężkiego i w ten sposób zwabiał je do swojego volkswagena garbusa. Wszystkie orientowały się za późno, że drzwi po ich stronie nie mają klamki.

Zakończywszy pisanie, Goran przeszedł do czwartego stadium: „zabijania”.

– Istnieje rytuał zadawania śmierci, powtarzany za każdym razem przez seryjnego mordercę. Z czasem może go udoskonalić, ale w ogólnych zarysach pozostaje niezmienny. To jego znak firmowy.

Poza tym każdemu rytuałowi towarzyszy szczególna symbolika.

– Na razie mamy sześć rąk i tylko jedne zwłoki. Zabija, obcinając im kończynę, ale, jak już wiemy, nie dotyczy to ostatniej dziewczynki – dodała Sarah Rosa.

Boris wyjął z teczki orzeczenie patologa.

– Chang twierdzi, że zamordował je wszystkie zaraz po porwaniu.

– Skąd taki pośpiech? – zapytał Stern.

– Nie interesują go dziewczynki, więc nie musiał utrzymywać ich przy życiu.

– Albert nie widzi w nich istot ludzkich – wtrąciła Mila. – Dla niego to są przedmioty.

A więc także i ta numer sześć, pomyśleli wszyscy, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Było oczywiste, że dla Alberta nie jest ważne, czy ona cierpi, czy nie. Musi tylko utrzymać ją przy życiu, aż osiągnie cel.

Ostatnie stadium to „pozbycie się szczątków”.

– Najpierw urządza cmentarz rąk, potem umieszcza zwłoki w bagażniku samochodu pedofila. Czy w ten sposób chce nam coś zakomunikować?

Goran rzucił zespołowi pytające spojrzenie.

– Informuje nas, że jest inny niż Alexander Bermann – podsunęła Sarah Rosa. – A być może chce nam nawet zasugerować, że padł ofiarą nadużyć, gdy był mały. To tak, jakby mówił: „No właśnie, jestem taki, jaki jestem, ponieważ ktoś zrobił ze mnie potwora!”.

Stern pokręcił głową.

– Lubi rzucać nam wyzwania, urządzać przedstawienie. A dziś na pierwszych stronach gazet pisano tylko o Bermannie. Wątpię, żeby chciał dzielić sławę z kimś innym. Nie wybrał pedofila z zemsty, musiał mieć inne powody...

– Ja widzę coś szczególnego także w czymś innym... – Goran powiedział to, przypomniawszy sobie autopsję, przy której był obecny. – Umył i upiękzył ciało Debby Gordon, ubierając ją w jej własne ubrania.

Upiękzył ją dla Bermanna, pomyślała Mila.

– Nie wiemy, czy postąpił tak ze wszystkimi i czy to zachowanie stało się częścią jego rytuału. A jednak jest w tym coś dziwnego...

Dziwaczność, o której mówił Goran – a Mila, choć nie była specjalistką, dobrze o tym wiedziała – polega na tym, że seryjni mordercy często zabierają coś ofiarom. Jakiś fetysz lub pamiątkę, żeby przeżywać na nowo to doświadczenie.

Posiadanie takiego przedmiotu jest dla nich równoznaczne z posiadaniem osoby, do której należał.

– Debby Gordon niczego nie zabrał.

Gdy tylko Goran wymówił te słowa, Mila przypomniała sobie o kluczyku przy bransoletce Debby otwierającym blaszaną szkatułkę, w której, jak uważała, dziewczynka przechowywała swój pamiętnik.

– Skurwysyn... – syknęła niemal bezwiednie. I znowu znalazła się w centrum uwagi.

– Może zechcesz podzielić się tym z nami, bo inaczej...



Mila spojrzała na Gorana.

– Kiedy byłam w pokoju Debby w college’u, znalazłam pod materacem blaszaną szkatułkę. Myślałam, że w środku jest pamiętnik, ale go nie było.

– I co? – zapytała Rosa z zarożumiałą miną.

– Szkatułka była zamknięta na małą kłódkę. Kluczyk do niej znajdował się na nadgarstku Debby, więc nasuwał się prosty wniosek, że jeśli tylko ona mogła ją otworzyć, to być może pamiętnik nigdy nie istniał. Ale myliłam się: musiał tam być!

Boris zerwał się na równe nogi.

– Był tam! Ten skurwysyn poszedł do pokoju Debby!

– Ale w jakim celu miałby podejmować takie ryzyko? – spytała Rosa, która zwyczajnie nie chciała przyznać Mili racji.

– Ponieważ ciągle robi ryzykowne rzeczy. To go podnieca – wyjaśnił Goran.

– Jest jeszcze jeden powód – dodała Mila, która czuła się coraz pewniejsza słuszności tej teorii. – Zauważyłam, że ze ścian znikły zdjęcia. Prawdopodobnie przedstawiały Debby z dziewczynką numer sześć. On za wszelką cenę nie chce dopuścić, żebyśmy się dowiedzieli, kto to jest!

– Dlatego zabrał też pamiętnik. I zamknął szkatułkę na kłódkę. Po co? – To nie dawało Sternowi spokoju.

Za to dla Borisa wszystko było jasne.

– Nie rozumiesz? Pamiętnik znikł, ale szkatułka była zamknięta, a kluczyk znajdował się na nadgarstku Debby. On nam mówi: „Tylko ja

mogłem go zabrać”.

– Ale dlaczego chce, żebyśmy o tym wiedzieli?

– Ponieważ coś tam zostawił... Coś dla nas!

„Znak”, którego szukają.

Jeszcze raz „Myślarnia” wydała owoce, pokazując Goranowi wartość tej metody dedukcyjnej. Odwrócił się do Mili.

– Byłaś tam, widziałaś, co jest w pokoju...

Mila próbowała odtworzyć w pamięci widok tego miejsca, ale nie przypominała sobie niczego, co włączyłoby dzwonek alarmowy w jej głowie.

– A jednak coś musi tam być! – naciskał Goran. – Nie mylimy się.

– Przeszukałam wszystkie kąty pokoju i nic nie zwróciło mojej uwagi.

– Musi to być coś oczywistego, czego nie mogłaś przeoczyć!

Ale Mila niczego sobie nie przypominała. Stern postanowił więc, że wszyscy pojedą do college’u, żeby przeprowadzić dokładniejsze przeszukanie. Boris sięgnął po telefon, chcąc uprzedzić o wizycie, natomiast Sarah Rosa poprosiła Kreppa, żeby zjawił się tam jak najprędzej i zabezpieczył odciski palców. W tym momencie Mila doznała olśnienia.

– To na nic – oświadczyła, odzyskując pewność siebie, która niedawno chyba ją opuściła. – Cokolwiek by to było, w tym pokoju już tego nie ma.

\* \* \*

Gdy dotarli do college'u, koleżanki Debby czekały w salonie, w którym zazwyczaj odbywały się zebrania i wręczanie dyplomów.

Ściany pokryte były rzeźbioną mahoniową boazerią. Z góry spoglądały na nich zastygłe w drogich ramach surowe twarze nauczycieli, którzy w minionych latach zasłużyli się dla szkoły.

Głos zabrała Mila. Starła się mówić jak najuprzejmiej, ponieważ dziewczynki były przestraszone. Dyrektorka college'u zapewniła wszystkie, że nikt ich za nic nie ukarze. A jednak strach, który malował się na ich twarzach, świadczył o tym, że nie wierzyły w tę obietnicę.

– Wiemy, że niektóre z was wchodziły do pokoju Debby po jej śmierci. Jestem przekonana, że zrobiłyście to przede wszystkim po to, by zdobyć pamiątkę po waszej tragicznie zmarłej koleżance.

Mówiąc to, Mila napotkała spojrzenie uczennicy, którą zaskoczyła w drzwiach łazienki z rękami pełnymi różnych rzeczy. Gdyby nie ten incydent, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby zrobić to, co teraz robi.

Z rogu sali obserwowała ją Sarah Rosa, pewna, że Mila niczego nie osiągnie. Za to zarówno Boris, jak i Stern całkowicie jej ufali.

Goran ograniczył się do słuchania.

– Bardzo bym chciała, żebyśmy nie musieli zwracać się do was z tą prośbą, ale wiem, jak byłyście przywiązane do Debby. Dlatego proszę, żebyście przyniosły tu teraz wszystkie jej rzeczy.

Mila starała się mówić stanowczym tonem.

– Proszę, żebyście o niczym nie zapomnieli, bo nawet najmniej znaczący przedmiot może okazać się użyteczny. Sądzymy, że wśród nich jest coś, co uszło uwagi prowadzących śledztwo. Jestem pewna, że każda z was chciałaby, żeby zabójca Debby został złapany. A ponieważ wiem, że żadna z was nie ryzykowałaby oskarżenia o to, że ukryła dowody, ufam, że zrobicie to, o co proszę.

Ta ostatnia groźba, choć niemożliwa do spełnienia z powodu młodego wieku dziewczynek, posłużyła Mili do podkreślenia wagi ich zachowania. Wygłosiła ją także po to, aby umożliwić wzięcie małego odwetu samej Debby, która była tak niedoceniona za życia i dopiero po śmierci niespodziewanie zainteresowała dziewczynki, które rzuciły się do dzikiego plądrowania jej rzeczy.

Mila czekała, chcąc dać każdej z nich czas na zastanowienie się.

Milczenie powinno okazać się najlepszym narzędziem perswazji, zdawała sobie bowiem sprawę, iż każda sekunda coraz bardziej im ciąży. Zauważyła, że kilka dziewczynek wymienia spojrzenia. Żadna nie chciała być pierwsza, to normalne. Potem dwie z nich dały sobie znak, że są gotowe, i zrobiły to niemal równocześnie. W ich ślady poszło pięć następnych. Pozostałe nie ruszyły się z miejsc.

Mila odczekała jeszcze minutę, patrząc na ich twarze w poszukiwaniu jakiejś niesfornej owieczki, która przedłożyła własny interes ponad interes grupy, ale jej nie znalazła. Pomyślała, że dobrze by było, gdyby plądrowania dopuściło się tylko tych siedem dziewczynek.

– Dobrze, pozostałe mogą odejść.

Dziewczynki wstały i szybko opuściły salę. Mila odwróciła się do swoich kolegów i napotkała obojętne spojrzenie Gorana. Nagle jednak zrobił coś, co wprowadziło ją w zakłopotanie: puścił do niej oko. Chciała odpowiedzieć mu uśmiechem, ale się powstrzymała, ponieważ patrzyli na nią także pozostali członkowie zespołu.

Minęło około piętnastu minut, po czym siedem dziewczynek wróciło do sali. Każda niosła kilka przedmiotów. Położyły je na długim stole, przy którym podczas szkolnych uroczystości zasiadali zazwyczaj nauczyciele w togach, i czekały, aż Mila i inni członkowie grupy je obejrzą.

Były to przede wszystkim ubrania i różne drobiazgi, takie jak lalki i pluszowe misie. Był różowy odtwarzacz MP3, okulary słoneczne, perfumy, sole kąpielowe, etui w kształcie biedronki, czerwony kapelusz Debby i gra wideo.

– To nie ja ją zepsułam...

Mila spojrzała na puciołowatą dziewczynkę, która to powiedziała.

Była najmłodsza ze wszystkich – najwyżej osiem lat. Miała długie jasne włosy zaplecione w warkoczyk i niebieskie oczy, w których błyszczały łzy. Policjantka uśmiechnęła się do niej, żeby ją pocieszyć, a potem przyjrzała się aparatowi. Wreszcie sięgnęła po niego i podała go Borisowi.

– Co to takiego?

Boris obracał go przez chwilę w rękach.

– Nie wydaje mi się, żeby to była gra wideo.

Nacisnął przycisk.

Na ekranie pojawiła się migocąca czerwona dioda, jednocześnie dały się słyszeć krótkie dźwięki rozbrzmiewające w równych odstępach.

– Powiedziałam wam, że jest popsuta. Kulka w ogóle się nie porusza – pospieszyła z wyjaśnieniem puciołowata dziewczynka.

Mila spostrzegła, że Boris nagle zbladł.

– O, kurwa... wiem, co to jest.

Słyszac przekleństwo Borisa, dziewczynka przewróciła z niedowierzaniem oczami, rozbawiona tym, że ktoś odważył się sprofanować tak dostojne miejsce.

Ale Boris nawet na nią nie spojrział, tak był przejęty swoim odkryciem.

– To odbiornik GPS. Gdzieś, w jakimś miejscu znajduje się nadajnik, który przesyła sygnał.

## 13.

Telewizyjny apel do rodziny szóstej dziewczynki nie odniósł skutku.

Najwięcej było telefonów od osób, które wyrażały solidarność i tylko blokowały linie. Zaniepokojona babcia pięciu wnucząt dzwoniła dobre siedem razy, prosząc, żeby podano jej najnowsze „wiadomości o tej biedaczce”. Po kolejnym telefonie jeden z agentów wyznaczonych do ich odbierania poprosił ją uprzejmie, żeby przestała dzwonić, i usłyszał, żeby poszedł do diabła.

– Jeżeli próbujesz dać im do zrozumienia, że postępują niewłaściwie, mówią, że jesteś niewrażliwy – skomentował Goran, kiedy Stern mu o tym opowiedział.

Znajdowali się w furgonetce i ustalali, skąd dochodzi sygnał GPS.

Przed nimi jechały opancerzone wozy brygad specjalnych, które tym razem miały nadawać ton całej parady, jak niedawno zakomunikował im z emfazą Roche.

Tak wielka ostrożność podyktowana była tym, że nie wiedzieli, dokąd Albert ich zaprowadzi. Mogła to być pułapka, choć Goran nie podzielał tego poglądu.

– Nie, nie, on chce nam coś pokazać. Coś, z czego jest bardzo dumny.

Nadajnik GPS został zlokalizowany na obszarze kilku kilometrów kwadratowych. Z tej odległości nie można było umiejscowić go dokładnie. Trzeba było udać się na miejsce osobiście.

W furgonetce wisiało napięcie. Goran zamienił parę słów ze Sternem. Boris sprawdził, jak działa jego broń, a potem upewnił się po raz kolejny, czy kuloodporna kamizelka dobrze przylega do klatki piersiowej. Mila patrzyła się przez okno na okolicę pełną wiaduktów i przeplatających się języków asfaltu, gdzie autostrada łączyła się z różnymi drogami.

Odbiornik GPS został przekazany dowódcy oddziału specjalnego, ale Sarah Rosa mogła śledzić na ekranie komputera to, co oglądają jadący przed nimi koledzy.

– Zbliżamy się do celu. Wydaje się, że sygnał dochodzi z miejsca położonego kilometr przed nami, niedaleko... – odezwał się głos w radiu.

Wszyscy pochylili się, żeby spojrzeć przez przednią szybę.

– Co to za miejsce? – zapytała Rosa.

Mila dojrzała w oddali potężny budynek z czerwonej cegły złożony z kilku skrzydeł połączonych w kształt krzyża. Zbudowany był w stylu neogotyckim z lat trzydziestych, surowym i ponurym, typowym dla budownictwa kościelnego tamtych czasów. Przy jednym ze skrzydeł wznosiła się dzwonnica, a obok niej kościół.

Opancerzone wozy posuwały się długą aleją dojazdową prowadzącą do głównego budynku. Dotarłszy na obszerny plac, wszyscy zaczęli przygotowywać się do wkroczenia do środka.



Mila wysiadła z samochodu i spojrzała na imponującą fasadę zniszczoną przez czas. Nad bramą widniał napis: *VISITARE PUPILLOS IN TRIBULATIONE EORUM ET IMMACULATUM SE CUSTODIRE AB HOC SAECULO.*

– „Pomaganie sierotom w ich kłopotach pozwala pozostać z dala od brudów tego świata” – przetłumaczył Goran.

Kiedyś był to sierociniec. Obecnie zamknięty.

Kapitan dał znak i oddziały operacyjne rozdzieliły się, wchodząc do środka bocznymi drzwiami. Wobec braku planu logistycznego zmuszone były improwizować.

Odczekawszy minutę, Mila i jej koledzy weszli razem z kapitanem przez główną bramę.

Pierwsza sala była ogromna. Na wprost krzyżowały się schody prowadzące na wyższe piętra. Wysoko umieszczony witraż przepuszczał zamglone światło. Jedynymi mieszkańcami tego miejsca było kilka gołębi, które spłoszyły się, gdy wtargnęli ludzie, i latały z szalonym biciem skrzydeł wokół świetlika, rzucając na posadzkę ulotne cienie. W przestronnym wnętrzu odbijały się echem odgłosy kroków członków oddziałów specjalnych, którzy sprawdzali jedno pomieszczenie za drugim.

– Wolne! – wołali na zmianę za każdym razem, gdy pomieszczenie zostało sprawdzone.

Mila rozejrzała się po przesiąkniętym nierealną atmosferą wnętrzu.

W planach Alberta znowu pojawiła się szkoła. Ale zupełnie inna niż ekskluzywny college Debby Gordon.

– Sierociniec. Tu dzieciaki miały przynajmniej zapewniony dach nad głową i wykształcenie – odezwał się Stern.

Boris uważał za stosowne sprecyzować:

– Przysyłano tu tych, którzy nie mieli żadnych szans na adopcję, dzieci więźniów i sieroty po rodzicach samobójcach.

Wszyscy chcieli coś odkryć. Cokolwiek, byle tylko ten koszmar się skończył. Byle tylko poznać wreszcie powód, dla którego dotarli aż tu. Echo kroków nagle ucichło. Po kilku sekundach w radiu rozległ się głos:

– Panie kapitanie, tu coś jest...

Nadajnik GPS znajdował się w suterenie. Mila puściła się wraz z innymi biegiem w tamtym kierunku, mijając szkolne kuchnie z wielkimi żelaznymi kotłami, a potem ogromną jadalnię z krzesłami i stołami z płyt wiórowych pokrytych niebieskim laminatem. Zbiegła wąskimi krętymi schodami i znalazła się w przestronnym pomieszczeniu z niskim stropem, do którego światło wpadało przez szereg okrągłych okienek. Posadzka była marmurowa, nachylona w stronę biegnącego środkiem ścieku wypełnionego odpadkami. Z marmuru były też wanny stojące wzdłuż ścian.

– To musiała być pralnia – stwierdził Stern.

Ludzie z oddziałów specjalnych otoczyli półkolem jedną z wanien, trzymając się w pewnej odległości, żeby nie zatrzeć śladów. Jeden z nich zdjął hełm i przykucnął, żeby zwymiotować. Nikt nie patrzył na wannę.

Boris pierwszy wyminął ludzi i stanął jak wryty, podnosząc rękę do ust. Sarah Rosa odwróciła wzrok. Stern jęknął tylko:

– Boże, bądź miłościw...

Doktor Gavila miał obojętną minę. Za nim stała Mila.

Anneke.

Ciało leżało w płytkiej kałuży mętnego płynu.

Na woskowej cerze widać już było plamy opadowe. Dziewczynka nie miała na sobie ubrania. W jej prawej ręce tkwił nadajnik GPS, który wciąż migał: absurdalny przebłysk sztucznego życia w obliczu śmierci.

Anneke nie miała lewej ręki, której brak zniekształcał klatkę piersiową. Ale to nie ten szczegół najbardziej poruszył obecnych ani też stan ciała czy jego niewinna obsceniczność.

Trup się uśmiechał.

## 14.

Ksiądz miał na imię Timothy. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści pięć lat, miał jasne cienkie włosy z przedziałkiem z boku. Trząśł się ze strachu.

Był jedynym mieszkańcem tego miejsca.

Zajmował dom parafialny stojący tuż obok małego kościoła. Były to jedyne używane części olbrzymiego kompleksu. Cała reszta od lat stała pusta.

– Jestem tu, ponieważ kościół nadal jest konsekrowany – wyjaśnił młody kapłan, chociaż odprawiał msze już tylko dla siebie. – Nikt tu nie przychodzi. To miejsce położone jest zbyt daleko od domów, a autostrada odcięła nas od świata.

Przebywał tu dopiero od sześciu miesięcy. Zajął miejsce niejakiego ojca Rolfa po jego odejściu na emeryturę i oczywiście nic nie wiedział o tym, co się wydarzyło w sierocińcu.

– Nigdy tam nie zaglądam. Co miałbym tam robić?

O powodach najazdu policji poinformowały go Sarah Rosa i Mila.

A także o znalezisku. Dowiedziawszy się, że mieszka tu ojciec Timothy, Goran wolał wysłać je obie, żeby z nim porozmawiały. Rosa udawała, że zapisuje coś w notesie, ale widać było, że nie przywiązuje wielkiej wagi do słów księdza. Mila starała się go uspokoić, zapewniając, że nikt go o nic nie podejrzewa ani nie obwinia.

– Biedna, nieszczęsna dziewczyna! – wykrzyknął ksiądz i wybuchnął płaczem. Był wstrząśnięty.

– Gdy ksiądz poczuje się lepiej, proszę do nas przyjść, do pralni – powiedziała Sarah Rosa, podsycając na nowo jego strach.

– Ale po co?

– Ponieważ być może będziemy musieli zadać księdzu kilka pytań na temat tego miejsca, bo wygląda na labirynt.

– Ależ przecież powiedziałem wam, że byłem tam tylko kilka razy i nie sędzę, żebym...

– To potrwa tylko parę minut – przerwała mu Mila. – Gdy już zabierzemy zwłoki.

Tę ostatnią informację podała celowo, ponieważ domyśliła się, że ojciec Timothy nie chce, żeby widok umęczonego ciała dziewczynki zapadł mu w pamięć, bo przecież musi mieszkać w tym ponurym miejscu. A i bez tego było to dla niego trudne.

– Jak sobie życzycie – zgodził się w końcu, pochylając głowę.

Odprowadził je do drzwi, potwierdzając, że jest do ich dyspozycji.

Wracając od księdza, Rosa celowo wyprzedziła Milę o parę kroków, żeby zaznaczyć dzielący ich dystans. Kiedy indziej Mila zareagowałaby jakoś na tę prowokację, ale teraz należy do zespołu i musi przestrzegać innych reguł, jeśli chce doprowadzić swoją pracę do końca.

Policzę się z tobą, gdy będzie po wszystkim, pomyślała.

Ale formułując tę myśl, uświadomiła sobie, że przyjęła za pewnik, iż śledztwo zostanie zakończone. Że ten koszmar kiedyś się skończy.

To jest wpisane w ludzką naturę, rozmyślała. Trzeba żyć. Umarli zostaną pogrzebani i z czasem wszystko się zatrze. Pozostanie tylko niejasne *memento* w duszy, pozostałość nieuchronnego procesu wymuszonego przez instynkt samozachowawczy.

U wszystkich. Ale nie u niej, bo ona jeszcze tego samego wieczoru postanowiła zrobić coś, dzięki czemu to wspomnienie stanie się nieusuwalne.

\* \* \*

Na miejscu zbrodni można znaleźć wiele informacji mówiących zarówno o dynamice wypadków, jak i o osobowości mordercy.

Podczas gdy samochód Bermanna nie mógł zostać uznany za miejsce zbrodni, w przypadku drugich zwłok możliwe było odkrycie wielu szczegółów dotyczących Alberta.

Dlatego trzeba było przeprowadzić dokładne badanie tego miejsca oraz, za sprawą swego rodzaju zespołowej analizy, która stanowiła prawdziwą siłę zespołu, podjąć próbę opisu osobowości mordercy, na którego polują.

Pomimo podejmowanych przez Sarah Rosę prób wypchnięcia jej poza nawias Mila w końcu wywalczyła sobie miejsce w tym łańcuchu energetycznym – jak sama to określiła, asystując przy znalezieniu pierwszych zwłok w aucie Bermanna – a teraz także Boris i Stern uważali ją za swoją.

Po odjeździe oddziałów specjalnych Goran i jego ludzie rozpoczęli oględziny pralni.

Miejsce rozjaśniało zimne światło reflektorów ustawionych na czterech statywach i podłączonych do generatora, jako że w budynku nie było prądu.

Przy zwłokach pracował już doktor Chang. Przywiózł małą walizkę, a w niej probówki, odczynniki chemiczne i mikroskop. W tym momencie pobierał próbkę mętnego płynu, w którym zanurzone były częściowo zwłoki. Niebawem miał się też zjawić Krepp, żeby zebrać odciski palców.

Policjanci mieli do dyspozycji około pół godziny. Po upływie tego czasu musieli wpuścić ekipę techników kryminalistycznych.

– Najwyraźniej nie mamy przed sobą miejsca, w którym dokonano zabójstwa – zaczął Goran. W przypadku seryjnych morderców miejsca znalezienia ofiar są dużo ważniejsze od tych, w których zostały zamordowane. Zabójca rezerwuje swój czyn dla siebie, wszystko zaś, co następuje potem, staje się sposobem na podzielenie się przez niego tym doświadczeniem. Poprzez zwłoki ofiary morderca nawiązuje coś w rodzaju kontaktu ze śledczymi. Z tego punktu widzenia Albert z pewnością nie różnił się od innych.

– Musimy „odczytać” to miejsce. Zrozumieć przesłanie, które zawiera, i do kogo jest ono skierowane. Kto chce zacząć? Przypominam, iż żadna z waszych opinii nie zostanie odrzucona *a priori*, dlatego śmiało mówcie o tym, co wam przyjdzie do głowy.

Nikt nie chciał być tym pierwszym. Każdy miał zbyt dużo wątpliwości.

– Może nasz człowiek spędził dzieciństwo w sierocińcu? Jest nawet możliwe, że jego nienawiść albo uraza mają źródło właśnie w

tym. Musimy poszukać w archiwach.

– Nie sędzę, Milu, żeby Albert zamierzał dostarczyć nam informacji na swój temat.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie przypuszczam, żeby chciał, byśmy go złapali.

Przynajmniej na razie. Koniec końców, znaleźliśmy tylko drugie zwłoki.

– Mylę się, czy też jest tak, że czasami seryjni mordercy chcą wpaść w ręce policji, bo nie potrafią powstrzymać się od zabijania?

– To bzdura – prychnęła jak zwykle arogancko Sarah Rosa.

– Prawdą jest – odrzekł Goran – że często ostatecznym życzeniem seryjnego mordercy jest zatrzymanie. Ale nie dlatego, że nie potrafi nad sobą zapanować, ale z uwagi na to, iż po zatrzymaniu przestaje wreszcie być anonimowy. Szczególnie wtedy, gdy ma osobowość narcystyczną, chce, żeby doceniono wielkość jego dzieła. A dopóki jego tożsamość pozostaje tajemnicą, nie może tego celu osiągnąć.

Mila pokiwała głową, ale nie była do końca przekonana. Goran zauważył to i dodał:

– Być może będziemy musieli zastanowić się jeszcze raz nad związkiem między miejscem zbrodni i zmysłem organizacyjnym seryjnego mordercy.

Miała to być lekcja dla Mili. Sposób na to, aby mogła dotrzymać kroku innym. Ale nie poczuła się urażona. A widząc natychmiastową reakcję Borisa i Sterna, można było pomyśleć, że zależy im, by nie pozostała w tyle.



Głos zabrał najstarszy z członków zespołu. Zrobił to, nie zwracając się bezpośrednio do Mili, bo nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie.

– W zależności od stanu tych miejsc seryjnych morderców dzielimy na dwie podstawowe kategorie: niezorganizowanych i zorganizowanych.

– Należący do pierwszej grupy – podjął Boris – jest, jak wskazuje to określenie, niezorganizowany we wszystkich aspektach życia. To osobnik, który poniósł klęskę w stosunkach z ludźmi. Samotnik. Ma iloraz inteligencji niższy od średniej i wykonuje pracę, która nie wymaga szczególnych zdolności. Nie jest sprawny seksualnie. Pod tym względem ma za sobą tylko doświadczenia przelotne i nieudane.

– Zwykle jest to osoba – przejął pałeczkę Goran – która w dzieciństwie poddana była surowej dyscyplinie. Z tego powodu wielu kryminologów utrzymuje, że ma skłonność do zadawania swoim ofiarom bólu i cierpienia w takim natężeniu, w jakim doznawał ich jako dziecko. Dlatego przepęlnia go złość i wrogość, niekoniecznie manifestowane, wobec osób, z którymi zwykle się kontaktuje.

– Morderca niezorganizowany nie planuje, działa spontanicznie – wtrąciła Rosa, która nie chciała stać z boku.

– Nieumiejętność zorganizowania zbrodni sprawia, że zabójca jest niespokojny w chwili jej popełniania – sprecyzował Goran. – Z tego powodu stara się działać blisko miejsc, które są mu znane, gdzie czuje się swobodnie. Zdenerwowanie i fakt, iż się zbyt od nich nie oddala, sprawiają, że popełnia błędy, na przykład zostawia ślady, które często go zdradzają.

– Ogólnie rzecz biorąc, jego ofiarami są tylko osoby, które w nieodpowiednim momencie znalazły się w złym miejscu. Zabija, ponieważ jest to jedyny znany mu sposób na skomunikowanie się z innymi – dokończył Stern.

– A jak zachowuje się morderca zorganizowany? – chciała wiedzieć Mila.

– No cóż, po pierwsze, jest bardzo sprytny – wyjaśnił Goran. – Zidentyfikowanie go może być bardzo trudne, ponieważ potrafi doskonale się maskować, wygląda bowiem na normalnego człowieka przestrzegającego prawa. Ma wysoki iloraz inteligencji. Jest sprawny w swoim zawodzie. Często zajmuje wysoką pozycję we wspólnocie, w której żyje. Nie doznał szczególnych urazów w dzieciństwie. Ma kochającą rodzinę. Jest sprawny seksualnie i nie ma problemów z nawiązywaniem kontaktów z płcią przeciwną. Zabija wyłącznie dla przyjemności.

To ostatnie stwierdzenie przyprawiło Milę o gęsią skórkę. Nie była jedyną osobą, którą ono uderzyło, gdyż Chang po raz pierwszy oderwał się od mikroskopu, żeby na nich spojrzeć. Być może i on zadawał sobie pytanie, jak ludzka istota może czerpać satysfakcję z krzywdzenia bliźnich.

– To drapieźnik – mówił Goran. – Starannie wybiera ofiary, poszukując ich przeważnie w okolicach oddalonych od miejsca jego zamieszkania. Jest sprytny, ostrożny. Potrafi przewidzieć bieg śledztwa i dzięki temu wyprzedzać śledczych o krok.

Dlatego trudno go złapać: uczy się na błędach. Jest dobrze zorganizowany, śledzi, wyczekuje i zabija. Rozkłada działania na dni lub tygodnie. Obserwuje ofiarę. Wkracza w jej życie, zbierając

informacje i poznając jej przyzwyczajenia. Zawsze stara się nawiązać kontakt, zachowując się w określony sposób lub sugerując jakieś powinowactwo, żeby zdobyć zaufanie. Aby ją do siebie przekonać, woli słowa od siły fizycznej. Jego działania polegają na uwodzeniu.

Mila odwróciła się, żeby popatrzeć na inscenizację śmierci urządzoną w pralni.

– Miejsce, w którym popełnia zbrodnię – powiedziała po chwili – jest zawsze czyste, ponieważ jego hasłem jest „kontrolować się”.

Goran pokiwał głową.

– Wydaje się, że uchwyciłaś charakter Alberta.

Boris i Stern uśmiechnęli się do niej. Sarah Rosa unikała jej spojrzenia i udawała, że spogląda na zegarek, niezadowolona, że bezproduktywnie traci czas.

– Proszę państwa, jest coś nowego... – odezwał się cichy uczestnik tego małego zgromadzenia.

Chang wstał, trzymając w rękach szkiełko, które dopiero co wyjął spod mikroskopu.

– O co chodzi, Chang? – zapytał niecierpliwie Goran.

Jednak lekarz sądowy postanowił delektować się tą chwilą. Jego oczy błyszczały zadowoleniem.

– Kiedy zobaczyłem ciało, zadałem sobie pytanie, dlaczego leży zanurzone w tej płytkiej wodzie...

– Jesteśmy w pralni – zauważył Boris, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Tak, ale podobnie jak instalacja elektryczna także kanalizacja w tym budynku nie działa od lat.

Ta informacja zaskoczyła wszystkich. Przede wszystkim Gorana.

– A więc co to za płyn?

– Niech pan lepiej usiądzie, doktorze... To są łzy.

## 15.

Człowiek jest jedyną istotą na ziemi, która potrafi śmiać się i płakać.

Mila o tym wiedziała. Nie wiedziała natomiast, że oko ludzkie wytwarza aż trzy rodzaje łez. Podstawowe, które bezustannie zwilżają i odżywiają gałkę oczną, odruchowe, płynące, gdy do oka dostanie się obce ciało, oraz uczuciowe – reakcja na ból i cierpienie. Te ostatnie mają inny skład chemiczny: zawierają bardzo duże ilości manganu oraz hormon prolaktynę.

W świecie przyrody każdą pojedynczą rzecz można sprowadzić do pewnej formuły, ale wyjaśnienie, dlaczego łzy bólu są inne, jest praktycznie niemożliwe.

Łzy Mili nie zawierają prolaktyny.

To jej sekret, którego nie może nikomu zdradzić.

Nie potrafi cierpieć, odczuwać empatii potrzebnej do zrozumienia innych, i przez to czuje się samotna.

Czy zawsze tak było? Czy też coś lub ktoś pozbawił ją tej zdolności?

Zdała sobie z tego sprawę, gdy zmarł jej ojciec. Miała czternaście lat. Pewnego popołudnia znalazła go martwego w fotelu w saloniku.

Wydawało się, że śpi. W każdym razie tak mówiła, gdy pytano ją, dlaczego nie wezwała od razu pomocy, tylko siedziała przy nim

prawie przez godzinę. W rzeczywistości Mila zorientowała się natychmiast, że nic nie da się już zrobić, a powodem jej zdziwienia nie było to tragiczne wydarzenie. Tym, co ją zdumiało, była raczej niezdolność zareagowania na to, co miała przed oczami. Z tą chwilą miało jej zabraknąć ojca – najważniejszego człowieka w jej życiu, wzoru, który nauczył ją wszystkiego. Na zawsze. Mimo to jego śmierć nie złamała jej serca.

Płakała na pogrzebie. Nie dlatego, że wreszcie myśl o nieuchronnym rozstaniu z ojcem obudziła rozpacz w jej duszy, lecz tylko dlatego, że tego właśnie oczekiwano od córki. Te słone łzy kosztowały ją dużo wysiłku.

To wewnętrzna blokada, powiedziała sobie. Tylko blokada. Uraz jak po silnym szoku. Pewnie zdarza się to i innym. Próbowала wszystkiego. Zadręczała się wspomnieniami, żeby przynajmniej mieć poczucie winy. I nic.

Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Zamknęła się więc w milczeniu, nie pozwalając nikomu pytać o stan jej ducha. Także matka po kilku próbach pogodziła się z tym, że jest odcięta od tego bardzo osobistego przeżywania żałoby przez córkę.

Wszyscy byli zdania, że się załamała. Natomiast Mila, zamknięta w swoim pokoju, zadawała sobie pytanie, dlaczego odczuwa tylko pragnienie, żeby żyć jak kiedyś, grzebiąc tego człowieka także w swoim sercu.

Z upływem czasu nic się nie zmieniło. Ból z powodu tej straty nie pojawił się nigdy. Odchodziły inne bliskie osoby: babcia, koleżanka ze szkoły, krewni... Także wtedy Mila nie czuła nic, chyba tylko pragnienie, żeby już było po pogrzebie.

Komu mogłaby się z tego zwierzyć? Patrzyliby na nią jak na nieczułego potwora, który nie jest godzien należeć do rodzaju ludzkiego.

Tylko jej matka na łożu śmierci dojrzała na moment obojętność w jej spojrzeniu i zabrała swoją rękę z jej dłoni, jakby nagle poczuła chłód.

Gdy skończyły się żałobne okazje w rodzinie, Mili łatwiej było udawać przed obcymi. Gdy osiągnęła wiek, w którym zaczyna się odczuwać potrzebę kontaktów międzyludzkich, zwłaszcza z płcią przeciwną, stanęła wobec pewnego problemu. Nie mogę nawiązać romansu z chłopakiem, jeśli nie jestem w stanie odczuwać wobec niego empatii, powtarzała sobie, bo ukuła taką właśnie definicję swojego problemu. Słowo „empatia” – dobrze je zapamiętała – oznaczało „zdolność rzutowania własnych uczuć na inny podmiot, żeby się z nim utożsamić”.

Zasięgała porady psychologów. Niektórzy nie potrafili niczego jej doradzić, inni mówili, że terapia będzie długa i męcząca, że będzie musiała dotrzeć do własnych „korzeni uczuciowych” i zrozumieć, gdzie uległ zerwaniu strumień uczuć.

Wszyscy zgadzali się co do jednego: należy usunąć blokadę.

Latami chodziła na seanse psychoanalityczne, bez rezultatu. Zmieniała lekarzy i robiłaby to w nieskończoność, aż jeden z nich – najbardziej cyniczny, lecz była mu ogromnie wdzięczna – powiedział jej: „Cierpienie nie istnieje. Jak zresztą cała gama ludzkich uczuć. To tylko kwestia chemii. Miłość jest wyłącznie sprawą substancji zwanych endorfinami. Za pomocą zastrzyku z pentotalu mogę cię

pozbawić wszelkich potrzeb uczuciowych. Jesteśmy tylko żywymi maszynami”.

Wreszcie poczuła się podbudowana. Nie zadowolona, ale właśnie podbudowana! Nie mogła nic na to poradzić: jej ciało przeszło na tryb „ochronny”, jak to się zdarza niektórym urządzeniom elektronicznym, kiedy dochodzi do przeciążenia i muszą chronić obwody. Lekarz powiedział jej również, że są osoby, które w określonym momencie życia doznają tak wielkiego bólu, o wiele większego, niż istota ludzka może znieść, i w tym momencie albo umierają, albo stają się całkowicie uodpornione.

Mila nie wiedziała, czy ma uważać swoją odporność za szczęście, ale dzięki niej została tym, kim jest teraz: poszukiwaczką zaginionych dzieci. Przynoszenie ulgi w cierpieniach innych wynagradzało jej to, czego nigdy sama by nie doświadczyła. W ten sposób jej przekleństwo stało się jej talentem.

Ratowała je. Odwoziła do domu. One jej dziękowały. Niektóre przywiązywały się do niej, a kiedy dorosły, szukały jej, żeby im opowiedziała, co się im przydarzyło.

„Co by było, gdybyś ty o mnie nie pomyślała?”, pytały.

A ona nie mogła im wyjawić, skąd tak naprawdę brała się w niej ta „myśl”, ciągle ta sama w przypadku każdego poszukiwanego dziecka.

Mogła odczuwać wściekłość z powodu tego, jak zostały potraktowane – jak dziewczynka numer sześć – ale nigdy nie odczuwała „współczucia”.

Pogodziła się ze swoim losem, ale mimo to zadawała sobie pytanie: Czy kiedykolwiek kogoś pokocha?



Nie znalazłszy odpowiedzi, Mila już dawno temu przestała o tym myśleć. Przyjęła, że nigdy nie przeżyje miłości, nie będzie miała męża ani narzeczonego, dzieci, a nawet zwierzęcia. Ponieważ tajemnica polega na tym, żeby nie mieć niczego, co ktoś może odebrać. Tylko dzięki temu mogła zyskać przywiązanie osób, których poszukiwała.

A także tworząc wokół siebie tę samą pustkę, jaka była wokół nich.

Jednak pewnego dnia został rozwiązany jeden z problemów. Stało się to po uwolnieniu chłopczyka ze szponów pedofila, który porwał go tylko po to, żeby spędzić z nim weekend. Zamierzał uwolnić go po trzech dniach, ponieważ w swoim chorym umyśle tylko go „pożyczył”. Nieważne było dla niego, w jakim stanie zwróci go rodzinie i życiu. Usprawiedliwiał się, mówiąc, że nie zamierzał zrobić mu krzywdy.

A w takim razie co z całą resztą? Jak określał szok porwania?

Uwięzienia? Gwałtu?

Nie chodziło tu o rozpaczliwą próbę znalezienia choćby słabego usprawiedliwienia dla tego, co zrobił. On naprawdę w to wierzył!

Ponieważ nie był zdolny do utożsamienia się ze swoją ofiarą. Koniec końców Mila doszła do wniosku, że ten człowiek jest taki sam jak ona.

Tamtego dnia postanowiła, że nie pozwoli, aby nadal brakowało jej tego podstawowego elementu pozwalającego na kontakt z innymi i z życiem, jakim jest współczucie. A ponieważ nie znajdowała go w sobie, postanowiła wywoływać je w sposób sztuczny.

Okłamała zespół i doktora Gavilę. W rzeczywistości dobrze wiedziała, kim są seryjni mordercy. A przynajmniej знаła jeden

aspekt ich zachowania.

Sadyzm.

Prawie zawsze u podstaw zachowania seryjnego zabójcy znaleźć można wyraźne skłonności sadystyczne. Uważa on swoje ofiary za „przedmioty”, z których cierpienia może odnieść korzyść.

Sadystycznie wykorzystując ofiarę, seryjny morderca osiąga rozkosz.

Często rozpoznaje się w nim niezdolność do nawiązania dojrzałych i pełnych stosunków z innymi ludźmi, którzy z tego powodu bywają degradowani do roli przedmiotów. Wtedy przemoc jest tylko odkryciem pewnej możliwości nawiązania kontaktu z resztą świata.

Dlatego nie chcę, żeby to się przydarzyło także i mnie, powiedziała sobie Mila. Myśl, że mogłaby mieć coś wspólnego z mordercami niezdolnymi do odczuwania litości, sprawiała, że zbierało jej się na wymioty.

Gdy po odnalezieniu zwłok Anneke opuszczała wraz z Rosą dom księdza Timothy'ego, obiecała sobie, że tego samego wieczoru zadba o to, by wspomnienie tego, co przydarzyło się tej dziewczynce, stało się nieusuwalne. Więc pod koniec dnia, gdy inni wrócili do Studia, żeby podsumować i uporządkować wyniki śledztwa, rozstała się z nimi na parę godzin.

Potem, jak robiła to już wiele razy, poszła do apteki i kupiła płyn do dezynfekcji, plastry, watę higroskopijną, rolkę sterylnej bandaża, igły i nici chirurgiczne.

Oraz żyletkę.

Z precyzyjnym planem w głowie wróciła do swojego pokoju w motelu. Nie zwolniła go i nadal płaciła właśnie na wypadek takiej okoliczności. Zasuwała zasłony. Zostawiła tylko zapaloną lampkę przy jednym z dwóch łóżek. Usiadła i wysypała na materac zawartość papierowej torebki.

Opuściła dzinsy.

Skropiwszy ręce płynem dezynfekującym, dokładnie je wytarła.

Potem nasączyła płynem kawałek waty i przetarła skórę po wewnętrznej stronie prawego uda. Wyżej znajdowała się już zablizniona rana, pozostałość po poprzedniej, niezbyt udanej próbie. Ale tym razem nie będzie żadnych problemów, postara się zrobić to jak należy. Zerwała zębami osłonę żyletki. Wzięła ją w palce, zamknęła oczy, policzyła do trzech, po czym przyłożyła żyletkę do wewnętrznej powierzchni uda.

Poczuła, jak zagłębia się w żywym ciele i przesuwa, otwierając gorącą szczelinę.

Ból wybuchł w niej z całym swoim bezgłośnym hukiem. Podjął wędrówkę od rany wzdłuż ciała, i dotarł do szczytu głowy, oczyszczając ją z obrazów śmierci.

– To dla ciebie, Anneke – powiedziała Mila cicho.

A potem wreszcie się rozplakała.

\* \* \*

Uśmiech przez łzy.

Tak można by określić symboliczny obraz miejsca odnalezienia zwłok. Poza tym nie można było pominąć faktu, że nagie ciało drugiej dziewczynki zostało znalezione w pralni.

– Czy jego zamiarem było oczyszczenie za pomocą łez tego, co zrobił? – zastanawiał się Roche.

Goran Gavila jak zwykle nie wierzył w takie naiwne wyjaśnienia.

Aż do tego momentu wylaniał się zbyt wyrafinowany obraz Alberta mordercy, aby mógł wymyślić podobny banał. Przewyższa seryjnych zabójców, którzy go poprzedzali.

W Studiu można już było wyczuć zmęczenie. Około dwudziestej pierwszej Mila wróciła z motelu z zaczerwienionymi oczami i lekkim wybrzuszeniem na prawej nodze. Od razu poszła do sypialni, żeby trochę odpocząć, i wyciągnęła się na łóżku, nie zadając sobie trudu posłania go i nie zdejmując ubrania. O dwudziestej trzeciej obudził ją Goran, który stał na korytarzu i mówił coś cicho do komórki. Nie poruszyła się, udając, że śpi. W rzeczywistości słuchała. Domyśliła się, że osoba po drugiej stronie to nie żona, ale opiekunka, którą on w pewnej chwili nazwał „panią Runą”. Pytał ją o Tommy’ego – a więc tak ma na imię chłopiec – czy zjadł kolację i odrobił lekcje, i czy nie kaprysił. Goran kilka razy mruknął coś, słuchając wyjaśnień kobiety.

Rozmowa zakończyła się na tym, że kryminolog obiecał wpaść do domu jutro, żeby posiedzieć z Tommym przynajmniej kilka godzin.

Odwrócona plecami do drzwi Mila leżała bez ruchu. Odniosła jednak wrażenie, że wyłączwszy telefon, Goran zatrzymał się w progu sypialni i skierował wzrok właśnie w jej stronę. Miała przed sobą fragment jego cienia rzucony na ścianę. Co by się stało, gdyby

się odwróciła? Ich spojrzenia spotkałyby się w półmroku. Być może początkowe zakłopotanie ustąpiłoby miejsca czemuś innemu. Niemej rozmowie oczu. Czy jednak Mila naprawdę czuła taką potrzebę? Ten mężczyzna działał na nią w dziwny sposób. Nie potrafiła powiedzieć, na czym to dokładnie polega. W końcu postanowiła się odwrócić. Ale Gorana już nie było.

Wkrótce zasnęła.

\* \* \*

– Milu... Milu...

Głos Borisa wtopił się jak szept w sen o czarnych drzewach i niekończących się drogach. Mila otworzyła oczy i zobaczyła go koło swojego łóżka. Nie dotknął jej, żeby ją obudzić, ograniczył się do powtarzania jej imienia. Ale się uśmiechał.

– Która godzina? Zasnęłam?

– Nie, dopiero szósta... Wychodzę, bo Gavila chce, żebym porozmawiał z paroma dawnymi mieszkańcami sierocińca. Zastanawiałem się, że czy nie pojechałabyś ze mną...

Mili nie zdziwiła jego propozycja. Przeciwnie, widząc zakłopotanie Borisa, domyśliła się, że nie jest to jego pomysł.

– Dobrze, pojedę.

Kiwnął głową, wdzięczny za to, że nie musi nalegać.

Po piętnastu minutach spotkali się na parkingu przed budynkiem.

Silnik auta był włączony, a Boris czekał, oparty o karoserię, z papierosem w ustach. Miał na sobie ocieplaną parkę, która sięgała mu prawie do kolan. Mila ubrana była jak zwykle w skórzaną kurtkę. Pakując się, nie przewidziała, że w tych stronach będzie tak zimno. Białe słońce, które wyglądało spomiędzy budynków, zaczęło ogrzewać trochę hałdy brudnego śniegu na rogach ulic, ale miało świecić niezbyt długo, bo na południe zapowiadano śnieżycę.

– Powinnaś ubierać się trochę cieplej – powiedział Boris. – O tej porze roku tu się marznie.

Wnętrze auta było ciepłe i przyjemne. Na listwie nad tablicą rozdzielczą stał plastikowy kubek i leżała papierowa torebka.

– Ciepłe rogaliki i kawa?

– Wszystkie dla ciebie! – odparł Boris, który pamiętał jej apetyt.

Mila dostrzegła w tym gościu propozycję zawarcia pokoju. Przyjęła ją bez komentarza.

– Dokąd dokładnie jedziemy? – spytała po chwili z pełnymi ustami.

– Mówiłem ci: musimy porozmawiać z kilkoma wychowankami tego instytutu. Gavila jest przekonany, że inscenizacja ze zwłokami w pralni została przygotowana nie tylko dla nas.

– Być może ewokuje coś z przeszłości.

– Jeśli tak, to bardzo odległej. Na szczęście takie miejsca jak to nie istnieją już od prawie trzydziestu lat. Odkąd zmienili prawo, likwidując w końcu sierocińce.

W jego głosie pobrzmiwało przygnębienie. A zaraz potem dodał:

– Wiesz, ja też mieszkałem w podobnym miejscu. Miałem wtedy dziesięć lat. Nigdy nie dowiedziałem się, kim był mój ojciec, a matka nie mogła zarobić na nasze utrzymanie, więc zaparkowała mnie tam na pewien czas.

Mila nie wiedziała, co powiedzieć, zakłopotana tak osobistym zwierzeniem. Boris to wyczuł.

– Nie przejmuj się, nie ma potrzeby, żebyś siedziała bez słowa.

Właściwie to sam nie wiem, dlaczego ci to powiedziałem.

– Przykro mi, ale nie jestem zbyt wylewna. Mogę się nawet wydać oziębła.

– Ale nie mnie.

Boris rozmawiał z nią, nie odrywając oczu od drogi. Ruch był spowolniony z powodu gołoledzi. W powietrzu wisiał dym z rur wydechowych. Ludzie na chodnikach maszerowali energicznym krokiem.

– Stern, niech Pan Bóg zachowa go na zawsze w takiej formie, zdołał wytropić z tuzin byłych wychowanków sierocińca. Nam przydzielono połowę. Innymi zajmą się on i Rosa.

– Tylko dwunastu?

– Spośród mieszkańców tych okolic. Nie wiem dokładnie, co doktor miał na myśli, ale jeżeli wydaje mu się, że możemy się do czegoś dokopać...

Tak naprawdę nie było innej możliwości, a czasem trzeba brać pod uwagę każdy szczegół, żeby popchnąć śledztwo do przodu.

Tego ranka przepytali czterech byłych wychowanków sierocińca.

Wszyscy mieli więcej niż dwadzieścia osiem lat i w przybliżeniu identyczną przeszłość kryminalną. Szkoła średnia, poprawczak, więzienie, zwolnienie warunkowe, znowu kratki, oddanie na próbę pod nadzór opieki społecznej. Tylko jeden zdołał wydobyć się z tego dzięki swojej kongregacji, bo został pastorem jednej z wielu wspólnot ewangelików działających w okolicy. Dwóch innych żyło z dorywczych prac.

Czwarty został domokrażcą. Gdy jednak wracali pamięcią do czasu spędzonego w instytucie, Mila i Boris dostrzegali u wszystkich nagle zakłopotanie. Byli to ludzie, którzy później poznali, co to więzienie, takie prawdziwe, a jednak nigdy nie zapomnieli tamtego miejsca.

– Widziałeś ich twarze? – spytała Mila po czwartej wizycie. – Ty też myślisz, że w tym sierocińcu działo się coś niedobrego?

– Wierz mi, to miejsce nie różniło się od innych podobnych. Myślę, że może to mieć związek z wiekiem dziecięcym. Gdy podrośniesz, wszystko po tobie spływa, nawet najgorsze rzeczy, ale gdy jesteś mała, różne przeżycia odciskają ci się wprost na skórze i nigdy nie znikają.

Za każdym razem, gdy oględnie opowiadali swoim rozmówcom o odnalezieniu zwłok w pralni, ci ograniczali się do kręcenia głową. Ta ponura symbolika nic im nie mówiła.

Mniej więcej w połowie dnia Mila i Boris zatrzymali się w kawiarni, gdzie zjedli szybko kanapki z tuńczykiem i popili je dwoma filiżankami cappuccino.



Niebo zasnuły ciężkie chmury. Meteorolodzy nie pomylili się, niebawem miała nadejść śnieżycyca.

Mieli nadzieję, że zdążą się jeszcze spotkać z dwiema osobami, zanim rozpęta się burza śnieżna, uniemożliwiając powrót. Postanowili zacząć od tej, która mieszkała dalej.

– Nazywa się Feldher. Mamy do niego około trzydziestu kilometrów.

Boris był w dobrym nastroju. Mila chętnie by to wykorzystała, żeby zapytać go o Gorana. Ten człowiek ją zaciekał. Wydawało się niemożliwe, że ma jakieś życie prywatne, towarzyszkę, syna. Największą zagadką była jego żona. Szczególnie po rozmowie telefonicznej, którą Mila podsłuchiwała poprzedniej nocy. Co się dzieje z tą kobietą? Dlaczego nie przebywała w domu, żeby pilnować małego Tommy'ego? Dlaczego jej miejsce zajmuje jakaś „pani Runa”? Być może Boris umiałby odpowiedzieć na te pytania. Ale nie wiedząc, od czego zacząć, zrezygnowała w końcu z ich zadawania.

Do domu Feldhera dotarli przed czternastą. Próbowali do niego dzwonić, żeby zapowiedzieć swoją wizytę, ale nagrany głos telefonistki z jakiejś spółki telefonicznej poinformował ich, że numer jest wyłączony.

– Nasz przyjaciel chyba nie radzi sobie zbyt dobrze – skomentował to Boris.

Znaleźli potwierdzenie tego przypuszczenia, ujrzawszy dom, w którym mieszkał, jeżeli można go było nazwać domem. Stał pośrodku składnicy złomu, otoczony wrakami samochodów.

Powitał ich ochryplym szczekaniem rudy pies, który wyglądał tak, jakby rdzewiał powoli jak wszystko wokół. Po chwili na progu pojawił się mężczyzna około czterdziestki. Pomimo chłodu miał na sobie tylko przybrudzony podkoszulek i dżinsy.

– Pan Feldher?

– Tak. Z kim mam przyjemność?

Boris uniósł rękę z legitymacją.

– Możemy porozmawiać?

Feldher nie wyglądał na zachwyconego tą wizytą, ale ruchem ręki zaprosił ich do środka.

Miał potężny brzuch i palce żółte od nikotyny. Wnętrze było podobne do niego: niechlujne i brudne. Podał zimną herbatę w szklankach nie od kompletu, zapalił papierosa i usiadł na skrzypiącym leżaku, im pozostawiając kanapę.

– Zastaliście mnie przez przypadek. Zwykle pracuję...

– A dziś dlaczego nie? – zainteresowała się Mila. Mężczyzna spojrzał przez okno.

– Śnieg. W taką pogodę nikt nie bierze pomocników murarskich.

A ja tracę kupę dni.

Mila i Boris trzymali szklanki, ale żadne z nich nie wypilo nawet łyka. Feldher nie wyglądał na obrazonego.

– Więc dlaczego nie zmieni pan pracy? – spytała Mila, żeby nawiązać kontakt.

– Próbowałem! – prychnął Feldher. – Myślicie, że nie? Ale mi się nie udało, tak jak moje małżeństwo. Ta maciora szukała czegoś lepszego. Powtarzała mi dzień w dzień, że nie jestem nic wart. Teraz jest służącą za parę groszy i dzieli mieszkanie z dwiema idiotkami podobnymi do niej. Widziałem się z nią, wiecie? Zaczepiła się w miejscu zarządzanym przez zbór, do którego teraz należy! Przekonali ją, że w raju znajdzie się miejsce nawet dla takiego beznadziejnego babsztyla jak ona! Macie pojęcie?

Mila przypomniała sobie, że po drodze widzieli co najmniej tuzin takich nowych zborów. Wszystkie eksponowały wielkie neonowe reklamy, na których oprócz nazwy kongregacji widniał także slogan ją charakteryzujący. Od kilku lat rozwijały się również w tych stronach, rekrutując wyznawców przede wszystkim wśród bezrobotnych zwolnionych z wielkich zakładów przemysłowych, samotnych matek i osób rozczarowanych tradycyjnymi religiami. Choć jednak te rozmaite wyznania różniły się między sobą, łączyło je bezwarunkowe przywiązanie do kracjonizmu i homofobii, sprzeciw wobec aborcji, zgoda na prawo każdego do posiadania broni oraz pełne poparcie dla kary śmierci. Kto wie, pomyślała Mila, jak by ten Feldher zareagował, gdyby mu powiedzieli, że któryś z jego byłych kolegów z sierocińca został nawet pastorem w jednym z tych zborów.

– Jak podjechaliście, wziąłem was za dwoje z nich: docierają aż tu, żeby upowszechnić swoją ewangelię! Miesiąc temu ta zdzira, moja była, podesłała mi taką parkę, żeby mnie nawrócili! – Roześmiał się, odsłaniając zepsute zęby.

Mila starała się zmienić temat i zapytała niby to obojętnie:

– Panie Feldher, czym się pan zajmował, zanim wziął się pan do murarki?

– Nie uwierzy pani... – Mężczyzna uśmiechnął się, patrząc na otaczający go bałagan. – Otworzyłem małą pralnię.

Dwójka agentów powstrzymała się od rzucenia sobie znaczących spojrzeń, żeby nie okazać Feldherowi, jak dziwne wydało się im to, co właśnie powiedział. Mili dostrzegła kątem oka, że Boris opuszcza rękę wzdłuż boku i otwiera kaburę pistoletu. Przypomniała sobie, że dojeżdżając do tego miejsca, spojrzała na swoją komórkę i stwierdziła, że nie ma zasięgu. Niewiele wiedzą o mężczyźnie, którego mają przed sobą, więc muszą być ostrożni.

– Panie Feldher, siedział pan kiedyś w więzieniu?

– Tylko za drobne wykroczenia, nic, co by zakłóciło sen uczciwemu człowiekowi.

Boris dał Mili znak, że warto zapamiętać tę informację. Przez cały czas wpatrywał się w Feldhera, żeby wprawić go w zakłopotanie.

– A więc, państwo agenci, czym mogę służyć? – zapytał mężczyzna, nie ukrywając zniecierpliwienia.

– Jak nam wiadomo, spędził pan dzieciństwo i dużą część wieku chłopięcego w sierocińcu prowadzonym przez Kościół – zaczął ostrożnie Boris.

Feldher obrzucił go nieufnym spojrzeniem. Podobnie jak inni wiedział, że policjanci nie telepalili się tu tylko z tego powodu.

– Najlepsze lata mojego życia – odparł ze złością.

Boris wyjaśnił mu powody, które przywiodły ich aż tutaj.

Feldher był dumny z tego, że dowiedział się o tych faktach, zanim przeciekły do prasy.

– Wie pan, że mógłbym zarobić kupę forsy, opowiadając o tych sprawach dziennikarzom? – spytał.

Boris utkwiał w nim wzrok.

– Niech pan spróbuje, a zostanie pan aresztowany.

Uśmiech znikł z twarzy Feldhera. Agent pochylił się w jego stronę.

Należało to do techniki przesłuchiwania, Mila ją знаła. Rozmówcy, o ile nie łączą ich stosunki uczuciowe lub intymne, zawsze mają skłonność do respektowania niewidzialnej granicy. Natomiast w tym przypadku przesłuchujący zbliżał się do przesłuchiwanego, żeby wtargnąć na jego teren i zbić go z tropu.

– Panie Feldher, jestem pewny, że się pan doskonale bawi, przyjmując u siebie gliny i częstując ich herbatą, do której może nawet pan naszczał, żeby cieszyć się ich minami, gdy siedzą jak głupki ze szklankami w rękach, nie mając odwagi się napić.

Feldher nie odpowiedział. Mila spojrzała na Borisa. Nie była pewna, czy wykonał dobry ruch. Mieli się o tym prędko przekonać. Agent odstawił spokojnie szklankę z herbatą na stolik, nawet jej nie spróbował, i znowu utkwiał wzrok w oczach mężczyzny.

– Mam nadzieję, że opowie nam pan coś o swoim pobycie w sierocińcu...

Feldher spuścił oczy, a jego głos zamienił się w szept.

– Można powiedzieć, że się tam urodziłem. W ogóle nie pamiętam moich rodziców. Zanieśli mnie tam niedługo po tym, jak moja matka

wypluła mnie z brzucha. Imię, które noszę, nadał mi ojciec Rolf. Mówił, że należało do jednego jego znajomego, który zginął młodo na wojnie. Nie wiadomo, dlaczego ten głupi klecha pomyślał, że imię, które tamtemu przyniosło pecha, mnie zapewni szczęście!

Pies na dworze zaczął szczekać i Feldher wyjrzał przez drzwi, żeby go uciszyć.

– Cicho, Koch! – krzyknął, po czym wrócił do gości. – Wcześniej miałem więcej piesków. To miejsce było wysypiskiem śmieci. Kiedy je kupiłem, zapewniono mnie, że zostało oczyszczone. Ale coraz coś wylazi, jakieś ścieki i różne świństwa, przede wszystkim w czasie deszczu. Psy to piją, puchnie im żołądek, a po kilku dniach je rozsadza. Został mi tylko Koch, ale myślę, że i on wkrótce odwali kitę.

Feldher kluczył. Nie miał ochoty wracać pamięcią do miejsc, które prawdopodobnie zdeterminowały jego los. Historią o zdechłych psach próbował zawrzeć pakt ze swoimi rozmówcami, żeby zostawili go w spokoju. Ale oni nie mogli zwołać chwytu.

Starając się mówić przekonująco, Mila powiedziała:

– Panie Feldher, chciałabym, żeby się pan zdobył na pewien wysiłek.

– Zgoda, proszę strzelać...

– Proszę nam powiedzieć, z czym by pan powiązał ten „uśmiech przez łzy”...

– Ma pani na myśli to, co robią psychiatrzy, tak? Coś w rodzaju kojarzenia pojęć?

– Coś w tym sensie – zgodziła się Mila.

Feldher zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią. Robił to, stosując tanie aktorskie chwytły, wznosząc oczy do nieba i skubiąc brodę. Może chciał sprawiać wrażenie, że stara się współpracować, lub może przyszło mu do głowy, że przecież nie mogą postawić mu żadnego zarzutu z powodu „luki pamięciowej”, i tylko się z nich nabijał. Potem jednak powiedział:

– Billy Moore.

– Kto to był, pana kolega?

– Och, ten dzieciak był nadzwyczajny! Miał siedem lat, gdy się tam zjawił. Zawsze był wesoły, uśmiechnięty. Od razu stał się ulubieńcem wszystkich... Wtedy mieli już zamknąć sierociniec, zostało nas tylko szesnastu.

– Cały ten ogromny instytut dla takiej garstki?

– Księża też odeszli. Został tylko ojciec Rolf... Ja należałem do najstarszych chłopców, miałem piętnaście lat... Historia Billy'ego była bardzo smutna: jego rodzice popełnili samobójstwo, wieszając się. On znalazł ich ciała. Nie krzyczał ani nie szukał pomocy. Stał na krześle i, wdrapując się po nich, odwiązał ich od sufitu.

– To są przeżycia, które zostawiają ślad.

– Ale nie u Billy'ego. On był zawsze zadowolony. Dostosowywał się do najgorszego. Dla niego wszystko było zabawą. Nigdy przedtem nie widzieliśmy czegoś takiego. Dla nas tamto miejsce było więzieniem, ale Billy nic sobie z tego nie robił. Emanował energią, nie wiem, jak to powiedzieć... Miał dwa koniki: te cholerne wrotki, na których jeździł tam i z powrotem po pustych korytarzach, i mecze piłki nożnej! Ale nie podobało mu się kopanie piłki. Wolał stać na

linii boiska i prowadzić sprawozdanie! „Mówi Billy Moore ze stadionu Azteków w Mexico City, gdzie rozegra się finałowy mecz o Puchar Świata...”. Na jego urodziny złożyliśmy się i kupiliśmy mu magnetofon kasetowy! Oszalał ze szczęścia, godzinami nagrywał te rzeczy, a potem odsłuchiwał!

Feldher gadał bez związku, rozmowa zaczynała schodzić na manowce. Mila starała się naprowadzić go na główny wątek:

– Proszę nam opowiedzieć o ostatnich miesiącach tego sierocińca...

– Jak powiedziałem, niedługo mieli go zamknąć i my, chłopcy, mieliśmy tylko dwie możliwości: doczekać się wreszcie adopcji albo trafić do rodzinnych domów dziecka. Ale byliśmy sierotami z drugiej ligi, nikt by nas nie wziął. Z Billym sprawa wyglądała inaczej, po niego ustawiały się kolejki! Wszyscy od razu się w nim zakochiwali i chcieli go wziąć!

– I jak się to skończyło? Czy Billy znalazł dobrą rodzinę?

– Billy zmarł, proszę pani.

Powiedział to tak smutno, że wydawało się, jakby to nieszczęście przytrafiło się jemu. I być może po trosze tak było, gdyż tamten chłopiec brał coś w rodzaju odwetu także za swoich kolegów. Jako ten jeden, któremu mogło się w końcu udać.

– Jak to się stało? – zapytał Boris.

– Zapalenie opon mózgowych.

Mężczyzna uniósł głowę, w jego oczach błyszczały łzy. Odwrócił się do okna, żeby nie okazywać słabości przy obcych. Mila była



pewna, że po ich odejściu wspomnienie Billy'ego będzie się nadal unosić jak zjawa w tym domu. Ale właśnie dzięki łzom Feldher zyskał ich zaufanie. Mila zobaczyła, że Boris odsuwa rękę od kabury. Facet jest nieszkodliwy.

– Zapalenia opon nabawił się tylko Billy. Ale z obawy przed epidemią wyprowadzili nas stamtąd w jednej chwili. Kurewskie szczęście, no nie? – Feldher roześmiał się z przymusem. – Cóż, to tak, jakby skrócili nam odsiadki kary, prawda? I zamknęli ten chlew sześć miesięcy wcześniej.

Gdy wstawali, by wyjść, Boris zapytał jeszcze:

– Widział się pan potem z którymś z kolegów?

– Nie, ale parę lat temu spotkałem ojca Rolfa.

– Teraz jest już na emeryturze.

– Miałem nadzieję, że wyciągnął kopyta.

– Dlaczego? – spytała Mila, wyobrażając sobie najgorsze. – Zrobił panu krzywdę?

– Nie, nigdy. Ale kiedy się spędzi dzieciństwo w takim miejscu, człowiek zaczyna nienawidzić wszystkiego, co mu przypomina, że tam mieszkał.

Boris najwyraźniej był podobnego zdania, bo odruchowo pokiwał głową.

Feldher nie odprowadził ich do drzwi. Pochylił się nad stolikiem, sięgając po szklanekę z zimną herbatą pozostawioną przez Borisa.

Podniósł ją do ust i wypił duszkiem, po czym rzucił im zuchwałe spojrzenie.

– Miłego dnia – mruknął.

\* \* \*

Stare grupowe zdjęcie – chłopcy, którzy jako ostatni mieszkali w sierocińcu przed jego zamknięciem – odnalezione w pomieszczeniu, które kiedyś było biurem ojca Rolfa.

Spośród szesnastu chłopców pozujących razem ze starym kapłanem tylko jeden uśmiechał się do obiektywu.

Uśmiech przez łzy.

Żywe oczy, potargane włosy, brak jednego siekacza, duża tłusta plama na zielonym pulowerze, wystawiona ostentacyjnie na pokaz, jakby była medalem zasługi.

Uwieczniony na zdjęciu Billy Moore spoczął na wieki na małym cmentarzyku koło kościoła sierocińca. Nie był jedynym dzieckiem, które tam pochowano, ale jego grób był najładniejszy. Z kamiennym aniołem rozpościerającym nad nim opiekuńcze skrzydła.

Wysłuchawszy opowieści Mili i Borisa, Gavila poprosił Sterna, żeby zdobył wszelkie dokumenty związane ze śmiercią Billy'ego.

Agent zrobił to ze zwykłą starannością, a gdy zaczął je porównywać, zwrócił uwagę na dziwną okoliczność.

– W przypadku chorób potencjalnie zakaźnych, takich jak zapalenie opon mózgowych, istnieje obowiązek zawiadomienia służb sanitarnych. Ten sam lekarz, który przyjął zawiadomienie od ojca

Rolfa, wypisał świadectwo zgonu. Oba dokumenty noszą tę samą datę.

Goran starał się przeanalizować ten fakt.

– Najbliższy szpital znajduje się w odległości trzydziestu kilometrów. Prawdopodobnie nie pofatygował się nawet, żeby sprawdzić, co się naprawdę stało.

– Zaufał słowu księdza, ponieważ księża zazwyczaj nie kłamią – dodał Boris.

Nie zawsze, pomyślała Mila.

W tym momencie Gavila podjął decyzję.

– Trzeba dokonać ekshumacji zwłok.

\* \* \*

Śnieg zaczął padać drobną kaszą, jakby chciał przygotować ziemię na duże płatki, które miały pojawić się później. Zapadał wieczór, dlatego trzeba było się spieszyć.

Robotą zajmowali się grabarze Changa, którzy z pomocą małej mechanicznej koparki ryli w zamarznętej ziemi. Nikt się nie odzywał.

Powiadomiony o rozwoju sytuacji inspektor Roche starał się trzymać na dystans podnieconych dziennikarzy. Być może Feldher rzeczywiście próbował zarobić coś na tym, co opowiedzieli agenci. Roche mawiał zawsze: „Kiedy media czegoś nie wiedzą, starają się to wymyślić”.

Z tego powodu musieli uwinąć się z robotą, zanim ktoś zdąży wypełnić to milczenie jakąś dobrze przyprawioną bajeczką. Po czymś takim trudno by było wszystkiemu zaprzeczyć.

Nagle dało się słyszeć stłumione stuknięcie. Koparka wreszcie na coś natrafiła.

Do dołu zeskoczyli ludzie Changa, żeby kontynuować kopanie łopatami. Odślonili plastikową płachtę, którą okryto trumnę, żeby spowolnić rozkład. Rozcięto ją. W szczelinie ukazała się pokrywa małej białej trumny.

– Tu wszystko już zgniło – stwierdził lekarz sądowy, rzuciwszy szybko okiem do dołu. – Jeżeli wyciągniemy ją na górę, może się rozlecieć. Poza tym ten śnieg i tak już utrudnia robotę – dodał, zwracając się do Gorana, od którego oczekiwał rozstrzygającej odpowiedzi.

– Dobrze... Otwórzcie ją.

Nikt się nie spodziewał, że kryminolog zarządzi ekshumację na miejscu. Ludzie Changa rozpostarli nad jamą ceratową płachtę. Umocowana do palików, przypominała wielki parasol.

Patolog wciągnął kaftan z latarką przymocowaną do ramienia, a potem zsunął się na dół pod czujnym okiem kamiennego anioła. Jeden z pracowników technicznych poprzecinał palnikiem acetylenowym cynkowe zabezpieczenia trumny i pokrywa zaczęła się ruszać.

Jak powinno wyglądać przebudzenie chłopca nieżyjącego od dwudziestu ośmiu lat? – zastanawiała się Mila. Prawdopodobnie

Billy Moore zasługuje na krótką ceremonię lub modlitwę, ale nikt nie miał chęci i czasu, żeby o tym pomyśleć.

Chang otworzył trumnę i ukazały się nędzne szczątki Billy'ego, wciąż jeszcze okryte resztkami ubrania do pierwszej komunii. Musiało być eleganckie, bo widać było krawat ze spinką i spodnie z mankietami. W rogu trumny leżały zardzewiałe wrotki i stary magnetofon.

Mili przypomniało się opowiadanie Feldhera: „Miał dwa koniki: te cholerne wrotki, na których jeździł tam i z powrotem po pustych korytarzach, oraz mecze piłki nożnej! Ale nie lubił kopać piłki. Wolał stać na linii boiska i prowadzić sprawozdanie”.

Były to jedyne rzeczy, które posiadał Billy.

Chang, posługując się skalpelem, zaczął powoli oddzielać fragmenty ubrania, i mimo niewygodnej pozycji jego ruchy były szybkie i precyzyjne. Oceniał stan zachowania szkieletu, po czym, odwróciwszy się do stojących nad jamą członków zespołu, powiedział:

– Jest kilka złamań. Nie potrafię powiedzieć od razu, kiedy powstały... Moim zdaniem ten chłopiec z pewnością nie umarł na zapalenie opon mózgowych.

## 16.

Sarah Rosa wprowadziła ojca Timothy'ego do policyjnego campera, gdzie czekał na niego Goran z resztą ekipy. Kapłan wciąż był niespokojny.

– Chcemy prosić księdza o przysługę – zaczął Stern. – Musimy koniecznie porozmawiać z ojcem Rolfem.

– Powiedziałem wam już, że przeszedł na emeryturę. Nie wiem, gdzie teraz przebywa. Kiedy przyjechałem tu sześć miesięcy temu, widziałem się z nim tylko przez parę godzin. Czas potrzebny na przejście inwentarza. Wyjaśnił mi kilka spraw, przekazał dokumenty, klucze i odjechał.

Boris spojrzał na Sterna.

– Może będziemy musieli zwrócić się bezpośrednio do kurii. Według ciebie, dokąd odsyłają kapłanów, kiedy przechodzą na emeryturę?

– Słyszałem, że istnieje coś w rodzaju domu starców.

– Być może, ale...

Odwrócili się znowu do księdza Timothy'ego.

– Słucham? – zachęcił go Stern.

– Wydaje mi się, że ojciec Rolf zamierzał przenieść się do swojej siostry. Tak, powiedział mi, że ona jest mniej więcej w jego wieku i

nie wyszła za mąż.

Kapłan był zadowolony, że w końcu wniósł coś do śledztwa. Zdecydował się udzielić pomocy, której niedawno odmawiał.

– Jeśli chcecie, to ja porozmawiam w kurii. Ustalenie miejsca pobytu ojca Rolfa nie powinno być trudne. Możliwe też, że przyjdzie mi do głowy jeszcze coś innego. – Młody ksiądz trochę się uspokoił.

– Wyświadczyłby nam ksiądz wielką uprzejmość i uniknęlibyśmy niepotrzebnego rozgłosu w związku z tym, co się tu dzieje – włączył się do rozmowy Goran. – Myślę, że i kurii nie sprawiłoby to przykrości.

– Ja też tak sędzę – zgodził się z poważną miną ksiądz Timothy.

Gdy opuścił furgonetkę, do Gorana zwróciła się wyraźnie poruszona Sarah Rosa: – Jeżeli zgadzamy się wszyscy, że przyczyną śmierci Billy’ego nie była choroba, to dlaczego nie każe pan wydać nakazu aresztowania ojca Rolfa? Jest jasne, że w jakiś sposób jest w to zamieszany!

– Tak, ale to nie on zamordował chłopca.

Mili nie umknęło słowo „zamordował” wypowiedziane po raz pierwszy przez Gorana. Złamania Billy’ego wskazywały na gwałtowną śmierć, ale nie było dowodu, że został zabity.

– Skąd ma pan pewność, że ksiądz nie jest winny? – spytała Rosa.

– Ojciec Rolf tylko zatuszował sprawę. Wymyślił historyjkę z zapaleniem opon mózgowych, dzięki czemu nikt nie chciał ryzykować zgłębiania sprawy, bojąc się zarażenia. Reszty dokonał świat za

murami, bo nikt nie przejmował się losem tych sierot. To chyba jasne, prawda?

– Ponadto instytut i tak miał zostać zamknięty – przypomniała Mila.

– Ojciec Rolf jest jedynym człowiekiem, który zna prawdę, dlatego musimy go przesłuchać. Ale boję się, że jeśli zaczniemy go szukać z nakazem aresztowania, możemy go nie znaleźć. Jest stary i mógłby nawet postanowić, że zabierze tę historię do grobu.

– Więc co mamy robić? – niecierpliwił się Boris. – Czekać, aż księżulo sam do nas przyjdzie?

– Jasne, że nie – mruknął kryminolog, po czym skupił się na planie sierocińca, który Stern zdobył w urzędzie gminnym.

Wskazał Borisowi i Rosie pewną strefę.

– Musicie pójść na wschodni dziedziniec. Widzicie? Znajduje się tam archiwum z aktami wszystkich chłopców, którzy mieszkali w sierocińcu aż do jego zamknięcia. Oczywiście interesuje nas tylko ostatnich szesnastu.

Goran wręczył im grupowe zdjęcie, na którym zwracał uwagę uśmiech Billy'ego Moore'a. Na odwrocie widniały podpisy wszystkich chłopców widocznych na zdjęciu.

– Skonfrontujcie imiona i nazwiska. Potrzebujemy tylko tego, którego akt będzie brakować...

Boris i Rosa spojrzeli na niego zdziwieni.

– Skąd pan wie, że brakuje akt?



– Ponieważ Billy Moore został zamordowany przez jednego ze swoich kolegów.

\* \* \*

Na zdjęciu, na którym uśmiechał się Billy Moore, trzecie miejsce od lewej zajmował Ronald Dermis. Miał osiem lat. Oznaczało to, że przed przybyciem Billy'ego to on był maskotką wszystkich.

Zazdrość może być dla dziecka wystarczającym powodem, aby pragnęło czyjejś śmierci.

Gdy opuścił sierociniec wraz z innymi, urzędowe rejestry zgubiły jego trop. Został adoptowany? To nieprawdopodobne. Może trafił do rodzinnego domu dziecka? Sprawa wyglądała tajemniczo. Prawie na pewno także za tą luką informacyjną kryje się ojciec Rolf.

Odszukanie kapłana stało się absolutnie konieczne.

Ksiądz Timothy zapewnił, że kuria już się tym zajmuje.

– Jego siostra zmarła, a on zwrócił się z prośbą o zwolnienie go ze święceń kapłańskich.

Może skłoniło go do tego poczucie winy, że ukrył zabójstwo, a może dowiedział się, że zło może kryć się również w małym dziecku i to stało się dla niego nie do zniesienia?

Ta i inne hipotezy nurtowały ekipę śledczą.

– Nadal nie wiem, czy mam rozpętać polowanie na człowieka, czy też czekać, aż zaszczybisz mnie jakąś odpowiedzią!

Gipsowe ściany biura Roche'a drżały od jego donośnego głosu.

Irytacja inspektora natrafiała jednak na niewzruszony spokój Gorana.

– Siedzą mi na karku, domagając się informacji o szóstej dziewczynce. Mówią, że nie zajmujemy się sprawą jak należy!

– Nie znajdziemy jej, dopóki Albert nie postanowi zostawić nam jakiejś wskazówki. Dopiero co rozmawiałem z Kreppem, mówi, że i to miejsce zbrodni jest czyste.

– Powiedz mi przynajmniej, czy uważasz, że Ronald Dermis i Albert to ta sama osoba!

– Popelniliśmy już ten błąd z Alexandrem Bermannem. Na razie powstrzymałbym się od wyciągania wniosków.

Była to rada, a Roche nie miał zwyczaju słuchać podpowiedzi, jaką politykę ma prowadzić, jeśli chodzi o śledztwa. Ale tym razem ją przyjął.

– Nie możemy jednak stać w miejscu i pozwalać, żeby ten psychopata wodził nas za nos. W ten sposób nigdy nie uratujemy tej dziewczynki! O ile jeszcze żyje.

– Jest tylko jedna osoba, która może ją uratować. On sam.

– Naprawdę myślisz, że odda nam ją z własnej woli?

– Mówię tylko, że w którymś momencie może zechce popełnić błąd.

– Kurwa! Uważasz, że mogę żyć nadzieją, kiedy za drzwiami czekają tylko, żeby mi dać po dupie? Ja chcę wyników, doktorze!

Goran przyzwyczał się już do wybuchów wściekłości Roche'a.

Nie były one kierowane w szczególności pod jego adresem, bo inspektor miał na pieńku z całym światem. Był to uboczny skutek odpowiedzialności – kiedy zawędrujemy za wysoko, zawsze znajdzie się ktoś, kto chce ściągnąć nas na dół.

– Ostatnio udało mi się uniknąć ochlapania całą kupą gówna, a wiedz, że nie wszystko przeznaczone było dla mnie.

Goran potrafił być cierpliwy, ale miał świadomość, że nie zawsze jest to dobry sposób na Roche'a. Spróbował więc przejąć inicjatywę.

– Chcesz, żebym ci powiedział, co doprowadza mnie do szału?

– Wszystko mi jedno, byle tylko wyjść z tego impasu.

– Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem... Te łzy.

– Co „łzy”?

– Wokoło trupa drugiej dziewczynki było ich co najmniej z pięć litrów! Ale łzy są słone, więc prędko wysychają. Te natomiast nie wyschły. Zadałem sobie pytanie, dlaczego...

– Więc, z łaski swojej, mi powiedz.

– Bo są sztuczne. Mają skład chemiczny ludzkich łez, ale to tylko złudzenie. Dlatego nie wysychają. Wiesz, jak się robi sztuczne łzy?

– Nie mam pojęcia.

– No widzisz, a Albert wie. I zrobił to, poświęcił na to czas.

Wiesz, co to oznacza?

– Mów.

– Że urządzając to, zadbał o każdy szczegół. Wszystko, co nam demonstruje, to owoc planu poprzedzonego latami przygotowań! A my musimy szybko reagować na jego ruchy. Oto, co to oznacza.

Roche opadł na oparcie fotela i utkwiał wzrok w pustce.

– Według ciebie, co nas czeka?

– Mówiąc otwarcie, boję się, że najgorsze jeszcze przed nami.

\* \* \*

Mila zeszła do sutereny Instytutu Medycyny Sądowej. Kupiła kilka małych figurek słynnych piłkarzy – tak przynajmniej twierdził sprzedawca. Ten drobny gest był częścią pożegnalnego rytuału, ponieważ Chang przygotował w prosektorium szczątki Billy’ego Moore’a do ponownego pochówku pod kamiennym aniołem.

Patolog kończył oględziny i robienie zdjęć rentgenowskich złamań.

Klische zostały umieszczone na podświetlaczu, przed którym stał Boris. Mila nie zdziwiła się, że go tu widzi.

Zauważywszy ją, agent poczuł potrzebę usprawiedliwienia się.

– Wpadłem zobaczyć, czy są jakieś nowe informacje.

– I są? – spytała Mila, podejmując grę, żeby nie wprawiać go w zakłopotanie. Było jasne, że Boris znalazł się tu z powodów osobistych.

Chang przerwał pracę, żeby odpowiedzieć na pytanie Mili.

– Ciało spadło z dużej wysokości. Z rodzaju i liczby złamań można wywnioskować, że śmierć nastąpiła niemal natychmiast.

Za tym „niemal” kryła się nadzieja i zarazem niepokój.

– Oczywiście nikt nie może stwierdzić, czy Billy skoczył sam, czy też został popchnięty...

– To oczywiste, że nie skoczył.

Mila spostrzegła leżący na jednym z krzeseł prospekt zakładu pogrzebowego. Z pewnością to nie policja zadbała o tę usługę. Na pomysł zapłacenia z własnej kieszeni musiał wpaść Boris, żeby Billy mógł mieć godny pochówek. Na jednej z półek leżały wyczyszczone wrotki oraz magnetofon, urodzinowy prezent, z którym chłopiec nigdy się nie rozstawał.

– Być może Chang odkrył też, gdzie umarł – dodał Boris.

Lekarz sądowy spojrział na kilka powiększonych zdjęć sierocińca.

– Ciała spadające z wysoka stają się cięższe wraz ze wzrostem prędkości: to skutek siły przyciągania ziemskiego. W końcu dzieje się tak, jakby niewidzialna ręka roztrzaskiwała je o ziemię.

Tak więc, zestawiając dane o wieku ofiary z danymi dotyczącymi liczby złamań, otrzymuje się przybliżoną wysokość, z której nastąpił upadek. Ponadto, biorąc pod uwagę średnią wysokość budowli i pochylenie powierzchni ziemi, mogę stwierdzić, że chłopiec spadł z wieży, o tu, w tym miejscu... Widzicie?

Kiedy Chang wskazywał dokładne miejsce na zdjęciu, w drzwiach stanął asystent.

– Doktorze Vross, potrzebują pana...

Przez chwilę Mila nie potrafiła połączyć twarzy lekarza sądowego z jego prawdziwym nazwiskiem. Wydawało się, iż żaden z jego podwładnych nie śmie zwracać się do niego Chang.

– Wybaczcie – rzucił lekarz i wyszedł.

– Ja też muszę już iść – powiedziała Mila i Boris kiwnął głową.

Wychodząc, podeszła do półki, na której leżały wrotki i magnetofon Billy’ego, i położyła obok nich figurki piłkarzy. Boris to zauważył.

– Mamy też jego głos...

– Co takiego? – spytała zdeorientowana.

Boris wskazał ruchem głowy magnetofon i powtórzył: – Głos Billy’ego. Jego wymyślone sprawozdania...

Uśmiechnął się, ale jego uśmiech był smutny.

– Udało ci się ich posłuchać?

– Tak, ale tylko początkowy kawałek, dłużej nie mogłem...

– Rozumiem...

– Wiesz, że taśma jest prawie nienaruszona? Te kwasy... – zająknął się – z rozkładu wcale jej nie zniszczyły. Chang twierdzi, że to dość rzadki przypadek. Być może to sprawa ziemi, w jakiej go pochowano. Brakowało baterii, musiałem je włożyć.

Mila udała zdumienie, żeby Boris trochę się uspokoił.

– Więc magnetofon działa?

– Jasne, że tak, wyprodukowali go Japończycy!

Rozeźmieli się oboje.

– Posłuchasz ze mną całości?

Mila zastanawiała się przez chwilę, co odpowiedzieć. Właściwie nie miała na to wielkiej ochoty. Są rzeczy, które powinny być zostawione w spokoju, pomyślała. Ale po namyśle przyszło jej do głowy, że w tym przypadku taką potrzebę odczuwa Boris, więc postanowiła mu nie odmawiać.

– Dobrze, włącz go.

Boris podszedł do magnetofonu, nacisnął guzik „play” i w zimnej sali prosektorium rozległ się głos Billy’ego Moore’a: „...z legendarnego stadionu Wembley witam słuchających nas miłośników sportu! Mecz rozgrywają drużyny, które przejdą do historii tej dyscypliny: Anglia i Niemcy!”.

Mówił żywym głosem, z syczącym „s”, na którym nieuchronnie potykał się w każdym zdaniu. W jego słowach krył się uśmiech i można było odnieść wrażenie, że się go ogląda w całej beztrosce jego lat, jak stara się przekazać światu trochę radości, która go przepełniała.

Mila i Boris uśmiechali się razem z nim.

„Temperatura jest umiarkowana i mimo iż mamy jesień, nie przewiduje się deszczu. Obie drużyny stanęły już w kole na środku boiska, żeby wysłuchać hymnów narodowych. Wszystkie rzędy trybun wypełnione są kibicami! Co za widowisko, panowie i panie! Niebawem będziemy świadkami wielkiego piłkarskiego spotkania! Ale najpierw lista zawodników, którzy wyszli na bois... Boże mój, korzę się i żałuję z całego serca wszystkich moich grzechów,

albowiem grzesząc, zasłużyłem na Twoją karę, tym bardziej że obraziłem Ciebie, nieskończenie dobrego i godnego miłości ponad wszystkie rzeczy”.

Mila i Boris popatrzyli na siebie, niczego nie rozumiejąc. Głos, który nałożył się na nagranie, był dużo cichszy.

– To modlitwa.

– Ale to nie Billy.

„...Obiecuję, że z Twoją świętą pomocą nie będę obrażał Cię więcej i będę unikał przyszłych okazji do grzechu. Bądź litościwy, Panie, i przebacz mi”.

„Dobrze, wystarczy”.

Głos mężczyzny.

„Co chcesz mi wyznać?”.

„Ostatnio wiele razy przeklinałem. A trzy dni temu ukradłem biszkopty ze spiżarni, ale zjadłem je razem z Jonathanem. Poza tym... poza tym ściągnąłem zadanie z matematyki”.

„Nic więcej?”.

– To musi być ojciec Rolf – szepnęła Mila.

„Zastanów się dobrze, Ron”.

Na dźwięk tego imienia w cichym pomieszczeniu powiało chłodem. Także Ronald Dermis wrócił do swoich lat dziecięcych.

„Tak naprawdę... jest coś jeszcze...”.

„I nie wyznasz mi tego?”.



„...Nie”.

„Jeśli mi nie powiesz, to jak mam dać ci rozgrzeszenie?”.

„...Nie wiem”.

„Ron, prawda, że ty wiesz, co się przydarzyło Billy’emu?”.

„Pan Bóg zabrał go do siebie”.

„To nie Pan Bóg go zabrał, Ron. Ty wiesz, kto to był?”.

„Spadł. Spadł z wieży”.

„Ale ty byłeś z nim...”.

„...Tak”.

„Czyj to był pomysł, żeby wchodzić na górę?”.

„...Ktoś schował na wieży jego wrotki”.

„To byłeś ty?”.

„...Tak”.

„I to ty go popchnąłeś?”.

„...”.

„Proszę cię, Ronaldzie. Odpowiedz na moje pytanie”.

Cisza.

„Nikt cię nie ukarze, jeżeli powiesz, co się stało. Przyrzekam”.

„On mi powiedział, żebym to zrobił”.

„Jaki on? Billy? To Billy prosił cię, żebyś go zepchnął?”.

„Nie”.

„Więc któryś z pozostałych chłopców?”

„Nie”.

„W takim razie kto?”

Cisza.

„Słuchaj, Ron...”

„Tak, słucham”

„Odpowiedz mi wreszcie. Osoba, o której mówisz, nie istnieje, prawda? To tylko wytwór twojej wyobraźni?”

„Nie”.

„Tu nie ma nikogo innego. Tylko ja i twoi koledzy”.

„On przychodzi tylko do mnie”.

„Posłuchaj, Ron, chciałbym, żebyś powiedział, że bardzo żałujesz tego, co się przydarzyło Billy’emu”.

„...Bardzo żałuję tego, co się przydarzyło Billy’emu”.

„Mam nadzieję, że mówisz to szczerze... W każdym razie pozostanie to tajemnicą moją, twoją i Pana Boga”.

„Dobrze”.

„Masz nigdy nie mówić o tym nikomu”.

„Dobrze”.

„Odpuszczam ci twoje grzechy! W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”.

„Amen”.



## 17.

– Poszukujemy niejakiego Ronalda Dermisa – powiedział Roche do wyciągniętych w jego stronę mikrofonów, wśród trzasku aparatów fotograficznych. – Powinien mieć około trzydziestu sześciu lat. Kasztanowe włosy, brązowe oczy, jasna cera.

Pokazał obecnym portret dorosłego Rona, sporządzony na podstawie zdjęcia, do którego pozował razem z kolegami. Uniósł je wysoko w świetle błyskających fleszów.

– Mamy powody sądzić, że człowiek ten jest zamieszany w porwanie dziewczynek. Ktokolwiek go zna, ma o nim wiadomości albo kontaktował się z nim w ciągu ostatnich trzydziestu lat, proszony jest o zawiadomienie o tym policji. Dziękuję.

Po jego ostatnim słowie rozległy się chóralne pytania i prośby reporterów:

– Panie Roche! Inspektorze! Tylko jedno pytanie!...

Roche zignorował je i opuścił podwyższenie bocznymi drzwiami.

Trzeba podnieść alarm.

Po odkryciu dokonanym przez Borisa i Milę nastąpiły dwie gorączkowe godziny. Teraz sytuacja jest jasna.

Ojciec Rolf nagrał spowiedź Rona na magnetofon Billy'ego, a potem pochował go razem z chłopcem, tak jak zasiewa się ziarno, wiedząc, że prędzej czy później wyda owoce. Z nadzieją, że pewnego

dnia prawda wszystkich odkupi. Tego, który mimo niewinności swego wieku, popełnił tak ohydny czyn. Tego, który padł jego ofiarą. I tego, który zatroszczył się, żeby ukryć tę prawdę sześć stóp pod ziemią.

„...W każdym razie pozostanie to tajemnicą moją, twoją i Pana Boga...”.

– Jak Albert mógł dowiedzieć się o tej historii? – zastanawiał się Goran. – Tajemnicę znali tylko ojciec Rolf i Ron.

Dlatego jedynym możliwym wytłumaczeniem jest to, że Ron i Albert to ta sama osoba.

Być może w tym świetle należało też odczytać na nowo pomysły włączenia do sprawy Alexandra Bermanna. Kryminolog nie pamiętał, kto powiedział, że poszukiwany seryjny morderca wybrał pedofila, gdyż prawdopodobnie sam w wieku dziecięcym padł ofiarą zbrodni. Może była to Sarah Rosa. Ale Stern natychmiast wykluczył tę hipotezę i Goran się z nim zgodził. Teraz musiał przyznać, że być może się pomylił.

– Ulubionymi ofiarami pedofilów są sieroty i dzieci wykolejone, ponieważ nikt ich nie broni.

Goran miał do siebie żal, że nie doszedł do tego wcześniej. Od początku widział przecież wszystkie fragmenty układanki, ale dał się uwieść myśli, że Albert jest pedantycznym strategiem.

„Swoimi czynami seryjny morderca opowiada nam pewną historię dotyczącą jego konfliktu wewnętrznego”, powtarzał zawsze swoim studentom.

Więc dlaczego przyjąć inną hipotezę?

– Oszukał mnie swoją pychą. Sądziłem, że chciał nam tylko rzucić wyzwanie i podobała mi się myśl, że mam przed sobą przeciwnika, który stara się być sprytniejszy ode mnie.

Obejrzawszy w telewizji konferencję prasową Roche'a, Goran znowu zebrał zespół w pralni sierocińca, gdzie odnaleziono Anneke.

Wydawało mu się, że to miejsce najlepiej nadaje się do wznowienia śledztwa. A to krótkie *mea culpa* pozwoliło mu usunąć wszelkie wątpliwości co do faktu, że są jeszcze ekipą śledczą, a nie tylko laboratorium eksperymentów doktora Gavili.

Zwłoki drugiej dziewczynki zabrano już dawno temu, a marmurową wannę opróżniono z łez. Pozostały tylko halogenowe reflektory i mruczenie generatora. Niebawem miano zabrać także i ten sprzęt.

Goran zażądał obecności ojca Timothy'ego. Ksiądz przybył zdyszany i podniecony, bo choć nic w tym pomieszczeniu nie przypominało już popełnionej zbrodni, i tak czuł się tu nieswojo.

– Są kłopoty z odnalezieniem ojca Rolfa – powiedział na wstępie.

– Myślę po prostu, że...

– Ojciec Rolf z pewnością nie żyje – przerwał mu ostro Goran. – Bo inaczej po apelu Roche'a już by się odezwał.

Ksiądz Timothy był poruszony.

– A więc w czym mogę wam pomóc?

Goran zastanawiał się przez chwilę, żeby dobrze dobrać słowa, po czym zwrócił się do wszystkich:

– Wiem, że może się to wam wydać niezwykle, ale chciałbym, żebyśmy odmówili modlitwę.

Rosa nie zdołała ukryć zdumienia. Ani Boris, który natychmiast na nią spojrział. Mila była zakłopotana. Ale nie Stern – był bardzo religijny. Od razu przyjął propozycję Gorana. Stał na środku pomieszczenia i wyciągnął ręce, żeby ująć dłonie pozostałych i utworzyć krąg.

Mila podeszła pierwsza, Rosa niechętnie ruszyła za nią. Najbardziej niezdecydowany był Boris, ale i on nie odrzucił zaproszenia doktora Gavili. Uspokojony ksiądz Timothy kiwnął głową i także zajął miejsce wśród nich.

Goran nie umiał się modlić, a być może nie było nawet modlitwy nadającej się na tę okazję, mimo to zaczął przygębiony:

– W ostatnim okresie przyszło nam uczestniczyć w rzeczach strasznych. O tym, co się tu wydarzyło, nie da się opowiedzieć. Nie wiem, czy Bóg istnieje, jednak zawsze pragnąłem, żeby istniał. Wiem natomiast na pewno, że istnieje zło. Ponieważ zło można pokazać. A dobra nie. Zło zostawia ślad, a o dobru można tylko zaświadczyć. Ale to nie wystarcza nam, ludziom szukającym dowodów... – Zamilkł na chwilę. – Gdyby Bóg istniał, z przyjemnością zapytałbym go, dlaczego Billy Moore musiał umrzeć? Skąd wzięła się nienawiść Ronalda Dermisa? Co mu się przydarzyło w tamtych latach? Jak nauczył się zabijać? Co popchnęło go do wybrania zła? I dlaczego nie skończy z tymi potwornościami?

Pytania Gorana zawisły w ciszy.

– Proszę, jeśli ojciec chce... – odezwał się po chwili Stern.

Przewodnictwo nad małym kręgiem przejął ksiądz Timothy. Złożył ręce i zaintonował kościelny hymn. Jego pewny i bardzo piękny głos zawładnął echem sąsiednich pomieszczeń i popłynął nad głowami zebranych. Mila zamknęła oczy, poddając się urokowi słów. Były po łacinie, ale ich sens rozumiałby każdy. Swoim śpiewem ojciec Timothy przywracał spokój tam, gdzie panował chaos, oczyszczając wszystko z oparów zła.

\* \* \*

Pismo zaadresowane było do wydziału zajmującego się badaniem zachowań. Zostałoby zaklasyfikowane jako list jakiegoś mitomana, gdyby jego kaligrafia nie wykazała paru podobieństw do pisma z klasówki, jaką Ronald Dermis napisał jako dziecko.

Zostało napisane najzwyczajszym długopisem na kartce z zeszytu.

Nadawca nie przejmował się tym, że zostawia na papierze odciski palców.

Mogło się wydawać, że Albert nie potrzebuje już pewnych środków ostrożności.

Tekst umieszczono na środku kartki, nie było prawie znaków przestankowych.

*do tych co na mnie polują:*

*billy to był parszywiec PARSZYWIEC! i dobrze zrobiłem zabijając go nienawidziłem go zrobiłby nam krzywdę bo założyłby*



*rodzinę a my nie to co zostało mi wyrządzone było gorsze i NIKT się nie zjawiał żeby mi pomóc NIKT, byłem tu zawsze przed waszymi oczami a wy mnie nie widzieliście a potem zjawiał się ON, tylko ON mnie rozumiał, nauczył mnie to wy chcieliście żebym był taki nie widzieliście mnie a teraz mnie widzicie? tym gorzej dla was w końcu będzie to tylko wasza wina ja jestem taki jaki jestem. NIKT nie może zapobiec temu wszystkiemu NIKT.*

*RONALD*

Goran sporządził kopię listu, żeby go dokładniej przestudiować. Tę noc zamierzał spędzić w domu z Tommym. Miał po prostu ochotę na wieczór z synem. Nie widział się z nim od kilku dni.

Przekroczył próg mieszkania i od razu usłyszał, że nadbiega.

– Tato, jak ci poszło?

Goran złapał go w biegu, tuląc w radosnym uścisku.

– Nie najgorzej. A tobie?

– Czuję się świetnie.

To były trzy magiczne słowa. Jego syn nauczył się ich używać, kiedy zostali tylko we dwóch. Znaczyły, że Goran nie ma powodów do zmartwień, ponieważ on „czuje się świetnie”. Nie tęskni za mamą.

Uczy się nie odczuwać jej braku.

Była to jednak także pewna granica. Te trzy słowa zamykały temat.

Wszystko się uspokajało. „No właśnie, przypomnieliśmy sobie, jak nam bez niej smutno, ale teraz możemy żyć dalej”.

I wszystko szło doskonale.

Goran przyniósł torebkę, której zawartość Tommy przejrzał z niecierpliwością.

– Rany! Chińskie jedzenie!

– Pomyślałem, że byłoby ci przyjemnie zjeść coś innego, niż gotuje pani Runa.

Tommy się skrzywił.

– Nie cierpię tych jej kotlecików! Dodaje do nich za dużo mięty, smakują jak pasta do zębów!

Goran się roześmiał. No tak, nie pomylił się.

– No to biegnij umyć ręce.

Tommy popędził do łazienki. Gdy wrócił, zaczął nakrywać do stołu. Goran przeniósł większość kuchennych naczyń z wyższych półek na niższe, do których Tommy mógł dosięgnąć, bo chciał, żeby chłopiec poczuł się członkiem ich nowego rodzinnego gospodarstwa.

Wspólne robienie różnych rzeczy oznaczało, że teraz musieli myśleć o sobie nawzajem i dlatego żaden z nich nie mógł „odpuścić”. Żaden nie miał prawa popadać w przygnębienie.

Tommy wziął talerz do drugiego dania i nałożył smażone pierożki polane słodko–kwaśnym sosem, podczas gdy jego ojciec nakładał do dwóch misek ryż po kantońsku. Mieli też paluszki rybne, a zamiast lodów Goran kupił puszkę kremu waniliowego.

Jedli kolację, opowiadając sobie o wydarzeniach dnia. Tommy zrelacjonował, jak postępuje organizacja letniego obozu skautów. Goran zapytał go o szkołę i odkrył z dumą, że jego syn otrzymał bardzo dobry z gimnastyki.

- Ja byłem fatalny prawie we wszystkich sportach – wyznał.
- A w czym byłeś dobry?
- W szachach.
- Ale szachy nie są dyscypliną sportową!
- Jak to nie? Grają w nie nawet na olimpiadach!

Tommy nie wydawał się przekonany, ale wiedział, że ojciec nigdy nie kłamie. W rzeczywistości była to dla niego trudna lekcja, bo gdy zapytał po raz pierwszy o mamę, Goran powiedział mu prawdę. Żadnych wykrętów. „Żadnych uników”, jak mawiał Tommy, kiedy domagał się od kogoś lojalności. I ojciec natychmiast go zadowolił. Nie po to, żeby się zemścić czy ukarać jego matkę. Kłamstwa, lub gorzej, półprawdy, pogłębiłyby tylko niepokój chłopca. Musiałby stanąć samotnie wobec dwóch wielkich kłamstw – matki, która odeszła, i ojca, który nie miał odwagi, żeby mu o tym powiedzieć.

- Któregoś dnia nauczysz mnie grać w szachy?
- Oczywiście.

Z tym uroczystym przyrzeczeniem Goran położył go do łóżka, a potem zamknął się w gabinecie. Sięgnął po list Ronalda i przeczytał go po raz nie wiadomo który. Od razu uderzyła go jedna rzecz, zdanie:

*potem zjawił się ON, tylko ON mnie rozumiał, nauczył mnie*

Wyraz „ON” został napisany wielkimi literami. Już wcześniej Goran słyszał ten dziwny zwrot. Był zawarty w nagraniu spowiedzi Ronalda przed ojcem Rolfem.

„On przychodzi tylko do mnie”.

Był to oczywisty przykład rozszczepienia osobowości, w którym „ja” negatywne oddziela się zawsze od „ja” czynnego. I zamienia się w „On”.

„To byłem JA. Ale to ON mi powiedział, żeby to zrobić. To, kim jestem, to JEGO wina”.

W tym kontekście wszyscy inni zamieniali się w „NIKT”. Także pisane wielkimi literami.

*NIKT się nie zjawił żeby mi pomóc*

*NIKT nie może zapobiec temu wszystkiemu*

Ron chciał, żeby go uratowano. Ale wszyscy zapomnieli o nim i o tym, że w gruncie rzeczy był tylko dzieckiem.

\* \* \*

Wyszła, żeby kupić coś do jedzenia, ale po daremnej wędrówce po sklepach i barach, które zamknięto wcześniej z powodu złej pogody,

Mila musiała się zadowolić gotową zupą kupioną w sklepie spożywczym. Zamierzała podgrzać ją w kuchence mikrofalowej, którą widziała w kuchni Studia, ale za późno uświadomiła sobie, że nie jest pewna, czy kuchenka działa.

Wróciła do apartamentu, zanim kłujący chłód wieczoru zdążył sparaliżować jej mięśnie i uniemożliwić chodzenie. Żałowała, że nie zabrała skafandra i butów do biegania. Nie biegła od wielu dni i czuła, że w jej stawach zbiera się kwas mlekowy, utrudniając poruszanie się.

Już zamierzała wejść na górę, gdy na chodniku po drugiej stronie ulicy zobaczyła Sarah Rosę, która prowadziła ożywioną rozmowę z jakimś mężczyzną. Próbował ją uspokoić, ale bez rezultatu. Mila pomyślała, że być może to jej mąż i poczuła dla niego życzliwość. Weszła do budynku, zanim ta jędza zdążyła ją zauważyć i zyskać jeszcze jeden powód do nienawiści.

Na schodach Mila spotkała Borisa i Sterna, którzy schodzili na dół.

– Dokąd idziecie?

– Do wydziału, żeby sprawdzić, jak idzie polowanie na mordercę  
– odparł Boris i włożył do ust papierosa. – Chcesz z nami iść?

– Nie, dziękuję.

Boris zauważył pojemnik z zupą.

– W takim razie smacznego.

Mila ruszyła w górę. Usłyszała, że Boris zwraca się do starszego kolegi:

– Powinieneś zacząć palić.

– A ty lepiej byś zrobił, gdybyś rzucił te...

Usłyszała, że Stern otwiera pudełko z miętówkami i uśmiechnęła się.

W Studiu nie było nikogo. Goran miał spędzić wieczór z synem.

Zrobiło jej się trochę smutno, że go nie ma. Przyzwyczała się do jego obecności i uważała, że metody śledcze, które stosuje, są interesujące.

Tylko wczorajsza modlitwa nie przypadła jej zbyt do gustu. Gdyby jej matka ożyła i zobaczyła, że uczestniczy w takim rytuale, nie uwierzyłaby własnym oczom.

Kuchenka mikrofalowa działała. Zupa też nie była taka zła lub może głód sprawił, że tym bardziej jej smakowała. Zaszyła się w swoim kąciku z miską i łyżką w rękę, ciesząc się, że choć na chwilę ma sypialnię dla siebie.

Usiadła po turecku na łóżku. Rana na lewym udzie trochę bolała, ale się zabiłżniła. Wszystko zawsze w końcu się goi, pomyślała. Między jedną i drugą łyżką zupy sięgnęła po fotokopię listu Dermisa.

Zamyśliła się nad nim, nie przerywając jedzenia. Z pewnością Ronald wybrał najlepszy moment, żeby pojawić się na scenie. W jego słowach był jednak jakiś dysonans. Mila nie miała odwagi porozmawiać o tym z Goranem, ponieważ nie wierzyła, że może mu coś doradzić.

Ale ta myśl prześladowała ją przez całe popołudnie.

List przekazano prasie, co było rzeczą niezwykłą. Najwyraźniej Goran postanowił zagrać na strunie miłości własnej seryjnego mordercy. Jakby mówił mu: „Widzisz? Poświęcamy ci czas!”, podczas gdy w rzeczywistości chciał tylko odwrócić jego uwagę od dziewczynki, która nadal jest więziona.

„Nie wiem, jak długo będzie się opierał chęci zamordowania jej”, rzucił mimochodem parę godzin temu.

Mila próbowała odegnąć tę myśl i znowu skupić się na liście. Irytowała ją wybrana przez Ronalda forma tego pisma. W niej właśnie wyczuwała ów brak harmonii. Nie umiałyby powiedzieć, dlaczego tak się dzieje, ale umieszczenie tekstu na samym środku kartki, bez znaków interpunkcyjnych, nie pozwalało jej zrozumieć w pełni treści.

Postanowiła go podzielić. Odstawiła miseczkę i sięgnęła po notes i ołówek.

*do tych co na mnie polują:*

*billy to był parszywiec PARSZYWIEC! i dobrze zrobiłem zabijając go nienawidziłem go zrobiłby nam krzywdę bo założyłby rodzinę a my nie*

*to co zostało mi wyrządzone było gorsze i NIKT się nie zjawiał żeby mi pomóc NIKT*

*byłem tu zawsze przed waszymi oczami a wy mnie nie widzieliście*

*a potem zjawił się ON, tylko ON mnie rozumiał, nauczył mnie*

*to wy chcieliście żebym był taki nie widzieliście mnie a teraz mnie widzicie? tym gorzej dla was w końcu będzie to tylko wasza wina*

*ja jestem taki jaki jestem. NIKT nie może zapobiec temu wszystkiemu NIKT*

*RONALD*

Odczytała fragmenty jeden po drugim. Po kolei. Był to wybuch nienawiści i żalu skierowany do wszystkich, bez różnicy, ponieważ w umyśle mordercy Billy był kimś ważnym, sumą wszystkiego. Miał coś, czego Ron nigdy nie mógłby mieć.

Szczęście.

Billy był wesoły, chociaż widział samobójstwo swoich rodziców.

Zostałby adoptowany, chociaż był sierotą z drugiej ligi. Wszyscy go lubili, chociaż nie miał nic do zaoferowania.

Zabijając Billy'ego, Ronald chciał na zawsze wymazać uśmiech z obłudnego oblicza świata.



Ale w miarę odczytywania tych słów Mila coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że zdania składające się na list przypominają nie tyle spowiedź czy wyzwanie, ile raczej odpowiedzi. Jakby ktoś przepytывał Ronalda, a on chciał czym prędzej przerwać milczenie, w jakim uwiezono go na tak długo, uwolnić się od tajemnicy narzuconej mu przez ojca Rolfa.

Ale co to za pytania? I kto mu je zadawał?

Mila przypomniała sobie, co Goran powiedział podczas modlitwy.

O tym, że dobra nie można pokazać, podczas gdy ciągle mamy przed oczami przykłady zła. Dowody. Ronald utrzymywał, że zabijając rówieśnika, spełnił dobry uczynek. Dla niego Billy reprezentował zło. A kto mógł dowieść, że nie zrobił dobrze? Jego logika była doskonała, gdyż osiągnąwszy dojrzałość, Billy Moore mógł stać się bardzo złym człowiekiem. Kto to mógł powiedzieć?

Kiedy Mila była mała i chodziła na lekcje religii, zawsze zadawała sobie pewne pytanie, i nie opuściło jej ono z upływem lat.

Dlaczego Bóg, którego uważa się za dobrego, pozwala, żeby umierały dzieci?

Jeśli dobrze się przyjrzeć, to właśnie kontrastuje z ideałami miłości i sprawiedliwości, których pełne są ewangelie.

Ale być może umieranie w młodym wieku jest losem, który Bóg rezerwuje dla swoich najgorszych dzieci. A więc pewnie także dzieci, które uratowała, mogły wyrosnąć na zabójców albo seryjnych morderców. Prawdopodobnie to, co robiła, było błędem. Gdyby ktoś zabił Adolfa Hitlera albo Jeffreya Dahmera czy Charlesa Mansona, gdy byli jeszcze w pieluszkach, spełniłby dobry czy zły uczynek? Ale

ich zabójcy zostaliby ukarani i skazani za taki czyn, i z pewnością nikt nie wielbiłby ich jako zbawców ludzkości!

Doszła do wniosku, że dobro i zło często się ze sobą mieszają. Że to pierwsze jest czasami narzędziem drugiego, i na odwrót.

Podobnie słowa modlitwy mogą się pomieszać z szalonymi słowami mordercy, rozmyślała.

Najpierw było tak dobrze znane łaskotanie u podstawy czaszki, jakby coś skradało się ku niej z kryjówki za plecami. Powtórzyła to ostatnie spostrzeżenie i nagle uświadomiła sobie, że doskonale zna pytania, na które Ronald starał się odpowiedzieć w swoim liście.

Były zawarte w modlitwie Gorana.

Zmusiła się, żeby je sobie przypomnieć, chociaż słyszała je tylko raz. Parokrotnie próbowała odszukać je w notesie. Pomyliła kolejność słów i musiała zacząć od nowa, ale w końcu miała je tuż przed oczami. Połączyła je ze zdaniem z listu, komponując od nowa ten dialog na odległość.

W końcu przeczytała cały list jeszcze raz...

I od pierwszego zdania wszystko stało się oczywiste.

*do tych co na mnie polują:*

Te słowa były skierowane do nich, policjantów, aby odpowiedzieć na ich pytania, które kryminolog postawił w ciszy tamtego miejsca...

Dlaczego Billy Moore musiał umrzeć?

*billy to był parszywiec PARSZYWIEC! i dobrze zrobiłem zabijając go nienawidziłem go zrobiłby nam krzywdę bo założyłby rodzinę a my nie*

Skąd brała się nienawiść Ronalda Dermisa?

*to co zostało mi wyrządzone było gorsze i NIKT się nie zjawił żeby mi pomóc NIKT*

Co mu się przydarzyło w ciągu tych lat?

*byłem tu zawsze przed waszymi oczami a wy mnie nie widzieliście*

Jak nauczył się zabijać?

*a potem zjawił się ON, tylko ON mnie rozumiał, nauczył mnie*

Co popchnęło go do tego, że wybrał zło?

*to wy chcieliście żebym był taki nie widzieliście mnie a teraz mnie widzicie? tym gorzej dla was w końcu będzie to tylko wasza wina*

I dlaczego nie skończy z mnożeniem tych potworności?

*ja jestem taki jaki jestem. NIKT nie może zapobiec temu  
wszystkiemu NIKT*

Mila nie wiedziała, co o tym myśleć. Ale może odpowiedź na jej pytanie znajduje się na dole tego listu. Było tam imię.

*RONALD*

Pomyślała, że musi natychmiast zweryfikować swoje przypuszczenie.

## 18.

Nabrzmiące sinymi chmurami niebo opróżniało się powoli ze śniegu.

Mila złapała taksówkę dopiero po czterdziestu minutach stania na ulicy. Kierowca zaprotestował, gdy dowiedział się, dokąd ma jechać.

Tłumaczył, że to za daleko, a w nocy i przy tak złej pogodzie nigdy nie znajdzie pasażera na kurs powrotny. Dał się przekonać dopiero wtedy, gdy Mila zaproponowała mu podwójną zapłatę za kurs.

Na asfalcie zebrało się już kilka centymetrów śniegu i na nic zdało się posypywanie ulic solą. Auta poruszały się tylko z łańcuchami na kołach, ale i tak jechały wolno. Powietrze w taksówce było nieświeże, a na siedzeniu obok kierowcy Mila zauważyła resztki kebabu z cebulą.

Jego zapach mieszał się z sosnowym odświeżaczem powietrza umieszczonym na jednym z wylotów ogrzewania. Z pewnością nie był to najlepszy sposób przyjmowania klientów.

W czasie jazdy przez miasto Mila próbowała uporządkować myśli.

Była pewna, że jej teoria jest słuszna, i w miarę zbliżania się do celu umacniała się w tym przekonaniu. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Gavili i poprosić o potwierdzenie domysłów, ale bateria w jej komórce była prawie wyczerpana. Odłożyła więc ten telefon do chwili, w której znajdzie to, czego szuka.

Minęli strefę rozjazdów autostradowych. W jednej z bramek policyjny patrol zatrzymywał auta i odsyłał je z powrotem.

– Niebezpiecznie, za dużo śniegu! – powtarzali kierowcom policjanci.

Na poboczu zatrzymało się kilka TIR-ów w nadziei na podjęcie podróży następnego ranka.

Taksówka ominęła blokadę, kierując się do innego wyjazdu. Do sierocińca można było dotrzeć także lokalną szosą, nie korzystając z autostrady. Prawdopodobnie kiedyś była to jedyna droga, na szczęście znana taksówkarzowi.

Mila wysiadła tuż przed wejściem. Nie przyszło jej nawet do głowy, aby poprosić kierowcę, żeby zaczekał, oferując mu dodatkowe pieniądze. Była pewna, że się nie pomyliła, i że niebawem jej koledzy znowu zjawią się w tym miejscu.

– Nie chce pani, żebym zaczekał, aż załatwi pani sprawę? – zapytał kierowca, zobaczywszy sierociniec.

– Nie, dziękuję, niech pan jedzie.

Taksówkarz nie nalegał, wzruszył ramionami i zawrócił, zostawiając na krótko w powietrzu zapach kebabu z cebulą.

Mila minęła furtkę i ruszyła podjazdem, zanurzając stopy w śniegu zmieszonym z błotem. Wiedziała, że zgodnie z rozkazem Roche'a policjanci odjechali. Zabrano też policyjnego campera. Nie było już w tym miejscu niczego, co mogłoby interesować prowadzących śledztwo.

Do dzisiejszego wieczora, pomyślała.

Dotarła przed główne wejście, ale po wdarciu się jednostek specjalnych w wielkich drzwiach założono nowy zamek. Spojrzała na dom parafialny, zastanawiając się, czy ksiądz Timothy poszedł już spać.

Dotarła aż tu i nie ma wyboru.

Ruszyła w stronę mieszkania księdza. Zapukała kilka razy, aż w oknie na piętrze zapaliło się światło. Niebawem pokazała się w nim twarz ojca Timothy'ego.

– Kto tam?

– Proszę księdza, to ja, policjantka. Już się widzieliśmy, pamięta ksiądz?

Kapłan próbował dojrzeć ją w padającym gęsto śniegu.

– Tak, oczywiście. Czego pani chce o tej porze? Myślałem, że już skończyliście...

– Wiem, przepraszam, ale chciałabym coś sprawdzić na dole w pralni. Czy mógłby ksiądz dać mi klucze, z łaski swojej?

– Dobrze, już schodzę.

Mila zaczynała się niecierpliwić, gdy kilka minut później usłyszała, że ksiądz hałasuje za drzwiami, otwierając zasuwę. Wreszcie ukazał się w swetrze z dziurami na łokciach, z łagodnym wyrazem twarzy.

– Ależ pani trzęsie się z zimna.

– Niech się ksiądz tym nie przejmuje.

– Proszę wejść na chwilę do środka, żeby się osuszyć, a ja tymczasem poszukam kluczy. Wie pani, zostawiliście tu niezły bałagan.

Mila weszła za nim do wnętrza. Z przyjemnością poczuła falę ciepłego powietrza.

– Kładłem się już spać.

– Przykro mi.

– Nic nie szkodzi. Napije się pani herbaty? Ja wypijam zawsze filiżankę przed snem, dla odprężenia.

– Nie, dziękuję. Chciałabym pójść tam jak najprędzej.

– Proszę się napić, dobrze pani robi. Jest już gotowa, wystarczy nalać. A tymczasem ja wezmę klucze.

Wyszedł z pokoju, a ona skierowała się do małej kuchni. I rzeczywiście, zobaczyła na stole parujący imbryk. Unosił się przyjemny zapach i Mila nie oparła się pokusie: nalała sobie filiżankę i dużo posłodziła. Przypomniała jej się ohydna zimna herbata, którą próbował ugościć ją i Borisa Feldher w swoim domu na wysypisku. Kto wie, skąd brał na nią wodę.

Ksiądz Timothy wrócił z wielkim pękiem kluczy. Przez chwilę wybierał właściwy.

– Teraz czuje się pani lepiej, prawda? – Uśmiechnął się do niej, zadowolony, że uległa jego namowom.

Mila odwzajemniła uśmiech.

– Tak, lepiej.



– O, mam, to powinien być klucz do głównych drzwi. Chce pani, żebym z panią poszedł?

– Nie, dziękuję – odparła, widząc ulgę na twarzy księdza. – Ale chciałabym prosić o przysługę...

– Słucham.

Podawała mu kartkę.

– Jeśli nie wrócę za godzinę, proszę zadzwonić pod ten numer i poprosić o pomoc.

Ojciec Timothy zbladł.

– Sądziłem, że nie ma już zagrożenia.

– To tylko zabezpieczenie. Nie sądzę, żeby coś mi się przydarzyło. Chodzi tylko o to, że nie wiem, jak się poruszać po budynku; może dojść do jakiegoś wypadku. Poza tym w środku nie ma światła.

Gdy tylko wypowiedziała ostatnie zdanie, uświadomiła sobie, że nie wzięła pod uwagę tego szczegółu. Prąd jest wyłączony, a generator, który dostarczał prąd lampom halogenowym, został na pewno zdemontowany i zabrany.

– Cholera! – wyrwało jej się. – Nie ma ksiądz latarki?

– Przykro mi, proszę pani... Ale jeśli ma pani przy sobie komórkę, mogłaby pani poświecić sobie światłem ekranu.

Nie pomyślała o tym.

– Dziękuję za radę.

– Nie ma za co.

Po chwili Mila znowu znalazła się w objęciach zimnej nocy, podczas gdy ksiądz za jej plecami zamykał drzwi na zasuwę.

Ruszyła w górę po pochyłości w stronę wejścia do sierocińca.

Włożyła klucz do zamka i usłyszała echo szczęknięcia zamków, które rozchodziło się po sali za drzwiami. Pchnęła ogromne skrzydło i zamknęła je za sobą.

\* \* \*

Gołębie siedzące na parapecie okienka powitały jej obecność głośnym trzepotem skrzydeł. Ekran komórki promieniował słabym zielonkawym blaskiem, który ukazywał tylko zamazane zarysy tego, co miała przed sobą. Poza tą bańką światła czyhał gęsty mrok, gotowy w każdej chwili rozlać się i ją wchłonąć.

Starła się odtworzyć w pamięci drogę do pralni.

Odgłos jej kroków mącił ciszę, oddech skraplał się w zimnym powietrzu. Szybko dotarła do pomieszczeń kuchennych i rozpoznała cienie wielkich żelaznych kotłów. Potem weszła do jadalni, gdzie powinna uważać, żeby ominąć stoły. Uderzyła o któryś biodrem, zrzucając jedno z ustawionych na nim krzeseł. Zwielokrotniony echem hałas był niemal ogłuszający. Umieszczając krzesło na miejscu, zobaczyła wejście na wąskie spiralne schody prowadzące na niższą kondygnację. Zapуściła się w kamienną jamę i powoli zeszła po schodkach, które były wyslizgane od długoletniego używania.

Dotarła do pralni.

Uniosła komórkę, żeby się rozejrzeć. Ktoś położył w marmurowej wannie kwiat. Mila przypomniała sobie modlitwę, którą odmówili w tym pomieszczeniu.

Zaczęła szukać.

Przyjrzała się najpierw powierzchniom ścian, potem przesunęła palcami po listwach przypodłogowych. Nic. Starła się nie myśleć o tym, jak długo wytrzyma bateria, zanim się wyczerpie. Martwiła ją nie tyle perspektywa pokonywania w ciemności drogi powrotnej, ile obawa, że bez tej odrobiny światła będzie potrzebowała dużo więcej czasu. Za godzinę ojciec Timothy zadzwoni po pomoc, a ona tylko się ośmieszy. Musi się spieszyć.

Gdzie to może być? – zastanawiała się. – Wiem, że tu jest, w jakimś miejscu...

Nagły i głośny dźwięk sprawił, że serce podskoczyło jej do gardła.

Minęło parę chwil, zanim zdała sobie sprawę, że to tylko pisk jej telefonu.

Odwróciła komórkę ekranem do siebie i przeczytała: *GORAN*.

Wcisnęła słuchawkę do ucha i odezwała się.

– Nikt nie został w Studiu? W ciągu ostatniej godziny dzwoniłem tam co najmniej dziesięć razy.

– Boris i Stern wyszli, ale powinna być Sarah Rosa.

– A ty gdzie jesteś?

Mila pomyślała, że nie powinna kłamać. Choć nie była jeszcze pewna słuszności swojego domysłu, postanowiła mu o nim powiedzieć.

– Myślę, że Ronald podsłuchiwał nas ostatniego wieczoru.

– Dlaczego tak myślisz?

– Porównałam jego list z pytaniami, które zadał pan podczas modlitwy. Wydaje się, że są to odpowiedzi.

– Doskonały wniosek.

Kryminolog wcale nie wydawał się zaskoczony. Być może doszedł do tego samego wniosku. Mila poczuła się trochę głupio, bo myślała, że może go zaskoczy.

– Ale nie odpowiedziałas mi na pytanie: gdzie teraz jesteś?

– Szukam mikrofonu.

– Jakiego mikrofonu?

– Tego, który Ronald umieścił w pralni.

– Jesteś w sierocińcu?

W głosie Gorana pojawił się niepokój.

– Tak.

– Musisz natychmiast stamtąd wyjść!

– Dlaczego?

– Milu, tam nie ma żadnego mikrofonu!

– Ale jestem pewna, że...

– Posłuchaj – przerwał jej Goran – agenci sprawdzili cały budynek, znaleźliby go!

W tym momencie Mila poczuła się naprawdę głupio. Kryminolog ma rację. Czy to możliwe, że była tak mało przezorna i nie pomyślała

o tym? Co miała w głowie?

– W takim razie, jak on to zrobił, że... – Nie dokończyła zdania.

Zdrętwiała, jakby po plecach spłynęła jej lodowata kropla. – On tu był.

– Modlitwa była tylko sposobem zachęcenia go do odkrycia się!

– Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? – jęknęła Mila.

– Milu, wychodź stamtąd, na litość boską!

Mila zdała sobie sprawę z ryzyka, na jakie się naraziła. Wyciągnęła pistolet z kabury i szybko ruszyła do wyjścia, do którego miała co najmniej dwieście metrów; ogromny dystans, który musiała pokonać ze świadomością jego „obecności”.

Kto to może być? – zadała sobie pytanie, wspinając się po spiralnych schodach do jadalni.

Poczuła, że nogi się pod nią uginają, i znalazła odpowiedź.

Herbata...

Na linii pojawiły się trzaski. Usłyszała w słuchawce Gorana, który pytał: – Co takiego?

– Ojciec Timothy to Ronald, prawda?

Trzaski. Szumy. Znowu trzaski.

– Tak. Po śmierci Billy’ego Moore’a ojciec Rolf usunął wszystkich z instytutu jeszcze przed datą zamknięcia. Oprócz niego. Zatrzymał go, ponieważ niepokoił go jego charakter i miał nadzieję, że utrzyma nad nim kontrolę.

– Myślę, że podał mi narkotyk.

Głos Gorana dochodził do niej z przerwami.

– ...powiedziałaś? Nie ...zumiem.

– Myślę że... – próbowała powtórzyć Mila, ale słowa uwięzły w jej gardle.

Upadła twarzą do ziemi.

Słuchawka wysunęła jej się z ucha, telefon wyślizgnął z ręki i potoczył się pod jeden ze stołów. Jej serce biło coraz szybciej, przyspieszając też rozchodzenie się narkotyku po organizmie. Była otepiała, ale słyszała Gorana w leżącej o parę metrów dalej słuchawce.

– Milu! Milu!...powiedz mi!...się dzieje?

Zamknęła oczy, bojąc się, że już ich nie otworzy. Potem powiedziała sobie, że nie może przecież umrzeć w takim miejscu jak to.

– Adrenalina... Potrzebuję adrenaliny...

Wiedziała, jak zapewnić jej dopływ. W prawej ręce nadal mocno trzymała pistolet. Ustawiła go tak, że lufa muskała mięsień naramienny, i nacisnęła spust. Pocisk przedziurawił skórę kurtki i wyrwał strzęp mięśnia, a huk wystrzału przetoczył się potężnym echem przez mroczną otchłań. Poczula pieczenie i krzyknęła, ale odzyskała świadomość.

Słyszała wyraźnie Gorana, który wołał jej imię: – Milu!

Popęzła w kierunku świecącego ekranu komórki, podniosła ją i odpowiedziała: – Wszystko w porządku.

Wstała i ruszyła dalej. Wysiłek potrzebny do zrobienia każdego kroku był ogromny. Miała wrażenie, że przeżywa jeden z tych snów, w którym ktoś nas ściga, a my nie możemy biec, ponieważ nogi ciężą nam tak, jakby były zanurzone po kolana w kleistej mazi.

Rana pulsowała, ale nie krwawiła zbyt obficie. Mila dobrze wycelowwała. Zacisnęła zęby i zaczęła posuwać się krok za krokiem. Wydawało jej się, że wyjście jest coraz bliżej.

– Jeżeli wiedzieliście wszystko, to dlaczego nie zatrzymaliście tego szubrawca? – wrzasnęła do słuchawki. – I dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Głos Gorana znowu brzmiał wyraźnie: – Przykro mi, Milu, chcieliśmy, żebyście zachowywali się wobec niego naturalnie, żeby nie nabrał podejrzeń. Monitorujemy go na odległość. Umieściliśmy pluskwy w jego samochodzie. Mieliśmy nadzieję, że doprowadzi nas do szóstej dziewczynki...

- Ale tego nie zrobił...
- Ponieważ Albert to nie on, Milu.
- Ale jest równie groźny, prawda?

Goran milczał trochę za długo. Książdz jest groźny.

– Podniosłem alarm, już do ciebie jadą. Ale potrzeba trochę czasu, bo posterunki obserwacyjne są rozstawione w promieniu paru kilometrów.

Cokolwiek zrobię, będzie za późno, pomyślała Mila. W tym zimnie i z narkotykiem, który krąży w organizmie, pozbawiając ją sił, nie ma szans. Powinna była posłuchać taksówkarza, kiedy próbował odwieść

ją odjechania w to miejsce! No i dlaczego, do wszystkich diabłów, nie przyjęła jego propozycji, że zaczeka na nią, aż załatwi sprawę? Bo nie mogła znieść zapachu kebabu z cebulą, który zasmrodził cały samochód, oto dlaczego! A teraz znalazła się w pułapce. Wpadła w nią sama, być może dlatego, że jakaś jej część nieświadomie tego chciała.

Pociągała ją myśl, że narazi się na ryzyko. A nawet na śmierć!

– Nie! – powiedziała sobie. – Chcę żyć.

Ronald, *alias* ojciec Timothy, nie wykonał jeszcze żadnego ruchu.

Ale była pewna, że nie będzie długo czekał.

Z tych rozmyślań wyrwały ją trzy krótkie dźwięki, jeden po drugim.

– Cholera – zaklęła, widząc, że bateria w komórce definitywnie siadła.

Ciemność zamknęła się nad nią niczym palce dłoni.

\* \* \*

Ile razy bywała w kłopotach? Właściwie to się już zdarzało. Na przykład w domu nauczyciela muzyki. Ale ile razy wpadła w takie opał jak teraz? Odpowiedź była druzgocąca.

Nigdy.

Odurzona narkotykiem, ranna, bez sił, a teraz także bez komórki. Z powodu tej ostatniej niedogodności chciało jej się śmiać, bo i co by



zrobiła z telefonem? Mogła najwyżej zadzwonić do jakiejś dawnej przyjaciółki, na przykład do Gracieli. I zapytać ją: „Jak się masz? Bo ja właśnie umieram!”.

Najgorsza była ciemność. Ale powinna uznać ją za sprzyjającą okoliczność: jeżeli nie może widzieć RONALDA, on także jej nie widzi.

Oczekuje, że pójdę w kierunku wyjścia...

I rzeczywiście, chciała tylko zostawić to miejsce za sobą, ale zdawała sobie sprawę, że nie może iść za głosem instynktu, bo grozi jej śmierć.

Muszę się ukryć i poczekać na nadejście pomocy.

Doszła do wniosku, że to mądra decyzja, bo w każdej chwili może stracić przytomność. Ma pistolet, i to podnosiło ją na duchu. Ronald też może być uzbrojony. Ale nie wydawało się, żeby był dobrym strzelcem, w każdym razie nie tak dobrym jak ona. Ale nieźle gra rolę nieśmiałego i zalęknionego ojca Timothy'ego. W gruncie rzeczy, pomyślała Mila, ukrywa pewnie inne zdolności.

Przycupnęła pod jednym ze stołów w ogromnej jadalni i zaczęła nasłuchiwać. Echo nie pomagało, wzmacniało tylko przeróżne dźwięki, tajemnicze szelesty, mylące i odległe, których nie umiała rozpoznać. Oczy jej się zamykały.

– Nie może mnie zobaczyć. Nie może mnie zobaczyć – powtarzała sobie. – Wie, że jestem uzbrojona. Jeśli tylko narobi hałasu albo zapali latarkę, żeby mnie szukać, już jest martwy.

Przed oczami zaczęły jej krążyć niewiarygodnie kolorowe plamy.

To musi być narkotyk...

Plamy zamieniały się w kontury i ożywały na jej oczach. To niemożliwe, żeby je sobie tylko wyobrażała. W rzeczywistości były to nagle błyski, które zapalały się w różnych miejscach sali.

Ten sukinsyn tu jest i używa lampy błyskowej!

Mila próbowała wycelować pistolet, ale oślepiające błyski, zniekształcone halucynogennym działaniem narkotyku, nie pozwalały zlokalizować przeciwnika.

Jest uwięziona w ogromnym kalejdoskopie.

Potrząsnęła głową, ale nie mogła się skupić. Zaraz potem poczuła dreszcz rozchodzący się po mięśniach rąk i nóg niczym skurcz, nad którym nie mogła zapanować. I choć próbowała się go pozbyć, brała ją we władanie myśl o śmierci, która obiecywała, że jeśli tylko zamknie oczy, wszystko się skończy. Na zawsze.

Ile czasu minęło? Pół godziny? Dziesięć minut? A ile czasu jej jeszcze zostało?

I w tym momencie go usłyszała.

Był blisko. Bardzo blisko. Nie dalej niż cztery, pięć metrów od niej.

Zobaczyła go!

Trwało to tylko ułamek sekundy. W otaczającej go świetlistej koronie flesza ujrzała posepny uśmiech.

Wiedziała, że w każdej chwili może zostać odkryta, i że nie starczy jej już siły, żeby do niego strzelić. Dlatego powinna być szybsza, nawet za cenę ujawnienia, gdzie jest.

Wycelowwała w ciemności, kierując broń w stronę, w której spodziewała się ujrzeć go znowu w aureoli błysku flesza. Było to ryzykowne, ale nie widziała innej możliwości.

Już miała nacisnąć spust, gdy Ronald zaczął śpiewać.

Usłyszała ten sam przepiękny głos, którym ksiądz Timothy zaintonował hymn w obecności całego zespołu. Było w tym coś bezsensownego, żart natury, że podobny dar mogło przechowywać serce mordercy. Płynęła z niego wzniosła i przerażająca pieśń śmierci.

Ten śpiew powinien brzmieć w jej uszach słodko i przejmująco, ale Mila odczuwała tylko strach. Nogi, a także mięśnie rąk ostatecznie odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się na posadzkę.

Oślepiający błysk flesza.

Ogarnęło ją odrętwienie niczym lodowata kołdra. Do jej uszu dobiegł odgłos kroków Ronalda, który zbliżał się, żeby ją odkryć.

Jeszcze jeden błysk.

To koniec. Zaraz mnie zobaczy.

W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, w jaki sposób ją zabije.

Z nieoczekiwanym spokojem poddała się śmierci. Jej ostatnie myśli powędrowały ku dziewczynce numer sześć.

Nigdy się nie dowiem, jak miała na imię...

Jasna poświata ogarnęła ją całą.

Kolba pistoletu wysunęła się z jej dłoni. Chwyciły ją czyjeś ręce.

Poczuła, że ją unoszą. Próbowwała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Straciła przytomność.

Obudziła się, czując kołysanie – Ronald niósł ją, wchodząc po schodach.

Znowu zemdląa.

Otrzeźwił ją ostry zapach amoniaku. Ronald przesunął pod jej nosem mały flakonik. Związał jej ręce, ale chciał, żeby była przytomna.

Owiewał ją lodowaty wiatr. Byli na dworze. Ale gdzie? Mila wyczuła, że znajdują się gdzieś wysoko. Przypomniała sobie powiększone zdjęcie sierocińca, które pokazał jej Chang, żeby wytłumaczyć, skąd spadł Billy Moore.

Wieża. Jesteśmy na wieży!

Ronald zostawił ją na chwilę. Zobaczyła, że podchodzi do krawędzi i spogląda w dół.

Chce mnie stąd zrzucić!

Chwilę potem wrócił, złapał ją za nogi i pociągnął na skraj gzymsu. Resztkami sił Mila próbowała odepchnąć go nogami, ale bez skutku.

Krzyknęła. Zaczęła się szarpać. Jej serce przepelniała rozpacz. Ronald przeciągnął ją do parapetu. Mając głowę wykręconą do tyłu, Mila spojrzała w ziejącą w dole przepaść. Przez padający śnieg dojrzała w oddali światła policyjnych samochodów, które nadjeżdżały autostradą.

Ronald pochylił się nad nią. Poczwała jego gorący oddech.

– Za późno, nie zdążą... – wyszeptał.

I zaczął ją spychać. Mając ręce związane za plecami, zdołała mimo to złapać się śliskiej krawędzi gzymsu. Próbowwała trzymać się ze wszystkich sił, ale nie mogła długo się opierać. Jedynym jej sprzymierzeńcem był lód pokrywający posadzkę wieży, na którym Ronald poślizgnął się kilka razy, gdy próbował ją zepchnąć. Zobaczyła jego wykrzywioną z wysiłku twarz. Jej opór zaczynał go irytować. Postanowił użyć innego sposobu i przełożyć jej nogi przez gzyms. Stał dokładnie na wprost niej. Dokładnie w tym samym momencie, powodowana rozpaczliwym instynktem przeżycia, zebrała wszystkie siły i uderzyła go kolaniem w podbrzusze.

Ronald zrobił krok do tyłu, zginając się wpół i chwytając obiema dłońmi za krocze. Mila zrozumiała, że to jej jedyna szansa, zanim ksiądz otrząśnie się z szoku.

Była bez sił, jej jedynym sprzymierzeńcem pozostała siła ciężenia.

Rana na ramieniu paliła żywym ogniem, lecz Mila na to nie zważała. Zerwała się na równe nogi. Mogła się poślizgnąć, ale mimo to rzuciła się w stronę Ronalda. Zwaliła się na niego, a on stracił równowagę. Zaczął wymachiwać rękami, chcąc się czegoś złapać, ale był już połową ciała poza gzymsem.

Widząc, że nie zdoła się niczego chwycić, wyciągnął rękę, żeby pociągnąć Milę w czeluść, która się pod nim otwierała. Mila zobaczyła jego palce, które w ostatnim, przerażającym muśnięciu prześliznęły się po kraju jej skórzanej kurtki. A potem zaczął spadać powoli, jakby niewinne płatki śniegu hamowały jego upadek.

Pochłonięła go ciemność.

## 19.

*Bardzo głęboki mrok.*

*Stan idealnej równowagi między snem i czuwaniem. Gorączka wzrosła. Czuje ją na zaróżowionych policzkach, na obolałych nogach, w żołądku, który boli.*

*Nie wie, kiedy się zaczynają i kiedy kończą jej dni. Czy leży tu od kilku godzin, czy może tygodni. Czas nie istnieje w brzuchu potwora, który ją połknął, rozciąga się i kurczy jak żołądek powoli trawiący jego posiłek. Nie jest nawet potrzebny. Tu czas niczemu nie służy, ponieważ nie potrafi dać odpowiedzi na najważniejsze z pytań.*

*Kiedy to się skończy?*

*Pozbawienie czasu to najbardziej dotkliwa z kar, jakie musi znieść.*

*To gorsze niż ból w lewym ramieniu, który czasami promieniuje na szyję i uciska jej skronie tak, że czuje się bardzo źle. Ponieważ jedno jest już dla niej oczywiste: wszystko to jest karą.*

*Jednak nie wie dokładnie, za jaki grzech musi ją ponieść.*

*Może byłam niedobra dla mamy albo dla taty, za często kaprysiłam, nigdy nie chciałam pić mleka i wylewałam je ukradkiem, kiedy nikt nie patrzył, chciałam, żeby kupili mi kota i przyrzekłam, że będę się nim zajmowała, ale gdy już dobrze*

poznałam Houdiniego, poprosiłam o psa, i oni się bardzo rozzłościли i powiedzieli, że nie możemy porzucić kota, a ja próbowałam im wytłumaczyć, że Houdini wcale mnie nie lubi, lub może kara jest za to, że nie przyniosłam ze szkoły dobrych stopni, w tym roku pierwsza strona dzienniczka to istna katastrofa, miałam poprawki z geografii i z rysunku, lub może to za te trzy papierosy, które wypaliłam po kryjomu na dachu sali gimnastycznej razem z moim kuzynem, ale ja się wcale nie zaciągałam, ale nie, to jest kara za spinki w kształcie biedronek, które ukradłam w centrum handlowym, przysięgam, że zrobiłam to tylko raz, właśnie wtedy, no i jestem bardzo uparta, zwłaszcza wobec mamy, która zawsze chce decydować o tym, co mam włożyć, i nie rozumie, że jestem duża i rzeczy, które mi kupuje, nie podobają mi się, bo mamy inne zapatrywania na te sprawy...

Kiedy nie śpi, wciąż szuka wyjaśnienia, stara się znaleźć powód, który by usprawiedliwił to, co się z nią dzieje. No i wyobraża sobie najbardziej absurdalne rzeczy. Ale za każdym razem, gdy wydaje jej się, że wreszcie znalazła wytłumaczenie, ono rozsypuje się jak zamek z piasku, ponieważ ta kara jest zbyt surowa jak na takie przewinienia.

A znowu kiedy indziej denerwuje się, że mama i tata nie przyszli jeszcze, żeby ją zabrać.

Dlaczego zwlekają z uwolnieniem mnie? Zapomnieli, że mają córkę?

Ale potem czuje skruchę. I zaczyna wzywać ich w myślach z nadzieją, że ma jakieś zdolności telepatyczne. Już tylko to jej pozostało.



*Są też chwile, w których usiłuje sobie wmówić, że umarła.*

*Tak, umarłam i pochowali mnie w tym dole. Nie mogę się poruszyć, ponieważ leżę w trumnie. I zostanę w niej na zawsze...*

*Ale potem ból przypomina jej o tym, że żyje. Ból, który jest zarazem wyrokiem i wyzwoleniem. Wyrывают snu i przywraca do rzeczywistości. Tak jak teraz.*

*Do jej prawej ręki sływa ciepły płyn. Czuje go. Jest przyjemny.*

*Pachnie lekarstwem. Ktoś się nią opiekuje. Nie wie, czy powinno ją to cieszyć, czy nie. Bo oznacza to dwie rzeczy: że nie jest sama i że nie wie, czy ten ktoś jest dobry, czy zły.*

*Nauczyła się czekać na tę osobę. Wie, kiedy się zjawi. Domyśliła się na przykład, że zmęczenie, które odczuwa przez cały czas, i sen, w który nagle zapada, nie są uzależnione od jej organizmu. To lekarstwo przytępia jej zmysły.*

*A ta osoba pojawia się tylko wtedy, gdy ona czuje jego działanie.*

*Siada koło niej i karmi ją cierpliwie łyżką. Jedzenie jest słodkie i nie trzeba go gryźć. Potem daje jej dopicia wodę. Nigdy jej nie dotyka, nigdy nic nie mówi. Ona natomiast chciałaby rozmawiać, ale jej wargi odmawiają formowania słów, a gardło wydawania koniecznych dźwięków. Czasami czuje, że ten ktoś kręci się koło niej. A czasami wydaje jej się, że jest tu i na nią patrzy, ale się nie porusza.*

*Nowe ułucie bólu. Zduszony krzyk odbija się od ścian jej więzienia. I przywraca jej świadomość.*

*I wtedy coś spostrzega.*

*W ciemności zaczęło świecić dalekie małe światełko. Czerwony punkcik pojawił się nagle na granicy jej niewielkiego pola widzenia.*

*Co to może być? Stara mu się lepiej przyjrzeć, ale nie może. Potem wyczuwa coś pod prawą dłoń. Coś, czego przedtem nie było. Jakiś szorstki nieregularny przedmiot. Robi wrażenie, jakby był pokryty łuskami. Budzi w niej wstręt. Jest sztywny. Z pewnością to jakieś martwe zwierzę. Chciałaby go wyrzucić, ale jest mocno przytwierdzony do wnętrza jej dłoni. Resztkami sił stara się go pozbyć, ale potrząsając nadgarstkiem, zaczyna też rozwiązywać tajemnicę. To nie martwe zwierzę. Jest twardy, ponieważ jest z plastiku. Nie uczeplił się jej dłoni, ale został zwyczajnie umocowany taśmą samoprzylepną. I nie pokrywają go łuski, ale przyciski.*

*Pilot.*

*Nagle wszystko staje się jasne. Wystarczy unieść trochę nadgarstek, skierować ten przedmiot w stronę czerwonego punkcika i nacisnąć pierwszy lepszy przycisk. Pojawiają się odgłosy, które mówią jej, że się nie pomyliła. Najpierw jest przerwa. Potem taśma przewija się szybko do tyłu. Słysząc znajomy szum odtwarzacza wideo. Jednocześnie na wprost niej rozjaśnia się ekran.*

*Po raz pierwszy pomieszczenie wypełnia światło.*

*Otoczają ją wysokie ściany z ciemnego kamienia. A ona leży na łóżku przypominającym szpitalne, z metalowymi poręczami. Obok niej widać stojak z rurką, która kończy się igłą w jej prawej ręce. Cała lewa ręka jest owinięta bardzo mocno bandażami, które unieruchamiają jej klatkę piersiową. Na stole stoją pojemniki z*

homogenizowanymi produktami. I dużo, bardzo dużo leków. Ale za telewizorem rozciąga się nieprzenikniona ciemność.

Przewijanie taśmy w odtwarzaczu wreszcie się kończy. Taśma się zatrzymuje. A potem rusza znowu, ale wolniej. Szum ścieżki dźwiękowej zapowiada początek filmu. Zaraz potem rozbrzmiewa wesola muzyczka – dźwięki są lekko zniekształcone. Ekran wypełnia się zamazanymi kolorami. Ukazuje się mały człowieczek w niebieskich ogrodniczkach i kowbojskim kapeluszu. Jest również koń na bardzo długich nogach. Człowieczek próbuje na niego wsiąść, ale mu się nie udaje.

Ponawia próby, które kończą się zawsze tak samo: człowieczek spada na ziemię, a koń się z niego śmieje. Trwa to około dziesięciu minut.

Potem animowany film się kończy, lecz taśma przesuwa się nadal przy ciemnym ekranie. Gdy dociera do końca, zaczyna sama się przewijać.

I film rozpoczyna się od nowa. Wciąż ten sam człowieczek. I koń, na którego nie udaje mu się wsiąść. Mimo to ona ciągle wpatruje się w ekran. Chociaż wie już, jak będzie się zachowywać to przekorne zwierzę.

Ma nadzieję, że małemu człowieczkowi wreszcie się uda.

Bo już tylko to jej zostało. Nadzieja. Pragnienie, żeby nie poddać się przerażeniu. Być może ten, kto wybrał dla niej ten film, chciał osiągnąć coś przeciwnego. Ale to, że mały człowieczek się nie poddaje i trwa przy swoim, pomimo fikołków i bólu, dodaje jej odwagi.

*No, wskakuj na siodło! – zachęca go za każdym razem w myślach.*

*Potem znowu zapada w sen.*

Prokuratura w [REDACTED]

Biuro Prokuratora Generalnego

J.B. Marina

11 grudnia br.

Do Dyrektora dr. Alphonse'a Bérengera

C/o Zakład Karny w [REDACTED]

Okręg Penitencjarny nr 45

Dotyczy: odpowiedź na Raport poufny z 12  
września

Szanowny Panie Bérenger,

W związku z Pana prośbą o podjęcie dodatkowego dochodzenia związanego z osadzonym w Pańskim zakładzie karnym, określanym jak dotąd wyłącznie numerem rejestrowym RK-357/9, informuję z żalem, że badania uzupełniające dotyczące tożsamości tej osoby nie dały żadnych wyników.

Zgadzam się z Pańskim poglądem, iż istnieje uzasadnione podejrzenie, że osadzony RK-357/9 mógł popełnić w przeszłości jakieś poważne przestępstwo i robi wszystko, aby utrzymywać nas w niewiedzy. W tym względzie badanie DNA jest jedynym dostępnym

nam środkiem, który może to potwierdzić lub temu zaprzeczyć.

Mimo to, jak Pan doskonale wie, nie możemy zmusić osadzonego RK-357/9 do poddania się badaniu. Byłoby to z naszej strony poważne pogwałcenie jego praw, jako że kara za przestępstwo, za które został skazany (odmowa podania danych personalnych urzędnikom państwowym), tego nie przewiduje. Byłoby inaczej, gdyby istniały „udokumentowane” i „niepodważalne” wskazania, że więzień RK-357/9 popełnił ciężkie przestępstwo i istnieją „poważne podejrzenia, że może stanowić zagrożenie dla społeczeństwa”.

W obecnej chwili musimy to jednak wykluczyć. W świetle powyższego jedynym dostępnym nam sposobem poznania jego DNA jest uzyskanie go bezpośrednio na podstawie badania materiału pochodzenia organicznego, pod jedynym warunkiem, że został on utracony przypadkowo albo pozostawiony bezwiednie w miejscu przebywania więźnia w trakcie wykonywania przez niego zwykłych codziennych czynności. Zważywszy na zamiłowanie osadzonego RK-357/9 do higieny, niniejszy urząd upoważnia strażników więziennych do wchodzenia bez uprzedzenia do jego celi i jej przeszukiwania w celu zdobycia wspomnianego wyżej materiału organicznego.

Wyrażając nadzieję, że środek ten zapewni osiągnięcie celu, przesyłam Panu wyrazy uszanowania.

Zastępca prokuratora,

Matthew Sedris

## **20.**

### **Szpital wojskowy w R.**

**16 lutego**

– Choćby mówili nie wiem co, nie przejmuj się tym! Jesteś dzielną policjantką, jasne?

Aby wyrazić solidarność, sierżant Morexu odrzucił całą swoją cygańską bez troskę. Nigdy nie zwracał się do niej takim tonem. Niemal ojcowskim. Mimo to Mila czuła, że nie zasługuje na tę obronę. Telefon zwierzchnika zaskoczył ją zaraz po tym, jak rozeszła się wieść o jej nocnej wyprawie do sierocińca. Była pewna, że mogą jej przypisać odpowiedzialność za śmierć Ronalda Dermisa, mimo iż była to tylko obrona konieczna.

Odwieziono ją do szpitala wojskowego. Nie wybrano lecznicy cywilnej, ponieważ Roche wpadł na mądry pomysł, żeby uchronić ją przed ciekawością prasy. Dlatego w sali leżała sama. Kiedy zapytała, dlaczego nie ma w niej żadnego innego pacjenta, usłyszała krótką odpowiedź, że ten oddział został zaprojektowany z myślą o przyjmowaniu zakażonych w ewentualnym ataku bronią biologiczną.

Pościel zmieniano tu co tydzień, a prześcieradła były nie tylko prane, ale i prasowane. Jeśli w aptece zabrakło leków, natychmiast je uzupełniano. Całą tę rozrzutność środków stosowano jednak tylko z



powodu mglistej możliwości uwolnienia przez kogoś wirusów lub genetycznie zmodyfikowanych bakterii, które i tak nie zostawiłyby nikogo przy życiu.

Nic bardziej bezsensownego, uznała Mila.

Na ranę na ramieniu uprzejmy chirurg założył około czterdziestu szwów, a po zbadaniu jej nie zrobił ani jednej uwagi na temat innych blizn. Ograniczył się do słów:

– Nie ma lepszego miejsca na ranę postrzałową.

– Co mają wspólnego wirusy i bakterie z pociskami? – zapytała prowokacyjnie Mila, a lekarz się roześmiał.

Potem badał ją parokrotnie inny lekarz, mierząc jej ciśnienie i temperaturę. Skutki silnego narkotyku, jaki podał jej ksiądz Timothy, ustąpiły po kilku godzinach. Reszty dokonał środek moczopędny.

Mila miała dużo czasu na rozmyślanie.

Wciąż wracała myślami do dziewczynki numer sześć. Ona nie ma do dyspozycji całego szpitala. Największą nadzieję pokładała w tym, że Albert podaje jej środki uśmierzające ból. Specjaliści, których Roche prosił o opinię na temat możliwości przeżycia dziewczynki, okazali się pesymistami nie tylko z uwagi na poważne uszkodzenie ciała, ale także szok z powodu ciężkich przeżyć.

Może nawet jeszcze się nie spostrzegła, że nie ma ręki, myślała Mila. Coś takiego często zdarza się ludziom, którzy przeszli amputację. Słyszała opowieści o rannych na wojnie, którym pomimo utraty kończyny pozostała szczątkowa wrażliwość w tej części ciała, i mają nie tylko wrażenie ruchu, ale czują również ból. Lekarze nazywają to bólami fantomowymi.

Myśli te głęboko ją niepokoiły, tym bardziej że snuła je w męczącej ciszy szpitalnej sali. Może nawet po raz pierwszy od wielu lat zatęskniła za czyimś towarzystwem. Przed telefonem od Morexu nie przyszedł nikt. Ani Goran, ani Boris czy Stern, nie mówiąc o Rosie.

Mogło to oznaczać tylko jedno: podejmują decyzję, czy zatrzymać ją w zespole, czy nie. Choć ostatnie słowo powinno należeć do Roche'a.

Była wściekła, że okazała się taka naiwna. Być może naprawdę zasłużyła sobie na utratę ich zaufania. Pocięczała ją tylko zapewnienie Gorana, że Ronald Dermis nie jest Albertem. W przeciwnym razie dla szóstej dziewczynki nie można byłoby nic zrobić.

Odcięta od świata, Mila nie wiedziała, jak rozwija się śledztwo.

Poprosiła o informacje pielęgniarkę, która przyniosła jej śniadanie, a niedługo potem wróciła z gazetą.

Aż do szóstej strony nie pisano o niczym innym. Nieliczne wiadomości, które przedostały się do prasy, były przedstawiane w różnych wersjach i wyolbrzymione. Ludzie chcieli nowin. Gdy opinia publiczna dowiedziała się o istnieniu szóstej dziewczynki, w społeczeństwie obudziło się poczucie solidarności, które skłaniało wszystkich do podejmowania kroków nie do pomyślenia wcześniej, takich jak modlitewne czuwanie czy grupy wsparcia. Ktoś rzucił pomysł: „Świeca w każdym oknie”. Światelka te miały symbolizować oczekiwanie na „cud” i palić się aż do powrotu szóstej dziewczynki do domu. Osoby, które od niepamiętnych czasów się ignorowały, w obliczu tej tragedii przeżywały nowe dla siebie doświadczenie więzi.

Ludzie ci nie musieli już szukać pretekstów, aby nawiązać stosunki, ponieważ pewne było, że teraz coś ich łączy: litość dla tej małej istoty. I to pomagało im komunikować się ze sobą. Robili to wszędzie: w supermarketach, w barach, w pracy, w metrze. We wszystkich programach telewizyjnych mówiono o tym bez przerwy.

Ale jedna z tych inicjatyw wywołała szczególną sensację, powodując zakłopotanie śledczych.

Nagroda pieniężna.

Dziesięć milionów dla osoby, która dostarczy informacje mogące pomóc w odnalezieniu szóstej dziewczynki. Była to ogromna kwota i wywołała ostre polemiki. Niektórzy utrzymywali, że wyznaczenie nagrody może zatruć spontaniczną solidarność. Inni uznali to za dobry pomysł, który w końcu może przynieść jakiś rezultat, gdyż za fasadą dobroci nadal rządzi egoizm, który może zostać przezwyciężony tylko obietnicą zysku.

W ten sposób, niezauważenie, kraj znowu się zaczął dzielić.

Inicjatywa wyznaczenia nagrody została podjęta przez Fundację Rockforda. Kiedy Mili zapytała pielęgniarkę, kto kryje się za tą dobroczynną instytucją, kobieta wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.

– Wszyscy wiedzą, kim jest Joseph B. Rockford.

Jej reakcja uświadomiła Mili, jak bardzo odcięła się od realnego świata, by poświęcić się poszukiwaniu zaginionych dzieci.

– Przykro mi, ale ja tego nie wiem – odparła. I przyszło jej do głowy, jak absurdalna jest sytuacja, w której jakiś potentat łączy swój los z losem nieznannej dziewczynki: dwie ludzkie istoty, które jeszcze kilka dni temu wiodły odległe i tak bardzo odmienne egzystencje,

prawdopodobnie żyłyby tak do końca swoich dni, gdyby ich losy nie splotły się za sprawą Alberta.

Tak rozmyślając, zasnęła i wreszcie zdołała przespać noc bez koszmarów, oczyszczając umysł ze zgorzeli pozostałej po tych przerażających dniach. Obudziła się wypoczęta i stwierdziła, że nie jest sama.

Przy łóżku siedział Goran.

Oparła się o poduszki, zadając sobie pytanie, od jak dawna tu jest.

Gavila ją uspokoił:

– Woląłem zaczekać, zamiast cię budzić. Wydawałaś się taka pogodna. Źle zrobiłem?

– Nie – skłamała. Czuła się tak, jakby została przyłapana w chwili całkowitej bezbronności, więc szybko zmieniła temat, zanim gość zdążył zauważyć jej zakłopotanie. – Chcą mnie tu zatrzymać na obserwację, ale powiedziałam, że wychodzę dziś po południu.

Goran spojrział na zegarek.

– W takim razie będziesz musiała się pospieszyć. Już prawie wieczór.

Mila zdumiała się, że spała tak długo.

– Są nowe wieści?

– Wracam z długiego spotkania z inspektorem Roche'em.

Wiem, po co tu przyszedł, pomyślała Mila. Chciał mi osobiście powiedzieć, że zostałam wyrzucona. Ale pomyliła się.

– Znalezliśmy ojca Rolfa.

Mila poczuła ucisk w żołądku, wyobrażając sobie najgorsze.

– Zmarł około roku temu, z przyczyn naturalnych.

– Gdzie go pochowali?

Słyszając to pytanie, Goran domyślił się, że Mila wszystko już wyczuła.

– Za kościołem. Były też groby ze szczątkami zwierząt.

– Ojciec Rolf miał go pod kontrolą.

– Wydaje się, że właśnie tak to wyglądało. Ronald cierpiał na rozszczepienie osobowości. Był potencjalnym seryjnym mordercą, i ksiądz się tego domyślił. W takich przypadkach typowe jest zabijanie zwierząt. Zawsze zaczyna się w ten sposób, ale kiedy choremu nie udaje się już osiągnąć zaspokojenia, przenosi uwagę na bliźnich. Prędzej czy później także Ronald przeszedłby do zabijania ludzi. W gruncie rzeczy od dzieciństwa nosił w sobie ten bagaż emocjonalny.

– Ale zdołaliśmy go powstrzymać.

Goran pokręcił z powagą głową.

– W rzeczywistości to Albert go powstrzymał.

Było to paradoksalne, ale tak wyglądała prawda.

– Zamiast przyjąć jednak taką lub podobną wersję, Roche o mało nie dostał ataku serca!

Mila pomyślała, że opowiadając o tym, Goran stara się tylko odsunąć w czasie wiadomość o wyłączeniu jej ze śledztwa, i postanowiła zapytać wprost:

– Jestem wyłączona, tak?

Goran uniósł brwi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo narobiłam niezłego burdelu.

– Wszyscy go robimy.

– Doprowadziłam do śmierci Ronalda Dermisa, i teraz nigdy się nie dowiemy, w jaki sposób Albert poznał jego historię.

– Przede wszystkim uważam, że Ronald wiedział, że może umrzeć, i chciał położyć kres wątpliwościom, które trapiły go od wielu lat. Ojciec Rolf zrobił z niego fałszywego księdza, przekonując go, że może żyć jak człowiek, który poświęca się bliźniemu i Bogu. Ale on nie chciał kochać bliźnich, wolałby ich zabijać dla własnej przyjemności.

– A jak dowiedział się o tym Albert?

Goran spochmurniał.

– Musiał nawiązać kontakt z Ronaldem w jakimś momencie jego życia. Nie dopuszczam myśli o innym wyjaśnieniu. Wpadł na to, co wcześniej zrozumiał ojciec Rolf. Doszedł do tego, ponieważ on i Ronald są do siebie podobni. Spotkali się, no i rozpoznali swoje skłonności.

Mila odetchnęła głęboko, zastanawiając się nad meandrami losu.

Ronalda Dermisa zrozumiały tylko dwie osoby: ksiądz, który nie znalazł lepszego wyjścia, jak tylko ukryć go przed światem, i jego odpowiednik, który prawdopodobnie pokazał mu jego prawdziwą naturę.

– Byłabyś drugą osobą...

Słowa Gorana wyrwały ją z zadumy.

– Słucham?

– Gdybyś go nie powstrzymała, Ronald by cię zabił, tak jak wiele lat temu Billy’ego Moore’a.

Wyjął z wewnętrznej kieszonki marynarki kopertę i podał jej.

– Pomyślałem, że masz prawo to zobaczyć...

Mila otworzyła kopertę. W środku były zdjęcia, które Ronald zrobił, polując na nią w jadalni. W rogu jednego z nich zobaczyła siebie.

Kuliła się pod stołem z wytrzeszczonymi ze strachu oczami.

– Nie jestem zbyt fotogeniczna – mruknęła, próbując podejść do sprawy z humorem, ale Goran widział, że jest wstrząśnięta.

– Dziś rano Roche zarządził dwudziestoczworgodziną przerwę.

A przynajmniej do czasu, aż wyskoczą następne zwłoki.

– Nie chcę żadnego urlopu, trzeba odnaleźć szóstą dziewczynkę – zaprotestowała Mila. – Ona nie może czekać!

– Myślę, że szef o tym wie, ale obawiam się, że próbuje zagrać inną kartą.

– Nagroda – odgadła natychmiast Mila.

– Może przynieść nieoczekiwane rezultaty.

– A poszukiwania w kartotekach lekarzy? I teoria, że Albert mógłby być jednym z tych, którzy zostali wykreśleni?

– To słaby trop. Od samego początku nikt w niego nie wierzył.

Nie sędę również, żeby mogło coś przynieść dochodzenie w sprawie leków, które prawdopodobnie podaje dziewczynce, aby utrzymać ją przy życiu. Ten gość mógł się w nie zaopatrzyć w bardzo wielu miejscach. Nie zapominaj, że jest sprytny i dobrze przygotowany.

– Dużo lepiej niż my, jak się wydaje – westchnęła Mila. Goran się nie obraził.

– Przyszedłem tu, żeby cię zabrać, a nie kłócić się z tobą.

– Zabrać mnie? Co pan zamierza?

– Zabieram cię na kolację... A przy okazji, chciałbym, żebyś zaczęła mówić mi po imieniu.

\* \* \*

Opuściwszy szpital, Mila uparła się, że najpierw wstąpi do Studia.

Chciała się umyć i zmienić ubranie. Powtarzała sobie zresztą, że gdyby pocisk nie przedziurawił kurtki, a reszta ubrania nie ubrudziła się krwią z rany, zostałyby w tym, co ma na sobie. W rzeczywistości to niespodziewane zaproszenie na kolację poruszyło ją i nie chciała cuchnąć potem i jodyną.

Cicha umowa z doktorem Gavila – choć musiała zacząć się przyzwyczajać do nazywania go po imieniu – polegała na tym, że nie będzie to kolacyjka dla przyjemności, a ona miała wrócić z restauracji prosto do Studia, żeby podjąć swoje obowiązki. Jednak – choć



więzało się to z poczuciem winy wobec szóstej dziewczynki – zaproszenie nie mogło nie sprawić jej pewnej przyjemności.

Z powodu rany nie mogła wziąć prysznicza. Umyła się więc po kawałku, ale dokładnie, zużywszy całą wodę z małego bojlera.

Włożyła czarny golf. Jedyne czyste dżinsy okazały się prowokacyjnie obcisłe, ale nie miała wyboru. Skórzana kurtka była podarta na wysokości lewego ramienia, w które strzeliła sobie z pistoletu, więc nie mogła jej włożyć. Jednak zdumiona znalazła na swoim łóżku ocieplaną parkę khaki, a obok niej kartkę:

*Tutaj zimno zabija szybciej niż pociski. Witaj po powrocie.*

*Twój przyjaciel,*

*Boris*

Wypełniło ją uczucie wdzięczności. Przede wszystkim dlatego, że Boris podpisał się „przyjaciel”, co ponad wszelką wątpliwość oznaczało, że nadal ma na nią ochotę. Na kurtce leżało też pudełko miętowych cukierków – wkład Sterna do tego przyjaznego gestu.

Od lat nie nosiła niczego w innym kolorze niż czarny. W zielonej kurtce było jej jednak do twarzy. Pasował także rozmiar. Ale czekający na dole Goran chyba nie zwrócił uwagi na to, jak Mila wygląda.

Ponieważ sam był zawsze dość zaniedbany, prawdopodobnie nie obchodziło go, jak prezentują się inni.

Do restauracji poszli na piechotę. Spacer był przyjemny, a dzięki prezentowi Borisa Mila nie zmarzła.

Neonowa reklama lokalu obiecywała soczyste befsztyki z argentyńskiego angusa. Usiedli przy dwuosobowym stoliku przy oknie. Na dworze wszystko było otulone śniegiem, a różowawe zamglone niebo zapowiadało dalsze opady. Restauracyjni goście rozmawiali i śmiali się beztrąsko. Nastrój podgrzewała jazzowa muzyka, tworząc tło dla pogawędek.

Wszystko w menu wydawało się dobre, więc Mila potrzebowała trochę czasu, by się na coś zdecydować. Wreszcie zamówiła dobrze wysmażony befsztyk z ziemniakami z rusztu, obficie posypanymi rozmarynem. Goran miał ochotę na antrykot i sałatkę z pomidorów.

Oboje wybrali do picia tylko wodę gazowaną.

Mila nie miała pojęcia, o czym będą rozmawiali, o pracy czy o życiu. Ta druga możliwość, jakkolwiek interesująca, wprawiała ją w zakłopotanie. Ale najpierw musiała zaspokoić ciekawość.

– Jak to naprawdę było?

– Co masz na myśli?

– Roche chciał mnie wyłączyć ze śledztwa, ale potem zmienił zamiar. Dlaczego?

Goran zwlekał z odpowiedzią, ale w końcu odrzekł:

– Głosowaliśmy.

– Głosowaliście? – zdumiała się Mila. – A więc przeważyły głosy na „tak”.

– Nie było ich dużo na „nie”, naprawdę.

– Ale... Jak to wyglądało?

– Także Sarah Rosa głosowała za pozostawieniem cię w śledztwie – odparł, widząc jej poruszenie.

– No proszę, mój największy wróg! – mruknęła Mila.

– Nie powinnaś oceniać jej tak surowo.

– Myślałam, że było na odwrót.

– Rosa przeżywa niedobry okres, rozwodzi się z mężem.

Mila miała ochotę powiedzieć, że poprzedniego wieczoru widziała, jak kłócili się przed Studiem, ale nie zrobiła tego, żeby nie okazać się niedyskretna.

– Przykro mi.

– Kiedy są dzieci, nigdy nie jest łatwo.

Mila odniosła wrażenie, że mówi nie tylko o Sarah Rosie, ale również o sobie.

– Córka Rosy zareagowała na to dolegliwościami żołądkowymi.

W rezultacie rodzice nadal mieszkają pod jednym dachem, ale możesz sobie wyobrazić, jak to wygląda.

– I to ją upoważnia, żeby się na mnie boczyć?

– Jesteś dla niej najłatwiejszym celem, jako najnowszy nabytek zespołu i jedyną oprócz niej kobietą. Z pewnością nie może zetrzeć się z Borisem ani Sternem, których zna od lat.

Mila naląła sobie trochę wody mineralnej i postanowiła zapytać o innych kolegów.

– Chciałabym lepiej ich poznać, żeby wiedzieć, jak mam się wobec nich zachowywać – tłumaczyła.

– Cóż, jeśli chodzi o Borisa, to moim zdaniem nie będziesz miała z nim problemów. Jest po prostu taki, na jakiego wygląda.

– To prawda – przyznała Mila.

– Mógłbym ci powiedzieć, że był w wojsku, gdzie poznał profesjonalne techniki przesłuchiwania. Widywałem go przy pracy, ale coraz mnie zdumiewa. Potrafi rozpracować każdego.

– Nie przypuszczałam, że jest taki dobry.

– A jednak. Kilka lat temu aresztowano gościa podejrzanego o zamordowanie i ukrycie zwłok wuja i ciotki, z którymi mieszkał.

Trzeba było widzieć, jaki ten facet był opanowany i spokojny. Po osiemnastu godzinach przesłuchania, gdy maglowało go na zmianę co najmniej pięciu agentów, nie przyznał się do niczego. Potem zjawia się Boris, wchodzi do pokoju, zostaje z nim na dwadzieścia minut i facet wszystko wyznaje.

– Coś takiego! A Stern?

– Stern to wspaniały facet. To określenie pasuje do niego jak ulał.

Od trzydziestu siedmiu lat żonaty. Ma synów bliźniaków, obaj wstąpili do marynarki.

– Wydaje mi się, że to spokojny człowiek. Zorientowałam się też, że jest bardzo religijny.

– W każdą niedzielę chodzi na mszę, a nawet śpiewa w chórze.

– Moim zdaniem także jego garniturom nie można niczego zarzucić. Wygląda w nich jak bohater serialu z lat sześćdziesiątych!

Goran roześmiał się, bo zgadzał się z jej opinią. Ale zaraz spoważniał.

– Jego żona Maria przez pięć lat chodziła na dializy, czekając na nerkę. Dwa lata temu Stern oddał jej swoją.

Zaskoczona i pełna podziwu Mila nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ten człowiek – ciągnął Goran – zrezygnował z dobrej połowy czasu, jaki mu został do przeżycia, żeby ona mogła mieć przynajmniej nadzieję.

– Musi ją bardzo kochać.

– Tak, myślę, że tak... – powiedział Goran z nutą goryczy, która nie uszła jej uwagi.

Kelner przyniósł zamówione dania. Jedli w milczeniu, które w ogóle im nie ciążyło, jakby byli dwojgiem ludzi znających się na tyle dobrze, że nie odczuwają potrzeby bezustannego wypełniania pustki słowami.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwała się wreszcie Mila. – Zdarzyło się to po moim przyjeździe, w drugi wieczór pobytu w motelu, gdzie mieszkałam przed przeniesieniem się do Studia.

– Słucham...

– Być może to nic ważnego, albo tylko odniosłam takie wrażenie, a jednak... wydawało mi się, że kiedy przechodziłam przez plac, ktoś mnie śledził.

– Jak mam rozumieć, że ci się „wydawało”?

– Że kopiował moje kroki.

– Ale dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

– Właśnie dlatego nikomu o tym nie powiedziałam. Mnie samej wydawało się to absurdalne. Może to tylko wytwór mojej wyobraźni.

Goran nie skomentował tej informacji.

Kiedy podano kawę, Mila spojrzała na zegarek.

– Chciałabym pójść w pewne miejsce – powiedziała.

– O tej porze?

– Tak.

– Zgoda. W takim razie poproszę o rachunek.

Mila zaproponowała, że zapłaci połowę, ale Goran trwał przy zdaniu, że skoro ją zaprosił, powinien zapłacić całość. Z typowym dla siebie, niemal malowniczym roztargnieniem, razem z banknotami, monetami i karteczkami wyciągnął z kieszeni kolorowe kuleczki.

– Należą do mojego synka Tommy’ego – wyjaśnił.

– Och, nie wiedziałam, że jesteś... – zająknęła się Mila, udając, że nic nie wie.

– Nie, nie jestem – odparł pospiesznie, spuszczać wzrok. – Już nie – dodał po chwili.

\* \* \*

Mila nigdy nie uczestniczyła w nocnym pochówku. Pogrzeb Ronalda Dermisa był pierwszy. Podjęto taką decyzję, mając na uwadze porządek publiczny. Myśl, że ktoś mógłby odegrać się na czyichś zwłokach, była dla niej równie ponura jak to wydarzenie.

Przy grobie uwijali się grabarze. Nie mieli koparki. Ziemia była zmarznięta i jej usuwanie było trudne i męczące. Pracowali we czterech i zmieniali się co pięć minut: dwóch kopało, a dwóch świeciło im latarkami. Co jakiś czas któryś przeklinał dotkliwie zimno. Dla rozgrzewki popijali wild turkey.

Goran i Mila w milczeniu przyglądali się całej scenie. Trumna ze szczątkami Ronalda znajdowała się jeszcze w furgonetce. Po drugiej stronie dołu leżała płyta, którą miano położyć na końcu: żadnego imienia, daty, tylko kolejny numer. I mały krzyż.

Przed oczami Mili znowu pojawił się widok Ronalda spadającego z wieży. Nie dojrzała wtedy na jego twarzy najmniejszych oznak strachu czy zdumienia. Wyglądało to tak, jakby w gruncie rzeczy nie było mu przykro, że umiera. Być może i on, jak Alexander Bermann, wolał takie rozwiązanie. Unicestwienie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Goran.

Mila odwróciła się do niego.

– Tak, w porządku.

Właśnie wtedy wydało jej się, że widzi kogoś za jednym z drzew.

Przyjrzała się lepiej i rozpoznała Feldhera. Jak widać, sekretny pogrzeb Ronalda nie jest tak bardzo sekretny.

Pomocnik murarski miał na sobie grubą wełnianą kurtkę w kratę i trzymał puszkę z piwem, jakby po raz ostatni chciał wypić za zdrowie starego przyjaciela z dzieciństwa, choć prawdopodobnie nie widział go od lat. Mila uznała to za miły gest. Także tam, gdzie poczuje zło, może być miejsce dla miłosierdzia.

Nie byłoby ich tutaj bez Feldhera i jego pomocy. Także on przyczynił się do powstrzymania tego potencjalnego seryjnego mordercy, jak zdefiniował go Goran. Kto wie, ile potencjalnych ofiar zostało uratowanych.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Feldher zgniótł puszkę i ruszył w kierunku zaparkowanego nieco dalej pick-upa. Zapewne zamierzał wrócić do samotnego życia w domu na wysypisku, do zimnej herbaty w brudnych szklankach i do rudego psa, żeby czekać, aż ta sama bezimienna śmierć zjawi się pewnego dnia także przed jego drzwiami.

Powód, który skłonił Milę do uczestnictwa w pospiesznym pogrzebie Ronalda, był prawdopodobnie związany ze zdaniem wypowiedzianym przez Gorana w szpitalu: „Gdybyś go nie powstrzymała, Ronald by cię zabił, tak jak wiele lat temu Billy’ego Moore’a”.

A potem być może zabijałby nadal.

– Ludzie o tym nie wiedzą, ale według naszych statystyk w kraju działa od sześciu do ośmiu seryjnych morderców. Jednak aż dotąd nikt nie natrafił na ich ślad – powiedział Goran, gdy grabarze opuszczali trumnę do dołu.

Mila była zaszokowana.



– Jak to możliwe?

– Ponieważ uderzają przypadkowo, bez planu. Lub dlatego, że nikt jak na razie nie zdołał połączyć ze sobą pozornie bardzo różnych zabójstw. A wreszcie może dlatego, że ofiary nie zasługują na drobiazgowy śledztwo... Zdarza się na przykład, że znajduje się w rowie prostytutkę. W większości przypadków zabójcą okazuje się jakiś gangster albo jej opiekun lub klient. Biorąc pod uwagę specyfikę tego zawodu, dziesięć zamordowanych prostytutek stanowi średnią do zaakceptowania, a nie zawsze zabójstwa te zasilają statystyczne konto seryjnych morderców. Trudno się z tym pogodzić, wiem o tym, ale niestety tak jest.

Poryw wiatru podniósł tuman śniegu i kurzu. Miłą przeszedł dreszcz i mocniej otuliła się kurtką.

– Jaki to wszystko ma sens? – zapytała. W rzeczywistości jej pytanie było inwokacją. Nie miało nic wspólnego ze śledztwem, którym się zajmowali, ani z zawodem, jaki sobie wybrała.

Było modlitwą, sposobem na to, aby pogodzić się z niemożnością zrozumienia, jak rodzi się zło, ale także prośbą o ratunek.

Z pewnością nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi.

Ale Goran jej udzielił:

– Bóg milczy. Słyszać tylko szept diabła...

Oboje skwitowali to milczeniem.

Grabarze zaczęli zasypywać dół. Po cmentarzu niosło się tylko echo uderzeń łopaty. Potem odezwała się komórka Gorana.

Kryminolog nie zdążył wyjąć jej z kieszeni płaszcza, gdy zaczął dzwonić także telefon Mili.

    Nie trzeba było odbierać, ponieważ było jasne, że odnaleziono trzecią dziewczynkę.

## 21.

Rodzina Kobashich – ojciec, matka i dwoje dzieci, piętnastoletni syn i dwunastoletnia córka – mieszkała w prestiżowym osiedlu na Capo Alto. Składało się ono z czterdziestu willi stojących na zatopionych w zieleni sześćdziesięciu hektarach, na których był też basen, maneż, pole golfowe i klub. Znalazło tu schronienie zamożne mieszczaństwo, złożone przeważnie z lekarzy, architektów i adwokatów.

Ten raj dla wybranych oddzielony był od świata dwumetrowym murem, zreżcznie osłoniętym żywopłotem. Przez całą dobę pilnowali go ochroniarze. Teren obserwowało siedemdziesiąt kamer, a bezpieczeństwo zapewniała prywatna policja.

Kobashi był dentystą. Duże dochody, maserati i mercedes w garażu, drugi dom w górach, jacht i godna pozazdroszczenia kolekcja win w piwnicy. Jego żona zajmowała się wychowywaniem dzieci i zapewnianiem domu unikatowymi i drogimi przedmiotami.

– Od trzech tygodni byli w tropikach, wrócili wczoraj wieczorem – wyjaśnił Stern, gdy Goran i Mila dotarli na miejsce. – Pojechali na urlop właśnie z powodu tej historii z porywaniem dziewczynek. Córka jest mniej więcej w ich wieku, więc dali wolne służbie i postanowili trochę się przewietrzyć w innym klimacie.

– Gdzie są teraz?

– W hotelu. Dla bezpieczeństwa daliśmy im ochronę. Żona potrzebowała paru tabletek valium. Oględnie mówiąc, są wstrząśnięci.

Ostatnie słowa Sterna miały też na celu przygotowanie ich na to, co niebawem zobaczą.

Dom nie był już zwykłym domem. Teraz określano go jako „nowe miejsce śledztwa”. Otoczono go taśmą, żeby trzymać na odległość gromadzących się sąsiadów, którzy chcieli się dowiedzieć, co się stało.

– Przynajmniej prasa nie będzie mogła wdrzeć się do środka – zauważył Goran.

Ruszyli przez trawnik oddzielający willę od ulicy. Ogród był dobrze utrzymany, alejki ozdabiały wspaniałe zimowe rośliny, a latem pani Kobashi uprawiała w nim róże przeznaczone na konkurs.

W drzwiach postawiono agenta, który wpuszczał tylko upoważnione osoby. Byli zarówno Krepp, jak i Chang, którzy ze swoimi zespołami zabrali się już do pracy. Gdy Goran i Mila zamierzali wejść do środka, na progu pojawił się inspektor Roche.

– To przekracza wszelkie wyobrażenia... – wyszeptał z pobladłą twarzą, zasłaniając usta chusteczką. – Ta historia przybiera coraz bardziej ohydny obrót. Chciałbym, żeby nam się udało powstrzymać tę zagładę... Święty Boże, same dziewczynki!

Wyglądał na szczerze wstrząśniętego.

– Na domiar złego mieszkańcy już poskarżyli się na naszą obecność i naciskają na znajomych polityków, żeby nas stąd jak

najprędzej usunęli! Macie pojęcie? Zaraz będę musiał dzwonić do jakiegoś palanta senatora i zapewniać go, że się pospieszymy!

Mila przebiegła wzrokiem po małym tłumku mieszkańców zebranych przed willą. To był ich prywatny Eden i traktowali policjantów jak najeźdźców.

Ale do jednego z zakątków tego rajy nieoczekiwanie wkroczyło piekło.

Stern podał im słoik z pastą kamforową, którą należało posmarować się pod nosem. Mila dopełniła rytuału stawania w obliczu śmierci, zakładając plastikowe ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki.

Agent przed drzwiami odsunął się, żeby ich przepuścić.

W przedpokoju stały jeszcze walizki i torby z pamiątkami. Samolot, którym rodzina Kobashich przeniosła się ze słonecznych tropików w sam środek lodowatego lutego, wylądował około dwudziestej drugiej. Potem pospieszyli do domu, do swoich przyzwyczajień i wygod tego miejsca, które już nigdy nie miało być takie jak wcześniej. Powrotu służby spodziewano się dopiero jutro, toteż przekroczyli próg jako pierwsi.

W powietrzu unosił się przykry zapach.

– To właśnie poczuli państwo Kobashi, gdy tylko otworzyli drzwi – powiedział Goran.

Przez chwilę czy dwie zadawali sobie pytanie, co to takiego, pomyślała Mila. A potem zapalili światło...

Po przestronnym salonie kręcili się technicy kryminalistyczni i pomocnicy lekarza sądowego, koordynując swoje kroki, jakby kierował nimi niewidzialny choreograf. Posadzka z marmuru odbijała bezlitośnie światło halogenowych lamp. Wyposażenie składało się zarówno z nowoczesnych, jak i zabytkowych mebli. Trzy skórzane kanapy w kolorze piaskowym tworzyły boki kwadratu przed ogromnym kominkiem z różowego kamienia.

Na środkowej kanapie siedział trup dziewczynki.

Jej oczy o intensywnym niebieskim kolorze były otwarte. Patrzyła na nich.

To nieruchome spojrzenie było ostatnim ludzkim rysem w jej zniekształconej twarzy. Proces rozkładu był już zaawansowany. Brak lewej ręki sprawiał, że siedziała trochę krzywo, jakby lada chwila miała osunąć się na bok. Mimo to pozostawała w pozycji siedzącej.

Ubrana była w sukienkę w niebieskie kwiatki. Szwy i krój świadczyły o tym, że została uszyta w domu. Mila zauważyła też wydziergane szydełkiem białe pończochy, a satynowy pasek zapięty był w talii na perłowy guzik.

Ubrana jak lalka. Ale lalka zepsuta.

Policjantka nie była w stanie patrzeć na nią dłużej niż kilka sekund.

Spuściła oczy i zauważyła leżący między kanapami wschodni dywan w perskie róże i wielobarwne fale. Odniosła wrażenie, że wzór się porusza. Przyjrzała mu się lepiej.

Cały dywan pokryty był drobnymi owadami.

Mila instynktownie uniosła rękę do rany na ramieniu i nacisnęła ją.

Ktoś stojący obok niej mógłby pomyśleć, że zadaje sobie ból. Ale było na odwrót.

Jak zwykle, szukała w bólu pocieszenia.

Ukłucie trwało krótko, ale przywróciło jej siły, aby mogła uważnie przyjrzeć się tej straszliwej inscenizacji. Gdy uznała, że już dość, przestała naciskać. Usłyszała doktora Changa, który mówił do Gorana:

– To larwy *Sarcophaga carnaria*, ścierwicy mięsówki. Jeśli jest ciepło, jej cykl biologiczny trwa bardzo krótko. Jest niezwykle żarłoczna.

Mila wiedziała, o czym mówi lekarz, ponieważ zdarzało się nierzadko, że jej śledztwa dotyczące zaginięć kończyły się odnalezieniem zwłok. Często trzeba było nie tylko przeprowadzać bolesny rytuał ich rozpoznawania, ale także zająć się bardziej prozaicznym określeniem daty śmierci. W różnych fazach rozkładu ciała uczestniczą różne owady, zwłaszcza gdy szczątki są odkryte. Tak zwana „trupia fauna” dzieli się na osiem gatunków. Każdy z nich pojawia się na innym etapie przemian, jakie substancja organiczna przechodzi po śmierci. Tak więc ustalenie gatunku, który przystąpił właśnie do działania, pozwala określić czas zgonu ofiary.

Ścierwica mięsówka jest muchą żyworodną, która należy zapewne do drugiej „drużyny”, ponieważ Mila usłyszała, jak patolog orzekł, że zwłoki muszą znajdować się tu co najmniej od tygodnia.

Albert miał dość czasu na działanie podczas nieobecności właścicieli, stwierdziła.

– Ale jest jedna rzecz, której nie potrafię wytłumaczyć... – dodał Chang. – Jak ten szubrawiec zdołał umieścić tu jej ciało przy siedemdziesięciu kamerach i ze trzydziestu ochroniarzach, którzy kontrolują teren przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?



## 22.

– Mieliśmy krótkie spięcie w instalacji elektrycznej – powiedział komendant ochroniarzy na Capo Alto, gdy Sarah Rosa poprosiła go o wyjaśnienie powodów trzygodzinnej przerwy w pracy kamer, która wystąpiła tydzień wcześniej, kiedy to Albert przypuszczalnie umieścił dziewczynkę w domu państwa Kobashich.

– I to was nie zaalarmowało?

– Nie, proszę pani.

– Rozumiem – mruknęła policjantka, przenosząc jednak wzrok na kapitańskie dystynkcje, które mężczyzna miał na mundurze. Zmyślony stopień, pozorowana praca. Ochrona, która powinna zapewniać mieszkańcom bezpieczeństwo, w rzeczywistości składała się z kulturystów w mundurach. Jedyńm przeszkoleniem, jakie przeszli, był trzymiesięczny płatny kurs, prowadzony przez emerytowanych policjantów w siedzibie spółki, która ich potem zatrudniła. Ich wyposażenie składało się ze słuchawki podłączonej do walkie-talkie oraz z rozpylacza gazu pieprzowego. Dlatego Albertowi nietrudno przyszło wywieść ich w pole. Ponadto w otaczającym osiedle murze odkryto półtorametrową wyrwę, dobrze osłoniętą żywopłotem. Ten estetyczny kaprys umożliwił Albertowi unieszkodliwienie jedyne go prawdziwego środka bezpieczeństwa na Capo Alto.

Należało jeszcze dowiedzieć się, dlaczego Albert wybrał właśnie to miejsce i właśnie tę rodzinę.

Obawa, że prowadzący śledztwo mogą się natknąć na nowego Alexandra Bermanna, skłoniła Roche'a do wydania zezwolenia na zastosowanie wszelkiego rodzaju środków, nawet tych najbardziej drastycznych, wobec Kobashiego i jego żony.

Zadaniem wyciśnięcia z dentysty co się da obarczono Borisa.

Prawdopodobnie Kobashi nie przeczuwał nawet, że w najbliższych godzinach zostanie poddany specjalnej procedurze. Przesłuchanie prowadzone przez zawodowca w niczym nie przypomina zwykłych przesłuchań w komisariatach połowy świata, gdzie wszystko opiera się na zmęczeniu podejrzanego, który godzinami poddawany jest psychologicznej presji i przymusowemu czuwaniu, ciągle odpowiadając na te same pytania.

Boris prawie nigdy nie starał się doprowadzić do tego, by przesłuchiwanym zaczęli plątać się w zeznaniach, wiedział bowiem, że takie zeznanie, złożone w stresie, może zostać z łatwością podważone przed sądem przez dobrego adwokata. Nie interesowało go też połowiczne przyznanie się do winy ani próby paktowania podejmowane przez podejrzanych, gdy poczuli się przyciśnięci do muru.

Nie. Agent specjalny Klaus Boris dążył wyłącznie do uzyskania pełnego przyznania się.

Mila zobaczyła go w kuchni Studia, kiedy szykował się do „wejścia na scenę”. Ponieważ w gruncie rzeczy o to właśnie chodziło, o występ,

w którym role często się odwracają. Posługując się kłamstwem, Boris zamierzał przełamać linie obronne Kobashiego.

Z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci i małą butelką wody w ręku chodził tam i powrotem. W odróżnieniu od Kobashiego nie zamierzał ani na chwilę usiąść, wołał przez cały czas dominować nad nim okazałą posturą.

Tymczasem Stern informował go o tym, czego zdołał się dowiedzieć na temat podejrzanego.

– Dentysta uchyla się od płacenia części podatków. Ma konto w jednym z zamorskich krajów, na które przelewa dochody uzyskane na czarno z ambulatorium oraz nagrody z turniejów golfowych, w których uczestniczy jako półzawodowiec, praktycznie biorąc, w każdy weekend. Za to pani Kobashi woli inne rozrywki: w każdą środę po południu spotyka się z pewnym adwokatem w hotelu w centrum miasta. Nie trzeba dodawać, że adwokat ten we wszystkie weekendy gra w golfa z jej mężem.

Informacje te miały stanowić kluczowy wątek przesłuchania. Boris zamierzał je dawkować, sięgając po nie w odpowiednich momentach, żeby doprowadzić dentystę do załamania.

Pokój przesłuchań w Studiu został urządzony obok sypialni. Był wąski, przytłaczający, ponieważ nie miał okien, a jedyne drzwi Boris zamierzał zamknąć na klucz zaraz po wejściu z przesłuchiwanym do środka, po czym schować klucz do kieszeni. Ten zwyczajny gest pokazywał już na wstępie, kto tu jest silniejszy.

Jarzeniowe światło było silne, a lampa dokuczliwie brzęczała.

Także ten odgłos był jednym ze środków nacisku Borisa. On sam redukował jego skutki, wkładając sobie stopery do uszu.

Pomieszczenie oddzielone było weneckim lustrem od innej salki z oddzielnym wejściem, w której przesłuchaniu przyglądali się pozostali członkowie zespołu. Bardzo ważne było to, żeby przesłuchiwany zawsze siedział bokiem do lustra, nigdy twarzą. Chodziło o to, by czuł, że jest obserwowany, nie mogąc odwzajemnić tego niewidzialnego spojrzenia.

Zarówno stół, jak i ściany pomalowane były na biało. Jednolity kolor służył temu, żeby przesłuchiwany nie znalazł żadnego punktu, na którym mógłby skupić uwagę, zastanawiając się nad odpowiedziami.

Żeby go zirytować, jego krzesło miało jedną nogę krótszą.

Mila weszła do sąsiedniej salki w chwili, gdy Sarah Rosa przygotowywała analizator głosu, urządzenie umożliwiające mierzenie napięcia psychicznego w zależności od zmian modulacji głosu. Drobne wibracje, związane ze skurczami mięśni, powodują zmianę częstotliwości dźwięków w granicach od dziesięciu do dwunastu herców.

Kiedy ktoś kłamie, ilość krwi w strunach głosowych maleje z powodu naprężenia, obniżając w rezultacie częstotliwość ich drgań. Drobne zmiany w głosie Kobashiego miały być poddane analizie komputerowej, która wykaże, że nie mówi prawdy.

Ale najważniejszym środkiem, jaki miał w swoim repertuarze agent specjalny Klaus Boris, była opanowana przez niego po mistrzowsku obserwacja zachowania podejrzanego.

Kobashi został wprowadzony do pokoju przesłuchań po uprzejmym poproszeniu go – ale bez uprzedzenia – o złożenie wyjaśnień.

Agenci, którym powierzono przywiezienie Kobashiego z hotelu, gdzie zatrzymał się z rodziną, posadzili go na tylnym siedzeniu samochodu i pojechali do Studia okrężną drogą, żeby wyprowadzić go z równowagi.

Ponieważ miała to być tylko nieformalna rozmowa, nie postawił warunku, aby towarzyszył mu adwokat. Bał się, że takie żądanie może wzbudzić podejrzenia, że ma coś na sumieniu. I właśnie na to stawiał Boris.

Na twarzy dentysty malowało się zmęczenie. Mila przyjrzała mu się uważnie. Miał na sobie żółte letnie spodnie – prawdopodobnie należały do któregoś z kompletów do golfa, które zabrał na urlop w tropikach, a teraz stanowiły jego jedyną garderobę. Włożył też kaszmirowy sweter w kolorze fuksji, spod którego wystawała biała koszulka polo.

Powiedziano mu, że niebawem przyjdzie funkcjonariusz, żeby zadać mu kilka pytań. Kobashi skinął głową, kładąc ręce w pozycji obronnej na udach.

Tymczasem Boris obserwował go z drugiej strony lustra, pozwalając sobie na dłuższą zwłokę, żeby dobrze mu się przyjrzeć.

Kobashi zobaczył na stole teczkę z wypisanym na niej swoim nazwiskiem. Położył ją tam Boris. Wiedząc doskonale, że jest obserwowany, dentysta nigdy nie pozwoliłby sobie na dotknięcie jej, podobnie zresztą jak i na spojrzenie w kierunku lustra.

Teczka była pusta.

– Wygląda to jak poczekalnia u dentysty, no nie? – zauważyła ironicznie Sarah Rosa, przyglądając się nieszczęśnikowi przez szybę.

Po chwili Boris oznajmił:

– Dobra, zaczynamy. – I przekroczył próg pokoju przesłuchań.

Przywitał się z Kobashim, zamknął drzwi na klucz i przeprosił za spóźnienie. Wyjaśnił jeszcze raz, że pytania, jakie chce mu zadać, to tylko prośby o wyjaśnienie, po czym sięgnął po teczkę i otworzył ją, udając, że coś czyta.

– Doktorze Kobashi, ma pan czterdzieści lat, tak?

– Tak, dokładnie.

– Od jak dawna wykonuje pan zawód dentysty?

– Jestem chirurgiem ortodontą – sprecyzował Kobashi. – W każdym razie praktykuję od piętnastu lat.

Boris zrobił małą przerwę, udając, że studiuje nieistniejące akta.

– Może mi pan powiedzieć, ile wyniósł pański dochód w zeszłym roku?

Mężczyzna lekko drgnął. Boris dobrze wymierzył pierwszy cios: wzmianka o dochodzie kryła aluzję do podatków.

Jak to było do przewidzenia, dentysta beczelnie kłamał, opisując swoją sytuację materialną. Uwagi Mili nie mogło umknąć to, jak nieudolnie to robił. Rozmowa dotyczyła morderstwa, a informacje o podatkach, jakie by w niej wypłynęły, nie miały żadnego znaczenia ani nie mogły zostać przekazane urzędowi skarbowemu.

Mężczyzna podał też inne nieprawdziwe szczegóły, sądząc, że robi to sprytnie, a Boris po części mu na to pozwolił.

Mili nieobca była gra prowadzona przez Borisa. Widziała, jak stosowało ją paru jej kolegów z dawnej szkoły, chociaż ten agent specjalny uprawiał ją na niewątpliwie wyższym poziomie.

Gdy ktoś kłamie, musi podjąć psychiczny wysiłek, by skompensować wewnętrzne napięcie. Aby przydać swym odpowiedziom większej wiarygodności, musi sięgać po informacje prawdziwe, już osadzone w jego pamięci, i uruchamiać mechanizmy ich logicznego opracowywania, żeby połączyć je z kłamstwem, które właśnie opowiada.

Wymaga to ogromnego wysiłku, a także bujnej wyobraźni.

Kłamiąc, trzeba ciągle pamiętać o wszystkich faktach, dzięki którym kłamstwo będzie się trzymać kupy. Zabawa staje się złożona, gdy kłamstw jest dużo. Taki kłamca przypomina cyrkowca, który stara się utrzymać na kiju wirujące talerze. Z dodaniem każdego następnego sztuczka staje się coraz trudniejsza, a on zmuszony jest do ustawicznego biegania to w jedną, to w drugą stronę.

Właśnie wtedy gość staje się najbardziej bezbronny.

Ileokroć Kobashi zaczynał fantazjować, Boris natychmiast to dostrzegał. Wzrost niepokoju wywołuje nienormalne, drobne reakcje, takie jak garbienie się, zacieranie rąk, drapanie się po skroniach albo nadgarstkach. Często towarzyszą im zmiany fizjologiczne, takie jak nadmierna potliwość, podniesienie głosu i niekontrolowane ruchy gałek ocznych.

Ale Boris, jako dobrze wyszkolony specjalista, wiedział, że to tylko objawy kłamstw, a żeby uzyskać dowód, iż przesłuchiwany kłamie, trzeba spowodować, by wziął odpowiedzialność za własne słowa.

Uznawszy, że Kobashi jest wystarczająco pewny siebie, Boris przeszedł do ataku, wplatając do pytań elementy, które łączyły się z Albertem i zaginięciem sześciu dziewczynek.

Dwie godziny później Kobashi był wyczerpany coraz bardziej intymnymi i natarczywymi pytaniami. Boris zacisnął pętlę wokół niego, redukując jego przestrzeń obronną. Dentysta nie myślał już o wezwaniu adwokata, chciał tylko czym prędzej wyjść. Jego załamanie psychiczne wskazywało na to, że gotów jest powiedzieć cokolwiek, byle tylko odzyskać wolność. Być może nawet przyznać, że to on jest Albertem.

Tyle że to nie byłaby prawda.

Gdy Boris zdał sobie z tego sprawę, opuścił pokój pod pretekstem, że chce mu przynieść szklankę wody, i udał się do małej salki za lustrem, gdzie znajdował się Goran i pozostali.

– Nie ma z tym nic wspólnego – orzekł. – I nic nie wie.

Goran pokiwał głową.

Sarah Rosa zbadala domowe komputery Kobashich, przeanalizowała połączenia z ich telefonów komórkowych. Nie znalazła żadnych związków ze sprawą. Nie natrafiono też na nic podejrzanego wśród ich przyjaciół i znajomych.

– A więc z pewnością chodzi tylko o ich dom – wyciągnął wniosek kryminolog.



Czy w domu Kobashich, jak w przypadku sierocińca, wydarzyło się coś strasznego, co nigdy nie wyszło na światło dzienne? Ale i ta teoria była słaba.

– Willę zbudowano jako ostatnią na jedynej wolnej działce. Została wykończona około trzech miesięcy temu, a państwo Kobashi są pierwszymi i jedynymi jej właścicielami – powiedział Stern.

Goran nie dawał jednak za wygraną.

– Ten dom kryje jakąś tajemnicę.

Stern zrozumiał, co ma na myśli, i zapytał:

– Od czego zaczynamy?

Goran zastanawiał się przez chwilę, po czym zarządził:

– Zaczynjcie od kopania w ogrodzie.

\* \* \*

Najpierw sprowadzono psy przyuczone do odnajdywania zwłok, wyczuwające ludzkie szczątki leżące na dużej głębokości. Potem przyszła kolej na georadar, w celu sprawdzenia głębszych warstw ziemi, ale na zielonych ekranach nie ukazało się nic podejrzanego.

Mila przyglądała się pracującym ludziom i śledziła kolejne próby.

Czekała jeszcze na informację od Changa dotyczącą tożsamości dziewczynki odnalezionnej w domu, którą miał ustalić dzięki porównaniu jej DNA z DNA rodziców ofiar.

Zaczęli kopać około piętnastej. Małe koparki ryły ziemię, niszcząc wyszukaną kompozycję tego zakątka, która musiała kosztować wiele trudu i pieniędzy. Wszystko usuwano i wrzucano bez skrępowań na ciężarówkę.

Spokój Capo Alto zakłócił warkot wysokoprężnych silników. Jakby tego było mało, drgania wywoływane przez koparki bezustannie uruchamiały alarm w maserati Kobashich.

Po zakończeniu poszukiwań w ogrodzie przyszła kolej na wnętrze willi. Zlecono wyspecjalizowanej firmie usunięcie ciężkich marmurowych płyt z salonu. Wewnętrzne ściany zostały osłuchane w poszukiwaniu pustych przestrzeni, które odsłaniano uderzeniami oskardów.

Zły los nie ominął mebli – rozłożone na części, były do wyrzucenia.

Kopano też w piwnicach i pod fundamentami.

Zezwolenie na to dzieło zniszczenia wydał Roche. Wydział nie mógł sobie pozwolić na kolejną klęskę, choćby nawet za cenę narażenia się na wypłacenie milionowego odszkodowania. Ale państwo Kobashi nie mieli najmniejszego zamiaru wracać do tego domu. Wszystko, co do nich należało, zostało skalane. Zamierzali sprzedać nieruchomość taniej, niż wynosiła cena zakupu, gdyż po tym, co się tu wydarzyło, ich wspaniałe życie nie byłoby takie samo.

Około osiemnastej można już było wyczuć, że ludzie są podenerwowani.

– Czy ktoś wyłączy wreszcie ten przeklęty alarm?! – wrzasnął Roche, wskazując auto Kobashiego.

– Nie możemy znaleźć pilotów do tych samochodów – wyjaśnił Boris.

– Zadzwońcie do dentysty, niech je wam da! Czy ja naprawdę wszystko muszę wam mówić?

Zamiast ich zjednoczyć, napięcie stawiało jednego przeciwko drugiemu, budząc w nich frustrację z powodu niemożności rozwiązania zagadki, jaką obmyślił Albert.

– Dlaczego ubrał tę dziewczynkę jak lalkę?

To pytanie doprowadzało Gorana do szaleństwa. Mila nigdy nie widziała go w takim stanie. W wyzwaniu, które podjął, było coś osobistego. Coś, z czego nawet on nie zdawał sobie sprawy. I co nieubłaganie odbierało mu zdolność jasnego rozumowania.

Mila trzymała się z boku, zdenerwowana tym stanem oczekiwania.

Jaki sens ma postępowanie Alberta?

W ciągu tych niewielu dni, w czasie których była z ludźmi z zespołu i obserwowała metody doktora Gavili, sporo się nauczyła. Na przykład, że seryjny morderca jest osobnikiem, który zabija w różnych odstępach czasu – od kilku godzin do kilku miesięcy, a nawet lat – czując wewnętrzny przymus powrotu do zachowania, od którego nie jest w stanie się powstrzymać. Z tego powodu jego pobudki wolne są od takich motywów, jak złość czy zemsta. Seryjny morderca działa, powtarzając pewną szczególną motywację, która jest tylko potrzebą lub przyjemnością zabijania.

Jednak Albert wyraźnie nie pasował do tej definicji.

Uprawdzał dziewczynki i zabijał je od razu, jedną po drugiej, aby na koniec zachować przy życiu tylko jedną z nich. Dlaczego? Nie czerpał przyjemności z samego zabijania, ale wykorzystywał je jako narzędzie, żeby zwrócić uwagę. Ale nie na siebie. Na innych. Na Alexandra Bermanna, pedofila. Na Ronalda Dermisa, który był do niego podobny, ale dopiero zabierał się do dzieła.

Dzięki niemu powstrzymano ich obu. W gruncie rzeczy oddał społeczeństwu przysługę. Można było wyciągnąć paradoksalny wniosek, że popełnia złe uczynki w imię dobra.

Ale kim ten Albert tak naprawdę jest?

Pierwszym z brzegu człowiekiem – ponieważ chodzi o kogoś takiego, a nie o potwora czy widmo – który dokładnie w tej chwili chodzi po świecie, jakby nic się nie wydarzyło. Robi zakupy, krąży po ulicach, spotyka innych ludzi – sprzedawczynie, przechodniów, sąsiadów – którzy w ogóle nie podejrzewają, kim tak naprawdę jest.

Chodzi wśród nich i pozostaje niewidzialny.

Ale za tą fasadą kryje się prawda: seryjni mordercy czują, że mają władzę, co przynajmniej na jakiś czas uwalnia ich od kompleksu niższości. Uciekanie się do przemocy pozwala im osiągnąć podwójny rezultat: przeżyć przyjemność i poczuć własną potęgę bez potrzeby utrzymywania stosunków z innymi. Maksymalny rezultat przy minimum kłopotów związanych z relacjami międzyludzkimi.

To tak, jakby życie tych osobników było możliwe tylko dzięki śmierci innych osób, rozmyślała Mila.

O północy alarm auta Kobashiego wciąż wyznaczał upływ godzin, przypominając wszystkim bezlitośnie, że ich wysiłki są daremne.

Spod ziemi nie wyłoniło się nic nowego. Praktycznie biorąc, willa została wypatroszona, ale jej ściany nie wyjawiały żadnej tajemnicy.

Do siedzącej na chodniku przed domem Mili podszedł Boris z komórką w ręku.

– Próbuję zadzwonić, ale nie ma zasięgu.

Mila sprawdziła także swój aparat.

– Może to dlatego Chang do tej pory nie zatelefonował, żeby podać wyniki badań DNA.

Boris wskazał okoliczne domy.

– No cóż, pocieszająca jest świadomość, że i bogatym czegoś brakuje, no nie?

Uśmiechnął się, wsunął telefon do kieszeni i usiadł obok niej. Mila nie podziękowała mu jeszcze za kurtkę, więc skorzystała z okazji i zrobiła to teraz.

– Nie ma za co – odparł.

W tym momencie zauważyli, że ochroniarze z Capo Alto ustawiają się dokoła willi, żeby utworzyć kordon.

– Co się dzieje?

– Nadjeżdżają media. Roche postanowił zezwolić na zrobienie zdjęć willi. Chodzi o kilka minut dla dzienników telewizyjnych, żeby pokazać, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Mila spojrzała na ochroniarzy, którzy zajmowali miejsca w kordonie. Wyglądali śmiesznie w niebiesko-pomarańczowych mundurach, szytych na miarę, by uwypuklić muskulaturę, z

surowymi minami i słuchawkami walkie-talkie, które miały nadać im profesjonalny wygląd.

Idioci, Albert was wykiwał, robiąc dziurę w murze i unieszkodliwiając wasze kamery za pomocą zwykłego spięcia, pomyślała.

– Roche będzie się pienił ze złości po tylu godzinach bez wyników.

– Nie przejmuj się, ten gość zawsze znajdzie sposób, żeby wyjść bez szwanku.

Boris wyjął bibułki i torebkę z tytoniem, żeby zrobić sobie skręta.

Mila miała wrażenie, że chce ją o coś zapytać. Nie ułatwiłaby mu sprawy, gdyby zachowała milczenie.

Postanowiła mu pomóc.

– Jak spędziłeś dwadzieścia cztery godziny wolnego, które dał wam Roche? – spytała.

Boris udzielił wymijającej odpowiedzi:

– Spałem i rozmyślałem o śledztwie. Czasami dobrze jest wyjaśnić sobie pewne pojęcia. Słyszałem, że wczoraj wieczorem jadłaś kolację z Gavila.

No, w końcu to wykrztusił! Mila myliła się jednak, sądząc, że Boris napomknął o tym powodowany zazdrością. Jego dalsze słowa dały jej do zrozumienia, że miał inne intencje.

– Myślę, że on dużo wycierpiał.

Miał na myśli żonę Gorana. I powiedział to z troską wskazującą na to, że cokolwiek przydarzyło się tej parze, ostatecznie dotknęło też

zespół.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała. – Nie mówił mi o żadnych swoich problemach. Wspomniał o czymś pod koniec.

– Więc może lepiej, żebyś się dowiedziała teraz.

Najpierw jednak Boris zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym. Szukał odpowiednich słów.

– Żona doktora Gavili była wspaniałą kobietą, nie tylko piękną, ale i miłą. Nie liczyłem, ile razy odwiedziliśmy całą grupą ich dom. Była jedną z nas, zupełnie jakby i ona pełniła w zespole jakąś funkcję. Kiedy prowadziliśmy trudne śledztwo, kolacje u nich były naszym jedynym odpoczynkiem po dniu pełnym krwi i trupów. Rytuałem, który godził nas na nowo z życiem... nie wiem, czy jasno się wyrażam...

– I co się z nią stało?

– Wydarzyło się to półtora roku temu. Bez uprzedzenia odeszła od niego.

– Rzuciła go?

– Nie tylko Gavilę, ale także Tommy'ego, ich jedyne dziecko. To przemile dziecko. Od tamtej pory mieszka z ojcem.

Mila domyślała się, że kryminologowi ciążyą smutne przeżycia związane z separacją, ale nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś takiego.

Jak matka może opuścić swoje dziecko, zadała sobie pytanie.

– Dlaczego odeszła?

– Nikt z nas niczego nie rozumiał. Może miała innego, może zmęczyło ją życie, które prowadziła, kto to może wiedzieć... Nie zostawiła mu nawet małej karteczki. Spakowała walizkę i odeszła.

Kropka.

– Ja nie wytrzymałabym bez poznania powodu.

– Dziwna rzecz, ale on nigdy nas nie prosił, żebyśmy ją znaleźli. – Boris ściszył głos i rozejrzał się, żeby się upewnić, że w pobliżu nie ma Gorana. – Jest też coś, o czym Gavila nie wie i nie powinien wiedzieć...

Mila skinęła głową, dając mu do zrozumienia, że może jej zaufać.

– Hmm... Parę miesięcy później Stern i ja wytropiliśmy ją.

Mieszkała w pewnej miejscowości na wybrzeżu. Nie podeszliśmy do niej, ale pozwoliliśmy, by nas zobaczyła, mając nadzieję, że podejdzie, żeby z nami porozmawiać.

– A ona...

– Była zaskoczona naszym widokiem. Ale pozdrowiła nas tylko machnięciem ręki, spuściła wzrok i poszła dalej.

Zapadło milczenie. Boris wyrzucił niedopałek, nie zwracając uwagi na ostre spojrzenie jednego z ochroniarzy, który natychmiast podszedł i podniósł go z trawnika.

– Boris, dlaczego mi o tym opowiedziałeś?

– Bo doktor Gavila jest moim przyjacielem. Ty też, choć dopiero od niedawna.



Boris musiał domyślić się czegoś, czego zarówno ona, jak i Goran jeszcze nie dostrzegli. Czegoś, co odnosi się do nich. Starał się tylko ich wesprzeć.

– Gavila nie załamał się po odejściu żony. Musiał się trzymać, przede wszystkim ze względu na syna. Wydawało się, że jest taki jak zawsze: precyzyjny, punktualny, sprawny. Jego stosunek do nas się nie zmienił. Przestał tylko o siebie dbać, ale to drobiazg, nie warto było się tym przejmować. Ale potem zaczęło się śledztwo, któremu daliśmy kryptonim „Wilson Pickett”...

– Od nazwiska piosenkarza?

– Tak, tak je nazwaliśmy. – Boris zrobił taką minę, jakby żałował, że o tym wspomniał, więc tylko dodał: – Poszło źle. Były błędy, a ktoś zagroził nawet, że rozwiąże zespół i zwolni doktora Gavilę. Wybronił nas Roche, który upierał się, żebyśmy pozostali na naszych stanowiskach.

Mila już miała zapytać, co się wtedy wydarzyło, pewna, że wreszcie Boris jej o tym opowie, kiedy znowu odezwał się alarm w maserati Kobashiego.

– Kurwa, te piski wwiercają mi się w mózg!

W tym momencie Mila przypadkiem spojrzała w kierunku domu i w jednej chwili dostrzegła szereg reakcji, które zwróciły jej uwagę: na twarzach wszystkich ochroniarzy pojawił się ten sam wyraz zniecierpliwienia, wszyscy sięgnęli też do słuchawek walkie-talkie, jakby pojawił się w nich gwizd nie do wytrzymania.

Mila znowu spojrzała na maserati, po czym wyjęła z kieszeni komórkę. Nadal nie było sygnału. Przeleciała jej przez głowę pewna

myśl.

– Jest miejsce, którego jeszcze nie przeszukaliśmy... –  
powiedziała do Borisa.

– Jakie miejsce? Machnęła ręką w górę.

– Eter.

\* \* \*

Niecałe pół godziny później, w chłodnych ciemnościach nocy, eksperci elektronicy zaczęli sondować okolicę. Każdy z nich miał na uszach słuchawki, a w rękach małą antenę paraboliczną skierowaną ku górze. Milczący niczym widma, krążyli powoli, starając się wychwycić ewentualne sygnały radiowe albo podejrzane fale, które mogły kryć jakąś informację.

I rzeczywiście, taka informacja była: sygnał, który nakładał się na alarm auta Kobashiego i blokował zasięg komórek. A także pojawiał się w słuchawkach walkie–talkie ochroniarzy w postaci przenikliwego gwizdu.

Po jego zlokalizowaniu elektronicy powiedzieli, że jest raczej słaby.

Sygnał natychmiast skierowano do odbiornika.

Wszyscy zgromadzili się wokół aparatu, żeby posłuchać tego, co nocne ciemności mają im do powiedzenia.

Nie były to słowa, lecz dźwięki.

Zatopione w morzu szumów, co pewien czas ginęły w nich, aby po chwili wynurzyć się znowu. Pojawiały się jednak w określonym porządku. Najpierw były krótkie, potem wydłużone.

– Trzy kropki, trzy kreski i znowu trzy kropki – wyjaśnił Goran.

Te proste dźwięki miały tylko jedno znaczenie w języku najślawniejszego radiowego kodu na świecie: SOS.

– Skąd dochodzą? – zapytał kryminolog.

Jeden z techników przyglądał się przez chwilę widmu, które to rozpływało się, to znów pojawiało na ekranie monitora. Potem przeniósł wzrok na ulicę i powiedział:

– Z domu naprzeciwko.

## 23.

Przez cały czas mieli go przed oczami.

Dom obserwował ich w milczeniu przez cały dzień, przyglądając się ich gorączkowym próbom rozwiązania zagadki. Był tam, kilka metrów dalej, i wzywał ich, powtarzając w kółko tę dziwną i anachroniczną prośbę o pomoc.

Piętrowa willa należała do Yvonne Gress, malarki, jak określali ją sąsiedzi. Mieszkała z dwojgiem dzieci, jedenastoletnim chłopcem i szesnastoletnią dziewczynką. Po rozwodzie Yvonne przeniosła się na Capo Alto, gdzie znów zajęła się malarstwem, które porzuciła jeszcze jako młoda dziewczyna, aby poślubić młodego i obiecującego adwokata Gressa.

Z początku abstrakcyjne obrazy Yvonne nie zyskały uznania. Galeria, w której je wystawiono, zamknęła jej wystawę, nie sprzedawszy ani jednego płótna. Ale przekonana o swoim talencie Yvonne nie poddała się. Gdy jedna z przyjaciółek zamówiła u niej portret olejny swojej rodziny, żeby zawiesić go nad kominkiem, Yvonne nieoczekiwanie odkryła, że ma talent do stylu naiwnego. W bardzo krótkim czasie stała się portrecistką najbardziej poszukiwaną przez ludzi, których znudziły tradycyjne fotografie i chcieli unieśmiertelnić swoje rody na płótnie.

Gdy sygnał Morse'a przyciągnął uwagę do domu po drugiej stronie ulicy, jeden ze strażników zauważył, że od dłuższego czasu

Yvonne Gress i jej dzieci nie pokazują się w okolicy.

Zasłony w oknach były zaciągnięte, nie można więc było zajrzeć do środka.

Jeszcze zanim Roche zarządził wejście do willi, Goran próbował zadzwonić do jej właścicielki. Zaraz po wybraniu numeru w panującej na ulicy ciszy dał się słyszeć słaby, ale wyraźny odgłos sygnału dochodzący z wnętrza domu. Nikt jednak nie podniósł słuchawki.

Podjęli też próbę nawiązania kontaktu z jej byłym mężem, mając nadzieję, że dzieci są u niego. Gdy go znaleźli, powiedział, że od dawna nie ma z nimi kontaktu. Nic dziwnego, ponieważ opuścił rodzinę dla dwudziestoletniej modelki i uznał, że wypełni rodzicielskie obowiązki, jeśli będzie bez zwłoki przekazywał czeki z alimentami.

Technicy umieścili też wokół willi czujniki termiczne, żeby stwierdzić, czy w środku są jakieś źródła ciepła.

– Jeśli w domu przebywa żywa istota, prędko się o tym dowiemy – powiedział Roche, który ślepo ufał potędze techniki.

Jednocześnie sprawdzono też zużycie prądu, gazu i wody: nie zostały odcięte, ponieważ faktury realizowane były przelewami bankowymi, ale liczniki zatrzymały się trzy miesiące temu. Oznaczało to, że od około dziewięćdziesięciu dni nikt w tym domu nie zapalił żadnej lampy.

– To mniej więcej od czasu, gdy ukończono willę Kobashich i dentysta wprowadził się tu z rodziną – zauważył Stern.

– Sarah, chciałbym, żebyś sprawdziła nagrania z kamer, które monitorują osiedle. Między tymi dwoma domami istnieje jakiś

związek i musimy się dowiedzieć jaki – rzekł Goran.

– Miejmy nadzieję, że nie było innych wyłączeń prądu – odpowiedziała.

– Szykujemy się do wejścia – ogłosił Goran.

Tymczasem Boris wkładał w furgonetce kamizelkę kuloodporną.

– Chcę wejść do tego domu – oświadczył, widząc Milę na progu campera. – Nie mogą mi tego zabronić, chcę się tam dostać.

Nie dopuszczał myśli, że Roche mógłby poprosić oddziały specjalne, żeby weszły pierwsze.

– Potrafią tylko narobić burdelu. W tym domu trzeba będzie poruszać się po ciemku.

– No cóż, wyobrażam sobie, że jakoś sobie radzą – mruknęła Mila, starając się go nie deprymować.

– Zadbają też o to, żeby nie pozacierać dowodów? – zapytał z ironią.

– W takim razie ja też chcę tam wejść.

Boris znieruchomiał na chwilę i spojrział na nią bez słowa.

– Myślę, że na to zasłużyłam, w końcu to ja domyśliłam się, że ta informacja znajduje się...

Nie pozwolił jej dokończyć, rzucając jej drugą kamizelkę. Wkrótce wyszli z campera i podeszli do Gorana i Roche'a, zdecydowani bronić swoich racji.

– Nie ma mowy – uciął inspektor. – To operacja dla sił specjalnych. Nie mogę pozwolić sobie na podobną lekkomyślność.

– Panie inspektorze, niech pan posłucha... – Boris stanął przed Roche'em w taki sposób, żeby ten nie mógł odwrócić od niego wzroku. – Niech pan wyśle mnie i Milę jako zwiadowców. Inni wejdą do akcji dopiero wtedy, gdy zaistnieje taka potrzeba. – Roche nie zamierzał jednak ustąpić.

– Jako były żołnierz, zostałem przeszkolony do tych rzeczy – tłumaczył Boris. – Stern ma na tym polu dwudziestoletnie doświadczenie i Stern może to potwierdzić, a gdyby nie oddał nerki, sam by tu stanął, żeby zaproponować pójście ze mną, i wie pan o tym doskonale.

A jeśli chodzi o agentkę Milę Vasquez, to ona sama weszła do domu maniaka, który więził chłopca i dziewczynkę.

Gdyby Boris wiedział, jak naprawdę mi poszło, i że o mały włos nie przyplącałam tego życiem razem z więźniami, nie upierałby się tak przy mojej kandydaturze, pomyślała gorzko Mila.

– Reasumując, proszę się zastanowić: gdzieś znajduje się żywa dziewczynka, ale nie będzie długo żywa. W każdym z tych miejsc dowiadujemy się czegoś więcej na temat człowieka, który ją porwał. – Boris wskazał dom Yvonne Gress. – Jeśli jest tam coś, co może nas przybliżyć do Alberta, dobrze by było to zabezpieczyć, żeby nie uległo zniszczeniu. A tylko my możemy to zrobić.

– Nie sędzę, panie agencie specjalny – odparł spokojnie Roche.

Boris zrobił krok w jego stronę, patrząc mu prosto w oczy.

– Chce pan dalszych komplikacji? I tak jest już wystarczająco trudno.

Jego słowa mogą kryć zawoalowaną groźbę, pomyślała Mila. Była zaskoczona, że Boris zwraca się takim tonem do zwierzchnika. Wydawało się, że to sprawą tylko między nimi dwoma i nie dotyczy ani jej, ani Gorana.

Roche patrzył na Gavilę o ułamek sekundy za długo. Czyżby potrzebował rady lub po prostu kogoś, kto mógłby dzielić z nim odpowiedzialność za tę decyzję?

Kryminolog nie zrobił jednak niczego, co mogłoby wskazywać na to, iż chce skorzystać z okazji, żeby się za coś odegrać, i tylko skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałowali. – Inspektor celowo użył liczby mnogiej, żeby podkreślić współodpowiedzialność Gorana.

W tym momencie podszedł do nich technik z monitorem rejestrującym źródła ciepła.

– Panie Roche, czujniki zlokalizowały coś na pierwszym piętrze...  
Jakiś żywy obiekt.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się znowu w kierunku domu.

\* \* \*

– Obiekt znajduje się na pierwszym piętrze i nie opuszcza go – ogłosił Stern przez radio.

Boris po cichu policzył od dziesięciu w dół i dopiero potem nacisnął kławkę. Zapasowy klucz dał mu komendant ochroniarzy,



który na wypadek nagłej potrzeby przechowywał po jednym egzemplarzu do każdej willi.

Mila zauważyła skupienie na twarzy kolegi. Za nimi stali w gotowości ludzie z oddziałów specjalnych. Przekroczyła próg tuż za Borisem. Oboje trzymali wycelowane pistolety, a oprócz kamizelek z kevlaru mieli na głowach czapki ze słuchawkami, mikrofonem i małą latarką na wysokości prawej skroni. Ich ruchami kierował z zewnątrz przez radio Stern, który śledził na monitorze ruchy obiektu odkrytego przez czujniki. Prezentował on zróżnicowane odcienie kolorystyczne, od barwy niebieskiej poprzez żółtą do czerwonej, które oznaczały różną temperaturę ciała. Nie można było ustalić jego kształtu.

Wydawało się jednak, że jest to jakieś ciało leżące na podłodze.

Może to być ktoś ranny. Ale przed upewnieniem się Boris i Mila musieli przeprowadzić dokładne przeszukanie według procedur nakazujących zabezpieczenie pomieszczeń w odpowiedniej kolejności.

Koło willi ustawiono dwa silne reflektory, które oświetlały obie fasady. Światło jednak ledwo przenikało do wnętrza, ponieważ zasłony były zaciągnięte. Oczy Mili powoli przyzwyczajały się do mroku.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją półgłosem Boris.

– Tak, w porządku – potwierdziła.

Tymczasem w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się trawnik Kobashich, ustawił się Goran Gavila, który od dawna nie miał tak wielkiej ochoty na papierosa jak w tej chwili. Był niespokojny. Przede wszystkim o Milę. Obok niego Sarah Rosa siedziała przy przenośnym

odtworząc z czterema monitorami i przeglądała nagranie kamer systemu bezpieczeństwa. Niebawem powinno wyjść na jaw, czy rzeczywiście istnieje jakiś związek między dwoma domami stojącymi naprzeciwko siebie.

Tym, co od razu zwróciło uwagę Mili w domu Yvonne Gress, był bałagan.

Stojąc w przedpokoju, miała dobry widok na salon po lewej i kuchnię po prawej stronie. Na stole leżały otwarte pudełka z płatkami, stały do połowy opróżnione butelki soku pomarańczowego i kartony ze skwaśniałym mlekiem, a także puste puszki po piwie. Kredens był otwarty, a część zapasów jedzenia rozsypana na podłodze.

Przy stole stały cztery krzesła, ale tylko jedno było odstawione.

Zlewozmywak był pełny brudnych talerzy i garnków oblepionych resztkami jedzenia. Milla skierowała światło latarki na lodówkę. Pod magnesem w kształcie żółwia zobaczyła zdjęcie kobiety, około czterdziestoletniej blondynki, która z uśmiechem obejmowała chłopca i trochę większą dziewczynkę.

Na niskim stoliku stojącym w salonie przed ogromnym plazmowym telewizorem stało mnóstwo pustych butelek po drogich alkoholach, kolejne puszki po piwie i popielniczki pełne niedopałków. Jeden z foteli wysunięto na środek pokoju, a na dywanie można było dostrzec ślady ubłoconych butów.

Boris dał znak Mili i pokazał jej plan domu, dając do zrozumienia, że powinni się rozdzielić, a potem spotkać u stóp schodów

prowadzących na piętro. Wskazał jej pomieszczenie za kuchnią, rezerwując dla siebie bibliotekę i gabinet.

– Stern, czy na piętrze wszystko nadal w porządku? – spytał szeptem przez radio.

– Nic się nie rusza.

Dali sobie znak i Mila poszła w wyznaczonym jej kierunku.

– Mam coś – odezwała się Sarah Rosa, wskazując monitor. – Popatrz tu...

Goran pochylił się nad jej ramieniem: napis na marginesie ekranu wskazywał, że nagranie pochodzi sprzed dziewięciu miesięcy. Wtedy willa Kobashich była jeszcze placem budowy. Na przyspieszonym filmie robotnicy kręcili się jak rozdrażnione mrówki koło niedokończonej fasady.

– Popatrz teraz...

Rosa przewinęła film aż do zmierzchu, kiedy wszyscy opuszczali plac budowy. Potem odtworzyła nagranie z normalną prędkością.

W tym momencie w drzwiach wejściowych domu Kobashich coś się pokazało.

Był to cień postaci, która stała, jakby wyczekując. I paliła papierosa.

O jej obecności informowało nieregularne żarzenie się. Jakiś mężczyzna stał na progu willi dentysty i czekał, aż nadejdzie wieczór. Gdy zrobiło się ciemno, wyszedł na dwór, rozejrzał się, a potem pokonał kilka metrów dzielących go od domu naprzeciwko i wszedł bez pukania.

– Posłuchajcie mnie...

Mila znajdowała się w pracowni Yvonne Gress wśród nagromadzonych we wszystkich kątach płócien i stojących tu i tam sztalug i farb. Usłyszawszy w słuchawce głos Gorana, znieruchomiała.

– Prawdopodobnie wiemy już, co zdarzyło się w tym domu.

Mila czekała na dalszy ciąg.

– Mamy do czynienia z tak zwanym pasożytem.

Mila nie zrozumiała, ale Goran przeszedł do wyjaśnień: – Jeden z robotników zatrudnionych przy budowie willi Kobashich zostawał co wieczór po zakończeniu pracy, żeby przemykać się do domu po drugiej stronie ulicy. Obawiamy się, że mógł... – kryminolog zamilkł na chwilę, żeby lepiej zdefiniować pojęcie „pasożyt” – sterroryzować i uwięzić rodzinę w jej własnym domu.

Pasożyt bierze w posiadanie gniazdo, przejmując zachowania zamieszkującego je gatunku. Naśladując je w groteskowy sposób, nabiera przekonania, że należy do niego. Usprawiedliwia wszystko swoją zdeprawowaną namiętnością. Nie dopuszcza myśli, że mógłby zostać odrzucony jako ktoś obcy. Gdy jednak zmęczy go udawanie, uwalnia się od swoich przybranych „kuzynów” i szuka sobie innego gniazda, żeby je zaatakować.

Przyglądając się w pracowni Yvonne pozostawionym przez niego obrzydliwym śladom, Mila przypomniała sobie larwy mięsówki, które żerowały na dywanie u Kobashich.

Usłyszała głos Sterna, który pytał: – Jak długo?

– Sześć miesięcy – odparł Goran.

Mila poczuła ucisk w żołądku. Przez sześć miesięcy Yvonne i jej dzieci byli więźniami psychopaty, który mógł z nimi robić, co chciał.

Co więcej, działo się to tuż obok innych domów, innych rodzin, które odizolowały się w tym zakątku dla bogaczy i zaufały absurdalnemu ideałowi bezpieczeństwa, sądząc, że uciekły od podłości świata.

Sześć miesięcy. I nikt niczego nie zauważył.

Trawnik był koszony co tydzień, a róże w alejkach nadal korzystały z troskliwej opieki ogrodników kompleksu rezydencji. Światła na ganku zapalał co wieczór regulator, ustawiony zgodnie z rozkładem przewidzianym w regulaminie osiedla. Dzieci bawiły się, jeżdżąc na rowerach albo grając w piłkę w alei przed domem, panie spacerowały, gawędząc o tym i owym i wymieniając przepisy na ciasta, mężczyźni uprawiali w niedzielę rano jogging i myli samochody przed garażami.

Sześć miesięcy. I nikt niczego nie zauważył.

Nikt nie zadał sobie pytania, dlaczego zasłony są zaciągnięte także w dzień. Nikt nie zauważył poczty, która gromadziła się w skrzynce.

Nikt nie zwrócił uwagi na nieobecność Yvonne i jej dzieci na spotkaniach w klubie osiedlowym, takich jak jesienny bal i loteria dwudziestego trzeciego grudnia. Bożonarodzeniowe dekoracje – jednakowe w całym osiedlu – zostały jak zwykle rozmieszczone przez pracowników wokół domu i na nim, a po świętach zdjęte. Telefon dzwonił, Yvonne i dzieci nie schodziły, żeby otworzyć drzwi, gdy ktoś pukał, i mimo to nikt nie nabrał żadnych podejrzeń.

Jedyni krewni pani Gress mieszkali daleko, ale i ich nie zdziwiło jej milczenie.

Przez cały ten bardzo długi okres mała rodzina wzywała pomocy, żyła nadzieją, modliła się każdego dnia o ratunek lub o zwrócenie czyjejs uwagi, na próżno.

– Prawdopodobnie chodzi o jakiegoś sadystę. To była jego zabawa, rozrywka – tłumaczył Goran.

Jego dom lalek, poprawiła go w myślach Mila, przypomniawszy sobie, jak były ubrane zwłoki, które Albert zostawił na kanapie u Kobashich.

Przyszły jej na myśl niezliczone akty przemocy, jakich ofiarą padła Yvonne i jej dzieci. Sześć miesięcy znęcania się. Sześć miesięcy torturowania. Sześć miesięcy cierpień. Ale jeśli dobrze się przyjrzeć, wystarczyło nawet mniej, żeby cały świat o nich zapomniał.

Niczego nie spostrzegli również „stróże prawa”, mimo iż przez dwadzieścia cztery godziny kręcili się przed tym domem. Także oni ponosili za to winę, stali się współnikami zbrodni.

Ja też niczego nie zauważyłam, stwierdziła gorzko Mila.

Jeszcze raz Albert wydobył na światło dzienne hipokryzję tej części rodzaju ludzkiego, która czuje się „normalna” tylko dlatego, że nie nauczyła się zabijać niewinnych dziewczynek, obcinając im rękę, która zdolna jest jednak do popełnienia równie poważnej zbrodni: obojętności.

Rozmyślenia Mili przerwał Boris.

– Stern, co się dzieje na piętrze?

– Droga nadal jest wolna.

– Dobrze, w takim razie idziemy.

Tak jak uzgodnili, spotkali się u stóp schodów prowadzących na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie.

Boris dał znak Mili, żeby go ubezpieczała. Od tego momentu mieli przestrzegać ciszy radiowej, żeby nie zdradzić swojej pozycji. Stern mógł przerwać ją tylko po to, żeby ich ostrzec, gdyby obiekt się poruszył.

\* \* \*

Ruszyli na górę. Także dywan na schodach pokryty był plamami, śladami butów i resztkami jedzenia. Na ścianie wzdłuż schodów wisiały fotografie z wakacji, urodzin i świąt, a na ich szczycie zwracał uwagę olejny portret Yvonne z dziećmi. Ktoś wydłubał postaciom z obrazu oczy, być może zirytowany ich natarczywymi spojrzeniami.

Dotarwszy na podest, Boris odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce Mili, po czym znów ruszył przodem. Korytarz w głębi skręcał w lewo, widać było kilkoro uchylonych drzwi.

Za ostatnim zakrętem znajdowała się jedyna w całym domu żywa istota.

Boris i Mila ruszyli powoli w tym kierunku. Mijając uchylone drzwi, Mila rozpoznała przerywane dźwięki sygnału Morse'a, który odkryli w eterze. Otworzyła je cicho i znalazła się w pokoju jedenastoletniego chłopca. Na ścianach wisiały tablice z planetami, a

na regałach stały książki o astronomii. Naprzeciwko zakratowanego okna zamocowano teleskop.

Na małym biurku zobaczyła model telegrafu z początków dwudziestego wieku. Składał się z drewnianego stojaka z dwiema suchymi baterijkami połączonymi za pomocą elektrod i drutu miedzianego z obracającą się na szpulce tarczą, która miała występy zamykające obwód prądu – trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Całość była połączona cienkim kabelkiem z walkie-talkie w kształcie dinozaura. Do modelu przytwierdzona była mosiężna tabliczka z napisem: *PIERWSZA NAGRODA*.

To stąd wychodził sygnał.

Jedenastoletni chłopiec przerobił swoją pracę domową na stację nadawczą, obchodząc kontrole i zakazy człowieka, który ich więził.

Mila skierowała światło latarki na niepościelone łóżko. Stało pod nim plastikowe wiaderko pełne odchodów. Policjantka zauważyła też ślady otarć na poręczach przy wezglowiu.

Po drugiej stronie korytarza znajdował się pokój szesnastoletniej dziewczynki. Na drzwiach naklejone były kolorowe litery układające się w imię *KEIRA*. Stanąwszy na progu, Mila obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem. Na podłodze leżały prześcieradła, a także szuflada szafy z bielizną osobistą. Lustro z komody zostało przestawione naprzeciwko łóżka. Nietrudno było wyobrazić sobie dlaczego. Także w tym przypadku na poręczach przy wezglowiu widniały otarcia.

Kajdanki, pomyślała Mila. W dzień przywiązywał ich do łóżek.

Plastikowe wiadro stało tym razem w kącie. Musiało służyć zaspokajaniu potrzeb fizjologicznych.



Kilka metrów dalej znajdował się pokój Yvonne. Na brudnym materacu leżało tylko jedno prześcieradło. Na dywanie widać było plamy po wymiotach i zużyte podpaski. W jedną ze ścian wbito gwóźdź, na którym wcześniej być może wisiał obraz, a teraz skórzany pas, jakby dla przypomnienia, kto tu rządzi.

To był twój pokój zabaw, sukinsynu! A czasami zaglądałeś pewnie także do dziewczynki! A gdy ci się znudziła, wchodziłeś do pokoiku chłopca, choćby po to, żeby się nad nim znęcać.

Jedynym uczuciem w jej życiu była wściekłość. I Mila sięgała po nią, czerpiąc łapczywie z tej mrocznej studni.

Kto wie, ile razy Yvonne Gress czuła się zmuszona być „miłą” dla tego potwora tylko po to, żeby zatrzymać go przy sobie w tym pokoju i mieć pewność, że nie pójdzie wyładować się na dzieciach.

– Uwaga, dzieci, coś tam się rusza – odezwał się zaniepokojony Stern.

Boris i Mila odwrócili się jednocześnie w stronę końca korytarza.

Nie było już czasu na przeszukiwanie pokoi. Wycelowali pistolety i latarki dokładnie tam, spodziewając się, że w każdej chwili coś się wyłoni.

– Stać! – rzucił ostrzegawczo Boris.

– Idzie w waszą stronę.

Mila przesunęła palec wskazujący na spust i zaczęła leciutko naciskać. Uszy wypełniało jej walenie coraz mocniej bijącego serca.

– Jest za rogiem.

Tajemnicza istota objawiła się najpierw cichym skomleniem. Pokazała owłosiony pysk, a potem spojrzała na nich. Był to nowofundlandczyk. Mila uniosła broń i zobaczyła, że Boris robi to samo.

– Wszystko w porządku – rzucił Boris do mikrofonu – to tylko pies.

Miał szorstką pozlepianą sierść, zaczerwienione oczy i zranioną łapę.

Nie zabił go, pomyślała Mila, podchodząc do zwierzęcia.

– No chodź, śliczny, chodź tu...

– Wytrzymał tu sam przez co najmniej trzy miesiące. Jak on to zrobił? – zastanawiał się Boris.

W miarę jak Mila do niego podchodziła, pies się cofał.

– Uważaj, on jest przestraszony, może cię ugryźć.

Mila nie posłuchała Borisa i nadal zbliżała się powoli do nowofundlandczyka. Ukucnęła, żeby go uspokoić, a jednocześnie przemawiała do niego: – No chodź, śliczny, chodź tu do mnie...

Znalazszy się blisko, zobaczyła tabliczkę zawieszoną na obroży.

W świetle latarki odczytała jego imię.

– Chodź, Terry, nie bój się.

W końcu pies pozwolił do siebie podejść. Mila podsunęła mu dłoń do pyska, żeby mógł ją powąchać. Tymczasem Boris się niecierpliwił: – Dobra, kończymy przeszukanie piętrowa, a potem wzywamy innych.

Pies uniósł łapę, jakby chciał coś Mili wskazać.

– Zaczekaj...

– O co chodzi?

Mila nie odpowiedziała. Wstała i zobaczyła, że nowofundlandczyk odwraca się w kierunku ciemnego kąta korytarza.

– Chce, żebyśmy poszli za nim.

Ruszyli za psem. Minęli zakręt i zobaczyli, że korytarz kończy się po kilku metrach. W głębi po prawej stronie znajdowało się ostatnie pomieszczenie.

Boris sprawdził na planie.

– Wychodzi na tyły domu, ale nie wiem, co tam jest.

Drzwi były zamknięte. Leżały przed nimi różne przedmioty: pikowany kocyk z nadrukowanymi kośćmi, miska, kolorowa piłka, smycz i resztki jedzenia.

– Teraz już wiadomo, kto okradał kredens – powiedziała Mila.

– Kto wie, dlaczego przeniósł tu swoje rzeczy.

Nowofundlandczyk zbliżył się do drzwi, jakby na potwierdzenie, że tu właśnie znajduje się jego legowisko.

– Mówisz, że sam się tu rozgościł. Ale dlaczego?

Jakby w odpowiedzi na pytanie Mili pies zaczął skrobać w drewniane drzwi i skowyczeć.

– Chce, żebyśmy weszli.

Mila sięgnęła po smycz i przywiązała psa do kaloryfera.

– Siedź tu spokojnie, Terry.

Pies szczeknął krótko, jakby zrozumiał polecenie. Odsunęli rzeczy leżące przed drzwiami i Mila sięgnęła do klamki, podczas gdy Boris uniósł wycelowany pistolet: czujniki nie odkryły w domu innych obiektów, ale nigdy nie wiadomo. Oboje byli jednak pewni, że za tą cienką przegrodą kryje się miejsce, w którym nastąpił tragiczny epilog tego, co działo się przez wiele miesięcy.

Mila nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Światło latarek przebiło mrok i omiotło pomieszczenie.

Pokój był pusty.

Miał około dwudziestu metrów kwadratowych. Na podłodze nie było dywanu, a ściany pomalowano na biało. Okno osłaniała ciężka zasłona, z sufitu zwisała lampa. Wyglądało na to, że pokój nie był używany.

– Po co on nas tu przyprowadził? – zastanawiała się Mila, kierując te słowa bardziej do siebie niż do Borisa. – I gdzie jest Yvonne i dzieci?

Chociaż powinna była raczej zapytać: „Gdzie podziały się ciała?”.

– Stern.

– Tak?

– Niech wejdą specjaliści, my już skończyliśmy.

Mila wróciła na korytarz i odwiązała psa, który natychmiast wślizgnął się do pokoju. Mila pobiegła za nim i zobaczyła, że kładzie się w jednym z kątów.

– Terry, nie możesz tu zostać!

Pies się nie poruszył. Mila podeszła do niego ze smyczą w rękę.

Pies zaszczekał, ale nie wydawał się groźny. Potem zaczął obwąchiwać podłogę w pobliżu listwy przypodłogowej. Mila pochyliła się nad nim, odsunęła jego pysk i poświęciła latarką. Niczego tu nie było. Ale po chwili coś zauważyła.

Brązową plamkę.

Mogła mieć niecałe trzy milimetry średnicy. Mila pochyliła się jeszcze niżej i zobaczyła, że jest wydłużona i ma lekko pomarszczoną powierzchnię.

Nie miała wątpliwości, co to jest.

– Tu się to wydarzyło – powiedziała. Boris rzucił jej pytające spojrzenie. Mila odwróciła się do niego.

– Tu ich zamordował.

\* \* \*

– Rzeczywiście, zauważyliśmy, że ktoś wchodził do tego domu.

Ale pani Gress była kobietą samotną, mogła się podobać... Zdarzało się, że wieczorami przyjmowała mężczyzn z sąsiedztwa.

Dowódca ochrony zrobił porozumiewawczy gest, na który Goran zareagował, stojąc na palcach, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Niech pan nigdy więcej nie pozwala sobie na podobne insynuacje.

Powiedział to spokojnym tonem, w którym kryła się jednak groźba.

Ochroniarz powinien wyjaśnić, dlaczego on i jego podwładni nie wypełniali swoich obowiązków, a tymczasem próbował odgrywać rolę uzgodnioną z prawnikami osiedla Capo Alto. Ich strategia polegała na przedstawieniu Yvonne Gress jako kobiety lekkich obyczajów tylko dlatego, że żyła sama i była niezależna.

Goran zauważył, że nieznajomy – bo nie można było określić go inaczej – przez sześć miesięcy wchodził bez przeszkód do jej domu, by zaspokajać wszystkie swoje potrzeby.

Kryminolog i Rosa obejrżeli wiele godzin nagrań z tego bardzo długiego okresu. Musieli oglądać je w przyspieszonym tempie, ale powtarzała się mniej więcej ta sama scena. Czasami mężczyzna nie zostawał na wieczór i Goran domyślał się, że były to najlepsze chwile dla uwięzionej rodziny. Ale może i najgorsze, jako że nie byli w stanie uwolnić się z więzów, które przykuwały ich do łóżek, a jeśli on im tego nie zapewnił, nie mieli też jedzenia ani wody.

Poddanie się przemocy dawało im szansę na przeżycie, tak więc starali się wybrać mniejsze zło.

Nagrania pokazywały też tego człowieka w dzień, gdy pracował na budowie. Zawsze nosił czapkę z daszkiem uniemożliwiającą kamerom zarejestrowanie rysów jego twarzy.

Stern przesłuchał właściciela firmy budowlanej, który zatrudnił go jako robotnika sezonowego. Powiedział, że człowiek ten nazywał się Lebrinsky, ale nazwisko okazało się fałszywe. Zdarzało się to często, głównie dlatego, że na budowach zatrudniano cudzoziemców niemających pozwolenia na pobyt. W świetle prawa obowiązkiem pracodawcy było zażądanie od nich dokumentów, ale nie musiał weryfikować ich oryginalności.

Kilku robotników, którzy pracowali w tamtym czasie przy budowie willi Kobashiego, powiedziało, że był to człowiek małomówny, zajmujący się zawsze swoimi sprawami. Zgodzili się opisać jego wygląd w celu sporządzenia portretu pamięciowego. Ich opisy jednak za bardzo się od siebie różniły, aby mogły być użyteczne.

Zakończywszy przesłuchiwanie szefa ochroniarzy, Goran dołączył do innych w willi Yvonne Gress, którą tymczasem zawładnął Krepp i jego ludzie.

Kolczyki eksperta od odcisków palców kołysały się wesoło na jego twarzy, gdy kręcił się po pokojach niczym elf w zaczarowanym lesie.

Teraz dom tak właśnie wyglądał: dywan został przykryty płachtami przezroczystego plastiku, a tu i tam stały halogenowe reflektory, żeby oświetlić jakiś kąt lub detal. Ludzie w białych kombinezonach i okularach ochronnych posypywali wszystkie powierzchnie specjalnym proszkiem.

– Nasz gość nie jest zbyt sprytny – zaczął Krepp. – Oprócz bałaganu, jakiego narobił pies, on sam zostawił wszelkiego rodzaju odpadki: puszki, niedopałki papierosów, szklanki. Jest tyle materiału na jego DNA, że można by go wręcz sklonować! – zażartował.

– Odciski palców? – zapytała Sarah Rosa.

– W bród! Niestety, nigdy nie siedział w naszych ojczystych pierdlach, więc nie ma go w rejestrach.

Goran pokręcił głową. Tyle śladów i nie można dotrzeć do podejrzanego. Z pewnością ten pasożyt był znacznie mniej przezorny niż Albert, który przed wdarciem się do domu Kobashich ze

zwłokami dziewczynki pomyślał o wyłączeniu kamer. Właśnie dlatego jedna rzecz się Goranowi nie zgadzała.

– A co powiesz o ciałach? Oglądaliśmy nagrania i nie wynika z nich, żeby ten pasożyt kiedykolwiek wynosił coś z domu.

– Bo ofiary nie opuściły domu drzwiami – odrzekł Krepp.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

– Sprawdzamy kanalizację – dodał. – Myślę, że pozbył się ich tą drogą.

Pociął ciała na kawałki, pomyślał Goran. Ten maniak udawał słodkiego mężusia i kochanego tatusia, a któregoś dnia znudził się nimi, a może tylko zakończył pracę przy domu po drugiej stronie i wszedł tu po raz ostatni. Kto wie, czy Yvonne i jej dzieci przeczuwały, że zbliża się ich kres.

– Ale na koniec mam dla was coś dziwnego – oznajmił Krepp.

– Co takiego?

– Pusty pokój na piętrze, ten, w którym nasza koleżanka znalazła maleńką plamkę krwi.

Krepp rzucił okiem ma Milę, która poczuła się tak, jakby specjalista na czymś ją przyłapał. Goran zauważył, że zesztyniała, szykując się do obrony.

– Pokój na piętrze będzie moją Kaplicą Sykstyńską – oświadczył z emfazą. – Ta plama każe przypuszczać, że doszło tam do masakry. I że potem wyczyścił pomieszczenie, choć ten drobny ślad uszedł jego uwagi. Ale zrobił coś więcej: pomalował ściany!

– Dlaczego? – zdziwił się Boris.



– Ponieważ jest głupkiem, to oczywiste. Pozostawiając takie mnóstwo dowodów i pozbywając się szczątków poprzez spuszczenie ich ze ściekami, już zasłużył sobie na dożywocie. Więc po co kłopotał się malowaniem pokoju?

Także dla Gorana powody wciąż pozostawały niejasne.

– Więc co zrobisz? – spytał Kreppa.

– Usunę farbę i zobaczę, co jest pod spodem. Trochę to potrwa, ale przy użyciu nowych technik potrafię zidentyfikować wszystkie plamy krwi, które ten idiota próbował ukryć w tak dziecinny sposób.

Goran nie był do końca przekonany.

– Na razie mamy tylko uwięzienie osoby i ukrycie zwłok. Dostanie dożywocie, ale to nie oznacza, że zostanie mu wymierzona sprawiedliwość. Potrzebujemy tej krwi, żeby odkryć prawdę i oskarżyć go także o morderstwo.

– Będzie ją pan miał, doktorze.

Na razie jednak mieli tylko bardzo ogólny opis podejrzanego.

Skonfrontowali go z danymi zebranymi przez Kreppa.

– Powiedziałabym, że chodzi o mężczyznę między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia – zaczęła wyliczać Rosa. – O mocnej budowie ciała i wzroście około metra siedemdziesięciu ośmiu.

– Odciski butów na dywanie mają numer czterdzieści trzy, więc raczej odpowiadają wzrostowi.

– Palący.

– Skręca papierosy z bibulek i tytoniu.

– Jak ja – wtrącił Boris. – Miło pomyśleć, że ma się coś wspólnego z tego rodzaju typami.

– Powiedziałbym też, że lubi psy – zakończył Krepp.

– Tylko dlatego, że pozostawił przy życiu nowofundlandczyka? – spytała Mila.

– Nie, moja droga. Znaleźliśmy też sierść jakiegoś mieszańca.

– Ale co świadczy o tym, że to on ją wniósł?

– Znajdowała się w błocie, które zostawił wraz z odciskami butów na dywanie. Oczywiście były też materiały z budowy – cement, żywice, rozpuszczalniki – które wszystko posklejały. Także to, co ten gość przynosił tu ze swojego domu.

Krepp popatrzył na Milę z miną kogoś, komu rzucono wyzwanie, ale kto ostatecznie zmiażdżył przeciwnika swoją przebiegłością. Odniósłszy ten triumf, oderwał od niej wzrok i znowu zrobił minę chłodnego zawodowca, jakiego wszyscy znali.

– Jest jeszcze coś, ale nie wiem, czy to ważne.

– Mimo to podziel się tym z nami... – zachęcił go Goran, okazując mu przesadne zainteresowanie, wiedział bowiem, jak bardzo Krepp lubi być proszony.

– W błocie na podszewkach było mnóstwo bakterii. Pytałem o zdanie mojego zaufanego chemika...

– Dlaczego chemika, a nie biologa?

– Ponieważ wyczułem, że chodzi o bakterie, które istnieją w przyrodzie i żywią się odpadkami, ale używa się ich do różnych celów, takich jak rozkładanie sztucznych włókien i pochodnych ropy

naftowej. – Po czym sprecyzował: – W rzeczywistości one niczego nie zjadają, wytwarzają tylko enzym. Używa się ich do neutralizowania miejsc po wysypiskach śmieci.

Gdy tylko przebrzmiały te słowa, Goran zauważył, że Miła i Boris błyskawicznie wymienili spojrzenia.

– Wysypiska śmieci? O, kurwa... My znamy tego gościa.

## 24.

Feldher na nich czekał.

Pasożyt zaszył się w swoim kokonie na szczycie góry śmieci.

Miał wszelkiego rodzaju broń, którą gromadził od miesięcy, przygotowując się do tego finału. W istocie nie zrobił nic, żeby się ukryć.

Dobrze wiedział, iż prędzej czy później ktoś przyjdzie, żeby poprosić go o wyjaśnienia.

Mila przybyła z resztą zespołu tuż za jednostkami specjalnymi, które zajęły stanowiska wokół złomowiska.

Ze swojego wysoko położonego domu Feldher mógł śledzić ruch na drogach prowadzących do byłego wysypiska. Ponadto ściał drzewa, które zasłaniały mu widok. Ale nie od razu otworzył ogień. Zaczekał, aż się ustawią, żeby łatwiej mu było celować.

Najpierw zastrzelił swojego psa Kocha, mieszańca, który kręcił się między żelastwem. Uśmiercił go jednym strzałem w głowę. Chciał pokazać, że nie żartuje. Ale być może pragnął oszczędzić zwierzęciu gorszego końca, pomyślała Mila.

Skulona za jednym z wozów opancerzonych przyglądała się tej nierównej walce. Ile czasu minęło od dnia, w którym wraz z Borisem postawiła nogę w tym domu? Przyjechali tu, żeby wypytać Feldhera o

sierociniec, w którym się wychowywał, a tymczasem on miał tajemnicę o wiele straszniejszą niż sekrety Ronalda Dermisa.

Okłamał ich w wielu sprawach.

Gdy Boris zapytał go, czy był w więzieniu, odparł twierdząco. Nie była to prawda. Dlatego nie znaleźli w kartotekach odpowiedników odcisków pozostawionych w domu Yvonne Gress. Kłamstwo to upewniło go jednak, że dwoje agentów, których miał przed sobą, nie wie o nim prawie nic. Także Boris nie dopatrył się w tym niczego podejrzanego, ponieważ zazwyczaj nikt nie kłamie po to, żeby pogorszyć obraz swojej osoby.

A Feldher tak właśnie postąpił. Okazał się przebiegły, przyznała Mila.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, zaczął się z nimi bawić, pewny, że nie mają poszlak pozwalających powiązać go z domem Yvonne. Gdyby podejrzewał coś odwrotnego, prawdopodobnie nie wyszliby z jego domu żywi.

Później Mila dała się jeszcze nabrać, gdy zobaczyła go na pogrzebie Ronalda. Sądziła, że był to z jego strony gest współczucia, a tymczasem Feldher kontrolował sytuację.

– No, przeklęte gnojki, chodźcie tu i mnie aresztujcie!

Powietrze przecięła seria z pistoletu maszynowego. Kilka pocisków uderzyło głucho w opancerzone auta, inne odbiły się od leżącego wokół żelastwa.

– Skurwysyny! Nie weźmiecie mnie żywego!

Nikt mu nie odpowiadał, nikt z nim nie paktował. Mila rozejrzała się, ale nie zauważyła żadnego negocjatora z megafonem, który podjąłby próbę przekonania go, żeby przestał strzelać. Feldher podpisał już wyrok śmierci na siebie. Nikomu z osaczających go ludzi nie zależało na zachowaniu go przy życiu.

Czekali tylko na jakiś nieostrożny nich, żeby go sprzątnąć z powierzchni ziemi.

Stanowiska zajęło już kilku snajperów gotowych strzelać, gdy tylko trochę się wychyli. Na razie pozwalali mu się wyładować. Zwiększało to szansę, że popełni błąd.

– Ona była moja, bękarty! Moja! Dawałem jej tylko to, czego chciała!

Prowokował ich. Sądząc po napięciu na twarzach ludzi, którzy się w niego wpatrywali, jego starania zaczynały odnosić skutek.

– Musimy wziąć go żywcem – powiedział w pewnej chwili Goran.  
– Tylko w ten sposób będziemy mogli odkryć, co go łączy z Albertem.

– Nie sędzę, doktorze, żeby ludzie z oddziałów specjalnych się z panem zgodzili – odrzekł Stern.

– Więc musimy porozmawiać z Roche'em. Niech każe wyznaczyć negocjatora.

– Feldher nie pozwoli się aresztować, on wszystko przewidział, łącznie ze swoim końcem – wtrąciła się Sarah Rosa. – Będzie próbował jakiejś teatralnej sztuczki, żeby odejść w wielkim stylu.

I nie myliła się. Pirotechnicy odkryli kilka małych kopczyków na terenie otaczającym dom.

– To miny przeciwpiechotne – powiedział jeden z nich do Roche’a, gdy ten przybył na miejsce.

– Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te świństwa, które znajdują się pod ziemią, mogłoby dojść do prawdziwej katastrofy.

Zapytano o opinię geologa, który potwierdził, że tworzące wzgórze wysypisko może kryć w swoim wnętrzu jamy wypełnione metanem wydzielanym przez rozkładające się śmieci.

– Musicie natychmiast się stąd oddalić: ich podpalenie może spowodować poważne zniszczenia.

Goran nalegał, żeby przynajmniej spróbować negocjacji z Feldherem. W końcu Roche dał mu pół godziny.

Kryminolog zamierzał posłużyć się telefonem, ale Mila pamiętała, że linia została odcięta z powodu zadłużenia, bo gdy jakiś czas temu ona i Boris próbowali skontaktować się telefonicznie z Feldherem, odpowiedział im głos nagrany na taśmę. Spółka telefoniczna potrzebowała siedmiu minut na ponowne podłączenie. Zostały tylko dwadzieścia trzy na przekonanie faceta, żeby się poddał. Gdy jednak telefon w domu zaczął dzwonić, Feldher zareagował, strzelając do niego.

Ale Goran nie zrezygnował. Wziął megafon i stanął za opancerzonym autem znajdującym się najbliżej domu.

– Panie Feldher, jestem doktor Goran Gavila!

– Idź do diabła! – I rozległ się strzał.

– Niech mnie pan posłucha: pogardzam panem tak jak i wszyscy, którzy tu ze mną są.

Mila domyśliła się, że Goran nie zamierza oszukiwać Feldhera, wciskając mu jakiś kit. Ten człowiek zdecydował już o swoim losie, dlatego kryminolog od razu wyłożył karty na stół.

– Ty gówniarzu, ani mi się śni słuchać twoich głupot! – Kolejny strzał, tym razem kilka centymetrów od miejsca, w którym stał Goran.

I chociaż doktor był dobrze osłonięty, aż podskoczył.

– Posłucha mnie pan, ponieważ to się panu opłaca!

Jaką ofertę kryminolog może mu złożyć w tej sytuacji? Mila nie rozumiała strategii obranej przez Gorana.

– Feldher, jest pan nam potrzebny, bo prawdopodobnie zna pan człowieka, który więzi szóstą dziewczynkę. My nazywamy go Albert, ale jestem pewny, że pan zna jego prawdziwe imię i nazwisko.

– Mam to w dupie!

– Nie wierzę panu, bo ta informacja ma swoją cenę!

Nagroda.

A więc na tym polega zagrywka Gorana! Dziesięć milionów zaoferowanych przez Fundację Rockforda temu, kto dostarczy informacje umożliwiające uratowanie szóstej dziewczynki.

Ktoś mógłby zadać sobie pytanie, po co człowiekowi odsiadującemu dożywocie taka suma. Mila domyśliła się tego. Kryminolog chciał, żeby w świadomości Feldhera błysnęła myśl, że sobie poradzi, że „oszuka państwo”. Państwo z jego aparatem przymusu, które gnębiło go przez całe życie i zrobiło z niego kogoś, kim jest teraz. Nędzarza, nieudacznika. Mając te pieniądze, mógłby



pozwolić sobie na dobrego adwokata, który w jego obronie powołałby się na chorobę umysłową, czyli na procesowy argument dostępny zwykle tylko bogatym oskarżonym, gdyż jest on trudny do utrzymania i udowodnienia bez odpowiednich środków finansowych. Feldher mógłby liczyć na niższy wyrok – może nawet tylko dwadzieścia lat – który odsiedziałby nie w więzieniu, ale wśród pacjentów zamkniętego szpitala psychiatrycznego. A potem, po opuszczeniu jego murów, korzystałby z pozostałego mu bogactwa. Jako wolny człowiek.

Goran trafił w sedno. Ponieważ Feldher zawsze pragnął być kimś więcej. Dlatego wszedł do domu Yvonne Gress, żeby przynajmniej raz dowiedzieć się, jak wygląda życie ludzi uprzywilejowanych, w miejscu zarezerwowanym dla bogaczy, z piękną żoną i pięknymi dziećmi, wśród pięknych przedmiotów.

A teraz mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – zdobyć pieniądze i wyjść z tego cało.

Mógłby opuścić dom na własnych nogach, defilując z uśmiechem przed przeszło setką agentów, którzy chcieli go zabić. Ale przede wszystkim opuściłby go jako człowiek bogaty. A w pewnym sensie również jako bohater.

Tym razem nie rzucił przekleństwa i nie strzelił. Zastanawiał się.

Kryminolog wykorzystał tę chwilę ciszy, żeby jeszcze bardziej podsycić jego oczekiwania.

– Nikt nie będzie mógł zabrać panu tego, co pan zdobędzie. I choć nie jest mi przyjemnie to mówić, wiele osób będzie musiało panu

podziękować. Więc niech pan złoży broń, wyjdzie przed dom i pozwoli się aresztować...

Jeszcze raz zło w imię dobra, pomyślała Mila. Goran stosuje taką samą taktykę jak Albert.

Minęło kilka sekund, które wydawały się trwać w nieskończoność.

Mila miała jednak świadomość, że im więcej ich upływa, tym większa jest nadzieja, że plan się powiedzie. Zza opancerzonego auta, za którym się schroniła, zobaczyła, że jeden z ludzi z jednostek specjalnych wysuwa pręt z lusterkiem, w którym można śledzić ruchy Feldhera w domu.

Po chwili dostrzegła jego odbicie.

Widać było tylko ramię i szyję. Miał na sobie kurtkę khaki i myśliwski kapelusz. Potem mignął jej także jego profil i nieogolona broda.

Wszystko odbyło się w ułamku sekundy. Feldher uniósł broń, być może po to, żeby oddać strzał, albo na znak kapitulacji.

Nad ich głowami przeleciał stłumiony świst.

Zanim Mila zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, pierwszy pocisk trafił Feldhera w szyję. Po chwili dostał też drugi postrzał, z innej strony.

– Nie! – wrzasnął Goran. – Stać! Nie strzelać!

Mila zobaczyła, że strzelcy wyborowi opuszczają swoje kryjówki, żeby lepiej wycelować.

Z dwóch ran w szyi Feldhera tryskała krew w rytmie pulsowania tętnicy szyjnej. Mężczyzna zrobił krok, szybko otwierając usta. Jedną

ręką próbował bez skutku zatamować krew, a w drugiej starał się utrzymać broń, żeby odpowiedzieć na strzały.

Nie bacząc na zagrożenie, Goran wyszedł z ukrycia, podejmując rozpaczliwą próbę odwrócenia biegu wydarzeń.

W tym momencie jeszcze jeden celniejszy od innych strzał trafił Feldhera w kark.

Pasożyt został zlikwidowany.

## 25.

– Wie pani, że Sabine lubi psy?

Użyła czasu teraźniejszego, pomyślała Mila. Nie było w tym niczego niezwykłego – ta matka nie rozliczyła się jeszcze z cierpieniem, lecz niebawem zacznie to robić. I przez wiele dni nie zazna spokoju ani snu.

Ale nie teraz, na to jeszcze za wcześnie.

Nie wiadomo, dlaczego w takich przypadkach cierpienie pozostawia czasami pewną przestrzeń, przegrodę czy elastyczną barierę, która wydłuża się i skraca, nie pozwalając, aby treść zawarta w słowach: „Znaleźliśmy ciało pani córki” dotarła do celu. Słowa odbijają się od tego dziwnego poczucia spokoju. Załamanie przychodzi dopiero po krótkiej chwili, w której następuje pogodzenie się z losem.

Kilka godzin temu Chang wręczył Mili kopertę z wynikami badań porównawczych DNA. Dziewczynką na kanapie Kobashich okazała się Sabine.

Trzecia z uprowadzonych.

I jako trzecia odnaleziona.

To już utrwalony schemat. Goran powiedziałby, że to *modus operandi*. Choć nikt nie zaryzykował hipotezy co do tożsamości zwłok, wszyscy oczekiwali, że to będzie ona.

Mila zostawiła kolegów z pytaniami, dlaczego ponieśli porażkę w domu Feldhera, próbujących znaleźć na tej górze śmieci ślady, które mogłyby ich doprowadzić do Alberta. Poprosiła o samochód i teraz siedziała w salonie rodziców Sabine, w wiejskiej okolicy zamieszkaney głównie przez hodowców koni i ludzi, którzy wybrali życie na łonie natury. Żeby tu dotrzeć, przejechała prawie pięćdziesiąt kilometrów. Zbliżał się zachód słońca, a ona podziwiała krajobrazy z zagajnikami poprzecinanymi strumykami, uchodzącymi do jeziorzek w bursztynowym kolorze. Miała nadzieję, że jej wizyta, nawet o tak niezwyklej porze, zostanie odebrana przez rodziców Sabine jako pocieszający znak, że ktoś zatroszczył się o los ich córki. Nie myliła się.

Matka Sabine była drobna i szczupła, jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek.

Mila przyglądała się zdjęciu, które kobieta wsunęła jej do rąk, i słuchała opowieści o pierwszych i jedynych siedmiu latach życia Sabine. Natomiast ojciec stał oparty o ścianę w rogu pokoju, ze spuszczonego wzrokiem i rękami założonymi za plecy. Kołysał się lekko, skupiony tylko na własnym oddechu. Mila była pewna, że naprawdę silną osobowością w tym domu jest jego żona.

– Sabine urodziła się za wcześnie, osiem tygodni przed terminem.

Powiedzieliśmy sobie wtedy, że stało się tak, bo miała szaloną ochotę wyrwać się na świat. I po trosze okazało się to prawdą... – Uśmiechnęła się i spojrzała na męża, który skinął głową. – Lekarze powiedzieli, że nie przeżyje, bo ma za słabe serce. Ale wbrew wszelkim przewidywaniom Sabine się trzymała. Nie była większa od mojej dłoni i ważyła zaledwie pięćset gramów, ale uparcie walczyła o

życie, leżąc w inkubatorze. I z każdym tygodniem jej serce się wzmacniało. Lekarze musieli więc zmienić zdanie i powiedzieli nam, że prawdopodobnie przeżyje, ale jej życie będzie naznaczone szpitalami, lekami i operacjami. I że, krótko mówiąc, powinniśmy raczej życzyć sobie, żeby umarła... – Zamilkła na chwilę. – Uległam im. W pewnej chwili byłam tak pewna, że moje dziecko będzie cierpiało przez resztę swoich dni, że modliłam się, żeby jej serce się zatrzymało. Ale Sabine okazała się silniejsza również od moich modlitw. Rozwijała się normalnie i osiem miesięcy po urodzeniu zabraliśmy ją do domu.

Kobieta przerwała opowieść. Na jej twarzy na chwilę pojawiła się złość.

– Ten sukinsyn zniweczył wszystkie jej wysiłki!

Sabine była najmłodszą z ofiar Alberta. Została uprowadzona z karuzeli. W sobotni wieczór. W obecności matki i ojca, na oczach pozostałych rodziców.

„Każdy patrzył tylko na własne dziecko”, powiedziała Sarah Rosa na pierwszym spotkaniu w „Myślarni”. Mila zapamiętała, że dodała też: „Ludzie mają wszystko w nosie, taka jest prawda”.

Jednak Mila przyjechała do tego domu nie tylko po to, by pocieszyć rodziców Sabine. Chciała też zadać kilka pytań. Wiedziała, że powinna wykorzystać te sprzyjające chwile, zanim ból wyrwie się ze swego czasowego schronienia i wszystko przekreśli. Była też świadoma, że małżonków przesłuchiowano już dziesiątki razy na temat okoliczności, w jakich zaginęła ich mała. Ale być może ci, którzy się tym zajmowali, nie mieli jej doświadczenia w kwestii zaginionych dzieci.

– Faktem jest – zaczęła – że jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogli coś dostrzec albo zwrócić na coś uwagę. We wszystkich pozostałych przypadkach porywacz działał w odludnych miejscach lub gdy był sam na sam ze swoimi ofiarami. Tym razem naraził się na ryzyko.

Nie można też wykluczyć, że coś mu się nie udało.

– Chce pani, żebym opowiedziała wszystko od początku?

– Tak, jeśli jest pani tak dobra.

Kobieta zebrał myśli i zaczęła:

– To był dla nas szczególny wieczór. Musi pani wiedzieć, że gdy nasza córka skończyła trzy lata, postanowiliśmy porzucić pracę w mieście, żeby przenieść się tutaj. Pociągała nas przyroda i możliwość wychowania jej z dala od hałasu i smogu.

– Powiedziała pani, że wieczór, w którym porwano waszą córkę, był szczególny...

– W istocie. – Kobieta spojrzała na męża, po czym podjęła: – Wygraliśmy na loterii. Ładną sumkę. Nie tyle, żebyśmy się stali bogaci, ale dość, żeby zagwarantować także Sabine i jej dzieciom godną przyszłość... Nigdy przedtem nie grałam, naprawdę. Ale pewnego ranka kupiłam los i stało się. – Kobieta uśmiechnęła się z przymusem.

– Założę się, że zadawała sobie pani pytanie, jaką minę ma człowiek, który wygrał na loterii.

Mila pokiwała głową.

– No cóż, teraz już pani wie.

– A więc poszliście do wesołego miasteczka, żeby świętować wygraną, tak?

– Tak.

– Chciałabym, że pani odtworzyła dokładnie chwile, kiedy Sabine była na karuzeli.

– Wybraliśmy razem niebieskiego konika. Na pierwsze dwa obroty został z nią ojciec. Potem Sabine nalegała, że trzecie kółko zrobi sama. Była bardzo uparta, więc ustąpiliśmy.

– Rozumiem, to naturalne u dzieci – powiedziała Mila, żeby na wszelki wypadek uwolnić ją od jakiegokolwiek poczucia winy.

Kobieta spojrzała na nią, a potem oświadczyła zdecydowanie:

– Na podeście karuzeli byli inni rodzice, każdy koło swojego dziecka. Nie spuszczałam oka z córki. Przysięgam pani, nie straciłam ani chwili z tego obrotu. Z wyjątkiem momentów, gdy Sabine znajdowała się po przeciwnej stronie niż my.

„Zrobił to tak, że znikła jak za sprawą czarodziejskiej sztuczki”, powiedział Stern w „Myślarni”, mając na myśli konika, który ukazał się bez niej.

– Przyjmujemy hipotezę, że porywacz znajdował się już na karuzeli, udając jednego z rodziców – wyjaśniła Mila. – Wyszliśmy wniosek, że wyglądał jak zwykły człowiek. Mógł uchodzić za ojca rodziny, uciekając z dziewczynką i wtapiając się w tłum. Być może Sabine płakała lub protestowała, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ w oczach innych była tylko dziewczynką, która kaprysi.



Prawdopodobnie myśl, że Albert mógł z powodzeniem udawać ojca Sabine, bolała najbardziej.

– Zapewniam panią, pani Vasquez, że gdyby na karuzeli był jakiś obcy człowiek, tobym zauważyła. Matka wyczuwa takie rzeczy szóstym zmysłem.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Mila nie znalazła siły, by nie przyznać jej racji albo przeciwstawić inne argumenty.

Albert doskonale się zamaskował.

Dwudziestu pięciu agentów policji, zamkniętych w jednym pokoju przez dziesięć dni, skrupulatnie badało setki zdjęć zrobionych tamtego wieczoru w wesołym miasteczku. Wyświetlono też amatorskie filmy nakręcone kamerami wideo. I nic. Żadne ujęcie nie unieśmiertelniło Sabine z jej porywaczem, nawet przelotnie. Nie pojawili się na żadnej odbitce, nawet jako bezbarwne cienie w tle.

Mila nie miała więcej pytań, więc wstała, żeby się pożegnać. Matka Sabine nalegała, żeby wzięła jakieś zdjęcie jej córki.

– Dzięki temu nie zapomni jej pani – powiedziała, nie wiedząc, że Mila i tak będzie o niej pamiętała, a kilka godzin później złoży daninę tej śmierci w postaci nowej blizny na swoim ciele.

– Złapiecie go, prawda?

Pytanie ojca Sabine nie zaskoczyło jej. Przeciwnie, oczekiwała go.

Zadawali je wszyscy. „Znajdziecie moją córkę?”. „Schwytnacie mordercę?”.

Odpowiedziała więc tak, jak zawsze odpowiadała w takich przypadkach:

– Zrobimy, co w naszej mocy.

\* \* \*

Matka Sabine chciała, żeby jej córka umarła. Została wysłuchana po siedmiu latach. Miła nie mogła o tym nie myśleć, wracając do Studia. Drzewa zagajników, w czasie jazdy w tamtą stronę umilające jej podróż, teraz przypominały ciemne, kołyszące się na wietrze palce, które chciały sięgnąć nieba.

Zaprogramowała GPS tak, żeby poprowadził ją z powrotem, wskazując najkrótszą trasę. Potem przestawiła ekran na tryb nocny. Jego niebieska poświata była relaksująca.

Samochodowe radio odbierało tylko stacje nadające na falach średnich i po daremnej wędrówce po różnych częstotliwościach udało jej się złapać rozgłośnie, która nadawała stare przeboje. Na siedzeniu obok położyła zdjęcie Sabine. Dzięki Bogu jej rodzicom oszczędzono bolesnego obowiązku rozpoznania szczątków, gdyż były w stanie zaawansowanego rozkładu i padły łupem trupiej fauny. Pomyślała z wdzięcznością o odkryciach z dziedziny genetyki.

Ta krótka rozmowa pozostawiła pewien niedosyt. Było coś, co nie pasowało, co się nie zgadzało i blokowało tok jej myśli. Zwykle, proste zestawienie: tamta kobieta pewnego dnia kupiła los na loterii i wygrała, a jej córka padła ofiarą seryjnego mordercy.

Dwa nieprawdopodobne przypadki w jednym życiu.

Jednak najstraszniejsze było to, że te dwa wypadki były ze sobą powiązane. Gdyby nie wygrali na loterii, nie poszliby świętować do

wesołego miasteczka. A Sabine nie zostałaaby porwana i brutalnie zamordowana. Ostateczną nagrodą w tym uśmiechu fortuny była śmierć.

A jednak nie, powtórzyła w myślach. On wybrał rodziny, nie dziewczynki. Uprowadziłby ją tak czy owak.

Mimo wszystko ta myśl denerwowała Milę i nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do Studia, żeby się odprężyć i ją odpędzić.

Droga wiodła między wzgórzami. Od czasu do czasu ukazywały się tablice informujące o hodowlach koni. Stadniny były bardzo od siebie oddalone i żeby do nich dotrzeć, trzeba było skręcać w boczne drogi, które często biegły przez pustkowia. Podczas całej podróży Mila napotkała tylko kilka samochodów jadących w przeciwnym kierunku, oraz jeden kombajn zbożowy z migającymi światłami, które sygnalizowały innym pojazdom jego powolne tempo jazdy.

Stacja radiowa posłała w eter stary przebój Wilsona Picketta *You Can't Stand Alone*.

Dopiero po kilku sekundach połączyła tego artystę z kryptonimem śledztwa, o którym wspomniał Boris, gdy rozmawiali o Goranie i jego żonie.

„Poszło źle. Były błędy, a ktoś zagroził nawet, że rozwiąże zespół i zwolni doktora Gavilę. Wybronił nas Roche, który upierał się, żebyśmy pozostali na naszych stanowiskach”, powiedział wtedy.

Co się wydarzyło? Czy mogło to mieć jakiś związek ze zdjęciem ładnej dziewczyny, które zauważyła w Studiu? Czy to od tamtego czasu jej nowi koledzy nie postawili więcej nogi w apartamencie?

Były to pytania, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi, więc przestała się nad nimi zastanawiać. Przekręciła o jeden ząbek pokrętło klimatyzacji. Na dworze były trzy stopnie mrozu, lecz w aucie temperatura była przyjemna. Zanim usiadła za kierownicą, zsunęła nawet kurtkę i zaczęła, aż wewnątrz się nagrzej. To przejście od chłodu do ciepła wreszcie ją uspokoiło.

Nie przejmowała się zmęczeniem, które stopniowo ją ogarniało. W sumie ta podróż dobrze jej zrobiła. Nagle w rogu przedniej szyby otworzyło się niebo, które przez te wszystkie dni było zakryte grubą warstwą chmur. Jakby ktoś uchylił jego rąbka, odsłaniając mnóstwo gwiazd i pozwalając przesączyć się promieniom księżycowego światła.

W tym momencie, pośrodku tego ustronia, wśród zagajników, Mila poczuła się uprzywilejowana. Zupełnie jakby to nieoczekiwane widowisko przeznaczone było tylko dla niej. Droga skręcała łagodnym łukiem i świetlista smuga przesunęła się na przednią szybę. Śledziła ją wzrokiem, ale gdy spojrzała we wsteczne lustro, zobaczyła błysk światła.

Światło księżycy odbiło się od karoserii auta, które jechało za nią z wyłączonymi reflektorami.

Niebo nad nią się zamknęło. Zapanował mrok. Mila starała się zachować spokój. Znowu ktoś ją śledzi, jak na placu przed motelem. Ale jeśli za pierwszym razem przyjęła, że mógł to być wytwór jej wyobraźni, teraz miała pewność, że się nie myli.

Muszę zachować spokój i zastanowić się.

Gdyby przyspieszyła, pokazałaby, że coś zauważyła. Poza tym nie znała umiejętności swego prześladowcy. Na tych wąskich i nieznanach jej drogach ucieczka mogłaby się skończyć katastrofą. W zasięgu wzroku nie było domów, a pierwsza zamieszкана osada znajdowała się w odległości co najmniej trzydziestu kilometrów. Ponadto nocna przygoda w sierocińcu z Ronaldem Dermisem i jego przyprawioną narkotykiem herbatą wystawiła jej odwagę na ciężką próbę. Aż dotąd się do tego nie przyznała, przeciwnie, przekonywała wszystkich, że czuje się dobrze. Teraz jednak nie była już tak pewna, że sprosta nowemu zagrożeniu. Ściągnęła jej ręk naprężyły się, napięcie wzrosło.

Czuła, że jej serce bije coraz szybciej i nie wiedziała, jak je uspokoić.

Zaczynała wpadać w panikę.

Muszę zachować spokój, zachować spokój i myśleć.

Ściszyła radio, żeby się skupić. Pomyślała, że ścigający ją, jadąc ze zgaszonymi reflektorami, korzysta z jej tylnych świateł pozycyjnych.

Przyjrzała się więc ekranowi GPS-u, wysunęła go z uchwytu i położyła sobie na kolanach.

A potem sięgnęła ręką do wyłącznika świateł i je zgasiała.

Nagle przyspieszyła. Miała przed sobą tylko ścianę mroku. Nie widząc jezdni, zaufała wyłącznie temu, co wskazuje GPS. Zakręcił w prawo, czterdzieści stopni. Posłusznie skręciła i rzuciła okiem na kursor na ekranie, wskazujący przebywaną drogę. Prosto. Wyprostowała kurs z lekkim poślizgiem. Ścisnęła mocno kierownicę, gdyż przy braku orientacji wystarczyłoby minimalne odchylenie, żeby

wypaść z drogi. Zakręt w lewo, sześćdziesiąt stopni. Tym razem musiała gwałtownie zwolnić, żeby nie stracić kontroli nad autem i mocno skrócić kierownicę. Znowu prosty odcinek, dłuższy od poprzedniego. Zadała sobie pytanie, jak długo wytrzyma bez świateł? Czy udało jej się zmylić prześladowcę?

Korzystając z tego, że ma przed sobą dłuższy odcinek prostej drogi, rzuciła okiem we wsteczne lustro.

Reflektory ścigającego ją samochodu zapaliły się.

Prześladowca w końcu się ujawnił, ale nie zrezygnował. Jego reflektory rzucały snop światła na jej auto, a także na drogę, którą miała przed sobą. Skrzyła na czas kierownicę, żeby wjechać w zakręt, i jednocześnie zapaliła światła. Przyspieszyła, pokonując nieco ponad trzysta metrów na pełnym gazie.

A potem nagle zahamowała na środku jezdni i znowu spojrzała w lustro.

W uszach miała tylko szum silnika i walenie bębna w piersi. Ścigające ją auto zatrzymało się przed zakrętem. Zobaczyła na asfalcie wydłużony snop białego światła jego reflektorów. Odgłosy z rury wydechowej przywodziły jej na myśl dziką bestię, gotową do ostatniego skoku, żeby złapać zębami ofiarę.

Chodź, czekam na ciebie.

Wyciągnęła z kieszeni pistolet i wprowadziła nabój do lufy. Nie wiedziała, skąd wzięła się odwaga, której jeszcze przed chwilą jej brakowało. Do tego absurdalnego pojedynku pośrodku pustkowie popychała ją czysta desperacja.

Prześladowca nie przyjął jednak zaproszenia. Światła reflektorów za zakrętem znikły, ustępując miejsca dwóm znikającym czerwonym punkcikom.

Auto zawróciło.

Mila siedziała nieruchomo. Jej oddech się uspokoił.

Spojrzała na chwilę na siedzenie obok, jakby szukała pocieszenia w uśmiechu Sabine.

Dopiero teraz zorientowała się, że w tym zdjęciu coś się nie zgadza.

\* \* \*

Do Studia dotarła kilka minut po północy. Wciąż jeszcze odczuwała napięcie, a przez resztę drogi rozmyślała tylko o zdjęciu Sabine, rozglądając się jednocześnie w obawie, że jej prześladowca wyskoczy z jakiejś bocznej drogi albo zastawi na nią pułapkę za którymś z zakrętów.

Wbiegła po schodach do apartamentu. Chciała natychmiast porozmawiać z Goranem i opowiedzieć członkom zespołu o tym, co jej się przydarzyło. Być może śledził ją sam Albert. Tak, to na pewno był on.

Ale dlaczego wybrał właśnie Milę? Poza tym była też ta historia z Sabine, ale może coś jej się wydaje...

Dotarwszy na piętro, otworzyła ciężkie pancerne drzwi kluczami, które dał jej Stern, przebiegła przez stróżówkę i znalazła się w ciszy.

Skrzypienie jej butów na podłodze pokrytej linoleum było jedynym odgłosem, jaki wypełniał kolejne pomieszczenia, przez które przebiegała. Najpierw wspólną salę, gdzie zauważyła na brzegu popielniczki papierosa, który wypalił się i zamienił w długą nitkę szarego popiołu.

Na stole w kuchni resztki kolacji – widelec oparty o talerz z ledwo naruszoną porcją mięsa z warzywami, jakby ktoś musiał nagle przerwać posiłek. Paliły się wszystkie światła, także w „Myślarni”. Mila przyspieszyła kroku. Z pewnością coś się wydarzyło. Łóżko Sterna było pościelone, a na poduszce leżało pudełko miętówek.

Sygnal jej telefonu oznajmił nadejście SMS-a. Przeczytała go.

Jedziemy do domu pani Gress. Krepp chce nam coś pokazać.

Przyjedź tam. Boris.



## 26.

Gdy dotarła do willi Yvonne Gress, zobaczyła, że nie wszyscy są w środku. Obok furgonetki Sarah Rosa wciągała kombinezon i plastikowe ochraniacze na buty. Mila zauważyła, że w ostatnich dniach Rosa jest dla niej miłsza. Właściwie omijała ją, prawie zawsze pogrążona w rozmyślaniach. Być może z powodu kłopotów rodzinnych.

Teraz spojrzała na Milę.

– Kurwa! Nie przepuścisz żadnej okazji, co?

Nie zwracaj na nią uwagi, pomyślała Mila.

Zignorowała ją, próbując wejść do furgonetki, żeby wziąć kombinezon, ale Rosa stanęła na schodkach, zagradzając wejście.

– Hej, właśnie coś do ciebie powiedziałam!

– Czego chcesz?

– Taką przyjemność sprawia ci pouczanie nas?

Twarz Rosy znajdowała się o kilka centymetrów od jej twarzy.

Stojąc niżej, Mila wyczuwała w jej oddechu zapach papierosów, gumy do żucia i kawy. Miała ochotę odepchnąć ją albo powiedzieć, co o niej myśli, ale przypomniała sobie, co powiedział Goran na temat separacji Rosy z mężem i dolegliwości żołądkowych córki, i postanowiła odłożyć to na później.

– Roso, dlaczego tak się na mnie boczysz? Robię tylko to, co do mnie należy.

– W takim razie nie wydaje ci się, że powinnaś już znaleźć dziewczynkę numer sześć?

– Znajdę ją.

– Nie sądzę, żebyś długo pozostała w tym zespole. Na razie wydaje się, że zdobyłaś ich przychylność, ale prędzej czy później dojdą do wniosku, że możemy obejść się bez ciebie.

Rosa zrobiła krok do tyłu, ale Mila nie ruszyła się z miejsca.

– Jeżeli tak mnie nienawidzisz, to dlaczego po sierocińcu, kiedy Roche chciał się mnie pozbyć, ty też głosowałeś, żebym została?

Sarah rzuciła jej rozbawione spojrzenie.

– Kto ci to powiedział?

– Doktor Gavila.

Rosa parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Widzisz, moja droga, to właśnie z powodu takich rzeczy nie zagrzejesz u nas długo miejsca. Bo jeśli powiedział ci to w sekrecie, to zdradziłaś go, mówiąc mi o tym. A poza tym on cię oszukał. Bo ja głosowałam przeciwko tobie.

Odwróciła się i oddaliła pewnym krokiem w stronę budynku. Mila odprowadziła ją wzrokiem, stojąc jak skamieniała, zbita z tropu jej słowami. A potem weszła do furgonetki, żeby się przebrać.

\* \* \*

Krepp zapewnił, że będzie to jego Kaplica Sykstyńska. Okazało się, że porównanie słynnej kaplicy z pokojem na piętrze willi Yvonne Gress nie było tak całkiem nie na miejscu.

W ostatnich czasach arcydzieło Michelangela zostało poddane gruntownej restauracji, która przywróciła freskom świetność, uwalniając je od grubej warstwy kurzu, dymu i klejów, jaka narosła na nich z powodu używania świec i piecyków koksowych. Eksperci zaczęli pracę od małego fragmentu wielkości znaczka pocztowego, żeby dowiedzieć się, co jest pod spodem. Ich zaskoczenie było ogromne:

gruba warstwa sadzy zasłaniała przepiękne kolory, jakich wcześniej nie można było sobie nawet wyobrazić.

Tak więc Krepp również zaczął od zwykłej kropli krwi odkrytej przez Milę z pomocą nowofundlandczyka, aby dojść do pełnej realizacji swego arcydzieła.

– W instalacji kanalizacyjnej domu nie było materiału organicznego – oznajmił. – Ale rury są zniszczone i znaleźliśmy w nich ślady kwasu chlorowodorowego. Stawiamy hipotezę, że Feldher użył go do rozpuszczenia szczątków, żeby łatwiej się ich pozbyć. Kwas działa bardzo skutecznie także na tkanę kostną.

Wchodząc na podest pierwszego piętra, Mila usłyszała tylko koniec zdania. Krepp stał na środku korytarza, naprzeciwko Gorana, Borisa i Sterna. Nieco z tyłu opierała się o ścianę Rosa.

– A więc jedynym elementem, na którego podstawie możemy przypisać masakrę Feldherowi, jest ta plamka krwi.

– Oddałeś ją już do zbadania?

– Chang twierdzi, że na dziewięćdziesiąt procent należy do chłopca.

Goran spojrział na Milę, a potem odwrócił się do Kreppa.

– Dobrze, jesteśmy w komplecie. Możemy zaczynać.

Czekali na nią. Powinno jej to pochlebić, ale nie potrafiła zapomnieć słów Sarah Rosy. Komu wierzyć? Tej histeryczce, która traktowała ją źle od samego początku, czy Goranowi? Tymczasem Krepp ostrzegł ich przed wejściem do pokoju:

– Możemy zostać w środku najwyżej kwadrans, więc jeśli macie jakieś pytania, zadajcie je teraz.

Wszyscy milczeli.

– Dobrze, wchodzimy.

Pokój został zabezpieczony podwójnymi oszklonymi drzwiami z wąskim przejściem, w którym mieściła się tylko jedna osoba. Chodziło o utrzymanie mikroklimatu. Przed wejściem współpracownik Kreppa zmierzył wszyskimi temperaturę termometrem na podczerwień, podobnym do termometru używanego do mierzenia temperatury dzieciom. Potem wpisał wyniki do komputera połączonego ze stojącymi w pokoju nawilżaczami, które korygowały działanie tak, aby utrzymać we wnętrzu stałą temperaturę.

Powód tych zabiegów wyjaśnił Krepp, który wszedł do pokoju ostatni.

– Głównym problemem była farba użyta przez Feldhera do pomalowania ścian. Nie dało jej się usunąć normalnym rozpuszczalnikiem, nie usuwając także tego, co jest pod nią.

– Więc jak to zrobiłeś? – chciał wiedzieć Goran.

– Zbadaliśmy ją i okazało się, że to farba wodna, której spoiwem jest tłuszcz pochodzenia roślinnego. Wystarczyło rozpylić roztwór spirytusu rektyfikowanego i pozostawić na kilka godzin, żeby rozpuścił tłuszcz. Praktycznie biorąc, zmniejszyliśmy grubość farby na ścianach. Jeśli pod spodem jest krew, luminol powinien wydobyć ją na wierzch.

3-aminohydrazyd kwasu ftalowego, lepiej znany jako luminol. Jest to substancja stosowana przez techników kryminalistycznych. Działa jak katalizator na cząstki hemoglobiny zawierające żelazo.

Reagując z tym składnikiem krwi, luminol jarzy się na niebiesko, co widać tylko w ciemności. Jednak aby był skuteczny, trzeba najpierw wprowadzić do badanego materiału czynnik utleniający, którym zwykle jest nadtlenek wodoru, rozpylany w powietrzu w postaci roztworu wodnego.

Luminol ma tylko jedną wadę – świeci przez zaledwie trzydzieści sekund. A to sprawia, że praktycznie biorąc, testu nie można powtórzyć.

Dlatego ustawia się kilka aparatów fotograficznych z błoną przystosowaną do długiego naświetlania, żeby uzyskać dokumentację wyniku, zanim fluorescencja zniknie na zawsze.

Krepp rozdał wszystkim maski wyposażone w specjalne filtry, a także i okulary ochronne, ponieważ – choć nie zostało to jeszcze

udowodnione – istnieją obawy, że luminol może być rakotwórczy.

Następnie zwrócił się do Gavili:

– Kiedy pan chce...

– Zaczynamy.

Krepp wydał przez walkie-talkie polecenie swoim ludziom na zewnątrz.

Najpierw zgasło światło.

W tym klaustrofobicznym mroku Mila słyszała tylko swój przyspieszony oddech, który po przefiltrowaniu przez maskę brzmiał jak posępne rżenie. Nakładał się na głęboki szum nawilżaczy, które pompowały do pomieszczenia opary.

Starła się zachować spokój, chociaż czuła w piersi narastające napięcie i nie mogła się doczekać końca tego eksperymentu.

Po krótkiej chwili usłyszała inne odgłosy. Dysze aparatów zaczęły rozpylać w powietrzu roztwór chemiczny, który miał ukazać krew na ścianach. Niebawem łagodnemu syczeniu nowej substancji zaczęła towarzyszyć słaba niebieskawa poświata, która utworzyła się wokół nich. Przypominała światło słoneczne przefiltrowane przez morską głębinę.

Z początku Mila myślała, że będzie to tylko efekt optyczny, rodzaj mirażu powstałego w jej umyśle w reakcji na wdychane substancje.

Gdy jednak poświata uległa wzmocnieniu, zdała sobie sprawę, że znowu widzi swoich kolegów. Jakby ktoś zapalił światło, zastępując jednak zimny blask halogenów niebieską poświatą. Zadała sobie pytanie, skąd się to bierze, ale zaraz wszystko zrozumiała.

Na ścianach było tyle krwi, że blask luminolu oświetlał ich wszystkich.

Zarysy plam rozchodziły się w różnych kierunkach, ale wydawało się, że wszystkie wychodzą dokładnie ze środka pokoju, jakby w tym miejscu znajdowało się coś w rodzaju ołtarza ofiarnego. Sufit wyglądał jak całun usiany gwiazdami. Wspaniałe widowisko zakłócała tylko świadomość, co przedstawia ta optyczna iluzja.

Feldher musiał użyć piły spalinowej, żeby zamienić ciała w papkę, którą łatwo było spuścić w klozecie.

Mila zauważyła, że jej koledzy skamienieli tak jak ona. Rozglądali się niczym automaty, podczas gdy rozstawione wokół aparaty fotograficzne robiły zdjęcia, nieubłagane i bezlitosne. Minęło dopiero piętnaście sekund i luminol nadal odkrywał nowe, głębiej ukryte plamy.

Wszyscy wpatrywali się w ten straszliwy widok.

A potem Boris wyciągnął rękę w stronę jednej ze ścian, wskazując to, co stopniowo się na niej ukazywało.

– Popatrzcie...

Zobaczyli coś dziwnego.

Wydawało się, że na fragmencie ściany luminol nie działa, nie ma niczego i ta część pozostaje biała. Otaczały ją niebieskie plamki tworzące kontur. Taki sam, jaki powstaje wtedy, gdy rozpyła się farbę na szablon przyłożony do ściany, na której zostaje potem odbity jego kształt. Sylwetka odcisnięta na tynku. Niczym negatyw zdjęcia.

Wszyscy odnieśli wrażenie, że kontur ten przypomina niewyraźną ludzką sylwetkę.

Podczas gdy Feldher pastwił się z przerażającą dzikością nad ciałami Yvonne i jej dzieci, ktoś siedział w rogu pokoju jako pasywny uczestnik tego spektaklu.



## 27.

*Ktoś wypowiedział jej imię.*

*Jest tego pewna. Nie przyśniło jej się. Tym razem to właśnie wyrwało ją ze snu, a nie strach ani nagłe uświadomienie sobie, gdzie się znajduje nie wiadomo od jak dawna.*

*Narkotyk, który przytępia jej zmysły, przestał działać w tym samym momencie, w którym usłyszała, że jej imię rozbrzmiewa w brzuchu potwora. Nadleciało niemal jak echo, żeby jej szukać nie wiadomo gdzie, i w końcu ją znalazło.*

*– Tu jestem! – chciałaby krzyknąć, ale nie może wydobyć żadnego dźwięku z klejących się ust.*

*Poza tym teraz są też jakieś hałasy. Dźwięki, których przedtem nie było. Co przypominają? Może kroki? Tak, to stąpanie kogoś w ciężkich butach. Wiele osób chodzących jednocześnie. Są ludzie! Gdzie?*

*Nad nią, wokół niej. Wszędzie, a jednak daleko, zbyt daleko. Co oni tam robią? Przyszli, żeby jej szukać? Tak, tak właśnie jest. Znaleźli się tu z jej powodu, ale nie mogą jej zobaczyć w brzuchu potwora. Pozostaje więc tylko sprawić, żeby ją usłyszeli.*

*– Ratunku! – próbuje krzyknąć.*

*Z jej gardła wydobywa się zduszony głos, zniekształcony dniami wypełnionymi cierpieniem, wymuszonym i niespokojnym snem,*

*który jest jej narzucany tylko po to, żeby była spokojna, podczas gdy potwór trawi ją w swym kamiennym żołądku. A tam, na dworze, świat powoli o niej zapomina.*

*Ale jeśli oni tu są, to oznacza, że jeszcze o mnie nie zapomnieli!*

*Ta myśl napętniają siłą, której istnienia nie podejrzewała. To zapas utrzymywany przez jej ciało w głębokim schowku, do użytku tylko w nagłej potrzebie. Zaczyna myśleć.*

*Jak mogę zasygnalizować moją obecność?*

*Jej lewa ręka ciągle jest obandażowana. Nogi ciężkie. Jediną szansę daje prawa ręka, kończyzna, która zapewnia jej kontakt z życiem. Do wnętrza dłoni ciągle przymocowany jest pilot. Włączający tylko ten głupi rysunkowy film, który już zżarł jej umysł. Unosi go, kieruje w stronę ekranu. Głośność jest normalna, ale być może można ją zwiększyć. Próbuje to zrobić, ale nie znajduje właściwego przycisku. Być może dlatego, że wszystkie realizują tylko jedno polecenie.*

*Tymczasem z góry nadal dochodzą hałasy. Słyszy głos kobiety. Jest z nią mężczyzna. Nie, jest ich dwóch.*

*Muszę ich zawołać! Muszę coś zrobić, żeby się zorientowali, że tu jestem, bo inaczej umrę tu na dole!*

*Po raz pierwszy myśli o tym, że może umrzeć. Aż dotąd nigdy o tym nie myślała. Być może unikała tego, żeby odegnąć nieszczęście. A może dlatego, że mała dziewczynka nie powinna myśleć o śmierci. Ale teraz uświadamia sobie, że jeśli nikt się nie zjawi, żeby ją uratować, spotka ją taki właśnie los.*

*Absurdalność sytuacji polega na tym, że człowiek, który położył kres jej krótkiemu życiu, teraz ją leczy. Obandażował jej rękę i podaje dożylnie leki. Sumiennie się nią zajmuje. Po co to robi, jeśli w końcu i tak ją zabije? To pytanie nie przynosi jej ulgi. Jest tylko jeden powód, żeby trzymać ją przy życiu w tej jamie. Podejrzewa też, że on zada jej jeszcze większy ból.*

*Dlatego to może jedyna szansa, żeby stąd wyjść, żeby wrócić do domu, zobaczyć bliskich. Matkę, ojca, dziadka, nawet Houdiniego.*

*Przysięga, że jeśli tylko ten koszmar się skończy, polubi nawet tego przeklętego kota.*

*Unosi rękę i zaczyna uderzać pilotem o metalową krawędź łóżka.*

*Dźwięk, jaki się rozlega, jest przykry także dla niej, ale może ją uwolnić. Głośniej, jeszcze głośniej. Czuje, że plastikowy gadżet zaczyna pękać. Nie obchodzi jej to. Metaliczne uderzenia są coraz bardziej gniewne. Z jej gardła dobywa się urwany krzyk.*

*– Jestem tu!*

*Pilot odpada od dłoni, musi więc przestać uderzać. Ale słyszy coś na górze. Może to coś obiecującego, a może nie. Zapada cisza. Może zorientowali się, że ona tu jest, i teraz nasłuchują. Na pewno, bo przecież nie mogli odejść! Zaczyna więc uderzać znowu, choć boli ją prawa ręka, choć ból przenika jej ramiona i dociera aż do lewego. Choć to tylko wyolbrzymia jej rozpacz. Bo jeśli nikt jej nie usłyszał, potem będzie jeszcze gorzej, jest tego pewna. Ale ktoś ją pomści. I każe mu za to zapłacić.*

*Po policzkach płyną lodowate łzy, ale hałasy odzywają się znowu i wraca jej odwaga.*

*Od kamiennej ściany odrywa się jakiś cień i podchodzi do niej.*

*Widzi go, ale nadal uderza. Gdy cień podchodzi wystarczająco blisko, dostrzega jego delikatne ręce, niebieskie ubranie, kasztanowe włosy, które miękko opadają na ramiona.*

*Cień zwraca się do niej dziewczęcym głosem: – Przestań już. Bo usłyszq.*

*Dziewczynka kładzie rękę na jej ręce. Ten dotyk wystarcza, żeby przestała uderzać.*

*– Proszę cię – dodaje po chwili.*

*Dziewczynka mówi tak smutnym głosem, że daje się przekonać i przestaje. Nie wie, z jakiego powodu ta dziewczynka chce czegoś tak absurdalnego, jak pozostanie tu w środku. Mimo to ulega. Nie wie, czy wybuchnąć płaczem po tej nieudanej próbie, czy cieszyć się z odkrycia, że nie jest sama. Jest tak wdzięczna, że pierwsza ludzka istota, która się tu zjawila, jest dziewczynką, jak ona, że nie chce sprawić jej zawodu. Zapomina więc nawet o tym, że chciała się stąd wydostać.*

*Głosów i hałasów na górze już nie słychać. Tym razem cisza zapada na dobre.*

*Dziewczynka wysuwa rączkę z jej dłoni.*

*– Zostań... – teraz ona ją prosi.*

*– Nie martw się, jeszcze się zobaczymy.*

*I odchodzi, rozplywając się w mroku. A ona pozwala jej odejść. I chwytą się tej drobnej, nic nieznaczącej obietnicy, żeby nadal mieć nadzieję.*

## 28.

– Fotel Alexandra Bermanna!

Członkowie zespołu koncentrowali się w „Myślarni” na słowach Gavili. Wrócili pamięcią do obskurnej dzielnicy, w której pedofil miał swoją norę z komputerem wykorzystywanym do polowań w Internecie.

– Krepp nie znalazł odcisków palców na starym skórzanym fotelu, który stał w suterenie!

Niespodziewanie ten fakt wydał się teraz Goranowi odkryciem.

– Wszędzie były ich setki, ale na nim nie! Dlaczego? Ponieważ ktoś zadał sobie trud, żeby je usunąć!

Kryminolog podszedł do ściany, do której umocowano pinezkami wszystkie raporty, zdjęcia i karty z wynikami śledztwa w sierocińcu.

Zdjął jedną z nich i zaczął czytać. Była to transkrypcja nagrania z magnetofonu znalezionej w trumnie Billy’ego Moore’a, na którym Ronald Dermis jako dziecko spowiadał się ojcu Rolfowi.

– „Ron, ty wiesz, co się przydarzyło Billy’emu, prawda?”. „Pan Bóg zabrał go do siebie”. „To nie Pan Bóg go zabrał, Ron. Ty wiesz, kto to był?”. „Spadł. Spadł z wieży”. „Ale ty byłeś z nim”. „...Tak”. A dalej ksiądz zapewnia: „Nikt nie będzie cię karał, jeżeli powiesz, co się stało. Przyrzekam”. I posłuchajcie, co odpowiada Ronald: „On mi powiedział, żebym to zrobił”... Rozumiecie? „On”.

Goran spojrział na twarze obecnych, którzy przyglądali mu się z zakłopotaniem.

– Posłuchajcie teraz, o co pyta ojciec Rolf: „Jaki on? Billy? To Billy prosił cię, żebyś go zepchnął?”. „Nie”, odpowiada Ronald. „Więc któryś z chłopców?”, a Ronald znowu mówi: „Nie”. „W takim razie kto? Odpowiedz mi wreszcie. Osoba, o której mówisz, nie istnieje, prawda? To tylko wytwór twojej wyobraźni?”. Wydaje się, że znowu zaprzeczając, Ronald jest pewny swoich słów, ale ojciec Rolf go zachęca: „Nie ma tu nikogo innego. Tylko ja i twoi koledzy”. I Ronald w końcu odpowiada: „On przychodzi tylko do mnie...”.

Powoli wszyscy zaczynają rozumieć, o co chodzi.

Podniecony jak mały chłopiec, Goran znowu podbiegł do kartek na ścianie i sięgnął po kopię listu, który dorosły Ronald wysłał do śledczych.

– W jego liście uderzyło mnie zdanie: „a potem zjawił się ON, tylko ON mnie rozumiał, nauczył mnie”.

Pokazał im list, stukając palcem we właściwe miejsce.

– Widzicie? Słowo „on” zostało celowo napisane wielkimi literami. Zastanawiałem się już nad tym, ale doszedłem do błędnego wniosku. Sądziłem, że to wyraźny przykład rozszczepienia osobowości, w którym „ja negatywne” pojawia się zawsze oddzielone od „ja czynnego”. I dlatego zamienia się w „On”... „To byłem JA, ale to ON mi powiedział, że bym to zrobił, i JEGO winą jest to, kim jestem...”. Myliłem się! I popełniłem ten sam błąd, który trzydzieści lat temu popełnił ojciec Rolf! Gdy w czasie spowiedzi Ronald mówił „On”, ksiądz myślał, że ma na myśli samego siebie i chce tylko

eksterioryzować własną winę. To typowe dla dzieci. Ale Ronald, którego my poznaliśmy, nie był już dzieckiem.

Mila zauważyła, że wzrok Gorana stracił przenikliwość. Zdarzało się to za każdym razem, gdy popełniał błąd w ocenie.

– „On”, do którego odwołuje się Ronald, nie jest projekcją jego psychiki, sobowtórem, któremu chce przypisać odpowiedzialność za swoje czyny! Nie! To ten sam „On”, który siadał na fotelu Alexandra Bermanna za każdym razem, gdy ten polował w Internecie na dzieci!

Feldher zostawia miriady śladów w domu Yvonne Gress, ale troszczy się o pomalowanie pokoju, w którym dokonał masakry, gdyż zależy mu na utajnieniu lub może unaocznieniu jednego jedynego śladu – uwiecznionej przez krew sylwetki człowieka, który w tym uczestniczył! Dlatego ten „On” to Albert.

– Przykro mi, ale coś mi się tu nie zgadza – oświadczyła Sarah Rosa z pewnością, która wszystkich zdumiała. – Oglądaliśmy nagrania z kamer ochrony na Capo Alto i oprócz Feldhera nikt do tego domu nie wchodził.

Goran odwrócił się do niej, celując w nią palcem:

– Właśnie! Ponieważ on za każdym razem wyłączał kamery, wywołując krótkie spięcie. Jeśli dobrze się zastanowić, ten efekt na ścianie można było uzyskać, używając sylwetki wyciętej z kartonu albo manekina. Czy to niczego nas nie uczy?

– Że to mistrz w tworzeniu złudzeń – podsunęła Mila.

– Dobrze! Od samego początku ten człowiek rzuca nam wyzwania, żebyśmy zrozumieli jego sztuczki. Weźcie na przykład uprowadzenie Sabine z karuzeli. Mistrzowskie posunięcie! Dziesiątki



osób, dziesiątki par oczu w wesołym miasteczku, i nikt niczego nie zauważa!

Wydawało się, że Goran naprawdę jest pod wrażeniem umiejętności przeciwnika. Nie chodzi o to, że nie współczuł ofiarom. Nie była to z jego strony demonstracja braku ludzkich uczuć. Ale przedmiotem jego dociekań był Albert, a zrozumienie motywów, które napędzały jego umysł, było fascynującym wyzwaniem.

– Uważam jednak, że Albert był w pokoju, gdy Feldher masakrował swoje ofiary. Odrzuciłbym manekiny i podobne sztuczki. Wiecie dlaczego? – Przez chwilę kryminolog z przyjemnością przyglądał się ich niepewnym minom. – Krepp odkrył, jak to sam określił, „stałe różnice” w rozłożeniu plam krwi na ścianie wokół sylwetki. Oznacza to, że bez względu na to, jaka przeszkoda zagradzała krwi drogę do ściany, nie była ona nieruchoma!

Sarah Rosa otworzyła ze zdziwienia usta. Nie można było wiele dodać do tych słów.

– Spójrzmy na sprawę praktycznie – odezwał się Stern. – Jeśli Albert poznał Ronalda Dermisa, kiedy był on dzieckiem, to ile lat mógł wtedy mieć? Dwadzieścia, trzydzieści? Teraz będzie więc miał pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt.

– Słusznie – powiedział Boris. – A biorąc pod uwagę rozmiary sylwetki, która zaznaczyła się na ścianie pokoju, powiedziałbym, że ma około metra siedemdziesięciu wzrostu.

– Metr sześćdziesiąt dziewięć – sprecyzowała Sarah Rosa, która już to zmierzyła.

– Mamy częściowy opis człowieka. To już coś.

Głos znowu zabrał Goran.

– Bermann, Ronald, Feldher... oni przypominają wilki. A wilki często działają w stadzie. Każde stado ma przywódcę. I Albert informuje nas właśnie o tym, że to on jest ich szefem. W życiu tych trzech osobników był moment, w którym go poznali, oddzielnie lub razem.

Ronald i Feldher znali się, wychowywali w tym samym sierocińcu, ale można przypuszczać, że nie wiedzieli, kim jest Alexander Bermann.

Jedyny element łączący ich wszystkich to on, Albert. Dlatego zostawia swój podpis w każdym miejscu zbrodni.

– A co się wydarzy teraz? – chciała wiedzieć Sarah Rosa.

– Możecie sobie wyobrazić. Brakuje jeszcze ciał dwóch dziewczynek, a w związku z tym także dwóch członków stada.

– Jest jeszcze dziewczynka numer sześć – przypomniała Mila.

– Tak, ale ją Albert rezerwuje dla siebie.

\* \* \*

Już od około pół godziny stała na chodniku przed domem i nie znalazła w sobie odwagi, żeby zadzwonić. Szukała właściwych słów, którymi mogłaby uzasadnić swoją wizytę. Tak się odzwyczaiła od bliskich stosunków z innymi ludźmi, że nawet najprostsze kontakty wydawały jej się niemożliwe. Marzyła więc na dworze, nie mogąc się zdecydować.

– Przymierzam sobie, że się ruszę, gdy tylko przejedzie następne niebieskie auto.

Minęła dwudziesta pierwsza i ruch był niewielki. W oknach mieszkania Gorana na trzecim piętrze paliło się światło. Na pokrytej topniejącym śniegiem ulicy rozbrzmiewał koncert, na który składały się metaliczne dźwięki spadających kropli, pokaszujące rynny i ochryple bulgotanie kanałów ściekowych.

– Dobrze, idę.

Mila wyszła z cienia, który chronił ją przed spojrzeniami ciekawskich sąsiadów, i szybko podeszła do bramy. Był to stary budynek, w którym w połowie dwudziestego wieku musiała się mieścić jakaś fabryka. Miał duże okna, szerokie gzymsy i kominy nadal zdobiące dach. W okolicy stało wiele takich domów. W całej dzielnicy jakiś architekt zamienił dawne warsztaty na bloki mieszkalne.

Nacisnęła guzik domofonu i czekała.

Minęła prawie minuta, zanim usłyszała wśród trzasków głos Gorana.

– Kto tam?

– To ja, Mila. Przepraszam, ale chcę z tobą porozmawiać i wolałam nie robić tego przez telefon. A przedtem, w Studiu, byłeś bardzo zajęty, więc pomyślałam...

– Wejdz. Trzecie piętro.

Ozwał się krótki metaliczny odgłos i zamek w bramie odskoczył.

Funkcję windy pełnił dźwig towarowy. Żeby go uruchomić, trzeba było zamknąć przesuwne drzwi i pociągnąć za dźwignię. Mila wjechała powoli na trzecie piętro. Znalazłszy się na podeście, zobaczyła jedyne, uchylone dla niej drzwi.

– Wejdz, rozgość się!

Głos Gorana dochodził z głębi mieszkania. Mila weszła do środka.

Znalazła się na poddaszu, w przestronnym holu. Zobaczyła kilkoro drzwi do pokojów. Podłoga była z surowych desek, żeliwne kaloryfery otaczały belki podpierające dach. W wielkim kominku palił się ogień, który zalewał wnętrze bursztynowym światłem. Mila zamknęła za sobą drzwi, zadając sobie pytanie, gdzie jest gospodarz. Po chwili pojawił się na progu kuchni.

– Jeszcze chwilka i jestem do dyspozycji.

– Nie spiesz się.

Rozejrzała się. Mimo iż Goran zawsze wyglądał niechlujnie, w jego mieszkaniu panował porządek. Nigdzie ani śladu kurzu, widać za to było, że ten człowiek starał się wnieść trochę harmonii do życia swojego synka.

Po chwili zobaczyła, że nadchodzi ze szklanką wody w rękę.

– Przepraszam, że wpadłam tak niespodziewanie.

– Nie szkodzi, zwykle późno kładę się spać – odparł, wskazując szklankę. – Usypiam Tommy’ego. Nie zajmie to dużo czasu. Usiądź albo nalej sobie coś do picia. Tam, w głębi, jest barek na kółkach.

Mila skinęła głową i zobaczyła, że Goran wchodzi do jednego z pokojów. Żeby pozbyć się zakłopotania, podeszła do barku i zrobiła

sobie wódkę z lodem. Popijając ją na stojąco koło kominka, zobaczyła kryminologa przez uchylone drzwi pokoju syna. Siedział na łóżku chłopca i coś mu opowiadał, głaszcząc go po biodrze. W półmroku pokoju, oświetlonego tylko nocną lampką w kształcie kłowna, widać było zaledwie zarys sylwetki Tommy'ego pod kołdrą.

Wydawało się, że w tym rodzinnym świecie Goran jest kimś innym.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał jej się dzień, gdy jako mała dziewczynka po raz pierwszy odwiedziła swojego ojca w biurze.

Mężczyzna w marynarce i krawacie, który co rano wychodził z domu, zamieniał się tam w inną osobę. Stawał się sztywny i poważny, tak inny od jej słodkiego tatusia. Mila przeżyła wstrząs, który wciąż pamiętała.

Przyglądając się teraz Goranowi, doznawała innych uczuć. Sposób, w jaki wypełniał swoje ojcowskie obowiązki, rozczulał ją.

W jej życiu nie było jak dotąd miejsca dla takiej dwoistości. Istniała tylko w jednej wersji. Ciągłość jej egzystencji nie ulegała zawieszeniu. Ani na chwilę nie przestawała być policjantką szukającą zaginionych osób. A robiła to bezustannie. Także w dniach wolnych od pracy, gdy była na zwolnieniu, w trakcie robienia zakupów. Przyglądanie się twarzom nieznanym ludzi stało się jej drugą naturą.

Jak wszyscy ludzie także zaginione nastolatki mają swoją historię, ale w pewnym momencie ulega ona przerwaniu. Mila podążała śladem ich kroków, które niknęły w ciemności. Nigdy nie zapominała ich twarzy. Zawsze potrafiłaby je rozpoznać, nawet po wielu latach.

Ponieważ te dzieci są wśród nas, myślała. Czasami wystarczy rozejrzeć się wśród dorosłych, którymi się stały.

Goran opowiadał synowi bajkę. Mila nie chciała patrzeć na tak intymną scenę. To nie jest widok dla jej oczu. Odwróciła się, ale natychmiast napotkała uśmiech Tommy'ego na fotografii w ramce. Celowo opóźniła wizytę w nadziei, że będzie już w łóżku, bo gdyby się na niego natknęła, wprowadziłaby go w zakłopotanie.

Tommy to część życia Gorana, której nie miała jeszcze okazji poznać.

Wkrótce kryminolog wrócił i oznajmił z uśmiechem:

- Zasnął.
- Nie chciałam przeszkadzać, ale pomyślałam, że to ważne...
- Nie musisz się tłumaczyć. Mów, o co chodzi.

Usiadł na jednej z kanap i zaprosił ją, żeby usiadła obok niego.

Ogień w kominku rzucał na ścianę tańczące odblaski.

- To się powtórzyło, znowu ktoś mnie śledził.

Goran zmarszczył czoło.

- Jesteś pewna?
- Poprzednim razem nie, ale teraz tak.

Opowiedziała mu, co jej się przydarzyło, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Samochód ze zgaszonymi reflektorami, odbicie światła księżyca na jego karoserii, fakt, że śledzący ją wołał zawrócić, gdy został odkryty.

- Ale dlaczego ktoś miałby śledzić właśnie ciebie?

Zadał jej już to pytanie w restauracji, kiedy podzieliła się z nim wrażeniem, że była śledzona na placu przed motelem. Tym razem wydawało się, że Goran kieruje je przede wszystkim do siebie, bo po krótkim zastanowieniu powiedział:

– Nie potrafię znaleźć wystarczającego powodu.

– A ja nie sądzę, że w tej chwili należałoby dać mi ochronę, żeby przyłapać mojego prześladowcę na gorącym uczynku.

– Ma teraz pewność, że o tym wiesz, więc nie będzie próbował ponownie.

Mila pokiwała głową.

– Ale przyszłam nie tylko z tego powodu.

– Coś odkryłaś? – Goran znowu na nią spojrział.

– To coś więcej niż odkrycie, myślę, że coś zrozumiałam. Jedną z tych sztuczek Alberta.

– Którą? Bo było ich wiele.

– W jaki sposób uprowadził dziewczynkę z karuzeli, że nikt niczego nie zauważył.

W oczach Gorana błysnęło zainteresowanie.

– Mów, słucham cię.

– Przyjmowaliśmy zawsze za pewnik, że to Albert ją porwał. A więc mężczyzna. Ale gdyby zrobiła to kobieta?

– Dlaczego tak myślisz?

– Tak naprawdę po raz pierwszy myśl o tym podsunęła mi matka Sabine. Choć jej o to nie pytałam, powiedziała mi, że gdyby na tej

karuzeli był jakiś obcy mężczyzna – a więc nie ojciec którejś z dziewczynek – ona by to zauważyła. Dodała też, że matka ma do tych rzeczy coś w rodzaju szóstego zmysłu. I ja jej wierzę.

– Dlaczego?

– Ponieważ policja przejrzała setki zdjęć zrobionych tamtego wieczoru, a także amatorskie filmy, i nikt nie zauważył podejrzanego mężczyzny. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że nasz Albert wygląda przeciętnie, więc powiedziałam sobie, że kobiecie byłoby jeszcze łatwiej porwać tę dziewczynkę.

– Twoim zdaniem ma jakąś współniczkę. – Wyglądało na to, że Goran nie odrzuca tego przypuszczenia. – Nie mamy jednak elementów, które mogłyby potwierdzić tę tezę.

– Wiem. I to jest właśnie problem.

Goran wstał i zaczął chodzić po pokoju, skubiąc nieogoloną brodę.

– Nie byłoby to nic nowego. Coś takiego zdarzało się już w przeszłości. Na przykład w Gloucester, w przypadku Freda i Rosemary Westów.

Zrelacjonował szybko śledztwo w sprawie małżonków, którzy okazali się seryjnymi mordercami. On murarz, ona pomoc domowa.

Dziesięcioro dzieci. Razem łapali i zabijali niewinne dziewczęta, zmuszając je przedtem do udziału w organizowanych przez siebie orgiach, a potem grzebali je na podwórzu swojego domu pod numerem dwudziestym piątym przy Cromwell Road. Pod podłogą ganku skończyła też szesnastoletnia córka tej pary, bo prawdopodobnie ośmieliła się im sprzeciwić. Dwie dalsze ofiary, które można było powiązać z Fredem, odnaleziono w innych



miejskach. W sumie dwanaście trupów. Ale policja odstąpiła od kopania pod szarym domkiem z obawy, że mógłby się zawalić.

Analizując ten wyjątkowy przypadek, Goran doszedł do wniosku, że teoria Mili o istnieniu współniczki Alberta nie jest bezpodstawna.

– Być może to ta kobieta opiekuje się szóstą dziewczynką.

Goran był zaintrygowany, ale nie chciał poddać się fali entuzjazmu.

– Wiesz, Milu, nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, bo masz słuszne podejrzenia, ale musimy je zweryfikować.

– Porozmawiasz o tym z innymi?

– Zastanowię się nad tym. Tymczasem poproszę kogoś z naszych, żeby przyjrzał się zdjęciom i filmom z wesołego miasteczka.

– Ja mogę to zrobić.

– Dobrze.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Coś, co mnie zaciekawia. Próbowałam sama znaleźć odpowiedź, ale mi się nie udało.

– O co chodzi?

– W trakcie rozkładu ciała oczy trupa się zmieniają, prawda?

– No tak, zazwyczaj po jakimś czasie rozjaśnia się tęczówka...

Goran umilkł i spojrzał na nią uważnie. Nie rozumiał, do czego Milla zmierza.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

Mila wyjęła z kieszeni zdjęcie Sabine, które dostała od jej matki pod koniec wizyty. To samo, które przez całą drogę powrotną leżało na siedzeniu obok niej, a gdy minął strach, jakiego napędził jej prześladowca, przyłapała się na tym, że się w nie wpatruje. To ono obudziło jej wątpliwości.

Coś się w nim nie zgadza.

Goran sięgnął po zdjęcie i przyjrzał mu się.

– Dziewczynka, której zwłoki znaleźliśmy w willi Kobashich, miała niebieskie oczy – wyjaśniła Mila. – Natomiast oczy Sabine były brązowe.

\* \* \*

W czasie jazdy taksówką Goran nie odezwał się ani słowem. Po podzieleniu się z nim swoim odkryciem Mila zauważyła, że jego nastrój nagle się zmienił. Powiedział też coś, co ją uderzyło.

– Wydaje nam się, że doskonale znamy osoby, z którymi obcujemy, a tymczasem nie wiemy o nich nic. – A potem dodał: – On nas oszukał.

Z początku myślała, że kryminolog ma na myśli Alberta. Ale tak nie było.

Przysłuchiwała się kilku szybkim telefonom, które oprócz członków zespołu objęły także opiekunkę Tommy'ego.

– Musimy wyjść – powiedział chwilę potem, nie dodając żadnych wyjaśnień.

– A twój syn?

– Będzie sobie spał, a pani Runa dotrze tu za dwadzieścia minut.

Po czym zadzwonili po taksówkę.

O tej godzinie siedziba policji federalnej była jeszcze oświetlona.

Po budynku kręcili się agenci, którzy przekazywali sobie nocną zmianę. Prawie wszyscy byli związani z tym śledztwem. W poszukiwaniu miejsca uwięzienia szóstej dziewczynki od wielu dni dokonywano przeszukań w domach podejrzanych osobników albo w miejscach wskazanych przez usłużnych obywateli.

Goran zapłacił taksówkarzowi i ruszył do głównego wejścia, nie obejrzawszy się nawet na Milę, która z trudem za nim nadążała. Na piętrze wydziału zajmującego się badaniem zachowań czekali już na nich Rosa, Boris i Stern.

– Co się dzieje? – zapytał najstarszy z agentów.

– Konieczne są pewne wyjaśnienia – odpowiedział Goran. – Musimy natychmiast spotkać się z Roche'em.

Wszedłszy do gabinetu szefa, kryminolog wpadł w sam środek zebrania wyższych funkcjonariuszy policji federalnej, które trwało już od kilku godzin. Tematem było śledztwo w sprawie Alberta.

– Musimy z tobą porozmawiać – zwrócił się do inspektora.

Roche podniósł się z fotela i przedstawił Gorana:

– Panowie, znacie wszyscy doktora Gavilę, który już od lat wnosi cenny wkład do pracy mojego wydziału.

Goran szepnął mu na ucho:

– Natychmiast.

Okolicznościowy uśmiech zamarł na twarzy Roche'a.

– Proszę panów o wybaczenie, ale są nowe okoliczności, które wymagają mojej obecności gdzie indziej.

Zbierając papiery ze stołu, Roche czuł na sobie spojrzenia obecnych. Tymczasem Goran czekał na niego dwa kroki za jego plecami, a reszta zespołu stała w wejściu.

– Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego – powiedział inspektor, rzuciwszy teczkę z dokumentami na biurko.

Goran zaczekał, aż wszyscy wejdą, a potem zamknął drzwi i zwrócił się do Roche'a:

– Zwłoki znalezione w salonie Kobashich nie należą do trzeciej z zaginionych dziewczynek.

Stanowczy ton jego głosu nie dopuszczał zaprzeczenia. Inspektor usiadł i splótł ręce.

– Mów dalej.

– To nie Sabine. To Melissa.

Mila przypomniała sobie dziewczynkę numer cztery. Z uwagi na datę urodzenia była najstarsza z całej szóstki, ale jej wciąż jeszcze niedojrzałe ciało mogło wprowadzić w błąd. I miała niebieskie oczy.

– Mów, słucham cię – powtórzył Roche.

– Może to oznaczać tylko dwie rzeczy. Że Albert zmienił *modus operandi*, ponieważ do tej pory umożliwiał nam znalezienie

dziewczynek w kolejności, w jakiej je porywał. Albo Chang coś pochrzanił z badaniami DNA.

– Myślę, że obie hipotezy są do przyjęcia – powiedział pewnym głosem Roche.

– Natomiast ja myślę, że pierwsza jest niemożliwa. A jeśli chodzi o drugą, to uważam wręcz, że to ty kazałeś mu sfalszować wyniki, zanim przekazał je Mili!

Roche poczerwieniał.

– Posłuchaj, doktorze, nie zamierzam wysłuchiwać twoich oskarżeń!

– Gdzie zostało odnalezione ciało dziewczynki numer trzy?

– Co takiego?

Inspektor starał się ze wszystkich sił sprawiać wrażenie, że pytanie go zaskoczyło.

– Jest rzeczą oczywistą, że zostało odnalezione, bo inaczej Albert nie zrobiłby kolejnego kroku i nie przeszedłby do czwartej.

– Zwłoki znajdowały się w domu Kobashich od przeszło tygodnia! Być może powinniśmy byli znaleźć najpierw dziewczynkę numer trzy, jak mówisz. Lub może po prostu znaleźliśmy najpierw czwartą! A potem Chang narobił burdelu. Co ja mogę o tym wiedzieć?

Kryminolog zatopił spojrzenie w jego oczach.

– To dlatego po wypadkach w sierocińcu dałeś nam dwadzieścia cztery godziny wolnego. Żebyśmy nie plątali ci się pod nogami!

– Goranie, mam dość tych twoich śmiesznych oskarżeń! Nie możesz udowodnić żadnego z tych zarzutów!

– Z powodu śledztwa w sprawie, której daliśmy kryptonim „Wilson Pickett”, prawda?

– Zapewniam cię, że to nie ma nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami.

– Bo już mi nie ufasz. I być może nie całkiem bezpodstawnie. Ale jeśli uważasz, że i to śledztwo wymyka mi się z rąk, wolę, żebyś mi to powiedział w oczy, bez politycznych zagrywek. Powiedz to, a wszyscy zrobimy krok do tyłu, żeby nie dawać ci powodów do zakłopotania, i weźmiemy na siebie odpowiedzialność.

Roche nie odpowiedział od razu. Splótł ręce pod brodą i kołysał się w fotelu, po czym spokojnie zaczął:

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, o czym...

– Niech mu pan powie.

Tym, który mu przerwał, był Stern. Roche spiorunował go wzrokiem.

– Niech się pan nie wtrąca!

Goran odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, a potem obrzucił wzrokiem także Borisa i Rosę. I uświadomił sobie, że wiedzieli wszyscy, oprócz niego i Mili.

To dlatego Boris odpowiedział mi tak wymijająco, kiedy pytałam go, co robił w wolnym dniu, pomyślała Milla. Przypomniała też sobie zawołaną groźbę Borisa skierowaną do Roche'a przed domem

Yvonne Gress, gdy ten odmawiał wpuszczenia go do środka przed ludźmi z oddziałów specjalnych. W tej groźbie krył się szantaż.

– Tak, inspektorze. Niech mu pan powie wszystko i skończmy z tym – zachęciła szefa Sarah Rosa, wspierając Sterna.

– Nie może pan trzymać Gorana w nieświadomości, to niesprawiedliwe – dodał Boris.

Wydawało się, że chcą się wytłumaczyć, dlaczego utrzymywali go w niewiedzy, i czują się winni, że posłuchali polecenia, z którym się nie zgadzali.

Roche odczekał jeszcze parę chwil, a potem zaczął spoglądać to na Gorana, to na Milę.

– Zgoda. Ale jeśli puścicie farbę, zniszczę was.

## 29.

Nad polami wstawał nieśmiały świt.

Rozjaśniał lekko kontury wzgórz, które rysowały się jedno po drugim niczym olbrzymie fale. Od szarych chmur odcinała się intensywna zieleń łąk uwolnionych od śniegu, a dolinami wiała się wstęga asfaltu.

Mila oparła czoło o tylną szybę samochodu, dziwnie spokojna, być może z powodu zmęczenia, a może rezygnacji. Bez względu na to, co odkryje na końcu tej krótkiej podróży, nic już jej nie zaskoczy. Roche zbyt nie odsłonił. Nakazawszy jej i Goranowi trzymać język za zębami, zamknął się w swoim biurze z kryminologiem, żeby zetrzeć się z nim twarzą w twarz.

Ona została na korytarzu z Borisem, a on wyjaśnił jej, dlaczego szef postanowił trzymać w nieświadomości ją i Gavilę.

– On jest w zasadzie cywilem, a ty... hm, ty jesteś konsultantką, więc...

Rzecz nie wymagała specjalnych wyjaśnień. Bez względu na to, co Roche starał się zachować w tak wielkim sekrecie, sytuacja musiała pozostać pod kontrolą. Dlatego zasadniczą sprawą było unikanie przecieków: należało informować tylko tych, którzy podlegają mu bezpośrednio i z tego powodu mogą być zastraszeni.



Prócz tego Mila nie dowiedziała się niczego Więcej. I nawet o nic nie pytała.

Po mniej więcej dwóch godzinach drzwi biura Roche'a otworzyły się i inspektor kazał Borisowi, Sternowi i Rosie zawieźć doktora Gavilę na miejsce odnalezienia trzecich zwłok. I choć nie wymienił jej imienia, zgodził się, żeby w wyprawie uczestniczyła także Mila.

Wyszli z budynku i udali się do pobliskiego garażu. Wzięli dwa zwykłe wozy z cywilnymi tablicami rejestracyjnymi, żeby nie ruszyli za nimi dziennikarze, którzy wciąż stali przed gmachem.

Mila wsiadła ze Sternem i Gavilą, celowo unikając auta, które wybrała Sarah Rosa. Po próbie rzucenia cienia na jej stosunki z Goranem nie sądziła, że będzie w stanie ją znieść, i bała się, iż w każdej chwili może wybuchnąć.

Mila próbowała spać podczas jazdy, i po części jej się to udało.

Kiedy się obudziła, byli prawie na miejscu.

Droga nie należała do zbyt uczęszczanych. Mila zauważyła stojące na poboczu trzy szare auta. W każdym siedziało dwóch ludzi.

Posterunki, pomyślała. Postawione po to, żeby nie dopuszczać ciekawskich.

Przejechali wzdłuż wysokiego muru z czerwonych cegieł, który ciągnął się przez niecały kilometr, aż w końcu dotarli do ciężkiej żelaznej bramy.

Tu droga się urywała.

Nie było dzwonnka ani domofonu. Na słupku umocowano kamerę, która natychmiast zaczęła ich szukać elektronicznym okiem, gdy

tylko się zatrzymali. Wycelowała w nich i znieruchomiała. Czekali co najmniej minutę, po czym brama zaczęła się otwierać. Ukazało się za nią przedłużenie drogi, która prawie natychmiast ginęła za pagórkiem.

Nie było widać żadnego budynku, tylko rozległy trawnik.

Jechali co najmniej dziesięć minut, nim dojrzeliby szczyty starej budowli. Dom ukazywał się stopniowo, jakby wynurzał się z trzewi ziemi. Był ogromny i surowy, utrzymany w stylu typowym dla siedzib z początków dwudziestego wieku wznoszonych przez magnatów stali i ropy naftowej, którzy celebrowali w ten sposób swoją zamożność.

Mila zauważyła dominujący nad fasadą kamienny herb. Wyróżniała się w nim ogromna rzeźbiona litera R.

Była to siedziba Josepha B. Rockforda, prezesa fundacji jego imienia, która wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu milionów za odnalezienie szóstej dziewczynki.

Minęli dom i zaparkowali oba auta w pobliżu stajni. Aby dotrzeć na miejsce, które znajdowało się przy zachodnim skraju majątku liczącego wiele hektarów, musieli skorzystać z elektrycznych pojazdów przypominających wózki golfowe.

Mila wsiadła do wózka ze Sternem, który zajął miejsce za kierownicą i zaczął jej wyjaśniać, kim jest Joseph B. Rockford i jakie jest pochodzenie jego rodziny i ogromnego bogactwa.

Dynastia wzięła początek przeszło sto lat temu od Josepha B.

Rockforda I, dziadka obecnego właściciela. Według legendy był on jedynym synem imigranta, który trudnił się fryzjerstwem. Nie czując powołania do nożyczek i brzytw, sprzedał ojcowski zakład,

żeby poszukać szczęścia. Podczas gdy w tamtej epoce wszyscy inwestowali w rodzący się przemysł naftowy, Rockford I wpadł na szczęśliwy pomysł zainwestowania oszczędności w firmę zajmującą się wierceniem studzien artezyjskich. Opierając się na założeniu, że ropa naftowa prawie zawsze występuje w najmniej gościnnych miejscach ziemi, Rockford wysnuł wniosek, że ludziom, którzy poświęcili życie na pospieszne bogacenie się, bardzo prędko zabraknie podstawowego dobra, jakim jest woda. Wodę wydobywaną ze studzien artezyjskich wierconych w pobliżu głównych złóż płynnego złota sprzedawano po prawie dwa razy wyższej cenie niż ropę.

Joseph B. Rockford I zmarł jako miliarder. Śmierć dopadła go, zanim ukończył pięćdziesiąty rok życia. Zmarł na dość rzadką, błyskawicznie rozwijającą się odmianę raka żołądka.

Joseph B. Rockford II odziedziczył po ojcu ogromną fortunę, którą zdołał podwoić, spekulując na wszystkim, co się napatoczyło, od indyjskich konopi po budownictwo, od hodowli bydła po elektronikę.

Aby ukoronować swe sukcesy, poślubił królową piękności, która urodziła mu dwoje pięknych dzieci.

Jego syn, Joseph B. Rockford III, który był starszy od siostry, w bardzo młodym wieku stanął na czele ogromnego imperium. W swoim pierwszym i jedynym zarządzeniu ograniczył się do usunięcia ze swego nazwiska kłopotliwego dodatku w postaci rzymskiej trójki. Nie mając żadnych ekonomicznych ambicji i mogąc pozwolić sobie na każdy luksus, Joseph B. Rockford wiódł egzystencję pozbawioną celu.

Powołanie rodzinnej fundacji Rockfordów było pomysłem jego siostry Lary. Instytucja promowała zdrową żywność, dach nad głową dla każdego oraz opiekę medyczną i wykształcenie dla dzieci mniej uprzywilejowanych niż ona i jej brat. Na cele fundacji przeznaczono natychmiast połowę rodzinnego majątku. Pomimo szczodrości doradcy Rockfordów obliczyli, że Rockfordowie mieliby za co żyć w dostatku przez co najmniej jeszcze jedno stulecie.

Trzydziestosiedmioletnia obecnie Lara Rockford w trzydziestym drugim roku życia cudem uniknęła śmierci w wypadku samochodowym. Jej brat Joseph miał lat czterdzieści dziewięć. Dziedziczny rak żołądka, który zabrał ze świata najpierw jego dziadka, a potem ojca, zaledwie przed jedenastoma miesiącami objawił się również u niego.

Od trzydziestu czterech dni Joseph B. Rockford pozostawał w stanie śpiączki, czekając na śmierć.

Mila uważnie słuchała opowieści Sterna, podczas gdy elektryczny samochodzik podskakiwał na nierównościach terenu. Przemierzali dróżkę, która najwyraźniej powstała w ciągu ostatnich dwóch dni w sposób całkowicie samorzutny, z powodu ustawicznego ruchu w obie strony takich pojazdów jak ten.

Po mniej więcej półgodzinie dotarli na skraj polany, na której odnaleziono trzecie zwłoki. Mila z daleka rozpoznała ruchliwe białe kombinezony, które ożywiały wszystkie takie miejsca. I właśnie ich widok wstrząsnął nią najbardziej, nim jeszcze na własne oczy ujrzała widowisko, jakie Albert przygotował tym razem.

W pracowitej krzątaniu brało udział przeszło stu specjalistów.

\* \* \*

Z nieba lały się bezlitośnie strumienie wody. Mila czuła się nieswojo, torując sobie drogę między ludźmi wyznaczonymi do usunięcia wielkich ilości ziemi. W miarę wydobywania na światło dzienne kolejnych kości były one katalogowane i umieszczane w przezroczystych torbach, które opatrywano etykietami, a potem wkładano do skrzynek.

W jednej z nich Mila doliczyła się co najmniej trzydziestu kości udowych, w innej takiej samej liczby miednic.

– Dziewczynka została znaleziona mniej więcej tam – powiedział Stern, zwracając się do Gorana.

Wskazał ogrodzoną strefę, którą pokryto plastikowymi płachtami chroniącymi przed deszczem. Na ziemi można było dostrzec zarys leżących zwłok sporządzony za pomocą lateksu. Kontury sylwetki znaczyła biała linia. Ciału brakowało lewej ręki.

Sabine.

- Zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu leżały na trawie.
- Kto je znalazł?
- Jeden z łowczych, którzy pilnują majątku.
- Zaczęliście kopać od razu?
- Najpierw przywieźliśmy psy, ale niczego nie wywęszyły. Potem obejrzeliliśmy tę okolicę z pokładu helikoptera, żeby stwierdzić, czy są

widoczne różnice w jej ukształtowaniu. Zauważyliśmy, że dookoła miejsca, w którym leżą zwłoki, roślinność wygląda inaczej.

Pokazaliśmy zdjęcia botanikowi i on potwierdził, że te różnice mogą wskazywać, iż coś jest pod ziemią.

Mila już o tym słyszała: podobnych sposobów używano w Bośni przy poszukiwaniu masowych grobów ofiar czystek etnicznych.

Obecność ciał pod ziemią wpływa na roślinność takich miejsc, ponieważ gleba wzbogaca się o substancje organiczne pochodzące z rozkładu.

– Ile ich tu może być? – spytał Goran, rozglądając się.

– Trzydzieści, czterdzieści ciał, trudno powiedzieć.

– A od jak dawna leżą pod ziemią?

– Wydobyliśmy bardzo stare kości, ale inne wydają się świeższe.

– Do kogo należały?

– Do mężczyzn. Przeważnie młodych, w wieku od szesnastu do dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech lat. W wielu przypadkach potwierdziło to badanie uzębienia.

– To sprawa, przy której bledną wszystkie poprzednie – skomentował te informacje kryminolog, który zastanawiał się już nad konsekwencjami podania tej historii do publicznej wiadomości. – Roche nie dojdzie chyba do wniosku, że należy pogrzebać ją głęboko pod ziemią, prawda? Znalazło się tu tylu ludzi.

– Nie, inspektor stara się tylko odsunąć zawiadomienie opinii publicznej do czasu, aż wszystko zostanie wyjaśnione.

– A to dlatego, że jak dotąd nikt nie potrafi wyjaśnić, co tego rodzaju masowy grób robi w pięknym majątku Rockfordów. – Powiedział to z lekką pogardą, co nie umknęło żadnemu z obecnych. – Ale ja myślę, że nasz szef wyrobił już sobie pogląd na tę sprawę. A wy?

Stern nie wiedział, co odpowiedzieć. Boris i Rosa także.

– Stern, jestem ciekaw jeszcze jednej rzeczy. Czy te zwłoki znaleziono przed czy po wyznaczeniu nagrody?

– Przed – odparł agent bardzo cicho.

– Tak podejrzewałem.

Po powrocie w pobliże stajni zastali tam Roche'a. Czekał na nich obok samochodu wydziału, którym przyjechał. Goran wysiadł z wózka i ze stanowczą miną ruszył w jego kierunku.

– Czy nadal mam zajmować się tym śledztwem?

– Jasne, że tak! Wyobrażasz sobie, że łatwo mi przyszło utrzymać cię w niewiedzy?

– Może nie było to łatwe, jeśli zważyć, że tak czy owak wszystko odkryłem. Powiedziałbym raczej, że było wygodne.

– Co masz na myśli?

Inspektor zaczynał się irytować.

– Że ja znalazłbym właściwe określenie dla człowieka, który za to odpowiada.

– Skąd masz pewność, kto to jest?

– Stąd, że gdybyś i ty nie uważał, że sprawcą tego wszystkiego jest Rockford, nie kłopotalbyś się aż tak bardzo utrzymywaniem sprawy w sekrecie.

Roche wziął go za ramię.

– Posłuchaj, Goranie, tobie się wydaje, że to zależy tylko ode mnie. Ale wierz mi, tak nie jest. Nie masz pojęcia o naciskach z góry.

– Co próbujesz ukryć? Ile osób jest zamieszanych w to obrzydlistwo?

Roche obejrzał się, dał znak kierowcy, żeby się oddalił, po czym odwrócił się do członków zespołu.

– No dobrze, wyjaśnijmy to raz na zawsze. Na myśl o tej historii chce mi się zwyczajnie rzygać. Nie muszę nawet sięgać po groźby, żebyście trzymali języki za zębami, bo jeśli tylko pozwolicie sobie na jedno nieopatrzone słówko, w jednej chwili stracicie wszystko, kariery i emerytury. A ja razem z wami.

– Jasna sprawa. A więc co się za tym kryje? – zachęcił go Goran.

– Joseph B. Rockford nigdy nie opuszczał tego miejsca i domu.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Boris. – Nigdy?

– Ani razu – potwierdził Roche. – Wydaje się, że z początku była to mania jego matki, byłej królowej piękności. Darzyła go chorobliwą miłością i nie pozwalała, by miał normalne dzieciństwo i wiek dojrzewania.

– Ale przecież po jej śmierci... – próbowała zaproponować Sarah Rosa.



– Po jej śmierci było już za późno. Chłopiec nie potrafił nawiązać jakiegokolwiek kontaktu z innymi ludźmi. Zawsze otaczały go osoby od niego zależne, pozostające na służbie rodziny. Ponadto wisiało nad nim tak zwane przekleństwo Rockfordów polegające na tym, że wszyscy mężczyźni spadkobiercy około pięćdziesiątego roku życia umierali na raka żołądka.

– Być może matka starała się nieświadomie uchronić go od tego losu? – podsunął Goran.

– A jego siostra? – spytała Mila.

– To osoba zbuntowana – wyjaśnił Roche. – Młodsza od niego, w ostatniej chwili zdołała wyrwać się spod presji dziwactw matki. A potem żyła, jak chciała, krążyła po świecie, trwoniąc majątek, wchodząc w najbardziej nieprawdopodobne związki, sięgając po wszelkiego rodzaju narkotyki i doświadczenia. A wszystko po to, żeby pokazać, że jest inna niż brat, który pozostał więźniem tego miejsca. Aż do wypadku samochodowego, który miał miejsce pięć lat temu i praktycznie biorąc, zamknął ją razem z nim w tym domu.

– Joseph B. Rockford był homoseksualistą – wtrącił Goran.

– Tak, istotnie – potwierdził Roche. – Mówią o tym także trupy znalezione w masowym grobie. Wszyscy w kwiecie wieku.

– Ale dlaczego miałyby ich zabijać? – zastanawiała się Sarah Rosa.

Odpowiedział jej Goran. Spotkał się z takimi przypadkami.

– Jeśli się mylę, niech pan inspektor mnie poprawi, ale myślę, że Rockford nie akceptował samego siebie i swoich skłonności. Lub może w młodości ktoś odkrył jego seksualne preferencje i on nigdy mu tego nie wybaczył.

Wszystkim przyszła na myśl jego matka, choć nikt nie powiedział tego głośno.

– No i przy każdym powrocie do tych praktyk miał poczucie winy. Ale zamiast karać samego siebie, karał swoich kochanków. Śmiercią – podsumowała Mila.

– Są tu ich trupy, a on nigdy się stąd nie ruszył – podjął Goran. – Więc to tutaj ich zabijał. Czy to możliwe, że nikt ze służby, ogrodnicy czy strażnicy, niczego nie zauważył?

Roche znał odpowiedź, ale wołał, żeby domyślili się jej sami.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Boris. – Płacił im!

– Przez te wszystkie lata kupował sobie ich milczenie – dodał z pogardą Stern.

Jaka jest cena ludzkiej duszy? – pomyślała Mila. Ponieważ w gruncie rzeczy o to właśnie chodziło. Zdarza się, że istota ludzka odkrywa w sobie złe skłonności, z racji których radość sprawia tylko zabijanie podobnych sobie. Kogoś takiego nazywa się zabójcą albo seryjnym mordercą. Ale jak nazwać tych, którzy go otaczają i nie robią nic, żeby zapobiec zbrodniom, przeciwnie, czerpią z tego korzyści?

– Skąd brał tych chłopców? – zapytał Goran.

– Jeszcze nie wiemy. Wydaliśmy nakaz aresztowania jego sekretarza, który po znalezieniu ciała dziewczynki się rozplątał.

– A jakie kroki podejmiecie wobec reszty personelu?

– Zostali zatrzymani do czasu, aż dowiemy się, czy brali pieniądze, czy też ich nie brali, i jak dużo wiedzieli.

– Rockford nie ograniczył się do korumpowania ludzi z najbliższego otoczenia, prawda?

Wydawało się, że Goran czyta w myślach Roche’a, który odrzekł:

– Kilka lat temu pewien policjant powziął podejrzenia, prowadząc śledztwo w sprawie zaginięcia nastolatka, który uciekł z domu i okradł dom towarowy. Jego ślady doprowadziły aż tu. Ale wtedy Rockford zwrócił się do swoich potężnych przyjaciół i gliniarza przeniesiono. Innym razem pewna para znalazła się na drodze, która graniczy z murem otaczającym posiadłość. Zobaczyli, że ktoś przełazi przez ogrodzenie: był to pólnagi chłopiec ranny w nogę i w szoku.

Zabrali go do samochodu i zawieźli do szpitala. Pozostał tam tylko kilka godzin, bo ktoś po niego przyszedł, mówiąc, że jest z policji. Od tamtej pory wszelki ślad po chłopcu zaginał. Lekarze i pielęgniarki zostali łapówkami skłonieni do milczenia. A jeśli chodzi o tę parę, byli to kochankowie mający rodziny, więc wystarczyła groźba powiadomienia o wszystkim ich małżonków.

– To straszne – westchnęła Mila.

– Wiem.

– A co może nam pan powiedzieć o jego siostrze?

– Myślę, że Lara Rockford nie jest w najlepszej formie. Bardzo ucierpiała w wypadku. Doszło do niego niedaleko stąd. Z jej winy:

wypadła z drogi i uderzyła w dąb.

– Mimo to będziemy musieli z nią porozmawiać. A także z Rockfordem – zdecydował Goran. – Prawdopodobnie ten człowiek wie, kim jest Albert.

– Jak, u diabła, chcesz z nimi rozmawiać? Jest w śpiączce!

– Więc oszukał nas tym swoim rakiem! – Na twarzy Borisa malowała się wściekłość. – Nie tylko nie może służyć nam pomocą, ale nie posiedzi nawet jednego dnia za to, co zrobił!

– O, nie, mylisz się – powiedział Roche. – Jeśli istnieje piekło, to tam właśnie na niego czekają. Ale on kroczy tam bardzo powoli i w bólach. Ten szubrawiec jest uczulony na morfinę, więc nie można oszczędzić mu cierpień.

– Więc dlaczego utrzymują go przy życiu?

Roche uśmiechnął się ironicznie, unosząc brwi.

– Taka jest wola jego siostry.

\* \* \*

Wnętrza w domu Rockfordów zostały celowo urządzone tak, aby przywodziły na myśl zamek. Ich architektura zdominowana była przez czarne marmury, których żyłkowania zagarniały całe światło. Okna osłaniały ciężkie aksamitne zasłony. Obrazy i arrasy przedstawiały przeważnie sceny bukoliczne lub myśliwskie. Z sufitu zwisał ogromny kryształowy żyrandol.

Przekroczywszy próg domu, Mila poczuła przenikliwy chłód. Pomimo luksusowego urządzenia był przesiąknięty atmosferą upadku.

Lara Rockford „zgodziła się ich przyjąć”. Dobrze wiedziała, że nie może się od tego uchylić, ale użycie tego zwrotu wskazywało na typ

osoby, z którą mieli się spotkać.

Czekała na nich w bibliotece. Przesłuchiwać mieli ją Mila, Goran i Boris.

Mila zobaczyła ją z profilu. Siedziała na skórzanej kanapie, a jej ręka rysowała elegancką parabolę, gdy podnosiła do ust papierosa.

Była bardzo piękna. Już z daleka uderzyła ich wszystkich subtelną krzywizną jej czoła, schodzącą wzdłuż cienkiego nosa aż do pełnych warg. Jej oko, z bardzo długimi rzęsami, urzekło intensywną, magnetyczną zielenią.

Gdy jednak podeszli bliżej i znaleźli się naprzeciwko niej, przeraził ich widok drugiej połowy jej oblicza. Szpeciła je wielka blizna, która zaczynała się u nasady włosów, biegła przez czoło, zagłębiając się w pustym oczodole, a potem schodziła w dół niczym bruzda po łzie, aby sięgnąć podbródka.

Mila zauważyła też, że Lara ma sztywną nogę i nie może ukryć tego defektu, odpowiednio siadając. Obok niej dostrzegła książkę, lecz nie można było odczytać tytułu ani autora, bo leżała okładką do dołu.

– Dzień dobry – powiedziała Lara na powitanie. – Czemu zawdzięczam państwa wizytę?

Nie poprosiła, żeby usiedli. Stali na wielkim dywanie, który pokrywał niemal połowę podłogi w pokoju.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań – zaczął Goran. – Oczywiście, jeśli to możliwe...

– Proszę, słucham państwa.

Lara Rockford zgasila papierosa w alabastrowej popielniczce, po czym siegnęła po następnego do paczki, którą trzymała na podółku w skórzanym puzderku razem ze złotą zapalniczką. Podczas przypalania go jej cienkie palce niedostrzegalnie drżały.

– To pani zaoferowała nagrodę wysokości dziesięciu milionów za odnalezienie szóstej dziewczynki – przypomniał Goran.

– Wydawało mi się, że to minimum tego, co mogę zrobić.

Najwyraźniej rzucała im wyzwanie. Być może chciała ich rozdrażnić lub może powodem tego był tylko jej wyjątkowy nonkonformizm, wyraźnie kontrastujący z surowością domu, w którym postanowiła się zaszyć.

Goran zdecydował się przyjąć wyzwanie.

– Wiedziała pani, co robił pani brat?

– Wszyscy wiedzieli. I wszyscy milczeli.

– Dlaczego tym razem nie?

– Co pan ma na myśli?

– Strażnika, który znalazł ciało dziewczynki, bo jak przypuszczam, on też był na liście płac.

Mila domyśliła się tego, co już wcześniej odgadł Goran, a mianowicie, że Lara mogłaby z łatwością zatuszować całą sprawę. Ale nie chciała.

– Czy wierzy pan w istnienie duszy?

Zadając to pytanie, Lara przeciągnęła dłonią po grzbiecie książki leżącej obok niej.

– A pani?

– Zastanawiam się nad tym od niedawna...

– Czy to z tego powodu nie pozwala pani odłączyć brata od urządzeń, które utrzymują go przy życiu?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko spojrzała na sufit. Joseph B.

Rockford leżał piętro wyżej w łóżku, w którym sypiał od dzieciństwa.

Jego pokój zamieniono w salę intensywnej terapii godną nowoczesnego szpitala. Był podłączony do aparatów, które za niego oddychały, żywiły go lekami i płynami, oczyszczały mu krew i opróżniały trzewia.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć: ja chcę, żeby mój brat umarł – odezwała się wreszcie.

Wydawało się, że mówi szczerze.

– Prawdopodobnie pani brat znał człowieka, który uprowadził i zamordował pięć dziewczynek, a teraz więzi szóstą. Czy nie domyśla się pani, kto może być tym...

Lara zwróciła swoje jedyne oko na Gorana i utkwiała je w jego twarzy. Lub raczej ostentacyjnie pozwoliła, żeby to on spojrzał na nią.

– Kto wie, mógłby to być ktoś z naszego personelu. Jedna z osób należących do niego teraz lub w przeszłości. Musielibyście to sprawdzić.

– Już to robimy, ale obawiam się, że poszukiwany przez nas człowiek jest zbyt sprytny, żeby wyświadczyć nam taką przysługę.

– Jak się domyślacie, do tego domu wchodzili tylko ludzie opłacani przez Josepha. Zatrudnieni, z pensją, pod jego kontrolą. Nigdy nie widywałam obcych.

– A czy widywała pani chłopców? – spytała impulsywnie Mila.

Lara zamilkła na dłuższą chwilę.

– Im także płacił – odrzekła wreszcie. – Co jakiś czas, a zwłaszcza ostatnio, zabawiał się podsuwaniem im czegoś w rodzaju kontraktów, na których podstawie sprzedawali mu dusze. Myśleli, że to zabawa czy żart, dzięki któremu wyciągną trochę pieniędzy od zwariowanego miliardera. Więc podpisywali. Wszyscy. W sejfie w gabinecie znalazłam kilka takich dokumentów. Podpisy są dość czytelne, choć prawdę mówiąc, nie używali atramentu.

Roześmiała się po tej makabrycznej aluzji, ale był to dziwny śmiech, który wprowadził Milę w zakłopotanie. Wydobywał się z głębi jej trzewi, jakby trzymała go długo w płucach, a potem wypluła.

Chrypiał nikotyną, ale i bólem. A potem wzięła do ręki książkę.

Był to *Faust*.

Mila zrobiła krok w jej kierunku.

– Czy ma pani coś przeciwko przesłuchaniu pani brata?

Goran i Boris spojrzeli na nią, jakby postradała rozum.

Lara znowu się roześmiała.

– Ale jak chcecie to zrobić? Już teraz jest bardziej trupem niż żywym człowiekiem. – Potem jednak spoważniała. – Za późno.

Mila nie dała za wygraną.



– Niech nam pani pozwoli spróbować.

## 30.

Na pierwszy rzut oka Nicola Papakidis wyglądała na kruchą kobietę.

Być może sprawiała takie wrażenie, ponieważ była niska i szeroka w biodrach. A może z powodu oczu, które kryły pogodną melancholię, przywodząc na myśl piosenkę z musicalu z Fredem Astaire'em lub zdjęcie z balu maskowego sprzed lat albo ostatni dzień lata.

A jednak była to bardzo silna kobieta.

Swoją siłę budowała stopniowo, w ciągu lat walki z małymi i wielkimi przeciwnościami. Urodziła się w małym miasteczku jako pierwsze z siedmiorga dzieci i jedyna dziewczynka. Miała zaledwie jedenaście lat, gdy zmarła jej matka, więc na nią spadło prowadzenie domu, zajmowanie się ojcem i wychowaniem braci. Udało jej się sprawić, że każdy z nich zdobył dyplom i mógł znaleźć dobrą pracę. Dzięki wyrzeczeniom i nieustępliwemu oszczędzaniu na domowych wydatkach nigdy niczego im nie brakowało. Na jej oczach pożenili się z dzielnymi dziewczynami, zbudowali domy. Miała dwadzieścioro wnuków, które były jej radością i dumą. Gdy także najmłodszy z braci opuścił dom rodzinny, ona została, żeby opiekować się starym ojcem, którego nie oddała do domu opieki. Aby nie obciążać tym ciężarem braci i bratowych, mówiła: „Nie martwcie się o mnie. Macie własne rodziny, a ja jestem sama. To nie jest poświęcenie”.

O ojca, który pod jej opieką przekroczył dziewięćdziesiątkę, troszczyła się jak o noworodka. Po jego śmierci zwołała braci, żeby im powiedzieć: „Mam czterdzieści siedem lat i myślę, że już nie wyjdę za mąż. Nigdy nie będę miała dzieci, ale dzięki wam czuję się tak, jakbym je miała, i to mi wystarcza. Dziękuję wam wszystkim za zaproszenia, żebym zamieszkała u was, ale już kilka lat temu dokonałam wyboru, chociaż wyjawiam go wam dopiero teraz. Nie zobaczymy się już, drodzy bracia. Postanowiłam poświęcić życie Jezusowi. Od jutra zamykam się w klasztorze z klauzurą aż do końca moich dni”.

– Więc to zakonnica! – stwierdził Boris, który prowadził auto, słuchając w milczeniu opowieści Mili.

– Nicla jest nie tylko zakonnica. Jest kimś więcej.

– Nie mogę uwierzyć, że udało ci się przekonać Gavilę. A przede wszystkim, że on zdołał później przekonać Roche’a!

– To tylko próba, ale co mamy do stracenia? Poza tym jestem pewna, że Nicla jest osobą, która zachowa całą sprawę w tajemnicy.

– Och, z pewnością!

Na tylnym siedzeniu leżało pudło z wielką czerwoną kokardą.

– Jediną słabością Nicli są czekoladki – wyjaśniła wcześniej Milla, prosząc go, by zatrzymał się koło cukierni.

– Ale jeśli to zakonnica objęta klauzurą, nie będzie mogła pojechać z nami.

– No cóż, w rzeczywistości sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

– Co masz na myśli?

– Nicla spędziła w klasztorze tylko kilka lat. Gdy zorientowali się, co potrafi, wysłali ją w świat.

Na miejsce dojechali wczesnym popołudniem. W tej części miasta rządził chaos. Z odgłosami ruchu ulicznego mieszała się muzyka z odbiorników radiowych, dochodzące z bloków wrzaski, a także dźwięki związane z mniej lub bardziej legalnymi zajęciami, jakim oddawano się na ulicach. Żyjący tu ludzie nigdy się stąd nie ruszali.

Centrum miasta, z luksusowymi restauracjami, sklepami i herbaciarniami było odległe o zaledwie kilka przystanków metra, ale w ich oczach znajdowało się niemal równie daleko jak planeta Mars.

W takich dzielnicach ludzie rodzili się i umierali, nigdy ich nie opuszczając.

GPS przestał udzielać wskazówek, gdy tylko zjechali z drogi państwowej. Jedyne informacje drogowe można było odnaleźć w malunkach na ścianach domów wyznaczających terytoria gangów.

Boris skręcił w boczną ulicę kończącą się ślepym zaułkiem. Już kilka minut temu zauważył, że ma na karku samochód, który miał za zadanie ich śledzić. Fakt, że w okolicy pojawiło się auto z dwojgiem policjantów, nie pozostał niezauważony przez czujki pilnujące każdego zakątka dzielnicy.

– Wystarczy iść zwykłym krokiem i trzymać ręce tak, żeby były dobrze widoczne – wyjaśniła mu Mila, która bywała już w tych stronach.

Budynek, do którego się kierowali, stał przy końcu zaułka. Zaparkowali między wrakami dwóch spalonych samochodów.

Wysiedli i Boris zaczął się rozglądać. Chciał zamknąć auto pilotem, lecz Mila go powstrzymała.

– Nie rób tego. I zostaw kluczyki w stacyjce. Oni mogą się włamać choćby po to, żeby zrobić nam na złość.

– Wybacz, ale co im przeszkodzi ukraść mój samochód?

Mila podeszła od strony kierownicy, włożyła rękę do kieszeni, wyjęła różaniec z czerwonych plastikowych paciorków i obwiązała go wokół lusterka.

– Tutaj to najlepsze zabezpieczenie przed włamaniem.

Boris spojrział na nią z zakłopotaniem, po czym ruszył w kierunku bloku.

Tekturowa tabliczka przy wejściu głosiła: *KOLEJKA NA OBIAD ZACZYNA SIĘ O JEDENASTEJ*. A ponieważ nie wszyscy, do których ta informacja była skierowana, umieli czytać, obok widniał rysunek ze wskazówkami zegara nad dymiącym talerzem.

Zapach kuchni mieszał się z wonią środków dezynfekujących. Na korytarzu, wokół stolika ze starymi czasopismami, stało kilka plastikowych krzeseł, każde inne. Leżały też broszury na różne tematy, od ochrony dzieci przed próchnicą zębów po sposoby unikania zarażenia się chorobami wenerycznymi. Wszystko to miało upodabniać to miejsce do poczekalni. Gablotkę na ścianie wypełniały różne ogłoszenia i zawiadomienia. Mila pociągnęła Borisa za rękaw.

– Idziemy. Jest na górze.

Ruszyli po schodach. Nie było ani jednego nieuszkodzonego stopnia, a balustrada chwiała się niebezpiecznie.

– W co myśmy wdepnęli? – Boris starał się nie dotykać niczego ze strachu, że zarazi się Bóg wie czym. Narzekał, aż znaleźli się na podeście.

Przed oszklonymi drzwiami stała około dwudziestoletnia, bardzo ładna dziewczyna. Wręczała buteleczkę jakiegoś leku staruszkowi w łachmanach, który cuchnął alkoholem i potem.

– Masz brać jedną dziennie, rozumiesz?

Wydawało się, że smród jej nie zniechęca. Mówiła łagodnie, ale głośno, wyraźnie wymawiając słowa, tak jak się przemawia do dzieci.

Staruszek potakiwał, ale chyba niewiele rozumiał.

Dziewczyna tłumaczyła:

– To bardzo ważne. Nie wolno ci o tym zapomnieć, bo inaczej skończysz jak ostatnim razem, kiedy przynieśli cię tu prawie bez życia.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę i obwiązała mu ją wokół nadgarstka.

– Ona będzie ci przypominać.

Mężczyzna się uśmiechnął. Wziął flakonik i odszedł, przyglądając się prezentowi na swojej ręce.

– Potrzebujecie czegoś? – zapytała dziewczyna.

– Szukamy Nicli Papakidis – powiedziała Mila.

Zauroczony Boris nie mógł oderwać od dziewczyny oczu i od razu zapomniał o biadoleniu, któremu oddawał się na schodach.

– Myślę, że jest w przedostatnim pokoju w głębi. – Dziewczyna wskazała korytarz za swoimi plecami.

Przechodząc obok niej, Boris spuścił oczy, żeby przyjrzeć się jej piersiom, i jego wzrok natrafił na pozłacany krzyż.

– Ależ to jest...

– Tak – odparła Mila, tłumiąc śmiech.

– Szkoda.

Idąc korytarzem, zaglądali do pomieszczeń, które do niego przylegały. Stały w nich żelazne i polowe łóżka lub tylko fotele na kółkach.

Wszystkie miejsca zajęte były przez schorowanych ludzi, młodych i starych. Byli tu chorzy na AIDS, narkomani i alkoholicy, których wątroba zamieniła się w papkę, albo po prostu starzy biedacy.

Łączyło ich jedno: smutne spojrzenie i świadomość, że mają za sobą nieudane życie. W tym stanie nie przyjąłby ich żaden szpital.

Prawdopodobnie nie mieli też rodzin, które mogłyby się nimi zająć. A jeśli nawet je mieli, to one ich odtrąciły.

Przychodzili tu, żeby umrzeć. Tym charakteryzowało się to miejsce. Nicola Papakidis mówiła na nie „Port”.

– Mamy dziś naprawdę piękny dzień, Noro.

Siostra zakonna czesała troskliwie długie białe włosy staruszki leżącej w łóżku zwróconym do okna, i do ruchów rąk dodawała odprężające słowa:

– Idąc dziś rano przez park, rzuciłam trochę chleba ptakom. Jest tyle śniegu, że przez cały czas siedzą w gniazdach i grzeją się na zmianę.

Mila zapukała do otwartych drzwi. Nicla odwróciła się i gdy ją zobaczyła, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Moja mała! – powiedziała, podchodząc, żeby ją uściskać. – Jak miło znowu cię widzieć!

Miała na sobie ciemnoniebieski sweterek z rękawami podciągniętymi do łokci, ponieważ zawsze było jej gorąco, oraz czarną spódnicę, która sięgała jej za kolana, i tenisówki. Jej siwe włosy były krótko obcięte. Bardzo jasna cera podkreślała intensywność błękitu oczu.

Cała sylwetka emanowała niewinnością i czystością. Boris zauważył, że ma na szyi czerwony różaniec, taki sam jak ten, który Mila przywiązała do lusterka samochodu.

– Przedstawiam ci mojego kolegę Borisa.

Trochę skrępowany Boris podszedł bliżej.

– Miło mi.

– Spotkał pan przed chwilą siostrę Mery, prawda? – zapytała Nicla, ściskając jego rękę.

Boris się zaczerwienił.

– Rzeczywiście...

– Niech się pan nie przejmuj, ona wywiera takie wrażenie na wielu. – Nicla odwróciła się do Mili. – Po co przyjechałaś do Portu, mała?

Mila spoważniała.

– Na pewno słyszałaś o zaginionych dziewczynkach?



– Modlimy się tu za nie co wieczór. Ale dzienniki niewiele o nich mówią.

– Ja też nie mogę powiedzieć zbyt dużo.

Nicla spojrzała na nią uważnie.

– Przyjechałaś w sprawie tej szóstej, prawda?

– Co możesz o niej powiedzieć?

Nicla westchnęła.

– Próbuję nawiązać kontakt, ale nie jest to łatwe. Mój dar bardzo się osłabił, to już nie to co dawniej. Może powinnam być z tego zadowolona, bo gdybym go utraciła, pozwoliliby mi wrócić do klasztoru, do moich kochanych siostrzyczek.

Nicli Papakidis nie podobało się, gdy uważano ją za medium. Mówiła, że to nie jest odpowiednie słowo na określenie „daru bożego”.

Nie czuła się wyjątkowa. Wyjątkowy był jej talent. Ona była tylko pośredniczką, którą Pan Bóg wybrał, żeby go w niej umieścić i wykorzystywać dla dobra innych.

Wśród wielu rzeczy, które Mila opowiedziała Borisowi w drodze do Portu, była też historia o tym, jak i kiedy Nicla odkryła, że jest obdarzona nadzwyczajnymi zdolnościami.

„W szóstym roku życia była już sławna w swojej wsi, ponieważ potrafiła znajdować zagubione przedmioty – obrączki ślubne, klucze do domów, testamenty zbyt dobrze ukryte przez zmarłych... Pewnego wieczoru przyszedł do niej szef miejscowej policji – zaginęło pięcioletnie dziecko i jego matka jest zrozpaczona. Zaprowadzili ją do

tej kobiety, która błagała ją o znalezienie syna. Nicla popatrzyła na nią przez chwilę, a potem powiedziała: »Ta kobieta kłamie. Pochowała go w ogrodzie za domem«. I dziecko znaleziono właśnie tam”.

Borisa bardzo ta historia poruszyła. Może także dlatego usiadł z boku, pozwalając Mili porozmawiać z siostrą sam na sam.

– Muszę cię poprosić o coś trochę innego niż zwykle – powiedziała policjantka. – Chciałabym, żebyś pojechała z nami w pewne miejsce i starała się nawiązać kontakt z człowiekiem, który umiera.

W przeszłości Mila już wielokrotnie korzystała z usług Nicli. Czasami dzięki jej pomocy rozwiązywała prowadzone przez siebie sprawy.

– Moja mała, wiesz, że nie mogę się stąd ruszyć. Ciągłe mnie potrzebują.

– Wiem, ale bardzo cię o to proszę. To jedyna nadzieja na uratowanie szóstej dziewczynki.

– Powiedziałam ci, że nie jestem już pewna, czy ten mój „dar” działa.

– Myślałam o tobie także z innego powodu. Do dyspozycji jest duża kwota, którą otrzyma ktoś, kto dostarczy informacje umożliwiające odnalezienie dziewczynki.

– Tak, słyszałam o tym. Ale co bym zrobiła z dziesięcioma milionami?

Mila rozejrzała się, jakby było czymś naturalnym przeznaczenie nagrody na odnowienie tego miejsca.

– Wierz mi, gdy usłyszysz całą historię, uświadomisz sobie, że byłby to najlepszy sposób wykorzystania tych pieniędzy. Więc jakie jest twoje zdanie?

– Dziś ma do mnie przyjść z wizytą Vera – odezwała się staruszka leżąca na łóżku. Aż do tej chwili patrzyła w milczeniu w okno.

Nicla podeszła do niej.

– Tak, Noro, Vera przyjdzie później.

– Obiecała mi.

– Tak, wiem. Obiecała i dotrzyma słowa, zobaczysz.

– Ale ten chłopak usiadł na jej krześle. – Wskazała Borisa, który zerwał się na równe nogi.

Nicla go uspokoiła.

– Niech pan siedzi. – A potem wyjaśniła półgłosem: – Vera była jej siostrą bliźniaczką. Umarła siedemdziesiąt lat temu, kiedy były jeszcze dziećmi. Ale nie, nie, panie agencie, ja nie mam daru rozmawiania z zaświatami! – dodała, widząc, że Boris blednie. – Po prostu Norze jest przyjemnie usłyszeć czasami, że siostra ją odwiedzi.

Boris był ciągle pod wrażeniem tego, co usłyszał od Mili. Zrobiło mu się trochę głupio.

– Więc pojedziesz z nami? – nie dawała za wygraną Mila. – Przrzekam, że ktoś odwiezie cię tu przed wieczorem.

Nicla Papakidis zastanawiała się jeszcze przez chwilę.

– A przywiozłaś coś dla mnie?

Twarz Mili rozjaśnił uśmiech.

– Na dole w samochodzie czekają na ciebie czekoladki.

Nicla kiwnęła z zadowoleniem głową, po czym znowu spoważniała.

– To, co wyciągnę z tego człowieka, nie będzie mi się podobać, prawda?

– Myślę, że nie.

Nicla ścisnęła różaniec, który miała na szyi.

– Dobrze, jedźmy.

\* \* \*

Instynktowna skłonność do odnajdowania znajomych kształtów wśród rozrzuconych w nieładzie obrazów nosi nazwę pareidolia.

Można je odnajdywać w chmurach, w konstelacjach gwiazd, a także w płatkach owsianych, które pływają w misce mleka.

W taki sam sposób Nicla Papakidis dostrzegała rzeczy, które pojawiały się w jej wnętrzu. Nie nazywała ich wizjami, ale podobało jej się określenie „pareidolia”, gdyż jak ona miało greckie pochodzenie.

Wyjaśniła to Borisowi, połykając na tylnym siedzeniu jedną czekoladkę za drugą. Tym, co zdumiało agenta, były nie tyle słowa

zakonnicy, ile fakt, że w tej zakazanej dzielnicy znalazł swój samochód tam, gdzie go zostawił, i to bez żadnego zadrapania.

– Dlaczego nazywacie to miejsce Port? – spytał.

– To zależy od tego, w co kto wierzy, panie agencie. Niektórzy widzą w nim tylko punkt, do którego się przybywa. A inni miejsce, z którego wyrusza się w drogę.

– A pani?

– Obie te rzeczy.

Wczesnym popołudniem dotarli do okolicy, z której widać już było posiadłość Rockfordów.

Przed domem czekali na nich Goran i Stern. Sarah Rosa poszła na piętro, żeby uzgodnić wszystko z personelem medycznym, który zajmował się umierającym.

– Przyjechaliście w ostatniej chwili – powiedział Stern. – Od rana sytuacja radykalnie się zmieniła. Lekarze są pewni, że to kwestia godzin.

Po drodze Goran przedstawił się Nicli i wyjaśnił jej, czego od niej oczekuje. Nie potrafił jednak ukryć sceptycyzmu. Miał już okazję przyglądać się poczynaniom niejednego medium, które pomagało policji. Bardzo często udział tych osób nie przynosił efektów albo wprowadzał do śledztwa zamieszanie, kierując je na niewłaściwe tory i budząc daremne oczekiwania.

Zakłopotanie kryminologa nie zaskoczyło zakonnicę. Wiele razy widywała na twarzach ludzi taki wyraz niedowierzania.

Także religijny Stern nie był przekonany do daru Nicli. W tego rodzaju praktykach widział szarlatanerię. Peszyło go to, że oddaje im się zakonnica.

– Przynajmniej nie robi tego dla pieniędzy – zauważył trochę wcześniej w rozmowie z jeszcze bardziej sceptyczną Sarah Rosą.

– Podoba mi się ten wasz kryminolog – zwierzyła się Nicla półgłosem, kiedy wchodzili na piętro. – Jest nieufny i nie próbuje tego ukryć.

Ta uwaga nie była owocem jej daru. Mila domyśliła się, że płynie prosto z serca. Słyszając te słowa z ust tak drogiej przyjaciółki, Mila poczuła wdzięczność. Jej zapewnienie usunęło wszelkie wątpliwości co do Gorana, jakie próbowała obudzić w niej Sarah Rosa.

Pokój Josepha B. Rockforda znajdował się w głębi szerokiego korytarza obwieszzonego arrasami.

Wielkie okna wychodziły na wschód, na wstające słońce. Z balkonów otwierał się widok na dolinę.

Łóżko z baldachimem stało na środku pokoju. Naokoło rozstawione były urządzenia medyczne, które towarzyszyły miliarderowi w jego ostatnich godzinach. Odliczały mechanicznie jego czas, znaczony tykaniem kardiomonitora, wdechami i wydechami sztucznych płuc, odmierzaniem kropli i szumem.

Rockford leżał z zamkniętymi oczami, oparty o poduszki, z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków. Miał na sobie jasnoróżową piżamę z surowego jedwabiu, rozpiętą pod szyją, gdzie wystawała rurka doprowadzona do tchawicy. Jego rzadkie włosy były bardzo białe,

twarz po obu stronach orlego nosa zapadnięta, a ciało ledwo rysowało się pod kołdrą.

Wyglądał jak stuletni starzec, choć miał zaledwie pięćdziesiąt lat.

Jedna z pielęgniarek opatrywała mu ranę na szyi, zmieniając gazę wokół otworu umożliwiającego oddychanie. Z całego personelu, który czuwał na zmianę przy jego łóżku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, teraz dopuszczono jedynie obecność jego osobistego lekarza i asystentki.

Przekroczywszy próg pokoju, członkowie zespołu napotkali spojrzenie Lary Rockford, która za nic w świecie nie zrezygnowałaby z tego widowiska. Siedziała w fotelu nieco z boku i paliła na przekór wszelkim zasadom higieny. Gdy pielęgniarka zwróciła jej uwagę, że wobec krytycznego stanu jej brata być może nie powinna tego robić, odpowiedziała po prostu: „No, z pewnością mu to nie zaszkodzi”.

Nicla podeszła pewnym krokiem do łóżka, przyglądając się scenerii, w której przebiega agonía bogacza, jakże odmiennej od pożalowania godnych, nieprzyzwoicie wystawionych na widok publiczny scen umierania, jakie codziennie widywała w Porcie. Podeszedłszy do Josepha B. Rockforda, zrobiła znak krzyża i zwróciła się do Gorana:

– Możemy zaczynać.

Członkowie zespołu nie potrafili ubrać w słowa tego, co miało nastąpić. Żaden sąd nie wziąłby pod uwagę podobnego dowodu. Nie było też przypadkiem, że wieści o eksperymencie nie mogły przeniknąć do prasy. Wszystko musiało pozostać w czterech ścianach tego domu.

Boris i Stern stanęli obok zamkniętych drzwi. Sarah Rosa stanęła w jednym z rogów pokoju i oparła się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. Nicola usiadła na krześle przy łóżku, tuż obok niej przysiadła Mila.

Po przeciwnej stronie stanął Goran, który chciał dobrze widzieć zarówno zakonnicę, jak i Rockforda.

Medium zaczęło się koncentrować.

Lekarze oceniają śpiączkę pacjenta, używając skali Glasgow.

Dzięki trzem prostym sprawdzianom – odpowiedzi ustnej, otwarciu oczu i reakcji ruchowej – można ustalić stopień upośledzenia układu nerwowego.

Słowo „skala” (w języku łacińskim i włoskim wyraz ten oznacza drabinę albo schody) w odniesieniu do stanu śpiączki nie jest użyte przypadkowo. Stopniowe zanikanie świadomości przypomina bowiem schodzenie po szczeblach, aż do zupełnego wygaśnięcia.

Oprócz świadectw osób, które zbudziły się z tego stanu, mówiących o świadomej percepcji bodźców płynących z otoczenia, oraz poczucia spokoju wolnego od bólu i cierpień, jaki odczuwały, nie wiadomo nic więcej o tym, co dzieje się naprawdę w tym zawieszeniu między życiem i śmiercią. Istnieje tylko przekonanie, że ten, kto obudził się ze śpiączki, zszedł po tej drabinie najwyżej dwa lub trzy szczeble niżej. Niektórzy neurologowie utrzymują, że szczebli tych jest sto.

Mila nie wiedziała, na którym szczeblu znajduje się w tym momencie Joseph B. Rockford. Może ma świadomość ich obecności,



a nawet ich słyszy. Lub też zszedł już wystarczająco nisko, aby pozbyć się urojeń.

Była jednak pewna, że Nicla musi zapuścić się do głębokiej i zdradliwej przepaści, aby tam go szukać.

– O, właśnie, zaczynam coś odczuwać...

Zakonnica położyła dłonie na kolanach. Mila zauważyła, że jej palce zaczynają się zginać i prostować.

– Joseph jeszcze tu jest – oznajmiło medium – ale bardzo... daleko. Wciąż jednak może odbierać bodźce z tego świata.

Sarah Rosa i Boris spojrzeli na siebie zakłopotani. Na twarzy Borisa pojawił się cień niepewnego uśmiechu, ale zdołał go powstrzymać.

– Jest bardzo niespokojny. Rozgniewany. Nie może znieść tego, że jeszcze się tu znajduje... Chciałby stąd odejść, ale nie może, coś go trzyma. Irytuje go zapach.

– Jaki zapach? – spytała Mila.

– Zapach gnijących kwiatów. Mówi, że jest nie do zniesienia.

Wszyscy wciągnęli powietrze, szukając potwierdzenia tych słów, ale wyczuli tylko przyjemny aromat – na parapecie okna stał wielki dzban ze świeżymi kwiatami.

– Niclo, spróbuj nakłonić go do mówienia.

– Nie sądzę, żeby zechciał to zrobić. Nie, on nie chce ze mną rozmawiać.

– Musisz go przekonać.

– Przykro mi...

– Słucham?

Ale medium nie dokończyło zdania. Powiedziało natomiast:

– Myślę, że chce mi coś pokazać. Tak, tak właśnie jest... Pokazuje mi jakiś pokój... Ten pokój. Ale nas tu nie ma. Nie ma też tych wszystkich urządzeń. – Nicla zeszywniała. – Ktoś z nim jest.

– Kto?

– Kobieta, bardzo piękna kobieta. Myślę, że to jego matka.

Mila dojrzała kątem oka, że Lara Rockford wierci się na fotelu, zapalając kolejnego papierosa.

– Co robi?

– Joseph jest bardzo mały... Ona trzyma go na kolanach i coś mu tłumaczy. Upomina go i ostrzega, żeby był czujny. Mówi mu, że świat, tam na zewnątrz, może mu tylko wyrządzić krzywdę. Ale dopóki pozostanie tutaj, będzie bezpieczny. Przyrzeka mu, że będzie go chroniła, że będzie się o niego troszczyła i nigdy go nie porzuci...

Goran i Mila wymienili spojrzenia. W taki sposób powstało złoczone więzienie Josepha, wzięło początek od matki, która izolowała go od świata.

– Mówi mu, że największym ze wszystkich zagrożeń świata są kobiety. Tam, na zewnątrz, pełno jest kobiet, które chcą zabrać mu wszystko. Będą go kochały tylko ze względu na to, co posiada. Będą go oszukiwały, wykorzystywały... – A potem zakonnica powtórzyła: – Przykro mi...

Mila znowu spojrzała na Gorana. Rozmawiając tego ranka z Roche'em, kryminolog zapewnił, że źródłem wściekłości Rockforda – tej samej, która z biegiem czasu miała uczynić z niego seryjnego mordercę – było to, że nie akceptował siebie takim, jakim był. Pewnego dnia prawdopodobnie jego matka odkryła jego seksualne skłonności, a on nigdy jej tego nie wybaczył. Pozbawiając partnera życia, uwalniał się od poczucia winy.

Było jednak oczywiste, że Gavila się mylił.

Opowieść medium zaprzeczała po części jego teorii. Homoseksualne skłonności Josepha można było połączyć z fobiami jego matki.

Być może wiedziała, co robi jej syn, ale tego nie komentowała.

Dlaczego Joseph zabijał swoich partnerów?

– Nie miałam nawet prawa zaprosić tu przyjaciółki.

Wszyscy odwrócili się w stronę Lary Rockford. Młoda kobieta ścisnęła w drżących palcach papierosa i mówiła, patrząc na podłogę.

– To jego matka kazała sprowadzać tu tych chłopców – powiedział Goran.

– Tak, i płaciła im – potwierdziła Lara.

Z jej jedyne zdrowego oka zaczęły płynąć łzy, zamieniając jej twarz w jeszcze bardziej groteskową maskę.

– Moja matka mnie nienawidziła.

– Dlaczego? – zapytał kryminolog.

– Ponieważ jestem kobietą.

– Przykro mi... – odezwała się znowu Nicla.

– Bądź cicho! – krzyknęła Lara do brata.

– Przykro mi, siostrzyczko.

– Zamilcz! – wrzasnęła ze złością, wstając z fotela. Drżała jej broda. – Nie potraficie sobie tego wyobrazić. Nie wiecie, jak to jest, kiedy człowiek się odwraca i widzi te wpatrujące się w niego oczy.

Spojrzenie, które za wami podąża, a wy wiecie, co ono oznacza. Nawet jeśli nie chcecie tego przyznać, bo już sama myśl o tym budzi w was odrazę. Myślę, że on próbował zrozumieć, dlaczego czuł do mnie pociąg.

Nicla była w transie, wstrząsało ją silne drzenie, podczas gdy Mila trzymała ją za rękę.

– To dlatego uciekła pani z tego domu, prawda? – Goran wbił wzrok w Larę Rockford, pragnąc za wszelką cenę usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie. – I to wtedy zaczął zabijać.

– Tak, myślę, że tak się to odbyło.

– A potem, pięć lat temu, wróciła pani...

Lara Rockford się roześmiała.

– O niczym nie wiedziałam. Oszukał mnie, mówiąc, że czuje się samotny i opuszczony przez wszystkich. Że jestem jego siostrą, a on mnie kocha, i dlatego powinniśmy zawrzeć pokój. Że cała reszta to były tylko moje obsesje. Uwierzyłam mu. W ciągu pierwszych dni po moim przyjeździe zachowywał się normalnie, był serdeczny i czuły, zajmował się mną. Nie przypominał Josepha, którego znałam jako małą dziewczynka. Aż wreszcie...

Znowu się roześmiała. Jej śmiech lepiej niż słowa opisał całą przemoc, jakiej padła ofiarą.

– To nie wypadek tak panią oszpecił? – zapytał Goran, choć było to raczej stwierdzenie.

Lara pokręciła głową.

– Dzięki temu zdobył ostateczną pewność, że więcej nie ucieknę.

Wszyscy współczuli tej młodej kobiecie, która stała się więźniarką nie tego domu, ale własnego wyglądu.

– Wybaczcie mi – szepnęła i ruszyła, utykając, do drzwi.

Stern i Boris odsunęli się, żeby ją przepuścić, a potem znowu spojrzeli na Gorana, czekając na jego decyzję. Kryminolog zwrócił się do Nicli:

– Czuje się pani na siłach, żeby kontynuować?

– Tak – odparła zakonnica, chociaż wyglądała na zmęczoną.

Trzeba było zadać najważniejsze ze wszystkich pytań, a to jedyna okazja, by to zrobić. Od odpowiedzi zależy nie tylko to, czy szósta dziewczynka przeżyje, ale także ich losy. Gdyby bowiem nie udało im się odnaleźć sensu w tym, co się dzieje, dźwigaliby już zawsze tę historię niczym przekleństwo.

– Niclo, niech pani wydobędzie z Josepha, kiedy spotkał człowieka, który był do niego podobny.

## 31.

Nocami słyszał jej krzyki.

Były to migreny, które dręczyły ją bezustannie i nie pozwalały spać. Nawet morfina nie mogła uśmierzyć bólu. Przewracała się na łóżku i krzyczała aż do utraty głosu. Dawna uroda, którą starała się uchronić przed nieubłaganym niszczącym działaniem upływających lat, znikła. Stała się też wulgarna. Ona, zawsze tak starannie dobierająca słowa, tak taktowna, zaczęła wyrażać się nieprzyzwoicie i sięgać po wymyślne przekleństwa. Miała pretensje do wszystkich: do męża, który zmarł za wcześnie, do córki, która od niej uciekła. I do Boga, który doprowadził ją do takiego upadku.

Tylko on potrafił ją uspokoić.

Szedł do jej pokoju i jedwabnym szalem przywiązywał jej ręce do łóżka, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Wyrwała już sobie wszystkie włosy, a jej twarz pokrywały nabiegłe krwią pręgi, ślady po paznokciach, którymi orała policzki.

– Powiedz mi, Josephie – zwracała się do niego, kiedy głaskał ją po czole – przyznaj, że byłam dobrą matką. Powiedz mi to, proszę cię.

A on potwierdzał, patrząc jej w oczy, które napęniały się łzami.

Joseph B. Rockford miał wtedy trzydzieści dwa lata. Do spotkania ze śmiercią brakowało osiemnastu. Trochę wcześniej zwrócił się do

znanego genetyka z pytaniem, czy i on podzieli los, jaki stał się udziałem jego ojca i dziadka. Wobec niewielkiej jeszcze w tamtym czasie wiedzy na temat dziedziczenia chorób odpowiedź nie była jednoznaczna. Prawdopodobieństwo, że i on może mieć od urodzenia ten rzadki syndrom, wynosiło od czterdziestu do siedemdziesięciu procent.

Od tamtego czasu Joseph żył ze świadomością, że ma przed sobą tę „linię mety”. Cała reszta to tylko „etapy przybliżania się” do celu.

Takie jak choroba matki. Nocami domem wstrząsały jej nieludzkie krzyki, których echo niosło się po wielkich pokojach. Nie można było przed nimi uciec. Po miesiącach przymusowej bezsenności Joseph zaczął kłaść się do łóżka z zatyczkami w uszach, żeby nie słyszeć tych wrzasków.

Ale to nie wystarczało.

Pewnego ranka obudził się koło czwartej. Miał sen, ale nie mógł go sobie przypomnieć. Lecz nie to go obudziło. Usiadł na łóżku, próbując domyślić się powodu.

W domu panowała niezwykła cisza.

Joseph zrozumiał. Wstał i ubrał się, wkładając spodnie, golf i zieloną kurtkę. A potem opuścił pokój i przeszedł obok zamkniętych drzwi pokoju matki. Minął je. Zszedł po imponujących marmurowych schodach i po kilku minutach znalazł się na dworze.

Ruszył długą, przecinającą posiadłość aleją aż do furtki w zachodnim skrzydle, która zwykle używana była przez dostawców i służbę.

Stanowiła ona granicę jego świata. Docierał tu wiele razy w wyprawach z Lara, gdy byli jeszcze dziećmi. Mimo iż siostra była dużo młodsza od niego, chciała pójść dalej, demonstrując godną pozazdroszczenia odwagę. Ale Joseph zawsze zawracał. Prawie rok temu Lara pojechała w świat. Znalazła w sobie siłę, żeby przekroczyć tę granicę, i nie dawała znaku życia. A on dotkliwie odczuwał jej brak.

W ten chłodny listopadowy ranek Joseph przez kilka minut stał bez ruchu przed furtką. A potem wdrapał się na nią, żeby ją przeskoczyć.

Gdy dotknął stopami ziemi, zawładnęło nim jakieś nowe wrażenie, poczuł gdzieś w piersi łaskotanie, które rozchodziło się po całym ciele. Po raz pierwszy doświadczał smaku radości.

Ruszył asfaltową drogą.

Na horyzoncie pojawiły się przebliski świtu. Otaczająca go przyroda była dokładnie taka sama jak w posiadłości, więc przez chwilę miał wrażenie, że wcale nie opuścił tego miejsca, a furтка była tylko ludzającym pozorem, gdyż to tu jest początek i koniec całego wszechświata, który przy każdym przekroczeniu tej granicy zaczynał się na nowo, zawsze jednakowy, i tak w nieskończoność. Zupełnie jakby składał się z nieprzeliczonych, równoległych, identycznych wszechświatów. Był pewny, że prędzej czy później znowu zobaczy swój dom wyłaniający się na końcu drogi i zyska potwierdzenie, że tylko uległ złudzeniu.

Ale tak się nie stało. W miarę jak się oddalał, rodziła się w nim świadomość, że da sobie radę.



Okolica była pusta. Ani jednego samochodu, ani jednego domu w zasięgu wzroku. Odgłosy jego kroków na asfalcie były jedynym śladem ludzkiej obecności wśród śpiewu ptaków, które zaczynały upominać się o nowy dzień. Najłżejszy wietrzyk nie kołysał drzewami, które wpatrywały się w niego jak w intruza. A on poczuł pokusę, żeby je pozdrowić. Powietrze było ostre i miało wyraźny smak: szronu, suchych liści i bardzo zielonej trawy.

Słońce nie było już tylko obietnicą poranka. Jego promienie ślizgały się po łąkach, wydłużając się i rozlewając niczym plama oleju. Joseph nie wiedział, ile kilometrów przeszedł. Nie zmierzał do żadnego celu. Nie zależało mu na tym, i to właśnie było piękne. W mięśniach jego nóg pulsował kwas mlekowy. Nigdy nie podejrzewał, że ból może być przyjemny. Miał w sobie energię i powietrze, którym mógł oddychać. Niech o wszystkim innym zadecydują te dwa czynniki.

Przynajmniej raz nie chciał się nad niczym zastanawiać. Aż do tego dnia poddawał się władzy umysłu, który zawsze zagradzał mu drogę, budząc za każdym razem inne obawy. I choć wokół niego wciąż czaiło się nieznanne, w ciągu tych krótkich chwil uświadomił sobie, że oprócz poczucia zagrożenia może też zachować w sobie coś cennego.

Na przykład zdolność do odczuwania zdumienia, podziwu.

Właśnie tego doświadczał, gdy usłyszał nowy odgłos. Był niski i daleki, gdzieś za jego plecami, ale ciągle się przybliżał. Zorientował się, że to warkot samochodu. Obejrzał się i zobaczył dach wystający znad pagórka. Potem auto zaczęło znowu niknąć, zjeżdżając ze

wzniesienia, ale wyłoniło się z powrotem. Było to stare beżowe kombi.

Brudna przednia szyba nie pozwalała zobaczyć pasażerów. Joseph postanowił nie zwracać na nie uwagi, odwrócił się i zaczął iść. Gdy auto było blisko, odniósł wrażenie, że zwalnia.

– Hej!

Odwrócił się z wahaniem. Być może to ktoś, kto nadjechał, żeby położyć kres jego przygodzie. Tak, na pewno. Jego matka obudziła się i zaczęła go wołać. Nie znalazłszy go w łóżku, rozesłała służbę po posiadłości i poza nią. Być może człowiek, który go zawołał, jest jednym z ogrodników. Jedzie swoim prywatnym samochodem, żeby go szukać, ciesząc się na dużą nagrodę.

– Hej, ty tam, dokąd idziesz? Podwieźć cię?

To pytanie go uspokoiło. To nie może być ktoś z domu. Samochód zrównał się z nim. Joseph nie mógł dojrzeć kierowcy. Zatrzymał się, samochód zrobił to samo.

– Jadę na północ – powiedział mężczyzna za kierownicą. – Mógłbym oszczędzić ci parę kilometrów. Niewiele, ale w tej okolicy nie znajdziesz innych okazji.

Mógł mieć czterdzieści lat, może mniej. Określenie wieku utrudniała jego rudawa broda, długa i zmierzwiona. Miał też długie włosy zaczesane do tyłu z przedziałkiem pośrodku. I szare oczy.

– Więc jak? Wsiadasz?

Joseph zastanawiał się przez chwilę, a potem odparł:

– Tak, dziękuję.

Usiadł obok nieznanego i auto ruszyło. Siedzenia pokryte były brązowym pluszem, wytartym w kilku miejscach, w których widać było znajdujące się pod spodem płótno. Wnętrze pachniało mieszaniną odświeżaczy powietrza, których zapachy nałożyły się na siebie w ciągu lat. Tylnie siedzenie było złożone, żeby zmieściły się tekturowe pudła i plastikowe torby, narzędzia i pojemniki różnych rozmiarów.

Wszystko było idealnie uporządkowane. Na szarej plastikowej listwie pod przednią szybą widać było ślady po taśmie samoprzylepnej i samochodowe radio, stary model z magnetofonem kasetowym. Leciała właśnie kasetka z muzyką country. Kierowca ściszył muzykę, żeby móc rozmawiać.

– Od dawna tak idziesz? – zagadnął Josepha.

Joseph starał się nie patrzeć na niego ze strachu, że nieznanomy zorientuje się, iż kłamie.

– Tak, od wczoraj.

– I nie próbowałeś autostopu?

– Próbowałem. Podwiózł mnie kierowca ciężarówki, ale potem musiał skrócić w inną stronę.

– A ty dokąd zmierzasz?

Pytanie zaskoczyło go i powiedział prawdę:

– Nie wiem.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Jeżeli nie wiesz, to dlaczego wysiadłeś z tamtej ciężarówki?

Joseph odwrócił się w jego stronę z poważną miną.

– Bo kierowca zadawał mi za dużo pytań.

Mężczyzna roześmiał się jeszcze głośniejsze.

– O Boże, chłopcze, podoba mi się twoja bezpośredniość. Miał na sobie czerwoną wiatrówkę, jasnobrązowe spodnie i sweter w romby, a na nogach robocze buty na podszewkach z grubej gumy. Trzymał kierownicę obiema rękami. Na lewym przegubie nosił tani, plastikowy, kwarcowy zegarek.

– Posłuchaj, nie znam twoich planów i nie będę nalegał, żebyś mnie zdradził, ale jeżeli chcesz, to mieszkam tu niedaleko i mógłbyś pojechać ze mną na śniadanie. Co ty na to?

Joseph zamierzał odmówić. Wystarczająco ryzykowne było przyjęcie propozycji podwiezienia, a teraz nie chciał jechać z nim nie wiadomo dokąd i narazić się na obrabowanie lub coś gorszego. Ale potem uświadomił sobie, że to tylko strach, któremu ulega po raz kolejny.

Właśnie tego ranka odkrył, że przyszłość jest tajemnicza, ale nie groźna. Trzeba podjąć ryzykowne kroki, żeby posmakować jej owoców.

– Zgoda.

– Jajka na boczku i kawa – obiecał nieznajomy.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później skręcili w polną drogę. Jechali powoli, podskakując na wybojach, aż dotarli do drewnianego domku o spadzistym dachu. Pokrywająca go biała farba w wielu miejscach odłaziła.

Na ganku widać było kępy trawy wystające tu i ówdzie spomiędzy desek. Zatrzymali się koło wejścia.

Co to za facet? – zadał sobie pytanie Joseph na widok domu, uświadamiając sobie, że odpowiedź nie byłaby tak interesująca, jak możliwość poznania jego świata.

– Witaj – powiedział mężczyzna, kiedy przekroczyli próg.

Pierwsze pomieszczenie było średniej wielkości. Umeblowanie składało się ze stołu, trzech krzeseł, kredensu, któremu brakowało kilku szufladek, oraz starej kanapy z obiciem przetartym w kilku miejscach. Na jednej ze ścian wisiał obraz bez ramy przedstawiający jakiś pejzaż.

Obok jedyne okna znajdował się osmalony sadzą kamienny kominek, w którym leżało kilka wygasłych polan. Na wyciętym z pnia stołku stało kilka garnków pokrytych spalonym tłuszczem. W głębi widać było dwoje zamkniętych drzwi.

– Przykro mi, ale nie ma łazienki. Za to w okolicy jest mnóstwo drzew – powiedział, śmiejąc się, mężczyzna.

Nie było też prądu i bieżącej wody, ale gospodarz wyjął z bagażnika samochodu kilka kanistrów, które Joseph widział wcześniej.

Używając gazet i zebranych na podwórku gałązek, rozpałił w kominku. Wyczyściwszy jak się dało jedną z patelni, położył na niej

masło, żeby się rozpuściło, a potem dodał jajka i boczek. Mimo prostoty jedzenie pachniało tak, że Joseph poczuł, że jest głodny. Zainteresowany przyglądał się mężczyźnie, zasypując go pytaniami. Tak się zachowują dzieci wobec dorosłych, kiedy osiągną wiek, w którym zaczynają odkrywać świat. Ale tamten nie wydawał się tym znudzony, przeciwnie, chętnie odpowiadał.

– Od dawna tu mieszkasz?

– Od miesiąca, ale dom nie należy do mnie.

– Jak to rozumieć?

– Mój prawdziwy dom stoi tam, na dworze – odparł, wskazując brodą samochód. – Krążę po świecie.

– Więc dlaczego się tu zatrzymałeś?

– Bo lubię to miejsce. Któregoś dnia jechałem szosą i zobaczyłem tę dróżkę. Skręciłem w nią i dotarłem tutaj. Dom jest opuszczony nie wiadomo od jak dawna. Prawdopodobnie należał do rolników. Z tyłu jest komórka z narzędziami.

– Co się z nimi stało?

– Nie wiem. Pewnie zrobili to, co wielu innych. Kiedy na wsi zaczął się kryzys, poszli szukać lepszego życia w mieście. W tej okolicy jest kilka opuszczonych gospodarstw.

– Dlaczego nie próbowali sprzedać majątku?

Mężczyzna się roześmiał.

– A kto kupi coś takiego? Tutejsza ziemia nie przynosi dochodów, mój przyjacielu.

Dokończył smażenie i przełożył zawartość patelni na talerze stojące na stole. Nie czekając, Joseph zagłębił widelec w żółtej papce.

Smakowało wyśmienicie.

– Dobrze, co? Jedz spokojnie, jest tego, ile zechcesz.

Joseph żarłocznie połykał kolejne kęsy, a potem zapytał z pełnymi ustami:

– Na jak długo zamierzasz się tu zatrzymać?

– Chciałem wyjechać pod koniec tego tygodnia, bo w tych stronach zima jest ciężka. Robię zapasy i krążę po innych opuszczonych gospodarstwach z nadzieją, że znajdę jakieś przedmioty, które mogą się jeszcze do czegoś nadać. Dziś rano znalazłem toster. Zdaje się, że jest zepsuty, ale da się naprawić.

Joseph zapamiętywał wszystko, jakby tworzył rodzaj podręcznika z wszelkiego rodzaju wiadomościami, poczynawszy od tego, jak przyrządzić doskonale śniadanie tylko z jajek, masła i boczku, a skończywszy na tym, jak zaopatrzyć się w wodę pitną. Być może myślał, że mogą mu się przydać w nowym życiu. A życie nieznanego było godne pozazdroszczenia – chociaż surowe i trudne, nieskończenie lepsze od tego, które prowadził Joseph.

– Wiesz, że nawet się sobie nie przedstawiliśmy?

Ręka Josepha z widelcem zawisała w powietrzu.

– Jeżeli wolisz mi nie mówić, jak masz na imię, mnie to nie przeszkadza. I tak wydajesz mi się sympatyczny.

Joseph wrócił do jedzenia. Mężczyzna nie nalegał, ale on czuł, że powinien odwdziżyć mu się za gościnność. Postanowił opowiedzieć

coś o sobie.

– Gdy dobieję pięćdziesiątki, prawie na pewno umrę.

Po czym opowiedział o przekleństwie ciążyącym na męskich członkach jego rodziny. Mężczyzna słuchał uważnie. Nie wymieniając żadnych nazwisk, Joseph wyjaśnił mu, że jest bogaty, i opowiedział o pochodzeniu swojego majątku. O przezornym i odważnym dziadku, który zasiał ziarno wielkiej fortuny. Powiedział też o ojcu, który dzięki genialnej przedsiębiorczości zdołał podwoić spadek. W końcu wspomniał o sobie, o tym, że nie stawia sobie żadnych celów, ponieważ wszystko zostało już zdobyte. Przyszedł na świat tylko po to, żeby przekazać następnemu pokoleniu dwie rzeczy: ogromny majątek i nieuchronnie śmiertelne geny.

– Domyślam się, że nie możesz uciec przed chorobą, która zabiła twojego ojca i dziadka, ale jeśli chodzi o pieniądze, to zawsze można znaleźć jakieś wyjście. Dlaczego nie porzucisz swojego bogactwa i nie poczujesz się wolnym człowiekiem?

– Ponieważ wychowałem się wśród pieniędzy i bez nich nie umiałbym przeżyć nawet jednego dnia. Jak widzisz, bez względu na wybór, tak czy owak jestem skazany na śmierć.

– Głupstwa! – prychnął tamten, podnosząc się, żeby opłukać patelnię.

Joseph próbował wyjaśnić swoje położenie:

– Mogę mieć wszystko, czego zapragnę. Ale właśnie dlatego nie wiem, co to jest pragnienie.

– Co ty wygadujesz! Za pieniądze nie można kupić wszystkiego.



– Wierz mi, można. Gdybym chciał twojej śmierci, mógłbym opłacić ludzi, którzy by cię zabili i nikt by się nigdy nie dowiedział, kto kazał to zrobić.

– A zrobiłeś kiedy coś takiego? – zapytał mężczyzna, nagle poważniejąc.

– Ale co?

– Zapłaciłeś komuś, żeby zabił w twoim imieniu?

– Ja nie, ale wiem, że mój ojciec i dziadek to robili.

Zapadło milczenie.

– Ale zdrowia nie możesz kupić – stwierdził w końcu mężczyzna.

– To prawda. Ale jeśli wiesz zawczasu, kiedy umrzesz, problem jest rozwiązany. Widzisz, bogacze są nieszczęśliwi, ponieważ wiedzą, że prędzej czy później będą musieli zostawić wszystko, co posiadają.

Nie można zabrać pieniędzy do grobu. Za to ja nie muszę się dręczyć myśleniem o mojej śmierci, bo ktoś zrobił to za mnie.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Masz rację – powiedział – ale to bardzo smutne niczego nie pożądać. Jest przecież coś, co mogłoby ci się naprawdę podobać, no nie?

Więc zacznij od tego.

– No cóż, lubię wędrować. Od dzisiejszego ranka lubię też jajka na boczku. I podobają mi się chłopcy.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś...

– Tak naprawdę to sam nie wiem. Spotykam się z nimi, ale nie mogę powiedzieć, żebym tego naprawdę pragnął.

– Więc dlaczego nie spróbujesz z jakąś kobietą?

– Być może powinienem. Ale najpierw musiałbym tego zapragnąć, rozumiesz? Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

– Nie musisz. Myślę, że wytłumaczyłeś wszystko wystarczająco jasno.

Mężczyzna umieścił patelnię na innych naczyniach stojących na pieńku i spojrzał na zegarek.

– Jest dziesiąta, muszę pojechać do miasta. Potrzebuję części, żeby naprawić toster.

– W takim razie już pójdę.

– Ależ nie, dlaczego? Jeśli chcesz, zostań i trochę odpocznij. Niedługo wrócę, może znowu zjemy coś razem i pogadamy. Fajny gość z ciebie, wiesz?

Joseph przyjrzał się starej kanapie z wytartym obiciem. Wydała mu się bardzo zachęcająca.

– Dobrze – zgodził się. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to trochę się prześpię.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Fantastycznie! – Tuż przed wyjściem obejrzał się. – A przy okazji, co byś zjadł na kolację?

Joseph spojrzał na niego.

– Nie mam pojęcia. Spróbuj mnie zadziwić.

\* \* \*

Jakaś ręka potrząsnęła nim delikatnie. Joseph otworzył oczy i stwierdził, że jest wieczór.

– Ależ musiałeś być zmęczony! – powiedział z uśmiechem jego nowy przyjaciel. – Spałeś dziewięć godzin!

Joseph podniósł się i przeciągnął. Od dawna tak dobrze nie wypoczął. Natychmiast poczuł głód.

– Czy to już pora kolacji? – zapytał.

– Tylko rozpalę ogień i zaraz ją przygotuję. Kupiłem kurczaka do upieczenia na ruszcie i ziemniaki. Odpowiada ci takie menu?

– Doskonale, umieram z głodu.

– Tymczasem otwórz sobie piwo, stoi na parapecie.

Joseph nigdy nie pił piwa, jeśli nie liczyć odrobiny, którą matka dolewała do bożonarodzeniowego ponczu. Sięgnął po jedną z zapakowanych razem sześciu puszek i pociągnął za kółko. Przyłożył usta do krawędzi otworu aluminiowej puszeki i upił długi łyk. Poczul, jak zimny napój spływa mu do żołądka. Było to przyjemne, orzeźwiające wrażenie. Po drugim łyku beknął.

– Na zdrowie! – wykrzyknął gospodarz.

Na dworze było chłodno, ale w domu ogień dawał przyjemne ciepło. Lampa gazowa stojąca na środku stołu rzucała mdłe światło.

– Właściciel sklepu żelaznego powiedział, że toster da się uratować. Udzielił mi nawet paru rad, jak go naprawić. To dobrze, myślę, że uda mi się go sprzedać na jakimś jarmarku.

– Więc tym się zajmujesz, żeby zarobić na życie?

– No tak, czasami również tym. Ludzie wyrzucają mnóstwo rzeczy, które nadają się jeszcze do użytku. Ja je zbieram, naprawiam i zarabiam parę groszy. Niektóre rzeczy zatrzymuję, na przykład ten obraz.

Wskazał obraz bez ramy wiszący na ścianie.

– Dlaczego właśnie ten? – chciał wiedzieć Joseph.

– Sam nie wiem, podoba mi się. Myślę, że przypomina mi miejsce, w którym się urodziłem, lub może okolicę, w której nigdy nawet nie byłem, kto to może wiedzieć, tyle się najeździłem...

– Naprawdę byłeś w tylu różnych miejscach?

– Tak, w bardzo wielu. – Wydawało się, że na chwilę zatopił się we wspomnieniach, ale prędko się z nich otrząsnął. – Mój kurczak będzie specjalny, zobaczysz. A przy okazji, mam dla ciebie niespodziankę.

– Niespodziankę? Jaką niespodziankę?

– Nie teraz, po kolacji.

Usiedli do stołu. Kurczak z ziemniakami był ostro przyprawiony i chrupiący. Joseph kilka razy sobie dokładał. Typek – w myśli tak go już nazywał – jadł z otwartymi ustami i wypił trzy piwa. Po kolacji wyjął rzeźbioną fajkę i tytoń. Nabijając ją, powiedział:

– Wiesz, dużo rozmyślałem o tym, co mi powiedziałaś dziś rano.

– A dokładnie o czym?

– O tym, co mówiłeś na temat pragnień. Uderzyło mnie to.

– Ach, tak? Dlaczego?

– Widzisz, nie sędzę, żeby to było coś złego dokładnie znać moment, w którym zakończy się życie. Moim zdaniem to przywilej.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Cóż, to oczywiście zależy od tego, jak się na wszystko patrzy.

Czy wolisz kielich w połowie pełny, czy w połowie pusty. Krótko mówiąc, możesz sobie obliczać, ile ci jeszcze brakuje. Albo możesz zdecydować o reszcie życia, biorąc pod uwagę ten termin.

– Nie bardzo rozumiem.

– Myślę, że jeśli wiesz, że umrzesz koło pięćdziesiątki, to ta wiedza narzuca ci przeświadczenie, że nie masz żadnej władzy nad swoim życiem. Ale tu właśnie się mylisz, mój przyjacielu.

– Co masz na myśli, mówiąc „władza”?

Typek sięgnął po gałązkę z kominka i żarzącym się koniuszkiem zapalił fajkę. Zaciągnął się głęboko, a potem odpowiedział:

– Władza i pragnienie są ze sobą związane. To rzeczy z tej samej przekłetej materii. Ta druga zależy od tej pierwszej, i na odwrót. I to nie jest zdanie jakiegoś pieprzonego filozofa, bo ustaliła to sama przyroda. Dobrze powiedziałaś dziś rano: możemy pragnąć tylko tego, czego nie posiadamy, a tobie się wydaje, że posiadasz wszystko, więc niczego nie pragniesz. Ale dzieje się tak, ponieważ twoja władza wpływa z pieniędzy.

– Jak to, więc są i inne jej rodzaje?

– No pewnie, na przykład władza, która płynie z woli. Żeby to zrozumieć, musisz poddać się próbie. Ale podejrzewam, że nie zechcesz tego zrobić.

– Dlaczego tak mówisz? Mogę podjąć każdą próbę. Jak to nie?

Typek przyjrzał mu się uważnie.

– Jesteś tego pewny?

– Jasne.

– Dobrze. Przed kolacją powiedziałem ci, że mam dla ciebie niespodziankę. Nadszedł czas, żeby ci ją zademonstrować. Chodź.

Wstał i podszedł do jednego z dwojga zamkniętych drzwi w głębi pokoju. Joseph ruszył za nim z wahaniem i stanął w progu.

– Patrz.

Zrobił krok w ciemność i coś usłyszał. W pokoju była jakaś żywa istota, która bardzo szybko oddychała. Przyszło mu do głowy, że może to być zwierzę, i cofnął się.

– Śmiało – zachęcił go gospodarz – przypatrz się lepiej.

Joseph potrzebował paru sekund, by jego oczy przyzwyczyły się do mroku panującego w pokoju. Odrobina światła gazowej lampy stojącej na stole ledwie wystarczała, żeby słabo oświetlić twarz jakiegoś chłopca. Leżał na łóżku, z rękami i nogami przywiązany grubymi sznurami do ramy. Miał na sobie kraciastą koszulę i dżinsy, ale był bez butów. Nie mógł mówić z powodu chustki na ustach i ograniczał się do wydawania oderwanych bełkotliwych dźwięków.

Jego włosy na czole zlepione były potem. Wił się jak uwięzione zwierzę i wytrzeszczał ze strachu oczy.

– Kto to? – zapytał Joseph.

– Prezent dla ciebie.

– I co mam z nim zrobić?

– Co chcesz.

– Ale ja nie wiem, kto to jest.

– Ani ja. Jechał autostopem. Zabrałem go, jadąc z miasta.

– Może powinniśmy go rozwiązać i uwolnić.

– Jeśli właśnie tego chcesz...

– A dlaczego miałbym nie chcieć?

– Ponieważ to demonstracja tego, czym jest władza i jak wiąże się z pragnieniem. Jeśli pragniesz go uwolnić, zrób to. Ale jeśli chcesz od niego czegoś innego, wybór należy do ciebie.

– Czy przypadkiem nie masz na myśli tego, żebym wykorzystał go seksualnie?

Typek pokręcił głową z zawiedzioną miną.

– Mój przyjacielu, twoje horyzonty są bardzo ograniczone. Masz w ręku ludzkie życie, to największe i najbardziej zdumiewające dzieło Boga, a jedyne, co ci przychodzi do głowy, to spółkowanie.

– A co mógłbym zrobić z ludzkim życiem?

– Sam to dziś powiedziałeś: gdybyś chciał kogoś zabić, wystarczy zapłacić komuś, a cię wyręczy. Ale czy naprawdę uważasz, że dzięki

temu masz władzę pozbawienia innej osoby życia? To twoje pieniądze mają tę władzę, nie ty. Dopóki nie zrobisz tego własnymi rękami, nigdy się nie dowiesz, co to oznacza.

Joseph znowu spojrzał na chłopca, który był przerażony.

– Ale ja nie chcę się tego dowiadywać – odparł.

– Bo się boisz. Boisz się konsekwencji, tego, że mógłbyś zostać ukarany albo mieć poczucie winy.

– To normalne bać się pewnych rzeczy.

– Nie, Josephie, wcale nie.

Nie zauważył nawet, że tamten nazwał go po imieniu, gdyż w tym momencie był zbyt zajęty wymianą spojrzeń z chłopcem.

– A gdybym cię zapewnił, że możesz to zrobić, że możesz pozbawić kogoś życia i nikt nigdy się o tym nie dowie?

– Nikt? A ty?

– Zapomniałeś, że to ja go porwałem i tu przywiozłem? Poza tym pogrzebię też jego zwłoki.

Joseph opuścił głowę.

– Naprawdę nikt się o tym nie dowie?

– Gdybym ci powiedział, że pozostaniesz bezkarny, czy to obudziłoby w tobie pragnienie, żeby spróbować?

Joseph przez długą chwilę wpatrywał się w swoje ręce. Jego oddech stawał się coraz szybszy, a jednocześnie rosła w nim dziwna euforia, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

– Daj mi nóż – powiedział wreszcie.



Typek poszedł do kuchni. Joseph wpatrywał się w chłopca, który patrzył na niego błagalnie i płakał. Joseph stwierdził, że niczego nie czuje. Nikt nie będzie opłakiwał jego śmierci, gdy w pięćdziesiątym roku życia przyjdzie odziedziczona po ojcu i dziadku choroba, żeby go zabrać. W oczach świata pozostanie na zawsze bogatym chłopcem niezasługującym na współczucie.

Typek wrócił z długim i ostrym nożem i włożył mu go do ręki.

– Nie ma nic bardziej satysfakcjonującego niż odebranie człowiekowi życia – powiedział. – Nie jakiejś konkretnej osobie, na przykład wrogowi czy komuś, kto wyrządził ci krzywdę, ale komukolwiek.

Daje to taką samą władzę, jaką ma Bóg.

Zostawił go samego i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Przez podarte zasłony wpadło światło księżyca, połyskując na ostrzu noża. Chłopiec rzucał się i Joseph wyczuwał jego strach nie tylko pod postacią odgłosów, ale także zapachów. Kwaśnego oddechu, potu spod pach. Zbliżył się powoli do łóżka tak, żeby słyhać było skrzypienie podłogi, aby chłopiec miał świadomość tego, co się dzieje. Oparł tępy grzbiet ostrza o jego pierś. Czy powinien coś powiedzieć? Nic nie przychodziło mu do głowy. Przeszedł go dreszcz i poczuł coś, czego się nie spodziewał – erekcję.

Uniósł nóż na wysokość paru centymetrów, przesuwał go powoli wzdłuż ciała chłopca aż do jego brzucha. Znieruchomiał. Nabrał powietrza i nacisnął. Czubek noża przeszedł przez koszulę i dotknął ciała. Chłopiec próbował krzyżeć, ale zdołał wydać tylko dźwięk, który był przejmującą imitacją przepełnionego bólem krzyku.

Joseph zagłębił nóż jeszcze na kilka centymetrów, przecinając skórę, która rozstała się pod ostrzem. Zobaczył białą tkankę tłuszczową, ale rana jeszcze nie krwawiła. Zagłębił nóż po trzonek, aż poczuł ciepło krwi na dłoni i smród trzewi. Chłopiec wygiął plecy w łuk, niechcący ułatwiając mu dokończenie dzieła. Nacisnął jeszcze mocniej, aż poczuł, że czubek noża dotyka kręgosłupa. Chłopiec zamienił się w naprężoną wiązkę mięśni i ciała. Przez kilka chwil trwał wygięty, a potem ciężko opadł na łóżko, bez sił, jak przedmiot. I w tym momencie wszystkie dzwonki...

\* \* \*

...zaczęły dzwonić naraz. Lekarz i pielęgniarka podbiegli do pacjenta z wózkiem z defibrylatorem. Pochylona Nicola próbowała odzyskać oddech. Wstrząs wywołany tym, co zobaczyła, wyrwał ją gwałtownie z transu. Mili położyła dłonie na jej plecach, starając się zmusić ją do oddychania. Lekarz szarpnął pizamę na piersi Josepha B.

Rockforda, odrywając wszystkie guziki, które potoczyły się po pokoju. Boris o mało się na nich nie pośliznął, biegnąc Mili na pomoc.

Lekarz umieścił na piersi pacjenta łyżki defibrylatora, które podała mu pielęgniarka, i krzyknął: „Włączaj!”. Goran podszedł do Mili.

– Zabierzmy ją stąd – powiedział, pomagając jej podnieść zakonnicę. Kiedy opuszczali pokój wraz z Rosą i Sternem, policjantka

po raz ostatni spojrziała na Josepha B. Rockforda. Jego ciałem wstrząsały wyładowania elektryczne, ale Mila dostrzegła też wypukłość na kołdrze, która wyglądała na erekcję.

Przeklęty sukinsyn, pomyślała.

Popiskiwanie monitora zamieniły się w jednostajny dźwięk. Ale w tym momencie Joseph B. Rockford otworzył oczy.

Zaczął poruszać wargami, z których nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Jego struny głosowe zostały uszkodzone, gdy zastosowano tracheotomię, żeby umożliwić mu oddychanie.

Ten człowiek powinien być trupem. Otaczające go aparaty informowały, że jest już tylko ciałem, z którego uchodzi życie. A jednak próbował coś przekazać. Rzęząc, przypominał człowieka, który się topi i wymachuje rękami, starając się złapać jeszcze haust powietrza.

Nie trwało to długo.

W końcu niewidzialna ręka zdusiła te próby i dusza Josepha B.

Rockforda opuściła go, jakby połknęło ją jego łożo śmierci, pozostawiając niepotrzebne puste ciało.

## 32.

Gdy tylko Nicola Papakidis odzyskała siły, oddała się do dyspozycji policyjnego rysownika, by sporządzić portret pamięciowy człowieka towarzyszącego Josephowi.

Nieznajomego, którego on nazywał Typkiem, a który przypuszczalnie był Albertem.

Jego długa broda i bardzo gęste włosy uniemożliwiły jej dokładny opis rysów twarzy. Nie wiedziała, jak mogła wyglądać jego dolna szczęka, a rysunek nosa był tylko niepewnym cieniem. Umykał jej wykrój oczu.

Z całą pewnością mogła powiedzieć, że były szare.

Mimo wszystko postanowiono rozdać portret wszystkim patrolom i rozesłać go do portów, na lotniska i przejścia graniczne. Roche zastanawiał się, czy przekazać kopie także prasie, co pociągnęłoby za sobą prośby o wyjaśnienie, na jakiej podstawie sporządzono tę podobiznę.

Gdyby ujawnił, że stoi za tym medium, dziennikarze wyciągnęliby wniosek, że policja nie ma w rękach niczego, porusza się po omacku i w akcie desperacji zwróciła się do osoby mającej tego rodzaju zdolności.

– To ryzyko, które musisz podjąć – powiedział mu Goran.

Szef znowu przyjechał do domu Rockfordów, żeby dołączyć do zespołu. Odmówił spotkania z zakonnicą, ponieważ już na samym początku oświadczył, że nie chce nic wiedzieć o tej próbie. Jak zawsze cała odpowiedzialność miała spaść na Gorana. Kryminolog zaakceptował to bez zastrzeżeń, ponieważ ufał przeczuciom Mili.

– Wiesz, mała, zastanawiałam się nad czymś – powiedziała Nicla do swojej ulubienicy, gdy przyglądały się z okien furgonetki Gavili i inspektorowi, dyskutującym na trawniku przed budynkiem.

– Nad czym?

– Że nie chcę pieniędzy z tej nagrody.

– Ale jeśli to człowiek, którego szukamy, masz do nich prawo.

– Nie chcę ich.

– Pomyśl tylko, co mogłabyś zrobić dla osób, którymi się zajmujesz.

– A czy oni potrzebują czegoś, czego by już nie mieli? Mają naszą miłość i opiekę, a wierz mi, kiedy boże stworzenie dociera do kresu swoich dni, nie potrzebuje niczego więcej.

– Gdybyś to ty wzięła te pieniądze, mogłabym pomyśleć, że z całej tej sprawy może też wyniknąć coś dobrego.

– Zło rodzi tylko zło. To było zawsze jego główną cechą.

– Kiedyś słyszałam, jak ktoś mówił, że zło można zawsze pokazać. A dobra nigdy. Ponieważ zło zostawia po sobie ślady. Natomiast o dobru można tylko zaświadczyć.

Nicla wreszcie się uśmiechnęła.

– To nonsens – prychnęła. – Widzisz, Milu, chodzi tylko o to, że dobro jest zbyt ulotne, żeby można je było w jakiś sposób zarejestrować. I nie zostawia po sobie popiołów. Dobro jest czyste, natomiast zło brudzi. Ale ja mogę udowodnić istnienie tego dobra, bo widzę je codziennie. Gdy któryś z moich biedaków umiera, staram się być z nim jak najdłużej. Trzymam go za rękę, słucham tego, co ma do powiedzenia, a jeśli wyznaje mi swoje grzechy, nie osądzam go. Gdy już uświadomią sobie swoją sytuację, to... wiesz, zaczynają się uśmiechać bez względu na to, czy wiedli dobre życie i nie czynili zła, czy też je czynili i potem poczuli skruchę. Nie wiem, skąd się to bierze, ale zapewniam cię, że tak właśnie jest. Dlatego myślę, że dowodem na istnienie dobra jest ich uśmiech, którym rzucają wyzwanie śmierci.

Mila pokiwała głową, podniesiona na duchu. Nie chciała zmuszać Nicli do przyjęcia nagrody. Być może racja jest po jej stronie.

Dochodziła siedemnasta i zakonnica była zmęczona, ale pozostało jeszcze coś do zrobienia.

– Jesteś pewna, że rozpoznasz ten opuszczony dom? – zapytała ją Mila.

– Tak, wiem, gdzie on stoi.

\* \* \*

Miało to być tylko rutynowe przeszukanie przed powrotem do Studia. I definitywne potwierdzenie prawdziwości informacji podanych przez medium.

Mimo to pojechali tam wszyscy.

Siedząca za kierownicą Sarah Rosa słuchała wskazówek Nicli i skręcała tam, gdzie zakonnica jej kazała. Biuletyn meteorologiczny znowu zapowiadał opady śniegu. Po zachodniej, czystej stronie nieba widać było szybko zachodzące słońce. Na horyzoncie wschodniej strony gęstniały już chmury i można było dojrzeć pierwsze, coraz bliższe błyskawice.

Znajdowali się dokładnie pośrodku.

– Będziemy musieli się pospieszyć – powiedział Stern. – Niedługo zapadnie zmrok.

Dotarli do polnej drogi i skręcili w nią. Słysząc było chrzęst kamieni pod oponami. Po tylu latach drewniany dom jeszcze stał. Biała farba zniszczyła się całkowicie i pozostało po niej tylko kilka plam.

Wystawione na deszcze i wichry deski próchniały, upodabiając dom do zepsutego zęba.

Wysiedli z samochodów i ruszyli w stronę ganku.

– Uwaga, może się zarwać – ostrzegł Boris.

Goran wszedł na pierwszy stopień schodków. Dom odpowiadał opisowi zakonnicy. Drzwi były otwarte i wystarczyło lekko je pchnąć.

Podłogę pokrywała warstwa gnijących śmieci, słysząc było uciekające spod stołów myszy, przestraszone ich wtargnięciem. W jednym ze sprzętów Gavila rozpoznał kanapę, chociaż został z niej tylko szkielet zardzewiałych sprężyn. Zachował się też kredens. Kamienny kominek częściowo się zawalił. Goran wyjął z kieszeni

małą latarkę, żeby obejrzeć dwa pokoje w głębi. Tymczasem do środka weszli także Boris i Stern. Goran otworzył pierwsze drzwi.

– Tu jest sypialnia.

Ale łóżka już nie było. Pozostał po nim jaśniejszy ślad na podłodze. To tu Joseph B. Rockford przeszedł swój krwawy chrzest. Kim mógł być chłopiec zamordowany w tym pokoju dwadzieścia lat temu?

– Będziemy musieli przekopać ziemię koło domu, żeby sprawdzić, czy są ludzkie szczątki – powiedział Gavila.

– Gdy tylko zakończymy przeszukanie, wezwę grabarzy i ludzi Changa – odrzekł Stern.

Tymczasem Sarah Rosa kręciła się nerwowo przed domem, trzymając ręce w kieszeniach. Nicla i Mila przyglądały jej się z wnętrza samochodu.

– Nie lubisz tej kobiety – powiedziała zakonnica.

– Tak naprawdę to ona nie lubi mnie.

– Próbowalaś się domyślić dlaczego?

Mila spojrzała na nią kątem oka.

– Chcesz powiedzieć, że teraz to już wyłącznie moja wina?

– Nie, mówię tylko, że zawsze powinniśmy mieć pewność, zanim kogoś oskarżymy.

– Zwróć uwagę na to, że to ona na mnie wsiadła, gdy tylko się poznałyśmy.

Nicla uniosła ręce na znak poddania się.



– Więc się tym nie przejmuj. Wszystko minie, gdy tylko stąd wyjedziesz.

Mila pokręciła głową. Czasami zdrowy rozsądek zakonnicy był nie do zniesienia.

Tymczasem Goran wyszedł z sypialni i ruszył do drugich zamkniętych drzwi.

Medium nie wspomniało o tym drugim pokoju.

Skierował światło latarki na klamkę i nacisnął ją.

Pokój był dokładnie taki sam jak sąsiedni. Wilgoć zaatakowała ściany i w rogach czepiała się ich warstwa mchu. Goran omiółł pomieszczenie smugą światła latarki. Na jednej ze ścian zauważył coś, co to światło odbijało.

Oświetlił ścianę i zobaczył pięć błyszczących fotografii. Podszedł do nich. Przypięto je do ściany zwykłymi pinezkami.

Debby. Anneke. Sabine. Melissa. Caroline.

Przedstawały je jeszcze za życia. Albert przywoził je tu przed zamordowaniem i uwieczniał na fotografiach właśnie w tym pokoju, przed tą ścianą. Były potargane i w pogniecionych sukienkach. Bezlitosny flesz przyłapał ich zaczerwienione od łez oczy i przerażone spojrzenia.

Uśmiechały się i pozdrowiały.

Zmuszał je do przyjęcia tej groteskowej pozy przed obiektywem aparatu. Ta wymuszona strachem wesołość przerażała.

Usta Debby były wykrzywione w wyrazie nienaturalnego zadowolenia. Wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Anneke uniosła jedną rękę, a drugą opuściła wzdłuż boku, jej postawa wyrażała rezygnację.

Sabine została sfotografowana w chwili, gdy się rozglądała, starając się domyślić tego, czego jej dziecięce serce nie potrafiło sobie wytłumaczyć.

Melissa była spięta, bojowa. Ale było oczywiste, że i ona prędko się załamała.

Caroline stała bez ruchu, wytrzeszczając oczy. Także na jej twarzy widniał wymuszony uśmiech. I niedowierzanie.

Dopiero przyjrząwszy im się dokładnie, Goran zawołał innych.

\* \* \*

Absurdalne. Niepojęte. Pełne bezinteresownego okrucieństwa. Nie można było określić tego inaczej. W drodze powrotnej do Studia wszyscy milczeli.

Czekała ich długa noc. Nikt się nie spodziewał, że zaśnie po takim dniu. Dla Mili ta przymusowa bezsenność trwała już od czterdziestu ośmiu godzin, w czasie których tyle się wydarzyło.

Odnalezienie zarysu postaci Alberta na ścianie Willi Yvonne Gress.

Wieczorna rozmowa w mieszkaniu Gorana, gdy wyjawiała mu, że była śledzona, a także podzieliła się podejrzeniem, iż poszukiwany przez nich człowiek ma współniczkę. Potem pojawił się problem z kolorem oczu Sabine, a to z kolei umożliwiło odkrycie oszustwa

Roche'a. Wizyta w upiornym majątku Rockfordów. Zbiorowa mogiła. Lara Rockford. Seans z udziałem Nicli Papakidis. Wyprawa w głąb duszy seryjnego mordercy.

I wreszcie te zdjęcia.

Podczas swojej pracy Mila oglądała wiele zdjęć. Fotografie dzieci zrobione nad morzem albo na szkolnym przedstawieniu. Pokazywali je ich krewni lub rodzice, gdy składała im wizytę. Dzieci, które zniknęły, aby pojawić się na innych zdjęciach – często nagie albo w ubraniach dla dorosłych – w kolekcjach pedofilów lub w rejestrach kostnic.

Ale tych pięć fotografii odkrytych w opuszczonym domu kryło w sobie coś więcej.

Albert wiedział, że policjanci dotrą aż tu. I czekał na nich.

Czyżby przewidział, że posuną się do sondowania jego ucznia Josepha, wykorzystując medium?

– Obserwuje nas od samego początku – skomentował to lakonicznie Gavila. – I wciąż wyprzedza nas o krok.

Milę zastanawiało to, że udaje mu się uprzedzić każde ich posunięcie. A teraz musieli nawet sprawdzać, co mają za plecami. Był to ciężar, który wszystkich przygniatał.

No i do odnalezienia pozostały jeszcze dwie dziewczynki.

Pierwsza już na pewno nie żyje, druga zapewne wkrótce umrze.

Nikt nie miał odwagi tego przyznać, ale wszyscy szukali rozpaczliwie sposobu, żeby do tego nie dopuścić.

Jeśli chodzi o małą Caroline, to nikt nie potrafił przewidzieć, co ukaże się ich oczom, gdy znajdą jej ciało. Czy będzie to coś jeszcze gorszego od tego, co oglądali do tej pory? Jeśli tak, to Albert szykuje się do wielkiego finału z szóstą dziewczynką.

Nie chcieli pozostać za nim.

Wspólne oglądanie koszmarnych scen jeszcze bardziej ich zjednoczyło, ponieważ mogli już liczyć tylko na siebie nawzajem. Także Mila należała do tej wspólnoty. Podobnie jak Goran. Zostali z niej wprowadzeni na chwilę wyłączeni, ale trwało to krótko i doszło do tego wyłącznie z powodu manii Roche'a, żeby mieć nad wszystkim kontrolę. Sytuacja się jednak unormowała, a uchybienie zostało wybaczone.

Wolno wchodzili po schodach na górę. Stern położył rękę na ramieniu Rosy.

– Dziś wieczorem idź do domu, do rodziny – powiedział.

Ale Rosa odpowiedziała mu tylko energicznym kręceniem głową.

Mila zrozumiała. Rosa nie chciała zrywać tych więzów, bo inaczej świat nie byłby już taki jak dotąd, a chroniące go bramy otworzyłyby się na oścież dla sług zła, i ono by się w końcu rozlało. Byli ostatnią linią oporu w tej walce, i chociaż przegrywali, nie mieli zamiaru się poddać.

Razem przekroczyli próg Studia. Boris zatrzymał się, żeby zamknąć drzwi, a potem pobiegł za nimi i zobaczył, że stoją jak zahipnotyzowani w korytarzu. Nie wiedział, co się dzieje. Wreszcie pomiędzy ich ramionami zobaczył leżące na podłodze ciało. Sarah

Rosa krzyknęła. Mila odwróciła się, nie mogąc znieść tego widoku.  
Stern się przeżegnał. Gavila nie mógł wykrztusić słowa.

Caroline, piąta.

Tym razem zwłoki dziewczynki były prezentem tylko dla nich.

Zakład Karny w [REDACTED]

Okręg Penitencjarny nr 45

Raport nr 2 dyrektora dr. Alphonse'a Bérengera

16 grudnia br.

Do rozpatrzenia przez

Biuro Prokuratora Generalnego

J.B. Marina

w osobie zastępcy prokuratora Matthew Sedrisa

Dotyczy: WYNIK INSPEKCJI - POUFNE

Szanowny Panie Prokuratorze,

Informuję Pana, iż ostatniej nocy została przeprowadzona z zaskoczenia inspekcja celi osadzonego RK-357/9.

Strażnicy więzienni weszli do celi w celu pobrania materiału organicznego „utraconego przez osadzonego przypadkowo lub pozostawionego przez niego nieświadomie”, by ustalić jego kod genetyczny.

Inspekcja odbyła się ściśle według wskazań Pańskiego Biura.

Informuję, iż moi ludzie, ku ich wielkiemu zdumieniu, zastali celę w stanie „nieskazitelnie czystym”. Na tej podstawie odnieśliśmy wrażenie, iż więzień RK-357/9 spodziewał się naszego wejścia.

Przypuszczam, że utrzymuje on nieustannie czujność oraz że przewidział i przeanalizował wszystkie nasze posunięcia.

Obawiam się, iż jeśli osadzony nie popełni błędu lub nie nastąpią jakieś przypadkowe okoliczności, staniemy wobec poważnych trudności w osiągnięciu konkretnych wyników.

Pozostaje nam być może jedyna możliwość rozwikłania tej zagadki. Zauważyliśmy, iż osadzony RK-357/9 kilkakrotnie mówił do siebie, być może także z powodu odosobnienia. Wydaje się, że są to brednie wypowiedane cichym głosem, w każdym razie uznajemy za wskazane, po otrzymaniu Pana zezwolenia, ukrycie w jego celi tak zwanej pluskwy, by zarejestrować wypowiedane przez niego słowa.

Nie zaniedbamy oczywiście przeprowadzania niespodziewanych inspekcji mających na celu zdobycie jego materiału genetycznego.

Chciałbym podzielić się z Panem dodatkową obserwacją: więzień jest zawsze spokojny i dobrze usposobiony. Nigdy na nic nie narzeka i nie wydaje się poirytowany naszymi próbami przyłapania go na jakimś błędzie. Nie zostało nam już wiele czasu. Za 86 dni będziemy zmuszeni go wypuścić.

Z poważaniem,

dyrektor dr Alphonse Bérenger



## **33.**

### **Apartament zwany Studiem, obecnie określany jako „Miejsce zbrodni numer 5”**

**22 lutego**

Nic nie miało już wyglądać tak jak przedtem.

Czując cień wiszący nad ich głowami, zebrali się w sypialni i czekali, aż zespoły Changa i Kreppa zabezpieczą ślady. Pospiesznie poinformowany o wszystkim Roche od ponad godziny rozmawiał z Goranem.

Stern leżał na łóżku, podłożył sobie rękę pod głowę i wbił wzrok w sufit. Przypominał kowboja. Na jego nieskazitelnym ubraniu nie było śladu wydarzeń z ostatnich godzin, a on sam nie pomyślał nawet o tym, żeby rozluźnić węzeł krawata. Boris leżał na boku, ale było jasne, że nie śpi. Jego lewa stopa drgała nerwowo. Rosa próbowała zadzwonić do kogoś z komórki, ale sygnał był za słaby.

Mila od czasu do czasu obrzucała spojrzeniem swoich milczących kolegów, po czym wracała do monitora notebooka trzymanego na kolanach. Poprosiła o pliki z amatorskimi zdjęciami zrobionymi w wesołym miasteczku w wieczór uprowadzenia Sabine. Ich przeglądanie nie dało jak na razie żadnych wyników, ale ona chciała

je obejrzyć pod kątem teorii, że osobą, która uprowadziła dziewczynkę, mogła być kobieta.

– Chciałbym wiedzieć, jak ten czort zdołał wnieść do środka zwłoki Caroline – odezwał się Stern, wypowiadając na głos pytanie, które nurtowało wszystkich.

– Tak, ja też chciałabym to wiedzieć zawtórowała mu Rosa.

W biurowcu, w którym znajdowało się Studio, nie było już posterunków jak wtedy, gdy przyprowadzano tu świadków objętych programem ochrony. Praktycznie biorąc, budynek był pusty, systemy zabezpieczające wyłączone. Jedyna droga do apartamentu prowadziła przez drzwi wejściowe, które były opancerzone.

– Wszedł głównym wejściem – zauważył lakonicznie Boris.

Było jednak coś, co szczególnie ich irytowało. Co tym razem Albert chciał im powiedzieć? Dlaczego postanowił tak doświadczyć ścigających go ludzi?

– Moim zdaniem chce nas tylko przystopować – zasugerowała Rosa. – Za bardzo się do niego zbliżyliśmy, więc przetasował karty.

– Nie, Albert nie postępuje pochopnie – zauważyła Mila. – Już nas nauczył, że każdy ruch wykonuje z premedytacją i uwagą.

Sarah Rosa przygwoździła ją wzrokiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, do kurwy nędzy? Czy przypadkiem nie to, że wśród nas jest jakiś pieprzony zwyrodnialec?

– Mila nie to miała na myśli – włączył się Stern. – Mówi tylko, że musi się w tym kryć coś, co jest związane z planem Alberta, i że jest to jeden z elementów gry, jaką prowadzi on z nami od samego

początku. To mogłoby mieć coś wspólnego z tym miejscem, ze sposobem, w jaki wykorzystywano je w przeszłości.

– Mogłoby się odnosić do któregoś z dawnych śledztw – dodała Mila, stwierdzając, że jej hipoteza trafia w próżnię.

Zanim zdążyli podjąć dyskusję, do sypialni wszedł Goran i zamknął za sobą drzwi.

– Proszę o uwagę.

Mila odłożyła laptop. Wszyscy nastawili uszu.

– Nadal prowadzimy to śledztwo, ale sprawy się komplikują.

– To znaczy? – warknął Boris.

– Zrozumiecie to za kilka minut, ale proszę, żebyście zachowali spokój. Potem wszystko wam wyjaśnię.

– Potem? Po czym?

Goran nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Roche. Towarzyszył mu dobrze zbudowany mężczyzna około pięćdziesiątki, w wymiętej marynarce, ze zbyt cienkim krawatem na grubej szyi i z niezapalonym cygarem w zębach.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział Roche, chociaż nikt się nie poruszył. Na twarzy inspektora malował się wymuszony uśmiech z rodzaju tych, które chciałyby zasiać spokój, a wywołują obawy i zdenerwowanie.

– Proszę państwa, sytuacja jest skomplikowana, ale z tego wyjdziemy. Z pewnością nie pozwolę na to, żeby jakiś psychopata podawał w wątpliwość działania moich ludzi!

Jak zwykle położył zbyt duży nacisk na ostatnie słowa.

– Podjąłem więc środki ostrożności wyłącznie w waszym interesie, przydzielając kogoś do pomocy w śledztwie. – Powiedział to, nie wspominając o mężczyźnie, który stał obok niego. – Zrozumiecie mnie, bo inaczej pewne uzasadnione powody kazałyby mi was zwolnić. Sprawa jest kłopotliwa: nie udaje się nam znaleźć Alberta, a on składa nam wizytę! Tak więc, w porozumieniu z doktorem Gavilą, powierzyłem obecnemu tu kapitanowi Mosce zadanie pomagania wam do zakończenia śledztwa.

Wszyscy wstrzymali oddech, choć zrozumieli już, na czym ma owa „pomoc” polegać. Mosca miał przejąć nadzór, pozostawiając im wybór: albo staną po jego stronie i będą się starali odzyskać nieco zaufania, lub się wyłącza.

Terence Mosca był bardzo znany w kręgach policyjnych. Sławę zawdzięczał wniknięciu na przeszło sześć lat do organizacji handlarzy narkotyków. Dzięki niemu zatrzymano setki osób, a jako tajny agent przeprowadził też szereg innych operacji. Nigdy jednak nie zajmował się seryjnymi mordercami ani patologicznymi zbrodniami.

Roche powołał go tylko z jednego powodu: przed laty Mosca ubiegał się wraz z nim o fotel szefa wydziału. Widząc, jaki obrót przybierają sprawy, doszedł do wniosku, że powinien włączyć do śledztwa swojego najgroźniejszego rywala, aby obarczyć go częściową odpowiedzialnością za niepowodzenie, które uważał za bardziej niż prawdopodobne. Był to ryzykowny ruch, który pokazywał, jak bardzo Roche czuje się przyciśnięty do muru. Gdyby Terence Mosca rozwiązał sprawę Alberta, Roche musiałby ustąpić ze stanowiska.

Nim jeszcze kapitan zaczął mówić, zrobił krok do przodu i wysunął się przed Roche'a, aby okazać swoją niezależność.

– Patolog i technicy kryminalistyczni jeszcze niczego nie znaleźli.

Wiemy tylko, że aby wejść do apartamentu, morderca pokonał pancerne drzwi.

Gdy po powrocie Boris je otwierał, nie zauważył śladów włamania.

– Bardzo się starał, żeby nie zostawić śladów, nie chciał psuć wam niespodzianki.

Mosca nadal gryzł cygaro i przyglądał się wszystkim, trzymając ręce w kieszeniach. Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza się pastwić, ale i tak to robił.

– Poleciałem kilku agentom, żeby obeszlą okolicę – odezwał się. – Może znajdą jakiegoś świadka albo nawet uda nam się zdobyć numery rejestracyjne samochodu. Jeśli chodzi o motywację, która popchnęła sprawcę do umieszczenia zwłok właśnie tu, możemy się jej tylko domyślać. Gdyby przyszło wam coś do głowy, mówcie. Na razie to wszystko.

Terence Mosca odwrócił się i wyszedł na korytarz, nie dając nikomu szansy na odpowiedź lub dodanie czegokolwiek. Natomiast Roche został z nimi.

– Nie macie dużo czasu. Konieczny jest jakiś pomysł i dobrze by było, gdybyście wpadli na niego jak najprędzej.

To rzekłszy, inspektor także opuścił pokój. Goran zamknął drzwi i wszyscy natychmiast go otoczyli.

– Co to wszystko ma znaczyć? – irytował się Boris.

– Dlaczego uznali, że potrzebujemy psa, żeby nas pilnował? – zawtórowała mu Rosa.

– Spokojnie, niczego nie zrozumieliście – odparł Goran. – W tym momencie kapitan Mosca jest osobą, która najlepiej się nadaje. To ja poprosiłem o włączenie go do śledztwa.

Na twarzach wszystkich odmalowało się zdumienie.

– Wiem, co o tym myślicie, ale w ten sposób dałem Roche'owi szansę na wyjście z kłopotów i uratowałem nasz udział w śledztwie.

– Oficjalnie nadal jesteśmy w grze, ale wszyscy wiedzą, że Terence Mosca lubi działać jak pies spuszczonego z łańcucha – zauważył Stern.

– Dlatego zaproponowałem właśnie jego, bo łatwo się domyślić, że nie będzie chciał, żebyśmy plątali mu się pod nogami, i dlatego nie będzie zwracał uwagi na to, co robimy. Będziemy musieli tylko informować go o naszych posunięciach, to wszystko.

Wydawało się, że to najlepsze wyjście, mimo to członkowie zespołu nadal byli podejrzliwi.

– Będą nam się przyglądali. – Zniechęcony Stern kręcił głową.

– Zrobimy tak: niech Mosca zajmuje się Albertem, natomiast my skupimy się na szóstej dziewczynce.

Wydawało się, że to dobra strategia: jeśli odnajdą ją żywą, dowiodą, że są coś warci.

– Myślę, że Albert podrzucił tu ciało Caroline, żeby nas skompromitować. Bo jeśli nawet nie wyskoczy nic, co nas obciąży, zawsze pozostanie wątpliwość co do naszych kompetencji.

Mimo iż Goran starał się zachować spokój, dobrze wiedział, że jego zapewnienia nie wystarczą, żeby oczyścić atmosferę, bo od momentu odnalezienia piątych zwłok do grupy wkradła się podejrzliwość. Znali się wprawdzie od bardzo dawna, ale nikt nie mógł wykluczyć, że któryś z członków zespołu ma jakieś sekrety. To był prawdziwy cel Alberta: poróżnić ich. Kryminolog zadawał sobie pytanie, ile czasu potrzeba, aby zaczęło kiełkować ziarno nieufności.

– Ostatniej dziewczynce nie zostało dużo czasu – przypomniał po chwili. – Albert prawie zrealizował swój plan. Teraz przygotowuje się do finału, jednak chciał oczyścić pole i wyłączyć nas z gry. Dlatego mamy tylko jedną możliwość odnalezienia dziewczynki i wiąże się ona z jedyną osobą wśród nas, która jest poza jakimikolwiek podejrzeniami, jako że dołączyła do zespołu, kiedy Albert już wszystko zaplanował.

Znalazłszy się niespodziewanie pod ostrzałem ich spojrzeń, Mila poczuła się niezręcznie.

– Będiesz mogła poruszać się swobodniej niż my – zachęcał ją Stern. – Gdybyś miała pełną swobodę działania, co byś zrobiła?

W istocie Mila miała pewien pomysł, ale aż do tej chwili zachowała go dla siebie.

– Wiem, dlaczego wybrał dziewczynki.

Zadali sobie to pytanie w „Myślarni”, gdy śledztwo było jeszcze w początkowej fazie. Dlaczego Albert nie uprowadził także chłopców?

Jego zachowanie nie zdradzało celów seksualnych, jako że nie dotykał dziewczynek.

„Nie, on je tylko zabija”.

Więc dlaczego dziewczynki?

Mila sądziła, że znalazła wyjaśnienie.

– Wszystkie ofiary musiały być dziewczynkami z powodu tej szóstej. Jestem prawie pewna, że wybrał ją jako pierwszą, a nie ostatnią, jak próbuje nam wmówić. Pozostałe miały tylko ukryć ten szczegół. Ale to ona najbardziej go interesowała. Nie wiemy jednak dlaczego. Może odznacza się jakąś specjalną cechą, czymś, co odróżnia ją od innych. Właśnie dlatego Albert do końca musi utrzymywać jej tożsamość w sekrecie. Nie wystarczało, że dał nam do zrozumienia, iż jedna z uprowadzonych dziewczynek jeszcze żyje. Nie, zależało mu na tym, żebyśmy nie dowiedzieli się, kto to jest.

– Ponieważ to mogłoby nas do niego doprowadzić – podsumował Goran.

Były to jednak tylko fascynujące, ale bezużyteczne domysły.

– Chyba że... – podjęła Mila, domyślając się, w jakim kierunku biegają myśli kolegów, i powtórzyła: – Chyba że przez cały czas Albert miał z nami kontakt.

Nie mieli już wiele do stracenia, więc Mila uznała, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby wyjawić wszystkim, że była śledzona.

– Zdarzyło się to dwa razy. Chociaż jestem absolutnie pewna tylko drugiego przypadku. Natomiast na placu przed motelem było to raczej wrażenie...

– I co? – spytał zaciekawiony Stern. – Jak to rozumieć?

– Ktoś mnie śledził. Być może zdarzyło się to więcej razy, nie mogę przysiąc, nie zauważyłam tego. Ale po co? Żeby kontrolować



moje ruchy? W jakim celu? Nigdy nie miałam ważnych informacji i zawsze byłam u was piątym kołem u wozu.

– Może po to, żeby podsunąć ci fałszywy trop? – zasugerował Boris.

– Myślałam i o tym, ale nigdy nie było żadnego „właściwego tropu”, chyba że rzeczywiście za bardzo się do czegoś zbliżyłam i stałam się dla niego ważna, nic o tym nie wiedząc.

– Ale zajście w motelu miało miejsce tuż po twoim przyjeździe, a to eliminuje hipotezę o kierowaniu na fałszywy trop – zauważył Goran.

– Więc zostaje tylko jedno wytłumaczenie. Ten, kto mnie śledził, chciał mnie zastraszyć.

– Ale z jakiego powodu? – spytała Sarah Rosa.

Mila nie odpowiedziała.

– W obu przypadkach mój prześladowca świadomie dał mi znać, że mnie śledzi.

– Dobrze, rozumiemy, ale dlaczego miałyby to robić? – drążyła Rosa. – Przepraszam, ale to bez sensu!

Mila odwróciła się szybko w jej stronę. Widać było, że jest znacznie wyższa od Rosy.

– Ponieważ od samego początku byłam jedyną osobą wśród was, która mogła znaleźć szóstą dziewczynkę. – Odwróciła się znowu do pozostałych. – Nie bierzcie mi tego za złe, ale na moją korzyść przemawiają wyniki, jakie osiągałam do tej pory. Wy jesteście

doskonali w łapaniu seryjnych morderców, a ja odnajduję zaginione osoby.

Zawsze to robiłam i wiem, jak się do tego zabrać.

Nikt nie zaprzeczył. Z tego punktu widzenia Mila stanowiła bardziej konkretne zagrożenie dla Alberta, gdyż jako jedyna mogła zniweczyć jego plany.

– Podsumujmy: on uprowadził najpierw szóstą dziewczynkę.

Gdybym odkryła od razu, kto to jest, cały jego plan by się zawalił.

– Ale nie odkryłaś – warknęła Rosa. – Może nie jesteś taka dobra.

Mila nie podjęła wyzwania.

– Podchodząc do mnie tak blisko na placu przed motelem, Albert być może popełnił błąd. Musimy wrócić do tamtego momentu!

– Ale jak? Nie wmówisz mi chyba, że dysponujesz maszyną przenoszącą w czasie?

Mila się uśmiechnęła. Rosa nieświadomie zbliżyła się do prawdy, ponieważ istniał sposób na powrót do przeszłości. Nie zwracając uwagi na zapach nikotyny w jego oddechu, odwróciła się do Borisa.

– Jak dajesz sobie radę z przesłuchaniami w hipnozie?

\* \* \*

– Teraz się odpręż.

Boris zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu. Mila leżała na łóżku z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków i zamkniętymi oczami.

On siedział obok niej.

– Teraz zacznij liczyć od jednego do stu...

Stern osłonił lampę ręcznikiem i pokój zalał przyjemny półcień.

Rosa usiadła na swoim łóżku, a Goran stał w rogu pokoju, obserwując, co się dzieje.

Mila liczyła. Zaczęła oddychać powoli i równo. Gdy skończyła liczyć, była całkowicie rozluźniona.

– Teraz chcę, żebyś wyobraziła sobie różne rzeczy. Jesteś gotowa?

Mila skinęła głową.

– Jesteś na wielkiej łące. Jest ranek i świeci słońce. Promienie ogrzewają ci twarz, unosi się zapach trawy i kwiatów. Idziesz bez butów: czujesz pod stopami chłód ziemi. Słychać szemranie strumyka, który cię wzywa. Podchodzisz i pochylasz się. Zanurzasz w wodzie dłoń, a potem podnosisz je do ust, żeby się napić. Woda jest bardzo smaczna.

Dobór obrazów nie był przypadkowy: Boris odwołał się do tych wrażeń, żeby przejąć kontrolę nad wszystkimi pięcioma zmysłami Mili. Dzięki temu będzie mu potem łatwiej polecić jej, żeby wróciła pamięcią dokładnie do chwili na placu przed motelem.

– Teraz, kiedy ugasilaś pragnienie, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Wróc do wieczoru sprzed kilku dni...

– Dobrze...

– Jest wieczór, wreszcie przywieziono cię samochodem do motelu.

– Jest zimno – powiedziała natychmiast. Goran miał wrażenie, że widzi, jak przechodzi ją dreszcz.

– Co jeszcze?

– Policjant, który mnie odwiózł, żegna mnie skinieniem głowy i zawraca. A ja zostaję sama na środku dużego placu.

– Jak on wygląda? Opisz mi go.

– Nie jest zbyt dobrze oświetlony. Tylko neonową reklamą, która skrzypi na wietrze. Przede mną stoi kilka domków, ale ich okna są ciemne. Jestem tej nocy jedynym klientem. Na tyłach domków znajduje się pas bardzo wysokich drzew, które się kołyszą. Plac wysypany jest żwirem.

– Zaczynij iść...

– Słyszę tylko moje kroki.

Wydawało się, że słyhać skrzypienie butów na drobnych kamykach.

– Gdzie teraz jesteś?

– Kieruję się do mojego domku i przechodzę przed biurem stróża.

W środku nie ma nikogo, ale telewizor jest włączony. Mam ze sobą papierową torebkę z dwoma tostami z serem, to kolacja. Mój oddech skrapla się w mroźnym powietrzu, więc przyspieszam. Moje kroki na żwirze to jedyne odgłosy, jakie mi towarzyszą. Bungalow, w którym mieszkam, jest ostatni w rzędzie.

– Idziesz szybko...

– Mam jeszcze parę metrów i skupiam się na swoich myślach. W ziemi jest mały dołek, nie zauważam go i potykam się. I coś słyszę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Goran pochylił się w kierunku łóżka Mili, jakby chciał podejść do niej na tamtym placu i obronić ją przed zagrożeniem, które nad nią zawisło.

– Co usłyszałaś?

– Krok na żwirze, gdzieś za mną. Ktoś kopiuje mój chód. Chce podejść tak, żebym tego nie zauważyła. Ale gubi rytm moich kroków.

– I co teraz robisz?

– Staram się zachować spokój, ale się boję. Ruszam szybko w kierunku bungalowu, chociaż wolałabym biec. I przez cały czas się zastanawiam.

– Nad czym?

– Że nie ma sensu wyciągać pistoletu, bo jeśli on jest uzbrojony, będzie miał dość czasu, żeby strzelić pierwszy. Myślę też o włączonym telewizorze w biurze i mówię sobie, że on już załatwił stróża. A teraz kolej na mnie. Strach narasta.

– Tak, ale udaje ci się zapanować nad sobą.

– Wkładam rękę do kieszeni, żeby wyjąć klucz, bo jedyną szansę daje mi wejście do domku. O ile on mi na to pozwoli.

– Koncentrujesz się na drzwiach. Masz do nich tylko kilka metrów, tak?

– Tak. W moim polu widzenia są tylko one, wszystko inne wokół mnie znikło.

- Ale teraz powinnaś sprawić, żeby wróciło...
- Staram się...
- Krew pulsuje w twoich żyłach, napływa adrenalina, twoje zmysły są wyostrzone. Chcę, żebyś opisała smak.
- Mam sucho w ustach, ale czuję kwaśny smak śliny.
- Dotyk.
- Czuję chłód klucza od pokoju w spoczonej dłoni.
- Zapach.
- Wiatr niesie dziwny zapach gnijących odpadków. Na prawo ode mnie znajdują się pojemniki na śmiecie. Oraz igły sosen i żywica.
- Co widzisz?
- Widzę mój cień, który się wydłuża na placu.
- A potem?
- Drzwi bungalowu, są żółte i odrapane. Widzę trzy stopnie prowadzące na ganek.

Boris celowo zostawił na koniec najważniejszy ze zmysłów, gdyż Mili zorientowała się, że ktoś ją śledzi jedynie dzięki temu, że coś usłyszała.

- Co słyszysz?
- Nie słyszę niczego oprócz moich kroków.
- Wsłuchaj się.

Goran zobaczył, że z wysiłku, dokładnie pośrodku między oczami Mili, tworzy się zmarszczka.

– Słyszę je! Teraz rozróżniam też jego kroki!

– Doskonale. Ale chcę, żebyś się jeszcze bardziej skupiła...

Mila wykonała polecenie.

– Co to było? – zapytała po chwili.

– Nie wiem – odparł Boris. – Jesteś tam tylko ty, ja niczego nie usłyszałem.

– A jednak coś tam było!

– Co?

– Ten odgłos...

– Jaki odgłos?

– Taki... metaliczny. Tak! Jakiś metalowy przedmiot, który spada!  
Na ziemię, na żwir!

– Spróbuj określić go dokładniej.

– Nie umiem...

– No, zmusz się...

– To jest... moneta!

– Jesteś pewna?

– Tak! Mały pieniążek o wartości kilku centów! Wypadł mu, a on tego nie zauważył!

Pojawiła się nieoczekiwana ścieżka. Trzeba odnaleźć tę monetę na środku placu. Odnaleźć ją i zdjąć z niej odciski palców. Dzięki temu możliwe będzie ustalenie, kto ją śledził. Można mieć nadzieję, że był to Albert.

Mila nadal leżała z zamkniętymi oczami, ale nie przestawała powtarzać:

– Moneta! Moneta!

Boris znów przejął nad nią kontrolę.

– Dobrze, Milu. Teraz będę musiał cię obudzić. Policzę do pięciu, potem klasnę, a ty otworzysz oczy. – Zaczął powoli liczyć: – Raz, dwa, trzy, cztery... pięć!

Mila otworzyła szeroko oczy. Była zmieszana i zagubiona. Próbowała się podnieść, ale Boris położył ją, naciskając delikatnie jej ramię.

– Jeszcze nie teraz – powiedział. – Mogłoby ci się zakręcić w głowie.

– Czy to coś dało? – spytała, wpatrując się w niego. Boris się uśmiechnął.

– Chyba mamy trop.

\* \* \*

– Muszę ją znaleźć za wszelką cenę – powiedziała sobie, przeciągając ręką po żwirze pokrywającym plac. – Chodzi o moją wiarygodność... O moje życie.

Dlatego była bardzo uważna. Ale musiała się spieszyć. Nie miała dużo czasu.



W gruncie rzeczy wystarczyłoby przesiać tylko kilka metrów. Dokładnie tyle, ile dzieliło ją od bungalowu, tak jak tamtego wieczoru.

Poruszała się na czworakach, nie zważając na to, że ubrudzi sobie dżinsy. Zagłębiała dłoń w białych kamyczkach i miała już na kłykciach drobne zadrapania, które prześwitywały spod pokrywającego je kurzu. Ale ból jej nie przeszkadzał, przeciwnie, pomagał się skoncentrować.

– Moneta – powtarzała. – Jak mogłam tego nie zauważyć? Z łatwością mógł ją znaleźć ktoś inny. Jakiś klient lub może stróż.

Przyjechała do motelu przed innymi, ponieważ nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. I odnosiła wrażenie, że koledzy także nie mają już do niej zaufania.

– Muszę się pospieszyć!

Chwytała kamyki, rzucając je za siebie i zagryzając wargi. Była zdenerwowana. Zła na siebie i na cały świat. Odetchnęła głęboko kilka razy, starając się uspokoić.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał jej się epizod z czasów, gdy była nowicjuską, tuż po akademii. Już wtedy widać było, że jest osobą zamkniętą w sobie i trudno jej żyć z innymi. Wyznaczono ją do patrolu razem ze starszym kolegą, który jej nie cierpiał. Śledzili pewnego podejrzanego w zaułkach chińskiej dzielnicy. Był za szybki i nie udało się im go złapać, ale jej kolega odniósł wrażenie, że osobnik, przechodząc koło zaplecza jakiejś restauracji, wrzucił coś do kadzi z ostrygami. Kolega kazał jej wejść po kolana do bagnistej wody i grzebać w tych nieszczęsnych mięczakach. Najwyraźniej niczego

tam nie było, a on prawdopodobnie chciał tylko dać nowicjuszcze nauzkę.

Od tamtego czasu nie jadła ostryg. Ale udzielono jej ważnej lekcji.

Teraz też przechodziła test, przerzucając z zapalem kamyki.

Chciała udowodnić sobie samej, że potrafi jeszcze wyciągać korzyści z różnych spraw. Przez długi czas była to jej specjalność. Ale właśnie w chwili, gdy zaczęła się nad sobą litować, przez głowę przeleciała jej myśl, że podobnie jak tamten starszy kolega, także teraz ktoś sobie z niej żartuje.

W rzeczywistości nie było żadnej monety. Została nabrana.

Dokładnie w chwili, w której to sobie uświadomiła, uniosła głowę i zobaczyła zbliżającą się do niej Milę. Sarah Rosa poczuła się zdemaskowana i bezsilna. Na widok młodszej koleżanki opuściła ją wściekłość, a oczy wypełniły się łzami.

– On ma twoją córkę, tak? To ona jest szóstą dziewczynką – powiedziała Mila.

## 34.

*We śnie pojawia się matka.*

*Mówi do niej ze swoim „magicznym” uśmiechem – określa go w ten sposób, bo jest piękny, gdy mama się nie złości i staje się wtedy najmiłą osobą na świecie, ale zdarza się to coraz rzadziej.*

*W tym śnie matka opowiada jej o sobie, ale także o jej ojcu. Rodzice znowu się pogodzili i teraz już się nie kłócą. Mama mówi jej, co robią, jak idzie praca i życie w domu podczas jej nieobecności, wymienia też filmy, które obejrzeli na wideo. Jednak nie te, które ona lubi. Z tymi zaczekają na nią. Te słowa sprawiają jej przyjemność.*

*Chciałaby ją zapytać, kiedy wróci, ale we śnie matka nie może jej usłyszeć. Wygląda to tak, jakby mówiła do niej przez zasłonę. Jej wysiłki nie odnoszą skutku. A teraz uśmiech na twarzy mamy wydaje jej się niemal żaloszny.*

*Budzi się, czując, że ktoś delikatnie gładzi ją po włosach.*

*Drobna rączka wędruje w górę i w dół po jej głowie leżącej na poduszce, a łagodny głos nuci cicho piosenkę.*

*– To ty!*

*Jej radość jest tak wielka, że zapomina, gdzie się znajduje. Teraz chodzi tylko o to, żeby się nie okazało, że ta dziewczynka tylko jej się przywidziała.*

*– Czekałam na ciebie – mówi do niej.*

*– Wiem, ale nie mogłam przyjść wcześniej.*

*– Nie pozwolił ci?*

*Dziewczynka patrzy na nią wielkimi poważnymi oczami.*

*– Nie, byłam zajęta.*

*Nie wie, na czym mogą polegać zajęcia, z których powodu dziewczynka nie mogła jej odwiedzić. Ale teraz to już nieważne. Ma do niej tysiąc pytań. I na początek zadaje to, które najbardziej leży jej na sercu: – Co my tu robimy?*

*Zakłada, że dziewczynka też jest uwięziona. Jeśli nawet tylko ona jest przywiązana do łóżka, podczas gdy tamta, jak się wydaje, jest wolna i może kręcić się w brzuchu potwora, gdy tylko zechce.*

*– To jest mój dom.*

*Ta odpowiedź wprawia ją w zakłopotanie.*

*– A ja? Dlaczego ja tu jestem?*

*Dziewczynka nie odpowiada i znowu skupia się na jej włosach.*

*Domyśla się, że unika odpowiedzi i nie nalega, ale przyjdzie moment także na wyjaśnienie tej sprawy.*

*– Jak masz na imię?*

*Dziewczynka się uśmiecha.*

*– Gloria.*

*Ale ona przygląda jej się uważniej.*

*– Nie...*

– Co nie?

– Znam cię. Nie nazywasz się Gloria.

– Ależ tak.

*Zmusza się, żeby sobie przypomnieć. Widziała ją już, widziała, jest tego pewna.*

– Byłaś na kartonie z mlekiem!

*Dziewczynka patrzy na nią, nie rozumiejąc.*

– Tak, twoja twarz była też na ulotkach. Miasto było ich pełne. W mojej szkole, w supermarkecie... Wydarzyło się to... – Ile czasu minęło? Była wtedy jeszcze w czwartej klasie. – Wydarzyło się to trzy lata temu.

*Dziewczynka nadal nie rozumie.*

– Jestem tu od niedawna. Najwyżej od czterech tygodni.

– Mówię ci, że nie! Minęły co najmniej trzy lata.

*Dziewczynka jej nie wierzy.*

– To nieprawda.

– Tak, a twoi rodzice apelowali też w telewizji.

– Moi rodzice nie żyją.

– Ależ nie, żyją! A ty masz na imię... Linda! Nazywasz się Linda Brown!

– Mam na imię Gloria! – upiera się dziewczynka. – A Linda, o której mówisz, to inna osoba. Pomyliłaś się.

*Słyszając, że głos dziewczynki się załamuje, postanawia nie nalegać.*

*Nie chce, żeby sobie poszła i znowu zostawiła ją samą.*

*– Dobrze, Glorio, jak chcesz. To znaczy, że się pomyliłam.*

*Nie gniewaj się.*

*Dziewczynka kiwa z zadowoleniem głową, po czym jak gdyby nigdy nic znowu zaczyna przeczesać palcami jej włosy i nucić. Wtedy ona próbuje porozmawiać o czymś innym.*

*– Wiesz, Glorio, bardzo źle się czuję. Nie mogę poruszyć ręką.*

*Ciągle mam dreszcze. I często tracę przytomność.*

*– Niedługo poczujesz się lepiej.*

*– Potrzebuję lekarza.*

*– Lekarze tylko robią bałagan.*

*To zdanie brzmi w jej ustach nieszczerze. Jakby usłyszała je od kogoś innego, kto powtarzał je tak często, że z czasem zadomowiło się także w jej języku. I teraz je powtarza.*

*– Czuję, że chyba umrę.*

*Z jej oczu wymykają się dwie ogromne łzy. Gloria nieruchomieje i ściera je z jej policzków. Potem zaczyna wpatrywać się w swoje palce, nie zwracając na nią uwagi.*

*– Glorio, zrozumiałaś, co ci powiedziałam? Umrę, jeśli mi nie pomożesz.*

*– Steve powiedział, że wyzdrowiejesz.*

*– Kto to jest Steve?*

*Dziewczynka jest rozkojarzona, ale odpowiada: – To Steve cię tu przywiózł.*

*– Chcesz powiedzieć, że mnie porwał?*

*Dziewczynka znowu się w nią wpatruje.*

*– Steve wcale cię nie porwał.*

*Mimo iż boi się, że znowu ją zdenerwuje, w tym punkcie nie może ustąpić. Musi przeżyć.*

*– Tak, i to samo zrobił z tobą. Jestem tego pewna.*

*– Mylisz się. On nas uratował.*

*Nie chce okazywać gniewu, ale odpowiedź ją irytuje.*

*– Co ty za bzdury opowiadasz? Uratował przed czym?*

*Gloria się waha. Jej oczy wypełnia pustka, a potem pojawia się w nich dziwny lęk. Robi krok do tyłu, ale udaje jej się chwycić ją za przegub. Gloria chciałaby uciec, próbuje się uwolnić, ale ona nie pozwoli jej odejść bez odpowiedzi.*

*– Przed kim?*

*– Przed Frankiem.*

*Gloria przygryza wargi. Wolałaby tego nie powiedzieć. Ale to zrobiła.*

*– Kto to jest Frankie?*

*Gloria uwalnia się, a ona jest za słaba, żeby jej to uniemożliwić.*

*– Zobaczmy się kiedy indziej, dobrze?*

*Gloria odchodzi.*

*– Nie, zaczekaj. Nie zostawiaj mnie!*

*– Musisz teraz odpocząć.*

*– Nie, proszę cię! Ty nie wrócisz!*

*– Ależ tak, wrócę.*

*Dziewczynka odchodzi, a ona wybucha płaczem. Jej gardło ściska rozpacz. I rozchodzi się w piersiach. Wstrząsa nią szloch, głos łamie się w krzyku, który ginie w pustce.*

*– Proszę cię! Kto to jest Frankie?!*

*Ale nikt jej nie odpowiada.*



## 35.

– Ma na imię Sandra.

Terence Mosca wpisał je u góry strony w notesie, po czym znowu podniósł wzrok na Sarah Rose.

– Kiedy została porwana?

Policjantka poprawiła się na krześle, próbując uporządkować myśli, i odpowiedziała dopiero po chwili:

– Minęło już czterdzieści siedem dni.

Mila miała rację. Sandra została uprowadzona przed pozostałymi pięcioma. A potem Albert wykorzystał ją, żeby przyciągnąć Debby Gordon, jej siostrę krwi.

Dziewczynki poznały się pewnego popołudnia w parku, przyglądając się koniom w ujeżdżalni. Zamieniły parę słów i od razu poczuły do siebie sympatię. Debby była przygnębiona z powodu oddalenia od domu, Sandra z powodu separacji rodziców. Ich smutek przyciągnął je ku sobie i szybko zostały przyjaciółkami.

Obie dostały miły prezent: mogły przejechać jedno kółko na koniu.

Nie był to przypadek, bo to Albert zaaranżował ich spotkanie.

– Jak została uprowadzona Sandra?

– W drodze do szkoły – odparła Rosa.

Mila i Goran zobaczyli, że Mosca kiwa głową. W dużej sali archiwum na pierwszym piętrze siedziby policji federalnej byli wszyscy, także Stern i Boris. Kapitan wybrał to niezwykle miejsce, żeby nie dopuścić do przecieku informacji, a także po to, żeby rozmowa nie przypominała przesłuchania.

O tej porze sala była pusta. Od miejsca, w którym się znajdowali, odchodziły długie rzędy szaf wypełnionych aktami. Jedyne lampy oświetlały stół, wokół którego siedzieli. Głosy i hałasy rozchodziły się z echem i rozpląwały w mroku.

– Co możesz nam powiedzieć o Albercie?

– Nigdy go nie widziałam ani nie słyszałam. Nie wiem, kto to może być.

– Jasne... – mruknął Terence Mosca, jakby ta odpowiedź ją obciążała.

Sarah Rosy na razie nie aresztowano, prędko jednak miano postawić jej zarzut współudziału w porywaniu i mordowaniu nieletnich.

Do tego, że jest zamieszana w przestępstwo, doszła Mila, analizując porwanie Sabine z karuzeli. Po rozmowie z matką dziewczynki pomyślała, że Albert mógł się posłużyć jakąś kobietą, żeby uprowadzenie nie zostało zauważone przez obecnych tam ludzi. Ale nie pierwszą lepszą kobietą, tylko taką, którą mógł szantażować. Na przykład matką dziewczynki numer sześć.

Mila znalazła potwierdzenie tej niewiarygodnej hipotezy, przeglądając zdjęcia z wieczoru w wesołym miasteczku. Na dalszym planie filmu nakręconego przez jednego z ojców zauważyła włosy i

fragment profilu twarzy, które wywołały u niej silne łaskotanie u podstawy czaszki, a potem natychmiastowe skojarzenie z imieniem i nazwiskiem: Sarah Rosa!

– Dlaczego Sabine? – zapytał ją Mosca.

– Nie wiem – odparła Rosa. – Przesłał mi jej zdjęcie i informację, gdzie mogę ją znaleźć, to wszystko.

– I nikt niczego nie zauważył?

Rosa powiedziała w „Myślarni”: „Każdy patrzył tylko na swoje dziecko. Ludzie mają wszystko w nosie, taka jest prawda”. I Mila to sobie przypominała. Ta kobieta dobrze o tym wiedziała, bo sprawdziła to osobiście.

– A więc on wiedział, dokąd chodzą ludzie całymi rodzinami – ciągnął Mosca.

– Przypuszczam, że tak. Udzielał mi zawsze bardzo dokładnych instrukcji.

– Jak przekazywał ci polecenia?

– Poczta elektroniczną.

– Nie próbowałaś wyśledzić pochodzenia listów?

Odpowiedź na pytanie kapitana była już znana: Sarah Rosa jest ekspertem w dziedzinie informatyki. Jeśli jej się nie udało, było to niemożliwe.

– W każdym razie zachowałam wszystkie e–maile – odparła, a potem spojrzała na swoich kolegów. – Wiecie, on jest bardzo sprytny. I sprawny. – Powiedziała to tak, jakby chciała się usprawiedliwić. – No i ma moją córkę – dodała.

Jej spojrzenie ominęło Milę.

Okazywała jej wrogość od pierwszego dnia, ponieważ Mila była jedyną osobą, która mogła odkryć tożsamość szóstej dziewczynki, narażając Rosę.

– Czy to on kazał ci pozbyć się pani Vasquez?

– Nie, to była moja inicjatywa. Ona mogła sprowadzić na mnie kłopoty.

Jeszcze raz chciała okazać jej pogardę, ale Mila jej przebaczyła.

Myślała teraz o Sandrze, dziewczynce, która cierpiała na dolegliwości żołądkowe – jak jej powiedział Goran – a która teraz jest w rękach psychopaty, ma odciętą rękę i niewymownie cierpi. Przez wiele dni Milę dręczyła sprawa jej tożsamości. Teraz poznała wreszcie jej imię.

– Więc aż dwa razy śledziłaś agentkę Vasquez, żeby ją przestraszyć i zmusić do zaniechania śledztwa?

– Tak.

Mila pamiętała, że po przygodzie ze śledzącym ją samochodem pojechała do Studia, w którym nikogo nie było. Boris zawiadomił ją SMS-em, że wszyscy są w willi Yvonne Gress. Pojechała tam, żeby do nich dołączyć. Zobaczyła Sarah Rosę, która przygotowywała się obok campera. Nie zadała sobie wtedy pytania, dlaczego Rosa nie jest jeszcze w budynku razem z innymi. Jej opóźnienie nie wzbudziło jej podejrzeń lub może ta kobieta okazała się sprytniejsza od niej, przypuszczając na nią atak, żeby nie dać jej czasu na zastanowienie się i zasiać w niej wątpliwości co do Gorana.

„A poza tym, on cię oszukał. Bo ja głosowałam przeciwko tobie”.

W rzeczywistości nie zrobiła tego, ponieważ ryzykowałaby ściągnięcie na siebie podejrzeń.

Terence Mosca nie spieszył się. Zapisywał w notesie odpowiedzi Rosy i zastanawiał się nad nimi przed zadaniem następnego pytania.

– Co jeszcze dla niego zrobiłaś?

– Weszłam po kryjomu do pokoju Debby Gordon w college’u.

Ukradłam jej pamiętnik z blaszanej szkatułki, otwierając kłódkę w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował. Potem zdjęłam ze ściany zdjęcia, na których była także moja córka. I zostawiłam nadajnik GPS, który później doprowadził was do miejsca znalezienia drugiego ciała w sierocińcu.

– Nie pomyślałaś, że prędzej czy później ktoś cię odkryje? – spytał Mosca.

– A miałam jakiś wybór?

– To ty umieściłaś w Studiu zwłoki piątej dziewczynki?

– Tak.

– Weszłaś, posługując się własnym kluczem, i upozorowałaś włamanie.

– Żeby nikt nie nabrał podejrzeń.

– Tak... – Mosca wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. – Dlaczego kazał ci przywieźć jej ciało do Studia?

Wszyscy czekali na odpowiedź na to pytanie.

– Nie wiem.

Mosca wciągnął powietrze przez nos. Ten gest musiał oznaczać, że rozmowa dobiegła końca. Następnie kapitan zwrócił się do Gorana:

– Myślę, że to powinno wystarczyć. Chyba że i pan ma jakieś pytania.

– Nie mam – odparł kryminolog.

Mosca znów odwrócił się do Rosy.

– Agentko specjalna Sarah Roso, za dziesięć minut zadzwonię do prokuratora, który oficjalnie sformułuje zarzuty przeciwko tobie.

Zgodnie z umową, ta rozmowa pozostanie między nami, ale radzę ci nie otwierać ust, jeśli nie będzie przy tobie dobrego adwokata. Ostatnie pytanie: czy oprócz ciebie zamieszany jest w tę sprawę ktoś jeszcze?

– Jeśli ma pan na myśli mojego męża, to on o niczym nie wie.

Zamierzamy się rozwieść. Zaraz po zniknięciu Sandry wyrzuciłam go z domu, właśnie dlatego, żeby o niczym się nie dowiedział. Ostatnio często się kłóciliśmy, ponieważ chciał się widywać z córką i myślał, że ja mu to uniemożliwiam.

Mila widziała, jak rozmawiali z ożywieniem przed Studiem.

– Dobrze – powiedział Mosca. Wstał i zwrócił się do Borisa i Sterna, wskazując Rosę: – Zaraz wyślę kogoś po nakaz aresztowania.

Dwaj agenci skinęli głowami. Kapitan schylił się po swoją skórzaną teczkę. Mila zauważyła, że umieszcza notes obok żółtej teczki, na której okładce widać kilka liter napisanych na maszynie: „W”, „on” i „P”.

Wilson Pickett, pomyślała.

Terence Mosca skierował się wolnym krokiem do wyjścia, a za nim ruszył Goran. Mila została z Borisem i Sternem, a także z Rosą.

Mężczyźni milczeli, unikając spoglądania na koleżankę, która ich zdradziła.

– Przykro mi – powiedziała Rosa ze łzami w oczach. – Nie miałam wyboru.

Boris nie odpowiedział, z trudem powstrzymywał wściekłość.

Stern powiedział tylko:

– Dobrze, ale teraz zachowuj się spokojnie. – Zrobił to jednak bez większego przekonania.

Sarah Rosa rzuciła mu zrozpaczone spojrzenie. – Znajdźcie moją córkę, błagam...

\* \* \*

Wiele osób sądzi, że seryjni mordercy zawsze kierują się motywami seksualnymi. Mila też tak uważała, aż zajęła się sprawą Alberta.

W rzeczywistości, zależnie od celów, do jakich dążą, należą oni do różnych kategorii.

Istnieją „wizjonerzy”, którzy dokonują zabójstw na polecenie *alter ego*, z którym się komunikują i od którego otrzymują instrukcje, czasami w postaci wizji lub „głosów”. Ich zachowanie przechodzi często w psychozę.

„Misjonarze” stawiają sobie nierealne cele i podporządkowują się narzuconej sobie odpowiedzialności za naprawienie otaczającego ich świata, co nieuchronnie prowadzi ich do uznania za konieczne wyeliminowanie pewnych osób: homoseksualistów, prostytutek, odstępców od wiary, adwokatów, poborców podatkowych i tak dalej.

„Spragnieni władzy” mają niską samoocenę. Źródłem satysfakcji jest dla nich władza nad życiem i śmiercią ich ofiar. Zabójstwu towarzyszy akt seksualny, ale tylko jako narzędzie upokorzenia.

Są wreszcie „hedoniści”. Zabijają wyłącznie dla przyjemności zabijania. Do nich, ale tylko jako podklasa, należą też ci, którzy kierują się motywami seksualnymi.

Benjamin Gorka należał do wszystkich tych kategorii.

Miewał wizje, które popychały go do zabijania prostytutek. Przedtem je gwałcił, ponieważ nie potrafił nawiązywać kontaktów z osobami płci przeciwnej, a baraszkowanie z nimi bardzo mu się podobało.

Miał na swoim koncie trzydzieści sześć potwierdzonych ofiar, choć przyznał, że jest odpowiedzialny za śmierć tylko ośmiu z nich.

Obawiano się, że zabił ich znacznie więcej, zręcznie pozbywając się zwłok. Działał przez dwadzieścia pięć lat, zanim został złapany.

Trudność z ustaleniem jego tożsamości polegała głównie na tym, że uderzał w różnych, odległych od siebie miejscach.

Gavila i jego zespół złapali go po trzech latach intensywnego śledztwa. Wprowadzili dane dotyczące różnych zabójstw do komputera, który opracował schemat topograficzny. Nałożywszy go



na mapę drogową, zorientowali się, że linie schematu odpowiadają dokładnie terminom dostaw towarów.

Okazało się, że Benjamin Gorka jest kierowcą ciężarówki.

Do jego schwytania doszło w noc Bożego Narodzenia na stacji benzynowej przy autostradzie, ale z powodu błędu prokuratora podczas procesu został uznany za chorego psychicznie i skazany na pobyt w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Z którego zresztą miał nigdy nie wyjść.

Z chwilą aresztowania go kraj poznał nazwisko jednego z najbardziej brutalnych morderców w swojej historii. Jednak dla Gorana i jego ludzi Benjamin Gorka miał pozostać na zawsze Wilsonem Pickettem.

Gdy zjawili się dwóch policjantów, żeby dokonać aresztowania Sarah Rosy, Mila zaczęła, aż wyjdą także Boris i Stern. Chciała zostać sama w archiwum. A potem zaczęła przeglądać kartoteki i znalazła kopię akt.

Jednak czytając je, nie odkryła, co skłoniło Gorana do nadania mordercy imienia i nazwiska sławnego piosenkarza. Zobaczyła natomiast fotografię pięknej dziewczyny, którą widziała już na zdjęciu przypiętym do ściany w dniu, w którym po raz pierwszy weszła do Studia.

Nazywała się Rebecca Springher i była ostatnią ofiarą Gorki.

Akta zawierały niewiele więcej. Zadała sobie pytanie, dlaczego to śledztwo dla członków zespołu jest ciągle otwartą raną, i przypomniała sobie słowa Borisa, kiedy poprosiła go o wyjaśnienia.

„Poszło źle. Były błędy i ktoś zagroził, że rozwiąże zespół, odprowadzając doktora Gavilę. Wybronił nas Roche, który nalegał, by pozostawiono nas na stanowiskach”.

Coś poszło nie tak, lecz akta, które miała w ręku, nie mówiły o żadnym błędzie, przeciwnie, opisywały operację jako „przykładową” i „doskonale przeprowadzoną”.

Nie musiało tak być, skoro Terence Mosca się nią zainteresował.

Mila znalazła protokół zeznania złożonego przez Gorana przed sądem, który miał osądzić seryjnego mordercę. Przy tej okazji kryminolog określił Benjamina Gorkę jako „czystego psychopate, który jest co najmniej tak rzadki jak biały tygrys”.

A potem dodał: „Osobników tych trudno jest schwytać. Wyglądają na zupełnie normalnych, zwykłych ludzi. Ale jeśli zagłębić się pod tę powierzchowną normalność, ukaże się ich wewnętrzne »ja«, to, które wielu z nich nazywa »bestią«,.. Gorka podsycił ją marzeniami, żywił pragnieniami. Czasami musiał się z nią rozliczyć. Być może w pewnym okresie życia nawet z nią walczył. Jednak w końcu zawarł z nią pakt. Zrozumiał, że jeśli chce skłonić ją do milczenia, jest na to tylko jeden sposób: zaspokojenie. Bo inaczej ona pożre go od środka.

Analizując akta, Mila słyszała niemal głos Gorana.

„A potem, pewnego dnia nastąpiło pęknięcie między światem realnym i onirycznym. To wtedy Benjamin zaczął planować to, co wcześniej tylko sobie wyobrażał. Instynkt zabijania jest w każdym z nas, ale, dzięki Bogu, potrafimy mieć go pod kontrolą, blokować. Zawsze jednak może nadejść moment załamania”.

Moment załamania... Mila się zamyśliła. Po chwili podjęła przeglądanie i zatrzymała się na innym fragmencie: „...prędko czyn musi zostać powtórzony, ponieważ jego działanie zanika, wspomnianie już nie wystarcza i dochodzi poczucie niezadowolenia i niechęci. Wyobrażenia nie zaspokajają już pragnień i rytuał musi zostać powtórzony. Trzeba uczynić zadość potrzebie. I tak w nieskończoność”.

W nieskończoność!

\* \* \*

Znalazła go na dworze, siedzącego na jednym z żelaznych stopni schodów przeciwpożarowych. Stern zapalił właśnie papierosa i podnosił go do ust.

– Tylko nie mów o tym mojej żonie – powiedział, gdy tylko zobaczył Milę w drzwiach.

– Nie martw się, to pozostanie naszą tajemnicą – zapewniła go, podchodząc, żeby usiąść obok niego.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Skąd wiesz, że przyszedłam cię o coś poprosić?

W odpowiedzi Stern uniósł brew.

– Ten Albert nigdy nie da się złapać, dobrze o tym wiesz – powiedziała Mila. – Myślę, że zaplanował już swoją śmierć, ona jest częścią planu.

– Nie obchodzi mnie, czy on zdechnie, czy nie. Wiem, że to nie po chrześcijańsku tak mówić, ale tak właśnie jest.

Mila spojrzała na niego uważnie i spoważniała.

– Stern, on was zna. Dużo o was wie, inaczej nigdy nie kazałby umieścić piątych zwłok w Studiu. Musiał przyglądać się waszym śledztwom w przeszłości. Zna wasze posunięcia i dzięki temu zawsze udaje mu się nas wyprzedzić. I myślę, że przede wszystkim zna Gavilę.

– Co ci każe tak myśleć?

– Czytałam jego zeznanie przed sądem odnoszące się do dawnego śledztwa, a Albert zachowuje się tak, jakby chciał podważyć jego teorie. To seryjny morderca *sui generis*. Nie jest chyba dotknięty chorobliwym narcyzmem, ponieważ woli ściągać uwagę nie na siebie, ale na innych przestępców. Nie sprawia wrażenia, że działa pod presją nieokiełznanego instynktu, bo potrafi się doskonale kontrolować. Jego poczynania nie sprawiają mu przyjemności, wydaje się, że bardziej pociąga go rzucanie wyzwania. Jak byś to wytłumaczył?

– W ogóle sobie tego nie tłumaczę. To mnie nie interesuje.

– Jak możesz mieć to w nosie?! – wybuchnęła Mila.

– Nie powiedziałem, że mam to w nosie, powiedziałem, że mnie nie interesuje. To co innego. Jeżeli chodzi o nas, to nigdy nie podjęliśmy żadnego z jego „wyzwań”. Trzyma nas jak na rozżarzonych węglach tylko dlatego, że trzeba jeszcze uratować jedną dziewczynkę.

Nie jest też prawdą, że nie ma narcystycznej osobowości, ponieważ chce wzbudzić nasze zainteresowanie, a nie kogoś innego, tylko nasze, rozumiesz? Dziennikarze szaleliby z radości, gdyby dał im jakiś sygnał, ale to Alberta nie interesuje. Przynajmniej na razie.

– Bo nie wiemy, co zaplanował na koniec.

– No właśnie.

– Jestem jednak przekonana, że w tym momencie Albert stara się ściągnąć uwagę na was. Mam na myśli śledztwo w sprawie Benjamina Gorki.

– Miało kryptonim „Wilson Pickett”.

– Chciałabym, żebyś mi coś powiedział.

– Przeczytaj akta.

– Boris wyjawiał mi, że była jakaś wpadka.

Stern odrzucił niedopałek papierosa.

– Czasami Boris nie wie, co mówi.

– No, Stern, opowiedz, jak to było! Nie tylko ja interesuję się tą sprawą. – Opowiedziała mu o pliku akt, który zauważyła w teczce Terence’a Moski.

Stern się zamyślił.

– Dobrze. Ale wierz mi, to ci się nie spodoba.

– Jestem przygotowana na wszystko.

– Kiedy złapaliśmy Gorke, zaczęliśmy grzebać w jego życiu.

Praktycznie biorąc, ten typek żył w swojej ciężarówce, ale znaleźliśmy pokwitowanie, z którego wynikało, że kupił zapasy jedzenia.

Pomyśleliśmy, że być może uświadomił sobie, iż pętla wokół niego się zaciska i szykował się, żeby zniknąć w jakimś bezpiecznym miejscu i przeczekać.

– Ale tak nie było...

– Mniej więcej miesiąc po jego aresztowaniu pojawia się doniesienie, że zaginęła prostytutka.

– Rebecca Springher.

– Dokładnie. Ale to stało się tuż przed Bożym Narodzeniem.

– Czyli wtedy, gdy Gorka został aresztowany.

– Tak. A tamta kobieta polowała na klientów w jednym z miejsc, w których pojawiała się ciężarówka Gorki.

Mila sama wyciągnęła wniosek:

– Gorka ją uwięził, zapasy były dla niej.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie ona jest i jak długo wytrzyma. Więc zapytaliśmy go o to.

– A on oczywiście zaprzeczył.

Stern pokręcił głową.

– Nie, właśnie, że nie. Przyznał się do wszystkiego. Ale jeśli chodzi o miejsce jej uwięzienia, postawił nam mały warunek: powiedział, że wyzna to tylko w obecności doktora Gavili.

Mila nie mogła się połapać.

– A więc na czym polegał problem?

– Problem polegał na tym, że Gavili nie było.

– A skąd Gorka się o tym dowiedział?

– Nie wiedział, sadystyczny bękart! My szukaliśmy kryminologa, a czasu na uratowanie biedaczki było coraz mniej. Boris przesłuchiwał Gorkę na wszystkie możliwe sposoby.

– I udało mu się zmusić go do mówienia?

– Nie, ale słuchając nagrań z poprzednich przesłuchań, zorientował się, że Gorka wspomniał przypadkiem o starym magazynie, w którym jest studzienka. I Boris znalazł tam Rebecę Springher.

– Ale ona już nie żyła. Umarła z głodu.

– Nie. Podcięła sobie żyły otwieraczem do puszek, który Gorka zostawił jej razem z zapasami jedzenia. Ale najbardziej denerwujące było co innego. Według lekarza sądowego popełniła samobójstwo zaledwie kilka godzin przed odnalezieniem jej przez Borisa.

Mila poczuła, że przechodzi ją lodowaty dreszcz, mimo to zapytała:

– A co robił Gavila przez cały ten czas?

Stera uśmiechnął się, żeby ukryć, co naprawdę czuje.

– Znaleziono go tydzień później w łazience stacji benzynowej.

Kierowcy wezwali karetkę i okazało się, że jest w śpiączce. Napił się alkoholu etylowego. Powierzył syna opiekunce i wyszedł z domu,

próbując zapomnieć o tym, że opuściła go żona. Kiedy poszliśmy odwiedzić go w szpitalu, był nie do poznania.

W tej opowieści kryło się być może wyjaśnienie szczególnej więzi łączącej policjantów z zespołu i cywila, którym jest Goran, bo dramaty wiążą ludzi częściej niż sukcesy, pomyślała Mila. Przypomniała sobie zdanie, które usłyszała właśnie od Gorana, gdy u niego była, chwilę po tym, jak odkrył, że został oszukany przez Roche'a w związku ze sprawą Josepha B. Rockforda.

„Wydaje nam się, że doskonale znamy osoby, z którymi obcujemy, a tymczasem nie wiemy o nich nic...”.

To prawda, pomyślała. Choćby się zmusiła, nigdy nie zdołałaby wyobrazić sobie Gorana w stanie, w jakim go znaleziono. Pijanego i nie do poznania. Ta myśl wydała jej się nieznośna. Zmieniła temat:

– Dlaczego nadaliście śledztwu kryptonim „Wilson Pickett”?

– Sympatyczna nazwa, prawda?

– Z tego, czego się dowiedziałam, wynika, że Goran lubi nadawać ściganemu osobnikowi imię, żeby nie był tak nieuchwytny.

– Zazwyczaj – zgodził się Stern. – Ale tym razem zrobił wyjątek.

– Dlaczego?

Agent specjalny utkwiał spojrzenie w jej twarzy.

– Zapewniam cię, że nie był to powód, dla którego warto łamać sobie głowę. Mógłbym ci go podać, ale gdybyś naprawdę chciała się dowiedzieć, jak potoczyły się wydarzenia, musiałabyś coś zrobić.

– Jestem gotowa.



– Widzisz, w sprawie Benjamina Gorki wydarzyło się coś, co prawie nigdy się nie zdarza... – urwał, po czym potem dodał: – Czy słyszałaś, żeby ktoś uszedł z życiem z rąk seryjnego mordercy?

## 36.

Z rąk seryjnego mordercy nie uchodzi się z życiem.

Płacz, rozpacz, błaganie nie skutkują. Przeciwnie, sprawiają mordercy jeszcze większą przyjemność. Ofierze pozostaje tylko ucieczka.

Ale paniczny strach i niezdolność zrozumienia tego, co się dzieje, działają na korzyść drapieżnika.

Mimo wszystko zdarzają się rzadkie przypadki, kiedy to seryjny morderca odstępuje od zamordowania ofiary. Dochodzi do nich, ponieważ w chwili, gdy jest gotowy do dokonania zbrodniczego czynu, coś – hamulec, który nagle zostaje uruchomiony przez jakiś gest albo słowa ofiary – powstrzymuje go od tego.

Dlatego właśnie Cinthia Pearl przeżyła.

Mila odwiedziła ją w małym mieszkaniu, które dziewczyna wynajęła w bloku niedaleko lotniska. Było skromne, ale stanowiło ważne osiągnięcie nowej Cinthii. Dawna Cinthia była sumą przykrych doświadczeń, powtarzanych błędów i złych wyborów.

– Prostytoowałam się, żeby kupować sobie ubrania.

Powiedziała to bez wahania, zupełnie jakby mówiła o kimś innym.

Mila nie mogła uwierzyć, że siedząca przed nią młoda kobieta ma za sobą tak ciężkie przeżycia.

Cinthia nie wyglądała na swoje dwadzieścia cztery lata. Przyjęła policjantkę, mając jeszcze na sobie ubranie służbowe.

Od kilku miesięcy pracowała jako kasjerka w supermarkecie. Jej skromny wygląd, rude włosy zebrane w koński ogon i twarz bez cienia makijażu nie mogły ukryć niezwyklej urody, której towarzyszył zupełnie nieświadomy urok.

– To mieszkanie znaleźli mi agent Stern i jego żona – powiedziała z dumą.

Mila rozejrzała się, żeby sprawić jej przyjemność. Meble były w różnych stylach, ustawione bardziej po to, aby wypełnić przestrzeń i zaspokoić podstawowe potrzeby niż w celach dekoracyjnych. Ale widać było, że jest z nich dumna. Poza tym dbała o mieszkanie. Panowały w nim czystość i porządek. Tu i tam rozstawiła kilka bibelotów, głównie małe porcelanowe zwierzątka.

– Kolekcjonuję je. Przepadam za nimi, wie pani?

Tu i ówdzie stały też ramki ze zdjęciami jej dziecka. Cinthia urodziła je, gdy była nastolatką. Jej syna zabrała pomoc społeczna, która oddała go na wychowanie innej rodzinie.

Żeby go odzyskać, Cinthia brała udział w programie pomagającym uwolnić się od złych wpływów. Następnie wstąpiła do kongregacji, do której należą Stern i jego żona. Po jakimś czasie odnalazła Boga i szczyła się swoją nową wiarą, nosząc medalik ze świętym Sebastianem. Była to jej jedyna ozdoba, oprócz cienkiego pierścionka różańcowego, który miała na serdecznym palcu.

– Proszę posłuchać, panno Pearl, nie chciałabym zmuszać pani do opowiadania, jak to było z Benjaminem Gorką...

– Och, nie szkodzi, mówię o tym całkiem otwarcie. Na początku było to przykre wspomnienie, ale teraz myślę, że sobie z tym poradziłam. Wie pani, że napisałam nawet do niego list?

Z pewnością Mila nie mogła wiedzieć, jak Gorka zareagował na list, ale rozmyślając o tym osobniku, była pewna, że posłużył mu jako natchnienie do nocnych masturbacji.

– I odpowiedział pani?

– Nie. Ale zamierzam nalegać. Ten człowiek potrzebuje Słowa.

Mówiła, siedząc przed Milą, i bezustannie obciągała prawy rękaw bluzki. Mila domyśliła się, że stara się ukryć tatuaż należący już do przeszłości. Prawdopodobnie nie zebrała jeszcze kwoty, która wystarczyłaby na jego usunięcie.

– Więc jak to się odbyło?

Cinthia spoważniała.

– Spotkaliśmy się wskutek zbiegu paru okoliczności. Nie polowałam na klientów na ulicy, wołałam chodzić do barów. To było dużo pewniejsze, no i było tam ciepło. Ja i inne dziewczyny dawałyśmy zawsze napiwek barmanowi. – Zamilkła na chwilę. – Urodziłam się w miasteczku, w którym uroda może stać się przekleństwem. Prędko domyśliłam się, że można ją wykorzystać, żeby wyjechać, podczas gdy wiele koleżanek i kolegów nigdy nie opuści tego miejsca, zostaną tam, pożenią się między sobą i na zawsze się unieszczęśliwią. Więc patrzą na ciebie jak na kogoś specjalnego i wiążą z tobą pewne oczekiwania. Jesteś ich nadzieją.

Mila rozumiała ją i prawdopodobnie знаła też wszystkie etapy tej historii. Cinthia wyjechała po ukończeniu liceum, zaczęła się w

dużym mieście, ale nie znalazła tego, czego szukała. Poznała za to wiele takich dziewcząt jak ona, z taką samą zagubioną miną i tym samym strachem w sercu. Zawód prostytutki nie był nieprzewidzianym, nieszczęśliwym zwrotem, ale naturalną konsekwencją wszystkich kroków podjętych w przeszłości.

Tym, co martwiło ją najbardziej, gdy słuchała podobnych opowieści, była myśl, że taka dziewczyna jak Cinthia Pearl już w wieku dwudziestu czterech lat spaliła całą energię swojej młodości. Bardzo szybko zeszła na złą drogę i Benjamin Gorka po prostu czekał na nią przy końcu tego zjazdu w przepaść.

– Tego wieczoru poderwałam jakiegoś typa. Miał na palcu obrączkę, wydawał się w porządku. Pojechaliśmy jego samochodem za miasto. Na koniec nie chciał zapłacić i nawet mnie uderzył. Wyrzucił mnie tam, na drodze. – Westchnęła. – Nie mogłam wrócić autostopem, bo nikt nie zabierze prostytutki, więc stanęłam przy drodze, mając nadzieję, że następny klient odwiezie mnie z powrotem.

– I nadjechał Gorka...

– Pamiętam jeszcze jego ogromną ciężarówkę, jak się zatrzymywała. Zanim wsiadłam, uzgodniliśmy cenę. Był uprzejmy. Zapytał: „Co robisz za miastem? Wsiadaj, bo zamarzniesz!”.

Cinthia spuściła oczy. Nie wprawiało jej w zakłopotanie mówienie o rzeczach, które robiła, żeby zarobić na życie, ale wstydziła się, że okazała się taka naiwna.

– Położyliśmy się w tylnej części kabiny, gdzie zwykle spał. Wie pani, to przypominało prawdziwe mieszkanie. Było tam wszystko,

nawet takie specjalne plakaty. Nie była to dla mnie nowość, wszyscy kierowcy ciężarówek je mają, ale w tamtych obrazkach było coś dziwnego...

Mila przypomniała sobie szczegół, o którym czytała w aktach:

Gorka fotografował swoje ofiary w obscenicznym pozach, a potem ze zdjęć robił plakaty.

Szczególną cechą tych obrazków było to, że przedstawiały zwłoki.

Ale tego Cinthia nie mogła wiedzieć.

– Wlazł na mnie i pozwolił mi to robić. Potwornie śmierdział i miałam nadzieję, że szybko skończy. Trzymał głowę przy mojej szyi, więc na szczęście go nie widziałam. Ograniczyłam się do zwykłych pojękiwań, ale oczy miałam otwarte. – Zrobiła kolejną pauzę, trochę dłuższą, żeby odetchnąć. – Nie wiem, ile czasu potrzebowały moje źrenice, żeby przywyknąć do mroku, ale kiedy już się przyzwyczyły, zobaczyłam napis na suficie kabiny...

Był zrobiony fosforyzującym lakierem, Mila widziała jego zdjęcie: *ZABIJĘ CIĘ.*

– Zaczęłam krzyczeć, a on wybuchnął śmiechem. Próbowалаm zepchnąć go z siebie, ale był silniejszy. Wyciągnął nóż i zaczął mnie dźgać. Pierwszy cios odbiłam przedramieniem, drugi trafił mnie w bok, trzeci przeciął mi brzuch. Czułam krew, która ze mnie wypływała, i myślałam: No, już po mnie...

– Ale on się wstrzymał. Dlaczego?

– Ponieważ w pewnym momencie coś mu powiedziałam. Przyszło mi to samorzutnie, może ze strachu, nie wiem. Powiedziałam mu:

„Proszę cię, kiedy umrę, zaopiekuj się moim synem. Nazywa się Rick i ma pięć lat”. – Uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową. – Ma pani pojęcie? Naprawdę poprosiłam tego mordercę, żeby zajął się moim małym. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale wtedy musiałam myśleć, że to normalne. Bo on pozbawiał mnie życia, a ja byłam nawet gotowa je oddać, ale potem musiałyby mi za to w jakiś sposób odpłacić. To absurdalne, ale myślałam, że jest moim dłużnikiem!

– Może i tak, ale to go powstrzymało.

– Mimo to nie potrafię sobie tego wybaczyć.

Cynthia Pearl przełknęła łzy.

– Wilson Pickett – powiedziała w tym momencie Mila.

– Ach, tak, przypominam sobie... Leżałam półżywa w kabinie, a on usiadł za kierownicą. Chciał zostawić mnie na pobliskim parkingu.

Ale ja nie znałam jeszcze jego zamiarów. Byłam ogłuszona i osłabiona z powodu upływu krwi. W czasie jazdy nadawali w radiu tę przekłętą piosenkę, *In the Midnight Hour*.

Potem zemdlałam i obudziłam się w szpitalu, niczego nie pamiętałam. Policja pytała mnie, skąd te rany, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zamieszkałam na pewien czas u przyjaciółki.

Pewnego wieczoru usłyszałam w dzienniku telewizyjnym wiadomość o aresztowaniu Gorki. Jednak nawet gdy pokazali zdjęcie, jego twarz nie wyglądała znajomo. Dopiero pewnego wtorku po południu...

Byłam sama w domu i włączyłam radio. Nadawali ten utwór Wilsona Picketta. Dopiero wtedy wszystko sobie przypomniałam.

Mila domyśliła się, że śledczy nadal Gorce ten „pseudonim” dopiero po jego złapaniu. Wybrano go, żeby przypominał wszystkie popełnione przez nich błędy.

– To było straszne – ciągnęła Cinthia. – Jakby przeżywało się to wszystko po raz drugi. Poza tym coś sobie pomyślałam, wie pani?

Gdybym przypomniała to sobie wcześniej, być może pomogłabym uratować się tej drugiej.

Te ostatnie słowa rzuciła jakby od niechcienia. Nie dlatego, że Cinthii nie obchodził los tamtych dziewcząt, ale z powodu czegoś w rodzaju przegrody, którą postawiła między tym, co przydarzyło się jej, i losem, jaki stał się udziałem innych. Był to jeden z wielu sposobów umożliwiających dalsze życie, których człowiek chwytą się po takim przeżyciu.

Jakby na potwierdzenie Cinthia dodała:

– Miesiąc temu spotkałam rodziców Rebeki Springher, ostatniej zamordowanej dziewczyny.

Nie została zamordowana, pomyślała Mila. Spotkało ją coś jeszcze gorszego – on zmusił ją do popełnienia samobójstwa.

– Uczestniczyliśmy w nabożeństwie dla upamiętnienia ofiar Benjamina Gorki. Wie pani, oni należą do tej samej kongregacji co ja.

Przyglądali mi się przez cały czas i poczułam się winna.

– Dlaczego? – spytała Mila, choć doskonale znała odpowiedź.

– Bo przeżyłam. Tak sędzę.

Mila podziękowała jej i wstała, by wyjść. Gdy szły do drzwi, zorientowała się, że Cinthia zachowuje dziwne milczenie, jakby



chciała o coś zapytać, ale nie wie, od czego zacząć. Postanowiła dać jej jeszcze parę sekund i zapytała, czy może skorzystać z łazienki. Dziewczyna wskazała jej drzwi.

Pomieszczenie było małe i źle wietrzone. Pod prysznicem suszyły się rajstopy. Także tu były porcelanowe zwierzątka i dominował kolor różowy. Policjantka pochyliła się nad umywalką, żeby opłukać twarz.

Była zmęczona. Właśnie kupiła następną buteleczkę płynu dezynfekującego i wszystko co trzeba, żeby zrobić sobie nacięcie. Musi upamiętnić jeszcze śmierć piątej dziewczynki. Zamierzała zabrać się do tego wieczorem.

To cierpienie jest jej potrzebne.

Gdy wycierała ręce i twarz, zobaczyła na umywalce buteleczkę płynu do płukania ust. Był zbyt ciemny. Powąchała go. Amerykańska whisky. Także Cinthia Pearl ma swoją tajemnicę. Złe przyzwyczajenie, które zostało jej z dawnego życia. Mila wyobraziła ją sobie, jak zamknięta w tej małej łazience siedzi na pokrywie muszli klozetowej i pozwala sobie na parę łyków, błędząc zagubionym wzrokiem po kafelkach. Mimo zmiany na lepsze Cinthia Pearl nie może się obyć bez tej małej słabostki.

To leży w ludzkiej naturze, pomyślała Mila. Ale mój sekret ma swoje źródło o wiele głębiej.

Gdy wreszcie postanowiła wyjść i była już w progu, Cinthia zdobyła się na odwagę i zapytała, czy mogą znowu się spotkać, żeby pójść do kina lub na zakupy. Mila domyśliła się, że rozpaczliwie potrzebuje przyjaciółki, i nie znalazła w sobie siły, aby pozbawić ją tego małego złudzenia.

Żeby zrobić jej przyjemność, zapisała jej telefon w swojej komórce, chociaż wiedziała, że nigdy więcej się nie zobaczą.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później Mila dotarła do siedziby policji federalnej. Zobaczyła mnóstwo agentów w cywilu, pokazujących odznakę przy wejściu, oraz liczne patrole, które wracały do bazy. Ktoś musiał je odwołać.

Z pewnością coś się wydarzyło.

Wbiegła po schodach, żeby nie tracić czasu w kolejce, która utworzyła się przy windach. Szybko dotarła na trzecie piętro, dokąd został przeniesiony sztab zespołu po znalezieniu zwłok w Studiu.

– Mosca wszystkich wezwał – usłyszała głos jakiegoś detektywa, który rozmawiał przez telefon.

Skierowała się do sali, w której miało się odbyć zebranie. Przy wejściu stał tłumek ludzi, którzy chcieli wejść do środka. Ktoś uprzejmie ją przepuścił.

Znalazła wolne miejsce w jednym z ostatnich rzędów. Przed nią, ale bardziej z boku, siedzieli już Boris i Stern. Ten ostatni zauważył ją i skinął głową. Mila próbowała powiedzieć mu na odległość, jak jej poszło z Cinthia, ale on dał jej znak, że porozmawiają później.

Przeraźliwy gwizd z któregoś głośnika przerwał na moment rozmowy. Jeden z techników przygotowywał na podwyższeniu mikrofon i stukał w niego, żeby się upewnić, czy działa. Tablicę

świetlną i ekspres do kawy odsunięto na bok, żeby zrobić miejsce dla dodatkowych krzeseł. Mimo to nie wystarczyło ich dla kilku policjantów, którzy ustawiali się już pod ścianami.

Zebranie nie było zaplanowane i Mila pomyślała, że stało się coś ważnego. Nie widziała nigdzie Gorana ani Roche'a. Przypuszczała, że zamknęli się z Terence'em Mosca w biurze, żeby uzgodnić, jaką wersję podadzą do publicznej wiadomości.

Oczekiwanie było denerwujące. W końcu zobaczyła w progu inspektora: wszedł, ale nie skierował się na podwyższenie. Usiadł w pierwszym rzędzie, na miejscu, które zajął dla niego jeden z detektywów. Z twarzy Roche'a nic nie mogła wyczytać. Był spokojny, założył nogę na nogę i czekał jak inni.

Goran i Mosca weszli razem. Agenci przy drzwiach odsunęli się, a oni energicznym krokiem weszli na podwyższenie. Kryminolog oparł się o biurko stojące pod ścianą, natomiast kapitan zdjął mikrofon ze statywu i zaczął:

– Proszę państwa, proszę o chwilę uwagi...

Na sali zapadła cisza.

– Dobrze... A więc... Wezwaliśmy was, ponieważ mamy ważny komunikat. – Mosca używał liczby mnogiej, ale to on był teraz prawdziwym gwiazdorem. – Ma on związek z dziewczynką znaną w Studiu. Niestety, jak przypuszczaliśmy, miejsce zbrodni jest czyste, ale przestępca przyzwyczaił nas do tego. Żadnych odcisków palców, żadnych płynów organicznych, nic...

Było oczywiste, że chce zyskać na czasie. Zorientowała się w tym nie tylko Mila, bo kilka osób koło niej zaczęło się niecierpliwić.

Jedynym człowiekiem, który wydawał się spokojny, był Goran. Z rękami skrzyżowanymi na piersi przyglądał się zebranym. Jego obecność była tylko formalnością. Pełną kontrolę nad sytuacją przejął kapitan.

– Jednak – ciągnął – być może odkryliśmy powód, dla którego seryjny morderca umieścił tam ciało. Ma to związek ze śledztwem, na pewno wszyscy je pamiętacie... w sprawie Benjamina Gorki.

Przez salę przebiegł szmer przypominający wzbierającą falę. Podniósł ręce na znak, że prosi wszystkich o ciszę, żeby mógł dokończyć, po czym włożył rękę do kieszeni.

– Jak się wydaje, kilka miesięcy temu pomyliliśmy się. Popołniono poważny błąd.

Nie powiedział, kto jest odpowiedzialny za tę pomyłkę, ale świadomie położył nacisk na ostatnie dwa słowa.

– Na szczęście możemy to naprawić.

W tym momencie Mila zobaczyła kątem oka coś dziwnego. Stern nadal spoglądał przed siebie, ale powoli sięgnął ręką do prawego biodra i zwolnił zatrzask kabury, by wyjąć pistolet.

Przez chwilę wydawało jej się, że wie, dlaczego to robi, i przestraszyła się.

– Rebecca Springher – mówił Mosca – ostatnia ofiara Gorki, nie została zamordowana przez niego, ale przez jednego z naszych ludzi.

Szmer zamienił się w gwar, a Mila stwierdziła, że wzrok kapitana spoczął na kimś siedzącym na sali. Był to Stern. Zobaczyła, że agent specjalny wstaje i wyciąga z kabury broń. Zdezorientowana

zamierzała zrobić to samo, ale po chwili Stern odwrócił się i wycelował w Borisa.

– Co ci strzeliło do łba? – zapytał zdziwiony Boris.

– Chciałbym, młody człowieku, żebyś podniósł ręce tak, żeby było je widać. I, z łaski swojej, nie każ mi tego powtarzać.

## 37.

– Będzie lepiej dla ciebie, jeżeli powiesz, jak to się stało.

Wezwano trzech wojskowych specjalistów od przesłuchań, którzy mieli się zmieniać, wyciskając z Borisa, co się da. On znał wszelkie sposoby nakłaniania przesłuchiwanego do przyznania się, oni zaś liczyli na to, że zmęczą go pytaniami, nie dając chwili wytchnienia.

Wierzyli, że brak snu podziała lepiej niż jakakolwiek strategia.

– Powiedziałem ci, że nic nie wiem.

Mila obserwowała kolegę przez weneckie lustro. Była sama w małym pokoiku. Obok niej umieszczono cyfrową kamerę wideo, która przekazywała obraz do wewnętrznego systemu, dzięki czemu wyżsi oficerowie wydziału, łącznie z Roche'em, mogli uniknąć bezpośredniego udziału w niszczeniu jednego z najlepszych ludzi. Robili to, siedząc wygodnie w swoich biurach.

Za to Mila chciała przy tym być. Wciąż bowiem nie mogła uwierzyć w zasadność tak poważnego oskarżenia.

„I Boris znalazł Rebeccę Springer sam jeden”.

Stern opowiedział jej, że w sali przesłuchań podobnej do tej, którą miała przed sobą, Benjamin Gorka niechący powiedział Borisowi, gdzie jest ofiara: w starym magazynie ze studzienką.

Według oficjalnej wersji, którą przyjmowano aż do tej chwili, agent specjalny sam dotarł na miejsce i stwierdził, że dziewczyna jest

martwa.

„Podcięła sobie żyły otwieraczem do puszek, który Gorka zostawił jej razem z zapasami jedzenia. Ale najbardziej denerwujące było co innego... Według lekarza sądowego popełniła samobójstwo zaledwie kilka godzin przed znalezieniem jej przez Borisa”, powiedział Stern.

Kilka godzin.

Mila dowiedziała się jednak z akt, że już wtedy lekarz sądowy, analizując pozostałości jedzenia w żołądku dziewczyny, wyciągnął wniosek, że nie można ustalić z idealną dokładnością chwili jej zgonu.

I że w rzeczywistości mógł on nastąpić także po tych fatalnych dwóch godzinach.

Ta niepewność teraz zniknęła.

Oskarżenie sprowadzało się do tego, że Boris dotarł na miejsce, gdy Rebecca Springher jeszcze żyła, i że miał do wyboru dwie możliwości: uratować ją i zostać bohaterem albo urzeczywistnić największe marzenie każdego mordercy.

Morderstwo doskonałe. Takie, które na zawsze pozostanie bez kary, ponieważ pozbawione jest motywu.

Morderstwo popełnione po to, aby choć raz doznać upojenia, jakie daje władza nad życiem i śmiercią bliźniego. Mając zarazem pewność, że można zrobić to bez obaw, bo wina zostanie przypisana komuś innemu. Zdaniem jego oskarżycieli Borisa skusiły takie właśnie myśli.

W zeznaniu złożonym przed sądem, przed którym stanął Benjamin Gorka, doktor Gavila zapewnił, że „instynkt zabijania jest w każdym z nas. Ale dzięki Bogu potrafimy trzymać go pod kontrolą, blokować. Zawsze jednak może nadejść moment załamania”.

Boris doszedł do takiego momentu, gdy znalazł tę biedną, bezbronną dziewczynę. W gruncie rzeczy tylko prostytutkę. Ale było w tym coś, co Mili nie przekonywało.

Jednak to, co na początku było tylko hipotezą śledczą, zostało później wzmocnione dowodem znalezionym podczas przeszukania w domu Borisa. Pamiątką, dzięki której młody agent mógłby przywołać w przyszłości wspomnienie tego czynu – koronkowe majtki dziewczyny, które ukradł z sądowego depozytu po zamknięciu śledztwa.

– Nie masz wyjścia, Boris. Jeśli będzie trzeba, spędzimy tu całą noc. Także jutro i pojutrze. – Przesłuchujący go agent prawie wypluwał słowa. Także to służyło moralnemu łamaniu przesłuchiwanego.

Drzwi salki otworzyły się i wszedł Terence Mosca. Na kołnierzu marynarki miał dużą plamę tłuszczu, pozostałość z obiadu składającego się z jakiegoś świństwa z fast foodu.

– Jak idzie? – rzucił, jak zwykle trzymając ręce w kieszeniach.

Mila odpowiedziała, nie patrząc na niego:

– Na razie nic.

– Załamię się. – Mosca był bardzo pewny siebie.

– Co każe panu tak myśleć?



– Prędzej czy później wszyscy się załamują. On o tym wie. Być może potrwa to trochę dłużej, ale w końcu wybierze mniejsze zło.

– Dlaczego kazał go pan aresztować na oczach wszystkich?

– Żeby nie dać mu czasu na reakcję.

Mila była pewna, że nieprędko zapomni błyszczące oczy Sterna, kiedy zakładał kajdanki koledze, którego uważał za swojego trzeciego syna. Dowiedziawszy się o wyniku przeszukania mieszkania Borisa, stary agent specjalny sam zaproponował, że go aresztuje. I nie chciał słuchać argumentów Roche'a, gdy ten próbował go od tego odwieść.

– A jeśli Boris nie ma z tym nic wspólnego?

Mosca stanął między nią i szybą i wyjął ręce z kieszeni.

– W mojej dwudziestopięcioletniej karierze nigdy nie aresztowałem nawet jednego niewinnego.

Przez twarz Mili przemknął ironiczny uśmiezek.

– Mój Boże, w takim razie jest pan najlepszym policjantem na świecie.

– Sądy zawsze kończyły moje śledztwa wyrokami skazującymi.

Wcale nie dlatego, że jestem dobry w tym, co robię. Chce pani poznać prawdziwy powód?

– Tak, i to bardzo.

– Świat jest obrzydliwy, agentko Vasquez.

– Czy opiera pan tę opinię na jakimś szczególnym doświadczeniu?  
Bardzo mnie to ciekawi...

Mosca nie obraził się, lubił ten rodzaj zjadliwej ironii.

– To, co dzieje się w tych dniach, co każe nam szukać tego waszego... Jak daliście mu na imię?

– Albert.

– Taak, to, czego ten maniak dokonał z tak wielką maestrią, przypomina małą Apokalipsę... Wie pani, agentko Vasquez, co to jest Apokalipsa? Według Biblii to ten moment przed końcem świata, kiedy zostają ukazane ludzkie grzechy, aby mogły być osądzone. Ten szubrawiec Albert każe nam uczestniczyć w tak wielu koszmarach, że o tej godzinie cały świat – nie tylko ten naród – powinien stanąć w miejscu, żeby przynajmniej się zastanowić... A wie pani, co się dzieje?

Mosca zamilkł, więc Mila zapytała:

– Co takiego się dzieje?

– Nic. Absolutnie nic. Tam, na zewnątrz, ludzie nadal mordują, kradną, znęcają się nad bliźnimi jak gdyby nigdy nic! Myśli pani, że mordercy przestali mordować, a złodzieje robią rachunek sumienia?

Ale chcę dać pani także konkretny przykład: dziś rano dwóch strażników więziennych puka do drzwi byłego więźnia, który wyszedł niedawno za dobre sprawowanie. Są tam, ponieważ ten pan zapomniał stawić się w komisariacie, żeby jak zwykle złożyć podpis. I wie pani, co on robi? Zaczyna strzelać. Ot tak, bez powodu. Ciężko rani jednego z nich, a teraz zamknął się w tym przeklętym domu i strzela do każdego, kto ośmieli się zbliżyć. Dlaczego, zdaniem pani?

– Nie wiem – musiała przyznać Mila.

– Ani ja. Jednak jeden z naszych ludzi walczy o życie, a ja do jutra rana będę musiał coś wymyślić, bo jutro rano biedna wdowa zada mi

pytanie, dlaczego jej mąż zginął w tak idiotyczny sposób! – Po czym dodał już spokojniej: – Świat jest obrzydliwy, agentko Vasquez.

A Klaus Boris jest winny. Koniec historii. Na pani miejscu przyznałbym, że tak właśnie jest.

Terence Mosca odwrócił się do niej plecami, włożył rękę do kieszeni i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Ja nic nie wiem, to są jakieś pieprzone głupoty – powtarzał Boris. Był spokojny. Po początkowym wybuchu wściekłości zaczął oszczędzać siły na trudne godziny, jakie go czekają.

Mila była zmęczona patrzeniem na to. Zmęczona tym, że ciągle musi zmieniać zdanie o ludziach. To przecież ten sam Boris, który podrywał ją tuż po jej przyjeździe. Ten sam, który przyniósł jej ciepłe rogaliki i kawę, a kiedy zrobiło się zimno, podarował ciepłą kurtkę. Po drugiej stronie lustra wciąż znajdował się kolega, z którym rozwiązała dużą część zagadek Alberta. Sympatyczny i trochę niezręczny, który wzruszał się, kiedy mówił o swoich kolegach.

Drużyna Gorana Gavili się rozpadła. A wraz z nią rozpadło się także śledztwo. Rozwiała się też nadzieja na uratowanie małej Sandry, która teraz, w jakimś nieznanym miejscu, traci siły trzymające ją przy życiu. W końcu umrze nie z ręki seryjnego mordercy o wymyślonym imieniu, ale z powodu egoizmu i grzechów innych mężczyzn i innych kobiet.

To najlepszy finał, jaki Albert mógł wymyślić.

Nagle Mila zobaczyła w szybie przed sobą odbicie twarzy Gorana.

Stał za jej plecami, ale nie patrzył na pokój przesłuchań. Jego wzrok szukał jej oczu.

Odwróciła się. Przypatrywali się sobie długo, bez słowa. Jednoczyło ich to samo zakłopotanie, to samo przygnębienie. Naturalnym odruchem było pochylić się w jego stronę i zamknąć oczy, szukając jego warg. Poczuć jego usta i czekać na odwzajemnienie pocałunku.

\* \* \*

Na miasto spływała brudna woda. Zalewała ulice, zatykała studzienki, rynny bezustannie połykały ją i wypluwały. Taksówka zawiozła ich do małego hoteliku koło dworca kolejowego. Jego fasadę przyczernił smog, a żaluzje były ciągle opuszczone, gdyż zatrzymujący się w nim ludzie nie mieli czasu ich podnieść.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Wciąż zmieniano pościel. Niewyspane pokojówki pchały w korytarzach skrzypiące wózki z bielizną i mydłami. O wszystkich porach do pokoi docierały tace z posiłkami. Niektórzy zatrzymywali się tu tylko po to, żeby się odświeżyć i zmienić ubranie. Inni przychodzili, żeby się kochać.

Portier wręczył im klucz od pokoju numer dwadzieścia trzy.

Jechali windą, trzymając się za ręce. Ale nie jak kochankowie. Jak dwoje ludzi, którzy boją się, że mogą się zgubić.

W pokoju była zbieranina mebli, a w powietrzu unosił się zapach odświeżacza powietrza w sprayu i zatechłej nikotyny. Znowu się pocałowali, ale tym razem namiętniej. Jakby chcieli pozbyć się myśli wcześniej niż ubrań.

Goran położył rękę na jej małej piersi. Zamknęła oczy.

Do pokoju wpadało połyskujące deszczem światło reklamy chińskiej restauracji i rysowało w mroku ich cienie.

Goran zaczął ją rozbierać.

Mila poddała mu się, stojąc bez ruchu.

Odślonił najpierw jej płaski brzuch, a potem zaczął posuwać się ku górze, zasypując ją pocałunkami.

Na wysokości biodra pokazała się pierwsza blizna.

Delikatnie zdjął jej sweter.

Zobaczył inne blizny.

Ale jego wzrok się na nich nie zatrzymał. Oczy ustąpiły wargom.

Ku zaskoczeniu Mili jego usta zaczęły przesuwać się bardzo powoli po tych starych nacięciach, zupełnie jakby chciał, żeby jej skóra wróciła do pierwotnego stanu.

Ściągnawszy z niej dzinsy, zaczął całować jej nogi, tam, gdzie była jeszcze świeża lub ledwo zakrzepła krew. Gdzie żyłeczka niedawno zagłębiła się w żywym ciele.

Mila na nowo odczuła cały ból, jakiego doświadczała za każdym razem, gdy nacinając ciało, karała swoją duszę. Ale temu dawnemu cierpieniu towarzyszyła teraz słodycz.

Coś przypominającego swędzenie rany, która się zabliznia, uczucie zarazem bolesne i przyjemne.

Potem zabrała się do rozbierania go. Robiła to tak, jak obrywa się płatki kwiatu. Także on nosił na sobie ślady cierpień. Takie, jak zbyt

chuda klatka piersiowa i kości wystające tam, gdzie smutek pochłonął ciało.

Kochali się z dziwnym zapałem. Ze złością, wściekle, ale także niecierpliwie, tak jakby każde z nich chciało w ten sposób przelać całego siebie w ciało tego drugiego. Na chwilę udało im się zapomnieć o troskach.

Gdy skończyli, leżeli obok siebie – już rozdzieleni, ale jeszcze razem – wsłuchując się w rytm swoich oddechów. Wtedy z ciszy wyłoniło się pytanie. Mila widziała je, jak unosi się nad nimi niczym czarny ptak.

Odnosiło się do cierpienia, jej cierpienia.

Tego, które najpierw zadawała swojemu ciału, a potem próbowała to ukryć pod ubraniem.

I fatalnym zbiegiem okoliczności pytanie to splatało się też z losem pewnej dziewczynki, Sandry. Podczas gdy oni się kochali, ona, w jakimś bliskim lub dalekim miejscu, umierała.

Uprzedzając jego słowa, Mila wyjaśniła:

– Moja praca polega na odnajdowaniu zaginionych osób. Przede wszystkim dzieci. Niektóre z nich są nieobecne przez całe lata i potem niczego nie pamiętają. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale być może moja praca odznacza się tym, że przysparza mi mnóstwa problemów...

– Dlaczego? – zapytał Goran, wczuwając się w tok jej myśli.

– Ponieważ kiedy zapadam się w mrok, żeby kogoś z niego wyciągnąć, zawsze odczuwam potrzebę znalezienia motywu,

mocnego powodu, który sprawi, że powrócę do światła. To jakby rodzaj liny bezpieczeństwa, która pozwala wrócić. Bo jeśli czegoś się nauczyłam, to tego, że ciemność nas woła i uwodzi. I trudno oprzeć się pokusie...

Gdy wracam z uratowanymi osobami, łapię się na tym, że nie jesteśmy sami. Zawsze jest coś, co wyłania się z nami z tej czarnej dziury, uczone naszych butów. I trudno się tego pozbyć.

Goran odwrócił się do niej, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ wyłoniłam się z ciemności. I czasami muszę do niej wrócić.

## 38.

*Stoi oparta o ścianę, trzymając ręce za plecami, ukryta w cieniu.*

*Od jak dawna tam stoi, żeby się w nią wpatrywać?*

*Postanawia ją zawołać.*

*– Glorio...*

*I ona podchodzi.*

*W jej spojrzeniu jest zwykła ciekawość, ale tym razem również coś innego. Wątpliwość.*

*– Przypomniałam sobie coś... Kiedyś miałam kota.*

*– Ja też mam. Nazywa się Houdini.*

*– Ładny?*

*– Niedobry. – Ale natychmiast łapie się na tym, że dziewczynka nie oczekuje od niej odpowiedzi i poprawia się: – Tak. Ma białobrzozową sierść, ciągle śpi i zawsze jest głodny.*

*Gloria myśli przez chwilę, a potem znowu pyta:*

*– Według ciebie, dlaczego zapomniałam o moim?*

*– Nie wiem.*

*– Zastanawiałam się... bo jeśli o nim zapomniałam, to w takim razie może nie pamiętam też wielu innych rzeczy. Może nawet tego, jak naprawdę miałam na imię.*



– *Mnie podoba się Gloria. – Podnosi ją na duchu, pamiętając jej reakcję, kiedy powiedziała, że naprawdę nazywa się Linda Brown.*

– *Glorio...*

– *Tak?*

– *Opowiesz mi coś o Stevie?*

– *Steve bardzo nas kocha. Ty też go polubisz.*

– *Dlaczego mówisz, że nas uratował?*

– *Bo to prawda. Zrobił to.*

– *Ja nie potrzebowałam, żeby mnie ratował.*

– *Nie wiedziałaś o tym, ale byłaś w niebezpieczeństwie.*

– *Czy tym zagrożeniem jest Frankie?*

*Gloria boi się tego imienia. Jest niezdecydowana. Nie wie, czy mówić, czy nie. Stara się rozważyć sytuację, potem przybliżyła się jeszcze bardziej do łóżka i szepcze bardzo cicho:*

– *Frankie chce nam zrobić krzywdę. Szuka nas. Dlatego musimy się tu chować.*

– *Nie wiem, kto to jest Frankie i dlaczego miałby się na mnie gniewać.*

– *On nie gniewa się na nas, ale na naszych rodziców.*

– *Na moich? A z jakiego powodu?*

*Nie może w to uwierzyć, wydaje jej się, że to absurd. Za to Gloria jest o tym głęboko przekonana.*

– *Nasi rodzice go oszukali, chodzi o pieniądze.*

*Z jej ust znowu wyszło zdanie, które brzmi jak usłyszane od kogoś i wyuczone na pamięć.*

*– Moi rodzice nie są winni nikomu żadnych pieniędzy.*

*– Za to moja matka i mój ojciec nie żyją. Frankie już ich pozabijał. Teraz szuka mnie, żeby dokończyć dzieła. Ale Steve jest pewny, że jeśli tu zostanę, on mnie nie znajdzie.*

*– Posłuchaj, Glorio...*

*Co pewien czas Gloria staje się jakby nieobecna i trzeba przywoływać ją z oddalenia.*

*– Glorio, mówię do ciebie...*

*– Tak, słucham?*

*– Twoi rodzice żyją. Przypomniałam sobie, że jakiś czas temu widziałam ich w telewizji, brali udział w talk-show i mówili o tobie.*

*Składali ci życzenia urodzinowe.*

*Gloria nie wyglądała na wstrząśniętą tą informacją. Ale teraz zaczyna brać pod uwagę ewentualność, że wszystko to może być prawdą.*

*– Ja nie mogę oglądać telewizji. Tylko kasety, na które pozwala mi Steve.*

*– Steve. To ten Steve jest zły, Glorio. Frankie nie istnieje. To tylko jego wymysł, żeby cię tu więzić.*

*– Istnieje.*

*– Pomysł: widziałaś go kiedyś?*

*Dziewczynka się zastanawia.*

– Nie.

– Więc dlaczego w niego wierzysz?

Chociaż Gloria ma dwanaście lat, robi wrażenie, jakby była dużo młodsza. Jakby jej mózg przestał się rozwijać i pozostał w stanie, w jakim znajdował się w dziewiątym roku jej życia. To znaczy wtedy, gdy Steve uprowadził Lindę Brown. Z tego powodu zawsze musi zastanawiać się trochę dłużej nad różnymi sprawami.

– Steve mnie kocha – powtarza, ale bardziej po to, aby przekonać siebie samą.

– Nie, Glorio, on cię nie kocha.

– Więc mówisz, że jeśli spróbuję stąd wyjść, Frankie mnie nie zabije?

– Nigdy w życiu. Poza tym wyjdziemy razem, nie będziesz sama.

– Pójdiesz ze mną?

– Tak. Ale będziemy musiały znaleźć sposób, żeby uciec od Steve'a.

– Ale ty jesteś chora.

– Wiem. I nie mogę już poruszać ręką.

– Złamała się.

– Jak to się stało? Nie mogę sobie przypomnieć...

– Upadliście razem na schody, kiedy Steve cię tu niósł. On bardzo się z tego powodu rozzłościł, bo nie chce, żebyś umarła. Ponieważ wtedy nie będzie mógł cię nauczyć, że powinnaś go kochać. A to bardzo ważne, wiesz?

- Nigdy nie będę go kochała. Gloria nie odzywa się przez chwilę.*
- Podoba mi się imię Linda.*
- Cieszę się, że ci się podoba, bo to jest twoje prawdziwe imię.*
- W takim razie możesz mnie tak nazywać...*
- Dobrze, Lindo. – Wyraźnie wymawia to imię i dziewczynka się do niej uśmiecha. – Teraz jesteśmy przyjaciółkami.*
- Naprawdę?*
- Kiedy wymienia się imiona, zostaje się przyjaciółmi, nikt ci o tym nie mówił?*
- Ja już wcześniej wiedziałam, jak ty się nazywasz... Masz na imię Maria Helena.*
- Tak, ale wszyscy moi przyjaciele mówią do mnie Mila.*

## 39.

– Ten sukinsyn nazywał się Steve, Steve Smitty.

Mila wymówiła to imię z pogardą, podczas gdy Goran trzymał ją za rękę, leżąc na łóżku w lichym hoteliku.

– To był zwykły jełop, który nigdy do niczego w życiu nie doszedł. Zmieniał jedną nedorzeczną pracę na drugą i nie mógł zagrzać nigdzie miejsca nawet przez miesiąc. Przeważnie był bezrobotny. Po śmierci rodziców odziedziczył dom – ten sam, w którym nas więził – i pieniądze z ubezpieczenia na życie. Niedużo, ale dość, żeby mógł w końcu pozwolić sobie na wcielenie w życie „wielkiego planu”!

Powiedziała to z przesadną emfazą. Potem pokręciła głową, zastanawiając się nad absurdalnością tej historii.

– Steve lubił dziewczyny, ale nie ośmielał się ich podrywać, bo jego fiut był cienki jak mały palec, więc bał się, że go wyśmieją. – Przez chwilę jej twarz rozjaśniał złośliwy i mściwy uśmiezek. – Zaczął się więc interesować małymi dziewczynkami, mając pewność, że z nimi pójdzie mu łatwiej.

– Pamiętam sprawę Lindy Brown – odezwał się Goran. – Było to zaraz po tym, jak dostałem pierwszą katedrę na uniwersytecie. Uważałem, że policja popełniła mnóstwo błędów.

– Błędów? Oni zwyczajnie narobili burdelu! Steve był niedoświadczonym niechlujem i zostawił mnóstwo śladów i

świadków! Nie potrafili znaleźć go od razu, więc twierdzili, że jest sprytny. A on był głupkiem! Głupkiem, który miał dużo szczęścia...

– Ale udało mu się przekonać Lindę...

– Zdobył jej zaufanie, wykorzystując jej strach. Wymyślił tego złośliwego typka – nazywał go Frankie – i przypisał mu rolę złego człowieka tylko po to, żeby samemu uchodzić za dobrego, za „wybawiciela”. Ten imbecyl nie miał nawet dość fantazji: dał mu imię Frankie, ponieważ tak się nazywał żółw, którego miał jako mały chłopiec!

– Ale to działało.

Mila się uspokoiła.

– W przypadku zastraszonej, zaszokowanej dziewczynki. W takich warunkach łatwo stracić poczucie rzeczywistości. Siedziałam w jakiejś pieprzonej suterenie, a nazywałam ją „brzuchem potwora”.

Nade mną był dom, i ten dom stał w podmiejskiej dzielnicy wśród wielu innych podobnych, normalnych domów. Przechodzili przed nim ludzie i nie wiedzieli, że jestem tam na dole. Najgorsze było to, że Linda – albo Gloria, jak on ją nazywał, dając jej imię pierwszej dziewczyny, która go odtrąciła – mogła się swobodnie poruszać. Ale nie przyszło jej nawet do głowy, żeby wyjść na zewnątrz, chociaż praktycznie biorąc, drzwi wejściowe były ciągle otwarte! Nie zamykał ich na klucz nawet wtedy, gdy wychodził na te swoje spacerki, tak był pewny skuteczności historyjki o Frankiem!

– Miałaś szczęście, że uszłaś z tego z życiem.

– Miałam prawie martwicę ręki. Przez długi czas lekarze nie mieli nadziei na uratowanie jej. Poza tym byłam niedożywiona. Ten

sukinsyn dawał mi homogenizowane papki dla dzieci i leczył przeterminowanymi lekami, które znajdował w śmieciach z pewnej apteki. Nie musiał dawać mi narkotyków, bo moja krew była tak zatruta tymi świństwami, że to był prawdziwy cud, że zachowałam świadomość!

Deszcz na dworze szumiał, splukując z ulic resztki śniegu. Nagłe porywy wiatru poruszały zasłonami.

– Pewnego razu obudziłam się z tego stanu, który był czymś w rodzaju śpiączki, bo usłyszałam, że ktoś wymawia moje imię. Próbowałam też hałasować, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale wtedy zjawiała się Linda i przekonała mnie, żebym dała spokój. Tak więc zamieniłam nadzieję na ratunek na małą pociechę, że nie jestem sama. Ale nie pomyliłam się: na górze naprawdę było dwóch agentów policji, którzy myszkowali po okolicy. Jeszcze mnie szukali! Gdybym krzyczała głośniej, może by mnie usłyszeli, bo oddzielała nas tylko cienka drewniana podłoga. Była z nimi pewna kobieta i to ona wołała mnie po imieniu. Ale nie robiła tego głosem, tylko w myślach.

– To była Nicla Papakidis, prawda? W ten sposób ją poznałaś...

– Tak, to się stało właśnie wtedy. Ale chociaż jej nie odpowiedziałam, i tak zdołała coś wyczuć. No i po kilku dniach wróciła i pokręciła się trochę koło domu, mając nadzieję, że znowu mnie wyczuje...

– Więc to nie Linda cię uratowała...

Mila prychnęła pogardliwie.

– Ona? Zawsze latała do Steve'a, żeby wszystko mu opowiadać.

Stała się już jego małą mimowolną współpracowniczką. Przez trzy lata był całym jej światem. Według posiadanej przez nią wiedzy, Steve był ostatnim dorosłym, jaki pozostał na świecie. A dzieci zawsze wierzą dorosłym. Jednak niezależnie od Lindy Steve myślał już o pozbyciu się mnie. Był przekonany, że prędko umrę, więc wykopał dołek w komórcie na narzędzia za domem. Kiedy wyszłam z tamtego domu, byłam bardziej trupem niż żywą osobą. Nie zauważyłam nawet sanitariuszy, którzy wynosili mnie na noszach po tych samych schodach, na których ten półgłówek Steve mnie upuścił, znosząc na dół. Nie widziałam dziesiątków policjantów kręcących się po domu. Nie słyszałam wiwatowania tłumu, który się zebrał i przyjmował z radością moje uwolnienie. Jednak towarzyszył mi głos Nicli, który opisywał to wszystko w mojej głowie i mówił mi, żebym nie szła w kierunku światła...

– Jakiego światła? – zapytał zaciekawiony Goran.

Mila się uśmiechnęła.

– Była przekonana, że ono istnieje. Może za sprawą wiary. Przeczytała gdzieś, jak myślę, że po śmierci oddzielamy się od ciała, błyskawicznie pokonujemy ciemny tunel, po czym ukazuje się piękne światło... Wolałam jej nie mówić, że niestety niczego nie widziałam.

Tylko ciemność. Nie chciałam rozwiewać jej złudzeń.

Goran pochylił się nad Milą i pocałował ją w ramię.

– To musiało być straszne.

– Miałam szczęście – westchnęła. Jej myśli natychmiast pomknęły do Sandry, szóstej dziewczynki. – Powinnam była ją



uratować. Ale nie udało mi się. Czy ona ma jeszcze jakąś szansę na przeżycie?

– To nie twoja wina.

– Niestety moja.

Mila usiadła na brzegu łóżka. Goran wyciągnął do niej rękę, ale teraz już nie mógł jej dotknąć. Jego pieśczośliwy gest pozostał na granicy skóry, nie dosięgając jej, ponieważ ona znowu była daleko.

Zauważył to i pozwolił jej odejść.

– Pójdę wziąć prysznic – powiedział. – Muszę wrócić do domu, Tommy na mnie czeka.

Mila siedziała bez ruchu, naga, aż usłyszała szum wody w łazience. Chciała opróżnić umysł ze złych wspomnień, żeby móc wypełnić tę pustkę nic nieznaczącymi dziecięcymi myślami, których została przemocą pozbawiona.

Dołek w komórcie na narzędzia za domem Steve'a nie był pusty: zostawiła w nim swoją zdolność odczuwania empatii.

Sięgnęła ręką do szafki nocnej, na której leżał pilot od telewizora.

Włączyła go, mając nadzieję, że podobnie jak woda z prysznicą, pod którym stoi Goran, nic nieznaczące rozmowy i widoki wypłuczają resztki złych wspomnień z jej głowy.

Jakaś kobieta na ekranie trzymała mocno mikrofon, który wiatr i deszcz wyrywały jej z ręki. Na prawo od niej widać było logo dziennika telewizyjnego, niżej biegły napisy wydania specjalnego. Daleko, w głębi, widać było budynek otoczony przez dziesiątki

policyjnych samochodów z włączonymi kogutami błyskającymi w mroku nocy.

– ...a za godzinę inspektor Roche wyda oficjalny komunikat. Tymczasem możemy potwierdzić: ustalono, kim jest maniak, który terroryzował kraj, uprowadzając i mordując niewinne dziewczynki...

Mila wbiła wzrok w ekran, nieruchomiejąc jak posąg.

– ...chodzi o skazanego przebywającego na zwolnieniu warunkowym, który dziś rano otworzył ogień do dwóch strażników więziennych przybyłych do jego domu w celu przeprowadzenia zwykłej kontroli...

O tej sprawie mówił jej Terence Mosca w małym pokoiku obok pokoju, w którym przesłuchiowano Borisa. Nie wierzyła własnym uszom.

– ...ponieważ ranny strażnik zmarł, wysłane na miejsce jednostki specjalne postanowiły wdrzeć się do środka. Dopiero po zabiciu skazanego i wejściu do domu dokonali nieoczekiwanego i zaskakującego odkrycia...

Dziewczynka, powiedz coś o dziewczynce!

– ...przypominamy z myślą o tych, którzy dopiero teraz zaczęli nas słuchać: skazany nazywał się Vincent Clarisso...

Albert – poprawiła ją w myślach Mila.

– ...źródła w wydziale śledczym informują nas, że szósta dziewczynka przebywa jeszcze w mieszkaniu za moimi plecami. Jest już pod opieką ekipy pogotowia, która udziela jej pierwszej pomocy.

Nie mamy potwierdzenia tej informacji, ale wydaje się, że mała Sandra żyje.

Rejestracja podsłuchu miejscowego nr 7

z 23 grudnia br.

godz. 03:25

Czas trwania: 1 min 35 sek

Osadzony RK-357/9:

...wiedzieć, być gotowym, przygotować się (słowo niezrozumiałe)...godnym naszego gniewu... coś robić... przede wszystkim zaufanie... (zdanie niezrozumiałe) zbyt dobry, przychylny... nie wolno dać się oszukać... wiedzieć, być gotowym, przygotować się (słowo niezrozumiałe) zawsze jest ktoś, kto nas wykorzystuje... konieczne karanie... odsiedzieć karę... nie wystarczy rozumieć sprawy, czasami trzeba konsekwentnie działać... wiedzieć, być gotowym, przygotować się (słowo niezrozumiałe)...także do tego, żeby zabić... zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić, zabić.

## **40.**

### **Wydział Badania Zachowań**

**25 lutego**

Vincent Clarisso to Albert.

Człowiek ten wyszedł z więzienia przed niespełna dwoma miesiącami, po zwolnieniu go z odsiadki reszty kary za napad z bronią w rękę.

Znalazszy się na wolności, zaczął realizować swój plan.

Nie miał na swoim koncie żadnych poważnych zbrodni. Nie widać też było objawów choroby psychicznej. Niczego, co pozwoliłoby uznać go za potencjalnego seryjnego mordercę.

Zdaniem prawników broniących Vincenta napad z bronią w rękę był „wypadkiem przy pracy”. Głupstwem popełnionym przez młodzieńca silnie uzależnionego od kodeiny. Clarisso pochodził z dobrej mieszczańskiej rodziny, jego ojciec był adwokatem, a matka nauczycielką. Uczył się i uzyskał dyplom pielęgniarza. Przez pewien czas pracował w jednym ze szpitali klinicznych jako asystent chirurga na sali operacyjnej. Prawdopodobnie tam zdobył wiedzę konieczną do utrzymania Sandry przy życiu po amputowaniu jej ręki.

Hipoteza zespołu Gavili, że Albert może być lekarzem, nie była daleka od prawdy.

Vincent Clarisso gromadził wszystkie te doświadczenia, pozwalając im osiąść w embrionalnej warstwie swej osobowości, aby później zamienić się w potwora.

Jednak Mila nie dawała temu wiary.

To nie on, powtarzała sobie, podjeżdżając taksówką pod siedzibę policji federalnej.

Po wysłuchaniu wiadomości w telewizji Goran przez dwadzieścia minut rozmawiał przez telefon ze Sternem, który opowiedział mu o ostatnich wydarzeniach. Kryminolog chodził tam i z powrotem po hotelowym pokoju, obserwowany niespokojnie przez Milę. Potem się rozstali. On zadzwonił do pani Runy, żeby została z Tommym również na tę noc, i natychmiast udał się na miejsce odnalezienia Sandry.

Mila chętnie by z nim pojechała, ale jej obecność nie byłaby już uzasadniona. Umówili się więc, że spotkają się później w wydziale badania zachowań.

Minęła północ, ale całe miasto było zakorkowane. Nie bacząc na deszcz, ludzie wylegli tłumnie na ulice, żeby świętować koniec tego koszmaru. Wydawało się, że to środek nocy sylwestrowej, auta trąbiły, wszyscy padali sobie w ramiona. Ruch uliczny utrudniały dodatkowo blokady, które ustawiono, by złapać ewentualnych uciekających współników Clarissa, ale także utrzymać ciekawskich z dala od gorącej strefy, w której nastąpił epilog tej historii.

W taksówce poruszającej się z prędkością pieszego Mila wysłuchiwała relacji radiowej. Mosca stał się bohaterem dnia. Do rozwiązania sprawy doszło wprawdzie za sprawą szczęśliwego trafu, ale, jak to się często działo, bezpośrednią korzyść odniósł tylko człowiek kierujący operacją.

Zmęczona czekaniem, aż rząd samochodów wreszcie ruszy, postanowiła stawić czoło ulewie i wysiadła. Siedziba policji federalnej znajdowała się kilka przecznic dalej, więc założyła kaptur i ruszyła na piechotę, rozmyślając.

Sylwetka Vincenta Clarissa nie pasowała do profilu Alberta nakreślonego przez Gavilę.

Zdaniem kryminologa człowiek ten wykorzystał zwłoki pięciu dziewczynek jako swego rodzaju wskazówki. Umieścił je w określonych miejscach, aby wydobyć na światło dzienne nigdy nieujawnione potworności, o których on jednak wiedział. Zespół postawił hipotezę, że mógł być cichym współnikiem przestępców, którzy popełnili te zbrodnie, i że wszyscy oni kiedyś go spotkali.

„To są wilki. A wilki często działają w stadzie. Każde stado ma przywódcę. I Albert mówi nam to, że to on jest ich przywódcą”, tłumaczył Goran.

Mila umocniła się w swoim przekonaniu, że Vincent nie jest Albertem, gdy usłyszała, że seryjny morderca ma trzydzieści lat. Za mało, aby mógł znać Ronalda Dermisa jako małego wychowanka sierocińca, a także Josepha B. Rockforda – członkowie zespołu doszli przecież do wniosku, że powinien mieć pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat.

Ponadto zupełnie nie przypominał człowieka opisanego przez Niclę po tym, jak ujrzała go w umyśle milionera.

Idąc w potokach deszczu, Mila znalazła też inny powód, który umacniał ją w jej sceptycyzmie: gdy Feldher mordował Yvonne Gress i jej dzieci w willi w Capo Alto, Clarisso był w więzieniu, nie mógł więc przyglądać się masakrze, pozostawiając ślad na ścianie!

To nie on, oni się mylą. Ale Goran się zorientuje i im wytłumaczy.

Dotarłszy do siedziby policji, zauważyła, że na korytarzach panuje euforia. Agenci klepali się po ramieniu, a wielu z nich wciąż w mundurach jednostek szturmowych dopiero co wróciło z miejsca zbrodni i dzieliło się ostatnimi wieściami. Relacje przechodziły z ust do ust i wzbogacały się o nowe szczegóły.

Do Mili podeszła policjantka i poinformowała ją, że inspektor Roche chce się z nią natychmiast widzieć.

– Ze mną? – zapytała zdumiona.

– Tak, czeka w swoim biurze.

Kiedy wchodziła po schodach, przyszło jej na myśl, że Roche wezwał ją, ponieważ zorientowali się, że coś nie pasuje w rekonstrukcji faktów. Być może całe to podniecenie, które widziała naokoło, prędko zgaśnie.

W wydziale badania zachowań było niewielu agentów po cywilnemu i żaden z nich nie świętował. Panowała taka sama atmosfera jak w dni robocze, tyle że była noc i wszyscy nadal pracowali.



Musiała zaczekać dłuższą chwilę, zanim sekretarka Roche'a zaprosiła ją do biura. Będąc jeszcze za drzwiami, Mila usłyszała kilka słów wypowiedzianych przez inspektora, który prawdopodobnie rozmawiał przez telefon. Gdy jednak przekroczyła próg, odkryła zdumiona, że nie jest sam, tylko w towarzystwie Gorana Gavili.

– Proszę wejść, agentko Vasquez. – Roche zaprosił ją gestem ręki. Zarówno on, jak i Goran stali po przeciwnych stronach biurka.

Mila ruszyła w kierunku Gavili, który odwrócił się nieco w jej stronę i lekko skinął głową. Intymność, jaką dzielili zaledwie godzinę temu, znikła bez śladu.

– Mówiłem właśnie Goranowi, że chciałbym, abyście i wy wzięli udział w konferencji prasowej, która odbędzie się jutro rano. Kapitan Mosca zgadza się ze mną. Bez waszej pomocy nigdy byśmy go nie złapali. Chcemy wam podziękować.

Mila nie zdołała ukryć zdumienia.

– Proszę pana, z całym szacunkiem... Myślę, że popełniamy błąd.

Roche odwrócił się do Gorana.

– Co ona gada? – prychnął.

– Mila, wszystko jest w porządku – zapewnił ją spokojnie kryminolog.

– Nie, nie jest. To nie Albert, jest za dużo niezgodności, ja...

– Chyba nie chce pani powiedzieć tego na konferencji prasowej?!

– wykrzyknął inspektor. – Bo jeśli tak, to pani uczestnictwo jest wykluczone.

– Stern powie wam to samo.

Roche sięgnął po kartkę leżącą na biurku.

– Agent specjalny Stern złożył właśnie wymówienie.

– Co takiego? Co tu się dzieje? – Mila nic nie rozumiała. – Ten Vincent nie pasuje do stworzonej przez nas sylwetki.

Goran zaczął udzielać jej wyjaśnień i na chwilę w jego oczach pojawiła się ta sama łagodność, z jaką całował jej blizny.

– Istnieją dziesiątki zbieżności, które mówią, że to on jest poszukiwanym przez nas człowiekiem: zeszyły pełne zapisków na temat porwania dziewczynek i o tym, co zrobić z ich zwłokami, kopie planów systemu bezpieczeństwa w Capo Alto, plan college'u Debby Gordon oraz podręczniki elektroniki i informatyki, które Clarisso zaczął czytać, kiedy siedział jeszcze w więzieniu...

– Znaleźliście też wszystkie nici, jakie łączyły go z Alexandrem Bermannem, Ronaldem Dermisem, Feldherem, Rockfordem i Borisem? – spytała poirytowana Mila.

– W jego domu pracuje zespół detektywów, którzy ciągle znajdują nowe dowody. Zobaczysz, że wyskoczy też coś na temat tych związków.

– To nie wystarczy. Uważam, że...

– Sandra go zidentyfikowała – przerwał jej Goran. – Powiedziała nam, że to on ją uprowadził.

Przez chwilę wydawało się, że Mila się uspokaja.

– Jak ona się czuje?

– Lekarze są dobrej myśli.

– I co, zadowolona? – spytał Roche. – Jeśli zamierza pani narobić mi tu bałaganu, lepiej, żeby natychmiast wróciła pani do domu.

W tym momencie sekretarka poinformowała inspektora przez interkom, że chce się z nim widzieć burmistrz, więc powinien się pospieszyć. Roche zdjął marynarkę z oparcia krzesła i skierował się do drzwi, mówiąc do Gorana:

– Wytlumacz jej, że taka jest oficjalna wersja. Albo ją podpisze, albo niech stąd spada! – I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Mila miała nadzieję, że Goran powie jej w cztery oczy coś innego, ale on oświadczył:

– Niestety, błędy są tylko po naszej stronie.

– Jak możesz mówić coś takiego?

– Milu, to była totalna klęska. Stworzyliśmy fałszywą ścieżkę i szliśmy nią na oślep. Odpowiedzialność za to ponoszę ja: wszystko to były moje domysły.

– Dlaczego nie zadasz sobie pytania, skąd Vincent Clarisso wiedział o innych przestępcach? To on umożliwił nam ich odkrycie!

– Nie w tym tkwi sedno sprawy... Problem polega na tym, że my przez tak długi czas nie zauważyliśmy, że oni istnieją.

– Nie sądzę, żebyś był w tej chwili obiektywny, i chyba domyślam się dlaczego. W czasie śledztwa, któremu nadaliście kryptonim „Wilson Pickett”, Roche uratował twoją reputację i podał ci rękę, żebyś mógł utrzymać zespół, kiedy jego zwierzchnicy chcieli go rozwiązać. Teraz odwdzięczasz mu się za tamtą przysługę, bo jeśli

przyjmiesz tę wersję faktów, Terence Mosca straci część swoich zasług, a Roche uratuje posadę!

– Dość! – krzyknął Goran.

Przez kilka sekund żadne nie powiedziało ani słowa. Potem kryminolog ruszył do drzwi.

– Powiedz mi jedną rzecz... Boris się przyznał? – zdążyła zapytać Mila.

– Jeszcze nie – odparł Goran, nie oglądając się.

Mila została sama w pokoju. Opuściła ręce, zaciskając pięści, żeby przekląć samą siebie i tę chwilę. Jej wzrok padł na wymówienie Sterna. Sięgnęła po nie. W tych paru formalnych liniijkach nie było śladu prawdziwego powodu jego decyzji. Widziała jednak, że agent specjalny musiał poczuć się w jakiś sposób zdradzony, najpierw przez Borisa, a teraz także przez Gorana.

Odkładając pismo na miejsce, Mila zauważyła wykaz połączeń telefonicznych, na którym widniało nazwisko Vincenta Clarissa. Prawdopodobnie Roche zażądał go, żeby się upewnić, czy wśród nazwisk znajomych maniaka jest nazwisko jakiejś ważnej osobistości, którą należy chronić. Biorąc pod uwagę fakt, że w sprawę zamieszany był już ktoś taki jak Joseph B. Rockford, należało to sprawdzić.

Jednak seryjny morderca najwyraźniej nie prowadził bujnego życia towarzyskiego, gdyż wymieniono tu tylko jedną rozmowę, i to z poprzedniego dnia.

Mila odczytała numer telefonu, który wydał jej się dziwnie znajomy.

Wyjęła z kieszeni komórkę, nacisnęła odpowiedni przycisk, i numer ukazał się na ekranie razem z imieniem i nazwiskiem.

## 41.

Telefon dzwonił, ale nikt nie odbierał.

– No, obudź się wreszcie, do cholery!

Koła taksówki rozbryzgiwały wodę, która zebrała się na asfalcie, ale na szczęście przestało padać. Ulice iskrzyły się niczym scena w jakimś musicalu, wydawało się, że w każdej chwili pojawią się tancerze w smokingach, z włosami pociągniętymi brylantyną.

Mila znowu wybrała numer. Próbowwała już po raz trzeci. W końcu po piętnastym dzwonku podniesiono słuchawkę.

– Słucham? O tej godzinie? – ozwał się zaspany głos Cinthii Pearl.

– Mówi Mila Vasquez, pamięta mnie pani? Widziałyśmy się przedwczoraj...

– Tak, pamiętam panią... Ale czy nie mogłybyśmy porozmawiać jutro? Wie pani, wzięłam proszek nasenny.

Trudno się dziwić, że osoba, która uszła z życiem z rąk seryjnego mordercy, sięga nie tylko po alkohol, ale i po leki, żeby zasnąć. Mila nie mogła jednak czekać, musiała natychmiast usłyszeć jej odpowiedzi.

– Przykro mi, Cinthio, ale nie, potrzebuję pani w tej chwili. To nie potrwa długo.

– W takim razie zgoda.

– Wczoraj koło ósmej rano ktoś do pani dzwonił...

– Tak, wybierałam się właśnie do pracy. Z powodu tego faceta szef skrzyczał mnie za spóźnienie.

– Kto do pani dzwonił?

– Powiedział, że jest detektywem ubezpieczeniowym. Wie pani, złożyłam wniosek o odszkodowanie za to, co mi się przydarzyło...

– Nie przedstawił się?

– Wydaje mi się, że nazywał się Spencer. Musiałam gdzieś to zapisać...

No tak, Vincent Clarisso podał fałszywe nazwisko i skorzystał z takiego pretekstu, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń.

– To nieważne – powiedziała Mila. – Czego ten człowiek od pani chciał?

– Żeby mi opowiedziała przez telefon o mojej sprawie. A także o Benjaminie Gorce.

Mila była zaskoczona: dlaczego Vincent Clarisso interesuje się śledztwem o kryptonimie „Wilson Pickett”? Przecież podrzucił piątę zwłoki do Studia po to, żeby oznajmić światu, że to nie Benjamin Gorka, ale Boris był prawdziwym zabójcą Rebeki Springher...

– Dlaczego chciał poznać pani historię?

– Żeby uzupełnić wniosek, jak mi powiedział. Ci z ubezpieczeń są bardzo skrupulatni.

– I o nic więcej nie pytał lub nie mówił jeszcze o czymś?

Cinthia zamilkła na dłuższą chwilę i Mila obawiała się, że zasnęła, ale ona tylko się zastanawiała.

– Nie, nie pytał o nic innego. Ale był bardzo uprzejmy. Na koniec zapewnił mnie, że moja sprawa jest już dość zaawansowana. Wie pani, może naprawdę wypłacą mi te pieniądze?

– Bardzo by mnie to ucieszyło. Przepraszam, że zawracałam pani głowę o tej godzinie.

– Jeśli to, co pani powiedziała, posłuży pani do odnalezienia dziewczynki, której pani szuka, to wcale mi pani nie zawracała głowy.

– W rzeczywistości już ją odnaleziono.

– Co takiego? Naprawdę?

– Nie ogląda pani telewizji?

– Wieczorem wcześniej kładę się spać.

Dziewczyna chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale Mila nie miała czasu. Skłamała, że właśnie ktoś do niej zadzwonił, i rozłączyła się.

Jeszcze przed rozmową z Cinthia zaczęła coś sobie uświadamiać.

Być może Boris został wrobiony.

– Proszę pani, dalej nie można już jechać – powiedział taksówkarz, odwracając się w jej stronę.

– Nie szkodzi, jesteśmy na miejscu.

Zapłaciła i wysiadła. Przed sobą miała kordon policjantów i dziesiątki samochodów z migającymi kogutami na dachach. Wzdłuż ulicy stały wozy transmisyjne różnych stacji telewizyjnych.



Kamerzyści ustawili sprzęt w taki sposób, żeby mieć w tle dobry widok na dom.

Mila dotarła do miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Do miejsca zbrodni oznaczonego „Zero”.

Do domu Vincenta Clarissa.

\* \* \*

Nie wiedziała jeszcze, jak przejdzie przez policyjną kontrolę, żeby znaleźć się w środku. Ograniczyła się do wyjęcia legitymacji i zawiesiła ją na szyi, mając nadzieję, że nikt się nie zorientuje, że nie pracuje w tym okręgu.

W miarę zbliżania się rozpoznawała twarze kolegów, których widziała na korytarzach wydziału. Kilku zebrało się wokół bagażnika jednego z samochodów. Inni zrobili sobie przerwę, posilając się kanapkami i popijając kawę. Rozpoznała też samochód lekarza sądowego. Chang pisał raport, siedząc na stopniu schodów, ale nie podniósł wzroku, gdy przechodziła obok niego.

– Hej, dokąd pani idzie?

Odwróciła się i zobaczyła otyłego policjanta, który, sapiąc, próbował ją dogonić. Nie miała gotowego usprawiedliwienia. Powinna była pomyśleć o tym wcześniej, ale tego nie zrobiła i teraz prawdopodobnie jest skazana na porażkę.

– Ona jest ze mną.

W ich stronę zmierzał Krepp. Miał na szyi plaster, spod którego wystawała głowa i pazury skrzydlatego smoka – na pewno najnowszy tatuaż.

– Proszę ją przepuścić – zwrócił się do policjanta. – Pracuje z nami.

Agent przyjął jego zapewnienie i odwrócił się na pięcie, żeby odejść.

Mila spojrzała na Kreppa, nie wiedząc, co powiedzieć. Ten puścił do niej oko i wrócił do swoich zajęć. W gruncie rzeczy nic dziwnego, że jej pomógł, pomyślała. Oboje, chociaż w odmienny sposób, mieli odcisniętą na skórze jakąś część osobistych doświadczeń.

Dróżka dojazdowa prowadziła po pochyłości. Na bruku leżały jeszcze łuski po strzelaninie, która kosztowała Vincenta Clarissa życie. Drzwi wejściowe zdjęto z zawiasów, żeby ułatwić dostęp do domu.

Gdy tylko Mila weszła do środka, uderzył ją bardzo silny zapach środka dezynfekującego.

W salonie stały meble ze sklejki w stylu lat sześćdziesiątych. Kanapa z tapicerką we wzory, dodatkowo osłonięta folią. Kominiek ze sztucznym ogniem. Barek na kółkach harmonizujący z żółtym dywanem. Ściany oklejone były tapetami w ogromne stylizowane kwiaty w kolorze brązowym, podobne do lwich paszczy.

Zamiast halogenowych reflektorów wnętrza oświetlały lampy z osłonami. To także był znak nowego kursu, który narzucił Terence Mosca. Żadnej „sceny” dla szefa. Wszystko musiał cechować umiar.

Ulubiona szkoła starszych glin, pomyślała Mila. I w tej samej chwili zobaczyła, że Mosca naradza się w kuchni ze współpracownikami.

Nie poszła tam jednak, bo zależało jej na tym, żeby zobaczyło ją jak najmniej osób.

Wszyscy mieli osłony na butach i lateksowe rękawiczki. Mila także je włożyła, po czym zaczęła się rozglądać, starając się robić to dyskretnie.

Jakiś detektyw wyciągał książki z biblioteczki. Po jednej. Brał je, kartkował szybko i odkładał na podłogę. Inny myszkował w szufladach kredensu. Trzeci oglądał bibeloty. W miejscach, w których nic nie zostało jeszcze przesunięte i zbadane, panował wręcz maniackalny porządek: ani śladu kurzu, można było katalogować wszystkie przedmioty, tylko na nie patrząc, jakby każdy z nich znajdował się dokładnie na swoim miejscu. Dom wyglądał jak ukończona układanka.

Mila nie wiedziała, czego szukać. Znalazła się tu tylko dlatego, że był to naturalny punkt wyjścia. Do działania popychała ją wątpliwość związana z dziwnym telefonem, jaki Vincent Clarisso wykonał do Cinthii Pearl.

Jeśli chciał usłyszeć historię jedynej osoby, która przeżyła, być może nie wiedział, kim był Benjamin Gorka. A jeśli nie wiedział, niewykluczone, że piąte zwłoki znalezione w Studiu wcale nie wskazują na Borisa.

Ta logiczna konstatacja nie wystarczyłaby do uniewinnienia kolegi, istniała bowiem także mocna poszlaka, że to Boris zabił

Rebecce Springer – majtki ofiary wykradzione z depozytu sądowego i znalezione podczas przeszukiwania jego mieszkania.

Jednak coś się nie zgadzało.

Mila domyśliła się źródła zapachu środka dezynfekującego, gdy zobaczyła pokój na końcu krótkiego korytarza.

Było to aseptyczne pomieszczenie, w którym stało szpitalne łóżko okryte namiotem tlenowym. Znajdowało się tu mnóstwo leków, fartuchy i narzędzia chirurgiczne. Była to sala operacyjna, w której Vincent dokonywał amputacji swoim małym pacjentkom, a którą później zamienił w szpitalny pokój okaleczonej Sandry.

Przechodząc obok innego pokoju, zauważyła agenta pracującego przy plazmowym telewizorze, do którego podłączona była kamera cyfrowa. Naprzeciwko ekranu stał fotel otoczony głośnikami kina domowego, a po obu stronach telewizora ściana kasetek MiniDV oznaczonych tylko datą. Detektyw wkładał je po kolei do kamery, żeby obejrzyć nagrania.

W tym momencie widać było sceny z placu zabaw. Dziecięcy śmiech w zimowy słoneczny dzień. Mila rozpoznała Caroline, ostatnią dziewczynkę porwaną i zamordowaną przez Alberta.

Vincent Clarisso wyraźnie obserwował swoje ofiary.

– Hej, przyjdzie tu kto, żeby mi pomóc przy tym sprzęcie? Nie znam się na elektronice! – zawołał agent, próbując zatrzymać film.

Zauważywszy w progu Milę, ucieszył się, że nadeszła pomoc, ale zaraz uświadomił sobie, że nigdy jej nie widział. Zanim zdążył coś powiedzieć, ruszyła dalej.

Trzeci pokój był najważniejszy.

Stał w nim wysoki stalowy stół, a na ścianach wisiały gablotki pełne różnobarwnych kartek post-it i innych rzeczy. Można było pomyśleć, że to „Myślarnia”. Widać było plany miast, mapy drogowe zapisane na kartkach, godziny i sposób przemieszczenia się różnych ludzi.

Plan college'u Debby Gordon, a także sierocińca. Był numer rejestracyjny samochodu Alexandra Bermanna i trasy jego służbowych podróży. Zdjęcia Yvonne Gress i jej dzieci oraz widok wysypiska śmieci Feldhera. Były wycinki z czasopism, które opowiadały o losach i bogactwie Josepha B. Rockforda. I oczywiście zdjęcia wszystkich uprowadzonych dziewczynek.

Na stalowym stole leżały jakieś diagramy opatrzone chaotycznymi adnotacjami, jakby praca nad nimi została nagle przerwana. Prawdopodobnie wśród tych kartek krył się, być może na zawsze, epilog całego planu, obmyślony przez seryjnego mordercę.

Mila odwróciła się i stanęła jak wryta. Ściana, którą do tej chwili miała za plecami, była wytapetowana zdjęciami przedstawiającymi członków zespołu śledczego badającego ciężkie zbrodnie, sfotografowanych przy pracy. Była też ona.

No tak, teraz naprawdę znalazłam się w brzuchu potwora.

Vincent zawsze uważnie śledził ich ruchy. Ale wśród tych materiałów nie było niczego, co wiązałoby się ze śledztwem „Wilson Pickett” czy z Borisem.

– Kurwa! Czy ktoś wreszcie mi pomoże? – rozległ się głos agenta w sąsiednim pokoju.

– Fred, co się dzieje?

Nareszcie ktoś przyszedł mu z pomocą.

– Skąd mam wiedzieć, co oglądam? A przede wszystkim, jak mam to opisać, jeśli nie wiem, co to jest?

– Pokaż.

Mila oderwała wzrok od ściany ze zdjęciami i zamierzała opuścić dom. Poczula się usatysfakcjonowana nie tyle tym, co znalazła, ile tym, czego tu nie było.

Nie było Benjamin Gorki. I nie było Borisa. To jej wystarczy.

Popełnili błąd, jeśli chodzi o piątą dziewczynkę. A może to klasyczne skierowanie na mylny trop. Dowodem było to, że gdy Vincent Clarisso uświadomił sobie, że śledztwo obiera inny kierunek, niż przewidywał, zadzwonił do Cinthii Pearl, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Mila zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Roche'owi. Była pewna, że inspektor znajdzie sposób, aby uwolnić Borisa od oskarżeń i przywrócić właściwy wymiar chwale, na jaką zasłużył Terence Mosca.

Przechodząc znowu koło pokoju z telewizorem, dostrzegła coś na ekranie: miejsce, którego agent o imieniu Fred i jego kolega nie potrafili zidentyfikować.

– To jakieś mieszkanie, co mam ci jeszcze powiedzieć?

– Tak, ale co mam napisać w raporcie?

– Wpisz „miejsce nieznane”.

– Jesteś pewny?

– Tak. Ktoś inny zajmie się ustaleniem, gdzie to miejsce się znajduje.

Ale Mila je знаła.

Zauważyli ją dopiero teraz i odwrócili się, żeby na nią spojrzeć, podczas gdy ona stała bez ruchu, nie mogąc oderwać oczu od obrazów, które ukazywały się na ekranie telewizora.

– Czego pani sobie życzy?

Nie odpowiedziała i odeszła. Przemierzając szybkim krokiem salon, sięgnęła do kieszeni po komórkę. Znalazła numer Gorana.

Odebrał, gdy była już na dróżce dojazdowej.

– Co się dzieje?

– Gdzie teraz jesteś? – spytała niespokojnie. Jej zdenerwowanie uszło uwagi Gavili.

– Jestem jeszcze w wydziale, próbuję zorganizować wizytę Sarah Rosy u jej córki w szpitalu.

– Kto jest w tej chwili w twoim mieszkaniu?

Goran zaczął się niepokoić.

– Pani Runa jest z Tommym. Dlaczego pytasz?

– Musisz natychmiast tam pojechać!

– Dlaczego? – powtórzył zdenerwowany.

Mila wyminęła grupę policjantów.

– Vincent miał zdjęcia twojego mieszkania!

– Co to znaczy „miał” zdjęcia?

– Że do niego wszedł. A jeśli miał współnika?

Goran milczał przez chwilę.

– Jesteś jeszcze w jego domu?

– Tak.

– Więc masz bliżej niż ja. Niech Terence Mosca wyznaczy dwóch agentów, weź ich i jedź z nimi do mojego mieszkania. Ja tymczasem zadzwonię do pani Runy i powiem jej, żeby się zamknęła od środka.

– Zgoda.

Mila rozłączyła się, po czym zawróciła i ruszyła z powrotem, żeby porozmawiać z Moscą.

Miejmy nadzieję, że nie będzie mi zadawał zbyt wielu pytań.



## 42.

– Milu, pani Runa nie odbiera!

Świtało.

– Nie martw się, jesteśmy prawie na miejscu, za chwilę dojedziemy.

– Ja też jadę, będę tam za parę minut.

Policyjny samochód zatrzymał się z piskiem opon w spokojnej uliczce w ładnej dzielnicy. Mieszkańcy okolicznych domów jeszcze spali. Do powitania nowego dnia zabierały się tylko ptaki siedzące na gałęziach drzew i na gzymsach.

Mila pobiegła w kierunku bramy. Kilkakrotnie nacisnęła guzik domofonu. Nikt nie odpowiedział. Nacisnęła sąsiedni guzik.

– Tak, kto tam?

– Proszę pana, jesteśmy z policji. Proszę natychmiast otworzyć.

Uruchamiany elektrycznie zamek odskoczył. Mila pchnęła bramę i popędziła na trzecie piętro. Tuż za nią pobiegło dwóch towarzyszących jej agentów. Żeby nie tracić czasu, zrezygnowali z użycia dźwigu towarowego, który pełnił funkcję windy.

– Spraw, żeby nic się nie stało. Spraw, żeby nikt nie zrobił krzywdy temu dziecku...

Mila zwracała się do boskiej istoty, w którą przestała wierzyć dawno temu, chociaż był to ten sam Bóg, który uratował ją z rąk prześladowcy, posługując się zdolnościami Nicli Papakidis. Zbyt wiele razy spotykała dzieci, które miały mniej szczęścia niż ona, aby móc zachować wiarę.

– Spraw, żeby to się nie powtórzyło, spraw, żeby tym razem się nie zdarzyło...

Znalazszy się na podeście, Mila zaczęła energicznie pukać do drzwi.

Może pani Runa ma mocny sen, pomyślała. Zaraz podejdzie, żeby otworzyć, i wszystko będzie w porządku.

Ale tak się nie stało.

– Chce pani, żebyśmy je wyłamali? – zapytał jeden z policjantów.

Brakowało jej tchu, żeby odpowiedzieć, więc tylko pokiwała głową. Policjanci wzięli krótki rozbieg i uderzyli razem. Drzwi otworzyły się na oścież.

Cisza. Ale nie taka zwyczajna. Cisza pusta, przytłaczająca. Cisza pozbawiona życia.

Mila wyciągnęła pistolet i ruszyła przodem. Policjanci podążyli za nią.

– Pani Runo!

Jej głos rozszedł się po pokojach, ale nikt nie odpowiedział. Dała znak dwom agentom, żeby się rozdzielili. Sama ruszyła w kierunku sypialni.

Posuwała się powoli korytarzem. Ręka, w której ścisnęła pistolet, drżała. Czuła, że nogi ciążyą jej coraz bardziej, mięśnie twarzy napinają się, a oczy pieką.

Dotarła do pokoiku Tommy'ego. Drzwi były uchylone. Popchnęła je otwartą dłonią i jej oczom ukazało się całe pomieszczenie. Okiennice były zamknięte, lecz lampa w kształcie kłowna na szafce nocnej obracała się, rzucając na ściany sylwetki cyrkowych zwierząt. Na stojącym przy ścianie łóżku widać było pod kołderką zarys drobnego skulonego ciała.

– Tommy... – powiedziała cicho. – Tommy, obudź się...

Ale ciało się nie poruszyło.

Dotarłszy do łóżka, położyła pistolet obok lampy. Nie chciała ściągać kołdry, nie chciała odkrywać tego, co już wiedziała. Pragnęła za to zostawić wszystko i natychmiast wyjść z tego pokoju, żeby nie stawać także wobec tego nieszczęścia! Oglądała to już zbyt często i bała się, że tak będzie za każdym razem.

Zmusiła się jednak, żeby wyciągnąć rękę w kierunku kołdry.

Chwyciła ją i ściągnęła jednym ruchem.

Przez kilka sekund stała, unosząc brzeg kołdry i wpatrując się w oczy starego pluszowego misia, który śmiał się do niej z wiecznie szczęśliwym wyrazem mordki.

– Przepraszam...

Mila drgnęła. W drzwiach stali dwaj agenci i przyglądali się jej.

– Tam są drzwi zamknięte na klucz.

Mila już miała polecić im, żeby je wyłamali, gdy usłyszała głos Gorana, który wszedł do mieszkania: – Tommy! Tommy!

Mila wyszła mu naprzeciw.

– Nie ma go w jego pokoju.

Goran był zrozpaczony.

– Jak to nie ma? Więc gdzie jest?

– Jeden z pokoiów jest zamknięty na klucz. Może tam, jak ci się wydaje?

Goran niczego nie pojmował.

– Co takiego?

– Ten pokój, zamknięty na klucz...

Kryminolog znieruchomiał...

– Słyszałaś?

– Co?

– To on...

Mila nie rozumiała. Goran odsunął ją na bok i szybkim krokiem ruszył w stronę gabinetu.

\* \* \*

Ujrzawszy synka ukrytego pod mahoniowym biurkiem, nie mógł powstrzymać łez. Objął go i mocno przycisnął.

– Tato, tak się bałem...

– Tak, wiem, kochany. Ale teraz już wszystko dobrze.

– Pani Runa sobie poszła. Obudziłem się i zobaczyłem, że jej nie ma...

– Ale teraz jestem ja, no nie?

\* \* \*

Mila została na progu i włożyła pistolet do kabury, uspokojona słowami skulonego pod biurkiem Gorana.

– Zaniosę cię teraz do kuchni i zrobimy śniadanie. Co chcesz zjeść? Mogą być pączki?

Mila się uśmiechnęła. Strach minął. Goran odezwał się znowu: – Chodź, wezmę cię na ręce...

Zobaczyła, że wychodzi spod biurka, z trudem stając na nogi.

Ale w jego ramionach nie było żadnego dziecka.

\* \* \*

– Przedstawiam ci moją przyjaciółkę. Ma na imię Mila...

Goran miał nadzieję, że Mila spodoba się jego synkowi. Zazwyczaj był trochę nieśmiały wobec nieznanomych. Tommy nic nie powiedział, wskazał tylko palcem jej twarz. Goran przyjrzał się jej i zobaczył, że płacze.

\* \* \*

Łzy popłynęły nieoczekiwanie. Ale tym razem ból, który je wywołał, nie był pochodzenia fizycznego. Na jej ciele nie otworzyła się żadna rana.

– Co ci jest? Co się dzieje? – dopytywał się Goran, zachowując się tak, jakby naprawdę trzymał coś na w rękach.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wyglądało na to, że udaje.

Goran naprawdę myśli, że trzyma na rękach swojego syna.

Dwaj policjanci, którzy tymczasem podeszli bliżej, patrzyli na nich zdumieni, gotowi do działania. Mila dała im znak, żeby zostali tam, gdzie stoją.

– Zaczekajcie na mnie na dole.

– Ale my nie...

– Zejdźcie na dół i zadzwońcie do wydziału. Powiedzcie, żeby przysłali tu agenta Sterna. Gdybyście usłyszeli strzał z pistoletu, nie przejmujcie się tym, to będę ja.

Dwaj policjanci niechętnie wypełnili jej polecenie.

– Milu, co się dzieje? – W głosie Gorana słyhać było bezradność. Wydawało się, że jest tak przerażony prawdą, że nie potrafi zdobyć się na żadną reakcję. – Dlaczego chcesz, żeby przyjechał tu Stern?

Mila uniosła palec do ust na znak, żeby zachował milczenie, po czym odwróciła się i wyszła na korytarz. Skierowała się do pokoju z

zamkniętymi drzwiami. Strzeliła w zamek, roztrzaskując go na kawałki, i je otworzyła.

W pokoju było ciemno, ale wciąż unosił się zapach gazów z rozkładu. Na wielkim małżeńskim łóżku leżały dwa ciała.

Jedno większe, drugie mniejsze.

Szerniały szkielety okryte resztkami skóry, która odpadała jak tkanina, złączone były w uścisku.

\* \* \*

Do pokoju wszedł Goran. Poczł zapach. Zobaczył ciała.

– O mój Boże – szepnął, nie rozumiejąc, dlaczego w jego sypialni leżą dwa trupy. Odwrócił się w stronę korytarza, żeby zastąpić drogę Tommy'emu... ale go nie zobaczył.

Znowu spojrzął na łóżko. Na małe ciało. Prawda zwała się na niego z bezlitosną siłą. I w tym momencie wszystko sobie przypomniał.

\* \* \*

Mila znalazła go koło okna. Patrzył na ulicę. Po dniach pełnych śniegu i deszczu wróciło jasne słońce.

– To jest to, co chciał nam powiedzieć Albert, używając ciała piątej dziewczynki.

Goran milczał.

– A ty skierowałeś śledztwo na Borisa. Wystarczyła twoja sugestia, w jakim kierunku Terence Mosca ma poprowadzić dochodzenie.

To ty podsunałeś mu akta sprawy „Wilson Pickett”, które widziałam w jego teczce... A ponieważ zawsze miałeś dostęp do dowodów ze śledztwa w sprawie Gorki, ukradłeś majtki Rebeki Springher z sądowego depozytu, żeby podrzucić je do mieszkania Borisa w czasie przeszukania.

Goran skinął głową.

Ich oddechy przypominały tafłę szkła, która kruszyła się za każdym razem, gdy Mila próbowała odetchnąć.

– Dlaczego? – spytała załamującym się głosem.

– Dlatego, że po odejściu ode mnie ona zjawiała się w tym domu.

Ale wróciła nie po to, żeby tu zostać. Chciała tylko pozbawić mnie jedynej rzeczy, która mi została, a którą kochałem. A on postanowił odejść razem z nią.

– Dlaczego? – powtórzyła Mila, nie próbując już powstrzymać łez.

– Ponieważ obudziłem się pewnego ranka i usłyszałem głos Tommy’ego, który wołał do mnie z kuchni. Poszedłem tam i zobaczyłem, że siedzi na swoim zwykłym miejscu. Prosił mnie o śniadanie. A ja byłem taki szczęśliwy, i zapomniałem o tym, że już go nie ma...

– Dlaczego? – spytała błagalnie.

Tym razem Goran długo zastanawiał się nad odpowiedzią.



– Ponieważ kochałem ich oboje.

Nagle otworzył okno, i zanim Mila zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, rzucił się w pustkę.

## 43.

Zawsze chciała mieć kucyka.

Pamiętała, że zadreczęła matkę i ojca, żeby go jej kupili. Nie brała pod uwagę tego, że tam, gdzie mieszkali, nie było nawet odpowiedniego miejsca, w którym można go trzymać. Tyłne podwórze było za wąskie, a koło garażu znajdował się tylko wąski pasek ziemi, na którym jej dziadek uprawiał warzywa:

Mimo to nalegała. Rodzice mieli nadzieję, że prędzej czy później zapomni o tym bezsensownym kaprysie, ale w każde jej urodziny i w każdym liście do Świętego Mikołaja była zawsze ta sama prośba.

Gdy Mila opuściła brzuch potwora i wróciła wreszcie do domu po dwudziestu jeden dniach uwięzienia i trzech miesiącach spędzonych w szpitalu, na podwórku czekał na nią śliczny biało-brązowy kucyk.

Jej marzenie się spełniło, ale ona nie potrafiła się nim cieszyć.

Jej ojciec użył swoich skromnych talentów, żeby wytargować dobrą cenę. Rodzina z pewnością nie była bogata, trzeba było oszczędzać, a ona pozostała jedynaczką głównie z powodów ekonomicznych.

Rodzice nie mogli pozwolić sobie na to, żeby podarować jej brata lub siostrę, za to kupili jej kucyka. A jej to nie uszczęśliwiło.

Tak długo marzyła o kucyku, mówiła o tym bez przerwy, wyobrażała sobie, że będzie go doglądała, ozdabiała jego grzywę

kolorowymi kokardkami, szczotkowała mu sierść. Często zmuszała swojego kota, żeby znosił podobne zabiegi. Może właśnie dlatego Houdini tak jej nie lubił i trzymał się od niej z daleka.

Jest jeden powód, dla którego kucyki tak bardzo podobają się dzieciom: nie rosną i na zawsze pozostają w zaklętym świecie dzieciństwa. Stan godny pozazdroszczenia.

Natomiast Mila po uwolnieniu chciała natychmiast stać się duża, żeby oddalić się od tego, co jej się przydarzyło. A gdyby dopisało jej szczęście, być może zdołałaby o tym zapomnieć.

Tymczasem kucyk, który nigdy nie urośnie, symbolizował w jej oczach rodzaj paktu z czasem – dla niej nie do zaaprobowania.

Gdy w stanie bliskim śmierci wyniesiono ją z cuchnącej sutereny Steve'a, zaczęło się dla niej nowe życie. Po trzech miesiącach leżenia w szpitalu, gdy pracowano nad tym, by znów mogła posługiwać się lewą ręką, musiała odzyskać zaufanie do spraw dziejących się na świecie, nie tylko w codziennym życiu domowym, ale także w sferze uczuciowej.

Jej serdeczna przyjaciółka Graciela, z którą przed zapadnięciem się w nicość dopełniła rytuału sióstr krwi, teraz zachowywała się dziwnie.

Nie była już osobą, z którą zawsze dzieliła się ostatnią gumą do żucia, przy której nie wstydziła się robić siusiu, z którą całowała się „po francusku”, żeby przygotować się do chwili, gdy zjawią się chłopcy.

Nie, Graciela się zmieniła. Rozmawiała z nią z uśmiechem przyklepionym do twarzy, a ona bała się, że jeśli się go nie pozbędzie,

to w krótkim czasie rozboleła ją policzki. Zmuszała się, żeby być miłą i uprzejmą, przestała nawet używać przy niej brzydkich wyrazów, choć jeszcze tak niedawno nie zwracała się do niej nawet po imieniu – między sobą używały zawsze takich określeń jak „zafajdana krowa” czy „piegowata świnka”.

Nakłuły sobie zardzewiałym gwoździem czubki palców wskazujących, żeby na zawsze zostać przyjaciółkami, których nie będzie mógł rozdzielić żaden chłopak czy nawet narzeczony. A teraz wystarczyło kilka tygodni, żeby powstała między nimi przepaść nie do zasypania.

Tamto nakłucie opuszki palca było pierwszą raną Mili. Jednak przyniosła więcej bólu, gdy już się zbliżniła.

„Przestańcie traktować mnie tak, jakbym wróciła z Księżyca!”, miała ochotę krzyczeć. I te miny ludzi! Nie znosiła ich. Przechylali głowy na bok i ściągali usta. Również w szkole, gdzie nigdy się nie wyróżniała, teraz tolerowano jej potknięcia.

Męczyła ją ta przychylność innych. Wydawało jej się, że jest bohaterką biało–czarnego filmu podobnego do tych puszcanych w środku nocy w telewizji, w którym mieszkańców Ziemi zastąpiły klony Marsjan, ale ona się uratowała, ponieważ pozostała w ciepłym wnętrzu tamtej nory.

Były więc dwie możliwości: albo świat naprawdę się zmienił, albo po dwudziestu jeden dniach wylęgania potwór wydał na świat nową Milę.

Nikt nie wspominał już o tym, co się wydarzyło. Kazali jej żyć tak, jakby była zawieszona w bańce lub jakby była ze szkła i mogła w

każdej chwili się potłuc. Nie rozumieli, że po wszystkich oszustwach, jakie musiała znieść, chciała tylko odrobiny autentyczności.

Po jedenastu miesiącach rozpoczął się proces Steve'a.

Długo czekała na tę chwilę. Pisały o tym wszystkie gazety, mówiono o tej sprawie w dziennikach telewizyjnych, których rodzice nie pozwalali jej oglądać – żeby ją chronić, jak zapewniali – a które ona oglądała jednak po kryjomu, gdy tylko mogła.

Zarówno ona, jak i Linda miały zeznawać w charakterze świadków. Prokuratura bardziej liczyła na nią, ponieważ jej „więzienna” towarzyszka nadal niewzruszenie broniła swojego prześladowcy.

Znowu zaczęła się domagać, żeby nazywano ją Gloria. Lekarze twierdzili, że Linda cierpi na szereg zaburzeń psychicznych, tak więc na Milę miało spaść zadanie przygwożdżenia Steve'a.

Przez cały czas po aresztowaniu Steve robił wszystko, żeby uchodzić za chorego psychicznie. Wymyślił absurdalne teorie dotyczące domniemanych współników i zapewniał, że tylko był im posłuszny.

Starał się też wmówić światu to, co wmawiał Lindzie: że miał złośliwego współnika Frankie'ego. Jego kłamstwo wyszło na jaw, gdy pewien policjant odkrył, że to imię zółwia, którego miał w dzieciństwie.

Ludzie jednak i tak dali się nabrać na tę historię. Steve był zbyt „normalny” jak na potwora. Za bardzo podobny do nich. Myśl, że za tym wszystkim może kryć się ktoś jeszcze, jakiś niezidentyfikowany wciąż osobnik, prawdziwy potwór, paradoksalnie ich uspokajała.

Mila przybyła na rozprawę z postanowieniem, że obciąży Steve'a wszystkimi jego grzechami, a także odrobiną tylko samego zła, jakie on wyrządził jej. Chciała, żeby zgnił w więzieniu, i dlatego gotowa była zaprezentować się w roli biednej ofiary, której odgrywania aż do tej pory uparcie odmawiała.

Usiadła na miejscu dla świadków, naprzeciwko klatki, w której zamknięty był Steve z kajdankami na rękach. Zamierzała opowiedzieć wszystko ze szczegółami, ani na chwilę nie odrywając od niego oczu.

Jednak gdy go zobaczyła w zapiętej pod szyję zielonej koszuli, która była na niego za duża, bo została z niego skóra i kości, gdy ujrzała jego ręce, które drżały, kiedy próbował pisać coś w notesie, i jego włosy, z jednej strony dłuższe, bo sam je sobie obciął, poczuła coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewała – litość. Ale także złość na tego nędznika właśnie za to, że tę litość w niej wzbudził.

Właśnie wtedy Mila Vasquez po raz ostatni poczuła empatię wobec innej osoby.

\* \* \*

W chwili, w której odkryła tajemnicę Gorana, rozplakała się. Dlaczego?

Jakieś wspomnienie zagubione w jej wnętrzu mówiło jej, że to lzy empatii.

Tama pękła nagle, uwalniając zaskakujące bogactwo emocji. Teraz wydawało jej się nawet, że potrafi odczuwać to, co odczuwają inni.

Jak wtedy, gdy na miejsce przybył Roche i wyczuła rodzącą się w nim bolesną świadomość, że jego godziny są policzone, bo jego najlepszy człowiek, jego najcenniejszy „klejnot” podsunął mu najbardziej zatruty kęs.

Natomiast Terence Mosca zrobił na niej wrażenie człowieka rozdartego między radością z powodu pewnego awansu i skrepowaniem wywołanym powodem tegoż awansu.

Wyraźnie dostrzegła niepokój i smutek Sterna, gdy tylko przekroczył próg mieszkania Gorana. Od razu domyśliła się, że jest gotów natychmiast zakasać rękawy i zrobić porządek w tej paskudnej sprawie.

Empatia.

Jedyną osobą, wobec której nie mogła zdobyć się na żadne odczucia, był Goran.

Nie wpadła, jak Linda, w pułapkę zastawioną przez Steve'a, bo ani przez chwilę nie wierzyła, że istnieje ktoś taki jak Frankie. Natomiast uległa złudzeniu, że w tym mieszkaniu żyje chłopczyk o imieniu Tommy. Słyszała o nim od innych. Jego ojciec telefonował w jej obecności do opiekunki, żeby się upewnić, że chłopiec czuje się dobrze i poprosić o troskliwość. Sądziła nawet, że go widziała, gdy Goran go usypiał. Nie potrafiła mu przebaczyć, ponieważ z jego powodu czuła się głupio.

Goran Gavila przeżył upadek z wysokości dwunastu metrów i walczył teraz ze śmiercią na oddziale intensywnej terapii.

Jego mieszkanie było pilnowane przez policję, ale jedynie, z zewnątrz. W środku kręciły się tylko dwie osoby: agent specjalny

Stern, który chwilowo wycofał wymówienie, oraz Mila.

Niczego nie szukali, starali się tylko ułożyć wydarzenia w porządku chronologicznym, żeby znaleźć odpowiedzi na pytania, które się narzucały. W jakim momencie w umyśle zrównoważonej i spokojnej istoty ludzkiej, takiej jak Goran Gavila, dojrzał zamiar popełnienia morderstwa? Kiedy wyzwoliło się w nim pragnienie zemsty? Kiedy zaczął zamieniać wściekłość w działanie?

Mila była w gabinecie i słyszała, jak Stern przeszukuje sąsiedni pokój. Dokonał w swej karierze wielu przeszukań. Nie do wiary, jak pouczające mogą być szczegóły czyjegoś życia.

Badając pokój, w którym Goran obmyślał swoje koncepcje, starała się zachować obojętność, dostrzegając drobiazgi i drobne przyzwyczajenia mogące ujawnić coś ważnego.

Goran trzymał spinacze w szklanej popielniczce. Temperował ołówki nad koszem na papiery. Na biurku stała ramka bez zdjęcia.

Ta pusta ramka była oknem wychodzącym na otchłań duszy człowieka, o którym Mila sądziła, że może go pokochać.

Odwróciła od niej spojrzenie z obawy, że zostanie pochłonięta.

Otworzyła stojące z boku pudełko. W środku znajdowała się kartonowa teczka. Wyjęła ją i położyła na tych, których zawartość już przejrzała. Ta była wcześniejsza, gdyż napis mówił, że zawiera materiały dotyczące ostatniej sprawy, którą Goran się zajmował, zanim pojawiła się historia z zaginionymi dziewczynkami.

Oprócz dokumentów zawierała kilka kaset.



Mila zaczęła czytać. Pomyślała, że przesłucha taśmy, jeśli uzna, że warto to zrobić.

Chodziło o wymianę listów między dyrektorem więzienia – niejakim Alphonse'em Bérengerem – i biurem prokuratora. Odnosiły się one do niezwykłego zachowania jednego z osadzonych, o którym pisano, używając numeru RK-357/9.

Człowiek ten został kilka miesięcy temu zatrzymany przez dwóch policjantów, kiedy włóczył się nocą bez ubrania po wiejskiej okolicy.

Odmówił podania swoich danych osobowych. Badanie jego odcisków palców przyniosło tylko tyle, że nie był notowany. Sędzia skazał go jednak za stawianie oporu przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości.

Wciąż jeszcze odsiadywał karę.

Mila sięgnęła po jedną z kasetek i obejrzała ją, próbując domyślić się, co zawiera. Na etykietce wypisano tylko godzinę i datę. Zawołała Sterna i zreferowała mu szybko to, co przeczytała.

– Ale posłuchaj, co pisze dyrektor więzienia...

Od chwili umieszczenia w zakładzie karnym osadzony RK-357/9 nie okazał nigdy niezdyscyplinowania i przez cały czas przestrzegał więziennego regulaminu.

Ponadto osobnik jest samotnikiem i niechętnie nawiązuje kontakty z innymi osobami... Być może także z tego powodu nikt nie zwrócił dotąd uwagi

na jego wyjątkowe zachowanie, dostrzeżone dopiero ostatecznie przez jednego ze strażników. Więzień RK-357/9 czyści i przeciera kawałkiem filcu wszystkie przedmioty, których dotyka, zbiera wszystkie włosy, które codziennie traci, czyści do połysku naczynia, sztucce i WC po każdym użyciu...

– Co o tym myślisz?

– Och, sam nie wiem. Moja żona też ma bzika na punkcie czystości.

– Posłuchaj, co pisze dalej:

Mamy więc do czynienia z maniakiem na punkcie czystości lub, co dużo bardziej prawdopodobne, z osobnikiem, który za wszelką cenę stara się uniknąć pozostawienia własnego „materiału organicznego”. W związku z tym żyjemy poważne podejrzenie, że więzień RK-357/9 popełnił jakieś szczególnie poważne przestępstwo i chce uniemożliwić nam poznanie jego tożsamości na podstawie DNA...

– I co?

Stern wziął kartkę z jej rąk i zaczął czytać.

– Wydarzyło się to w listopadzie... Ale nie napisano, czy w końcu udało się im znaleźć coś, co zawiera jego DNA.

– Wydaje się, że nie mogli go zmusić do poddania się badaniu ani zabrać mu niczego samowolnie, gdyż naruszyłyby to jego konstytucyjne prawa...

– Więc co zrobili?

– Starali się zdobyć jakiś włos podczas niespodziewanych nocnych inspekcji jego celi.

– Trzymali go w izolatce?

Mila przejrzała kartki, szukając miejsca, w którym przeczytała coś na ten temat. I znalazła je.

– O, tutaj, dyrektor pisze:

Do dnia dzisiejszego wyżej wymieniony dzielił celę z innym więźniem, co z pewnością pomagało mu usuwać własne ślady biologiczne. Informuję Pana jednak, że umieściliśmy go w pojedynczej celi.

– Więc udało im się ustalić jego DNA czy nie?

– Wydaje się, że więzień był od nich sprytniejszy i dbał o to, żeby w czasie ich inspekcji jego cela była zawsze idealnie czysta. Ale potem zauważyli, że mówi do siebie, i ukryli w jego celi mikrofon.

– A co ma z tym wspólnego doktor Gavila?

– Może proszono go o opinię, sama nie wiem.

Stern zamyślił się na chwilę.

– Może powinniśmy odsłuchać te kasety?

Na szafce w gabinecie stał stary magnetofon, prawdopodobnie używany przez Gorana do nagrywania spostrzeżeń. Mila podała jedną z kaset Sternowi, który włożył ją i już miał nacisnąć klawisz odtwarzania.

– Zaczekaj.

Zaskoczony Stern odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Jej twarz pobiadła.

– O, kurwa!

– Co się dzieje?

– Nazwisko.

– Jakie nazwisko?

– Nazwisko więźnia, z którym dzielił celę, zanim przenieśli go do izolatki...

– A więc?

– Miał na imię Vincent. To był Vincent Clarisso.

## 44.

Alphonse Bérenger był sześćdziesięcioletnim mężczyzną o twarzy dziecka.

Mogło się wydawać, że jego okrągłe oblicze trzyma się na gęstej siatce naczyń włoskowatych. Przy każdym uśmiechu mrużył oczy, aż zmieniały się w wąskie szparki. Kierował więzieniem od dwudziestu pięciu lat i do emerytury brakowało mu kilku miesięcy. Bardzo lubił wędkarstwo, w kącie jego biura stała wędka i pudełko z haczykami i spławikami. Niebawem właśnie łowienie ryb miało stać się jego głównym zajęciem.

Uważano go za zdolnego człowieka. W latach jego rządów w więzieniu nie doszło do żadnych poważnych aktów przemocy. Do więźniów odnosił się po ludzku, a jego strażnicy rzadko uciekali się do użycia siły.

Alphonse Bérenger czytywał Biblię i był ateistą. Wierzył jednak w istnienie pomyślnych okoliczności i mawiał zawsze, że każda jednostka ludzka, jeśli tylko tego chce, może zasłużyć sobie na przebaczenie.

Bez względu na popełnioną zbrodnię.

Miał opinię człowieka prawego, a sam uważał, że jest pogodzony ze światem. Jednak od jakiegoś czasu nie mógł spać. Jego żona zapewniała go, że powodem jest bliskie już odejście na emeryturę, była jednak w błędzie. Tym, co dręczyło go po nocach, była myśl, że

musi wypuścić na wolność więźnia RK-357/9, nie wiedząc, kim on jest i czy popełnił jakąś okrutną zbrodnię.

– Ten osobnik jest... absurdalny – powiedział, gdy przechodzili przez jedne z okratowanych drzwi, kierując się do skrzydła budynku, w którym znajdowały się pojedyncze cele.

– W jakim sensie? – spytała Mila.

– Zachowuje niewzruszony spokój. Odcieiliśmy mu bieżącą wodę, mając nadzieję, że przestanie myć swoje rzeczy. A on nadal czyścił je szmatami. Zabraliśmy mu także te szmaty. Zaczął używać więziennego ubrania. Zmusiliśmy go do korzystania z więziennych sztućców.

Przestał jeść.

– I co zrobiliście?

– Nie mogliśmy go przecież zagłodzić! Każdej naszej próbie przeciwstawił rozbijający upor... albo spokojną determinację, jak pani woli.

– A co na to specjaliści?

– Spędzili w tej celi trzy dni, ale nie znaleźli materiału organicznego, który wystarczyłby do poznania jego DNA. Zadają sobie pytanie: jak to możliwe? Wszyscy tracimy codziennie miliony komórek w postaci rzęs albo złuszczonej skóry...

Bérenger wykorzystał całą swoją cierpliwość doświadczonego wędkarza w nadziei, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Pozostała mu tylko ta policjantka, która niespodziewanie zjawiała się tego ranka i opowiedziała historię zbyt absurdalną, aby mogła być prawdziwa.

Przemierzywszy długi korytarz, dotarli do pomalowanych na biało stalowych drzwi. Była to pojedyncza cela numer piętnaście.

Dyrektor spojrział na Milę.

– Jest pani zdecydowana?

– Za trzy dni ten człowiek wyjdzie na wolność, a ja mam wrażenie, że więcej go nie zobaczymy. Dlatego tak, jestem zdecydowana.

\* \* \*

Ciężkie drzwi otworzyły się i natychmiast zamknęły za jej plecami.

Mila zrobiła pierwszy krok w głąb małego świata więźnia RK-357/9.

Wyglądał inaczej, niż go sobie wyobrażała, różnił się też od portretu sporządzonego na podstawie tego, co Nicola Papakidis odpowiedziała po tym, jak zobaczyła go we wspomnieniach Josepha B. Rockforda.

Z jednym wyjątkiem: miał szare oczy.

Był niski, o wąskich ramionach i wystających kościach obojczykowych. Pomarańczowy więzienny kombinezon wisiał na nim luźno, zmuszając go do podwinięcia zarówno rękawów, jak i dołu spodni.

Był łysy, tylko po bokach głowy rosły mu jeszcze rzadkie włosy.

Siedział na pryczy i trzymał na kolanach blaszaną miskę, polerując ją kawałkiem żółtego filcu. Obok niego leżały ułożone

porządnie na posłaniu sztucce, szczoteczka do zębów i plastikowy grzebień. Prawdopodobnie przed chwilą skończył je oglądać. Uniósł lekko głowę, żeby spojrzeć na Milę, ani na moment nie przestając przecierać miski.

Mila zdała sobie sprawę, że ten człowiek wie, po co tu przyszła.

– Witam – powiedziała. – Pozwoli pan, że usiądę?

Więzień kiwnął uprzejmie głową, wskazując jej stółek stojący przy ścianie. Mila usiadła.

Ciasne pomieszczenie wypełniał tylko odgłos pocierania metalu ścierką. Skrzydło z izolatkami zostało odgrodzone od typowych odgłosów więzienia, żeby zwiększyć przykre oddziaływanie samotności na psychikę. Ale nie wydawało się, że więźniowi RK-357/9 się to nie podoba.

– Wszyscy tutaj zadają sobie pytanie, kim pan jest – zaczęła Mila.

– Myślę, że przerodziło się to w coś w rodzaju obsesji. W każdym razie w przypadku dyrektora tego więzienia. A także prokuratury. Inni więźniowie opowiadają coś o sobie.

Mężczyzna wpatrywał się w nią z niewzruszonym spokojem.

– Ja o to nie pytam. Ja już to wiem. Jest pan osobą, której nadaliśmy imię Albert. Osobą, na którą polujemy.

Mężczyzna nie zareagował.

– To pan siedział na fotelu Alexandra Bermanna w jego pedofilskiej norze. I poznał pan Ronalda Dermisa w sierocińcu, gdy był jeszcze dzieckiem. Był pan obecny w willi Yvonne Gress w czasie, gdy Feldher masakrował tę kobietę i jej dzieci. Zarys sylwetki na



pokrytej krwią ścianie należał do pana. Był pan razem z Josephem B. Rockfordem w tamtym opuszczonym domu, kiedy popełnił swoje pierwsze morderstwo... Wszyscy oni byli pańskimi uczniami. Wzniecał pan w nich nienawiść, podsycił ich złe skłonności, ale sam zawsze usuwał się w cień...

Mężczyzna przecierał miskę, ani na chwilę nie przestając.

– Potem, trochę więcej niż cztery miesiące temu, postanawia pan dać się aresztować. Bo nie mam wątpliwości, że zrobił pan to celowo. W więzieniu styka się pan z Vincentem Clarissem, współwięźniem z celi. Ma pan prawie miesiąc na udzielenie mu instrukcji, zanim Clarisso skończy odsiadywanie kary. A potem Clarisso, zaraz po wyjściu na wolność, zaczyna realizować pański plan... Uprawdzać dziewczynki, odcinać im lewą rękę, umieszczać zwłoki tak, żeby odsłoniły wszystkie te potworności, których nikt dotąd nie odkrył... I podczas gdy Vincent wypełniał zadanie, pan był tutaj. Dlatego nikt nie może pana o nic oskarżyć. Te cztery ściany są dla pana doskonałym alibi. Ale pańskim arcydziełem pozostaje Goran Gavila.

Mila wyjęła z kieszeni jedną z kaset, które znalazła w gabinecie kryminologa, i rzuciła ją na pryczę. Mężczyzna obserwował parabolę, jaką zakreśliła przed wylądowaniem o kilka centymetrów od jego lewej nogi. Nie odsunął się, nie wykonał nawet odruchowego gestu, żeby się uchylić.

– Doktor Gavila nigdy pana nie widział, nie znał pana. Ale pan znał jego.

Mila czuła, że jej serce zaczyna szybciej bić. Tak objawiał się jej gniew, uraza, ale i coś jeszcze.

– Znalazł pan sposób, żeby wejść z nim kontakt, pozostając w tych murach. Genialny pomysł: kiedy przenieśli pana do pojedynczej celi, zaczął pan mówić do siebie jak biedaczyna upośledzony na umyśle, wiedząc, że umieszczą tu mikrofon, żeby potem przekazać taśmy do przesłuchania ekspertowi. Nie jakimkolwiek, ale najlepszemu w tej dziedzinie... Mila wskazała kasetę.

– Przesłuchałam je wszystkie, wie pan? Całe godziny... Te słowa nie były skierowane w pustkę. Były dla Gorana... „Zabić, zabić, zabić”... A on posłuchał i zabił żonę i syna. Było to cierpliwe urabianie jego psychiki. Ale niech mi pan powie jedną rzecz: jak pan to robi?

Jak się to panu udaje? Jest pan bardzo zdolnym człowiekiem.

Mężczyzna nie wyłapał drwiny w jej słowach lub może ją zlekceważył. Wydawało się natomiast, że jest ciekaw dalszego ciągu reszty tej historii, bo nie odrywał od niej oczu.

– Ale nie tylko pan umie trafić ludziom do przekonania... Ostatnio dużo się dowiedziałam o seryjnych mordercach. Na przykład tego, że dzielą się na cztery kategorie: wizjonerów, misjonarzy, hedonistów i miłośników władzy... Ale jest i piąty rodzaj: nazywają ich zabójcami podprogowymi.

Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i rozprostowała ją.

– Najsłynniejszym z nich jest Charles Manson, który skłonił członków swojej sławnej „Rodziny” do dokonania masakry przy Cielo Drive. Myślę jednak, że istnieją dwa jeszcze bardziej znamienne przypadki... – Zaczęła czytać:

*W roku dwutysięcznym piątym Japończyk Fujimatzu zdołał przekonać osiemnaście rozrzuconych po świecie osób, które poznał za pośrednictwem Internetu, do popełnienia samobójstwa w dniu świętego Walentego. Byli to najnormalniejsi ludzie, zróżnicowani pod względem wieku, pici, sytuacji materialnej i pozycji społecznej, niemający widocznych problemów.*

Podniosła wzrok na więźnia:

– Jak pan zdołał powtórzyć ich wyczyny, pozostaje zagadką... Ale niech pan posłucha historii, która najbardziej mi się spodobała.

*W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym Roger Blest z Akron w stanie Ohio morduje sześć kobiet. Po schwytaniu opowiada śledczym, że „zasugerował” mu to niejaki Rudolf Migby.*

*Sędzia i ława przysięgłych podejrzewają, że chce zostać uznany za chorego psychicznie, i tak czy owak skazują go na śmiertelny zastrzyk.*

*W roku dwutysięcznym drugim w Nowej Zelandii nieumiejący czytać i pisać robotnik Jerry Hoover zabija cztery kobiety, a potem oświadcza policji, że „zasugerował” mu to niejaki Rudolf Migby. Psychiatra sądowy przypomina sobie o przypadku z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego i – jako że nie jest możliwe, żeby Hoover znalazł tamtą sprawę – odkrywa, iż kolega z pracy tego człowieka nazywa się rzeczywiście Rudolf Migby i w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym mieszkał w Akron w stanie Ohio.*

Znowu spojrziała na siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę.

– I co pan na to? Znajduje pan jakieś podobieństwa?

Więzień nie odpowiedział. Jego miska błyszczała, ale on nie był jeszcze zadowolony z wyniku swojej pracy.

– Morderca podprogowy nie popełnia zbrodni własnymi rękami. Nie można go oskarżyć ani ukarać. Aby osądzić Charlesa Mansona, odwołano się do sztuczki prawnej, a wyrok śmierci został zamieniony na kilka wyroków dożywocia... Niektórzy psychiatrzy nazywają was podżegaczami z uwagi na waszą umiejętność wpływania na słabsze osobowości. Ja wolę nazywać was wilkami... Wilki działają w stadzie. Każde stado ma przewodnika i często inne wilki dla niego polują.

Więzień RK-357/9 zakończył polerowanie miski i położył ją obok siebie, po czym oparł ręce na kolanach i czekał na dalszy ciąg.

– Ale pan ich wszystkich przewyższa... – Mila się roześmiała. – Nie istnieje nic, co by dowodziło, że jest pan zamieszany w zbrodnie popełnione przez pańskich uczniów. Wobec braku dowodów, które by pana przygwoździły, niebawem znowu stanie się pan wolnym człowiekiem... I nikt nie będzie mógł temu zapobiec.

Mila odetchnęła głęboko. Zaczęli przyglądać się sobie z uwagą.

– Szkoda, bo gdybyśmy przynajmniej poznali pana prawdziwe nazwisko, stałby się pan sławny i przeszedłby pan do historii, ja to panu mówię.

Pochyliła się w jego stronę, ścisząc głos, w którym pobrzmiwała groźba.

– I tak odkryję, kim jesteś.

Wstała, otrzepała dłonie z nieistniejącego kurzu i zamierzała opuścić celę. Przedtem jednak pozwoliła sobie na jeszcze kilka sekund z tym człowiekiem.

– Twojemu ostatniemu uczniowi się nie udało. Vincent Clarisso nie zdołał doprowadzić do końca planu, który obmyśliłeś, ponieważ dziewczynka numer sześć żyje, a to oznacza, że i tobie się nie udało.

Przyglądała się jego reakcji i przez chwilę wydawało jej się, że w jego nieprzeniknionej twarzy coś drgnęło.

– Zobaczymy się znowu tam, na zewnątrz.

Wyciągnęła do niego rękę. Ten gest go zaskoczył. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym uniósł wolno rękę i uścisnął jej dłoń. Poczuvszy jego miękkie palce, Mila z trudem opanowała odragę.

Zwolnił uścisk, pozwalając jej wysunąć dłoń ze swojej dłoni.

Mila odwróciła się i ruszyła do okutych drzwi. Zastukała trzy razy i czekała, czując na plecach spojrzenie. Strażnik po drugiej stronie zaczął przekręcać klucz w zamku. Zanim drzwi się otworzyły, więzień RK-357/9 odezwał się po raz pierwszy:

– To kobieta.

Mila odwróciła się do niego, myśląc, że się przesłyszała. Ale więzień już miał w ręku szmaty i zabierał się do skrupulatnego czyszczenia następnej miski.

Opuściła celę, stalowe drzwi zamknęły się za jej plecami, a na jej spotkanie wyszedł Bérenger. Był z nim Krepp.

– A więc... udało się?

Mila pokiwała głową. Wyciągnęła rękę, którą uścisnęła dłoń więźnia. Ekspert z sekcji specjalistycznej sięgnął po pincetkę i delikatnie zdjął cienką przezroczystą warstwę, na której zostały komórki z naskórka mężczyzny. By je zakonserwować, włożył ją natychmiast do pojemniczka z roztworem zasadowym.

– Nareszcie dowiemy się, kim ten sukinsyn jest.

## 5 WRZEŚNIA

Po niebie płynęły pojedyncze białe obłoczki, które jeszcze bardziej uwydatniały jego przeczysty błękit. Gdyby się połączyły, nieuchronnie zasłoniłyby słońce, jednak wędrowały spokojnie z wiatrem.

Kończyła się pora roku, która trwała bardzo długo: zima ustąpiła bowiem latu bez żadnego okresu przejściowego. Było ciepło.

Mila jechała z otwartymi oknami, ciesząc się wiatrem we włosach.

Pozwoliła im odrosnąć i była to jedna z drobnych zmian, jakie w ostatnim czasie zaszły w jej wyglądzie. Inną nowością było ubranie, które na sobie miała. Zrezygnowała z dżinsów i nosiła teraz spódniczkę w kwiatki.

Na siedzeniu obok niej leżało pudełko z wielką czerwoną kokardą.

Wybrała ten prezent, nie zastanawiając się zbyt długo, gdyż i tak we wszystkim, co robiła, kierowała się wyłącznie instynktem.

Odkryła płodną nieprzewidywalność egzystencji.

Ten nowy bieg rzeczy przypadł jej do gustu. Pojawił się jednak problem w postaci kaprysów jej sfery uczuciowej. Czasami zdarzało się, że wybuchała płaczem w samym środku rozmowy lub podczas załatwiania jakiejś sprawy. Bez powodu brała ją w posiadanie dziwna i przyjemna nostalgia.

Przez długi czas zadawała sobie pytanie, skąd biorą się te nawiedzające ją fale lub pojedyncze wybuchy emocji.

Teraz знаła już odpowiedź. Mimo to nie chciała poznać płci dziecka.

To kobieta.

Mila starała się nie myśleć o tej historii, chciała zapomnieć o całym śledztwie. Miała teraz inne priorytety. Zbyt często i nieoczekiwanie dopadał ją głód, którego zaspokajanie przywróciło nieco kobiecości jej kształtom. Poza tym nawiedzała ją nagła i pilna potrzeba oddania moczu. Wreszcie były te drobne kopnięcia w brzuchu, które odczuwała już od jakiegoś czasu.

Dzięki nim uczyła się patrzeć wyłącznie w przyszłość.

A jednak od czasu do czasu jej umysł sam wracał do tamtych wydarzeń.

Osadzony RK-357/9 wyszedł z więzienia w marcowy wtorek. Bez nazwiska.

Sztuczka Mili jednak się udała.

Krepp wydobyl z komórek jego naskórka DNA, które zostało rozesłane do wszystkich baz danych, jakie były do dyspozycji. Dokonano też porównań z niezidentyfikowanym materiałem organicznym pochodzącym z niezamkniętych śledztw.

Nie wyszło jednak na jaw nic nowego.

Może nie odkryliśmy jeszcze całego jego planu, mówiła sobie Mila. I bała się snuć jakiegokolwiek domysły.

Gdy ten bezimienny człowiek odzyskał wolność, początkowo policja miała go stale na oku. Wprowadził się do mieszkania, które przydzieliła mu pomoc społeczna, po czym, jak na ironię, podjął



pracę sprzątacza w wielkim magazynie. Nie pozwalał jednak, aby wymknęły się jakiegokolwiek nieznane dotąd informacje na jego temat. Z czasem nadzór agentów nad nim zaczął stopniowo słabnąć. Ich szefowie nie mogli już płacić za nadgodziny, a ochotnicze patrole pracowały tylko przez kilka tygodni. W końcu zaprzestano inwigilacji.

Jednak Mila nie spuszczała go z oka, ale i dla niej było to coraz bardziej męczące. Po odkryciu, że jest w ciąży, ograniczyła swoje działania.

A potem, w połowie maja, ten człowiek znikł.

Nie zostawił śladów, nie można się też było domyślić, dokąd mógł się udać. W pierwszej chwili Milę ogarnęła wściekłość, ale potem poczuła osobliwą ulgę.

Policjantka, która odnajdowała zaginione osoby, w głębi duszy pragnęła, żeby ten człowiek rozplynął się w nicości.

Znak drogowy po prawej stronie zapowiedział drogę dojazdową do dzielnicy willowej. Skręciła w nią.

Była to ładna okolica: aleje wysadzono drzewami, a rośliny rzucały identyczne cienie, jakby nie chciały uchybić którejkolwiek ze swych towarzyszek. Podobne do siebie wille stały jedna obok drugiej, z ładnym kawałkiem ziemi od frontu.

Wskazówki na kartce, jaką wręczył jej Stern, kończyły się na rozwidleniu, które miała przed sobą. Zwolniła, rozglądając się wokół siebie.

– U licha, Stern, gdzieście się schowali? – zapytała przez telefon.

Dojrzała go, zanim zdążył odpowiedzieć. Stał z komórką w ręku i machał do niej.

Zaparkowała w miejscu, które jej wskazał, i wysiadła.

– Jak leci?

– Powiedziałabym, że dobrze, jeśli nie liczyć wymiotów, spuchniętych stóp i ciągłego biegania do toalety...

Stern położył rękę na jej ramieniu.

– Chodź, wszyscy są za domem.

Wyglądał dziwnie bez marynarki i krawata, w niebieskich szortach i koszuli w kwiatki rozpiętej na piersiach. Gdyby nie nieodłączna miętówka, byłby nie do poznania.

Mila poszła za nim do ogródka na tyłach domu, gdzie żona byłego agenta specjalnego nakrywała do stołu. Podbiegła, żeby ją uściskać.

– Cześć, Marie, świetnie wyglądasz.

– Musi, mając mnie w domu przez cały dzień! – wykrzyknął ze śmiechem Stern.

Marie klepnęła męża po ramieniu.

– Lepiej idź pilnować grilla!

Gdy Stern oddalił się w kierunku grilla, żeby dopilnować piekących się kiełbasek i kolb kukurydzy, do Mili podszedł Boris z opróżnioną do połowy butelką piwa w ręku. Objął ją potężnymi ramionami i uniósł w górę.

– Ale przytyłaś!

– Wydaje ci się!

- Tyle czasu zajęło ci dojechanie?
- Martwiłeś się o mnie?
- Nie, tylko jestem głodny.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Boris zawsze był wobec niej bardzo uprzejmy, nie tylko dlatego, że uratowała go od odsiadki. W ostatnim czasie przytył z powodu siedzącego trybu życia i awansu, jaki dał mu Terence Mosca. Nowy szef natychmiast przekreślił tę małą „pomyłkę”, jaką Boris miał na swoim koncie, i złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Tuż po oficjalnym zamknięciu śledztwa Roche podał się do dymisji, nie zapomniawszy uzgodnić z wydziałem procedury odejścia, która przewidywała ceremonię obejmującą wręczenie mu medalu za zasługi i uroczystą pochwałę. Mówiono, że zamierza zająć się polityką.

- Ale ze mnie głuptas, zapomniałam wziąć pudełko z samochodu!
- przypomniała sobie nagle Mila. – Nie poszedłbyś po nie z łaski swojej?
- Jasne, już idę.

Gdy tylko Boris ruszył do samochodu, spojrziała na pozostałych gości.

Pod czereśnią siedziała Sandra w fotelu na kółkach. Nie mogła chodzić. Stało się to miesiąc po wypisaniu jej ze szpitala. Lekarze twierdzili, że tę neurotyczną blokadę wywołał wstrząs po przebytych cierpieniach. Teraz przechodziła intensywną rehabilitację.

Miejsce jej lewej ręki zajęła proteza.

Obok dziewczynki siedział jej ojciec, Mike. Mila poznała go podczas wizyty u Sandry i uznała, że jest sympatyczny. Pomimo separacji z żoną nadal z uczuciem i oddaniem troszczył się zarówno o nią, jak i o córkę. Była też Sarah Rosa. Bardzo się zmieniła. Straciła w więzieniu sporo kilogramów i posiwiiała.

Wyrok był surowy: siedem lat pozbawienia wolności i karne zwolnienie z pracy, co pozbawiło ją także prawa do emerytury. Znalazła się tu dzięki przepustce. Niedaleko niej stała Doris, towarzysząca jej strażniczka więzienna, która powitała Milę skinieniem głowy.

Sarah Rosa wstała, żeby do niej podejść.

– Jak się czujesz? Cięża przebiega pomyślnie? – zapytała z wymuszonym uśmiechem.

– Największy problem mam z ubraniem, bo moje rozmiary ciągle się zmieniają, a nie zarabiam tyle, żeby tak często uzupełniać garderobę. Któregoś dnia przyjdzie mi wyjść do miasta w płaszczu kąpielowym.

– Ciesz się chwilą, bo najgorsze masz dopiero przed sobą, wierz mi. Przez pierwsze trzy lata Sandra nie pozwoliła nam zmrużyć oka.

Prawda, Mike?

Mike potwierdził skinieniem głowy.

Spotykali się już przy innych okazjach, ale nigdy nikt nie zapytał Mili o ojca dziecka. Kto wie, jak by zareagowali, gdyby dowiedzieli się, że jest nim Goran.

Kryminolog nadal był w śpiączce.

Mila odwiedziła go tylko raz. Popatrzyła na niego zza szyby, ale wytrzymała jedynie kilka sekund i uciekła.

Tuż przed rzuceniem się z okna powiedział jej, że zabił żonę i synka, ponieważ ich kochał. Było to rozumowanie człowieka, który usprawiedliwia zło miłością. A Mila nie mogła się z tym zgodzić.

Innym razem Goran mówił: „Wydaje nam się, że doskonale znamy osoby, z którymi obcujemy, a tymczasem nie wiemy o nich nic...”.

Sądziła, że ma na myśli swoją żonę, i zapamiętała to zdanie jako banalną prawdę, zbyt banalną jak na jego inteligencję, dopóki jego słowa nie dotknęły jej osobiście. Mimo wszystko właśnie ona powinna go rozumieć. Powiedziała mu przecież: „...wyłoniłam się z ciemności. I czasami muszę do niej wrócić...”.

Także Goran wiele razy przebywał w ciemności. Ale pewnego dnia, gdy się z nich wydostawał, coś musiało pójść za nim. Coś, co nigdy go nie opuściło.

Podszedł Boris z prezentem w ręku.

– Potrzebowałeś na to tyle czasu?

– Ten stary grat nie chciał się zamknąć. Powinnaś sprawić sobie nowe auto.

Mila wzięła pudełko i podeszła z nim do Sandry.

– Hej, najlepsze życzenia urodzinowe!

Pochyliła się nad nią, żeby ją pocałować. Dziewczynka cieszyła się zawsze z każdego ich spotkania.

– Mama i tata podarowali mi iPod.

Pokazała go Mili, która powiedziała: – Fantastyczny. Teraz musimy go wypełnić jakimś zdrowym uczciwym rockiem.

Mike był innego zdania.

– Ja wolałbym Mozarta.

– A najlepiej Coldplay – orzekła Sandra.

Razem otworzyli prezent od Mili. Była to aksamitna kurteczka z mnóstwem guzików i klamerek.

– Ojej! – wykrzyknęła solenizantka na widok metki słynnego projektanta.

– Czy to „ojej” oznacza, że ci się podoba?

Roześmiana Sandra pokiwała głową, nie odrywając oczu od kurtki.

– Jedzenie gotowe! – obwieścił Stern.

Usiedli przy stole w cieniu altanki. Mili zauważyła, że Stern i jego żona często rzucają sobie spojrzenia i dotykają się jak dwoje zakochanych. Poczowała zazdrość. Sarah Rosa i Mike grali rolę dobrych rodziców, którzy troszczą się o córkę. On odnosił się jednak bardzo serdecznie także do Sarah. Boris sypał dowcipami, które wywoływały takie salwy śmiechu, że strażniczka Doris o mało się nie udławiła. Był to przyjemny, beztroski dzień. Prawdopodobnie Sandra także na chwilę zapomniała o swoim stanie. Dostała dużo prezentów i zdmuchnęła trzynaście świeczek na torcie czekoladowo–kokosowym.

Skończyli obiad po piętnastej. Zerwał się wietrzyk, który zachęcał, żeby wyciągnąć się na trawie i zdrzemnąć. Kobiety sprzątnęły ze

stołu, ale żona Sterna zwolniła Milę z tego obowiązku z powodu jej stanu.

Mila postanowiła spędzić chwilę z Sandrą pod czeresnią. Z trudem zdołała usiąść na ziemi obok jej fotelika.

– Bardzo tu ładnie – powiedziała dziewczynka, po czym spojrzała na swoją matkę, która niosła właśnie do domu stos brudnych talerzy, i uśmiechnęła się. – Chciałabym, żeby ten dzień nigdy się nie skończył.

Bardzo brakowało mi mamy...

Symptomatyczne było użycie czasu przeszłego niedokonanego: Sandra miała na myśli inną tęsknotę niż ta, którą odczuwała, gdy matka wracała do więzienia. Mówiła o tym, co jej się przydarzyło.

Mila dobrze wiedziała, że w tych krótkich uwagach kryje się wysiłek, z jakim dziewczynka stara się uporządkować przeszłość. Musi pozbyć się emocji i rozliczyć z lękiem, który, mimo iż wszystko się skończyło, miał wracać i łapać ją w swe sidła jeszcze przez wiele lat.

Któregoś dnia porozmawiają o tym, co się wydarzyło. Mila zamierzała opowiedzieć jej najpierw swoją historię. Być może to będzie pomocne. Tyle ich łączy.

Znajdź najpierw wszystkie słowa, moja mała, mamy mnóstwo czasu...

Sandra budziła u Mili ogromną tkliwość. Za godzinę Sarah Rosa będzie musiała wrócić do zakładu karnego. Za każdym razem te rozstania przysparzały cierpień i matce, i córce.

– Postanowiłam zdradzić ci pewien sekret – powiedziała, żeby oderwać dziewczynkę od tej myśli. – Ale tylko tobie... Chcę ci powiedzieć, kto jest ojcem mojego dziecka.

Przez twarz Sandry przemknął szelmowski uśmiezek.

– Jak to, przecież wszyscy wiedzą...

Mila aż zastygła ze zdumienia, po czym obie wybuchnęły śmiechem.

Boris spojrział na nie, nie wiedząc, co się dzieje.

– Kobiety! – zawołał do Sterna.

Gdy wreszcie się uspokoiły, Mila poczuła się dużo lepiej. Po raz kolejny nie doceniła tych, którzy ją kochali. Często sprawy są tak piekielnie proste.

– On na kogoś czekał – powiedziała z poważną miną Sandra. Mila domyśliła się, że ma na myśli Vincenta Clarissa.

– Wiem.

– Miał się zjawić, żeby do nas dołączyć.

– Ten człowiek był w więzieniu. Ale my o tym nie wiedzieliśmy – wyjaśniła Mila. – Wiesz, że wymyśliliśmy mu nawet imię? Nazywaliśmy go Albert.

– Vincent tak go nie nazywał.

Podmuch ciepłego wiatru poruszył liśćmi czereśni, lecz Mila poczuła chłód, który wspinał się po jej plecach. Odwróciła się powoli do Sandry i spojrziała w jej wielkie oczy, które wpatrywały się w nią nieświadome tego, jak ważną rzecz przed chwilą powiedziała.



– Nie... – powtórzyła spokojnie dziewczynka. – Mówił o nim Frankie.

Słońce napełniało blaskiem to przepiękne popołudnie. Na drzewach ćwierkały ptaki, a w powietrzu unosiły się słodkie zapachy.

Zapraszała zielen trawnika. Miła miała na zawsze zapamiętać tę krótką chwilę, w której odkryła, że ma z Sandrą dużo więcej wspólnego, niż sądziła. A przecież wszystkie te podobieństwa miała ciągle przed oczami.

Wybrał tylko dziewczynki, nie chłopców.

Także Steve lubił dziewczynki.

Wybrał rodziny.

Podobnie jak Sandra także ona była jedynaczką.

Odciał im wszystkim lewą rękę.

Ona złamała sobie lewą rękę, padając na schody ze Steve'em.

Pierwsze dwie były siostrami krwi.

Sandra i Debby. Podobnie jak ona i Graciela, wiele lat temu.

„Poprzez swoje uczynki seryjni mordercy starają się opowiedzieć nam jakąś historię”, powiedział pewnego razu Goran.

Ale ta historia była jej historią.

Każdy szczegół kazał jej myśleć o przeszłości, zmuszając ją do spojrzenia w twarz straszliwej prawdy.

„Twojemu ostatniemu uczniowi się nie udało – Vincent Clarisso nie zdołał doprowadzić do końca twojego planu, ponieważ

dziewczynka numer sześć żyje... A to oznacza, że i tobie się nie udało”.

Tymczasem nic nie stało się za sprawą przypadku. I to jest prawdziwy finał, jaki przygotował Frankie.

Wszystko robił z myślą o niej.

Poruszenie w jej wnętrzu przywróciło ją do rzeczywistości. Mila spojrzała na swój brzuch. Zmusiła się, aby nie zadawać sobie pytania, czy i to było częścią planu, jaki obmyślił Frankie.

Bóg milczy – pomyślała. – Słyszeć tylko podszepty diabła.

Słońce nadal świeciło w to przepiękne popołudnie. Ptaki śpiewały niezmordowanie, a w powietrzu nadal słodko pachniało. Trawa na trawniku wciąż zapraszała.

Wokół niej i we wszystkich swych zakątkach świat głosił to samo przesłanie.

Że wszystko jest takie samo jak przedtem.

Wszystko.

Także Frankie.

Wrócił, żeby znowu zniknąć w przepastnych bezkresach mroku.

# Nota autora

Literatura kryminologiczna zaczęła zajmować się „inspiratorami” czy „kusicielami” w związku z pojawieniem się sekt religijnych. Jest to temat trudny, dotyczący różnorodnych problemów. Największa trudność polega właśnie na stworzeniu definicji „inspiratora”, która byłaby użyteczna w celach procesowych, ponieważ odnosiłaby się bezpośrednio do kategorii czynów przestępczych i karalności.

W istocie bowiem w przypadkach, w których nie ma związku przyczynowego między czynami określanymi jako występne i działalnością inspiratora, przypisanie temu ostatniemu takiego czy innego przestępstwa nie jest możliwe. W wielu sytuacjach odwoływanie się do pojęcia podżegania do popełnienia przestępstwa okazuje się niewystarczające, aby można było wydać wyrok skazujący, ponieważ inspiratorzy wykraczają poza zwyczajne narzucenie innemu człowiekowi własnej woli. Działania tych osobników dotyczą poziomu podprogowego komunikowania się, w którym psychice podżegacza nie przypisuje się zamiaru przestępczego, a tylko wywieranie presji, która umożliwia wyłonienie się mrocznej strony psychiki – obecnej w sposób mniej lub bardziej ukryty w każdym z nas – która następnie prowadzi go do popełnienia jednej lub wielu zbrodni.

W związku z tym znamienny był przypadek określany w literaturze włoskiej jako „przypadek Offelbecka” z roku 1986: gospodyni domowa odbierała telefony od anonimowego osobnika, a

potem, pewnego dnia, wymordowała nagle całą rodzinę, podając jej w zupie truciznę na szczury.

Należy tu dodać, że osoby, które splamiły się okrutnymi zbrodniami, często mają skłonność do zrzucania odpowiedzialności moralnej na jakieś głosy, wizje albo wyimaginowane osoby. Dlatego wyjątkowo trudne jest rozróżnienie, kiedy tego rodzaju tłumaczenia są owocem zachowań psychotycznych, a kiedy rzeczywiście mogą prowadzić do tajemnego oddziaływania jakiegoś „inspiratora”.

Do źródeł wykorzystanych w niniejszej powieści, oprócz podręczników i prac z dziedziny kryminologii, psychiatrii i medycyny sądowej, należą też badania prowadzone przez FBI, które stanowią bardzo cenne źródło informacji na temat seryjnych morderców i ciężkich zbrodni.

Wiele spośród śledztw wymienionych na tych stronicach prowadzono naprawdę. W niektórych przypadkach imiona i nazwiska oraz nazwy miejscowości zostały zmienione, jako że odnoszące się do nich postępowania śledcze i procesowe nie są jeszcze zakończone.

Opisane w powieści techniki, po jakie sięgają oficerowie śledczy i policyjni specjaliści, stosowane są w rzeczywistości, chociaż w niektórych okolicznościach autor pozwolił sobie dostosować je do potrzeb fabuły.

Podziękowania Wiele osób uważa, że pisanie jest przygodą przebiegającą w samotności. Tymczasem do powstania tej powieści przyczyniło się mnóstwo osób. Są to ci, którzy podtrzymywali mnie na duchu i zachęcali przez wszystkie miesiące jej tworzenia, uczestnicząc na różne sposoby w moim życiu.

Chcę im przekazać moje podziękowanie w nadziei, że pozostaną przy mnie jeszcze bardzo długo.

Luigiemu i Danieli Bernabò za czas i oddanie niniejszej opowieści i jej autorowi. Za udzielanie mi cennych rad, które pozwoliły mi dojrzeć jako pisarzowi, pomaganie mi w trosce o styl i sugestywność tych stron. I za serce, jakie w to włożyli. Im przede wszystkim zawdzięczam to, że te słowa do was dotarły. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Stefanowi i Cristinie Mauri, którzy we mnie wierzyli.

Mój „inspirator” Fabrizio zasłużył na podziękowania uporczywymi radami, uprzejmą stanowczością, napełnieniem uczuciem każdej strony, każdego słowa.

Wyrazy wdzięczności kieruję do Ottavia, przyjaciela, jakiego chciałoby się mieć przy sobie przez całe życie. Do Valentiny, która jest naprawdę wyjątkowa. I do maleńkich Clary i Gai za uczucie, jakim mnie obdarzają.

A także do Gianmaura i Micheli, z nadzieją, że będą blisko mnie we wszystkich ważnych momentach. I do Claudii, mojego światła.

Do Massima i Roberty za podtrzymywanie na duchu, wspieranie i przyjaźń.

Do Michele, mojego pierwszego i najlepszego przyjaciela. Dobrze wiedzieć, że zjawi się zawsze, kiedy będę go potrzebował. Pragnę go zapewnić, że i on może liczyć na mnie.

Do Luisy, za jej zaraźliwe uśmiechy i za piosenki śpiewane na cały głos nocą w samochodzie, na ulicach Rzymu.

Do Darii, za to, czym mnie obdarowała. Za to, jak patrzy na świat i umożliwia mi oglądanie go jej oczami.

Do Marii De Bellis, która przechowała moje dziecięce marzenia.

Jeśli zostałem pisarzem, zawdzięczam to także jej.

Do Uski, mojej niezrównanej „wspólniczki”.

Do Alfreda, wulkanicznego towarzysza tysięcznych przygód.

Do Achille, którego nie ma... ale ciągle jest.

Do Pietra Valsecchiego i Camilli Nesbit, i do całej Taodue.

Dziękuję wszystkim paniom współpracującym z agencją Bernabò, które śledziły powstawanie tej powieści. I wszystkim przyjaciołom, którzy przeczytali ją przed wydrukowaniem i pomogli mi ją rozbudować.

Dziękuję całej mojej wielkiej rodzinie. Tym, którzy są, tym, którzy byli... i tym, którzy będą.

Mojemu bratu Vitowi. To jego oczy pierwsze oglądały tę opowieść i wiele innych, od niepamiętnych czasów. Choć nie możecie posłuchać muzyki brzmiącej na tych stronicach, pochodzi ona od niego. I od Barbary, która daje mu szczęście.

Moim rodzicom. Za to, czego mnie nauczyli, i za to, czego pozwolili mi nauczyć się samemu. Za to, kim jestem i kim będę.

Mojej siostrze Chiarze, która wierzy w swoje sny i w moje. Bez niej moje życie byłoby straszliwie puste.

Tym, którzy doczytali tę książkę do końca z nadzieją, że dostarczyłem im ważnych przeżyć.

Część dochodów z tej książki zostanie przekazana stowarzyszeniu zajmującemu się adopcją „na odległość”. Jeśli ktoś chciałby dokonać wpłat, może to zrobić za pomocą przelewu na następujące konto: Associazione Famiglie Adozioni a Distanza – Martina Franca BANCO DI NAPOLI, Filiale di Martina Franca IBAN–IT 87 TO 10 1078931 100000000248.

*Donato Carrisi*